

JOHN GINIE

DAVID WONG

NA KONCU

Replika

DAVID WONG

JOHN GINIE NA KOŃCU

Przekład Jarosław Rybski




Replika

Dedykuję mojej żonie, która była tak tolerancyjna i wspierała przez ten cały czas, że zaczynam podejrzewać czy nie jest wytworem mojej wyobraźni. Ponadto mojemu najlepszemu przyjacielowi, Mackowi Leighty, który „wydał na świat” tytułowego Johna, i który lata temu przekonał mnie, żebym zajął się pisaniem, traktując to jako hobby w zastępstwie alkoholizmu.

Mack, nigdy nie zapomnę tego, jak w życiu zaczęło mi się robić naprawdę ciężko, a ty wkroczyłeś i zabiłeś dla mnie tych typów.

Prolog

Rozwikłanie poniższej zagadki ujawni straszliwą tajemnicę wszechświata, o ile nie zwariujesz ze szczętem podczas jej rozwiązywania. Natomiast, jeśli już znasz straszliwą tajemnicę wszechświata, możesz pominąć ten wstęp.

Powiedzmy, że masz siekiere. Taką tanią, ze sklepu z artykułami żelaznymi. Pewnego przeraźliwie lodowatego, zimowego dnia, za pomocą tej siekiery odrąbujesz facetowi głowę. Nie przejmuj się, facet już wcześniej odwalił kitę. Może jednak powinieneś się przejmować, bo w końcu to ty go zastrześliłeś.

Był z niego wielki, żyłasty zbir ze skórą naznaczoną siatką żył, naciągniętą na przerośnięte bicepsy oraz swastyką wytatuowaną na języku. Spiłował zęby w ostre jak brzytwa kły – znasz ten typ. A odrąbujesz mu łeb, bo jesteś więcej niż pewien, że nawet z ośmioma dziurami po kulach zaraz skoczy na równe nogi i odgryzie ci kawał przerażonej twarzy.

Jednak po ostatnim ciosie, trzonek siekiery pęka w drzazgi. Masz teraz zepsutą siekiere. Tak więc po długiej nocy, podczas której zastanawiasz się, gdzie zwalić ciało faceta wraz z głową, jedziesz do miasteczka i zabierasz ją ze sobą. Wchodzisz do sklepu z artykułami żelaznymi i mętnie tłumaczysz sprzedawcy, że czerwone plamy na złamanym stylisku to pozostałości po sosie do grilla. Opuszczasz sklep z nowym trzonkiem do siekiery.

Naprawiona siekiera leży sobie spokojnie w twoim garażu aż do wiosny, kiedy to, pewnego deszczowego poranka, natrafiasz w swojej kuchni na poczwagę, która okazuje się być długim na pół metra ślimakiem z wybrzuszonym na końcu ogona workiem na skrzek, czy jak tam to się u ślimaków nazywa. Jego szczęki przegryzają widelec na pół bez najmniejszej trudności. Chwytasz więc za swoją wierną siekiere i rąbiesz gadzinę na kilka kawałków. Jednak przy ostatnim ciosie siekiera zahacza o metalową nogę przewróconego stołu kuchennego i wyszczerbia się w samym środku ostrza.

Oczywiście, wyszczerbione ostrze wiąże się z kolejną wyprawą do sklepu z materiałami żelaznymi. Sprzedają ci całkiem nową głownię. Zaraz po powrocie do domu zastajesz tam reanimowane truchło faceta, którego porąbałeś zimą. Ma też nową głowę przyszytą czymś, co wygląda na sznurek sizalowy, a na jego twarzy widnieje niedająca się pomylić z niczym mina, która mówi: „to ty mnie zabiłeś zeszłej zimy”, pełna urazy, jakiej rzadko można doświadczyć w codziennym życiu.

Machasz siekiere. Facet rzuca przeciągłe spojrzenie w stronę broni swymi kaprawymi, zaropiałymi ślepiami i drze się chropawym, bulgoczącym głosem: „Tą siekiere ścięto mi głowę!”

Czy on ma rację?

Głowiłem się nad tą zagadką, siedząc na werandzie o trzeciej nad ranem, a chłodna bryza wywiewała czucie z moich policzków i małżowin usznych, muskając czoło łaskoczącymi włosami. Trzymałem stopy na barierce werandy i rozpierałem się w jednym z tych tanich, plastikowych krzesełek ogrodowych, takich, które wicher rozrzuca po całym trawniku podczas każdej burzy. Byłaby to wyśmienita okazja do zapalenia fajki, gdybym takową posiadał i gdybym miał ze czterdzieści lat więcej. Jedna z tych rzadkich chwil świętego spokoju, o jakie niełatwo w dzisiejszych czasach, takich, których się nie docenia zanim się nie skoń...

Komórka zaskrzeczała, jakby akustyczna pszczoła wypuściła swoje żądło. Wygrzebałem mały telefon z kieszeni kurtki, zerknąłem na numer i poczułem nieznaczące, przyprawiające o mdłości ukłucie lęku. Odrzuciłem połączenie.

Świat znowu zamilkł, jeśli nie liczyć delikatnego poklaskiwania szeleszczących na wietrze drzew, szurania zwiędłych liści, przesuwających się nieznaczenie po chodniku oraz odgłosów

zachęconego czymś psa, który starał się wdrapać na krzesło obok mnie. Po dwóch próbach Molly udało się przewrócić krzesło na bok. Gapiała się przez dłuższą chwilę na leżący mebel ogrodowy, po czym zaczęła nań szczeakać.

Znów telefon. Molly ciągle warczała na krzesło. Zamknąłem oczy, odmówiłem gniewną, składającą się z pięciu słów modlitwę i odebrałem.

– Halo?

– Dave? Tu John. Twój alfons mówi, żebyś przywiózł heroinę dzisiaj, albo będzie zmuszony cię pochłastać. Masz się z nim spotkać tam, gdzie zakopaliśmy tę koreańską kurew. Tę bez bródki.

To oczywiście szyfr. „Przyjedź do mnie jak najszybciej, ważna sprawa”. No, szyfr na wypadek gdyby komora była zapluskwiona.

– John, jest trzecia nad ra...

– Och, i nie zapomnij, jutro jest dzień, kiedy zabijemy prezydenta.

Klik.

Wyłączył się. Ostatnie zdanie to zaszyfrowana wiadomość: „Zatrzymaj się gdzieś po drodze i kup mi fajki.”

Telefon najprawdopodobniej był na podsłuchu. Ale byłem pewien, że ci, co założyli podsłuch, równie dobrze, gdyby tylko chcieli, mogli z odległości przejąć nasze fale mózgowie, więc wszystko to było na pokaz. Dwie minuty i bardzo głębokie westchnienie później sunąłem przez noc moim furgonem, czekając aż dmuchawa zacznie wypuszczać gorące powietrze i starałem się nie myśleć o Franku Campo. Włączyłem radio, mając nadzieję, że coś będzie w stanie na tyle odwrócić moją uwagę, by nie opanował mnie strach. Złapałem miejscową prawicową stację.

– Dzwonie, żeby wam powiedzieć, że ta cała emigracja to jak szczury na statku. Ameryka jest tym statkiem i wszyyyyyście szczury wążą teraz na pokład! A wiecie, co się dzieje, kiedy na pokładzie statku jest za dużo szczurów? Idzie na dno. To właśnie.

Zastanawiałem się, czy w ogóle można w ten sposób zatopić statek. Nie miałem pojęcia, skąd w samochodzie wziął się ten smrodek zgniłych jaj. Myślałem o tym, czy broń wciąż spoczywa pod siedzeniem kierowcy. Ciekawe. Czy coś tam się aby nie poruszało w ciemnościach? Zerknąłem w tylne lustro. Nie, to tylko gra cieni. Pomyślałem o Franku Campo.

Frank był adwokatem. Pewnego wieczora jechał do domu swoim czarnym lexusem. Nawoskowana karoseria połyskiwała w ciemnościach niczym skorupa z czarnego lodu, a Frank czuł się lekki jak piórko, niezwyknięty za zielonkawą poświatą wskaźników deski rozdzielczej.

Poczuł łaskotanie na nogach. Włączył światło w środku.

Pająki.

Tysiące pajaków.

Każdy wielkości dłoni.

Spadały mu na kolana, wpychały się w nogawki spodni. Wyglądały jakby je ktoś wyhodował do walki na arenie: z kostropatymi cielskami, żółtymi pasami i długimi odnóżami o kolczastych zakończeniach.

Ześwirował. Szarpnął kierownicą i przewrócił się na pobocze.

Kiedy wyciągnęli go z wraku i już przestał się trząść, gliniarzom udało się przekonać go, że w samochodzie nie ma nawet śladu po pojedynczym pajaku.

Gdyby na tym się skończyło, można by to było przypisać nocnej anomalii, zwidom ze zmęczenia, jakich doświadczył też Scrooge. Ale na tym się nie skończyło. Frank wciąż miał omamy wzrokowe – widział same potworności – i choć przez wiele miesięcy wszyscy lekarze z górnej półki faszzerowali go najdroższymi prochami, nie potrafili uwolnić Franka od koszmarów.

A jednak, pomijając ten szczegół, wszystko było z nim w porządku. Był w pełni świadomy. I całkowicie zdrowy na umyśle. W środę pisał genialną mowę obrończą, a w czwartek gotów był przysiąc, że widział macki zwijające się pod togą sędziego.

No i co? Do kogo należy się zwrócić w takiej sytuacji?

Zaparkowałem przed budynkiem Johna, czując jak opanowuje mnie dobrze znana stara groza, miotająca się niczym zawrządzony żołądek. Podmuch wiatru ścigał mnie do drzwi, niosąc ze sobą nieznaczny siarczany odór z fabryki za miastem – fabryki, która produkowała kreta do kanalizacji.

Smród, w połączeniu z widokiem dwóch wzgórz w oddali, dawał wrażenie prawdziwego bąka wypuszczonego przez śpiącego gigantycznego pierdziałę.

John otworzył drzwi do swego mieszkania na drugim piętrze i od razu wskazał mi bardzo śliczną i wyglądającą na bardzo przerażoną, młodą kobietę na sofie.

– Dave, to Shelly. Potrzebuje naszej pomocy.

Naszej pomocy.

Groza, która wali w bebechy. Bo widzisz, ludzie tacy jak Frank Campo i ta dziewczyna nie potrzebowali „naszej pomocy”, kiedy zapychał im się gaźnik.

Mieliśmy swoją specjalność.

Shelly miała na oko jakieś dziewiętnaście lat, szaroniebieskie oczy i krystalicznie czystą, porcelanową skórę, dzięki której wyglądała jak laleczka. Kasztanowe loki związała z tyłu w koński ogon. Miała na sobie długą, lejącą spódnicę, którą wciąż międlila w palcach – strój, który tylko podkreślał jej niewielki wzrost. Cechowała ją świadoma, błagalna bezradność, za którą faceci daliby się pokroić. Dziewczę w potrzebie. Aż chciało się ją ratować, zabrać do domu, zwinąć się wraz z nią na kanapie, powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze.

Na skroni miała biały opatrunek.

John przeszedł do wnęki kuchennej w rogu swego niewielkiego mieszkania i wrócił, sprawnie umieszczając w jej dłoniach filiżankę z kawą. Walczyłem ile sił, by nie przewracać oczami – bliski profesjonalizmu terapeutyczny sznyt Johna wyglądał idiotycznie w pokoju zdominowanym przez wielki telewizor plazmowy z przypiętymi doń czterema systemami gier wideo. John zebrał włosy w schludny kucyk, jak podczas rozmowy kwalifikacyjnej, do tego miał na sobie zapinaną na guziki koszulę. Od czasu do czasu wyglądał jak prawdziwy dorosły.

Już miałem ostrzec dziewczynę w kwestii parzonej przez Johna kawy – o smaku kwasu z akumulatora, do którego ktoś się odlał, po czym odstawił na dobę – ale John zwrócił się do niej i głosem początkującego prawnika powiedział:

– Shelly, opowiedz, co ci się przytrafiło.

Podniosła na mnie nieśmiałe spojrzenie.

– Chodzi o mojego chłopaka. On... on nie chce mnie zostawić w spokoju. Nachodzi mnie od tygodnia. Moich rodziców nie ma w domu, bo wyjechali na wakacje, a ja... boję się wrócić do siebie.

Potrząsnęła głową, najwyraźniej nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów. Wzięła łyk kawy, po czym skrzywiła się, jakby coś ją ugryzło.

– Panno...

– Morris – odparła ledwo słyszalnym głosem.

– Panno Morris, polecam pani z całego serca ośrodek dla kobiet. Pomogą pani zdobyć nakaz ograniczający, zapewnią pani bezpieczeństwo, bo ja wiem. W mieście są takie trzy jednostki i zaraz rano wykonam odpowiedni telefon...

– On, mój chłopak, no... nie żyje od dwóch miesięcy.

John posłał mi rozradowane spojrzenie zadowolonego z siebie pyszałka, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz jak ja działałem, Dave?” Nienawidziłem tego spojrzenia. Dziewczyna mówiła dalej:

– Ja... nie wiedziałam, do kogo mam się zwrócić. Słyszałam, no wie pan, od koleżanki, że panowie zajmujecie się, hmm, nietypowymi problemami. – Odsunęła na koniec ławy stertę pudełek DVD i odstawiła kubek. Zerknęła na niego podejrzliwie, jakby chciała zapamiętać, by więcej z niego nie pić, żeby nie oszukał jej po raz kolejny swoim niewinnym wyglądem. Zwróciła się do mnie:

– Mówią, że jesteście najlepsi.

Nie poinformowałem jej przezornie, że ci, którzy tak o nas mówią, mają zaniżone standardy. Myślę, że może w naszym miasteczku jesteśmy najlepsi, ale któż by się czymś takim przechwalał? Przecież nie ma takiego działu w książce telefonicznej.

Podszedłem do krzesła z poduszką na siedzisku i zgarnąłem całą jego zawartość na ziemię (cztery zaczytane na śmierć magazyny dla gitarzystów, szkicownik i oprawną w skórę Świętą Biblię

Króla Jerzego). Kiedy starałem się na nim umościć, odpadła jedna noga i całe krzesło przekrzywiło się na bok. Oparłem się nonszalancko, starając się sprawić wrażenie, że właśnie tego się po meblu spodziewałem.

– Dobra. Czy widzi go pani, kiedy przychodzi?

– Tak. I też go słyszę. I on, ech...

Pogładziła opatrunek z boku głowy. Spojrzałem na nią zaskoczony. Mówiła serio?

– Biję panią?

– Tak.

– Pięściami?

– Tak.

John, wzburzony, podniósł wzrok znad kawy.

– Stary, co za wał!

Teraz przewróciłem oczami i zaraz po tym posłałem Johnowi mordercze spojrzenie. Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek widziałeś ducha, ale zgaduję, że jeśli tak, to zjawa nie podfrunęła do ciebie i nie walnęła cię pięścią w nos. Myślę też, że nie przydarzyło się to ani jednemu z twoich przyjaciół.

– Pierwszy raz – ciągnęła Shelly – myślałam, że wariuję. Aż do teraz nie wierzyłam w...

– Nie wierzyła pani w duchy – kończę za nią. – Jasne. – Była to obowiązkowa deklaracja, bo wszyscy chcą być postrzegani jako wiarygodni sceptycy. – Niech pani posłucha, nie chciałbym być...

– Mówiłem jej, że zajmiemy się tym jeszcze dziś – powiedział John, wybijając mnie z rytmu zanim zdążyłem wyprowadzić nieco racjonalizmu do całej tej sprawy.

– On nawiedza jej dom w [nazwa miasteczka została usunięta ze względu na ochronę danych osobowych]. Pomyślałem, że możemy pojechać tam razem, wyjechać z miasta na dobę, pokazać lajdakowi co i jak.

Poczułem przyływ irytacji, przede wszystkim dlatego, iż John wiedział, że cała sprawa to jeden wielki pic na wodę. Ale nagle zajarzyłem.

Tak, John wiedział i zadzwonił do mnie, bo chciał mnie ustawić z tą panną. Śliczna jak z obrazka, chłopak dwa metry pod ziemią, a ja mam szansę zostać jej wybawcą. Jak zwykle nie wiedziałem, czy mu dziękować, czy kopnąć go w jaja.

Szesnaście różnych obiekcji zaczęło kołatać mi się jednocześnie pod czaszką i w przedziwny sposób kasowały się nawzajem. Może gdyby ich liczba była nieparzysta...

Wyruszyliśmy moim bronco. Zakazaliśmy Shelly prowadzenia pojazdu na wypadek, gdyby miała jednak wstrząs mózgu, ale w rzeczywistości, bez względu na to czy jej historia była prawdziwa, czy nie, wciąż mieliśmy w pamięci relacje pana Campo i obraz jego niezwykle zapajęzonego samochodu. Bo widzicie, Frank odkrył w bardzo bolesny sposób, że mroczne istoty czające się nocą nie nawiedzają starych domostw czy porzuconych statków. One nawiedzają *umysły*.

Shelly kuliła się na fotelu pasażera i odruchowo spoglądała przez szybę. Powiedziała:

– A więc co, często to robicie?

– Raz często, raz długo nic – odparł John. – Od kilku już lat.

– A jak można się wkręcić w ten biznes?

– U nas to było przez przypadek – odparł. – Seria przypadków, jak sądzę. Jeden trup, drugi trup. Trochę prochów. To przydługa opowieść. Teraz widzimy różne rzeczy. Czasami. Ja mam martwego kota, który za mną łązi i żali się, że go nigdy nie karmiłem. Och, był jeszcze hamburger, który zaczął jęczeć, kiedy go jadłem. – Zerka na mnie. – Pamiętasz to?

Mruknałem coś, ale się nie odezwałem.

Wcale nie jęczał, John. Darł się w niebogłosy.

Shelly najwyraźniej przestała go słuchać.

– Nazywam to syndromem Dantego – powiedział John. Nigdy nie słyszałem, żeby choć raz wyskoczył z podobną nazwą. – To znaczy, wydaje mi się, że Dave zyskał zdolność zerkania prosto

w piekło. Tylko że okazało się, iż piekło jest tuż za drzwiami, jest w nas i wokół nas, niczym rój mikrobów, który żeruje w naszych płucach, bebechach i żyłach. Ej, patrzcie. Sowa!

Spojrzeliliśmy wszyscy. No tak, sowa.

– Żeby nie przedłużyć – wtrąciłem się – wyświadczyliśmy kilku ludziom przysługę i w końcu się rozniosło.

Pomyślałem, że dość tych wspominek i chciałem, żeby John się w końcu zamknął zanim dojdzie do tego, jak zeżarł tego wrzeszczącego hamburgera do ostatniego okruszka.

Zostawiłem włączony silnik, wyskakując do siebie po zaopatrzenie. Minąłem dom, kierując się do odrapanej szopy na narzędzia z tyłu, otworzyłem kłódkę w drzwiach i omiotłem spowite w mroku półki snopem światła z latarki.

Kubuś Puchatek z wyschniętymi śladami krwi wokół ślepków.

Wypchana, upozowana borsukonda (skrzyżowanie borsuka i anakondy).

Duży masoński gar z lotnym formaldehydem, w którym unosiły się ciała wielkich na dwa palce karaluchów, ułożonych w schematyczny kształt ludzkiej dłoni.

Złapałem pochodnię rodem ze średniowiecza, którą John podwędził ze ściany restauracji o profilu historycznym. Wziąłem plastikową butelkę wypełnioną gęstym, zielonym płynem, który pod wpływem dotyku błyskawicznie zrobił się krwistoczerwony. Po namyśle odłożyłem ją z powrotem na półkę i zabrałem zamiast niej mój zabytkowy ghetto blaster, rocznik 1987, przenośny radiomagnetofon z wielkimi głośnikami.

Wszedłem do domu i zawołałem Molly. W kuchni otworzyłem niewielką plastikową tubkę wypełnioną małymi, różowymi, gumiastymi kawałkami czegoś, co przypominało gumki do ołówków. Wziąłem ich garść, po czym ruszyłem do drzwi, a pies za mną, deptając mi po piętach.

Shelly mieszkała w prostym, wiejskim, dwukondygnacyjnym domu z czarnymi okiennicami osadzonymi w białych ramach. Znajdował się na torfowej wyspie pośród morza ściętych już łodyg kukurydzy. Minęliśmy skrzynkę na listy w kształcie krowy i zobaczyliśmy malowaną ręcznie tablicę na drzwiach wejściowych z napisem DOM PAŃSTWA MORRISONÓW – ZAŁOŻONY W 1962 ROKU. John i ja odbyliśmy długą debatę przed drzwiami na temat tego, czy powinno się w ten sposób pisać.

Wiem, wiem. Gdybym miał odrobinę oleju w głowie, powinienem pójść stamtąd gdzie pieprz rośnie i nigdy nie wracać.

John ruszył pierwszy, otworzył drzwi i odchylił się na bok. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem jedną z różowych gumek. Były to psie przysmaki w kształcie miniaturowych steków zabarwione tak, jakby ruszt grilla zostawił na nich brązowe ślady. W tej chwili uświadomiłem sobie, że żaden pies nie ma pojęcia, co to jest ruszt grilla i że zaprojektowano to wyłącznie na mój użytek.

– Molly!

Pomachałem jej przysmakiem przed nosem, po czym wrzuciłem go przez drzwi. Pies pobiegł za smakołykiem.

Czekaliśmy, aż usłyszymy, powiedzmy, odgłos psiego ciała rozbryzgującego się na ścianie, ale dobiegło nas jedynie tupanie łap Molly. W końcu wróciła do drzwi, głupkowato szczerząc kły w psim uśmiechu. Stwierdziliśmy, że możemy wejść do środka.

Shelly otworzyła usta jakby chciała wyrazić swoją dezaprobatę, jednak najwyraźniej zrezygnowała z tego. Weszliśmy do zaciemnionego salonu. Shelly ruszyła do wyłącznika światła, ale zatrzymałem ją gestem dłoni.

John natomiast uniósł pochodnię i przystawał do niej zapalniczkę. Z głowni buchnął dość wysoki płomień i z wolna zaczął ogarniać wnętrze migotliwym blaskiem. Zauważyłem, że John zabrał ze sobą termos z kawą i ta „przysługa” świadczyła o tym, że spodziewał się zostać tu całą noc. Przyznaję, straszliwe palenie w bebechach naprawdę uniemożliwia zaśnięcie.

Zapytałem:

– A gdzie przeważnie go widzisz?

Palce Shelly znów zaczęły miąć spódnicę.

– W piwnicy. Raz widziałam go w łazience. Jego dłoń, uch, wyszła z muszli, kiedy ja...

– Dobra. Gdzie są drzwi do piwnicy?

– Wchodzi się od kuchni, aleja... Słuchajcie, ja nie chcę tam schodzić.

– W porządku – odparł John. – Zostaniesz tu z psem, a my zejdziemy i wszystko sprawdzimy.

Zerknąłem na Johna, myśląc sobie, że to powinien być mój tekst jako jej przystojnego, nowego rycerza-obroncy. Ruszyliśmy schodami, oświetlając je światłem pochodni. Shelly czekała na górze, kucając przy Molly i głaszcząc ją po grzbiecie.

Schludna, współczesna piwnica.

Pralka i suszarka.

Bojler wydający ciche odgłosy.

Jedna z tych wysokich na ponad metr zamrażarek.

John powiedział:

– Nie ma go tutaj.

– Aleś mnie zaskoczył.

John zapalił papierosa od pochodni.

– Miła ta dziewczyna, no nie? – powiedział cicho z lizusowskim tonem w głosie. – Wiesz, przypomina mi Amber. Koleżankę Jennifer. Kiedy stanęła w drzwiach, przez chwilę myślałem, że to ona. A propos, dziękuję ci, że mnie wsparłeś Dave, że jesteś moim skrzydłowym w tej grze. Nie mówię tego, żeby od razu wykorzystywać jej roztrzęsienie i w ogóle, ale...

Przerwałem Johnowi. Coś było nie tak i od razu to dostrzegłem. Coś kołatało mi się gdzieś na obrzeżach świadomości niczym uczeń z uniesioną dłonią w ostatniej ławce. John zachowywał się teraz jak na detektywa przystało, nachylając się nad wielkim zlewem, z boku którego zwisała jakaś biała płachta.

– O, tak – powiedział John, podnosząc materiał do góry. – Popatrz tylko na to gówno. – Było to coś białego z pasami, jakby fartuch. Cóż, kiedyś był biały. Teraz różowe smugi rozwodnionej krwi rozlewały się z jego środka niczym rysunek przedszkolaka przedstawiający japońską flagę wojenną.

Skierowałem się do zamrażarki. Znow ta szaleńcza groza, zimna, twarda i ciężka. Podszedłem bliżej i podniosłem wieko.

– O w mordę.

Był tam język. Zobaczyłem najpierw – gumasty, zasiniąły i zupełnie niehumaniczny. Był dłuższy, najpewniej zwierzęcy, poskręcany w plastikowym worku i oszroniony od niskiej temperatury. I nie leżał tam samotnie – zamrażarka była wypełniona kawałami mięsa, niektóre w przezroczystych workach, a niektóre zawinięte w biały, naznaczony różowymi plamami papier.

Papier rzeźnicki. Biały fartuch.

– Cóż, myślę, że wszystko jasne – powiedział John. – Te wszystkie opowieści o UFO, co masakruje biedne krowy? Myślę, mój przyjacielu, że rozwiązaliśmy tę zagadkę.

Westchnąłem.

– To jest jeleń, ty trąbo. Najwyraźniej tatuś poluje. I lubią dziczyznę.

Poszperałem trochę i znalazłem zamrożonego indyka, jakieś kiełbaski.

Zamknąłem wieko zamrażarki, czując się jak głupek, choć nie powinienem mieć powodów. Wyłączyłem myślenie. Było zdecydowanie za późno, a ja prawie w ogóle nie spałem.

John zaczął szperać po szafkach. Rozejrzałem się wokół w poszukiwaniu ghetto blastera, uświadamiając sobie, że nie zabraliśmy go z góry. Dlaczego pomyślałem właśnie o tym? Musiał być przecież na górze, tam gdzie Shelly, prawda?

– Ej, Dave. Pamiętasz tego gościa, co mu załało piwnicę? Jak zadzwonił do nas i zaklinał się, że mu tam pływa czterometrowy żarłacz biały?

Pamiętałem, ale nie zareagowałem na zaczepkę, bojąc się utracić nikły trop, który odpływał w dal niczym spuszczonej z uwięzi balon w wietrzny dzień. Poza tym, kiedy tam dotarliśmy, nie znaleźliśmy żadnego żarłacza białego. Pływał sobie tam tylko dwumetrowy żarłacz tygrysi. Powiedzieliśmy facetowi, żeby poczekał aż woda w piwnicy wyschnie i żeby wtedy do nas zadzwonił. Kiedy woda zeszła, zszedł również rekin, jakby rozpułnął się albo wyciekł przez pęknięcia w betonowej podłodze.

Myśl. Przeklęta podzielna uwaga. Coś tutaj nie gra.

Staralem się oderwać od bzdur, skupiając się ponownie na ghetto blasterze. John trafił go na wyprzedazy garażowej. Jest taka przypowieść w Starym Testamencie, kiedy młody David przegania złego ducha, grając piękną melodię na harfie...

Zaraz, chwileczkę.

– John, czy mi się tylko wydawało, czy powiedziałaś, że przypomina ci Amber?

– No pewnie.

– John, Amber jest niemal mojego wzrostu. Ma blond włosy i, jak to mówią, duże niebieskie oczy, mam rację?

– Jasne, piękna bestyjka. No bo...

– I mówisz, że Shelly wygląda jak ona? Ta dziewczyna, która siedzi na górze?

– Jasne – John odwrócił się do mnie, już zaczynając łapać.

– John, Shelly jest niska. Niska i ma ciemne włosy. Niebieskie oczy.

Nawiedzają umysły...

John westchnął, wyjął papierosa z ust i cisnął go na podłogę.

– Kurwa jego mać.

Odwróciliśmy się w stronę schodów, weszliśmy na pierwszy stopień i zamarliśmy. Shelly tam była. Siedziała w połowie schodów, obejmując Molly za szyję. Niewinne, czujne spojrzenie. Dobrze odgrywa swoją rolę.

Wszedłem bardzo powoli na trzeci schodek i powiedziałem:

– Proszę posłuchać, eee, przepraszam, zapomniałem jak nazwisko panienki...

– Wystarczy Shelly.

– No tak, ale proszę mi przypomnieć. Nienawidzę jak coś zapominam.

– Morris.

Zrobiłem kolejny krok w jej stronę.

– Tak właśnie myślałem.

Kolejny krok. Słyszę, że John idzie tuż za mną.

– A więc – pytam – czyj to dom?

– Co takiego?

– Tabliczka na drzwiach wymienia nazwisko Morrison. Morrison. Nie Morris. Czy zechciałaby pani opisać mi swój wygląd?

– Ja nie wiem...

– No bo, widzi pani, my z Johnem najwyraźniej widzimy panią na dwa różne sposoby. Źródłem problemów ze wzrokiem Johna jest z całą pewnością chroniczna masturbacja, ale ja nie sądzę, żeby...

Rozpadła się w kłębowisko węży.

Tak właśnie. Jej ciało jakby się rozpełzało, rozpadało w ciemność, zmieniając się w wijącą kałużę na ziemi. Kłębowisko długich, czarnych węży przewalających się po sobie, spadających ze schodów. Odganiałszy je kopniakami, a one prześlizgiwały się mimo. John dodatkowo osłaniał się pochodnią.

Niektóre z nich – sam widziałem – miały kolorowe plamy na łuskach, przypominające fragmenty skóry, czy też kwieciste wzory z spódnicy Shelly. Zauważyłem jednego węża z ludzką gałką oczną o kolorze szarobłękitnym wciąż tkwiącą w jego boku.

Molly odskoczyła i zaczęła szczeleć – trochę za późno, pomyślałem – i udawała, że chce kłapać jednego splezającego ze schodów węża. Wyskoczyła po schodach na górę i zniknęła w drzwiach. Przedarliśmy się przez wijące paskudztwo i popędziliśmy śladem psa, ale właśnie w ostatniej chwili drzwi do piwnicy zamknęły się nam z trzaskiem przed nosem.

Sięgnąłem do gałki. W tym samym momencie zaczęła się topić i zmieniać, przekształcając się w coś różowego, co w końcu przybrało formę sflaczałego penisa. Opadł bezgłośnie na drzwi, jakby jakiś zboczek wsadził go przez dziurę po gałce z drugiej strony.

Odwróciłem się do Johna ze słowami:

– Nie można otworzyć tych drzwi.

Potyknąwszy się, zeszliśmy po schodach na dół. John przeskoczył ostatnich pięć stopni waląc mocno podszewkami w beton. Węże uciekły od światła i zniknęły gdzieś pod półkami i między kartonowymi pudłami.

I wtedy właśnie piwnica zaczęła wypełniać się gównem.

Brazowa breja wyciekała z kratki odpływowej w podłodze, a wokół roznosił się niedający się pomylić z niczym smród. Rozglądałem się za oknem, przez które moglibyśmy wypełznąć na zewnątrz, ale nie znalazłem niczego. Ściek zaczął wirować wokół środka podłogi obmywając mi podszewki butów.

John krzyknął:

– Tutaj!

Szarpnąłem głową we wskazanym kierunku i zobaczyłem, jak chwytając małą, plastikową skrzynkę z półki i stawia ją na podłodze. Wszedł na nią i tak stał, pośród unoszącego się gówna. W końcu zaszczycił mnie spojrzeniem i powiedział:

– No, co tak stoisz? Poszukaj jakiejś drogi ucieczki!

Stałem już po kostki w paskudnie ciepłej brei. Brodziłem w niej patrząc po suficie, gdzie w końcu znalazłem duży, prostokątny szyb wentylacyjny biegnący od pieca na parter. Komin. Dopadłem tablicy z narzędziami na ścianie i chwyciłem długi śrubokręt. Wbiłem go w szparę między metalowym przewodem wentylacyjnym a podłogą i napałem narzędziem w dół przy wtórze jęku wyciąganych na siłę śrub.

W końcu mogłem złapać za metal i poczułem jak ostra krawędź wrzyna mi się w palec. Ściągnąłem go w dół i zobaczyłem nad sobą salon spowity w mroku, zagrodzony metalową kratą. Podskoczyłem i odwaliłem kratę na bok. Znów podskoczyłem i chwyciłem się obiema dłońmi za podłogę, czując dywan pod palcami. Po serii gorączkowych, niezgrabnych ruchów udało mi się podciągnąć na tyle wysoko, że mogłem przetoczyć się po podłodze salonu.

Spojrzałem za siebie w kwadratowy otwór i zobaczyłem wylaniającą się z niej migocący płomień pochodni, a następnie dłoń Johna. Po chwili staliśmy już obaj w salonie, dysząc ciężko i rozglądając się wokół.

Nic.

Wokół nas zaczął narastać dość cichy, pulsujący dźwięk. Śmiech. Oschły, pozbawiony cienia wesołości, przypominający krztuszenie się suchotnika hałas, jakby to sam dom wypuszczał powietrze z gigantycznych płuc z drewna i tynku.

– Kawał gnoja – stwierdził John.

– John, jutro z samego rana zmieniam numer komórki. I nowego nie dostaniesz. A teraz skończmy z tym paskudztwem.

Obydwaj wiedzieliśmy, co mamy robić. Musimy w jakiś sposób wyciągnąć to ścierwo na zewnątrz. John podał mi swoją zapalniczkę.

– Ty zapal świecę. A ja sobie postoję na golasa pod prysznicem.

Molly poszła za mną tam, gdzie zostawiłem magnetofon i inne przyrządy. Zapaliłem kilka świec w całym domu – wystarczająco dużo, aby zrobiło się upiornie. John brał prysznic, a ja znalazłem drugą łazienkę i zmyłem fekalną breję z butów i stóp.

– O, nie! – usłyszałem Johna przekrzykującego strumień wody. – Tu jest ciemno, a ja jestem pod prysznicem! Sam! Jestem taki nagi i bezbronny!

Żeby się czymś zająć, pochodziłem trochę w kółko i w końcu odnalazłem sypialnię. Zerknąłem na zegarek, westchnąłem, po czym położyłem się na kapie. Dochodziła czwarta nad ranem.

To mogło trwać tak godzinami, całymi dniami. Czas. Tego to oni mają pod dostatkiem. Usłyszałem jak Molly klapnęła na podłodze przy łóżku. Sięgnąłem dłonią, by ją pogłaskać, a ona polizła mnie po ręce, jak to robią wszystkie psy świata. Zastanawiałem się, dlaczego wszystkie psy odczuwają taką potrzebę. Często kusił mnie, żeby zrobić coś takiego, kiedy ktoś zbliżył swoje palce do moich ust, na przykład u dentysty.

John wrócił po dwudziestu minutach owinięty ręcznikiem – zwycięzcą konkursu na najmniejszy ręcznik świata. Mówiąc ściszył głos.

– Wydaje mi się, że widziałem właz na poddasze. Zobaczę, czy jest tam wystarczająco dużo miejsca, żeby wpełznąć do środka. Sprawdzę, może jest tam jakaś duża szafa o posępnym wyglądzie, z której coś może wyskoczyć.

Skinąłem głową. John odezwał się tym razem głośniejszym i scenicznym szeptem oznajmił:

– Och, nie. Zostaliśmy tu uwięzieni, sami. Pójdę sprawdzić, może uda się jakoś sprowadzić pomoc.

– Dobrze – odparłem już pełnym głosem. – Może powinniśmy się rozdzielić.

John wyszedł z sypialni. Starłem się odprężyć, mając nawet cichą nadzieję na kilka chwil drzemki. Duchy pasjami uwielbiają podkraść się do śpiących. Podrapałem Molly po łbie i...

Śpię. Coś mnie liże. Z sąsiedniego pokoju dobiegł mnie przytłumiony odgłos, jakby coś zachlupotało. Zobaczyłem jak cień odrywa się od ściany i, unosząc się w powietrzu, sunie w moją stronę. Większość moich snów tak właśnie wygląda, zawsze w oparciu o coś, co miało miejsce naprawdę.

Otworzyłem gwałtownie oczy, moje prawe ramię wciąż zwiślało z materaca, szorstki język wciąż chlastał mój serdeczny palec. Jak długo spałem? Pół minuty? Dwie godziny?

Usiadłem, starając się przyzwyczaić wzrok do ciemności. W korytarzu widziałem nieznaczną poświatę w łazience, tam, gdzie najbliższej stojącej świecy właśnie się dopalała.

Cicho zsunąłem się z łóżka i skierowałem się przez pokój na korytarz. Po chwili posuwałem się już korytarzem w stronę odgłosów i światła. Wodziłem dłonią po chropowatej powierzchni tynkowanej ściany aż dotarłem do łazienki, źródła delikatnych plusków. Nie, to nie plusk. To siorbanie. Zerknąłem do środka.

Molly piła wodę z kibla. Odwróciła się, by popatrzeć na mnie z niemal kocim „tak, w czym mogę ci pomóc?” w spojrzeniu. Pomyślałem odruchowo, że pije wodę po kupie tym samym pyskiem, którym wcześniej lizała mnie po ręce...

Skoro Molly jest tutaj, to nie ona była koło łóżka.

Zabrałem świecę z półki i wróciłem do sypialni. Wszedłem do środka. Świeca rzuciła nierówną poświatę wokół mnie, rozpraszając szurające w krąg cienie. Ruszyłem w stronę łóżka i zobaczyłem...

Mięso. Kilkanaście opakowanych, a obecnie częściowo odwiniętych kawałków z zamrażarki leżało na podłodze obok łóżka, równiutko ułożonych w kształt ludzkiej sylwetki, w niemal rytualny sposób.

Przysunąłem światło w pobliże głowy, gdzie ujrzałem zamrożonego indyka, wciąż w opakowaniu Butterball. Pod nim, wepchnięty między indyka i pierś znajdował się odcięty ozór, pytlujący jak szalony sam z siebie.

Hmmmm. Codziennie coś nowego.

Skoczyłem z powrotem do indyka, ozora i pasa żeberek lewitujących nad podłogą.

Postać o kształcie człowieka podnosiła się jak jedno, zdrowe ciało. Podnosiła się na ramionach z perliczek i wiejskiego boczku, kładąc dwie dłonie z palcami z połączonych parówek na podłodze. Nagle przypomniałem sobie zdanie „wydymany przez poltergeista ze smażonej kiełbaski”. W końcu to coś wstało z podłogi i wyglądało jak żywa reklama tradycyjnego rzeźnika, z którego zyski są w całości przeznaczane na uzależnienie właściciela zakładu od kwasu.

– John! Mamy tu, eee, no coś tu jest!

Potwór miał jakieś dwa i pół metra wysokości, a jego indycza głowa obracała się na boki, jakby stwór dokonywał przeglądu pomieszczenia, z majtającym bezproduktywnie językiem pod brodą. Wyciągnął do mnie parówkę.

– *Ty.*

Brzmiało to jak oskarżenie. Czy mieliśmy z czymś takim już do czynienia wcześniej? Nie mogłem sobie przypomnieć, ale nie mam pamięci do twarzy.

– Sześć razy brałeś mnie na męki! Teraz przygotuj się na jatkę!

Nie miałem pojęcia, o co chodzi z tymi rzeźnickimi skojarzeniami, ale nie zastanawiałem się nad tym dłużej. Zacząłem biec.

– John! John! Sytuacja numer pięćdziesiąt trzy!

Potwór rzucił się w pościg, człapiąc za mną stopami z odtłuszczonej szynki. Świeca zgasła. Odrzuciłem ją na bok. Zobaczyłem zamknięte drzwi po prawej, więc zatrzymałem się ślizgiem, otworzyłem je zamasyście i rzuciłem się do środka.

Półki z ubraniami zatrzymały mi się na twarzy, a ja, zaskoczony i ogłupiały, wpadłem na ścianę we wbudowanej szafie. Mięśny owinął swoje zimne macki wokół mojej szyi i podniósł mnie w górę. Przyspilił do ściany.

– Sprawiasz mi duży zawód. Tyle razy toczyliśmy pojedynki. Na pustyni. W mieście. Wydawało ci się, że mnie pokonałeś w Wenecji, prawda?

Byłem pod tak wielkim wrażeniem zdolności krasomówczych mięsnego, który posługiwał się wyłącznie trzepoczącym ozorem oraz zamrożonym indykiem, że niemal ominęło mnie to, co do mnie powiedział.

Wenecja? Czy on powiedział Wenecja? Co takiego?

Na to wparadowała Molly – beztrasko, jakby w Psiej Krainie wszystko było cacy-lili.

Wtedy zobaczyła stojące nieopodal mięso i zachwycona wgrzyła się w grubą na cztery palce kielbasę bolońską, która służyła potworowi za kostkę.

– AAAAAAAGRRRRR!

Upuścił mnie na ziemię. Podniosłem się i zbiegłem na dół. Mięśny podążył moim tropem.

Na dole schodów czekał John.

Miał na ramieniu magnetofon.

Potwór zatrzymał się w połowie schodów, a bezoka indycza głowa spoglądała na urządzenie w rękach Johna, jakby rozpoznając zagrożenie.

Och, jak ten starotestamentowy demon musiał wyć i skowycić na widok harfy Dawida, upatrując w niej narzędzie starożytnej magii zdolnej przekuć każdą formę mroku. Mięsna groza na dwóch łapach musiała wiedzieć co się święci, że za chwilę ta sama moc zostanie uwolniona za sprawą tego urządzenia.

John pokiwał głową jakby chciał powiedzieć: „I szach-mat”.

Włączył przycisk „play”.

Cały dom wypełniły dźwięki krystalicznie czystej melodii, zdolnej unieść każde ludzkie serce i przegnać każdego diabła precz.

Było to „Here I Go Again” zespołu Whitesnake.

Potwór złapał się za indyka tam, gdzie powinien mieć uszy. John niósł blastera przed sobą niczym święty talizman i zaczął wchodzić po schodach, przybliżając źródło dźwięku do bestii. Z każdym jego krokiem skóra z odtłuszczonego mięsa i chrząstki skręcały się w coraz większej agonii.

– Posłuchaj sobie! – wrzasnął nagle ośmielony John. – Wygląda na to, że jednak nie masz siły *wołu!*

Bestia złapała się za brzuch – z bólu, jak sądziłem.

Ale potwór uwolnił ze swego ciała puszkę szynki konserwowej i, zanim John zdołał zareagować, cisnął nią w sprzęt, a puszka świsnęła w powietrzu z taką prędkością, jakby wyrzucił ją Randy Johnson.

Trafiony – zatopiony. Odłamki plastiku i iskry poleciały w górę. Ghetto blaster wypadł Johnowi z dłoni i ciężko walnął o schody.

Rozbrojony John skoczył na dół, a bestia podniosła się z klęczek i ruszyła jego śladem. Złapała Johna za szyję. Próbowwała capnąć i mnie, ale uchyliłem się i porwałem termos z kawą ze stolika. Podbiegłem z powrotem z termosem, odkręciłem nakrętkę i sypnąłem gorącą zawartością na mięsną łapę trzymającą Johna.

Jego Masarskość wrzasnęła. Ramię zadymiło i pokryło się bąblami, a potem stanęło w płomieniach. Kończyna szerniała, po czym oderwała się od torebki stawowej, spadając na parkiet. John był wolny i padł na kolana, chwytając spazmatycznie powietrze w płuca.

Bestia zawyla, padając z płaskiem na podłogę. Drugim ramieniem wskazała w moją stronę.

– Nigdy mnie nie pokonasz, Marconi! Zakleszczyłem ten dom moją mocą. Nie umkniesz!

Zatrzymałem się, podparłem pod boki i podszedłem do obmierzłej kreatury.

– Marconi? Niby doktor tudzież wielebny Albert Marconi? Facet, który jest autorem programu *Magical Mysteries* na kanale Discovery?

John podszedł bliżej i zerknął ze złością na powalonego potwora.

– Ty tumanie. Marconi ma pięćdziesiątkę. Ma też białe włosy. Dave i ja nie mamy tyle nawet w sumie. Twoja Nemezis daje pewnie teraz jakiś wykład, stojąc po pas w swojej własnej kasie.

Potwór zwrócił się indykiem do mnie.

– A wiesz co? – zaproponowałem. – Czy jak połączę cię z Marconim, byście mogli sobie wyjaśnić tę różnicę poglądów, to uwolnisz nas?

– Łżesz!

– Cóż, nie mogę go tu ściągnąć, ale z całą pewnością osoba tak potężna jak ty jest w stanie zniszczyć go na odległość, mam rację? Proszę bardzo.

Potwór obserwował mnie, kiedy wyciągałem telefon z kieszeni i wybierałem numer. Po rozmowie z sekretarką, agentem prasowym, ochroniarzem, operatorem, znów sekretarką i na końcu z osobistą asystentką zostałem połączony.

– Tu Marconi. Moja sekretarka mówi, że macie tam jakiegoś mięsnego potwora?

– Mamy. Proszę się nie rozłączać. – Podąłem telefon mięsnemu. – To jak, umowa stoi?

Potwór wstał z wahaniem, po czym w końcu pokiwał swoim indykiem w górę i w dół. Wyciągnąłem dłoń z telefonem, jednocześnie posyłając Johnowi posępne spojrzenie, którym, jak miałem nadzieję, przekazywałem mu plan B. Ten plan zakładał, że potwór spuści mu lanie, a ja w tym czasie spróbuję wymknąć się gdzieś oknem. Pierdolona panna ze swoim „upiornym narzeczonym”. Marconi od razu wyczułby, co się święci.

Parówkowe paluchy wyrwały mi telefon z dłoni.

– A więc to tak! – zadudnił do mikrofonu. – Znów się spotykamy, Marconi! Myślałeś, że mnie pokonałeś, aleja...

Bestia zapłonęła, spontanicznie zmieniając się w kulę nieświętego, błękitnego ognia. Ze skrzekiem, który niemal przebił mi bębni w uszach, opuściła nasz ziemski padół. Wyzute z życia mięso spadało kawałek po kawałku z płaskim na podłogę, a po chwili, obok jego sterty, telefon zagrzecotał na parkiecie.

Cisza.

– Cholerka, dobry jest – powiedział John.

Podszedłem bliżej i podniosłem komórkę z ziemi. Przyłożyłem ją do ucha, by zapytać doktora, co zrobił, ale znów odezwała się sekretarka. Wyłączyłem ją. Doktor nawet nas nie pozdrowił.

John otrzepał dłonie.

– Cóż. To było dość kretyńskie.

Spróbowałem otworzyć frontowe drzwi – bez problemu. Kto to wie, może nigdy nie były zamknięte. Niespiesznie posprzątałem w całym domu, ale nie znaleźliśmy nigdzie uwieczonych czy poćwiartowanych Morrisonów, więc skonstatowaliśmy, że „Shelly” mówiła prawdę o tym, że rodzina wyjechała na wakacje. Gówna zniknęło z piwnicy, ale nie byłem w stanie naprawić przewodu wentylacyjnego, który rozwaliłem. Mięso zapakowaliśmy z powrotem do zamrażarki jak potrafiliśmy najlepiej, z jednym wyjątkiem.

Kiedy dotarłem do domu, słońce już zaczynało rozpraszać noc. Otworzyłem szopę na narzędzia i wstawiłem tam uszkodzony sprzęt. Znalazłem pusty słoik, który napełniłem formaldehydem z prostokątnej butelki i wrzuciłem ozór do środka. Postawiłem go na półce obok wypchanej małpiej łapki, leżącej bez życia z wyciągniętymi dwoma palcami. Zamknąłem interes i walnąłem się spać.

Z pamiętnika Davida Wonga.

Księga I.

NAJEDZ SIĘ CHIŃSZCZYZNĄ!

Rozdział 1.

Lewitujący „Jamajczyk”

Mówią, że Los Angeles jest niczym kraina Oz. Jedzie sobie człowiek przez bezbarwne dzielnice i nagle bum – niespodziewanie znajduje się w cyrku w Technikolorze zaludnionym gęsto przez karły.

Niestety, akcja niniejszej opowieści nie dzieje się w Los Angeles.

Miejsce, w którym przebywałem, było małym miastem na środkowym zachodzie kraju. Musi pozostać anonimowe z powodów, które staną się oczywiste później. Byłem w restauracji o nazwie Najedź się chińszczyzną!, własność dwóch braci z Czech, którzy to, o ile jestem w stanie stwierdzić, mieli spore braki w wiedzy nie tylko na temat Chin, ale jedzenia w ogóle. Wybrałem to miejsce, bo wydawało mi się, że to wciąż jest meksykański bar z grillem, tak jak jeszcze miesiąc temu – mówiąc szczerze, zmiany nastąpiły tak szybko, że jedną ze ścian wciąż pokrywał dość koślawy mural przedstawiający śniadą kobietę, jadącą na byku, dumnie powiewającą meksykańską flagą, z wielkim burrito wielkości sporego prosiaka pod pachą.

Jest to niewielkie miasto – na tyle duże, żeby funkcjonowały tu cztery McDonaldy, ale nie na tyle wielkie, żeby zobaczyć dużą liczbę bezdomnych w trasie. Można tu przejechać się taksówką, ale nie snuje ich się po mieście tyle, żeby można było zejść z chodnika i od razu sobie jakąś zatrzymać. Trzeba je wołać przez telefon, a do tego nie są żółte.

W tej części Stanów Zjednoczonych pogoda zmienia się z dnia na dzień, a prąd powietrza krąży nad naszymi głowami niczym jakiś wściekły bóg-wąż. Byłem świadkiem, jak jednego dnia temperatura skoczyła do czterdziestu dwóch stopni, a nazajutrz spadła do minus osiemnastu, żeby kolejnego dnia przybrać do czterdziestu trzech w ciągu ośmiu godzin. Znajdujemy się również w Dolinie Tornado. Każdej wiosny z powietrza materializują się wściekłe, wyjące, czarne jak smoła demony, które szatkują porwane domy jak gigantyczna sokowirówka.

Ale pomijając to wszystko, nie jest to złe miasto. Nie można powiedzieć.

Panuje tu jednak spore bezrobocie. Mamy dwie zamknięte fabryki i rozpadające się centrum handlowe, które zbankrutowało już przed otwarciem. Znajdujemy się niedaleko Kentucky, na nieoficjalnej granicy z Południem, więc człowiek widzi więcej pickupów udekorowanych nalepkami z flagą Konfederatów i sloganami mówiącymi o tym, że ta marka wozu ma wszystkie inne pod sobą. Jest tu wiele stacji radiowych z muzyką country, opowiada się wiele dowcipów ze słowem „czarnuch”. System kanalizacji bardzo często wybija na ulicę bez wyraźnej przyczyny. Mnóstwo, całe mnóstwo bezpieczeństwa psów, wiele z groteskowymi deformacjami.

No dobra, to dziura zabita dechami.

Jest wiele aspektów tego anonimowego miasta, o których nie dowiesz się w Izbie Handlowej, jak na przykład to, że posiada czterokrotnie większą liczbę zachorowań na choroby umysłowe w przeliczeniu na głowę mieszkańca niż jakiegokolwiek inne miasto w tym stanie, ani też, że w latach osiemdziesiątych EPA przeprowadziła bardzo dyskretne badania zasobów wodnych miasta, by znaleźć tego przyczynę. Głównego inspektora znaleziono w tydzień później martwego w jednej z wież ciśnień. Uznano to za dziwny przypadek, ponieważ największym otworem prowadzącym do zbiornika był zawór o dziesięciocalowym przekroju. Uznano również za co najmniej dziwne, że obie jego powieki były całkowicie zespolone, ale to już zupełnie inna historia.

Tak à propos, mam na imię David. Widziałem kiedyś, jak nerka mężczyzny wypuszcza macki, wyrwa się z poszarpanej rany na jego plecach i z płaskiem zaczyna podskakiwać na podłodze mojej kuchni.

Westchnąłem i zacząłem gapić się tępo przez okno lokalu Najedź się chińszczyzną!, od czasu do czasu zerkając na zegar świetlny, który pokazywał 18:32 z ciemności witryny Kasy Kredytowej po drugiej stronie ulicy. Dziennikarz się spóźnił. Chciałem się już zbierać.

Nie miałem zamiaru opowiadać tej historii, opowieści o mnie i o Johnie, i o tym, co się działo w Anonimowym (i chyba wszędzie). Nie mogę opowiedzieć tej historii, nie wychodząc na świra pierwszej wody, o ile w ogóle świry mają jakąś wodę. Wyobraziłem sobie, jak odkrywam swoje serce przed tym facetem, nawijam o cieniach, o robakach, o Korroku i Fredzie Durst, plotąc to wszystko pod portretem ściennym kiepsko namalowanego burrito. Jakże inaczej miałyby się to skończyć jeśli niejedną wielką idiotyczną rozpierduchą?

Dość tego, powiedziałem sobie w myślach. Idę. Kiedy będę leżał na łożu śmierci, zażyczę sobie, by zwrócono mi cały ten czas, który zmarnowałem czekając na innych.

Już wstaję, ale zatrzymuję się w połowie. Mój żołądek fika kozła, jakby ktoś cisnął go na elektrycznego pastucha. Czuję kolejny przypływ zawrotów głowy.

Siadam ciężko w boksie. Kolejne efekty uboczne. Od razu kręci mi się w głowie, a moje ciało opanowują nieregularne drgawki od stóp do głów, jakbym połączył wibrator. Zawsze tak jest, kiedy jestem na sosie. Wziąłem sześć godzin temu.

Biorę wolne, głębokie wdechy, starając się zwolnić, wyrównać, wyluzować. Odwracam się i widzę jak drobna azjatycka kelnerka przynosi brodaczkowi po drugiej stronie knajpy kurczaka z ryżem.

Mrużę oczy. W pół sekundy naliczam pięć tysięcy osiemset dwadzieścia dziewięć ziaren ryżu. Ryż pochodzi z Arkansas. Kierowca kombajnu ma ksywę „Łysoń”.

Nie jestem geniuszem, mój tato i wszyscy dawni nauczyciele w Eastern High School w Anonimowym poinformują cię o tym przy byle okazji. Jest to wyłącznie skutek działania efektów ubocznych, nic więcej.

Znów drgawki. Szybka drżączka niczym przypływ adrenaliny, kiedy pojawia się świadomość, że przegiąłeś się na krześle tak mocno, że już nic nie uchroni cię przed upadkiem. Równie dobrze mogę to przeczekać. Wciąż czekam na mój „Zjazd Płonących Krewetek”, danie, które zamówiłem tylko po to, by zobaczyć jak wygląda. Nie jestem głodny.

Przede mną leżą sztuczki zawinięte w serwetkę. Nieco dalej stoi szklanka z wodą z lodem, a dalej kolejny przedmiot, ten, o którym teraz wolę nie myśleć. Rozwijam sztuczki. Zamykam oczy i dotykam widelca. Od razu wiem, że został wyprodukowany sześć lat temu w Pensylwanii i do tego w czwartek, a raz jeden facet użył go, by zeszkrobać sobie psie gówno z buta.

Musisz tylko wytrzymać kilka dni, odzywa się mój własny głos pod czaszką. Otworzysz oczy jutro albo pojutrze i wszystko znów będzie jak nowe. No, powiedzmy jak nowe. Ty wciąż będziesz paskudny i przygłupi, a od czasu do czasu będziesz widywał rzeczy, na widok których...

Otworzyłem oczy i aż podskoczyłem. W boksie na wprost mnie siedział jakiś facet. Nie usłyszałem go, nie poczułem ani nie wywęszyłem, kiedy wślizgiwał się na swoje miejsce. Czy to ten dziennikarz, z którym rozmawiałem przez telefon?

A może jakiś ninja?

– Cześć – mamroczę. – Jesteś Arnie?

– Taa. Przysypia pan sobie trochę? – Podaje mi dłoń.

– Ee, nie. Starłem się tylko zetrzeć coś spod powieki. Jestem David Wong. Miło cię widzieć.

– Przepraszam za spóźnienie.

Arnie Blondestone wyglądał tak, jak go sobie wyobrazałem. Był starszy, miał nierówno podcięte włosy i paskudnego wąsa oraz szeroką twarz doskonale pasującą do cygara. Nosił szary garnitur, który miał więcej lat niż ja i krawat zawiązany na grubasny windsorski węzeł.

Mówił mi, że jest dziennikarzem jakiegoś ogólnokrajowego tygodnika, i że chce napisać cały artykuł na temat mnie i mego przyjaciela Johna. Nie była to pierwsza prośba tego typu, ale pierwsza, na którą przystałem. Sprawdziłem faceta w sieci, zobaczyłem, że pisuje dziwaczne kawałki o różnych ludziach, podobnie jak Charles Kuralt. Jeden z artykułów opisywał faceta, który z obsesją maniaka kolekcjonował wypalone żarówki i malował na nich pejzaże, a inny mówił o pewnej pani, która miała sześćset kotów, takie tam. Zdaje się, że tym właśnie pasjonują się

przykładni obywatele a nie porąbańcy – historiami, z których można się pośmiać przy ekspresie do kawy podczas przerwy w biurze.

Spojrzenie Arniego nie opuszczało mojej twarzy, nieco za długo jak na mój gust, notując kropelki zimnego potu, moją bladą skórę, szopę przerośniętych włosów. Zamiast głośno zwrócić na to uwagę, Arnie powiedział:

– Nie wygląda pan na Azjatę, panie Wong.

– Bo nim nie jestem. Urodziłem się w Anonimowym. Zmieniłem nazwisko. Wydawało mi się, że będzie mnie trudniej znaleźć.

Arnie posłał mi pierwsze z, jak przypuszczam, wielu przygotowanych na mój użytek sceptycznych spojrzeń.

– Jak to?

Przymknąłem oczy, a mój umysł zapełniły oblicza 103 miliardów ludzi, którzy urodzili się od czasu pojawienia się ludzkiego gatunku. Morze żyjących ludzi, którzy umierają i mnożą się niczym komórki pojedynczego organizmu. Zacisnąłem mocno powieki, starając się oczyścić umysł, skupiając się na wyobrażeniu cycuszków kelnerki.

Powiedziałem:

– Wong to najczęściej spotykane nazwisko na świecie. Niech pan spróbuje je wygooglować, a będzie pan miał opór wyników zanim pan do mnie dotrze.

Powiedział:

– Dobra. Pańska rodzina mieszka tutaj?

A więc prosto z mostu, kawa na ławę.

– Byłem adoptowany. Nie znałem mojego prawdziwego taty. Z tego co wiem, równie dobrze pan może nim być. Jest pan moim tatą?

– Ech, raczej nie.

Starłem się rozgryźć, czy były to pytania na rozgrzewkę, prawdziwe maglowanie do wywiadu, czy też może już wcześniej to wiedział. Podejrzewałem, że wiedział.

Równie dobrze mogę pójść na całość. W końcu po to tu jesteśmy, prawda?

– Moja przybrana rodzina przeprowadziła się i nie powiem panu dokąd. Ale niech pan wyciąga to pióro, bo pewnie będzie pan chciał zapisywać. Moja biologiczna mama? Zamknęli ją u czubków.

– To musiał być duży cios. Jaka była przyczyn...

– Była wyniszczoną przez prochy, uzależnioną od adrenaliny kanibalką, zatopioną w wampiryzmie i szamanizmie. Moja mama czciła kogoś z diabłów z górnej półki, kiedy byłem podrostkiem. Comiesięczny czek z opieki społecznej puszczała na czarne świece. Jasne, Szatan co jakiś czas robił dla niej to czy tamto, ale z diabłem trzeba uważać. Zawsze jest coś wypisane małym drukiem.

Arnie milczał przez chwilę, po czym zapytał:

– To prawda?

– Nie. To głupoty, które plotę, jak jestem zdenerwowany. Miała psychozę dwubiegunową, tylko tyle. Nie potrafiła nic zrobić w domu. Ale czy tamta historia nie jest lepsza? Mógłby pan to wykorzystać.

Arnie posłał mi doskonale wyćwiczone spojrzenie dziennikarskiej uczciwości i powiedział:

– Wydawało mi się, że chciał pan, żeby prawda wyszła na jaw, tak jak pan to widzi. Bo jeśli nie, to po co w ogóle mielibyśmy się spotykać, panie Wong?

Ponieważ dają się namawiać kobietom do różnych rzeczy.

– Ma pan rację. Przepraszam.

– No dobrze, skoro już zaczęliśmy ten temat, to w starszych latach szkoły średniej był pan objęty alternatywnym programem nauczania...

– Taaa, to było nieporozumienie – skłamałem. – Mieli taką szufladkę z napisem „Emocjonalnie Niezrównoważony” i wsadzili mnie do niej, ale tam chodziło tylko o kilka bójek. Jak to u szczeniaków, żadnej policji czy sądu. Szaleństwo nie jest dziedziczne.

Arnie spoglądał na mnie i obaj mieliśmy świadomość, że kartoteki nieletnich są objęte tajemnicą, i że będzie musiał mi uwierzyć na słowo. Ciekawe, jak to przedstawi w artykule, szczególnie w świetle całkowitego szaleństwa opowieści, którą mam go zamiar uraczyć.

Przesunął spojrzenie na przedmiot na stole, którym – z jego perspektywy – był niewielki, zupełnie niewinnie wyglądający pojemnik. Pudełeczko mniej więcej kształtu i rozmiarów szpulki nici, wykonane z bezbarwnego, szcztokowanego metalu. Położyłem na nim palce. Powierzchnia była lodowata w dotyku, jakby cały czas spoczywało w zamrażarce. Nawet gdyby trzymać toto przez cały dzień na słońcu i tak miałoby tę samą temperaturę. Chyba można by to było pomylić z szybkowym pojemnikiem na leki.

Jestem w stanie zdmuchnąć cały twój świat, Arnie. Gdybym pokazał ci, co zawiera pudełeczko, nie przespałbyś już ani jednej pełnej nocy, nie byłbyś w stanie obejrzeć filmu do końca i nie odczuwałbyś łączności z rasą ludzką aż do dnia śmierci. Ale nie jesteśmy na to gotowi, jeszcze nie. I to jasne jak słońce, że nie spodziewasz się tego, co mam w swoim wozie...

– No cóż – znów zaczął Arnie – tak czy inaczej, choroba umysłowa nie jest przecież wstydlivym tematem. Od czasu do czasu ktoś choruje, bo taka jest natura ludzka, prawda? Na przykład, rozmawiałem z pewnym facetem na północy, rozchwytywanym, drogim adwokatem, który nie tak dawno przesiedział dwa tygodnie na oddziale psychiatrycznym. Nazywa się Frank Campo. To nazwisko jest panu znane?

– Taa, znam go trochę.

– Frank nie chciał ze mną rozmawiać, ale jego rodzina powiedziała mi, że miał jakieś halucynacje. Niemal codziennie, prawda? Rozbił samochód i od tego czasu było tylko coraz gorzej. Ześwirował zupełnie na święto Dziękczynienia. Zona wnosi indyka, ale Frank indyka nie widzi. Frank widzi niemowlę zwinięte na tacy, przysmażone na złotobrazowo. Z ust wystaje mu farsz. Dostał kota i po tym nie jadł nic przez wiele tygodni. Karmili go kroplówką. Osiągnął punkt, w którym miał takie zdarzenia co kilka dni. Doszli do wniosku, że to uszkodzenie mózgu, no wie pan, po wypadku. Ale guzik mogli poradzić ci wszyscy lekarze. Prawda?

– Taaa. Mniej więcej tak było.

Pominąłeś to, co w tym najdziwniejsze, Arnie. To, co w ogóle spowodowało ten wypadek. I to, co zobaczył w swoim wozie...

– A teraz – stwierdził Arnie – jest wyleczony.

– Czy tak właśnie mówią? W takim razie dobrze. Niech się Frankowi wiedzie.

– Zarzekają się, że to pan wraz z pańskim przyjacielem wyciągnęliście go z tego.

– Ja i John, jasne. Robiliśmy, co mogliśmy. Ale to dobrze, że z Frankiem już jest OK. Cieszę się, że wyzdrowiał.

Na ustach Arniego zatańczył blady uśmiech. Popatrzcie tylko na tego wariata, z tą jego idiotyczną fryzurą, z tą jego kretyńską buteleczką na prochy i popierdoloną opowieścią.

Ile dekad cynizmu trzeba, by wydobyć z siebie taki uśmiech, Arnie? Męczy mnie sam jego widok.

– Proszę opowiedzieć o Johnie.

– Niby co? Ma już sporo po dwudziestce. Chodziliśmy razem do szkoły. John to też nie jest jego prawdziwe imię.

– Niech zgadnę...

Znów zaczęły napływać obrazy, ludzkie masy na całym globie w ciągu wieków historii, niczym w przyspieszonym filmie, w którym pleśń pokrywa pomarańczę. *Mysł o cyckach. Cycki. Cycki. Cycki.*

– John to również najpopularniejsze imię na świecie.

– Tak, właśnie – powiedziałem. – A jednak nie ma ani jednej osoby na świecie, która nazywałaby się John Wong. Sprawdzałem.

– A wie pan, że pracuję z jakimś Johnem Wongiem?

– Naprawdę?

– Lećmy dalej – powiedział Arnie, prawdopodobnie konotując, że ten cały David Wong nie jest znów takim mistrzem w wymyślaniu różnych bzdur.

Jasna dupa, Arnie, poczekaj aż usłyszysz całą opowieść. Skoro twój wykrywacz kitu jest tak wyczulony, to za kilka minut wybuchnie i zrówna z ziemią kilka przecznic.

– Ale macie już kilku fanów, co? – stwierdził, przewracając kartki małego notesu do miejsca, w którym widać bazgrały. – Znalazłem kilka grup dyskusyjnych w necie poświęconych panu i pańskiemu przyjacielowi i waszemu... Chyba można mówić o tym hobby? A więc jesteście kim, spirytualistami? Egzorcystami? Kimś w tym rodzaju?

Dobra, dość już tego popierdywania w stołek.

– Arnie, masz w kieszeni osiemdziesiąt trzy centy – rzuciłem pospiesznie. – Trzy ćwiartki, piątkę i trzy razy po cencie. Na centach widnieją daty 1983, 1993 i 1999.

Arnie obdarzył mnie pełnym wyższości szerokim uśmiechem, który mówił: „Jestem tu najmądrzejszym sceptykiem”, po czym wyjął monety z kieszeni. Sprawdzenie zawartości potwierdziło, że miałem rację.

Aż się zakrztusił ze śmiechu i walnął pięścią w stół tak, że podskoczyły wszystkie przedmioty na blacie.

– No niech mnie! Ale świetna sztuczka, panie Wong!

– Niech pan podrzuci dziesięć razy tę piątkę – ciągnąłem dalej. – Wyjdzie: reszka, reszka, orzeł, reszka, orzeł, orzeł, orzeł, reszka, orzeł, orzeł.

– Chyba nie mamy aż tyle czasu, żeby...

Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy by Arniemu nie odpuścić. Ale przypomniałem sobie uśmiezek. Wypaliłem z grubej rury.

– Zeszłej nocy miałeś sen, Arnie. Twoja matka goniła cię po lesie. Smagała cię biczem z żyłastych penisów.

Arniemu mina zrzędała tak, że jego twarz przypominała teraz budynek, który zawalił się do środka. Nienawidziłem jego twarzy sprzed kilku minut, teraz rozkoszowałem się obecnym jej widokiem.

No właśnie, Arnie. Wszystko, co wiesz, jest do dupy.

– Słucham pana bardzo uważnie, panie Wong.

– Och, będzie jeszcze lepiej. Dużo lepiej.

Gówno prawda. Będzie tylko gorzej. Dużo gorzej.

– Zaczęło się to wszystko kilka lat temu – zacząłem. – Ledwo kilka lat wcześniej skończyliśmy ogólniak. Byliśmy zwykłymi smarkami. I tak, mój przyjaciel John poszedł na imprezę...

W tamtych latach John miał swój zespół. Impreza była w stylu Woodstock na błotnistym polu obok jeziora, w miasteczku o kilka mil od granicy Anonimowego. Był kwiecień, a imprezę zorganizował taki jeden koleś, to były jego urodziny czy coś takiego. Nie pamiętam.

John i ja graliśmy w zespole Trójrečna Sally. Było mniej więcej koło dziewiątej, kiedy wyszedłem na scenę z gitarą przewieszoną przez ramię, witany grzecznościowymi i mało entuzjastycznymi oklaskami mniej więcej setki zaproszonych gości. „Scena” była sklecona z kilku palet położonych na trawie, a pomarańczowe kable wiły się od wzmacniaczy do pobliskiej szopy.

Zerknąłem wokół, zobaczyłem listę kawałków przyklepioną taśmą do wykoślawionych starych wzmacniaczy Peaveya. Było na niej:

Holokaust wielbłądów

Gej Superman

Stairway to Heaven

Kochaj mojego Sasquatcha

Trzydzieści powodów, żeby nie lubić Chada Wellsburga

Love Me Tender

Zajęliśmy miejsca.

W składzie byłem ja, Head (perkusja), Wally Brown (bas), Kelly Smallwood (bas) i Munch Lombard (bas). John grał na gitarze prowadzącej i był na wokalu, ale nie było go na scenie, jeszcze nie. Powinienem nadmienić, że nie miałem pojęcia o grze na gitarze czy też w ogóle na

jakimkolwiek instrumencie, a dźwięki wydawane z mojej krtani powodowały krwawienie z uszu i najprawdopodobniej były w stanie zabić na miejscu psa średniej wielkości.

Podszedłem do mikrofonu.

– Dziękuję wam za przybycie. To jest moja kapela – Trójręczna Sally i za chwilę rozhuścimy was tutaj, jak przysłowiowy huragan.

Tłum pomrukiem wyraził swoją obojętność. Head zaczął walić w bębny, robiąc intro do „Holokaustu wielbłądów”. Machnąłem gitarą dookoła, szykując się do grania.

Nagle całe moje ciało opanował niezwykle ostry ból, a kolana ugięły się pode mną. Złapałem się za głowę i przewróciłem na scenę, drąc się niczym ranny łoś. Padając, szarpnąłem za struny, wydobywając z nich zbolące, opętańcze sprzężenie. Tłum zamarł i patrzył jak miotam się w dość przesadzonych konwulsjach, po czym zamieram w bezruchu.

Munch podleciał do mnie i badał mnie niczym wytrawny sanitariusz. Leżałem tam jak zimny trup. Dotknął mojej szyi, po czym wstał i powiedział do mikrofonu.

– Panie i panowie, on nie żyje.

W tłumie zaczął narastać pijacki szmer paniki.

– Poczekajcie. Proszę, proszę wszystkich. Chcę coś powiedzieć. Proszę zachować spokój.

Odczekał aż się uciszyło.

– No dobrze – odezwał się znów po chwili. – Ale życie toczy się dalej, a my mamy koncert do zagrania. Czy jest tu ktoś, kto potrafi śpiewać i zagrać na gitarze?

Z tłumu wyszedł wysoki facet z głową w długich lokach, wyglądających jak przyklapnięte afro. Był to John. Miał na sobie pomarańczowy t-shirt z wymalowanymi literami z szablonu, które układały się w napis ZAKŁAD VISTA PINES DLA CHORYCH UMYSŁOWO PRZESTĘPCÓW. Trzy ostatnie słowa zostały przekreślone czarnym markerem i dopisano rozwlekłymi literami WCALE NIE WARIAT. Cała koszulka, napisy i dopiski były dziełem Johna.

– Cóż – odezwał się John naśladując południowy akcent – myślę, że mogę trochę pobrzdakać.

Kelly, według scenariusza, zaprosił go na scenę. John wyszarpnął mi gitarę z martwych dłoni, a Head i Wally zaciągnęli mnie bezceremonialnie na trawę. John wziął instrument i zaintonował intro do „Holokaustu Wielbłądów”. W ten sposób Trójręczna Sally rozpoczynała każdy swój występ.

„Znałem kolesia,

Nie, zmyślam sobie,

Włosy, włosy! Włoooooosy!

Holokaust wielbłądów, holokaust wielbłądów!”

Całość została wymyślona przez Johna – człowieka, który miał potworny zwyczaj wprowadzania w życie swych pijackich pomysłów, wymyślonych o trzeciej nad ranem albo później, gdy już pojawiał się świt i wdzierwała się bezwzględna trzeźwość. U Johna zawsze była to trzecia nad ranem.

Przewróciłem się na plecy i spojrzałem w nocne niebo. Był to, o ile pamiętam, ostatni moment prawdziwego spokoju w moim życiu. Deszcz przestał padać kilka godzin wcześniej, a świeżo wyczyszczone i wypolerowane gwiazdy błyskały teraz na aksamitnej czerni nieba. Muzyka dudniła po ziemi, a chłodna wilgoć trawy przesączała mi się przez bluzę, kiedy tak spoglądałem w połyskujące klejnoty nieskończoności, na które Bóg napluł i wyczyścił rękawem swej szaty. Nagle zaszczekał pies i wszystko spierdolił.

Był rdzawo rudy, może seter irlandzki, może czerwony labrador, a może... rdzawiec szkocki. Nie znam się na rasach. Z obroży zwisał mu cienki łańcuszek. Kręcił się wokół imprezowiczów, kłębek niespożytej psiej energii upojony pierwszą chwilą wolności w życiu.

Przykucnął i obsikał trawę, podbiegł do kolejnego miejsca i tam też nasikał. Znaczył swój nowy świat, biorąc w posiadanie to terytorium. Podbiegł do mnie truchtem, a ciągnący się za nim łańcuch wydawał nieznaczny syk wśród gęstej trawy. Obwąchał moje buty i chyba stwierdził, że zdechłem, więc zaczął obwąchiwać moje kieszenie, żeby sprawdzić czy czasami nie wyzionąłem ducha z suszoną wołowiną w spodniach.

Odskoczył, kiedy sięgnąłem, by go pogłaskać, z wyrazem pyska mówiącym jasno i wyraźnie: „tylko nie po sierści”.

Na obrożu widniała mosiężna tabliczka.

Z wiadomością.

Jestem Molly

Proszę oddać mnie...

... i dalej był adres w Anonimowym. Przynajmniej siedem mil od domu. Zastanawiałem się, jak długo zajęłoby zwierzęciu wygrawerowanie takiego identyfikatora.

Pies, nie widząc większych spodziewanych korzyści z naszej znajomości, pobiegł dalej. Ruszyłem jego śladem, postanawiając od razu, że złapię psa i zawiozę do właściciela, który prawdopodobnie zamartwiał się jego zniknięciem. To pewnie jakaś rodzina z małą dziewczynką, która teraz oczka wypłakuje i tęskni za pieskiem.

Albo też dwie studentki, które próbują poradzić sobie ze stratą organizując cykl masażu erotycznych...

Trudno jest zachować godność podczas pościgu za uciekającym psem, szczególnie, kiedy biega się jak dziewczyna, tak jak ja. Pies rzucał poirytowane spojrzenia za siebie, widząc jak drobię jego śladem, doganiając go co i raz. Skończyło się na tym, że okrążyłem całą polanę i znalazłem się z drugiej strony, kiedy nagle usłyszałem coś, co zmroziło mi krew.

Wrzask. Wysoki, niemal gwizd. Jedynie dwa stworzenia na tym boskim łożu padole są w stanie wydać z siebie taki odgłos – szara papuga afrykańska i egzaltowana piętnastolatka. Odwracam się na pięcie i ruszam w stronę zamieszania. Pies bacznie mnie obserwuje, po czym rusza w drugą stronę. Rozglądam się wokół...

Ach. Teraz chichot. Z dala od sceny stoi grupka dziewcząt odwróconych plecami do kapeli. Otaczają ciemnoskórego z dredami w długim płaszczu. Na głowie ma jeden z tych rastafariańskich beretów i z całą pewnością dba o wygląd, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Dwie dziewczyny zakrywają usta dłońmi, wybałuszają oczy i drą się na faceta, żeby zrobił to jeszcze raz. Po ich reakcji wiem już, że natrafiłem na najbardziej przerażający rodzaj imprezowicza – magika-amatora.

– O, mój Boże! – krzyczy ta stojąca najbliżej. – Facet lewitował!

Jedna z dziewcząt jest blada jak ściana i widać, że zaraz wybuchnie płaczem. Inna wznosi ręce ku górze i odchodzi, potrząsając z niedowierzaniem głową.

Łatwowierność jest nożem przystawionym do grdyki cywilizacji.

– Jak wysoko? – pytam od niechcienia.

Jamajczyk zwraca swój wzrok na mnie, starając się przybrać świdrujące spojrzenie egzotycznego kapłana voodoo. Była to mina, dzięki której miałem usłyszeć rytualne dźwięki pod czaszką.

– Sceptyka trzeba pokochać, chłopie – mówi facet gumiałym akcentem, w którym słyhać Jamajkę, Irlandczyka oraz pirata na dokładkę.

– Pokaż mu! Pokaż! – drą się dziewczyny.

Nie wiem dlaczego, mam ochotę olać ten pokaz. Chciałbym stać na opoce sceptycyzmu, ale w rzeczywistości byłem najprawdopodobniej wkurzony, że ten facet dzisiaj coś zaliczy, a ja nie mam szans.

– Może na początek sześć cali nad trawą, co? – proponuję. – Lewitacja Balducciego? Ta, co zyskała sławę dzięki temu szarlatanowi Davidowi Blaine w jego programie telewizyjnym? Wystarczy mieć mocne kostki i trochę wprawy, tak?

I do tego głupią, zaprutą publikę...

Jego spojrzenie zamiera na mnie. Czuję dobrze znaną nerwowość, której korzenie sięgają jeszcze szkoły podstawowej. Jest to świadomość wkręcenia się moim długim ozorem do kolejnej bitki, połączona z wiedzą, że od ostatniej wcale nie ćwicyłem. W miasteczku, w którym izba przyjęć pogotowia ratunkowego po burdach w piątkowy wieczór wygląda niczym pobojuwisko po wyborach powszechnych w Trzecim Świecie, mądrale z przydługim językiem muszą się nauczyć, że czasem warto jest zamilczeć i pójść w swoją stronę.

I wtedy ukazuje swoje wielkie, białe zębiska w szerokim uśmiechu. Czarus.

– Zobaczmy... co możemy zrobić, żeby zaimponować panu sceptykowi? No proszę, proszę. Nie umyliśmy dzisiaj uszu, co?

Wzdycham teatralnie kiedy sięga do mojej głowy, spodziewając się, że wyciągnie błyszczącą monetę z za mojego ucha. Jednak kiedy cofa dłoń, nie trzyma monety ale długą, czarną i wijącą się stonogę. Owad zwisa mu z pięści, a on obraca dłoń, pozwalając jej po niej wędrować. Jedna z dziewczyn piszczy histerycznie.

Łapie ją w palec wskazujący i kciuk i wyciąga tak, żeby wszyscy zauważyli wijącego się robaka. Po raz pierwszy zauważam, że ma drugą dłoń owiniętą kilkoma warstwami przylepca. Zastania tą dłonią owada i w mgnieniu oka stonoga znika. Dziewczyny wydają stłumiony okrzyk.

– Cóż, przyznaję, robak był niczego sobie – mówię, zerkając na zegarek.

– Chcesz wiedzieć, gdzie się podział, chłopie?

– Nie. – Nagle poczułem się źle. Coś mi się przewracało w bebechach na widok tego faceta. – Ale wiesz, nie rozumiem mnie źle. Jestem bywałem w świecie sukinsynem.

– Mam też inne zdolności, wiesz?

– Jasne, ale założę się, że dopiero w swoim mieszkaniu możesz pokazać prawdziwą magię, mam rację? Z dziką rozkoszą mi to wszystko pokażesz pod warunkiem, że zmienię się w seksowną szesnastolatkę?

– Masz sny, chłopie? Tłumaczę sny za piwo.

Oto właśnie miasteczko Anonimowe w pigułce – zrujnowane niby miasto, z większą ilością świrów na głowę mieszkańca niż w samym San Francisco. Powinniśmy tę informację umieścić na zielonej tablicy z liczbą mieszkańców na rogatkach: WITAJCIE W ANONIMOWYM. TŁUMACZYMY SNY ZA PIWO.

Mówię:

– Cóż, nie mam piwa, więc chyba masz dzisiaj pecha.

– A wiesz co, panie sceptyk? Zrobię tak, jak Daniel ze Starego Testamentu. Opowiem ci twój ostatni sen, a dopiero potem wyjaśnię ci jego znaczenie. Ale jeśli powiem jak było, będziesz musiał mi postawić browara. No to jak, umowa stoi?

– Jasne. Znaczy się, ja wiem, że zostałeś obdarzony nadnaturalną mocą. Czyż istnieje lepszy sposób na jej wykorzystanie niż naciąganie na piwo na imprezach?

Wyciągam szyję, rozglądam się i wydaje mi się, że widzę psa drepczącego wokół namiotu, w którym sprzedają kukurydziane hot dogi. Mówię moim stopom, by się odwróciły i poszły jego śladem. Każę moim ustom powiedzieć temu facetowi: „Zapomnij”. Żadne nie zareagowało.

Wiedziałem, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Przeciwnie, przeczuwałem wręcz, że coś złego może się zdarzyć. Ale moje stopy tkwiły mocno w bezruchu.

– Nad ranem śnił ci się środek burzy.

Patrzę mu prosto w oczy.

Pff. Trafilo się jak ślepej kurze ziarno...

– We śnie byłeś znów ze swoją dziewczyną, Tiną.

Łaaa, skąd on to wie...

– ... i wróciłeś do domu, gdzie zastałeś ją przy wykurwistej stercie dynamitu. Miała też ten detonator z rączką, jak w kreskówkach, wszystko gotowe do odpalenia. Pytasz ją, co robi, a ona mówi „właśnie to” i naciska na rączkę z całych sił i – rozłożył ręce – bum. Otwierasz gwałtownie oczy.

Eksplozja w twoim śnie zmieniła się w odgłos gromu za oknem. No to powiedz mi, chłopie. Blisko jestem?

Jas. Na. Cho. Le. Ra.

Uśmiecha się. Wszystkie oczy spoglądają na mnie, a na mojej twarzy widać wyraźnie wielki wstrząs. Któraś z dziewczyn szepcze:

– O mój Boże...

Niczego bardziej nie cierpię niż widoku kogoś, kogo zamurowało. Mamrocę coś nieskładnie.

Jedna z dziewczyn szepcze do pozostałych:

– Mówił prawdę? Mówił, tak?

Dziewczyna o kruczoczarnych włosach, z makijażem szopa pracza, nagle zbladła, jakby wampir wypił ją do cna. Grupka odruchowo cofnęła się o dwa kroki, jakby istniała bezpieczna odległość w obrębie której świat znów zacznie mieć jakiś sens.

– Wygląd jego twarzy mówi jasno, że miałem rację – odezwał się, szczerząc zęby w uśmiechu.
– No i co wy na to, dziewczyny? Ale zaczekajcie, to nie koniec.

Chciałem sobie pójść. Na scenie z palet John właśnie wygrywał solo na koniec „Holokaustu Wielbłądów” i rzucał jakieś improwizowane słowa, przekrzykując walenie w bębny Heada „Cały koncert to jedno wielkie solo na bębnach” Feingolda i trzy gitary basowe. Byłem na wielu koncertach, widziałem kapele od tych garażowych po Pearl Jam. Może mam zwichrowaną opinię, ale zaryzykowałbym twierdzenie, że Trójrečna Sally jest najbardziej gównianym zespołem jaki słyszałem w życiu.

– Możesz sam odgadnąć znaczenie snu, chłopie. Dziewczyna, co na ciebie czeka, zburzy ci znów cały świat. Ale sen stara się ci powiedzieć coś więcej. Sen chce ci ostrzec, robiąc pokaz.

– Dobra, dobra – powiedziałem, unosząc dłonie. – Udało ci się, pewnie ktoś ci coś o mnie powiedział...

– Widzisz, musisz być dzielny, żeby zadawać sobie przerażające pytania. Skąd twój umysł, Davidzie, wiedział, że zaraz będzie grzmiało?

Grzmot? Co takiego? Odejdź od tego faceta. Spadaj, zrywaj się stąd...

– Co takiego? Teraz to już podpierdasz na całego...

– Grom nadszedł w tej samej chwili, kiedy odpalono detonator w twoim śnie. Twój umysł zaczął śnić na trzydzieści sekund przed grzmotem. Skąd wiedział, że huk rozlegnie się właśnie w tej chwili i zbiegnie się z końcówką eksplozją?

Bo to złe wspomnienie, które działa tylko wstecz, myślę jak oszalały. O zesz w mordę, zaczynam cytować „Alicję w Krainie Czarów”. To najbardziej pochujana impreza, na jakiej byłem.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. To wszystko to jest pic na wodę. – Patrzyłem wszędzie, tylko nie na Jamajczyka, bo nagle zdjęło mnie przerażenie, że zobaczę jak unosi się nad trawnikiem. Dziewczęta szczebioczą coś między sobą rozgorączkowane – będzie o czym opowiadać na dużej przerwie w poniedziałek. Pieprzyć je. Pieprzyć wszystkich. Ale ten gnojek nie zamierzał milczeć.

– Wszyscy mamy takie sny, chłopie. Śni ci się, że bierzesz udział w telewizyjnym konkursie i masz na sobie tylko ochraniacz na klejnoty. I w tej samej chwili, kiedy we śnie rozlega się dzwonek, bo wtopiłeś, jednocześnie na jawie dzwoni telefon. Telefon, o którym twój umysł nie mógł wiedzieć. Widzisz, czas to ocean, a nie wąż ogrodowy. Przestrzeń to kłęb dymu, smuga mgły. Twój umysł to...

– Jak tam sobie chcesz. Gadaj zdrów.

Odwrociłem się i potrząsnąłem głową. Czuję suchość w ustach.

Idź, idź jak najdalej stąd. Wiesz, że cos' tu nie gra. Nie chcesz znać tego faceta.

Na scenie John zaczął wolny, żałobny lament utworu „Gej Superman”.

„Wielbłąd rozpaczy

Pnie się pod górę, objuczony

Bagażem wspomnień...”

– Chcesz, żebym ci powiedział, gdzie naprawdę był twój tatuś, kiedy ty siedziałeś w szpitalu ze złamaną nogą? – powiedział do moich pleców. Zatrzymałem się, czując znów lód w bebechach. – Chcesz, żebym ci powiedział jak nazywa się twoja bratnia dusza? Albo też jak zginie?

Przezań, albo powiem ci, jak ty zginiesz. To właśnie chciałem mu wygarnąć, ale zmilczałem.

Odszedłem siłą woli, wprawiając stopy w ruch. Opanowała mnie dręcząca świadomość odrealnienia, tak jak za pierwszym razem, kiedy świat obraca ci się za szybą samochodu podczas wypadku. Naprawdę zakręciło mi się w głowie i ślaniałem się na nogach.

– Chcesz wiedzieć, kiedy po raz pierwszy na Amerykę spadnie bomba atomowa? I na które miasto?

Niemal rzuciłem się na faceta. Ale znów unikałem kolejnej podróży do szpitala za sprawą zwykłego tchórzostwa. Ten facet pewnie był w stanie skopać mi tyłek bez pomocy siły magicznej. Byłem już tak spięty, że miałem wielką ochotę zamiast niego dać z piąchy jednej z tych panien. Pewnie to starcie też bym przegrał.

A wiesz co, chłopie, może byś tak wziął ten swój udawany jamajski, wsadził go na łódkę i popłynął nią na tę twoją dętą Jamajkę. To kolejne zdanie, które fajnie byłoby mu powiedzieć, gdyby tylko wcześniej przyszło mi do głowy. Ale wymruczałem coś tylko i machnąłem pogardliwie dłonią, wlokąc się na ostatnich nogach przez tłum, zachowując się tak, jakbym stracił zainteresowanie dla tej całej rozmowy.

– Ej! – krzyknął za mną. – Wisisz mi browara, chłopie! Ej!

Cyganki, wróże i adepci tarota mieli do dyspozycji setkę pokoleń, by udoskonalić swoją sztukę. I wszystko polega wyłącznie na wprawie. Chłodnej ocenie sytuacji, myśleniu życzeniowym oraz logicznej kalkulacji. Wystarczy rzucić jakąś ogólną uwagę, która może odnosić się do każdej osoby na ziemi...

– *Wyczuwam, że coś cię martwi.*

– *Jesteś niesamowita! Tak, chodzi o mego męża...*

... i dalej już idzie jak z płatka. Ale farbowany Jamajczyk żadnym sposobem nie mógł wiedzieć tego, co wiedziałem ja. Nie ma takich zwierząt. Patrzyłem jak moje buty przedzierają się przez chaszczę. Ten człowiek właśnie rozdarł cienką powłokę wszystkiego, w co do tej pory wierzyłem.

Wpadłem na jakąś dziewczynę, ominąłem ją, stała twardo jak skała. Z przerażeniem spostrzegłem, że to Jennifer Lopez.

Wiecie jak poznać, że ktoś jest sam od dłuższego czasu? Kiedy pomaga się dziewczynie wstać i w przyływie emocji trwającej ze dwie sekundy przytrzymuje się jej dłonie nieco dłużej.

– O jejku, przepraszam – powiedziałem, kiedy Jennifer podniosła butelkę z piwem. – Chciałem jak najszybciej uciec od, no wiesz, od voodoo. Od tego potwora. Od szamana.

Miała na sobie drelichowe szorty i bezrękawnik, włosy związane w koński ogon. Chyba powinienem wyjaśnić, że nie jest to ta sławna Jennifer Lopez, tylko dziewczyna z naszego miasteczka, która przypadkowo nosi to samo imię i nazwisko. Chyba byłoby to z korzyścią dla całej opowieści, gdyby jednak była to ta słynna piosenkarka i aktorka, więc jeśli chcecie wyobrażać sobie ją, za każdym razem kiedy wymieniam J. Lo to proszę bardzo, choć moja Jennifer przypomina tę sławną tylko wtedy, kiedy odwraca się do mnie plecami.

Pracuje jako kasjerka w Home Depot, dlatego pojawia się tam często i staram się kupować najbardziej męskie produkty w sklepie. Mam w mieszkaniu siekierę, trzy worki cementu i trzy różne łomy. Podczas ostatniej wizyty kupiłem pięciokilogramowy młot i z zawiedzioną miną spytałem ją, czy nie mają większych. Nie odpowiedziała, nawet nie policzyła pieniędzy, które jej dałem.

Kiedy strzepywała źdźbła trawy z pupy, opanowała mnie nagła potrzeba niesienia pomocy. Udało mi się powstrzymać.

O w mordę, nie ma na ziemi lepszej substancji na chandrę niż testosteron.

– Naprawdę bardzo przepraszam. Nic ci się nie stało?

– Nie. Wylałeś mi trochę piwa, ale...

– Co ty tu robisz?

– No wiesz, impreza jest. – Wskazała niezobowiązująco na tłum gości i muzyków. – No to miło cię było...

Odchodzi! Powiedz coś!

– Ja, ee, jestem tu z zespołem – powiedziałem, idąc z nią kilka kroków zupełnie naturalnym chodem, jaki posiadam w swoim repertuarze. Zerknęła na zespół, a potem na mnie.

– Ale wiesz, że zaczęli grać bez ciebie, co?

– Nie. Ja nie gram na żadnym instrumencie, ani nic takiego. Ja tylko... no, widziałaś mnie na pewno na początku. To ja padłem na scenę i udawałem trupa.

– Dopiero przyszłam. – Wyraźnie przyspieszyła.

Odchodzi! Obezwładnij ją!

– Cóż – rzuciłem za nią – no to na razie.

Nie odpowiedziała, a ja patrzyłem jak odchodzi. Można powiedzieć – wpatrywałem się.

Podeszła do jakiegoś blondasa w cętkowanych spodniach, przekrzywionej bejsbolówce i koszulce jakiegoś zespołu. Cała scena przygnębiła mnie do tego stopnia, że zapomniałem już o kwitującym Jamajczyku, aż do chwili kiedy...

Trzy godziny później wraz z Johnem pakowaliśmy podrapane graty do białego furgonu z wysprejowanym napisem GRUCHOT GRUBEGO JACKSONA. Gruby Jackson to była dawna nazwa zespołu, którą zmienili kilka miesięcy temu.

– Dave! – krzyknął John. – Patrz! Widzisz, jaką mam przepoconą koszulkę?

– No... ale czad – odpowiedziałem.

– Spotykamy się wszyscy w Jednym Jaju. Będziesz?

Bar o nazwie „Jedno Jaj o” jest miejscem, o którym lepiej nie wiedzieć.

– Nie – rzuciłem. – Za siedem godzin idę do tyry. – John też ma pracę. Obaj pracujemy na tej samej zmianie w tej samej wypożyczalni filmów. W ciągu trzech lat John zmieniał pracę sześciokrotnie, to tak a propos. Jakaś dziewczyna zaszła go od tyłu i objęła rękami za szyję. Nie rozpoznałem jej, ale to nic nowego.

– Taa, ja też – przyznał. – Ale najpierw muszę postawić browara Robertowi.

– Komu?

– Ee, temu czarnemu koleśowi.

John wskazał w stronę grupy pięciu ludzi, trzech dziewczyn i dwóch koleś odwróconych do mnie plecami. Jeden z nich to zwalisty facet z rudymi włosami, a obok niego ujrzałem tęczowy beret i dredy mojego kapłana voodoo.

– Widzisz go? To ten w białych tenisówkach.

Nie tylko go widziałem, ale on odwrócił się w moją stronę. Nawiązał kontakt wzrokowy i krzyknął:

– Wiesz mi browca, chłopie!

– Lubi piwo – stwierdził John. – Ej, słyszałem, że był tu dzisiaj jakiś gość z wytwórni płytowej.

– Nie podoba mi się ten facet, John. Jest... Coś z nim jest nie tak.

– Niewielu ludzi lubisz, Dave. Jest spoko. Założył się ze mną o piwo, że odgadnie, ile ważę. Trafił za pierwszym razem. Niesamowity kolo.

– A w ogóle wiesz, ile ważysz?

– Niezupełnie. Ale mógł się pomylić jakieś pół kilo, góra.

– Dobra, po pierwsze srać na to. John, ten facet udaje ten swój akcent. Kto się tak zachowuje? Farbowany. Poza tym myślę, że, eeh, coś knuje. Daj spokój.

– Knuje? Szybko oceniasz ludzi. A pomyślałeś, czy przypadkiem nie wychował go ojciec, który uciekał przed prawem? I że, aby ukrywać swoją tożsamość, ten ojciec musiał udawać obcy akcent? I że może mały Robert nauczył się takiego sposobu mówienia od taty i tym samym on też mówi z fałszywym akcentem?

– Tak ci powiedział?

– Nie.

– Daj spokój, John. Mam samochód zaraz za tymi drzewami. Jedź ze mną.

– Jedziesz do Jednego Jaja?

– Nie, oczywiście, że nie.

– W takim razie ja jadę z Headem w gruchocie. Zaproszenie wciąż aktualne, jeśli masz ochotę.

Odmówiłem. Wsiadli i odjechali.

Poczułem się nieco opuszczony. Na imprezie nie było wielu znajomych, więc wałęsałem się to tu, to tam, z nadzieją, że znów natknę się na Jennifer Lopez albo przynajmniej na psa. Odnalazłem Jennifer, siedzącą w krwistoczerwonym mustangu rocznik '65 i obściskującą się z blondasem. Wyglądał jakby dopiero co dostał prawko. Wściekłem się jak diabli, przemknąłem więc do mojego nijakiego japońskiego wozu, po drodze strząsając krople wody z wysokiej trawy.

Czekał na mnie pies.

Tuż przy drzwiach samochodu, z miną, jakby nie mógł zrozumieć, czemu mi tyle tam zeszło. Otworzyłem drzwi i „Molly” wskoczyła na fotel pasażera. Zatkano mnie i spodziewałem się podświadomie, że pies zapnie się pasem bezpieczeństwa. Nie zrobił tego. Tylko czekał.

Władowałem się do małego hyundaia, czując jak wzbiera we mnie setka pytań. Włożyłem rękę do kieszeni w poszukiwaniu kluczyków. Wyszarpnąłem ją z krzykiem.

Nie był to krzyk dziewczęcej ofiary psychopatycznego mordercy znany z tanich horrorów. Tylko schrypnięte, zduszone ŁAAA! Na mojej dłoni widniały wycięte w skórze litery układające się w zdanie: WISISZ MI BROWARA.

Siedziałem tak w ciemnościach, gapiąc się na swoją dłoń. Przez kilkanaście minut. Czuję jak coś ściska mnie w żołądku, więc wychyliłem się za drzwi i zwymiotowałem w trawę. Splunąłem i otworzyłem oczy, widząc jakiś ruch w kałuży wymiocin. Było tam coś długiego, czarnego, co wiło się na wszystkie strony.

A więc tam schował tę stonogę...

Zacisnąłem mocno powieki, opierając się w fotelu. W tej właśnie chwili postanowiłem, że pojedę do domu, wpełznę do łóżka i będę udawał, że to nigdy się nie wydarzyło.

Teraz, kiedy opowiadam tę historię, kusi mnie, żeby powiedzieć coś w stylu: „Któż by pomyślał, że John przyczyni się do końca świata?”. Jednak nie powiedziałem tego na głos, ponieważ większości z nas, którzy dorastali wraz z Johnem, zawsze wydawało się, że w jakiś sposób *pomoże* w końcu świata.

Pewnego razu na lekcji chemii John „przypadkowo” doprowadził do wybuchu palnika. Naprawdę huknęło, aż szyba w oknie poszła. Został zawieszony na dziesięć dni w prawach ucznia. Gdyby udało im się dowieść, że zrobił to celowo, wydaliliby go ze szkoły, jak to miało miejsce ze mną rok później.

Wykopali go z zajęć plastycznych za oddanie bardzo, ale to bardzo szczegółowych swoich aktów węglem, gdzie przedłużył sobie ptaszka jedynie o dwadzieścia centymetrów. Złamał sobie nadgarstek podczas upadku, kiedy próbował jechać na dachu furgonu niczym na desce surfingowej. Miał rany po poparzeniach z tyłu ud po, jak mi powiedział, wypadku z fajerwerkami, choć ja twierdzę, że było to wynikiem próby wykonania wraz z kolegami domowym sposobem odrzutowego roweru. Rok temu powiedział mi, że chciałby pewnego dnia zająć się polityką, choć nawet przez minutę nie był na studiach. Miesiąc temu stwierdził, że chciałby zająć się produkcją filmów dla dorosłych.

Rozdział 2.

Maszkarą w mieszkaniu Johna

Ciemność i ciepło. A potem elektroniczna wersja „La Cucaracha”.

Moja komórka. Podniosłem powieki. Sypialnia. Noc. Podłoga jak po wybuchu w publicznej pralni i wszędzie gazety. Tak to zostawiłem.

Pipipipipipi. PUP PUP. Pipipipipipi. PIIP.PIIP.PIIP – PIIPPIIPPIIPPIIPPIIIII...

Udało mi się poprzewracać wszystko na nocnym stoliku zanim znalazłem telefon. Zmrużyłem oczy patrząc na budzik, który leżał bezradnie na podłodze. Kwadrans po piątej. Muszę być w robocie za mniej niż dwie godziny.

– Halo?

– David? Tu John. Gdzie jesteś?

Zachrypnięty głos, dyszał ciężiej niż powinien. Jak bokser po walce.

– W łóżku. A niby gdzie mam być?

Długa chwila ciszy.

– Dzwonię do ciebie pierwszy raz dzisiaj?

Usiadłem na łóżku już całkowicie obudzony.

– John? Co się dzieje?

– Nie mogę wyjść ze swego mieszkania, Dave.

– Co takiego?

– Jestem przerażony, stary. Mówię serio.

– A co cię tak przestraszyło?

– To nie może być prawda, Dave. Nie ma takiej możliwości. To, jak się porusza, jak wygląda... to nie jest dzieło zwykłej ziemskiej ewolucji. To nie może być prawdziwe. Nie. Ale i tak udało mu się mnie uzreć.

Co takiego???

– Co takiego?

– Możesz przyjechać?

Pewnego razu John wylądował w szpitalu po tym, jak zemdlał za kierownicą swego samochodu. Dzięki Bogu, samochód nie był w ruchu, ale stał w kolejce do samochodowego baru U Wendy. Było to po pięciu bezsennych dniach na głodnego, kiedy spożywał wyłącznie wódkę i mieszankę domowych chemikaliów na podtrzymanie. Dowiedziałem się o tym dopiero po tygodniu – nie powiedział mi, bo wiedział, że bym mu wpierdolił! jeszcze w szpitalu.

Ale zapowiedziałem mu tylko, że jeśli jeszcze raz wpięprzy się w coś takiego, nie mówiąc mi o tym, nie tylko skopię mu tyłek, ale najpierw zatłukę na śmierć, a potem wyduszę ostatnie tchnienie z jego nieśmiertelnej duszy. Tak więc fakt, że John był na koce, herze czy spidzie nie oznaczał od razu, że należało ogłaszać święto narodowe, ale przynajmniej tym razem się do mnie zwrócił.

Powiedziałem:

– Będę u ciebie za dwanaście minut.

Rozłączyłem się, założyłem ciuchy znalezione na krześle i niemal zginąłem, potykając się o sukę Molly zwiniętą w progu. Wyszedłem z psem przy nodze. Znów padało tłustymi, kwietniowymi kroplami lodowatej wody, która ściekała mi za koszulę, kiedy schyliłem się wsiadając do auta. Byłem w połowie drogi do jego domu, kiedy znów zaśpiewał mój telefon. Na wyświetlaczu pojawił się numer Johna.

– Co jest, John? Coś się stało?

– Dave, przepraszam, że cię obudziłem. Mam problem i musisz mnie wysłuchać...

– John, już do ciebie jadę. Dzwoniłeś do mnie pięć minut temu, pamiętasz?

– Co takiego? Nie, Davidzie. Trzymaj się z daleka. Coś tu jest razem ze mną. Nie mogę tego wytłumaczyć. Nie sądzę, żeby chciało mnie zabić, zdaje się, że chce mnie tylko przetrzymać. Słuchaj, proszę cię, żebyś pojechał do Las Vegas. Skontaktuj się z facetem...

– John, tylko spokojnie. Mówisz bez sensu. Usiądź sobie teraz wygodnie i staraj się wyluzować. To, co widzisz, to tylko jakiś omam.

Milczenie, po chwili John spytał:

– A skąd mam wiedzieć, czy ty to naprawdę ty?

– Przekonasz się za pięć minut. Już podjeżdżam pod twój blok. Jak mówiłem, wyluzuj chłopie. John?

Nikt nie odpowiedział. Przyspieszyłem, a deszcz bębnił o szybę i gotował się w wielkich kałużach na mijanych chodnikach.

Siedem minut później waliłem już do drzwi mieszkania Johna i wykonywałem tę czynność przez kolejne pięć minut. Rozważałem już zejście na dół i obudzenie gospodarza, ale spróbowałem otworzyć drzwi i okazało się, że nie były w ogóle zamknięte na klucz.

Panował tu mrok. Nie było sensu włączać światła – jedynym źródłem światła w mieszkaniu Johna jest lampa w drugim końcu pokoju, bo nie było go stać na racjonalne posunięcie umieszczenia kolejnego tak, żeby można je było włączyć przy drzwiach. Przypomniałem sobie, że od lampy dzielą mnie przynajmniej dwa meble i jakieś dwadzieścia pustych butelek po piwie.

– John?

Cisza. Spróbowałem wejść ostrożnie do mieszkania i przewróciłem stos kolorowych pism. Starając się je ominąć, stłukłem coś ze szkła czy porcelany.

– John? Słyszysz mnie? Zaraz dzwonię po karet...uuuuufff!

Albo walnęło we mnie lecące ciało, albo też ktoś chciał mnie niekoniecznie agresywnie uściskać. Miałem twarde lądowanie – wraz z napastnikiem – na dywanie, aż nie mogłem złapać tchu.

– O mały włos, a by cię zabiło! – wrzasnął John o kilka centymetrów od mojej twarzy. – Jesteś idiotą, wiesz? Jesteś idiotą, że tu przylazłeś. Teraz zginiemy obydwaj. Mogłeś sprowadzić pomoc, ale nie, teraz zginiemy razem w tym pokoju.

Wstał ze mnie i w ciemnościach zauważyłem, jak jego głowa obraca się błyskawicznie w prawo i w lewo, jakby szukał snajpera. Przyłożył mi palec do ust.

– Ciiii. Nie widzę go. Na hasło „chodu” lecimy w drugi koniec pokoju tak szybko, jak się da. Możesz to zrobić w trzech susach i rzucić się na ziemię na koniec. Pędź, jakby sam diabeł cię ścigał. Gotowy?

– John, posłuchaj mnie. – Zamilkłem, żeby na siłę zaczerpnąć powietrza w płuca i pomyśleć. – Nie możesz opuścić kolejnego dnia w pracy. Jeśli pozwolisz się zabrać do szpitala, to powiemy im, że się zatrąłeś czy coś takiego. Myślę, że nie zadzwonią po gliny. Możemy tam dostać zwolnienie od lekarza. Jak dostaniemy zwolnienie, to może uda mi się namówić Jeffa, żeby cię zatrzymał.

– Chodu!

John skoczył na równe nogi, ruszył przez pokój i rzucił się za przewróconą sofę przy ścianie. Przefrunął nad nią, machając rękami niczym szmaciana lalka i waląc w ścianę za nią. Wydała głuchy odgłos. Wstałem spokojnie, poszedłem w prawo i włączyłem lampę na podłodze. Spojrzałem w stronę Johna, który zerkał zza przewróconej sofy. Obok niej stał fotel, a po drugiej stronie przewrócona ława. Po tamtej stronie pokoju zbudował sobie niezłą fortyfikację.

– John...

Wstał, szeroko otwierając oczy. Wyciągnął do mnie dłoń z rozczapierzonymi palcami.

– Dave, nie ruszaj się. – Mówił beznamiętnym, cichym i śmiertelnie poważnym głosem.

– No co jest?

– Błagam cię – powiedział już niemal szeptem. – Wiem, że mi nie wierzysz. Uwierzysz, jak się obrócisz. Ale proszę cię, nie krzycz. Jeśli krzykniesz, to po tobie. Teraz. Bardzo wolno, odwracasz się...

Bardzo wolno, jak mnie prosił, odwróciłem się.

Przez ułamek sekundy byłem pewien, że naprawdę coś widzę. Poczułem jak włosy stają mi dęba na karku, jakby owiało je tchnienie gorącego oddechu.

Nic tam nie było. Westchnąłem wściekły, że dałem się tak wkręcić.

Znów stanąłem na wprost Johna, a moje uniesione brwi mówiły mu, że nie widziałem niczego groźnego oprócz bardzo dużego i bardzo rozebranego plakatu z najwyraźniej zawodową zapaśniczką.

– Nie, przesunęło się – powiedział. – O tam – wskazał na róg blisko sufitu.

Bardzo wolno odwróciłem się i wyciągnąłem szyję, a moje oczy podążyły za jego wyciągniętym palcem, do miejsca na ścianie, które tak bardzo musiał mi pokazać.

Wciąż nic.

– John, możesz albo pojechać ze mną do szpitala, albo ja dzwonię po karetkę. Ale zamierzam zrobić też...

– Drzwi! Chodu!

John cisnął sofą, po czym pobiegł i rzucił się przez otwarte drzwi. Stałem i patrzyłem jak ląduje na dywanie, po czym gładko przeszedł w bieg na oślep przez korytarz już za drzwiami. Usłyszałem z oddali jak z hukiem wypada przez drzwi klatki schodowej i wydaje z siebie triumfalny okrzyk.

Westchnąłem i rozejrzałem się po mieszkaniu. Odnalazłem i włożyłem sobie do kieszeni jego klucze, po czym wznowiłem poszukiwania i odnalazłem jego kurtkę na łóżku. Sięgnąłem po nią, ale cofnąłem gwałtownie rękę, sycząc z bólu. Coś dźgnęło mnie w palec zostawiając na nim kropelkę krwi. Sięgnąłem do przedniej kieszeni kurtki...

Strzykawka.

Była to jedna z tych tanich, jednorazowych strzykawek sprzedawanych diabetykom. W środku był jakiś osad, czarny jak sam skurwysyn. Przypominał zużyty olej silnikowy. Odłamałem igłę, wrzuciłem ją do kosza i schowałem resztę strzykawki do kieszeni spodni. Nigdy tego wcześniej nie robiłem i nie wiedziałem, czy lekarze będą tego potrzebować, by zbadać zawartość strzykawki. Jeśli nie, miałem zamiar wsadzić to Johnowi głęboko w dupę.

Przekopałem mu kieszenie w poszukiwaniu fiolek, lufek czy czegośkolwiek, co mogłoby wprowadzić jakieś świństwo do jego organizmu. Znalazłem tylko pustą paczkę po chesterfieldach i złożone potwierdzenie nadania czegoś kurierem FedEx na adres w Newadzie.

Zatrzymałem się tuż przed etapem przeszukiwań zwanym popularnie „szperaniem” i zamknąłem mieszkanie na klucz. Zszedłem na dół i odnalazłem Johna chodzącego po parkingu tam i z powrotem, jak lew w klatce. Padał na niego deszcz, miał zaciśnięte pięści, jakby gotował się do starcia z samym mrocznym bogiem Cthulhu, który zaraz miał wypaść z drzwi wejściowych w płataninie macek. Rzuciłem mu jego kurtkę i kazałem włączyć do mojego wozu. Otworzył drzwi i zamarł ze zgrozy.

– No co jest? – warknąłem. – Co znowu?

John gapił się na Molly jakby była puszystym wcieleniem diabła.

– John?

– Eee.... Nic takiego. Kiedy znalazł się ten pies?

– Znasz tego psa? Łaził za mną jak... hm, bezpański szczeniak.

– Boja wiem. Nieważne. Chodźmy zanim... zanim coś innego zacznie za nami łązić. – Zerknął na blok.

Schowałem się do wnętrza samochodu, ale silnika nie włączałem.

John ponownie zerknął na budynek i powiedział.

– Powiedz mi tylko, że to widziałeś. Przynajmniej tyle.

– Nie widziałem. Powiedz mi, co to jest.

Pokazałem mu strzykawkę. John potarł oczy niczym skrajnie wyczerpany człowiek.

– Nie chcesz wiedzieć, co to jest. Która godzina?

– Po piątej rano.

– Jakiego dnia?

– Jest piątkowa noc, czy też raczej sobotni poranek. Mam wrażenie, że wciąż jest piątek, bo prawie nie spałem. A dzisiaj idziemy do pracy, zapomniałeś?

– Nie powinieneś być tu przychodzić.

– Dzwoniłeś do mnie. Błagałeś mnie.

John oparł się na fotelu i zamknął oczy. Przez chwilę wydawało mi się, że drzemie. W końcu wymamrotał:

– Dzwoniłem? Kiedy?

– Powiedz mi, co to za świństwo, John. Będą mnie o to pytać od razu. Powiedz mi, zanim zaśniesz.

– Teraz sobie przypomniałem. No, że dzwoniłem do ciebie. Jest ciężko, bo wszystko mi się zlewa w jedno. Dzwoniłem, dzwoniłem i dzwoniłem bez końca. Jakbym strzelał z pompki we wszystkie strony w nadziei, że w coś trafię. Założę się, że dzwoniłem do ciebie ze dwadzieścia razy.

– Dwa razy. Dzwoniłeś do mnie dwa razy, John. Odpowiedz na moje pytanie.

– Naprawdę? Dziwnie się zachowujesz. Wiesz, co myślę? Myślę, że będziesz dostawał telefony ode mnie przez kolejne osiem do dziewięciu lat. Wszystkie takie jak dzisiejsze. Nie mogłem nic na to poradzić, nie mogłem się skupić. Wciąż wylewa mi się wszystko z czasu... będziesz miał wiadomość na poczcie głosowej za trzy lata, że normalnie można boki rwać ze śmiechu.

Wsadziłem strzykawkę z powrotem do kieszeni i włączyłem silnik. John sięgnął dłonią i złapał mnie za nadgarstek. Miał otwarte szeroko oczy i był czymś cholernie przestraszony.

– Czekaj. Dokąd my jedziemy? Gdzie będziemy bezpieczni przed tą maskarą?

– Na izbie przyjęć, John. Nie zamierzam uczestniczyć w twojej grze. Nie mam pojęcia, co innego można zrobić i nie wiem, jak za to odpokutujesz. Masz złą jazdę, czy jak to tam nazywają. Może to poważne, a może wcale. Może wystarczy tylko to odespać. Nie wiem, ponieważ nie jestem ani ćpunem ani lekarzem.

– Nie. Szpital do dupy. Pojedźmy do ciebie, albo gdzieś indziej. Wszędzie, byle nie zostać tutaj.

Nie przypominam sobie reszty tej rozmowy. Jestem nią zbyt zawstydzony. Mówiąc w dużym skrócie, John przekonał mnie, żeby go nie leczyć, a ja bardziej przejmowałem się tym, czy będzie mnie lubił niż tym, czy umrze. Tej nocy, w tej właśnie chwili byłem najpodlejszym, najbardziej samolubnym, bezwartościowym łajdakiem na ziemi.

Dokąd więc można było jechać? Obaj mieliśmy pietra z różnych powodów. On łaknął bezpieczeństwa, a ja potrzebowałem pewnego rodzaju dobrze znanego, krzepiącego otoczenia.

Nie jestem pewien, w jaki sposób doszliśmy do decyzji, by jechać do Denny, ale skończyliśmy właśnie w tym przybytku. Dobrze oświetlonym, znanym, pełnym ludzi. Usiedliśmy w boksie i pochłanialiśmy jedną filiżankę kawy za drugą w całkowitym milczeniu. John palił te swoje papierochy i rzucał ukradkowe spojrzenia za okno, a ja liczyłem cenne sekundy upływające bez jego psychotycznego bredzenia. Z każdym nadejściem takiej spokojnej chwili przekonywałem się, że wszystko idzie ku lepszemu, że najgorsze już za nami. Ale, żeby tak mnie obsrało, myliłem się całkowicie.

– No i? – zapytałem. – Jak się czujesz? Lepiej?

– Widziałem różne rzeczy. Dzisiaj widziałem. Zarówno przed jak i po... – Głos mu gdzieś odleciał. Zaciągnął się papierosem.

– No dobra – powiedziałem. – Zaczekaj. Nie wiesz jak się nazywa ta szpryca?

– Robert mówił na to „sos sojowy”. Ale teraz sobie myślę, że to tylko taka nazwa, no wiesz, że to nie jest żaden sos sojowy.

Robert? Ach, oczywiście. Robert, Farbowany Magiczny Jamajczyk z imprezy. Muszę znaleźć Roberta, postanowiłem. Muszę zamienić z nim słówko.

– Robert? – zapytałem. – A jak dalej?

– Marley.

No jasne.

– Tylko takie nazwisko ci podał?

– Taa. Nie chciałem być wścibski.

– I dał ci ten...

Zacwierkała moja komórka. Zignorowałem to. Któż niby mógł do mnie dzwonić o takiej porze? Może Tina z płaczem, bo chce się zejść szósty raz i siedzi w domu taka samotna? Jennifer Lopez,

bo stwierdziła, że szorstko się ze mną obeszła na imprezie i teraz chciała się pobawić w Chowanie Koktajlowej Paróweczki?

– Tak. Dał mi – odparł John. – Upiliśmy się na parkingu w Jednym Jaju, jak już zamknęli. Podawaliśmy sobie jointa. Head i Nate Wilkes dwiema łyżeczkami rozkruszyli jakieś tabletki i wciągali je nosem. Był też... inny towar. Nieważne. Piliśmy dalej.

Pipipipi PUP, PUP...

– A potem ten Jamajczyk wyciągnął sos. „Otworzy ci drzwi do innych światów, chłopie” powiedział. Kazaliśmy mu wziąć to najpierw, żeby sprawdzić czy nie wykituje. Najwyraźniej uszczęśliwiło go to i potem... Dave, ten facet... Wiem, że nie mogłem tego widzieć na własne oczy, ale on się skurczył, zmałał do metra. Wszyscy zaśmiewaliśmy się z tego po pachy, a on znów wrócił do normalnego wzrostu.

– Ale, pomimo tego, musiałeś spróbować tego gówna?

– Jaja sobie robisz? Jakże mógłbym odmówić?

Telefon znów zaczął swoje elektroniczne trele.

– Czy ktoś inny też to brał?

– Masz zamiar odebrać?

– Będziesz próbował po raz kolejny uniknąć tego pytania, a nachylę się przez ten stół i walnę cię w japo. Popatrz mi w oczy. Wiesz, że mówię serio. Męczy mnie już ta twoja...

– To nie jest takie proste, Dave. Wszystko się popierdoliło jakby ktoś kazał ci oglądać dziesięć filmów na raz, a potem zmuszał do napisania recenzji o każdym z nich. Ten towar... Dave, przypominam sobie rzeczy, które się jeszcze nie zdarzyły... znaczy, których nie było. Nawet teraz, cała ta jazda z Las Vegas. Czy myśmy byli w Las Vegas? Ty i ja?

Telefon zaczął po raz trzeci. Albo czwarty, straciłem rachubę.

– Nie, John. Nie byliśmy nigdy w Vegas, żaden z nas. Czy tylko ty wzięłeś ten sos?

– Nie wiem, to właśnie staram się powiedzieć. Poszliśmy do mieszkania Roberta, ale Head i reszta chłopaków odpuściła. Myślę, że zrobili się nerwowi, jak zobaczyli igłę. W przyczepie Roberta były jakieś młodziaki, imprezowicze, którzy tam wylądowali. Nie, proszę, proszę, bardzo cię proszę, odbierz ten telefon albo go wyłącz. Ta cholerna melodyjka doprowadza mnie do szału.

– Zaraz, zaraz. Wzięłeś coś, co przeraziło Heada? Faceta który brał wszystko, co mogłoby zatruć rzekę Phoenix tylko po to, by udowodnić, że nie pęka?

– Dave...

– No dobrze już, dobrze.

Wyciągnąłem telefon z kieszeni, otworzyłem klapkę i niemal walnąłem się telefonem w skroń.

– Czego?

– David? To ja.

Ach, znów to uczucie. Dreszcz odrealnienia sprawiający, że kawa w moim brzuchu zmienia się w ciekły azot.

Był to głos Johna.

Nie ma tu żadnych wątpliwości. Człowiek, który siedział na wprost mnie, palił spokojnie bez komórki przy uchu, ten właśnie człowiek do mnie dzwonił.

Zerknąłem na Johna i rzuciłem do mikrofonu:

– Czy to jest nagranie?

– Co takiego? Nie. Nie wiem czy rozmawialiśmy dzisiaj w nocy, ale nie mamy wiele czasu. Wydaje mi się, że dzwoniłem do ciebie i prosiłem, żebyś tu przyjechał. Jeśli tak, to nie rób tego. Jeśli nie dzwoniłem, to i tak powinieneś się trzymać z daleka. Słuchaj, chcę żebyś pojechał do Las Vegas. Jest tam taki facet, który...

– Kto mówi?

John siedzący ze mną w boksie posłał mi wymowne spojrzenie. A z telefonu dobiegło mnie:

– Tu John. Słyszysz mnie?

– Słyszę cię i widzę cię – powiedziałem z drżeniem w głosie. – Siedzisz ze mną przez stół.

– Cóż, w takim razie porozmawiaj ze mną osobiście. Ach, poczekaj. Czy wyglądam jakbym był ranny czy coś takiego?

– Co?

– Kurwa mać! Ktoś jest przy drzwiach.

Klik. Już go nie było.

Siedziałem z telefonem wciąż przyciśniętym do ucha i nagle poczułem się bardzo, ale to bardzo zmęczony.

Gdybym siedział z kimkolwiek innym, pomyślałbym, że moi kumple robią mi pijacki kawał. Ale byłem pewien, że nie jest to żaden misterny plan Johna z dwóch powodów. Po pierwsze, John wie jak się potrafię wkurzyć i celowo by tego nie zrobił, a po drugie, to w ogóle nie było zabawne.

Byłem przerażony. Naprawdę przerażony, może po raz pierwszy od czasów dzieciństwa. John był blady i wyglądał jak trup. Czuję chłód i wilgoć w stopach, piekły mnie szkła kontaktowe, mój mózg fizycznie cierpiał z braku snu. Miałem ochotę podpalić tę komórkę, wrócić do domu, zamknąć drzwi na klucz i zwinąć się pod kocem w szafie.

Doświadczałem przełomowej chwili w swoim życiu, tu i teraz. Ale też całe moje życie wiodło mnie do tego właśnie momentu, nie tak?

Od pierwszego dnia było tak, jakby całe społeczeństwo brało udział w tym gwałtownym, skomplikowanym pląsie i wszyscy oprócz mnie znali kroki. Ja padałem na parkiet raz za razem, podnosiłem się z niego, zakrwawiony i upokorzony. I zawsze spoglądały na mnie z przyganą ludzkie twarze, jakby gapie oczekiwali, że już sobie pójdę i przestanę pierdolić im zabawę.

Chcieli mnie wypchnąć do miejsca, w którym kuliły się z zimna wszystkie nieprzystosowane świry. Tam, gdzie byli wszyscy popaprańcy, złamani frajerzy o szklistym spojrzeniu, którzy mogli jedynie obserwować jak ci normalni cieszą się swoimi nowymi, lśniącego brykami, posadkami i wakacjami z dziećmi.

Dziwolągi wiodły swój żywot na wałęsaniu się z kąta w kąt i zastanawianiu się nad tym, jak to się stało, że wypadli z obiegu, mamrocząc coś o spiskowych teoriach i potwierdzonych przypadkach spotkań z yeti. Ich zetknięcia ze światem znaczyły niezręczne rozmowy i zduszony śmiech, ukradkowe uśmiešky i przewracanie oczami. I, co było najgorsze, *współzucie*.

Siedząc tam tej kwietniowej nocy wyobrażałem sobie, jak wypychają mnie do nich, a drzwi zamykają się za mną z trzaskiem.

Witaj w krainie popaprańców, Dave. Teraz trzeba będzie założyć stronę w sieci, gdzie opiszesz wszystko na jednym wielkim blogu.

Było to niczym konanie.

– To byłem ja? – zapytał John. – To ja dzwoniłem, prawda?

Spuściłem wzrok na swoją kawę i zastanawiałem się, czy nie chlusnąć nią Johnowi w twarz.

– Przepraszam, Dave, naprawdę mi przykro. Za to, że zakłóciłem ci sen i za wszystko, co się jeszcze wydarzy, za ludzi, którzy, eee, wybuchną.

Już stałem i chciałem wyjść. John zdaje się płacił za nas przy kontuarze, nie mam pojęcia. Przepchnąłem się przez szklane drzwi i wyciągnąłem kluczyki. Otworzyłem drzwi od strony kierowcy, a suka Molly w jednej chwili wyskoczyła na chodnik, szczekając jak opętana i patrząc wprost na mnie. Następnie potruchtała przez pusty parking, odwróciła się i znów zaszczekała, podbiegła kilka kroków dalej i zaszczekała jeszcze raz.

John stwierdził:

– Myślę, że chce nam coś pokazać.

Zeszła z chodnika zerkając na nas, jakby chciała się upewnić czy za nią idziemy. Wślizgnąłem się do wnętrza samochodu.

Wycofałem i pojechałem w zupełnie przeciwnym kierunku niż chciał pies. John najwyraźniej miał ochotę to skomentować, ale prawdopodobnie moja mina ostrzegła go, by tego nie robił. Kiedy już wyjechałem na ulicę słyszałem jak przez mgłę biegnącego i szczekającego psa, ale zlekceważyłem to. Jechaliśmy w napiętej ciszy.

W końcu zapytał mnie ostrożnie, dokąd jedziemy.

– Jedziemy do pierdolonej tyry, John. Jest szósta i musimy otworzyć interes. Nie ma nikogo, kto mógłby nas zastąpić.

Nic na to nie powiedział. Oparł się tylko wygodnie, odwrócił głowę i wyglądał przez okno, spoglądając na mijane witryny i kilku porannych biegaczy, nie mówiąc ani słowa. W końcu zapytałem go jak się czuje, ale nie dostałem odpowiedzi. Widziałem, że wciąż oddycha. Dobry znak. Po prostu zasnął. Myślałem, że to dobrze.

Jeśli zrobi mu się gorzej i umrze, Robercie Marley, to znajdą cię gdzieś w jakimś rowie.

Zatrzymałem się na czerwonym świetle, czując idiotyzm tego odruchu na pustym o tej porze skrzyżowaniu. Wyszkoliło mnie to całe społeczeństwo, nie powiem. Przetarłem oczy i jęknąłem, czując, że jestem całkowicie sam na tym świecie.

Lup!

Drapanie o szybę.

Pazury.

Drgnąłem i odwróciłem się.

To *były* pazury.

Pazury Molly. Stała na tylnych łapach napierając przednimi na okno.

Hau!

– Idź sobie!

Hau!

– Zamknij się!

HAU!

– Ej, mówiłem ci, zamknij się! Zabierz te łapska z mojego wozu!

HAU, HAU, HAU!

– Zamknij się! Zamknij się! Zamknij!

Trwało to dłużej niż miałbym ochotę przyznać i skończyło się na tym, że wysiadłem i przechyliłem swój fotel w przód, żeby Molly mogła wskoczyć do tyłu. Tak, moje życie weszło w ostry wiraż, ponieważ tego poranka przegrałem kłótnię z psem.

Powęszyła wokół Johna, po czym szczeknęła na mnie, a niewielka przestrzeń spotęgowała jedynie hałas. Pomimo tego, John ani drgnął.

– No i czego ty chcesz?

Wydawało się, że jest to całkiem sensowne pytanie w tych okolicznościach. Pies najwyraźniej miał jakiś cel i nie zamierzał zostawić mnie w spokoju, dopóki nie spełnię jego żądań.

– No co jest? Myślisz, że jestem twoim panem? Czyżby mały Timmy spierdolił się do cholernej studni? Czego ty...

Przerwałem, a mój wzrok spoczął na jej pobrzękującej obroży i niewielkiej metalowej płytce.

Jestem Molly

Proszę oddać mnie...

Przestała szczekać.

Dom znajdował się w cholerę za miastem, nieopodal wielkiej fabryki kreta. W pewnym momencie skręciłem w prawo i Molly dostała ataku szczekania. Zrobiłem zwrot i momentalnie się uspokoiła.

Zobaczyłem wielki, zrujnowany wiktoriański dom, stojący nieco z boku przy końcu ulicy i uświadomiłem sobie, że pies wskazał mi właściwy adres. Nie wiedziałem, czy psy to potrafią, ale w tym momencie byłem pewien, że ten tak...

– Och, w mordę.

Powiedziałem tak na głos w samochodzie. Coś przeskoczyło tak mocno w mojej głowie, że aż drgnąłem.

Znałem to miejsce. Przypomniała mi się impreza i wielki, rudy chłopak stojący plecami do mnie obok Roberta fałszywego Jamajczyka.

Był to Wielki Jim Sullivan.

To był jego dom.

Wielki Jim chodził do szkoły o klasę wyżej ode mnie, był o głowę wyższy i ważył dwa razy tyle co ja. Zrobił się sławny w miasteczku po tym, jak próbowano mu ukraść samochód, co skończyło się na tym, że Jim wyrwał broń napastnikowi (rozrywając mu skórę palca wskazującego przy okazji) i zaczął go walić jego własną spluwą po głowie. Potem Jim odwiedził faceta w szpitalu i poświęcił kilka godzin, czytając mu fragmenty z Biblii. Kiedyś wygrał walkę z Zachem Goldsteinem, przekopując go dosłownie przez barierkę.

Żyłem w ciągłym strachu przed tym człowiekiem i nawet teraz miałem ochotę wywalić psa przez okno samochodu i odjechać z piskiem opon.

No bo, widzicie, Jim miał też siostrę.

Nazywaliśmy ją „Ogórek”, ale za cholerę nie mogłem sobie przypomnieć jej prawdziwego imienia. Uczyła się w „Special Ed” kilka klas niżej ode mnie. Ludzie myślą, że jej przydomek ma coś wspólnego z seksem, ale tutaj chodziło o morskiego ogórka. Mają specjalny mechanizm obronny i rzygają w obliczu niebezpieczeństwa, wrywając sobie flaki i mając nadzieję, że drapieżnik nazre się nimi, ale ich samych nie ruszy. Powiniennem to wiedzieć, sam jej nadałem tę ksywę.

No bo siostra Jima rzygała na potęgę i nie ma w tym ani odrobiny przesady. Mniej więcej dwa razy w tygodniu rzygała albo obrzygiwała kogoś. Nie wiem, jaka była tego przyczyna. Prawie wszystko było z nią nie tak, ale przynajmniej miała jedną z najbardziej inteligentnych ksywek w szkole.

W ostatnim roku szkoły, kiedy to wywalili mnie i przypisali do programu Dysfunkcji Zachowań, Wielki Jim usłyszał jak ją tak nazywam i przez resztę mych szkolnych dni żyłem w strachu, że któregoś dnia dopadnie mnie na parkingu i połamie na małe kawałeczki. Najgorsze było to, że krwawiąc i czując jak ruszają mi się wszystkie zęby, wiedziałbym, że zasłużyłem na każdą sekundę tego lania.

A więc Wielki Jim był na imprezie. Z Robertem? Co to oznaczało? I skąd tam się wziął jego pies? Czy zabierał psa na każdą imprezę? Czyżby oślepl i Molly stała się jego psem przewodnikiem? A może to pies miał urodziny?

Poczułem się jak kretyn. Wozilem psa po całym mieście, wystawiając się jednocześnie na wielkie niebezpieczeństwo, kiedy mogłem go zostawić na imprezie, tam gdzie był jego właściciel.

Zacząłem się zastanawiać, jak mam do tego wszystkiego podejść – do sosu sojowego, Roberta i tego niezwykle mądrego psa.

Zaraz. Podjazd jest pusty.

No i co z tego? Wielki Jim pewnie urznął się i teraz odsypiał zabawę w domu swojej dziewczyny.

Gówno prawda. Wielki Jim nie pił i nie zostawiłby swojej młodszej siostry w domu samej na noc.

Wysiadłem z samochodu i przywołałem psa. Nie poszła za mną. Zawołałem ją, klepiąc się po udach, co – jak widziałem – robili inni właściciele psów, więc pomyślałem, że to zadziała. Nic. Błaznowałem tak przez kilka minut, a pies nawet na mnie nie spojrzął, znów węsząc coś wokół Johna. Uświadomiłem sobie, że choćbym klepał się godzinami po udach i podsuwał jej smakowitą kość, nie ruszy się z miejsca. Wsunąłem się do środka i zacząłem ciągnąć ją za obrozę. Wycofywała się z warkotem, patrząc na mnie z pogardą, o jaką nawet nie podejrzewałbym psa.

– No chodźże, do cholery! Sama kazałaś mi tu przyjechać!

Przy tym wszystkim John ani drgnął. Myślę, że to mnie najbardziej przeraziło. Leżał tak, na niewygodnym, koślawym fotelu, poskręcany i oklapły niczym manekin do testów. Raczej w omdleniu niż we śnie. Sięgnąłem do środka i złapałem brutalnie obrozę Molly.

Pominę kolejne dziesięć minut i powiedzmy, że skończyło się na tym, iż zacząłem nieść Molly w stronę domu. Miałem chytry plan, by przywiązać ją do czegoś i wymknąć się niezauważony, ale kiedy mijałem drzwi wejściowe, otworzyły się.

Nie na oścież, ledwo kilka cali, na tyle na ile pozwalał zapięty łańcuch. Opanowało mnie zdenerwowanie, towarzyszące przyłapaniu na gorącym uczynku. Odwróciłem się z dużym psem na rękach i zobaczyłem bladą, piegowatą, całkowicie zagubioną twarz siostry Jima. Nic nie

wskazywało na to, żeby mnie rozpoznała, a może po prostu nie chciała się przyznać, skąd mnie pamiętała.

Ej! Czy nie chodziliśmy czasem razem do szkoły specjalnej?

Pospieszenie wyciągnąłem brodę znad psa i odezwałem się.

– Noo, cześć, mam, tego no, psa mam.

Drzwi zamknęły się. Stałem tam przez chwilę jak kołek w płocie i opanowała mnie chęć rzucenia psa i puszczania się biegiem do samochodu. Słyszałem ze środka głos Ogórka, która krzyczała:

– Jim! Jest tu ten koleś, co ukradł psa!

Posadziłem psa na ziemi i złapałem ją za obroź zanim zdołała uciec. Drzwi otworzyły się ponownie z trzaskiem i już niemal widziałem jak staje w nich Wielki Jim, a jego wielki, irlandzki, miedzianowłosy łeb wyłania się o pół metra nad miejscem gdzie poprzednio była głowa jego siostry. Ale to znów była jego siostra, która powiedziała:

– On już idzie. Lepiej oddaj mi teraz psa. Ale możesz sobie go zatrzymać, jak chcesz.

– Co takiego?

– Pies. Możesz go sobie zatrzymać. Jest wart sto dwadzieścia pięć dolarów, ale możesz go sobie zatrzymać, bo jest już używany.

– O, nie. Nie potrzebuję... znaczy, ech, jest twój, czy tak?

– Jima. Ale on też go nie lubi. Już tu idzie.

– Ale o co chodzi, co brakuje temu psu?

Pospieszenie zamrużyła oczami, odrywając ode mnie wzrok i spoglądając na psa i znowu na mnie. Czy to był *strach*? Coś ją zdenerwowało w tym psie?

I ciebie, i mnie, złotko.

– Nie – odpowiedziała wbijając wzrok w buty.

– W takim razie, dlaczego zapłaciłaś sto dwadzieścia pięć dolarów za niego?

– Czy widziałeś kiedyś szczeniaka golden retrievera?

– Twojego brata nie ma w domu, mam rację?

Nie odpowiedziała.

– No bo nie ma samochodu. Czy on nie jeździ jakimś dżipem? Wielkim furgonem?

Popatrzyła gdzieś w dal, po czym powiedziała:

– Wiesz, że mamy w domu broń? Chcesz tego psa czy nie?

– Ja? Co takiego? Nie. Gdzie jest Wielki Jim?

– Kto?

– Jim, twój brat.

– Właśnie poszedł po coś. Może wrócić lada chwila.

– Do jasnej cholery, przecież nie rzucę się na ciebie. Czy wczoraj wieczorem pojechał na imprezę?

Długa chwila milczenia. Powiedziała:

– Może pojechał.

Och, kurde, no popatrzcie tylko na nią. Jest nieprzytomna ze strachu.

– Za miasto? Przy jeziorze?

Coś w niej pękło:

– Wiesz, gdzie jest?

– Nie. Nie wrócił do domu?

Nie odpowiedziała. Potarła jedno oko.

– Pies – przypomniałem. – Molly była na przyjęciu. Czy on ją tam zabrał?

– Nie. Uciekła wcześniej.

A więc... pies pobiegł za nim na imprezę? Czy szukał tam Jima? Kto to wie.

Odezwała się:

– Myślę, że Jim nie żyje.

Zamarłem.

– *Co takiego?* Och, nie. Z całą pewnością żyje. Myślę tylko, że...

Wybuchnęła płaczem i wykrztusiła:

– Nie odbiera telefonu. Myślę, że ten czarny go zabił. – Popatrzyła mi prosto w oczy i wypaliła:

– Byłeś tam?

Brzmiało to jak oskarżenie. Nie pytała mnie, czy byłem na imprezie. Pytała, czy widziałem śmierć Jima. Rozmowa zaczynała się wymykać spod kontroli.

– Nie, nie byłem. Czekał, jaki czarny? Czy ma na imię Robert? Ma dredy? Skąd go znasz?

Wytała twarz koszulą i powiedziała:

– Dzwonili z policji.

– W sprawie Jima?

Pokiwała głową.

– Pytali, czy jest w domu, ale nie chcieli powiedzieć nic więcej. No i jeszcze ten dredziarz, był w domu kilkakrotnie. Na haju. Jim pracuje w przykościelnym schronisku i udziela porad różnym typom. Czasem przychodzą tu i pytają o Jima, proszą o różne takie, podwiezienie czy pieniądze. Ten czarny przychodził tutaj, ale Jim nie wpuszczał go do środka. Molly go ugryzła. Wybiegła i ugryzła go w rękę, kiedy rozmawiał z Jimem.

– Kiedy to było?

– Wczoraj. Stał tu, gdzie ty teraz. Darł się.

– Słyszałaś, co mówił?

– Mówił, że pies ugryzł go w rękę. Myślę, że to był czciciel diabła.

– Uch, myślę, że to możliwe. Czy ty...

– Teraz zamknę już drzwi.

– Nie! Poczekaj! A co z...

Drzwi się zamknęły.

Pokonany, poprowadziłem Molly na tył domu, gdzie odnalazłem trzy metry łańcucha z rozerwanym ogniowem, które najwyraźniej wczoraj zerwała. A więc co? Suka zerwała się z łańcucha, po czym pokonała siedem mil przez pola do sąsiedniego miasteczka, w którym, co wiedziała jakimś psim śwędem, przebywał jej pan na plenerowej imprezie? Nie, no dajcie spokój.

Owinałem jej szyję łańcuchem wokół obroży i starałem się zawiązać go na supeł. Wlazłem z powrotem do samochodu i zobaczyłem, że John nie ruszył się ani o włos, tylko klatka piersiowa unosiła się i opadała miarowym rytmem. Wciąż dycha. Dobrze, bo mieliśmy za kilka minut być w Wally's i najwyraźniej będę musiał sam otworzyć interes.

Gdybym wiedział, co się wydarzy w pracy, oczywiście bym tam nie pojechał. Zdjąłbym też spodnie. Niestety, nie miałem zdolności jasnowidza – przynajmniej jeszcze nie wtedy – siedziałem więc tylko zaszepiony za kierownicą, kiedy zaparkowaliśmy przed wypożyczalnią, by od siódmej rozpocząć pierwszą zmianę w Wally's Vide-Oh!, gdzie ja pracowałem od dwóch lat, a John od dwóch miesięcy.

John zawsze psioczył na „Wally'ego”, jaki to on jest skąpy, że dawno już powinien dać mi podwyżkę i tak dalej. Nie docierało do niego, że nie ma takiej osoby jak „Wally” w firmie Wallys. Że tak nazywała się maskotka w kształcie płyty DVD w sztyldzie zakładu. Nie miałem serca wprowadzać go z błędu.

Zaparkowałem i wdałem się z Johnem w dyskusję, która miała mniej więcej taki przebieg:

– John? Jesteśmy w robocie. Musisz się podnieść. John? John? John? Musisz wstać, John. John? Widzę jak oddychasz, więc wiem, że żyjesz. Wiesz, co to znaczy? To znaczy, że musisz podnieść zwłoki. John? No przestań już, musimy iść do roboty. John? Obudziłeś się? John? John? Obudź się, John? Wstawaj! John? John?

W końcu wygramoliłem się z wozu, obszedłem go i stanąłem przy jego drzwiach. Sięgnąłem do klamki i zamarłem.

Miał oczy szeroko otwarte i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w szybę. Wciąż oddychał i mrugał, ale tak naprawdę go tam nie było.

Wspaniale. No i co teraz?

Jeśli chcecie powiedzieć „trzeba było zawołać karetkę”, to przyznaję, że tak właśnie zrobiłaby rozsądna osoba. Ja natomiast eksperymentowałem przez jakiś czas, trącając go, bijąc na odlew w

policzek, oczekując jakiejś reakcji. W końcu pomyślałem, że wywabię go z samochodu, zabierając mu papierosy i trzymając mu paczkę przed oczami na wabia. Chodził jak somnambulik, wolno przesuając stopy, ale ogólnie rzecz biorąc nie reagował.

Kiedy już znalazł się w środku, posadziłem go przed komputerem za ladą, sięgnąłem do klawiatury i wyświetliłem mu kartotekę przed nosem. Gdyby ktoś przyszedł, będzie wyglądało, że jest zatopiony w pracy umysłowej. Popatrzyłem na cały ten obrazek, zastanowiłem się nad wszystkim, po czym chwyciłem go za prawe ramię i podparłem nim jego brodę. No tak, teraz wyglądało, że się strasznie skupia.

Odłożyłem zwroty na półki i zapakowałem nowości z wtorku, żeby Tina nie musiała tego robić. Udawało mi się zachować zwyczajny wygląd na użytek kilku klientów, którzy przeoczyli wypożyczalnię Blockbuster dwie przecznice dalej. Kiedy po lunchu miałem trochę czasu dla siebie, zacząłem kartkować Żółte Strony, następnie podniosłem słuchawkę aparatu na ścianie i przysunąłem sobie krzesło.

Dwa dzwonki, a potem:

– Święty Franciszek, słucham.

– No, ee tak – zacząłem niezręcznie. – Potrzebuję księdza.

– No tak, tu mówi ojciec Shelnut. W czym mogę pomóc?

– No, siemka. Ma ksiądz doświadczenie z no, niby tego, demon... izmami? Z demonologią, tak się chyba mówi. Opętaniem, nawiedzeniami i tym podobnymi sprawami?

– No cóóóóó... nie mogę powiedzieć, żebym osobiście się tym zajmował. Ludzie przychodzą do mnie i mówią, że widzieli różne rzeczy albo, powiedzmy, poczuli jakąś niewytłumaczalną grozę w domu, albo słyszeli głosy, ale zwykle odsyłamy ich do poradni, albo, sam pan rozumie, często leki są w stanie wiele zdziałać...

– Nie, nie, nie, nie zwariowałem. – Zerkam na Johna, który wciąż jest w pełnej katatonii. – Natomiast za innych nie ręczę...

– Nie, wcale nie chciałem niczego sugerować. Proszę posłuchać, może przyjdzie pan do mnie na rozmowę. A nawet jeśli chce pan porozmawiać ze specjalistą, to mój szwagier jest naprawdę dobry. Może właśnie tak zrobimy? Niech pan przyjdzie, porozmawiamy.

Zastanawiam się przez chwilę pocierając skroń wolną ręką.

– Jak ojciec myśli, jak to jest?

– Co takiego?

– Wariactwo. Kiedy się jest chorym psychicznie.

– Cóż, chory nie ma świadomości tego, że oszalał, prawda? Nie można samego siebie zdiagnozować organem, który jest chory, tak jak nie można zobaczyć własnego oka. A więc, zakładam, że pan czuje się dobrze, ale reszta świata zdaje się wariować wokół pana?

Zastanowiłem się i powiedziałem:

– Dobra, ale przypuśćmy, że na serio i całkiem poważnie natknąłem się na coś, co wymyka się wszelkim... AUC!

Poczułem ukłucie w udzie, jakby mnie pszczoła użądliła. Poderwałem się z miejsca jak oparzony, przewracając krzesło i upuszczając słuchawkę, która walnęła o ścianę. Włożyłem dłoń do kieszeni starając się wyciągnąć strzykawkę, którą zabrałem z mieszkania Johna.

Nie mogłem jej wyciągnąć.

Cholerstwo utkwiło mi w nodze. Pociągnąłem, poczułem że wyrwam sobie skórę z włosami. Syknąłem przez zaciśnięte zęby, a do oczu napłynęły mi łzy.

Szarpnąłem za nią i wyrwałem strzykawkę z moich spodni, wywracając na zewnątrz białe wnętrze kieszeni wraz z nią. W białym płótnie zobaczyłem poplamioną krwią dziurę wielkości małej monety. Zobaczyłem kroplę czarnej mazi zwisającą z końcówki strzykawki. I teraz – uwaga – postaram się wyjaśnić to bez przeklinania, ale to czarne gówno wypływające z niej wyglądało jakby okurwienieńcowi wyrosły jebane włosy.

Nie, nie włosy.

Pierdolone kolce. Jak na kaktusie.

Czy wspomniałem już, że ta maź się ruszała? Skręcała? Jakby starała się wyrwać ze zbiorniczka?

Pobiegłem do pracowniczej łazienki, trzymając strzykawkę w wyciągniętej ręce. Pomyślałem, czy by nie spuścić tego w kiblu, ale opanowały mnie wizje jak to cholerstwo mnoży się w kanalizacji miejskiej, więc wrzuciłem toto do umywalki. Wybiegłem, wyłuskałem zapalniczkę Johna z kieszeni jego koszuli i wróciłem celując butanowo-propanowym płomieniem w gada. Zapłonęło, skurczyło się niczym glista. Koniec strzykawki zbrązował i stopił się wraz z tym czymś, cuchnąc niczym przypalone przewody elektryczne.

Sos sojowy, czarna substancja z planety X, czy co tam to było, wypaliła się, aż w zlewozmywaku została po niej jedynie twarda, czarna skwarka. Strząsnąłem ją z końcówki pechowej strzykawki i spłukałem mocnym strumieniem wody, poświęcając tej czynności pełne pięć minut. Strzykawka powędrowała do kosza.

Wyszedłem chwiejnym krokiem z łazienki, drżąc niczym osika. Podniosłem słuchawkę i zapytałem:

– Jest tam ojciec jeszcze? Halo?

– Tak synu. Tylko się uspokój, dobrze? Nic, co widzisz, nie dzieje się naprawdę.

Po moim udzie rozlewało się dziwne, jadowite ciepło.

– Niech ojciec posłucha – powiedziałem. – Dziękuję za poświęcony mi czas, ale naprawdę zaczynam podejrzewać, że nie jest mi ojciec w stanie pomóc...

– Synu, będę z tobą szczery. Obydwaj wiemy, że masz przejebane.

Zamilkłem.

– Eee, słucham?

– Twoja matka bazgra własnym gównem po ścianie. Wielkie zmiany nadchodzą w Trupolandzie, mój synu. Zobaczysz je na własne oczy. To przepowiednia.

Oderwałem słuchawkę od ucha i spojrzałem na nią jakby chciała mnie uzreć. Wolno i ostrożnie położyłem ją na widełkach...

– David Wong?

Odwrociłem się na pięcie. Przy ladzie stał jakiś łysy czarny.

– Tak...

– Detektyw Lawrence Appleton. Proszę ze mną. I proszę zabrać ze sobą kolegę.

– Nie, ja, ee, nie mogę stąd wyjść. Jesteśmy tu z Johnem sami...

– Już skontaktowaliśmy się z właścicielem. Wysyła zmiennika. Proszę dobrze pozamykać. Zapraszam.

Rozdział 3.

Morgan Freeman przykręca śrubę

Siedziałem sam w pokoju przesłuchań na posterunku policji, mając po lewej stronie weneckie lustro. Widziałem w nim samego siebie oklapniętego na krześle, z rozczochranymi ciemnymi włosami, z zarostem, który wypełził na moją bladą twarz niczym pleśń na białą porcelanę.

Stary, musisz trochę schudnąć.

Siedziałem tu od pół godziny. Albo od dwóch godzin, a może już pół dnia. Jeśli wydaje się wam, że czas zatrzymuje się w poczekalni u dentysty, to najwyraźniej nigdy nie byliście w pokoju przesłuchań na komisariacie. Tak właśnie robią, zamykają cię tu byś skruszał, a poczucie winy i zwątpienia wypaliło ci dziurę w bebeczach, żeby prawda mogła wylać się wprost na wykafelkowaną podłogę.

Powinienem być zawieźć Johna do szpitala. Do diabła, powinienem być zawołać pogotowie, kiedy tylko do mnie zadzwonił o bladym świecie. Ale nie, wolałem się pierdolić jak matka z łobuzem przez bite dwanaście godzin, a z tego co wiem, to czarne gówno w tym czasie przeżerało mu się aż do mózgu.

Otóż właśnie zdolność podejmowania właściwego wyboru jest kluczem, ale dlaczego dopiero po kilku godzinach od dokonania złego wyboru? Właśnie w taki sposób życie robi z nas wala, ludczkowie drodzy.

Morgan Freeman wszedł do środka i położył przede mną szarą kopertę. Gruby papier. Zdjęcia. Za nim biały glina. Coś w ich zachowaniu zaczęło mnie wnerwiać, bo wyglądali jakby osaczali zwierzynę. To nie ja byłem tu zbirem. To nie ja dilowałem tym czarnym gównem. Ale czy teraz muszę wysłuchiwać od tych złamasów, co powinienem być zrobić, a czego nie zrobiłem. Nie było na to, kurwa, czasu.

– Chciałem panu podziękować za przybycie, panie Wong – powiedział. – Założę się, że była to dla pana niezwykła noc. Mówiąc szczerze, ja też nie próżnowałem.

– Nie ma sprawy. – *Wiesz co może pomóc? Szklanka ciepłego „spierdalaj” od serca.* – Gdzie jest John?

– Nic mu nie jest. Rozmawia z kolegą kilka pokoi dalej.

Za cholerę nie mogłem sobie przypomnieć, jak nazywał się aktor, którego przypominał mi ten facet, więc zostało na Morganie Freemanie. Choć, kiedy spojrzałem na niego, nie znalazłem żadnego podobieństwa. Ten tutaj był cięższej budowy ciała, miał okrągłe policzki, bródkę i ogoloną głowę. Nie mogłem sobie przypomnieć nazwiska, które mi podawał. Jego białoskóry partner miał jeża i wąsy. Niemal jak G. Gordon Liddy, wypisz wymaluj – typowy gliniarz. Nie mogłem się opanować i pomyślałem, że fajniej by wyglądał, gdyby ogolił sobie głowę jak jego partner. Morgan powinien mu szepnąć słówko w tej sprawie.

– John się odzywa? – zapytałem. – Naprawdę?

– Niech się pan tak nie przejmuje. Skoro obodwaj zeznajecie całą prawdę, to przecież nie musicie się przejmować, by wersje się zgadzały, czyż nie? Wszyscy tu chcemy dobrze. Nie mam zamiaru zmuszać pana do sikania do kubka ani też nie będę drażył tej całej pańskiej afery szkolnej z dzieciakiem Hitchcocków.

– Ej, nie miałem z tym nic wspólnego...

– Nie, nie. Niech się pan nawet nie spina. Mówię właśnie, że nie mam zamiaru o nic pana oskarżać. Po prostu proszę mi powiedzieć, co pan robił wczoraj wieczorem.

Odruchowo chcę zełgać, ale w ostatniej sekundzie uświadamiam sobie, że nie robiłem niczego, co byłoby sprzeczne z prawem. O ile mi wiadomo. Pomimo tego, w moim głosie pobrzmiwają tony winnego, kiedy mówię:

– Poszedłem na imprezę nad jeziorem. Wróciłem do domu po północy. O drugiej zasnąłem.

– Ale jest pan pewien? Jest pan pewien, że nie pojechał pan do baru Jedno Jajo na Grand Avenue na strzeмиennego?

– A co to takiego ten strzeмиenny?

– Wszyscy pańscy kumple tam byli.

Cóż, panie policjancie, ja mam tylko jednego przyjaciela...

– Nie, miałem dzisiaj poranną zmianę. Jak pan wie. Pojechałem prosto do domu.

Wiedziałem, że powinienem mu powiedzieć o Jamajczyku. Tylko że mój zwierzęcy instynkt, żeby nigdy z własnej woli nie ujawniać niczego glinom, wziął górę. To głupota. To Robert Marley powinien tu siedzieć, a nie ja. To on dilał tym olejkiem czarnego voodoo, który najwyraźniej zakrzywił cały wszechświat. To chyba można podciągnąć pod przestępstwo, no nie?

Pomyślałem o tym głównie, poruszającym się, wypływającym ze strzykawki niczym robak. I potem przyszło mi do głowy, że to badziewie jest teraz w organizmie Johna. Zadrzałem.

– Dobrze się pan czuje?

Usłyszałem jak potakuję:

– Aha.

I w chwili, w której to powiedziałem, jakaś dziwna, rozedrgana energia zaczęła we mnie rosnać, emanując z piersi na zewnątrz.

Strzykawka.

W kieszeni.

Ukąsiła mnie w nogę.

Plama krwi.

Porusza się. W Johnie. We mnie.

Nagle wszystko zrobiło się zbyt jaskrawe, jakby ktoś podkręcił nasycenie barw w pokoju. Wszystko zrobiło się nieznośnie ostre niczym piskliwy ton z jakiegoś urzędu. Dostrzegłem cienie na przeciwległej ścianie i zauważyłem, że ma nieznacznie rozdarte skrzydło. Usłyszałem, jak ktoś gada przez komórkę i uświadomiłem sobie, że to ktoś dzwoni z chodnika przed budynkiem.

Co jest, kurwa jego mać?

Spojrzałem detektywowi prosto w oczy. Podskoczyłem, bo wiedziałem jakie pytanie ma zamiar mi zadać, zanim jeszcze w ogóle padło, słowo w słowo...

Czy słyszał pan o niej jakim...

– Czy słyszał pan o niej jakim Nathanie Curry? W pańskim wieku, którego rodzice mają siłownię w mieście?

Moje serce waliło jak młotem. Wymamrotałem:

– Nie.

A może o Shelby Winder?

– A może o Shelby Winder? Duża panna z ostatniej klasy Eastern High? Mówi to panu coś?

– Nie, przykro mi.

Jasność opromieniła mój umysł niczym blask słońca. Wszystko stało się jasne w jednej chwili, a ściany labiryntu zmieniły w przezroczyste szkło. Od razu wiedziałem dwie rzeczy – to część z tych, którzy byli wczoraj na imprezie...

I wszyscy albo byli martwi, albo jeszcze żywi, ale jakby bez przekonania.

No i skąd ja to wiem? Skąd wiem to wszystko? To jakieś czary?

Doskonale wiesz, skąd wiesz. Za sprawą tego czarnego łajna, które wziął John i które weszło w kontakt z twoją krwią. No stary, aleś się naszprycował.

Zapytał:

– A co z Jennifer Lopez?

– Och. No tak. Ją znam.

– Nie mówię o aktorce, ale...

– Wiem. Widziałem ją wczoraj w nocy. Nic jej nie jest?

– Arkeym Gibbs?

– Nie. Zaraz, ależ tak. Taki duży, mam rację? Czarnoskóry? Nie znam go, ale był jedynym czarnym w moim ogólniaku...

Głos mi odpłynął, a ja patrzyłem na twarz detektywa. Nie, z całą pewnością nie był to jego typowy dzień pracy. Zobaczył różne rzeczy, takie które zagnieżdżają się w mózgu niczym guz, zatruwając wszystko wokół. Czytałem w nim jak w książce, tak po prostu.

Ma dwójkę dzieci, dwie śliczne córeczki. Nagle zaczął się bardzo, ale to bardzo poważnie przejmować światem, w którym dorastają. Jest katolikiem i nosi złoty krzyż na szyi. Ale dzisiaj go zdjął i włożył do kieszeni. Wciąż trzyma na nim dłoń i pociera go między palcami. Myśli, że nadchodzi koniec świata.

I nie było to wcale tak, że potrafiłem czytać facetowi w myślach. Tego nie potrafiłem. Po prostu czytałem mu z twarzy. Wszyscy umiemy poznać po czyjejś minie, że na przykład nie śmiesz ich nasz dowcip albo, że nie smakuje im to, co jedzą. I tak właśnie, na tym to polegało. Informacja była w zasięgu ręki, skryta w subtelnej grze mięśni twarzy, w następujących po sobie mikrosekundach.

Odczytał jeszcze kilka nazwisk. Justin White, Fred „Jakmutambyło” i kilka innych. Nie znałem żadnego z nich i tak też zeznałem. Ostatnią osobą na liście był Jim Sullivan.

A więc Ogórek słusznie się martwiła.

Nie przyznałem się Morganowi, że go znam. W kolejnych latach często zastanawiałem się, ile istnień ludzkich można byłoby uratować, gdybym się przyznał.

– Skończył pan szkołę niecałe trzy lata temu. Chodził pan do niej z większością z nich, do Eastern. I co znał pan tylko tę jedną dziewczynę?

– Byłem raczej skrytą jednostką.

– A potem przenieśli pana do innej szkoły...

– Proszę posłuchać, nie powiem ani słowa więcej, dopóki nie powie mi pan czy Jennifer żyje. To nie jest jakaś tajna informacja i wydaje mi się, że mogę się dowiedzieć.

Nie marnuj śliny. On sam nie wie.

– Nie wiemy. Widzi pan, na tym polega problem. Dlatego dzisiaj mam już na koncie sześć nadgodzin. Przynajmniej dziewięć osób było przed zamknięciem w Jednym Jaju, dwanaście godzin temu. Czworo z nich zaginęło. A pański przyjaciel jest tuż obok. – Zamilkł, prawdopodobnie dla wzmocnienia efektu. – Pozostali nie żyją.

Dziwne. Aż do tej chwili, pomimo wszelkich dowodów świadczących o mojej niewinności, nie rozumiałem, w jakim znalazłem się bagnie. Myślałem o Johnie, cały czas zastanawiając się, czy nie zabiłem go nie wezwawszy erki.

Odwrociłem się i spojrzałem na swoje odbicie w weneckim lustrze. Obraz był zniekształcony, a drugi gliniarz poza zasięgiem wzroku w końcu pomieszczenia. Zostałem tylko ja i Morgan, gładko wygolony obrońca uciśnionych, stojący niczym struna nad skołowanym, nieogolonym młokosem w pomiętej koszulce z wypożyczalni video, którego można było posądzić o to, że leżał zwinięty na pace samochodu przez dwa dni. Dobry i zły. Śmieciarz i śmieć.

– A Justin Feingold i ci, którzy byli z Johnem? – zapytałem. – Kelly i...

– Nic im nie jest. Już z nimi rozmawiałem, z całym zespołem. Pojechali do domu zanim impreza się rozkręciła na dobre. Co prowadzi do mojego kolejnego pytania. Pański przyjaciel John jest jedyną osobą, która przeżyła bibkę w Jednym Jaju i – proszę się tylko nie obrażać – ale nie wygląda jak okaz zdrowia. Czy mówił dziś coś rano w pracy? Może pogadaliście sobie o ekscesach z zeszłej nocy, tak po przyjacielsku?

Biały gliniarz po drugiej stronie sali zrobił krok w przód, kładąc dłonie na biodrach. Czekał na odpowiedź. Morgan wciąż patrzył na mnie, czekając spokojnie, aż rozproszę pełną napięcia ciszę. Stara technika śledczych.

– John dzwonił do mnie nad ranem, plółł jakieś głupoty, najwyraźniej całkiem odjechał. Paranoja, halucynacje, cały zestaw. Mogło być koło piątej, kiedy do niego przyjechałem. Zachowywał się, no cóż, jak wariat. Miał zwidy. Ale poza tym wszystko w porządku. Był przytomny, rozumie pan. Nie rzygał ani nie targają nim drgawki, nic z tych rzeczy. Uspokoilem go i pojechaliśmy coś zjeść. I tyle. Potem pojechaliśmy do pracy.

– Co mówił? Ale dokładnie proszę.

– Że ma jakieś potwory w mieszkaniu, mówił, że nie pamięta, jak się tam znalazł i tak dalej.

– Mówił, co wziął?

– Nie.

– Wie pan, że i tak mamy sposoby, żeby się dowiedzieć, tak? Nie interesuje nas przymykanie imprezowiczów za łykanie kilku pigułek. Ktoś taki jak ja przejmuje się natomiast trupami. I jeśli ktoś sprzedaje truciznę, teraz, kiedy tu sobie rozmawiamy...

– Nie. Powiedziałbym panu, gdybym wiedział. Jest pan gliną i wie pan, że mówię prawdę. A więc co, tak właśnie się przekęcili wszyscy? Z przedawkowania?

– Ta Jennifer Lopez, czy to była pana dziewczyna?

– Nie.

Chciałem powtórzyć moje pytanie, ale się powstrzymałem. Zamiast tego odtworzyłem sobie jego pytanie w myślach, skupiłem się na nim, przestudiowałem barwę każdego słowa i niemal z przerażeniem wyłuskałem tony informacji z pomiędzy każdej sylaby. W jednej chwili wiedziałem już wszystko z tego, czego nie powiedział, z jego oddechu, nieznacznego skrzywienia kącika ust, z lekkiego rozszerzenia lewej powieki oraz trzeciego i piątego słowa.

Ten policjant zjadł coś ostatnio siedem godzin i piętnaście minut temu – dwie bułki z pastą jajeczną – i wypił cztery filiżanki kawy. Można było to wywęszyć z oparów przenikających przez pory skóry. Z jego postaci można było wywnioskować, że nie spał od dwudziestu godzin. Na siłę próbuje nadać swemu głosowi aksamitny ton, chcąc uchodzić za kulturalnego lecz zdecydowanego. Mówi ludziom, że jego ulubionym bohaterem filmowym jest Shaft, ale tak naprawdę jest nim James Bond Seana Connery. W marzeniach widzi się, jak wisi pod helikopterem odziany w smoking.

I nagle, w mgnieniu oka, wiem wszystko to, co wie on. Zobaczyłem los, jaki spotkał wszystkich, którzy byli w Jednym Jaju.

Nathan Curry popełnił samobójstwo strzelając sobie w skroń z pistoletu kaliber 32, który trzymał w schowku pod łóżkiem.

Arkeym Gibbs rzucił się w ubraniu do rodzinnego basenu – znaleźli go po kilku godzinach pływającego twarzą do dołu.

Shelby Winder i drugą dziewczynę, Carrie Saddleworth, znaleziono razem. Obie zmarły od rozległego wylewu. Shelby nie miała prawej dłoni, a poszarpany kikut nadgarstka zawinęła w okrwawiony strzęp bluzki.

Pozostałych – Jennifer Lopez, Freda Chu, Wielkiego Jima Sullivana nie można było nigdzie odnaleźć. Wszyscy byli wraz z Johnem w Jednym Jaju.

A teraz został tylko John.

Wiesz to wszystko, ale wciąż nie możesz sobie przypomnieć nazwiska tego gliniarza? Balansujesz na krawędzi Uskoku Wariata z widokiem na Dolinę Popierdolonych Zwidów.

– I żeby odpowiedzieć na pańskie kolejne pytanie – ciągnąłem – nie znam Jennifer na tyle, żeby wiedzieć z kim się przyjaźniła i u kogo mogła się zamelinować. Przykro mi.

Detektyw Freeman podszedł bliżej i otworzył szarą kopertę. Rozsypał zdjęcia na blacie stołu. Jedno z nich było więzienną fotą młodego Murzyna. Dredy. Wiedziałem, że jest to mój farbowany Jamajczyk, wiedziałem, zanim dobrze spojrziałem na zdjęcie.

Kolejne trzy przedstawiały jaskrawe rozbryzgi w kolorze karmazynowym.

Raz, kiedy miałem dwanaście lat, powodowany wówczas racjonalnymi przesłankami, wypełniłem mikser kostkami lodu oraz trzema puszkami wiśni maraschino. Nie wiedziałem, że trzeba przykryć zbiornik pokrywką, więc wcisnąłem przycisk i patrzyłem jak zawartość miksera wystrzela w górę niczym gejzer. Pokój na policyjnej fotografii wyglądał dokładnie tak samo jak bajzel w naszej kuchni sprzed lat, gdzie wszystko było pokryte czerwoną breją z drobnymi kawałkami treści.

Wskazał na policyjne zdjęcie Jamajczyka:

– A ten facet? Zna go pan?

– Był tam. Na wczorajszej imprezie. Ten facet dał coś Johnemu, co ten potem przyjął. Powiedział mi.

Ale pan to już przecież wie, prawda, panie detektywie?

– To Bruce Matthews. Prowadzi amatorską, nielicencjonowaną aptekę na rogu Trzynastej i Lexington.

Wskazałem brodą na czerwone zdjęcia.

– A to co?

Morgan wskazał na portret policyjny.

– Przed.

A potem na nasączone czerwienią fotografie.

– Po.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało kawałki ciała na podłodze, na dywanie, który prawdopodobnie był kiedyś brązowy, ale teraz był nasączony purpurowoczną cieczą. Wyglądało to tak, jakby ktoś cisnął nań wiadro krwistych steków i kości z kurczaka. Kolejne zdjęcie przedstawiało zbliżenie ściany, na połowie której widniały rozbryźnione ciemnoczerwone smugi z tkwiącymi gdzieś kawałkami mięsa. Trzecie zdjęcie przedstawiało zbliżenie odciętej, brązowej ręki w kałuży czerwieni z lekko podwinętymi palcami i bandażem wokół samej dłoni.

Odwrociłem wzrok, czując nagły przypływ potów. Znów ten obraz w lustrze – tylko ja i Morgan, twarzą w twarz. Czy myślał, że miałem coś z tym wspólnego? Czy byłem podejrzany? Zdjęty paniką nie mogłem go odczytać. Pozwolił, aby w pomieszczeniu zapadła głucha cisza i patrzył tylko na mnie z góry. Złamał mnie, odezwałem się.

– Od czego taka masakra? Od bomby. A może jakiś...

– Od niczego, co jest panu znane, tego jestem pewien. Może od czegoś co niekoniecznie, eee, mieści się w granicach naszego pojmowania.

Na twarzy Morgana znów pojawił się strach. Teraz to zrozumiałem.

Ale jest coś jeszcze. Dużo, dużo więcej. Jest tak głęboko zakopane w jego umyśle, że nie jestem tego w stanie wydobyć.

Otworzyły się drzwi i detektyw przerwał to, co miał powiedzieć. Do środka wszedł gruby gliniarz – Latynos i szepnął mu coś do ucha. Morgan uniósł wysoko brwi i we dwójkę wyszli z sali.

Usłyszałem jakieś poruszenie na zewnątrz, pokrzykiwania i szuranie stóp po wykafelkowanej podłodze. Po mniej więcej dziesięciu minutach Morgan ponownie wpadł do pokoju z oczami wielkimi jak spodki.

Nie, nie, nie, nie, nie i nie. Nie mów tego...

– Pański przyjaciel nie żyje.

KLIK!

Stuknęła dyktafon, wyłączając się pod koniec kasety. Arnie najwyraźniej postawił go na stole przede mną w pewnym momencie. Nie zauważyłem. Bąknął coś przepaszająco, wyłowił z kieszeni nową kasetę i zajął się wymianą. Zerknąłem na porzucony notes i zauważyłem, że przestał notować tuż po słowie „holokaust”.

Odsunąłem od siebie talerz z kurczakiem, ryżem i zielonym groszkiem, które składały się na danie Zjazd Płonących Krewetek. Gmerałem w nim przez ostatnie pół godziny skrzętnie omijając kurczaka. Ten ptak, wiedziałem o tym, miał bardzo smutny żywot i nie mogłem się zmusić, by go jeść. Ponadto był za życia pokryty od stóp do dzioba kawałkami kupy innych ptaków.

– Kiedy dostał pan rachunek telefoniczny, czy był na nim numer telefonu, który odebrał pan u Denny ego?

– Co takiego? Przepraszam, zamyśliłem się.

– Telefon, który odebrał pan od swojego przyjaciela, kiedy siedział pan u Denny’ego wraz z Johnem bez telefonu. Czy znalazł pan później numer w rachunku szczegółowym?

– Nie pomyślałem, żeby to sprawdzić.

Przyfalowała kelnerka i zabrała mój talerz, zostawiając mi w zamian ciasteczko z wróżbą i rachunek. Arniego zignorowała kompletnie. Trzymałem ciasteczko w dłoni, starając się skoncentrować i „zobaczyć” jaki los mnie czeka, ale przekonałem się, że jest to ponad moje siły.

Arnie podrapał się po głowie i wsparł kolejne pytanie uniesionymi brwiami.

– A więc ta czarna substancja, to narkotyk, tak?

– Cóż, zaraz do tego dojdę.

– I dzięki temu człowiek robi się mądrzejszy? Kiedy się ją bierze, można, czytać w myślach i robić tym podobne cuda?

– Niezupełnie. Ona tylko wyostreza zmysły, tak sędzę. Nie wiem. Kiedy jest się pod jej działaniem, to człowiek jest jakiś taki naładowany, jakby podłączyć radio samochodowe do międzyplanetarnych anten kosmicznych. Zbiera się wszystko dookoła, widzi to, czego normalnie nie można zobaczyć, ale myślę, że nie można dzięki temu wypełnić poprawnie pita.

– I wciąż ma pan trochę tego towaru? – Zerknął pospiesznie w dół na srebrny pojemnik.

– Dochodzę do tego.

– Ale teraz jest pan na tym stafie? W ten właśnie sposób zrobił pan ten numer, eeeh, z monetami i ze snem?

– Jasne. Wziąłem trochę dzisiaj. Ale działanie już słabnie.

– A więc efekty nie trwają długo?

– Uboczne efekty nie trwają długo. Sam podstawowy efekt działania sosu będzie trwał przez całe życie.

Może nawet dłużej.

Arnie podrapał się w czoło.

– A więc zmarli to ci, co przedawkowali na tym rave, zgadza się? Pamiętam, jak kilka lat temu widziałem relację w CNN. Myśleli, że trafiła się jakaś partia chrzczonej amfy czy tak? A więc to pan był tym...

– Nie potrafię powiedzieć, w którym momencie ta impreza zmieniła się w gazetach w narkomański „rave”. Nie było tam muzyki techno, tańców, świecących spodni i z całą pewnością też nie było żadnych ravów. Pojechany rave. Jedno ze słów, którymi media straszą starszych.

– Jaki kolor mają ściany w pokoju przesłuchań w miejskim posterunku?

– Ee, są białe. W kilku miejscach farba się łuszczy i wyłazi urzędowy zielony.

– A jeśli skontaktuję się z detektywem Appletonem, będzie pamiętał, że rozmawiał z panem?

– Powodzenia w poszukiwaniach.

Arnie zanotował coś w notesie.

– No i? – zapytałem. – Co pan myśli?

– Myślę, że to materiał na książkę – powiedział. – Trzeba by jeszcze ją trochę wzbogacić.

– Książkę? Znaczy się, fikcję literacką? Znaczy, że to wszystko ścierna?

Arnie wzruszył ramionami.

– Mnie to nie rusza. Materiał to materiał. Jestem tylko dziennikarzem, dlatego materiałem jest dla mnie nawet fakt, że wydaje się panu, że to miało miejsce. Ale tu jest jak u Whitley Streibera, który pisze książki o obcych. Gdyby nie to, że sprzedaje to jako literaturę faktu, nikt by o nim nie słyszał. Do samego końca zarzeka się, że to wszystko prawda.

Jego oczy znów strzeliły w stronę małego, metalowego pojemnika. Uświadomiłem sobie, że moje palce odruchowo się nim bawiły.

– Cóż, mnie tam te historie o obcych nie ruszają, ale nie sędzę, że trzeba od razu przypisywać facetowi etykietkę oszusta, Arnie.

– No właśnie. Dzięki temu jednak mieszka sobie w przytulnym domku. Ma własny program radiowy. W filmie gra go Christopher Walken. Nie chciałby pan tak? A wie pan, że nie przypominam sobie, żebym wychodził z domu z luźnymi drobnymi w kieszeni. Mógł mi pan podrzucić tych kilka monet.

– Tak, żebyś nie zauważył? A sen? Arnie, daj spokój.

Sceptyka trzeba pokochać, *chłopie*.

– Widziałem kuglarza w Las Vegas, który podczas swego występu wywoływał ludzi z widowni i kradł im okulary z twarzy. Bez żartów. Posyłał z powrotem takiego biedaka na miejsce, a ten, mrużąc oczy, zastanawiał się, dlaczego nagle niedowidzi. Nie ma żadnej magii, panie Wong. Tylko znajomość sztuczek, których inni nie znają.

Wstałem.

– Chodź ze mną. Chciałem ci coś pokazać. W moim wozie.

Poszliśmy do mojego rozklekotanego starego forda bronco. Kupiłem go po tym, jak mój stary hyundai został skasowany kilka lat temu w sposób całkowicie i bez wątplenia unikalny wśród wszystkich, kiedykolwiek ześlomowanych pojazdów w historii motoryzacji.

Podszedłem do tyłu i opuściłem klapę, odsłaniając białe prześcieradło przykrywające duże pudło wielkości tych przenośnych pojemników do przewozu psów. Nieprzypadkowo, to był pojemnik do przewozu psów.

– Jaka jest najdziwniejsza rzecz, którą widziałeś w życiu, Arnie?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu spoglądając na pudło. Niczym bachor na Gwiazdkę.

Spójrzcie wszyscy! Ten wariat wozi ze sobą wielkie wariackie pudło! Dajmy mu się wygadać, choć raz!

– Pewnego razu – zaczął – byłem w mojej piwnicy, w której świeci się tylko kilka gołych żarówek, widzi to pan? Więc wszędzie wokół jest pełno cieni, a mój własny cień rozciągnął się tak, że zakrywał pół podłogi. I tak, pewnego razu, kątem oka, jak się to mówi, widziałem jak mój cień na podłodze rusza się bez mojego udziału. I żarówka wcale się nie kiwała na drucie, ale cień kołysał się w przód i w tył, w zasadzie kończyły jakby machały wokół. Naprawdę bardzo szybko. Trwało to może sekundę i jak mówiłem była to jedna z tych gier światła, jakie można dostrzec wyłącznie kątem oka. I mówię panu, zszedłem tam jeszcze raz dopiero za dnia. Czy to, co ma pan w tym pudle, pobije moje doświadczenie ze światłem?

– Musisz się wczuć w nastrój, Arnie. Jesteśmy tutaj, w miejscu publicznym, mocno oświetlonym, gdzie cały świat jest solidny i poukładany. Ale tam w piwnicy, kiedy byłeś sam w ciemnościach, uwierzyłeś w inne rzeczy. W mroczne rzeczy. Chciałbym, żebyś teraz też tak się otworzył. Dobrze?

– Wtedy tylko wydawało mi się, że coś widzę. Nigdy nie twierdziłem, że tam coś naprawdę było, panie Wong.

– Proszę zrobić to dla mnie. Gotów?

Odrzuciłem prześcieradło. Zapadła długa cisza.

– Widzisz to?

– Nie. A może, rozumie pan, to jest po prostu pusta klatka?

– Odwróć głowę tak, jakbyś patrzył na mnie. Powinieneś dostrzec pudło kątem oka, tak jak cienie w piwnicy.

– Dobra – uśmiech zaczął spleść Arniemu z twarzy. Bardzo szybko tracił cierpliwość.

– Arnie, czy wchodzisz kiedykolwiek do łazienki nocą i przez sekundę, przez ułamek sekundy, przelatuje ci w lustrze coś innego niż tylko twoje odbicie? Potem włączasz światło i, oczywiście, wszystko znów jest w najlepszym porządku. Ale może przez pół sekundy, kiedy z niej wychodzisz, widzisz kątem oka, że to nie ty odbijas się w lustrze. A może to ty, tylko zmieniony? A to, co spogląda na ciebie z lustra, bardzo się różni od ciebie? Może nawet nie przypomina człowieka?

– Wejdzmy już do środka, dobrze? Pańska opowieść była o wiele bardziej interesująca.

– Umrzesz, Arnie. Kiedyś umrzesz i będziesz musiał stawić czoło tej chwili. Bez względu na to, w co wierzysz, w tej właśnie chwili albo staniesz twarzą w twarz z całkowitym brakiem egzystencji, czego nie jesteś sobie teraz w stanie wyobrazić, albo też zobaczysz coś jeszcze dziwniejszego niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. Tego konkretnego dnia w przyszłości, znajdziesz się w krainie niepojętości, Arnie. I chciałbym, żebyś teraz wczuł się w taki klimat.

Cisza i po kilku chwilach Arnie skinął nieznacznie głową.

– Dobra.

– A teraz, nie odwracając głowy, popatrz na pudło.

Arnie zrobił, co mu kazałem, podskoczył, zaskowyczał jak ranne zwierzę, potknął się i wylądował na tyłku.

– O w mordę! – wysapał. – Niech mnie! Co to za gównno. Kurde! Kurde!

Zakryłem płótnem klatkę i zamknąłem klapę w wozie. Arnie podniósł się na nogi, cofnął o kilka kroków i stanął w połowie drogi do restauracji.

– Jak to zrobiłeś? I co to w ogóle kurwa jest? No, do kurwy nędzy!

– Nie wiem, jaką ma nazwę. Ale włos jeży, prawda?

– Ty...ty sprowokowałeś mnie, żebym to zobaczył. To coś z mojej własnej głowy. Wystraszyłeś mnie, żebym coś zobaczył.

– Nie, to naprawdę tam jest. Jestem zaskoczony, że tak łatwo poszło. Musisz mieć otwarty umysł. Większość ludzi nie widzi tego tak od razu, chyba że są upaleni albo nawaleni.

Arnie wciąż cofał się mamrocząc coś pod nosem.

– Byłem w marynarce. Służyłem jako nurek. Widziałem różne cuda w głębinach, rzeczy, które wyglądały jakby były z innego świata. Ale to nie było nic takiego jak to... jak to coś.

– Chcę ci opowiedzieć całą historię, Arnie. Muszę. Muszę to z siebie wyrzucić. Ale chciałbym, żebyś przyjął to takim, jakie jest. Jako prawdę. Jesteś na to gotowy?

Arnie popatrzył na mnie niepewnie i skinął głową.

– Dobra. Dopóki nie skumam, o co w tym wszystkim chodzi naprawdę.

– Ech, w takim razie będzie musiało to wystarczyć.

Po chwili wróciliśmy do restauracji. Kiedy przechodziliśmy przez drzwi wahadłowe (wciąż z meksykańskim powitaniem HOLA AMIGOS!) wróciłem do swojej opowieści.

– No i ten gliniarz wchodzi do środka i mówi mi, że John nie żyje...

Zanim pomyślałem, już wyskoczyłem z miejsca i byłem w połowie drogi do drzwi.

– Coo...Jak?!

Gliniarz zatrzymał mnie w miejscu, zagradzając drogę ramieniem.

– Proszę się uspokoić – powiedział Morgan, sam wciąż zdenerwowany. – Dostał jakichś konwulsji i po chwili nie miał już pulsu, ale, proszę mnie teraz posłuchać, wezwaliśmy karetkę i będą u nas za pół minuty. Vinny robi mu reanimację. Po godzinach Vinny jest ratownikiem medycznym. Chłopak jest w rękach ludzi kompetentnych. Czyli nie takich, jak pan, więc nie ma co tam dyszeć nad chorym i wpadać w histerię.

Odrąciłem jego dłoń z piersi. Biały gliniarz opuścił ręce i podszedł do nas, choć wyglądał na nieco mniej zaskoczonego niż mógłbym się spodziewać po tym, jak ktoś wyciąga kopyta na komisariacie. Najwyraźniej to nie on będzie musiał pisać protokół.

Usta Morgana rozchyliły się nieznacznie, ukazując jego zaciśnięte zęby. Zaczął coś mówić, ale przerwał.

O cholera. Ten facet jest na krawędzi wytrzymałości...

– Zrobisz tak, synu.

Odetchnął.

– Poczekaś tutaj. Ja wrócę za pięć minut i zaczniesz mi mówić prawdę. Dojdę do tego, co tu się dzieje, a jeśli mi przeszkodzisz, przez resztę życia będziesz tego żałował.

Cofnął się, upewniając się, że nie pobiegnę do drzwi, a potem sam wyszedł z pomieszczenia. Nie bałem się gliniarskich pogroźek. Przeraziła mnie pojedyncza, mroczna myśl, którą czułem w jego pulsującym mózgu:

W tej aferze tylko trupy wychodzą na swoje...

Nie wyglądało mi to na zwykłą myśl gliniarza.

Stałem tam zagubiony, wsłuchując się w odgłosy paniki i krzyki na korytarzu. Usłyszałem syreny przed budynkiem. Karetka.

Zaćwierkała mi komórka. Kiedy indziej wyłączyłbym to cholerstwo, ale teraz wydawało się być to dość niemądrym posunięciem. Zerknąłem w stronę Funkcjonariusza Liddy, który stał spokojnie na środku pokoju, i wskazałem na kieszeń, jakby pytając go czy ma coś przeciw. Nie odpowiedział, więc odebrałem telefon.

– Czego.

– Dave? Tu John.

– Co? Czy ty... – *Żyjesz?* – ... w karetce jesteś czy jak?

– I tak i nie. Wciąż jesteś na komisariacie?

– Taa. Obydwaj zostaliśmy...

– Już umarłem?

Długa cisza z mojej strony.

– Eehm, taa, według glin. – Zerknąłem na białego gliniarza, który nie wykazywał najmniejszego zainteresowania moją rozmową.

– W takim razie nie ma czasu na wyjaśnianie tego wszystkiego. Spadaj stamtąd.

– Ale będę... potraktują mnie jak zbiega – wyszeptałem, odwracając się plecami do gliniarza. – Wiedzą, gdzie mie...

– Posłuchaj mnie. Wstań. Podejź do drzwi. Wyjdź z pokoju. Wyjdź z budynku. Cokolwiek zrobisz... Czy ten wielki, biały glina wciąż stoi w tym samym pokoju? Nie patrz na niego w lustrze.

– Co takiego?

Zerknąłem przez ramię na gliniarza. Coś było... nie tak.

– No, idź już. Idź.

Starałem się odczytać tego gliniarza i uświadomiłem sobie, że właśnie to było nie tak. Pomimo aktywnego sosu sojowego nie potrafiłem wydobyć najmniejszej nawet informacji z detektywa, który wyglądał jak G. Gordon Liddy. Odwróciłem nieznacznie głowę w prawo...

Nie patrz w lustro, nie patrz w lustro.

... w stronę powierzchni weneckiego lustra na wprost gliniarza.

Dave, w lustrze byłeś tylko ty i Morgan. Nawet kiedy biały gliniarz podszedł do was.

W lustrze zobaczyłem tylko swoje odbicie. Stałem, trzymając w ręku komórkę.

Sam.

Odwróciłem się na pięcie do policjanta.

– Nie kumam.

– On nie jest prawdziwy, Dave. Nie w... ech, tradycyjnym rozumieniu tego słowa.

– Idzie na mnie!

– Uciekaj, Dave. Zacznesz widywać takie rzeczy od czasu do czasu. Ważne, żebyś nie pękał.

Gliniarz był już o krok ode mnie. Wąs mu się poruszył, jakby pod nim zaczął pojawiać się szeroki uśmiech.

– A więc on, ech, nie może zrobić mi krzywdy?

– Och, jestem pewien, że może, i to bardzo.

Dłoń zacisnęła się na mojej twarzy. Palce gliniarza zagłębiły się w moich policzkach, ściskając je niczym żelazne sztaby. Myślałem, że zęby mi popękają na kawałki. Pchnął mnie w tył tak, że głową walnąłem w ścianę.

Wczepiłem się w jego ramię, ale równie dobrze mogłem próbować oderwać kończynę ze spiżowego posągu. Walnąłem go na odlew w nos komórką. Znów wąs mu drgnął, jakby bardzo go to rozbawiło.

Wąsy wciąż się poruszały, a potem zaczęły się zawijać na końcach i osuwać, jakby przebranie mężczyzny zdzierał z niego porywisty wiatr. W końcu całkiem się oderwały, pozostawiając pasek różowej, poszarpanej skóry. Maszkarą zamachała niczym nietoperz skrzydłami – nie, naprawdę rozwinęła skrzydła – i podleciała, lądując mi na twarzy.

Wąs gliniarza ugryzł mnie nad prawą brwią. Walnąłem w niego lewą ręką, unosząc jednocześnie nogę i z całej siły wbiłem kolano tuż poniżej żeber detektywa.

Skurcz bólu przeszył mi udo jakbym walnął w żelbet. Ale poczułem, że dotarło, że go odepchnąłem. Sumiasty nietoperz podleciał do mego ucha i dziabnął mnie, a ja poczułem, jakby ktoś robił mi pięć dziur na kolczyki jednocześnie. Znów go pacnąłem. Nagle uświadomiłem sobie, że detektyw zatoczył się w tył i padł na jedno kolano. Powinienem już się od niego uwolnić, ale jego dłoń wciąż obejmowała moją twarz...

Ach, no patrzcie tylko. Ręka mu odpadła.

Teraz widać było okrwawioną dziurę w ramieniu mężczyzny. Oddzielone od niej ramię samodzielnie owinęło się wokół mej szyi niczym pyton. Nie wyczułem nawet odrobiny kości, a ramię owinęło się dwa razy, zatrzymując się okrwawionym kikutom przy mojej brodzie niczym mięsny fular.

Miotąłem się w kółko, by zrzucić ohydę. Ramieniowąż był kłębem mięśni, napiętych, żyłastych mięśni, które niespiesznie wyduszały życie z mojej tchawicy.

Przed oczyma zatańczyły mi kolorowe plamy a niedobór tlenu zamykał poszczególne połączenia neuronów. Zamrugalem i zobaczyłam, że podłoga teraz jest bliżej niż wcześniej. Klęczałem.

Sumiasty nietoperz latał wokół mojej głowy żądłac mnie raz w policzek, raz, w czoło. Ruszył do oka ciągnąc za powiekę, a ja nie mogłem go odgonić. Ręce mi zdrętwiały.

Mięsny krawat zacisnął się mocniej. Cały pokój spowiły ciemności, a ja byłem na czworakach i nagle uświadomiłem sobie, że najlepiej będzie się położyć i zasnąć.

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Reszta ciała gliniarza wstała i szła w moją stronę.

Kurwa!

Podpełznąłem niezdarnie do drzwi. Gordon wyciągnął w moją stronę swoje jedyne ramię i poczułem, jak palce chwytają mnie za koszulę. Rzuciłem się w stronę drzwi i walnąłem w nie twarzą. Podniosłem rękę, wczepiając się w klamkę. Zassałem powietrze przez ściśniętą grdykę czując, że głowa pęknie mi zaraz niczym dojrzwały melon.

Żeby były otwarte, muszą być otwarte, będą otwarte...

Klamka ustąpiła. Otworzyłem drzwi głową i z hukiem wypadłem z pokoju przesłuchań...

... I było po wszystkim.

Gruby zwój ramieniowęża zniknął z mojej szyi, podobnie jak latające wąsy. Wstałem, zobaczyłem jak czterech facetów pomyka korytarzem z pustymi noszami. Wsadziłem sobie palec do ust – krew. Spojrzałem na telefon, zobaczyłem pęknięcia i rozwalony mikrofon, po tym jak kilka chwil temu robił za kastet. Skłamałem się w myślach pewien, że porąbane połączenie z Johnem z pewnością się teraz urwało.

Ludzie pędzili dokądś korytarzem i chciałem się przez nich przepchnąć, żeby zobaczyć co z Johnem. Pamiętałem jednak o jego zaocznych instrukcjach. Korzystając z zamieszania, wycofywałem się z komisariatu i w końcu wyszedłem na zewnątrz.

Stanąłem na chodniku z dudniącym sercem. Co teraz?

Jakiś grubas w lśniącym gajercie przeszedł obok, nawet nie patrząc w moją stronę.

Automatycznie uzmysłowiłem sobie, że umrze za dwa tygodnie na zawał serca, starając się zgonić swego kota z drzewa przy pomocy kija od szczotki.

Przejechał obok całkiem już stary model TransAma i z sylwetki kierowcy wyczytałem, że wóz jest kradziony, a właściciel nie żyje. Pasek klinowy pęknie po 26 931 milach.

O matko, muszę się skupić na jednej rzeczy, bo mózg mi się rozpuści i wycieknie przez uszy, jak truskawkowy sorbet.

Dobrze. Wziąłem głęboki wdech. Co dalej?

Mój samochód stał zaparkowany dwie mile dalej pod wypożyczalnią Wally's, a nie miałem gotówki na zmarnowanie na taksówkę, nawet gdyby jedna z trzech taryf w mieście przypadkowo się teraz nawinęła. Ku memu zaskoczeniu zadzwonił telefon. Podniosłem rozwalony aparat do ucha, myśląc bardzo ciepło o konstruktorach Motoroli.

– Halo?

– Dave, to ja.

John.

– Gdzie teraz jesteś, Dave?

– Na chodniku przed mentownią. Idę. A ty, gdzie jesteś? W niebie?

– Jak się dowiesz, to dryndnij. Na razie idź dalej. Idź w stronę parku. Tylko nie świruj. Świrujesz?

– Nie wiem. Nie mogę uwierzyć, że telefon wciąż działa.

– Nie potrwa to długo. Przed tobą jest budka z hot dogami. Powinieneś już widzieć faceta. Widzisz go?

Zrobiłem z tuzin kroków i najpierw poczułem, a potem zobaczyłem. Wózek był oblepiony prawicowymi nalepkami i wisiał nad nim żółtopomarańczowy parasol. Sprzedawca hot dogów był chorobliwie wychudzony i wyglądał, jakby miał ze sto sześćdziesiąt lat. Podobnie jak wszystkie atrakcje turystyczne miasta.

– Widzę.

– Kup u niego smażoną kiełbasę w bułce.

Kwestionowanie tego polecenia było stratą czasu.

Wymieniliśmy się, ja mu dałem 3 dolary 15 centów, a on podał mi bułkę z kiełbasą – hot doga w woskowanym papierze.

Przez chwilę zawałem się, po czym wylałem dwie tłuste ścieżki musztardy wzdłuż smażonej kiełbaski. Wydawało się, że tak właśnie należało zrobić.

Przytrzymując telefon uchem i ramieniem, słuchałem Johna, którego głos brzmiał jak spod wody i cichnął z każdą sekundą.

– Przyłóż go do ucha.

Spojrzałem na strugi tłuszczu przemieszanego z musztardą, które ściekały z hot doga, i byłem wdzięczny losowi, że nie wybrałem keczupu czy też tego brązowego, ostrego sosu z cebuli.

Rozejrzałem się wokół i, starając się to zrobić całkowicie naturalnie, przystawiłem kiełbasę do ucha. Nagle moja komórka zdechła.

Kropla tłuszczu spadła mi na małżowinę, pełzając po szyi jak robak i niknąc za kołnierzem koszuli. Obok mnie przeszła grupa kobiet i mężczyzn w gajerach; obeszlili mnie szerokim lukiem. Z drugiej strony ulicy gapił się na mnie jakiś zaciekawiony bezdomny. Tak, to było już samo dno.

Miałem już sięgnąć po chusteczkę i przynajmniej wykorzystać wydane pieniądze, jedząc hot doga póki był gorący, kiedy to usłyszałem.

– Dave? Słyszysz mnie?

Głos Johna dochodził wprost z czeluści dzieła amerykańskich masarzy. Zerknąłem na komórkę i zrozumiałem. Wyświetlacz był cały czarny i odpadały z niego kawałki szkła. Z boku, z płataniny kabelków, wzywała zielona płytką z układami scalonymi.

– No dobra już, dobra. Słyszę cię za sprawą jakichś popieprzonych wibracji, ale nie przez telefon. Kapuję. Mogłeś mi tylko powiedzieć – opuściłem kiełbasę i zamieniłem ją z komórką. – Dobra, co dalej?

Cisza.

Usłyszałem jakiś odległy dźwięk dobiegający z kiełbaski, którą miałem teraz przy uchu.

– Dave? Jesteś tam?

– Jestem. Nie słyszałem cię przez komórkę.

– Od teraz będziesz musiał gadać przez kiełbasę.

– Ale dlaczego... – Westchnąłem i potarłem powieki czując, że nadchodzi ból głowy. – Dobra, nieważne. Co robimy?

– Słyszysz mnie tylko dlatego, że masz w organizmie odrobinę sosu sojowego ze strzykawki. Ale nie za wiele, więc nie potrwa to długo.

– Co to jest, John? Ten sos... wyglądało jakby ożył. Przysięgam ci...

– Posłuchaj. Musisz iść do Roberta. Nie ma tam teraz glin, ale przyjadą. Mamy tu drobną zapaść. Weź taksówkę do Wally's i wsiądź w swój samochód, a potem pojedź do Shire Village na Lathrop Avenue. Tam jest park z przyczepami na południe od miasta, za taką cukiernią. Przy odrobinie szczęścia powinieneś się wyrobić w dwadzieścia minut.

– Nie mam kasy. Miałem pięć dolców i właśnie trzy wydałem na smażoną kiełbasę.

– Trzy dolce? Jasna dupa. Dobra. Daj mi chwilę. No dobra. Sprawdź między kiełbasą a bułką. Znajdziesz tam złożony banknot studolarowy.

Zachęcony faktem, że cała ta czarna magia może przynieść jakieś profity, szukałem pod kiełbasą przez kilka chwil.

– Nic tu nie ma, John.

– No dobra. Czyli tego nie potrafię. Masz przy sobie kartę do bankomatu?

Rozdział 4.

Sos sojowy

Dwie godziny później wjeżdżałem moim hyundaiem do Shire Village. Chłodna już kiełbaska leżała na desce rozdzielczej, a drobne ślady po musztardzie widniały na szybie w miejscu, w którym rozwinięty papier zetknął się ze szkłem. Przyłożyłem ją do ucha.

– John?

Powitały mnie trzaski elektrostatyczne, ale potem rozległ się głos Johna, słabiej niż poprzednio.

– Dave?

– No?

– Co, pod wiaduktem jedziesz czy jak?

– Nie. Jesteśmy przy parku przyczep. W końcu. Która to przyczepa Roberta?

Znów trzaski. I po chwili.

– Działanie słabnie. Nie mów, tylko słuchaj. Wejź do środka i... Trzaski. – Jak będziesz pamiętać, żeby tego nie robić, to nic ci nie będzie. Powodzenia.

– Czego nie robić? John, nie usłyszałem...

Kiełbaska zdechła. Głos zniknął, trzaski ucichły. Znów trzymałem w dłoni zwykłą kiełbaskę. Pozostała mi wyłącznie nadzieja, że cokolwiek mam dalej zrobić, będę mógł to wywnioskować z mieszkania Roberta.

Jego przyczepa jako jedna z dwóch była otoczona żółtą policyjną taśmą rozciągniętą od ganku do drzwi wejściowych. Ta druga wyglądała, jakby została opuszczona wiele miesięcy temu. Wytwórnia spidu.

Zaparkowałem na trawniku na wprost parku z przyczepami i poszedłem na piechotę do przybytku Roberta. Nikogo tam nie było, czy też raczej nikt nie podszedł do mojego wozu. Z jakiegoś powodu najpierw zapukałem, a następnie wszedłem do środka.

Uprzątnęli krew i flaki. Raczej nie powinienem być zaskoczony – nie mogli pozwolić, żeby dwunastogodzinne wnętrzości przyciągnęły roje much. Pomimo tego rozpoznałem wnętrze ze zdjęć, które pokazywał mi gliniarz, scenę mokrej eksplozji ciała Roberta. A jednak dywan różnił się o kilka odcieni od oryginalnej barwy, a na ścianach już na zawsze pozostaną wyblakłe czerwonawobrazowe plamy. Unosił się też zapach, ohydny organiczny smród. Pleśni, zjełczałego mleka i gówna.

Ściany zostały ogołoczone do cna – nie było żadnych rodzinnych fotek, landszaftów z Wal-Martu ani plakatów filmowych. Czy to dzieło gliniarza? Nie było telewizora. Sofa, fotel ze śladami wypalonymi papierosem. Mieszkał tu czy squatował?

Zerknąłem do otwartej miniaturowej kuchni na końcu przyczepy, a potem odwróciłem się i poszedłem krótkim korytarzem na drugi koniec. Przepchnąłem się przez zamknięte drzwi prowadzące najpewniej do sypialni...

... i stanąłem jak wryty. Nagle znalazłem się na zaśniewanej połaci z widokiem na łańcuch górski, wbijający się w zapierające dech w piersiach fioletowe niebo sięgające aż po horyzont. Nie był to obraz, i to właśnie mnie zaskoczyło. Wyglądało to tak, jakby ktoś piłą spalinową odciął końcówkę przyczepy, tak że widać było jedynie to, co jest za nią. Tylko że gdyby tak było naprawdę, zobaczyłbym zardzewiałą przyczepę sąsiada i porzuconego oldsmobila wśród kępy chwastów. A to, na co patrzyłem, zapierało mi dech w piersiach.

Zdezorientowany, skołowany i przestraszony, że wciągnie mnie do środka, cofnąłem się do połowy korytarzyka. Dopiero po jakiejś minucie zorientowałem się, na co patrzę.

Był to obraz. Mural, od podłogi do sufitu i od ściany do ściany. Pomalował ściany, brzeg okna i nawet cholerną szybę. Pomalował zasłony, dywan, pościel i pomarszczoną kołdrę na niezasłanym

łóżku tak, że, kiedy patrzyło się na to z wejścia, efekt był oszałamiający. Na nocnym stoliku stała szklanka wypełniona do połowy wodą, a pędy pokrytych szronem traw wyrastały ze ściany idealnie we właściwym miejscu. Szklanka była nieco wyszczerbiona i artysta wykorzystał to w obrazie tak, że pęknięcie zmieniało się w przebłysk światła słonecznego złapany na pokrytym szronem liściu.

Efekt był zbyt realistyczny. Poczułem ciężar w żołądku, jak kiedy po raz pierwszy zobaczyłem drapacz chmur, kiedy byłem mały. Picasso by tego nie namalował, choćby nawet poświęcił temu całe życie. Wystarczyło stanąć na dywanie i już zmieniała się faktura, albo poprawić koldrę i już cały efekt legł w gruzach.

Łuaaa. Po prostu... łuaaa.

Nie mam pojęcia, jak długo tak stałem, chłonąc widok, przytłoczony potęgą szczegółów.

Widać jelenia wraz z miniaturowymi śladami na śniegu. Uroczą niewielką chatę z rodziną na podwórzu...

Kiedy zacząłem skupiać się na szczegółach, mój zachwyty zaczął maleć, a na jego miejsce wkradła się lodowata groza.

Chata na stoku góry, ale tam nie stoi żadne drzewko. To sklecony z gałęzi krzyż, na którym ktoś wisi. Ma odcięte nogi. Kobieta stoi obok... popatrzcie tylko na niemowlę w jej ramionach. Z jego czaszki wychodzi jeden, zakrzywiony róg. I na nieszczęście dla starca, dziecko wciąż wygląda na głodne. Zamarznięty staw z tyłu chaty – to nie trzciny wystają z lodu na całej jego powierzchni. To dłonie. A jeleni? Ma wielkiego kutasa, który robi brudę w śniegu za nim...

Zamknąłem drzwi, postanawiając już ich nie otwierać. Wróciłem korytarzem do salonu, mijając łazienkę, ale zawróciłem i zajrzałem do środka. Nie było tam nic nadzwyczajnego.

Toaleta jest przechylona.

– No i co z tego? – zapytałem na głos.

Niech szlag trafi moją ciekawość. Wszedłem do łazienki, zobaczyłem, że tył muszli odchyła się naprawdę o kawał od ściany. Przesunąłem ją na środek podłogi i zerknąłem w dół. Wejście do piwnicy?

To jest przyczepa, ty głąbie. Pewnie ma tu tylko dziuplę na prochy. Pozostaje jedynie kwestia tego, czy dalej robił tu kupę, kiedy odłączył już odpływ...

Pół metra pod włazem widać było ziemię pod przyczepą zasypaną żwirem, a w niej dziurę na tyle dużą, że człowiek mógł się przecisnąć.

Stara studnia? Zaraz, chwileczkę... tam się coś świeci. Czyżby ten facet w weekendy wykopał sobie piwnicę pod przyczepą?

Do wnętrza dziury prowadziła drabinka sznurowa, taka, jaką niektórzy trzymają w sypialniach na wypadek pożaru.

Jasne, zejdź na dół, ty kretynie. Przecież nikt tutaj nie rozpuknął się na kawałki ledwo kilka kroków od tego miejsca. Zejdź tam i zostań potrawą cieszącego się złą sławą na całym Środkowym Zachodzie drążącego tunele Gównomisia.

Ale John wysłał mnie tu nie bez powodu. Może i z kretyńskiego powodu, znając Johna, ale zaszedłem aż tutaj. Pomyślałem o nim, o tym że spędzę resztę swego życia bez niego i chwilę później siedziałem już na wyłożonej linoleum podłodze, spuszczać nogi przez właz. Starłem się zerknąć na dół do dziury i widziałem jedynie, że, tak jak myślałem, jest tam jakaś otwarta, oświetlona przestrzeń. Chwyciłem za krawędź podłogi i opuściłem się w dół otworu, odnajdując stopami stopnie drabinki.

Szczeble były śliskie od błota, a wszędzie wokół ziemia cuchnęła pleśnią. Schodząc w dół poczułem kolejny smród tak silny, że zdawał się sam emanować swoim ciepłem. Ostry, zgniły i fekalny.

Dziura zagłębiała się w ziemi mniej więcej na podwójną wysokość mego ciała, kiedy wreszcie moje stopy zawisły w przyćmionej, ziemistej komorze, która zdawała się być na tyle duża, że można było w niej stanąć. Smród nasilił się i, kiedy postawiłem stopy na dole, rozbryztał się w oślizłą kałużę gówna Roberta Marleya.

Wyprostowałem się, strząsając gówno z butów. Głową zawadziłem o zaskakująco gładki sufit. Pomieszczenie było niemal idealnie okrągłe, o średnicy równej szerokości przyczepy. Światło

lampy kempingowej padało na podłogę tuż obok zakrzywionej ściany po mojej lewej stronie. Skądś dobiegał dziwny, niski dudniący odgłos, jakby naraz ze wszystkich stron tego okrągłego pomieszczenia.

Rozejrzałem się pospiesznie dookoła.

Jakieś kształty, coś na podłodze.

Podszedłem bliżej, biorąc do ręki lampę i rozejrzałem się po pomieszczeniu, niemal spodziewając się że zobaczę przynajmniej trzy trupy. Zobaczyłem jedynie stertę śmieci po jednej stronie, włącznie z pogruchtanym telewizorem. Sterta wyglądała jak kompost ogrodowy z wystającymi z niego tu i tam różnymi przedmiotami. Wzdłuż ściany ktoś poustawiał puste słoiki z wyblakłymi nalepkami po kiszonkach. Było też coś, co wyglądało jak długa, płócienna torba leżąca przy drugiej ścianie.

Podszedłem wolno do tej niby torby i zobaczyłem maszkare z sennego koszmaru, wyglądającą jak wielka, tłusta gąsienica o skórzastej powierzchni, mniej więcej półtorametrowej długości. Miało to segmenty jak dżdżownica, na końcu najeżone kręgiem małych ząbków. Uciekłbym z krzykiem jak szaleniec, ale ten potwór był tak mocno przesadzony, że byłem pewien, iż był sztuczny. Może to jakaś rzeźba. I oczywiście to coś się nie ruszało. Wspomniałbym już o tym, gdyby było inaczej.

Aby się upewnić, bardzo wolno podszedłem bliżej i trąciłem robaka stopą. Nic. Żadnej reakcji. Może to jakiś najnowszy krzyk mody w dziedzinie poduszek. Przypatrywałem mu się przez dłuższą chwilę, po czym ostrożnie wycofałem się w stronę kupy śmieci. Po drodze zerknąłem na ściany, zastanawiając się, jak taka ziemna komora trzyma się bez wsporników. Dziwnie wygładzoną powierzchnię pokrywała przezroczysta, nieco falista substancja, jak szkło czy lód. Nie mogę wam powiedzieć jaka była w dotyku, bo nawet do głowy mi nie przyszło, by ją dotykać.

Zerknąłem po raz ostatni dość nerwowo na poduszkę z robaka, po czym cofnąłem się i znów natrafiłem na coś śliskiego pod stopami. Niewielką, wilgotną kupkę czegoś, co wziąłem za kielbaski. Przy dokładniejszej inspekcji zobaczyłem, że były to palce.

Cztery palce wskazujące z ciągnącymi się kawałkami skóry, mięsa i białej kości. Pomijając oczywiste okoliczności, wyglądały dość dziwnie, jakby były częściowo stopione.

Poczułem jak krtać mi się zaciska. Serce chciało wyskoczyć mi z piersi.

Zrobiłem dwa kroki w tył, zakrywając dłonią usta i starając się opanować.

Wypierdalaj stąd, ale w podskokach...

Wziąłem serię głębokich, wolnych oddechów. Oderwałem wzrok od jatkii na ziemi i poszedłem w drugi koniec pomieszczenia.

Stałem przy kupie śmieci, gdzie leżał wybebeszony telewizor. Aż podskoczyłem widząc, że jest włączony. Był na nim obraz jakby czyichś wnętrzności, jak wtedy kiedy lekarze wpuszczają pacjentowi miniaturową kamerę.

Nagle obraz zmienił się, ukazując ponad dwudziestoletniego faceta, blondyna o długich włosach, który wyglądał jakby znajomo. Siedział zwyczajnie w salonie na fotelu i rozmawiał z kimś zza kamery, do kogo zwracał się per „Todd”.

Obraz znów się zmienił i widać było zamazane, kręczone z ręki ujęcie samochodu jadącego przez osiedle mieszkalne.

Dudnienie ustało. Wyprostowałem się i rozejrzałem dookoła. Ten niby robak – czy on czasem wcześniej nie był bliżej ściany? Eee tam.

Wróciłem do instalacji z telewizorem. Nie widziałem, żeby przewód elektryczny biegł gdzieś w górę, ale pomyślałem, że może działa na schowany gdzieś akumulator samochodowy czy coś takiego. Przyjrzałem się dokładniej stercie, jak początkowo myślałem gałązek, i zobaczyłem, że jest to klejąca się kupa, uch, czegoś, czegoś nieznanego. Tylna obudowa telewizora została zdjeta i wychodziło z niego pasmo czegoś na kształt czerwonych wodorostów, zagłębiając się w dużej śniętej rybie. Ryba miała rozprute bebechy i wylewała się z niej różowa, wilgotna masa wielkości piłki do koszykówki, jakby wnętrzności wielokrotnie napęczniały.

Obok ryby stał szklany zbiornik wypełniony gęstą, żółtawą substancją, która mogła uchodzić za ślimaczy śluz, a na jego dnie leżała pomarszczona, szara masa, która mogła być albo ludzkim mózgiem, albo nieco przeterminowanym pulpetem.

Opanowała mnie straszliwa pewność, że oto patrzę na jakąś przedziwną maszynę i kiedy pomyślałem, że nic już nie jest mnie w stanie zaskoczyć, zerknąłem na ekran telewizora i okazało się, że jednak jest.

Przyczepa – ta przyczepa – była na ekranie.

Niewielka, jakby filmowana z oddali.

Ale robiła się coraz większa.

Obraz przybliżał się.

Ktoś zbliżał się w jej stronę. Jeśli to szło na żywo, to będzie tu za minutę.

Odrzuciłem się, zrobiłem krok naprzód i padłem na twarz. Lampa trzasnęła o podłogę i zaczęła toczyć się, rozsiewając światło i cień na wszystkich powierzchniach. Dzięki temu przez ułamek sekundy, niczym w stroboskopowym świetle, dostrzegłem wielkiego ślimaka, o którego się wywalilem, a który teraz znajdował się między moimi rozrzuconymi nogami. Przemieścił się do środka pomieszczenia z zastraszającą prędkością.

Czułem pod sobą pulsujące ciepło, drżenie, kiedy jego miękka masa ugięła się pod moimi nogami. Odrzuciłem potwora kopniakiem, odpychając się byle dalej na tyłku, i zobaczyłem, że już jest na mnie. Lampa zgasła, pozostawiając mnie na pastwę ciemności jedynie z delikatną poświatą ekranu telewizora-mutanta oraz snopu żółtego światła z łazienki na górze.

Słyszałem jak potwór ślimaczy się na mnie, czułem go przy twarzy. Podniosłem się chwiejnie na nogi, pośliznąłem się o kałużę gówna w środku pomieszczenia i znów wylądowałem na dupie waląc przy okazji mocno głową w ziemię. Podparłem się dłońmi, by wstać i w tej samej chwili poczułem jak olbrzymi ciężar płóciennego worka wypełnionego mięsem łąduje mi na piersi.

Popierdoleniec skoczył na mnie.

Przydusił mnie.

Pięćdziesięciokilowy wór śluzu naciskał mi na płuca.

Czekałem tylko, kiedy mi odgryzie twarz.

Kilka chwil później znów rozległ się ów niski, nieregularny odgłos.

Dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, że gadzina zasnęła. Delikatnie stoczyłem śpiącego potwora na ziemię, ostrożnie, żeby go nie obudzić. Bezszelestnie wstałem i niemal wyskoczyłem na drabinkę. Po dziesięciu sekundach znów podparłem się dłońmi o klejącą się podłogę łazienki, z ramionami ubrudzonymi czymś brązowym, miałem nadzieję, że błotem, i spodniami powalonymi gównem. Postanowiłem od razu, że pojedę do domu, pooglądam sobie telewizję, strzelę drinka, a potem...

Łup.

Niemal się posikałem. Był to dość cichy odgłos dochodzący z drugiej części przyczepy. Z kuchni. Wszedłem do korytarzyka, spodziewając się zobaczyć wampira plującego ogniem, połączenie klauna z morderczą kałamarnicą albo samego diabła.

Nic. Pewnie to tylko wiatr. Mikrowstrząs. Nagła migracja termitów.

ŁUP.

Ciężki, dobitny dźwięk. Adrenalina podpaliła wszystkie moje mięśnie i jak ostatni wał ruszyłem w stronę źródła dźwięku. Z całą pewnością z kuchni. W siedem kroków pokonałem całą posiadłość Roberta Marleya.

Moje buty stanęły na linoleum. Rozejrzałem się po blacie, podłodze i sprzęcie kuchennym. Żadnych elfów, gremlinów, nic. Jeszcze nic.

Upiorna cisza. Uświadomiłem sobie, że wstrzymuję oddech. Uzmysłowiłem sobie, że nie mam żadnej broni. Rozejrzałem się w poszukiwaniu czegoś, na przykład noża...

ŁUP.

Lodówka.

ŁUP.

Nie. Zamrażarka na górze. Małe drzwiczki rezonowały dźwiękiem, jakby ktoś w nie walił...

ŁUP.

... od środka.

Wynoś się, wypierdalaj, David. Leć, leć, biegnij, szybko. LEĆ, BIEGNIJ, WYNOCHA!

Z ostatnim łupnięciem drzwi zamrażarki otworzyły się na oścież.

Okrągła, zamrożona klucha o rozmiarach puszki z kawą wytoczyła się z zamrażalnika, spadła na podłogę i zatrzymała o krok ode mnie. Patrzyłem na nią oraz na otwartą, pustą zamrażarkę. Zebrałem w sobie całą posiadaną odwagę...

... po czym odwróciłem się i rzuciłem do ucieczki.

Ruszyłem w stronę wyjścia, pokonując odległość w trzech dużych susach. Pół sekundy przed tym, jak moja dłoń już miała wyrwać gałkę z drzwi, przypadkowo zerknąłem przez okno i zobaczyłem sedana zaparkowanego tam, gdzie go wcześniej nie było. Całego białego, ale ze zbyt dużą ilością anten.

Wóz gliniarzy.

Ktoś wychodzi.

Pierdolony Morgan Freeman.

Podszedł do drzwi przyczepy jakieś dwa metry ode mnie. Odwróciłem się na pięcie w poszukiwaniu drogi ucieczki. Nawet gdybym znalazł drugie wyjście, wiązałoby się to z przejściem nad opętanym słoikiem, czy co tam wytoczyło się z zamrażalnika, a który teraz stał na kafelku bujając się w przód i w tył, dymiąc nieznacznie. Zobaczyłem teraz, że był to zwitek taśmy klejącej, owijającej warstwa po warstwie to, co było w środku.

Nie, dziękuję.

Spojrzenie na zewnątrz. Mój ulubiony gliniarz szedł w tę stronę, zatrzymując się, by zerknąć przez ramię na coś, czego nie widziałem. Co miałbym powiedzieć, gdyby wszedł do środka? Zwykle, jeśli mam ze dwie godziny, potrafię skonstruować przekonujące kłamstwo...

Trach!

Pusty dźwięk, jakby coś się rozrywało, dochodzący z zamrożonego słoika. Badziewie podskoczyło na podłodze o cal, podobnie jak ja, kiedy usłyszałem ten odgłos.

Znów, tym razem wyżej.

Kurwa, jakby coś starało się wydostać ze środka...

Trzask! Zgrzyt!

Tak właśnie słyszę dźwięk przekręcanej gałki w drzwiach. Morgan był już ode mnie na wyciągnięcie ręki, po drugiej stronie dykty w kształcie drzwi, i wchodził do środka. Schyliłem się, spoglądając z nadzieją na słoik, bo przecież mógł z niego wyskoczyć jakiś leprechaun czy demon, bo ja wiem, i zając czymś gliniarza, który najprawdopodobniej zada mi oczywiste pytanie, dlaczego spieprzyłem z przesłuchania. Przygotowałem się na najbardziej niezręczną sytuację w moim życiu.

Gałka wróciła na miejsce, bo ktoś po drugiej stronie puścił ją. Zaryzykowałem, spojrzałem przez okno salonu i zobaczyłem jak Morgan patrzy gdzieś dalej, w stronę wysypanego żwirem podjazdu i tym razem zobaczyłem to, co i on – nieopodal jego wozu parkował biały furgon z wielkim logo na burcie. CHANNEL 5 NEWS. Jakiś facet wyszedł z miejsca kierowcy, wyciągając kamerę i złożony statyw, a od strony pasażera wyłoniła się piękna pani dziennikarz. Czekają mnie nie tylko nakrycie na miejscu zbrodni, ale moje aresztowanie za to przestępstwo miało zostać wyemitowane na żywo w telewizji. Byłaby to dosłownie największa wtopa w dziejach łamania zakazu wkraczania na teren śledztwa.

TRACH! TRACH! TRACH!!!

Z jednej strony słoika, czy co to tam było, pojawiło się wybrzuszenie, a pasma przylepca zaczynały pękać, poddając się naporowi z wewnątrz. Nagle aresztowanie zaczęło jawić się w różowych kolorach i pomyślałem, że powinienem wyjść na zewnątrz, poddając się i podnosząc rękę. Ale strach przygwałdził mocno moją dupę do dywanu. Słoikiem zatrzęsło raz i drugi, i żałowałem, że nie mam żadnej broni, najlepiej miotacza ognia.

Słyszałem piąte przez dziesiąte rozmowę na zewnątrz, podczas której gliniarz i dziennikarka zmagali się w lapidarnym pojedynku na wymuszone uprzejmości.

– Cześć, jestem Kathy Bortz, Kanał Piąty...

– ... ze wszystkimi sprawami proszę kontaktować się z kapitanem, ma pani numer. Poza tym i tak jest tu już posprzątane, naprawdę dobre zdjęcia przeszły pani koło nosa kilka godzin temu...

Morgan, może nie będzie miała Pulitzera, ale z całą pewnością nakręci to, co się stanie ze mną.

Oto materiał na wyłączność Kanału 5 przedstawiający, jak obywatelowi naszego miasteczka drapieżny, skrzydlaty gremlin wyżera mózg. Miejscowi eksperci od gremlinów ostrzegają, że...

TRAAACH!

Słoik eksplodował, ejakulował, wydając na świat coś w tumanie kawałków elastycznej taśmy klejącej. Z wnętrzości puszki wystrzeliła dziura jak od pocisków wielkokalibrowej strzelby i wyprysnął z niej jakiś ledwo widoczny przedmiot, odbijając się od ściennej boazerii nade mną. Potomstwo słoika spadło na dywan, potoczyło się po wykładzinie i zatrzymało się tuż obok mego buta.

Niewielki, błyszczący, metalowy pojemnik. Nie poruszał się, nie warczał ani nie świecił. Po prostu leżał.

Czekał.

Patrzyłem niewidzącym wzrokiem, po czym zmusiłem się, by wyciągnąć szyję i zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz – gliniarz gestykulował coś, odwrócony w moją stronę. Schowałem błyskawicznie głowę i usiadłem ciężko na wykładzinie plecami do ściany.

Zobaczył cię. Widziałeś błysk zaskoczenia na jego twarzy? Zauważył kawałek głowy wyglądającej z okna przyczepy. Ty durniu.

Spojrzałem na niewielką, metalową fiolkę odsuwając się od niej. Czy to kroki na zewnątrz? Uniosłem stopę, by odepchnąć kopniakiem pojemnik, ale zrezygnowałem.

Wiesz, co tam jest w środku, prawda?

Nie. Nie mam bladego pojęcia.

Wiesz, że Robert miał zapas tego gówna, które zainfekowało Johna...

Z zewnątrz dochodziły mnie przytłumione głosy.

– Czego w określeniu „bez komentarza” pani, kurwa, nie rozumie?

Bliżej niż poprzednio?

... a jeśli miał zapas, nie mógł go po prostu wsadzić pod łóżko. To czarne gówno się porusza. Ma swoją wolę i cel. Gryzie.

I wtedy uzmysłowiłem sobie, po co właściwie tu przyszedłem. Oczywiście John mnie naprowadził. I ja też byłem pod wpływem tego czegoś, drobiny, która trafiła do mego krwiobiegu, kiedy dziabnęło mnie w udo i mogłem się porozumiewać z...

(umarłakami)

... z Johnem. Kiedy działanie się skończyło, już nie mogłem. Moja jedyna szansa na uratowanie go spoczywała w tej buteleczce, choć zawartość była jadowita.

Podniosłem pojemnik, który był zimny jak kostka lodu. Odnalazłem gwint i odkręciłem górę spodziewając się, że wycieknie z niego ten czarny olej.

Zamiast tego wysypały się dwa niewielkie, zimne kamyki. Czarne, o idealnym kształcie, na mej dłoni niczym dwa tik taki o smaku węglowym. To ten sam towar, stwierdziłem, w wygodnych kapsułkach dla tych, co się boją igieł.

Ty się boisz igieł.

No i co z tego?

Gdyby to była strzykawka do zastrzyków podskórnych, nawet nie przyszłoby ci do głowy, by się nią dźgnąć. Jakież to udogodnienie.

Zamknąłem oczy i uzbroiłem się w całą swoją odwagę, tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy napiłem się whisky.

To wiedziało. I co ty właściwie wyrabiasz? Z tego co wiesz, to gówno najpewniej wypełzło z rozwalonego meteorytu. Znalazłeś to w domu trupa, a tutaj doprowadził cię szlak całej masy trupów. No więc proszę cię bardzo, włóż to teraz sobie do ust, głupi gnoju.

Zawahałem się i poczułem swędzenie na dłoni w miejscu, w którym leżały kapsułki. Nie słyszałem żadnych głosów z zewnątrz, co było niczym światełko w tunelu, iskierka nadziei, że może po prostu wszyscy sobie poszli.

Jeśli to zrobisz, nie będzie odwrotu. Przecież sam to podskórnie wiesz.

Znów poczułem swędzenie, wrażenie, że coś pełza mi po dłoni. Spojrzałem w dół i zobaczyłem zupełnie niewinne tabletki i nagle... zaczęły się ruszać. Wiły się na mojej dłoni niczym dwa tłuste

czarne czerwie. Cisnąłem je na wykładzinę, machając ręką jakby się paliła. Podniosłem się chwiejnie. Małe potwory skręcały się, zmieniały kształt, zaczęły im wyrastać miniaturowe, czarne kończyny.

Z jednej z kapsułek wyrosły dwa płaskie wyrostki, które zaczęły się skręcać, poruszać, trzepotać. Widać było tylko mgiełkę. Skrzydła. Czarna klucha wydawała straszliwy, owadzi odgłos trzepotania skrzydełek o wykładzinę. Nagle tik tak rzucił się na mnie, zostawiając za sobą nikłą, czarną smugę.

Nie uświadamiałem sobie, że mam otwarte usta, aż do tej chwili, bo gdybym wiedział, to bym je zamknął, zapewniam was. W jednej chwili potwór ześlizgiwał się z mojego języka i leciał już w dół gardła skręcając się potępieńczo. Zakaszlałem, próbowałem odkrztusić, zatrzęsło mną. Owad z sosu sojowego pełznął w dół mego przełyku. Poczułem jego potworne, łaskoczące mnie odnóża aż w jelitach.

Otworzyłem oczy, desperacko rozglądając się za drugim. Trudno jest wypatrzeć takiego drania na ciemnej wykładzinie...

Jest.

Zabzyczał i poleciał. Tak szybko, że znikł mi z pola widzenia. Zaciśnąłem mocno usta, przyłożyłem dłoń do twarzy, tak na wszelki wypadek. Potwór wylądował na moim lewym policzku, a ja nie zastanawiając się, pacnąłem go, jak uprzykrzonego komara.

Ból. Jakbym dotknął kwasu albo rozgrzanego do czerwoności metalu, który wżerał się teraz w delikatną skórę pod okiem. Stłumiłem krzyk, oderwałem dłoń od twarzy i zobaczyłem na niej krew.

Dźgnięcie wszechogarniającego żaru na policzku zmieniło się w wyraźny, rozchodzący się wokół tępy ból, który promieniował aż do palców w nogach. Był tak wielki, że mój umysł nie był w stanie go ogarnąć, przemieszany z dziwnym świerzbem, towarzyszącym rozdzieraniu ciała, uczuciem, jakby ktoś wyrwał całe końcówki nerwowe z korzeniami i odrzucał je na bok.

W ustach poczułem miedziany smak krwi, i że coś się tam porusza... OCH, ŻEBY GO TAK, SKURWYSYNA, POSRAŁO. PIERDOLONY SOS SOJOWY WYŻERA MI DZIURĘ W MORDZIE.

Padłem na podłogę, wijąc się i rzucając, jakbym miał atak. Zapomniałem kim jestem, gdzie jestem, wszystko wyparowało z mego umysłu za sprawą wodorowej bomby paniki.

OCH, ALEŻ TO BOLI. JAK BOLI, JAK SKURWYSYŃSKO BOLI. CZUJĘ, JAK TO CHUJOSTWO PEŁZA MI PO ZĘBACH, O KURWA JEGO MAAAAAĆ.

Moja twarz i koszula były całe mokre i klejące od krwi. Poczułem, jak drugi intruz pełźnie mi po języku i dalej w dół przez przełyk, poczułem jak żołądek wzdryga się z odrazą. Usłyszałem kroki na zewnątrz i poczułem ulgę, bo wiedziałem, że rzucę się detektywowi Freemanowi do stóp, błagając, żeby zabrał mnie na pogotowie, żeby zrobili mi płukanie żołądka, żeby ściągnęli egzorcystę, żeby wezwali Siły Powietrzne, aby zbombardować całe miasteczko tak, żeby pozostał po nim jedynie radioaktywny pył, który potem zaleją dwudziestometrową warstwą betonu.

I nagle – spokój.

Niemal Zen.

Znów opanowało mnie uczucie znane z komisariatu policji, pulsująca energia emanująca z klatki piersiowej niczym pierwszy łyk gorącej, podlanej wodą kawy pitej na dworze w samym środku zimy. Odlot po sosie sojowym.

Gałka w drzwiach zaczęła się obracać. Morgan nadchodził. Do diabła, Morgan tu był. Chciałem rzucić się do ucieczki, schować, zrobić coś. To irytujące. Ludzkie ciało jest powolne, takie powolne...

I tak po prostu, znalazłem się poza nim.

Czas stanął.

Było to tak dziecinnie proste, że niemal się roześmiałem. Dlaczego nie załapałem wcześniej? Miałem pełne 1,798 sekundy zanim detektyw wejdzie przez drzwi. Jedynym powodem, dla którego zwykle postrzegamy taki przedział czasowy jako niezwykle krótki, jest to, że nasz mokry mechanizm cielesny niewiele może osiągnąć w takim czasie. Ale superkomputer jest w stanie wykonać tryliony obliczeń matematycznych w jedną sekundę. Dla maszyny sekunda to cała

wieczność. Wystarczy przyspieszyć procesy myślenia, a dwie sekundy zmienia się w dwie minuty, dwie godziny albo w dwa tryliony lat.

Teraz 1,74 sekundy dzieliło mnie od konfrontacji, a moje ciało, podobnie jak ciało mojej Nemezis, zamarło na chwilę po dwóch stronach drzwi, on z ręką na klamce, ja na czworakach w zawieszzonej agonii.

Dobra. Potrzebuję planu. Niespiesznie wracam myślami wstecz, by ocenić sytuację. Myśl.

Stoisz na cienkiej, zimnej powierzchni gigantycznej kuli, stopionej skały pędzącej przez zamrażającą przestrzeń z prędkością 496 105 mil na godzinę. We wszechświecie istnieje 62 284 432 169 522 717 995 422 922 727 752 433 961 225 994 352 284 523 296 571 657 791 521 192 954 221 592 175 243 296 122 599 435 291 541 293 793 852 734 657 229 subatomicznych cząstek, z których każda jest wprawiona w ruch zewnętrzny od chwili Wielkiego Wybuchu. Tym samym to, czy teraz poruszasz prawą ręką czy nie, czy kiwasz głową albo wcinasz cukierki czy płatki kukurydziane w czwartkowe poranki, zostało wyznaczone w chwili, w której rozpoczął się wszechświat siedemnaście miliardów lat temu na podstawie ruchu i trajektorii tych cząstek w pierwszej milisekundzie ich fizycznej egzystencji. Tym samym, fizycznie nie jesteś w stanie zmienić...

Nie dokończyłem tej myśli.

Nie było mnie już w przyczepie.

Słońce. Piasek. Pustynia.

Czy umarłem?

Rozejrzałem się dookoła i nie spostrzegłem niczego ciekawego z wyjątkiem brązów, brązów i beży rozciągających się między jednym horyzontem a drugim. Piaskownica Pana Boga. I co teraz? Przypomniały mi się pierwsze majaczenia Johna po tym jak wziął sos, kiedy mówił, że wciąż wypada ze strumienia czasu, że wszystko się zazębia.

Zobaczyłem, że coś mi się rusza u stóp. Żuk mozolnie pełznął przez piasek. Stwierdziłem, że może mieć to jakieś znaczenie, więc zacząłem go obserwować, kiedy tak sunął przez pustynię. Trwało to mniej więcej przez dwie godziny, a owad parł wytrwale w jednym kierunku. Zacząłem już tworzyć teorię mówiącą o tym, że żuk jest jakimś duchem-przewodnikiem z indiańskich wizji, który ma za zadanie doprowadzić mnie do mego przeznaczenia – ale nagle się zatrzymał. Pozostał w jednym miejscu mniej więcej przez pół godziny, po czym zawrócił i zaczął pełznąć w przeciwnym kierunku.

W mgnieniu oka znalazłem się gdzie indziej.

Parkan z drutu.

Brązowa, wyschnięta trawa.

Ludzie wokół mnie, w łachmanach, jak uchodźcy.

Zaczynało się robić idiotycznie. Stałem tam przez chwilę całkowicie zaskoczony. Znów przypomniał mi się John i postanowiłem nie tracić głowy, trzymać się, aż rozwieją się te wizje. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że trzymam widelec, a moja dłoń jest pobrudzona szarym pyłem, jakby popiołem.

Podeszła do mnie jakaś dziewczynka. Była wykoślawiona, brudna i brakowało jej połowy twarzy. Miała tylko jedno oko. Przyglądała mi się tym jednym okiem, po czym podbiegła do mnie i kopnęła mnie w krocze, wyrывая mi widelec z dłoni. Uciekła z nim, a kiedy podniosłem wzrok zobaczyłem...

Białe ściany.

Usłyszałem odgłosy fabryki.

Maszyny.

Znalazłem się w dużym, bardzo czystym budynku, a przede mną stał jakiś mężczyzna w niebieskim uniformie, obserwujący na niewielkim komputerowym ekranie coś, co najwyraźniej było linią montażową. Po mojej lewej stronie zobaczyłem olbrzymi, czerwony znak z napisem ZAKAZUJE SIĘ PALENIA I PORUSZANIA Z OTWARTYM OGNIEM NA POZIOMIE PRODUKCYJNYM i ze schematycznym symbolem wybuchu pod spodem.

Zrobiłem krok naprzód, zauważając, że obok faceta stoi jeden z tych kalendarzy, na których przewraca się kartki. Był mocno przeterminowany, a widoczna kartka stanęła na dniu sprzed kilku lat.

Musiałem jakoś to powstrzymać. Czułem się jak pływak miotany prądami wodnymi w górskim strumieniu. Skądś jednak wiedziałem, że jeśli nie odzyskam kontroli, prąd będzie mnie niósł w ten sposób już na zawsze.

Nie oczekując reakcji zagailem:

– Ech, przepraszam.

Facet drgnął, odwrócił się. Przez chwilę wydawało mi się, że spojrzął mi w oczy, ale potem jego niewidzące spojrzenie omiotło całe pomieszczenie. Najwyraźniej stwierdził, że mu się coś przesłyszało, bo odwrócił się z powrotem do swego monitora.

Pomieszczenie było pełne ludzi stojących przy różnych maszynach. Było jasne, że mnie nie widzą. Byłem tutaj, ale jednocześnie mnie nie było. Spojrzałem w dół i ja też nie zobaczyłem swoich stóp.

Moje stopy, wiedziałem na pewno, wciąż znajdowały się w przyczepie w Anonimowym sobotniego popołudnia. Skupiłem całą swoją uwagę na powrocie w to miejsce, do tego punktu, do tego czasu, do mego ciała. I w mgnieniu oka znów byłem na podłodze w przyczepie. Czułem ból twarzy i smród gówna na nogawkach spodni.

Wydałem z siebie westchnienie ulgi, starając się przypomnieć sobie, co się działo, kiedy Morgan Freeman wszedł przez drzwi i zamarł w miejscu na mój widok.

Cholera. Spierdoliłem wszystko.

Podniosłem wzrok, gramoląc się niezgrabnie na nogi, trzymając dłoń przy zakrwawionym policzku, ze spodniami cuchnącymi kupą Roberta Marleya.

Detektyw zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

Miał ze sobą dwa czerwone plastikowe kanistry z benzyną.

Ma zamiar spalić tę budę – uświadomiłem sobie jasno i dobitnie.

I spali ją wraz ze mną.

Morgan postawił kanistry przy nogach, po czym zapalił papierosa. Palił przez chwilę w milczeniu, spoglądając w przestrzeń, jakby nagle zapomniał, że tu jestem.

– A więc – zacząłem, pomyślawszy, że może jednak mu przypomnę – pewnie zastanawia się pan, dlaczego się tu znalazłem?

Potrząsnął lekko głową:

– Z tego samego powodu, co i inni. Stara się pan dojść, co, na świętego Elvisa, się tu wyrabia. Ja jednak mam inny powód. Ja już nie chcę wiedzieć więcej. Założę się, że zastanawia się pan, co tutaj robię z tymi kanistrami z benzyną.

– Myślę, że wiem. I sędzę też, że właściciel parku z przyczepami nie będzie tym zachwycony.

Przyglądał się mojej krwawiącej twarzy, po czym sięgnął do kieszeni i podał mi chusteczkę. Przycisnąłem ją do policzka.

– Dziękuję. Ja, eee, upadłem. Na...na wiertło.

– Wierzy pan w piekło, panie Wong?

Pięć sekund pełnej zaskoczenia ciszy, a potem:

– Ech, jasne, tak myślę.

– Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego wierzy pan w piekło?

– Ponieważ jest w opozycji do tego, w co chciałbym wierzyć.

Wolno pokiwał głową i ta odpowiedź najwyraźniej go usatysfakcjonowała. Podniósł z ziemi jeden z kanistrów, odkręcił korek i zaczął rozlewać pomarańczową ciecz po salonie.

Przyglądałem mu się przez chwilę, po czym zrobiłem ostrożnie krok w stronę drzwi. Morgan odwrócił się błyskawicznie i wyciągnął dłoń z kieszeni kurtki. Rewolwer celował teraz wprost w moją twarz.

– Już pan wychodzi, tak wcześnie?

Mój umysł wciąż szalał i nagle zobaczyłem urywek ze wspomnień Morgana, coś zbyt dziwnego, by to pojąć. Była to scena z dzisiejszego poranka, z tej właśnie przyczepy. Krew.

I krzyk. Ciągły krzyk. Coś ty tu zobaczył, Morgan?

Nagle opanowała mnie kolejna wizja – jak ściany wokół mnie buchają płomieniami. Podniosłem w górę ręce poddając się, a on wskazał mi brodą na drugi kanister.

Powiedział:

– Proszę mi pomóc.

– Z radością panu pomogę. Ale najpierw chciałem, żeby mi pan powiedział, co się stało z Johnem. No wie pan, z tym drugim, co go też przesłuchiwałeś?

– Wydawało mi się, że był z panem.

– Ze mną? A czy on przypadkiem, no wie pan, nie umarł?

– A pewnie, że umarł. Był w pokoju przesłuchań i Mike Dunlow zadawał mu te same pytania, które ja zadawałem panu. A pański kolega mruczał coś w odpowiedzi, jakby drzemał. Powtarzał, że musimy was wypuścić, że pan musi jechać do Vegas, bo jak nie, to będzie koniec świata...

Znów Las Vegas. O co kurwa chodzi z tym Vegas?

– ...i w końcu Dunlow mówi do niego: „Proszę posłuchać mamy tu martwych i zaginionych i dowiemy się wszystkiego co trzeba, więc zostanie pan w tej sali tak długo, aż będę zadowolony albo aż umrze pan tu ze starości.” – I pański kumpel, słysząc to, pada martwy. Tak po prostu.

– Taa, cały John, cały on.

– A teraz go nie ma. Dostaliśmy telefon ze szpitala, gdzie zostało po nim tylko puste łóżko. Pomyśleli, że się zwinął, bo nie był ubezpieczony.

– Cały John, cały on.

Podniosłem kanister i odkręciłem korek. Morgan odłożył broń. Zacząłem zalewać sofę.

– Zna pan młodzieńca o nazwisku Justin White, panie Wong? Z ogólniaka?

– Nie. Pytał mnie już pan o niego na komisariacie. To jeden z zaginionych, prawda?

Nie, ty go znasz. Pomyśl.

Morgan powiedział:

– Jeździ wiśniowoczerwonym mustangiem rocznik '65.

Ach. Faceta nie znałem, ale znałem brykę. To ten blondas o twarzy dziecka, którego widziałem jak obściskował się z Jennifer na imprezie.

– Wiem jak wygląda, tylko tyle.

– To jest facet, który zgłosił to... to co się tutaj stało. No i tak właśnie zaczął mi się dzień. Mówię, żeby pan mnie zrozumiał, żeby zrozumiał pan stan mojego umysłu? Dobrze? Szczeniak dzwoni w panice na numer alarmowy, jest rozhisteryzowany, gada coś o jakimś trupie. To było mniej więcej o czwartej nad ranem. Tak się złożyło, że byłem o dwie ulice dalej. Pędzę więc na miejsce i jestem tam jako pierwszy. Słyszę, że ktoś krzyczy. I ludzie zaczynają biegać, młodziaki włączają silniki. Nie pierwsza impreza, która się źle kończy.

Przerwał rozchlapywanie benzyny i postawił kanister na podłodze. Przez chwilę wpatrywał się gdzieś w przestrzeń. Zassał inspirację z niedopalonego kiepa i znów się odezwał:

– Idę do drzwi, mówię, że tu gliny. Wchodzę do środka i widzę...

... Znalazłem się tam. Tak po prostu.

Wciąż jestem w przyczepie i stoję dokładnie w tym samym miejscu. Tylko policzek już mnie nie boli, a straszliwe połączenie rapu i reggae ze sprzętu z drugiego końca pomieszczenia wali mnie po uszach. Światło jest inne i po zerknięciu za okno wiem, że jest noc. Spoglądam w dół i znów nie widzę swoich stóp.

Jestem tu, ale mnie nie ma.

Jakby ktoś wdusił przycisk cofania w przyczepie, odtwarzanie wydarzeń sprzed dwunastu godzin.

Pomieszczenie wypełniają ludzie. Dostrzegam w tłumie twarze Jennifer Lopez i Justina White'a. Szukam wzrokiem Johna, ale nie ma po nim śladu. Ale oczywiście już by go tu nie było, bo siedzi w swoim mieszkaniu, które daje mu popalić na własny rachunek.

Muzyka dudni na całego, ale nikt się nie rusza ani nie rozmawia. Wszyscy stoją niby wryci w ziemię, z oczami utkwionymi w jednym punkcie po mojej prawej stronie. O matko, ależ to jest

chujowy kawałek. „Informer” białego reggae rapera Snowa. „Infoooooormer, younosaydaddymesno wblablably...”

Odwracam się i widzę, co tak przyciągnęło uwagę wszystkich.

Ciało Roberta, farbowanego Jamajczyka, leży skulone na podłodze i miota się. On sam mówi:

– Nic mi nie jest, nic mi nie jest, stary! Za minutkę wszystko będzie w porządku! Już mi lepiej!

Być może jego słowa uspokoiłyby gości, gdyby nie to, że jego głowa turla się po podłodze z każdym ruchem jego szczęki. Jedno z ramion Roberta odpada od barku i miękko ląduje na dywanie. Uświadamiam sobie z odrazą, że coś wije się w jego obnażonych flakach niczym gniazdo robaków.

Ktoś krzyczy.

Impreza zmienia się w paniczną ucieczkę.

Aż podskakuję, kiedy jedna z dziewcząt przebiega przeze mnie, przechodząc bez trudu tam, gdzie powinno być moje ciało. Wszyscy obchodzą Roberta, starając się dojść do drzwi bez kontaktu z zainfekowaną, ciągnącą się mazią na podłodze i – no żesz kurde, ależ to jest syfiasty kawałek. Jakby wokalista zabawił się dżganiem mnie w uszy sztyletem z wyschniętej kupy.

Muzyka urywa się gwałtownie. Ktoś przewrócił sprzęt.

W rogu widzę Justina, który krzyczy do komórki:

– Mówiłem, że nie żyje! I wciąż gada! Ale przecież to trup! No to, kurwa, sam tu przyjedź, to zobaczysz!

Obserwuję jak imprezowicze wylewają się przez drzwi, ale nigdzie nie ma Jennifer. Odwracam się i widzę czyjeś plecy, uciekające w przeciwnym kierunku. Tam nie ma drzwi, tumanie jeden.

Ale jest piwnica pod łazienką.

Słychać dźwięk, jakby ktoś spuścił z wysokiego budynku na chodnik worek pełen kisielu.

Robert się rozpęka, i fragmenty jego ciała walą z płaskiem o wszystkie ściany.

Justinowi telefon wypada z dłoni. Otwiera szeroko usta. Pokój pustoszeje i w całkowitej ciszy są w nim teraz tylko on oraz różowa kupa pozostała po rastafariańskim dilerze.

Pojawia się pierwszy biały owad. Krąży wokół wilgotnego truchła będącego niegdyś ciałem Roberta, biała smuga, której bzyczenie w tym pomieszczeniu brzmi jak wystrzał.

Do pierwszego owada dołącza kolejny. A potem jeszcze dwa.

Dźwięk narasta. Wysoki hałas, znajdujący się gdzieś pomiędzy kłótnią wściekłych wiewiórek i bzyczeniem szarańczy.

Są ich już dziesiątki. Z każdym moim mrugnięciem rój podwaja swoją liczebność. Są to długie, przypominające robaki owady, które latają tylko poziomo. Zbyt wiele, by je policzyć, kołująca chmura unosząca się nad ociekającym posoką ciałem.

Miałem ochotę wyjść z tego pokoju, wyjechać z miasta, wystartować na inną planetę. Utraciłem jednak zdolność poruszania się. To był koszmar, jaki przeżywaliśmy tysiące razy, groza, przed którą nie można uciec, bo wchłonęła nas w całości.

Odgłos narasta wraz z liczebnością roju, czułem to, posiada moc na poziomie przepony, podobnie jak pulsowanie muzyki Johna na koncercie.

Nagle, biały rój leci w stronę Justina.

Justin krzyczy.

Drzwi otwierają się z hukiem.

Zamrugalem i zobaczyłem stojącego przez sobą Morgana. Smród benzyny zalewa mi zatoki. Wróciłem.

– Wparowałem przez drzwi i ten młody Justin jest tu na czworakach i po prostu wyje. Myślę, że ktoś go pchnął nożem, ale przyglądam się bliżej i widzę, że coś na nim siedzi. Coś go oblało, całe ręce, twarz.

Morgan wyciągnął papierosa z ust kiedy mówił, a tytoń palił się dalej, tworząc coraz dłuższy słupek popiołu. Wokół mnie tapeta ociekała benzyną.

– Wyglądało to, jakby był pokryty grubymi włosami. Cały – powiedział. – Białymi, może takimi jak wyciory do fajki, albo poskręcane kawałki żyłki. Maje na powiekach, w uszach, na szyi i

ramionach, i krzyczy stojąc na czworakach, drze się jak małe dziecko. A ja widzę te paskudztwa też w powietrzu, jak bzyczą wokół niego.

Z papierosa zwisało coraz więcej popiołu. Mój wzrok oderwał się od niego i skierował ku napęczniałej od benzyny podłodze.

– I cholera, stoję tam tak jak wryty, w drzwiach. No bo patrzę dalej, a po drugiej stronie pokoju widzę tego faceta rozsmarowanego na ścianach, jakby wlaźł na minę przeciwpiechotną i do tego jeszcze to, a powinienem spróbować zgonić to, pomóc mu jakoś, ale nie chcę go dotykać. Nie chcę, żeby oblaźło mnie to, co jego.

Słowa Morgana milkły stopniowo. Spojrzał na swe dłonie, jakby chciał się upewnić, czy są czyste.

Długi kawałek popiołu spadł mu z papierosa na namokły dywan.

Zgasł z cichym sykiem.

Morgan mówił:

– Potem zrobiłem co należało. Pobiegłem do wozu i wezwałem karetkę. Znaczący, karetka już jest w drodze, a ja powinienem zostać w środku i nie wiem, odszukać jakiś spray przeciwko robalom czy coś takiego albo wciągnąć chłopaka pod prysznic i zmyć z niego to paskudztwo, ale nie potrafię. Nie mogę się na to zdobyć dlatego, że krzyczy jakoś tak dziwnie. Ale nie tylko dlatego. Z robakami, nawet tymi gryzącymi, jestem sobie w stanie poradzić, jeśli muszę. Ale ja je... – Zamilkł, jakby chciał upewnić się w myślach, co chce powiedzieć. – Ja je słyszałem. W mojej głowie. Rozumie pan?

Nie rozumiałem, ale nie byłem w stanie się odezwać. Otworzył szafę i oblał jej zawartość benzyną.

– Więc idę do wozu, zgłaszam wezwanie, ale naprawdę nie wiem, co się dzieje, kapewu? Chwytam zbiornik z gazem łzawiącym i wracam do środka, cały czas myśląc, że powinienem wezwać ekipę od materiałów niebezpiecznych, facetów, co by wpadli tu i, bo ja wiem, zdezynfekowali to miejsce. Ale najpierw sam muszę mu pomóc, wpadam więc do środka i... i widzę, że nic mu nie jest. Tak po prostu. Stoi tu przyglądając włosy i nie ma żadnego śladu po tym robactwie, ani jednego owada. A ten szczeniak, Justin, zaczyna mówić normalnie, tak jakbym dopiero co tu przyszedł.

Poszedłem do sypialni, otworzyłem drzwi na oścież i nie patrząc na ścianę wylałem do środka pół kanistra benzyny. Zamknąłem za sobą drzwi. Morgan zobaczył mnie i się uśmiechnął.

– Taa, ja też to widziałem. Ten obraz. Popieprzone, co? Żaden człowiek nie byłby w stanie tego namalować. I mówię ci, jak człowiek tam trochę pobędzie, to ten bohomas zaczyna ci się wdzierać do mózgu. Facet co robił zdjęcia z miejsca przestępstwa zniknął tam na pół godziny. Trzeba było go stamtąd wyciągnąć, bo płakał. Szlochał jak małe dziecko.

Nie skomentowałem tego.

Ciągnął dalej:

– A więc przyjeżdża karetka i ten mały mówi, że nic mu nie jest, ale i tak oddaje go lekarzowi mówiąc, że może coś złapał, może ma coś we krwi, co może zabić w kilka sekund. No bo wiem, że mały jest... zainfekowany, tak myślę. I chcę wiedzieć czym do cholery, ale nie dowiaduję się, bo nie dociera do szpitala. Karetka na sygnale odjechała, błyskając kogutami i pojechała do szpitala św. Jana, który jest o dziesięć minut drogi stąd. Załoga karetki pojawia się na miejscu po czterdziestu pięciu minutach z kubkami z fast fooda, śmiejąc się i żartując, a po małym ani śladu. Pytają tych dwóch, co się stało, a oni nie mają w ogóle pojęcia, o co to halo. Nic nie pamiętają. Od tamtej chwili nikt nie słyszał o tym małym, a kiedy wracają do garażu okazuje się, że pier...dzielona karetka zniknęła. Wciąż jej nie mogą znaleźć. No i co, rozumiesz teraz, jaki mam dziś dzień?

Wytarłem policzek chusteczką, która już cała nasiąkła krwią i się kleiła. Moje dłonie śmierdziały paliwem. Starłem się to wszystko przetrawić, wciąż przyglądając się dywanowi. Zastanawiałem się, czy pod podłogą nie roi się stado kosmicznych robali.

– A więc – odezwałem się w końcu – czy, eee, słyszy pan coś? Teraz? Czy mogą wciąż tu być?

– Od powrotu nie słyszałem niczego.

– Ale chce pan spalić tę budę, żeby się upewnić?

– Tak właśnie.

– I nie pozwoli mi pan sobie pójść?

Zamilkł na chwilę, po czym powiedział:

– Co oblażło tego chłopaka? Opisywałem je jakby to były insekty, znaczy takie robaki, których, no wiesz, nigdy w życiu nie widziałem. Ale kiedy się roiły, jeden z nich przeleciał mi tuż przed oczami, no i dobra, nie miały, ten tego, skrzydeł czy niczego podobnego. Miały rzędy niewielkich kolców owiniętych spiralnie na całej długości, jak na fryzjerskiej szczotce. Tak się jakby skręcały w powietrzu, wzdłuż. Ruchem, eeh, robaczkowym. A te, co siedziały na chłopaku, na jego skórze? Te, jak myślę, obracały się i wwiercały w niego. Rozumiesz?

– Podejrzewa pan, że nie pochodziły z tego świata?

– To ty to powiedziałaś, nie ja. Jak mówiłem, słyszałem je, jakby no, tak świergotały. Słyszysz to, ale nie słyszysz, bo ten dźwięk rozbrzmiewa ci pod czaszką, jak świąd. Nie przypomina to odgłosów, jakie wydaje rój pszczół, już prędzej tłum ludzi, tłum na koncercie, bo można wyłowić pojedyncze słowa, mówię to na głos i brzmi to jak czyste szaleństwo, ale słyszysz jakby ze sobą rozmawiały, naprowadzały się. I co więcej, słyszysz ich *nienawiść*. Kapujesz? Chcę, żebyś to zrozumiał. Chcę, żebyś zrozumiał, co mam zamiar zrobić.

– Myślę, że rozumiem.

Część mego mózgu odpowiedzialna za przeżycie opracowywała już plan przejęcia spluwy gliniarza, a przynajmniej sposób na wyrwanie mu się, ale moja obecna jasność umysłu uświadomiła mi wszystko w całej rozciągłości – facet miał zamiar mnie zastrzelić i zostawić tutaj, bez względu na to, czego bym nie zrobił. Czekałem tylko na to. Bardzo dziwne uczucie.

– No i tak – powiedział, a w jego oczach zaczęła się z wolna pojawiać panika – rozumiesz mój nastrój. Rozumiesz, dlaczego dzisiaj popełniam przestępstwo. Dzieją się mroczne rzeczy i opanowuje mnie prawdziwie odosobnione poczucie, jakbym był jedynym, który ma tego świadomość, jedynym który może coś na to poradzić.

Morgan ruszył w stronę drzwi, blokując mi drogę ucieczki. Postawił kanister po benzynie, już niemal pusty i wskazał na niego.

– Podnieś i wyrzuć go przez drzwi, na dwór.

Zawahałem się, więc detektyw znów wymierzył we mnie z broni. Zrobiłem, o co prosił. Ponownie wyciągnął zapalniczkę i, trzymając ją w jednej ręce, a rewolwer w drugiej, skrzesał płomień. Opary benzyny podeszły mi do nosa i zakręciło mi się w głowie.

Stojąc tak, z małym żółtym płomieniem tańczącym w dłoni, powiedział:

– Sam wiesz, każdy ma jakąś opowieść o duchach. Albo o UFO czy o Wielkiej Stopie, albo o poznaniu pozazmysłowym. Wystarczy posiedzieć nocą przy ognisku i nie znajdziesz ani jednego dozorca, który nie wdziałby starszej płonącej pani przemierzającej korytarze nocą, albo myśliwego, który nie widziałby trzepoczących na drzewie skórzastych skrzydeł o wiele za dużych na nietoperza. Albo czegoś prostszego, jak na przykład malca, który w sklepie idzie za róg półek i w kilka sekund rozpływa się w powietrzu. I nikt nie bierze tego na serio, bo myśli, że skoro nikt inny tego nie widział, to nieprawda, ale każdy ma jakąś swoją opowieść. Każdy.

Mówiąc, patrzył na płomień zapalniczki jak zahipnotyzowany. Broń już celowała w podłogę, ale jego kciuk odciągnął kurek z podwójnym trzaskiem, jakby zaczął żyć własnym życiem.

– I tak sobie myślę – powiedział do zapalniczki – że wszystko to jest jednocześnie prawdziwe i nieprawdziwe. I myślę, że rację mają zarówno ci, co widzą, jak i ci, co nie widzą. Są po prostu niczym dwa różne odbiorniki radiowe nastawione na inną stację. Nie jestem fanem Star Treka i nie wiem nic na temat innych wymiarów i tym podobnych. Ale jestem katolikiem starej szkoły i naprawdę wierzę w piekło. Wierzę, że nie tylko gwałciciele i mordercy tam siedzą, wierzę, że są tam też demony, robactwo i inne paskudztwa, które nie skojarzyłyby ci się z niczym, gdybyś je zobaczył na własne oczy. To taka muchołapka wszechświata. I myślę sobie, że w jakiś sposób, czy przy pomocy chemii, magii, czy voodoo ten fałszywy jamajski sukinsyn otworzył drzwi do samego piekła. On sam *stał się* bramą.

Pokiwałem głową, otworzyłem usta, by coś powiedzieć, ale zaraz je zamknąłem.

– I ja – powiedział, kiwając głową do swych myśli – mam zamiar zamknąć te drzwi.
Podniósł broń i strzelił mi prosto w serce.

Obudziłem się w piekle. Ciemność i ból, czas stojący w miejscu. Nie było jednak żadnego wycia. Byłem pewien, że w piekle będzie wycie.

Skrzypnięcie, parkiet. A potem FUCH!, odgłos jakby ktoś podpałał grilla.

Zemdlałem.

Wróciłem. Ile czasu minęło? Czułem dym i tym razem byłem pewien, że jestem w piekle. A może mi się śniło?

Otworzyłem na siłę powieki, mój nos wypełniał kwaśny smród. Byłem zawiedziony, że w piekle wykafelkowali sufit tanią, sztuczną boazerią, gdzieniegdzie zbrązowiałą od pary wodnej.

Bolała mnie pierś. Piekła. Byłem zaskoczony tym, że wciąż mam rękę i mogę nią poruszać. Poczulem mokrą plamę na koszuli i skrzywiłem się z bólu. Było mi zimno jak diabli i odruchowo uświadomiłem sobie, że to szok. Pomyślałem o Franku Wambaugh.

Frank pracował w Worthington Munitions na linii produkcyjnej w miejscowości Piano w Teksasie od jedenastu lat. Firma wytwarzała ponad sto typów amunicji myśliwskiej, sportowej i ostrej dla sił porządku publicznego. Kilka lat temu Frank był inspektorem na linii trzeciej, ostatniej redukcje skrupulatnej kontroli jakości. Wadliwe pociski z Worthington liczone w ułamkach promili dzięki trzystopniowemu systemowi kontroli jakości oraz obawie przed procesem odszkodowawczym, gdyby jeden z pocisków wybuchł policjantowi w twarz.

Niemniej jednak, tego dnia w Worthington w półmilionowej partii pocisków do trzydziestki ósemki znalazł się jeden wadliwy – wszystko przez muchę, która wpełzła do łuski zanim została zasypana ładunkiem i zanim nałożono na nią pocisk. Wadliwy pocisk z muchą był jedynym, który przeszedł pomyślnie przez dwa stopnie kontroli jakości. Frank zauważyłby, że coś jest nie tak, ale w momencie, w którym pocisk przechodził przez urządzenie wykrywające wadliwe sztuki oderwał wzrok od monitora, zagadnięty przez kogoś z tyłu.

Tak mu się przynajmniej wydawało. Kiedy się odwrócił, nie zobaczył nikogo.

Po zastanowieniu, kiedy wytłumaczył już sobie, że owo „ej” usłyszał bardziej w głowie niż w uszach, wrócił do pracy nie wiedząc, co się właściwie wydarzyło. Tym samym wadliwy pocisk przeszedł przez urządzenie niezauważony, został zapakowany, sprzedany osiem miesięcy później policji i w końcu wydany detektywowi Lawerencowi „Morganowi Freemanowi” Appletonowi w pół roku później.

Rok później Freeman załadował pocisk do rewolweru i wypalił go mierząc prosto w moją pierś. W łusce był tylko ułamek prochu i tym samym posiadał wyłącznie jedną dziesiątą mocy wylotowej. Kula przebiła moją skórę, wryła się w grubą kość mostka chroniącą serce i odbiła się od niej.

Otworzyłem oczy. Nie pamiętałem kolejnego omdlenia. Byłem bardzo zmęczony. Czekałem teraz na płomienie. Uniosłem głowę i zobaczyłem ognisko na sofie oraz czarny dym buchający pod sufit. Płomienie lizały już panele na górze, które bulgotały i czerniały pod ich dotykiem. Dywan pod kanapą był nasączony wysokooktanową benzyną. Kiedy tylko spadnie na niego iskra, wtedy...

Zacząłem się ruszać, od tak po prostu pełznąć na czworakach. Cholera, dym gęstniał z każdą chwilą, jakby ktoś wydychał gorące kłęby dymu papierosowego. Muszę dojść do drzwi, muszę dojść do drzwi. Gówna widzę. Zobaczyłem coś, co wyglądało jak drzwi, sięgnąłem do tego czegoś i dotknąłem gładkiego metalu. Lodówka.

Pełzłem w złą stronę. Odwróciłem się i zacząłem pełznąć dalej. Macając ścianę. Dywan już płonął. Kurde, ależ tu gorąco. Pełznałem. Pełznałem tak przez czas jakiś. Aha, są drzwi. Dzięki Bogu. Sięgnąłem do nich.

Znów lodówka.

Skóra mnie paliła i naciągnęła się do granic wytrzymałości na czaszce. Było tu gorąco jak w piecu, w piecu martenowskim. Czy to moje włosy tak się ładnie palą? Zmrużyłem oczy i rozejrzałem się dookoła. Za mną salon był teraz jedną pomarańczowoczerwoną masą. Czy w ogóle uda mi się stąd wyjść?

Poczułem dziwne drgawki w piersiach i uświadomiłem sobie, że kaszlę. Zniżyłem głowę do linoleum, mając nadzieję, że znajdę tam choćby cal świeżego powietrza. Jestem taki zmęczony. Zamknąłem oczy.

LUDZIE UMIERAJĄ.

Jest to fakt, który świat desperacko ukrywa przed nami od chwili narodzin. Długo po tym, jak człowiek odkrywa prawdę o seksie i świętym Mikołaju, ten jedyny mit wciąż się dobrze trzyma, ten o tym, że zawsze nas uratują w ostatnim momencie, albo że nasza śmierć przynajmniej będzie coś znaczyć i że będzie z nami ktoś, kto potrzyzyma za rękę i zapłacze. Zbudowano całe społeczeństwo dla uwiarygodnienia tego kłamstwa, a cały wielki świat zmieniono w hałaśliwy teatrzyk kukielkowy, mający nas rozkojarzyć i nie dopuścić, by do głosu doszła świadomość, że umieramy i to przeważnie w samotności.

Ja miałem szczęście. Dowiedziałem się tego dawno temu w maciupieńkim, dusznym pokoiku na zapleczu sali gimnastycznej w mojej szkole średniej. Większość ludzi uświadamia sobie to dopiero leżąc na chodniku twarzą do ziemi, kiedy łapią ostatnie tchnienie. Dopiero wtedy uzmysławiają sobie, że życie jest niczym świeca o chwiejnym płomieniu, którą każdy nosi ze sobą. Powiew wiatru, pozornie błahy wypadek, mikrosekunda nieuwagi i jest po wszystkim. Na zawsze.

I nikogo to nie obchodzi. Człowiek wierzga, krzyczy i woła w ciemności, ale nikt nie reaguje. Wścieka się na tę niezmierną niesprawiedliwość, a dwie ulice dalej jakiś facet ogląda rozgrywki baseballa i drapie się po jajach.

Naukowcy mówią dużo o czarnej materii, niewidocznej, tajemniczej substancji, która wypełnia przestrzeń międzygwiazdną. Czarna materia zajmuje 99,99 procent wszechświata, a oni nawet nie wiedzą, co to jest. Cóż, ja wiem. To apatia. Taka jest właśnie prawda – jakby zebrać wszystko to, co wiemy i na czym nam zależy we wszechświecie, to i tak będzie to tylko drobny pyłek na przepastnym, czarnym oceanie A Kogo To Kurwa Obchodzi.

Poczułem, że żar ustąpił. Dźwięk zniknął. Wszystko zniknęło. Została tylko ciemność.

To nie tak, ciemność to też byłoby coś. Tu nie było nawet tego. Czy byłem martwy?

To samo bezosobowe wrażenie co wcześniej, poczucie unoszenia się między światami poza ciałem. Tylko teraz nie było czego oglądać, nie było czego odczuwać. Tylko...

Byłem obserwowany. Wiedziałem o tym. Wyczuwałem to. Spoczywało na mnie spojrzenie czyichś oczu.

Nie oczu. Oka. Pojedynczego, gadziego, błękitnego oka. Nie widziałem go, ale tutaj niczego nie można było zobaczyć. Była jedynie świadomość tego, co jest. Byłem w towarzystwie czegoś, jakiejś inteligencji. Rozpoznałem ją, ona mnie też rozpoznała. Ale nie tak, jak człowiek widzi i poznaje drugiego człowieka. Tylko tak, jak człowiek ogląda pojedynczą komórkę pod mikroskopem. Dla tego czegoś to właśnie ja byłem ową komórką, nieznaczącą nic wobec jego rozległej, niezmiernzonej percepcji.

Starłem się rozgryźć jego naturę. Czy był dobry? Zły? Obojętny? Umysłem sięgnąłem w tym kierunku i...

UCIEKAJ.

Pobiegłem. Nie miałem nóg, ale i tak uciekłem, odepchnąłem się od tego czegoś, zmusiłem się do ucieczki przed nim.

UCIEKAJ.

Wyczułem gorąco. Zacząłem napierać w stronę tego niewyobrażalnego żaru, ale witając go z radością. Rzuciłbym się do jeziora ognia, by uciec przed tym czymś w...

... CIEMNOŚCI, CAŁKOWITEJ CIEMNOŚCI, która mnie ogarnęła, dobrze znanej po drugiej stronie moich własnych powiek. Wszędzie wokół mnie huczał żar, tak intensywny, że ledwo go rozpoznałem.

Niski dźwięk. Jęki?

Z zewnątrz. Coraz głośniejsze. Nadjeżdża samochód. Pies szczeka.

Wracaj. Wracaj tutaj!

Kto to powiedział?

Dudniący, potężny hałas. Pękające szkło, skrzypiący metal, trzaskające drewno. Kuchnia eksplodowała wokół mnie. Rzuciło mnie do tyłu i nagle uderzenie świeżego powietrza owiało moje ciało.

Spoglądałem na kratę chłodnicy samochodu – mojego samochodu z hyundayowskim „H” przed samym nosem.

Samochód wycofał i wyzwolił się z wraku przyczepy, czyli zachodniej, kuchennej ściany. Zrobiła się wyrwa przy podłodze, ukazując spalone strzępy różowej izolacji i pociętego aluminium. Wytoczyłem się z tej dziury i spadłem boleśnie na chłodny trawnik za zewnątrz. Kaszlałem, długo kaszlałem.

Wciąż kaszlałem.

Zemdlałem.

Kiedy się ocknąłem, wydawało mi się, że minęło kilka godzin.

A może kilka sekund.

Przyczepa za mną zmieniała się w kulę ognia. Byłem zbyt złachany, żeby docenić to, iż dwukrotnie uniknąłem śmierci w ciągu kilku minut – najpierw o mały włos dzięki musze, a następnie o kilka haustów gryzącym dymem.

Usłyszałem szczeknięcie.

David? Żyjesz?

Znów ten głos, dochodzący gdzieś znikąd. Podniosłem się mozolnie z ziemi i zobaczyłem mój samochód parę metrów dalej.

Suka Molly siedziała za kierownicą. Patrzyłem na to przez pełną minutę. Szczeknęła i znów usłyszałem słowa.

Głos Johna.

Myślałem, że sytuacja ze smażoną kiełbaską była szczytem idiotyzmu, jaki mi się w życiu przytrafi, ale podskórnym podejrzewałem, że może być jeszcze głupiej. Wdrapałem się do samochodu i zepchnąłem Molly na siedzenie pasażera.

Molly popatrzyła na mnie z niepokojem. Nie, nie Molly.

John na mnie popatrzył, wielkimi brązowymi ślepiami Molly. Molly szczeknęła, ale ja usłyszałem:

Mamy przejebane jak w czołgu, Dave.

– Bez jaj, puchatku. Jak ci się udało z pedałami?

– Hau!

Posłuchaj. Oprócz mnie żyje jeszcze trójka ludzi z wczorajszej imprezy. Wielki Jim Sullivan, Jennifer Lopez i Fred Chu. Nie wiem jeszcze wielu rzeczy, bo moje ciało nie funkcjonuje zbyt dobrze. Wiem, że jesteśmy razem i że dokądś zmierzamy, i kiedy dojedziemy w to miejsce zdarzy się coś złego, coś naprawdę bardzo złego.

– Poczekaj, poczekaj. Dlaczego znów zmieniłeś się w psa, John?

– Arrrr-hau!

(Kichnięcie)

Justin White albo to coś, co weszło w skórę Justina, mnie dopadło. Moje ciało, znaczy się. Ukradł pojazd. Kiedy jestem w swoim ciele, to nic nie widzę, ale słyszę. To coś na tyle dużego, że może pomieścić nas wszystkich, jakaś ciężarówka. Dave, musisz ją odnaleźć.

– Może to karetka? Gliniarz mówił mi, że Justin ukradł karetkę ze szpitala. A więc jeśli liczyć Justina, to wczorajszą noc przeżyły cztery osoby.

– Hauuuuu...

Nie, nie i jeszcze raz nie. Mówiłem, że trójka żyje i to właśnie chciałem powiedzieć. Justin White nie żyje. Jest chodzącym... rojem, czy ja wiem?

– Te robale w nim, co to jest?

– Hau!

Suka!

Wytrąciło mnie to z równowagi i przez chwilę zdezorientowany spoglądałem na psa, zanim nie zauważyłem, że patrzy gdzieś za mną. Odwróciłem się i dostrzegłem brązowobiałego beagla przywiązanego do jednej z dalej stojących przyczep.

– John?

Hau!

Sorki, Dave. Mój dziadek mi mówił, już pod koniec, kiedy tracił zmysły, że gadanie przez psa jest jak gadanie do parówki. Molly jest tu ze mną i muszę się przebijać przez to szczekanie.

– Dokąd Justin, czy też ten niby Justin, was wszystkich zabiera?

Już znałem odpowiedź, zanim jeszcze skończyłem zadawać to pytanie. Odpowiedziałem sobie na nie przy wtórze psiego szczeknięcia: Las Vegas.

– A więc co jest w Las Vegas?

– Hau! Arrrrr-hau! Grrrrr...

Znasz tę kreskówkę z Królikiem Bugsem, kiedy wylewają atrament na podłogę i wchodzą przez kleksa jakby to była dziura? Myślę, że tak właśnie działa sos sojowy. Jest niczym dziura, która otwiera drogę. Te robaki i całe to gówno w piwnicy Roberta, sos pozwolił, by to wszystko przesączyło się do naszego świata, zamieniając ludzi w takie właśnie dziury. I myślę, że jeśli sos zainfekuje odpowiednio dużą grupę ludzi w jednym skupisku ludzkim, to może zrobić dziurę wielką jak dupa.

– Kurde. Czy warto pytać, co może przeleźć przez taką dziurę?

– Hau.

Nie wiem. Ale to, co przelezie, musi się wyżywić.

Skinałem głową.

– Jasna sprawa. A w Vegas pełno jest darmowych szwedzkich bufetów.

Molly z irytacji zamknęła ślepią. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej miny na psim pysku.

Nie. Posłuchaj. Jest taki facet, Albert Marconi. Organizuje konferencje na temat okultyzmu, obecnie w Luxorze, to jest takie wielkie kasyno w kształcie czarnej piramidy. Tam właśnie jedziemy.

– Poczekaj. Skąd to wiesz?

Ponieważ to się już dzieje.

– To nie ma najmniejszego sensu...

– Hau.

KOT! KOT! KOT! KOTU!

Molly podniosła się na fotelu, wystawiając łeb przez otwarte do połowy okno.

– John...

– HAU! HAU! HAU! HAU! HAUHAUHAUHAUHAUHAUUU!!!

Kot! Kot! Kot! Kot! KOT! KOTU KOOOOT!

Szarobury kocur przemknął przez park przyczep przed naszym samochodem i zniknął w oddali. Molly schowała pysk do środka i rzuciła się do okna od strony kierowcy, depcząc po moim kroczu i krzycząc KOT! przez całą drogę. Uspokoilem psa dopiero po dziesięciu minutach. Zwinęła się na siedzeniu pasażera i zapadła w sen.

– John?

Pies pierdnął. Było to wszystko, co udało mi się z niego wydusić do końca dnia.

Rozdział 5.

Jazda z Oporem

Pojechałem do sklepu i kupiłem mapę. W samochodzie rozłożyłem ją na kolanach i mazakiem nakreśliłem trasę do Las Vegas. Co ja w ogóle wyrabiam?

Wiedziałem, że będę potrzebował gotówki na benzynę i wymianę kilku istotnych części w pasie rozrzędu hyundaia, który najpewniej rozleci się bez tego podczas długiej jazdy. W banku miałem zero koma zero. Mogłoby się wydawać, że była to spora przeszkoda, ale w kilka sekund, podczas obserwacji zachodu słońca na sklepowym parkingu, w mojej głowie pojawił się całkowicie dopracowany i zupełnie obcy plan. W ciągu ostatnich kilku godzin nauczyłem się brać podobne rzeczy za dobrą monetę.

To nie był plan Dave'a.

To był plan zboczony sosem sojowym.

Pojechałem do śródmieścia i zacząłem przeglądać boczne alejki aż zobaczyłem chudego jak patyk meksykańskiego chłopaka stojącego przy Dumpster, w kurtce St. Louis Rams. Znaczący, Dumpster nie miał tej kurtki, tylko młody Spokojnie wyszedłem z hyundaia obdarzając go szerokim uśmiechem.

Nigdy go wcześniej nie widziałem.

Nie miałem pojęcia, co robię.

Usłyszałem jak bez wahania mówię:

– Yo. Mikey mówił, że masz dla mnie przesyłkę.

Co jest, kurwa.

Młody zmrużył oczy i nawet się nie poruszył.

– A kim ty kurwa jesteś?

Teraz poruszył się nieznacznie, podciągając kurtkę i ukazując chude jak szkielet ciało. Spluwa stercząca młodemu zza pasa była czarna i szpanerska, wyglądała jakby mogła strzelać laserem. Ironia polegała na tym, że stać go było na lepszą broń niż Wydział Policji w Anonimowym zafundował detektywowi Freemanowi, co by mnie ubawiło, gdybym nie wyobraził sobie jak młody wpakowuje mi z niego sześć kul w czoło.

Ponownie usłyszałem jak mówię. Pojedyncze słowo, które dla mnie nie miało żadnego znaczenia.

– Creech.

Mój skąpany w sosie sojowym umysł oficjalnie wystartował beze mnie. Ja sam działałem na autopilocie, a słowa i zdania wylewały się z mego umysłu niczym z telepromptera.

Młody się nie odezwał.

Sięgnął do swojej kurtki...

I wyciągnął kopertę.

Podszedł i uściskał mnie po kumplowsku, wsuwając mi do kieszeni kopertę jednym, wyćwiczonym ruchem.

Kiedy się odwrócił, wolno odetchnąłem, wypuszczając wstrzymywane powietrze.

Chciałoby się powiedzieć: o żesz kurwa.

W samochodzie wyciągnąłem kopertę z kieszeni, otworzyłem ją i zobaczyłem, że jest wypchana studolarówkami. Nie miałem pojęcia, o co tu chodzi, a jedynie, że po wypowiedzeniu konkretnych słów do konkretnej osoby dostanę kasę, jakbym wprowadzał skomplikowany PIN do bankomatu.

Naliczyłem sześć tysięcy dolarów.

W porządku.

Nie wiedząc dokąd jądę, udałem się prosto do Marry Nation Bar and Grill sześć przecznic dalej. Wjechałem na parking i rozejrzałem się wokół, wciąż nie mając pojęcia, czego szukam.

Od razu podszedłem do kobaltowo błękitnego pickupa Dodge, którego w życiu nie widziałem. Zobaczyłem, że jest otwarty, sięgnąłem do środka i zacząłem czegoś szukać pod siedzeniem.

Wyciągnąłem piaskowany, stalowy automatyczny pistolet.

Naładowany.

Boże, błogosław Amerykę.

Wsadziłem sobie spluwę w spodnie i poczułem dziwne pokrzepienie w krzyżu, kiedy ponownie usiadłem w fotelu hyundaia. Rozpoczął się wieczór jednego z najdłuższych, najbardziej porąbanych dni w moim życiu.

Miałem zamiar skierować samochód na zachód, ale uświadomiłem sobie, że nie mam ochoty jechać ponad półtora tysiąca mil...

... w tych zabrudzonych gównem spodniach i pokrwawionej koszuli.

Pojechałem do domu się przebrać, udowadniając, że nawet po sosie sojowym część mnie wciąż była matolem.

Wrzuciłem ciuchy do śmieci i wziąłem prysznic, przez cały czas zdjęty manią prześladowczą, bo wydawało mi się, że słyszę otwierane drzwi, skrzypiącą podłogę i mordercze potwory hasające na zewnątrz zasłonki prysznic. Taki to był dzień.

Ubrałem się i oblepiłem plastrem, zabrałem szczoteczkę do zębów i grzebień oraz płyn do soczewek kontaktowych i to wszystko wrzuciłem do skórzanej torby podróżnej.

Ruszyłem przez korytarz do wyjść...

I zamarłem w bezruchu.

Torba wypadła mi z dłoni i spadła na ziemię z głuchym odgłosem.

Stał tam nastolatek Pośrodku mego salonu, w przestrzeni, która od lat była na szczęście strefą wolną od nastolatków.

Aparat na zębach.

Czarna koszulka Limp Bizkit.

Odezwałem się:

– Justin?

Stojący tam z zadowolonym uśmieszkiem potwór, który do niedawna był Justinem, otworzył usta i wydał z siebie dudniący dźwięk, jakby coś bulgotało mu w płucach. Po chwili znów je zamknął.

Zebrał się w sobie i rzucił pogodnie:

– Co się tak guzdrzesz? Wiesz, która godzina? I przestań mówić do mnie Justin, jakby nic się nie zmieniło, yo.

Wyobraziłem sobie roje białych robaków pełzających w jego krwiobiegu i nagle, jak jakiegoś gówniarza, opanowała mnie chęć rzucenia się z krzykiem do ucieczki.

Zrobiłem krok w tył.

Justin zrobił krok do przodu.

Starając się zyskać bezcenny czas zapytałem:

– A jak mam do ciebie mówić?

Zmieniłem postawę, czując na krzyżu wybrzuszenie kaliber 9. Nigdy wcześniej nie strzelałem z pistoletu, a już na pewno nie do człowieka. Ta myśl spowodowała, że na czoło wystąpił mi zimny pot w towarzystwie rozgorączkowanego wyczekiwania. Nie było to całkowicie nieprzyjemne uczucie. Już je znałem.

Usta Justina otworzyły się ponownie, walcząc z całkowicie obcymi dla siebie słowami.

– Opór. Wiesz dlaczego? Bo jest nas tu opór. A teraz powiem ci, jak zrobimy...

Lewa strona głowy Justina zniknęła w bryzgach różowej masy mózgu. Odrzuciło go w tył, a mój palec naciskał spust tak szybko, jak się dało, w huku, który wypełnił powietrze. Z piersi, ud i brzucha Justina wystrzeliwały cienkie strugi krwi, a pociski trafiały w jego ciało przesuując go wciąż w tył.

Jezu, Dave.

Wyciągnąłem spluwę powodowany bezrozumny refleks, jakbym walił otwartą dłoń w gryzącego mnie komara. Na przygryzionej wardze poczułem smak swojej krwi. Miałem wrażenie, że przeszył mnie prąd elektryczny, jakby zaczęła buzować we mnie przemoc, a iskry trzaskały pod czaszką niczym z podpalonego lontu.

Zbyt dobrze znane uczucie.

Opór potknął się po raz ostatni i zatrzymał na ścianie, ale nie upadł.

Ponownie pociągnąłem za spust.

Klik.

Naciskałem spust jeszcze ze dwadzieścia razy, jakbym chciał sprawdzić czy w magazynku nie schował mi się jeszcze jeden nabój. Opór wyprostował się, popatrzył na rany i westchnął jak człowiek, który upuścił sobie ciastko na spodnie.

Och nie, chyba sobie ze mnie jaja robisz.

Zobaczyłem, że białe pręciki zasklepiają każdą z ran, tworząc zachodzącą na siebie siatkę, jak z tyłu tafli włókna szklanego. W końcu uświadomiłem sobie, że nie walczę z chłopakiem, tylko z potworami. Strach osiadł ołowianym ciężarem na mej piersi.

Powiedział:

– Stary, twoja mała dziewiątka jest beużyteczna wobec...

Słowa urwały się, kiedy cisnąłem w niego opróżnionym pistoletem, który walnął go w policzek powodując, że znowu się cofnął. Złapał się ręką za twarz.

– Oduść już sobie! Nie wiesz, że mamy taki sam plan?

Zrobił krok w moją stronę. Rozejrzałem się po pokoju. Drzwi. Okno. Opór zagradzał mi drogę do jednego i drugiego.

Rzucił:

– Obydwaj jedziemy do Vegas, czy tak? Spakowałeś się nawet i w ogóle.

Moja dłoń zwinęła się w pięść.

– Uch, nie, nie jedziemy.

Ponownie uzmysłowiłem sobie, że pakuję się w bitkę i że znów nie nauczyłem się wiele od ostatniej. Tylko, że tym razem było mocno prawdopodobne, że przeciwnik wyszarpienie mi gałki oczne zębami.

– Jasne, że jedziemy.

Rzucił się na mnie. Zamachnąłem się i chybiłem o pół metra.

Potwór-Justin walnął mnie od dołu, a siła uderzenia eksplodowała w moim kroczu. Zgiąłem się w pół walcząc o to, by się nie przewrócić.

– Tylko, że...

Natarł na mnie, posyłając jeszcze trzy błyskawiczne uderzenia wszystkie wylądowały na moich klejnotach. W podbrzuszu poczułem olbrzymi ciężar i potknąłem się o krzesło. Niezdarnie kopnąłem go w pierś.

Złapał moją nogę i wyprowadził ekspercki kop w jaja, który mnie wykończył.

– ...ja prowadzę.

Justin splótł dłonie w pojedynczą pięść, uniósł ją nad głowę jakby w geście zwycięstwa i nagle walnął mnie z całej siły w krocze.

Zemdlałem.

Ciemność, szczekanie i kroki. Poczułem mokry nos Molly na moim czole, a potem jak po mnie przechodzi. Wszystkim czterem łapom udało się trafić w moje obolałe krocze.

Poczułem jak podłoga się pode mną rusza i uświadomiłem sobie, że ktoś mnie ciągnie. Zostałem przerzucony przez bark niczym worek psiej karmy i ciśnięty na metalową podłogę. Jęknęły przesuwane drzwi i zapadka wskoczyła na swoje miejsce.

W otumanieniu poczułem obecność innych, wyczuwałem ich przerażone myśli, śmigające w ich umysłach niczym muchy. Wyczuwałem w nich sos, sos sojowy. Mogłem wywąchać go w ich myślach jak alkohol w oddechu menela.

Vegas.

Opanowały mnie halucynacje, czy też wizje. Miałem rozłożoną przed sobą mapę, a czerwone autostrady przeplatały się na niej z sobą niczym tętnice. Anonimowe po prawej, Las Vegas to czerwona kropka po lewej stronie i łącząca je kreska nakreślona tuszem.

Jechaliśmy tam, bo to on chciał, żebyśmy tam trafili. I też nie Potworny Justin. Więc kto?

Sos sojowy? Znów poczułem obecność tego czegoś w przestrzeni. Pulsowało. Miało własną wolę. Sos sojowy żył, wiedziałem to doskonale.

Ale oprócz tego był też ktoś inny. Coś innego. I każda mroczna poczwara, jaką mogłem wymyślić, pracowała dla niego.

W mojej wizji mapa zaszeleściła. Czerwony punkt Las Vegas zapulsował, jakby coś wypychało go od dołu. Drapanie. Jakby jakieś zwierzę chciało się wygryźć od dołu.

Otworzyłem gwałtownie oczy.

Spodziewałem się zobaczyć wnętrze karetki porwanej przez Justina. Spostrzegłem jednak kartonowe pudła ułożone wokół mnie, a każde z nich miało logo firmy alkoholowej. Wokół mnie unosił się słodki, skwaśniały smrodek rozlanego piwa z czasów przed biblijnych.

Na pudłach siedział Wielki Jim Sullivan ze swymi stu trzydziestoma kilogramami pokrytymi rdzawą czupryną.

Powinieneś zadzwonić do domu, Jim. Ogórek martwi się o ciebie.

Obok Jima siedziała bardzo blada i roztrzęsiona Jennifer Lopez, podrapana i brudna, w tych samych ciuchach, co miała na imprezie.

Na rzędzie zielonych skrzynek heinekena leżał niewielki, żyłasty facet z włosami do ramion i bródką. W życiu go nie widziałem, więc drogą eliminacji doszedłem, że musiał być Fredem Chu. Leżał z wytatuowanymi ramionami pod głową i wyglądał, jakby nic mu nie było. Molly podeszła i usiadła pośrodku tej grupki najwyraźniej znudzona.

Na mój widok Fred Chu sapnął:

– Kurde.

Jennifer zatopiała twarz w dłoniach i zaczęła cicho szlochać.

Jim odezwał się:

– Ej, znalazłeś Molly.

Silnik zastartował i ruszył do pracy. Uniosłem głowę i rozejrzałem się po zaciemnionej pace bagażowej. Pośród spartańskiego wyposażenia ze skrzynek na piwo znajdowało się niskie, wolne miejsce w rogu, jakby wiedzieli, że do nich dołączyć.

Z jakiegoś powodu tak mnie to zirytowało, że niemal nie zauważyłem w drugim rogu siedzącego po turecku Johna, jeszcze w szpitalnej piżamie. Wpatrywał się intensywnie w ścianę, bez mrugania.

Wielki Jim powiedział:

– Znów się przemieszczamy – sięgnął w dół i pogłaskał Molly. Usiadłem. Wielki Jim zwrócił na mnie swój wzrok i powiedział: – Słyszeliśmy strzały. Czy to ty mu zrobiłeś bubę? Widziałem jego głowę.

– Celowałem w serce, ale taaa, to ja mu to zrobiłem.

Jennifer wyszlochała jedno słowo:

– Dobrze – puste, beznamiętne, gorzkie słowo.

Jim zwrócił się do pozostałych i powiedział:

– Dobra, mamy jeszcze jednego zakładnika. Może nam się udać. Musimy tylko mocno w to wierzyć, tylko tyle.

Udawałem, że tego nie słyszę, koncentrując się na powstrzymaniu wymiotów z bólu, jaki czułem w kroczu.

Zapytałem Jen:

– Nic ci nie jest?

Jen pokiwała głową.

– Dokąd on nas wiezie?

– Do Las Vegas.

Wszyscy popatrzyli na mnie.

– Nie, ale serio.

Odezwał się Fred Chu:

– Tak á propos, pozostali też mają się dobrze. Ale musisz zrozumieć, co się tu dzieje. Ten facet co cię zaatakował, to wcale nie jest facet, jasne? Opętały go pierdolone robaki. Porywacze ciała czy co tam.

– Taaa, ja...

– ... no bo, gdybyś tylko widział, co się stało Shelby. Ten Jamajczyk splunął kwasem na jej rękę. Mięśnie i kości rozpadły się tak, jakby, no kurwa, jakby zrobiły się z wosku i ściekły na ziemię.

Pomyślałem o bólu w kroczu i uświadomiłem sobie, że naprawdę mi się upiekło.

Jim dodał:

– Justin, albo raczej te robaki w Justinie, to złe. I mówię w ujęciu rzeczownikowym, a nie przymiotnikowym. To fizyczna manifestacja zła, które mogło zostać wypuszczone wyłącznie przez samego diabła.

– Ja nie... muszę przyznać, że mam podobne zdanie.

– A teraz się modlimy – ciągnął Jim. – Wszyscy, w kręgu. Fred, Jen i ja, nawet John, na tyle na ile mogliśmy go wciągnąć. Najpierw musiałem im zagrozić laniem, ale w końcu się przyłączyli. Modliliśmy się, żeby ktoś się pojawił, żeby uratować nas od losu, jaki ta mroczna istota za kierownicą nam szykuje. A potem pojawiłeś się ty, jakby w odpowiedzi na nasze modły. Miałeś już z tym potworem do czynienia. Postawiłeś mu się. Przysłano cię do nas jako odpowiedź na pytanie, jakie zadawałem Bogu raz za razem, od kiedy to wszystko się zaczęło: Jak możemy toto zabić?

– Nie, Jim, pytanie brzmi inaczej: Czy w ogóle można to zabić?

Przypomniałem sobie mapę i tę wścieklicę starającą się spod niej wydobyć. Uświadomiłem sobie, że skała była inna. Dla tego czegoś, bez względu na to, czym było, prawdziwe Las Vegas, cała Ziemia, cały rodzaj ludzki były równie nic nie znaczącą drobiną, co ta czerwona kropka na mapie. Wyobraziłem sobie błękitne, mądre oko w ciemnościach.

Ale to wciąż niewłaściwe pytanie, prawda? Może i Justina można zabić. Może nie. A może nie ma to ni chuja żadnego znaczenia.

Spojrzałem w stronę Johna.

To on powinien się odezwać w tej kwestii. Cały czas czekał na coś takiego, tylko po to, aby udowodnić, że cały wszechświat jest równie porąbany jak ten, który wyobrażał sobie przez całe dorosłe życie. Potrzebowałem jego obecności, żeby żył i się nie bał. Potrzebowałem, żeby zmienił się w prawdziwego Johna.

Odwróciłem się do niego ze słowami:

– Obudź się. – Nic. Zerknąłem jeszcze raz na Molly, po czym trąciłem Johna stopą. – Obudź się. No obudź się, gnojku.

Jeszcze większe nic. Poczułem na sobie wzrok pozostałych i zwalczyłem w sobie chęć walnięcia Johna w ten głupi, katatoniczny pysk.

– Słuchaj, kurwa, potrzebujemy ciebie. No już, obudź się.

– Ej – dobiegł mnie cichy głos zza pleców. Odwróciłem się i popatrzyłem Jennifer Lopez prosto w załzawione oczy. Było w nich współczucie i poczułem jakieś szarpnięcie w środku. Myśl, że może jedno moje jądro zaczyna się otrząsać po pobiciu. – Uspokój się, dobrze? Nic nie poradzisz.

Molly drgnęła, rozejrzała się leniwie dookoła, a następnie podreptała do nieruchomego ciała Johna. Cofnąłem się, kiedy szturchnęła go pyskiem i drgnąłem, kiedy zobaczyłem, że jego dłoń podnosi się, by ją pogłaskać.

Przez ciało Johna przebiegł dreszcz niczym pod wpływem prądu elektrycznego, tak szybki, że ledwo mogliśmy go zauważyć.

Nagle podniósł się na równe nogi całkowicie zdezorientowany. Spoglądał na swe dłonie, jakby dziwił go fakt, że je posiada. Podniósł wzrok i popatrzył na nas, jakby widział nas pierwszy raz w życiu, po czym rzucił w przestrzeń:

– Miałem bardzo wyrazisty sen. Wydawało mi się, że jestem psem.

John doszedł do siebie dopiero po chwili. Wiedział, że znajdujemy się w furgonie z piwem prowadzonym przez zło wcielone, ale zdawał się wciąż mieć problemy z przystosowaniem się do swego ciała w tej całej scenerii.

– Strasznie mnie łeb bob – obszukał wszystkie kieszenie i powiedział: – Może mnie ktoś poczęstować fajką?

Nikt nie mógł. John zajął puste miejsce, po czym zwrócił swój wzrok na mnie i powiedział:

– Zacznijmy, ee, od początku. Ilu ludzi widzisz tu wwozie?

– Co takiego?

– No zrób mi tę przyjemność.

Jim powiedział:

– Wiem, o co pyta. Oni mogą sprawić, że człowiek widzi to, co chcą żeby widział. John chce się upewnić, że możemy ufać naszym oczom, mam rację?

Wskazałem czterech pozostałych mieszkańców Anonimowego, którzy mieli to nieszczęście powierzyć mnie i Johnowi swoje bezpieczeństwo. Pięć, jeśli liczyć osobno cycuszki Jennifer, co chciałem instynktownie zrobić. Cholerny testosteron.

John pokiwał głową i widać było, że mu nieco ulżyło.

– Dobrze. I, tak jak mówił Jim, chciałem się tylko upewnić czy nie mam tych, no, zwidów. Wiesz o czym mówię, Dave? Jak z tym gliniarzem na komisariacie, tym którego tam nie było. Nie było mnie w pokoju, ale i tak to pamiętam, a wyglądał jak zwykły, stereotypowy gliniarz, taki pospolity. Standardowe wyposażenie komisariatu. Drugoplanowa rola w filmie.

Jim znów pokiwał głową i zacząłem się zastanawiać, ile on sam przeżył tego gówna. Powiedział:

– Hollywood nas wychowuje. Umysł młodego człowieka filtruje świat przez pryzmat komiksów i filmów akcji oglądanych w Cinemax. Dlatego właśnie gówniarze zakładają długie płaszcze i zabierają broń do szkoły. Diabeł wie, jak nas kontrolować.

Jim zdawał się korzystać z okazji i wprowadzał szatana do dyskusji tam, gdzie nikt nie był w stanie skontrolować go racjonalizmem. Diabły i anioły wydawały się być całkiem odpowiednie w tym kontekście i Jim miał najwyraźniej ochotę zajeździć tę kobyłę na śmierć.

John powiedział:

– Ludzie, którzy budzą się w środku nocy i widzą tych wielkookich porywaczy z UFO czy też upiorne stare baby... Coś takiego widzi się na co dzień w kinie, prawda? Twój umysł nakłada dobrze znaną maskę na coś, czego nie jest w stanie pojąć. Tylko, że tutaj wszystko staje się realne. Przynajmniej dla nas.

Jechaliśmy w milczeniu i myślę, że wszyscy zastanawialiśmy się, co kryło się za kwiecistą tapetą percepcji, którą zawsze pokrywaliśmy nieznanne. Wszystkie te rzeczy, których umysł nie pozwalał nam dostrzec, by chronić nasze zdrowie psychiczne albo duszę, czy też może, byśmy nie pobrudzili spodni kupą.

Fred odezwał się jako pierwszy, przerywając ciszę.

– A pierdolić ich. Mówię wam.

Odezwała się Jennifer:

– W naszej uczelni w ostatnim semestrze zapisałam się na zajęcia z filmu. Większość z nich było po francusku i mówiło o ludziach obściskujących się po kawiarniach, albo w mieszkaniach nad kawiarniami. Ale ja już nawet nie mam telewizora, więc może to coś pomoże.

Zamknąłem oczy z westchnieniem. Wolałbym, żeby kazanie Jima na dłużej przykuło ich uwagę.

– Dobra – powiedziałem. – Odłóżmy to na bok, bo nie mówimy tutaj o opowieściach grozy czy o wampirach. To coś w kabinie żyje naprawdę, jest realne jak każde z nas... – *Realne jak solidny kop w jaja!* – ... i może nas naprawdę zabić. Czy wy w ogóle wiecie, czego to od nas chce?

Fred powiedział:

– Stary, ja myślę, że on szyje sobie pierdolony gajer z ludzkiej skóry i weźmie od każdego z nas to, co najlepsze.

– Jasna dupa – rzucił John. – Ależ będzie pięknie wyglądał.

Znów westchnąłem i potarłem czoło obiema rękami. Istniała bardzo realna szansa, że rozmowa przybierze taki obrót, że John będzie mógł mówić o swoim kutasie, który to temat mógł rozwijać godzinami, jeśli nie całymi dniami. Dławiąc niebezpieczeństwo w zarodku powiedziałem:

– Niiieeeee. Nic takiego. Słuchajcie, znacie historię o koniu trojańskim? Kilku żołnierzy w środku konia w obozie wroga, a potem nocą wykradają się z konia i wpuszczają resztę wojska przez główną bramę? Cóż, narkotyk, który przyjmował Jamajczyk przepuścił co nieco. On sam stał się takim koniem. I te potworności, te latające białe robale przeszły na drugą stronę. A teraz siedzą w Justinie, a on chce otworzyć bramę, żeby wypuścić resztę tałatajstwa.

Zapadła cisza. Rozejrzałem się po kartonach wokół nas i w głowie zaczął mi kiełkować nieśmiały plan.

Fred zapytał:

– Gościu, a skąd ty to niby wiesz?

– Złożyłem wszystko w jedną całość za pomocą indukcyjnego rozumowania i informacji przekazanej mi przez Johna, kiedy rozmawiał ze mną przez psa. To długa historia.

– Dobra – sapnął Fred, przyjmując to bez zastrzeżeń. Wyczułem, że znajduję się w towarzystwie wszystkich osobników *płynących z prądem*. – Ale dlaczego właśnie na nas padło?

– Ponieważ zostaliśmy wybrani – odpowiedział Jim. – Wezwani. I tylko to się liczy.

No tak, zostaliśmy wybrani, Jim. Ale nie przez Boga, chyba że Bóg to czarna maź w srebrzystym pojemniku. A do diabła, może rzeczywiście.

Popatrzyłem Jimiemu prosto w oczy. Przypomniało mi się, jak jego siostra mówiła o tym, że Jamajczyk pojawił się u nich w domu. I Jim na imprezie rozmawiający z Robertem.

Tkwiał w tym wszystkim, od samego początku.

I wie, kurwa mać, więcej niż mówi.

Czyżby to on podpałił w jakiś sposób ten lont? Facetów takich jak on, takich, którzy ściskają Biblię tak mocno, że aż zostawiają na niej ślady po paznokciach, to ich najbardziej przeraża ciemna strona. Zawsze idą za daleko, walcząc za Pana, często tylko dlatego, że daje im to wymówkę do walki.

Fred pokiwał głową i powiedział:

– A więc powiadasz, że jak zginiemy, to jeszcze nie jest najczarniejszy scenariusz?

John odparł:

– Mierzyłbym raczej jeszcze dalej, Freddy.

Spojrzałem za jego ramię i omiotłem wzrokiem poukładane kartony przy ścianie paki samochodu. Przez chwilę zastanowiłem się nad czymś, po czym zapytałem Johna:

– Ile procent musi mieć alkohol, żeby się palić?

Kilka godzin później mieliśmy już tuzin pełnych butelek ustawionych przy tylnych drzwiach, każda ze szmatką z flanelowej koszuli Freda, wystającą z szyjki butelki. Kiedy potwór-Justin w końcu się zatrzyma, zaczaimy się na niego przy drzwiach i podpalimy ścierwo.

Ale samochód ani myślał stanąć. Przez wiele godzin jechaliśmy w bezproduktywnym milczeniu, oparci o metalowe ściany, co i raz zapadając w niespokojny sen. John odnalazł niewielką szparę w pace wozu, więc na zmianę obserwowaliśmy przesuwający się świat na zewnątrz.

Oczekiwanie było prawdziwą męką. Niedzielnny poranek zmienił się w niedzielne popołudnie. Sikaliśmy do pustych butelek, choć nie mogę sobie przypomnieć, jak ta sztuczka udała się Jennifer. Widok przez szparę zmienił się z pół kukurydzy w pustynię, a my wciąż pokonywaliśmy setki mil po autostradzie.

Dwadzieścia osiem godzin i dziewiętnaście minut. Tyle przebywaliśmy w sumie w samochodzie. Znaleźliśmy skrzynkę wody Evian na tyłach paki, ale naszym jedynym źródłem kalorii było ciepłe piwo – dieta, na którą John nie musiał się wcale specjalnie przestawiać.

W końcu – wreszcie – zwalnialiśmy, robiąc liczne zakręty, jakbyśmy wjechali do miasta.

Wszyscy skoczyliśmy na równe nogi, przemieszczając się na tyły wozu. Zaczęliśmy zbierać butelki.

Samochód zatrzymał się. Wszyscy wstrzymali oddech. Ale nagle znów ruszył, tym razem w innym kierunku.

Mieliśmy kiedyś ładny plan. Czy też, biorąc pod uwagę fakt, że plan był mój, poddaliśmy się i czekaliśmy na śmierć.

Wielki Jim spojrzął na wszystkich i powiedział cichym, poważnym głosem:

– Słuchajcie mnie. Ponieważ, jak ten potwór otworzy drzwi, niektórzy z nas mogą zginąć. I wtedy niektórzy będą mieli szansę, by uciec, rzucić się do ucieczki i ratować się. Ale musimy zostać i dokończyć dzieła. Rozumiemy się? – Pokiwaliśmy głowami. Znów uderzyło mnie to, że on o wiele bardziej rozumie niebezpieczeństwo niż reszta z nas. Ciągnął dalej: – Nie sądzę, że zrozumiecie, ale... – Przełknął ślinę. – ... znacie moją siostrę, która jest teraz w domu. W tym wielkim, starym domu. Zawsze mieliśmy problem z myszami. I, sami wiecie, pracujemy ciężko, by utrzymać to miejsce, żeby było czyste i schludne, bo nasi rodzice wcześniej zmarli. Ale nie można opędzić się od myszy. Dostaną się wszędzie. Do szaf, między ściany. Wszędzie wyłożyłem trutkę na te szkodniki.

Fred wyciągnął zapalniczkę i pstryknął nią raz, by upewnić się czy działa.

Jim wbił wzrok w podłogę i mówił dalej:

– I wtedy, któregoś dnia zajrzałem pod jej łóżko i zobaczyłem tam spodeczek i kawałki chleba. Chleb był ponadgryzany na brzegach. Położyła go tam celowo.

Ciężarówka znów skręciła. Usłyszeliśmy chrzęst żwiru pod kołami.

Jim znów podniósł na nas wzrok i w jego oczach widać było niemal błaganie.

– Rozumiecie? Ona je karmiła. Ja cały czas starałem się je wykończyć, a ona chciała utrzymać je przy życiu.

Wyobraziłem sobie jej drobną postać, samą w potężnym domostwie i zrozumiałem. Jim wiedział, kurwa mać, że coś nadchodzi, że nadciąga nad nasz świat z niewiadomego powodu przez Las Vegas. Wiedział o jaką stawkę graliśmy, gdy cały świat, niewinny i nieświadomy, żył swoim życiem mimo nas. Żałowałem, że nie wymawia imienia swej siostry, żebym nie musiał do cholery wciąż nazywać jej w myślach Ogórkiem.

– John, Fred. Jeśli uda się wam przeżyć, chciałbym, żebyście mi coś przyrzekli. Chcę żebyście zaglądali do niej, pilnowali, sprawdzali czy sobie radzi, dobrze? Jest mądra, sami wiecie. Nie chodzi mi o to, że... po prostu nigdy nie była sama. Chcę, żebyście mi to obiecali.

Wóz znów skręcił. Zwalniał.

John powiedział:

– Jasna sprawa, stary.

Przypomniał mi się ostatni zwierzak Johna, mały terier, który wyskoczył z okna na trzecim piętrze i zdechł, kiedy on grał w gry wideo na kanapie. Jasne, Ogórek będzie w dobrych rękach, Wielki Jimie.

John pstryknął swoją zapalniczką. Wóz skręcił po raz ostatni, a potem zwolnił i zatrzymał się. Nie mogłem złapać tchu.

John zerknął przez szparę, starając się zobaczyć, gdzie jesteśmy. Powiedział:

– Jeśli ja zginę, chciałbym, żebyście powiedzieli wszystkim, że zginąłem w najbardziej odjechany sposób. Dave, dostaniesz moje kompakty. Mój brat będzie domagał się zwrotu Play Station, które pożyczyłem od niego rok temu, więc nie walcz z nim o to.

Jennifer wahała się przez dłuższą chwilę, po czym wyszeptwała:

– Eeeh, pod moim łóżkiem jest poluzowana klepka. Trzymam tam swoje rzeczy. Jest trochę trawy i mały notesik z, no wiecie, imionami różnych facetów, i jeszcze kilka drobiazgów. Jeśli zginę, to chcę, żeby jeden z was poszedł do mojej sypialni i wyjął to wszystko, żeby moja mama nie widziała.

John sięgnął do butelek i podpalił knoty wszystkich trzech koktajli Mołotowa, które trzymałem w dłoniach. Ręce mu nie drżały, w odróżnieniu od moich.

Fred wyszeptał:

– Dobra, jeśli nie wrócę i, powiedzmy, nie dostanę mojego dała, jakby Justin miał mnie pożreć czy co gorszego, to powiedzcie wszystkim, że nie wecie, co się stało. Żeby było tajemniczo. A

potem rok później zaczniemy rozpuszczać pogłoski, że widzieliście jak wałęsałem się po mieście. W ten sposób będę niczym Wielka Stopa, bo wszyscy będą mówić, że widzieli mnie to tu, to tam. Legenda Freda Chu.

John pokiwał głową, jakby zapamiętywał, co ma zrobić. Podpalił swoje bomby, zerknął na mnie i zapytał:

- Masz jakieś ostatnie życzenie na wypadek, gdyby to się nie skończyło dobrze?
- Jasne. Pomścicie moją śmierć.

Ustawiliśmy się w półkolu przy drzwiach, trzymając wysokoprocentowy koktajl w dłoniach. Przypatrywałem się pomarańczowobłękitnemu płomieniowi na gałganie wepchniętym w butelkę. Serce mi dudniło. Molly za mną zaskomlała.

Sekundy wyciekały wolno niczym ketchup ze szklanej butelki. Słyszałem jak John dyszy koło mnie, czułem strużkę potu ściekającą mi po skroni.

Zamek trzasnął i zazgrzytał. Napiąłem każdy mięsień w moim ciele. Spojrzałem w dół i ścisnąłem butelkę po piwie w dłoni.

Jezu, zaraz zginiemy, naprawdę zaraz tu wszyscy zginiemy.

Drzwi z wolna zazgrzytały na prowadnicach. Na podłodze pojawił się blade pasek księżycowej poświaty, wiatr zagwizdał gwałtownie, kiedy drzwi zaczynały się podnosić do góry. I stał tam, od gołeni do głowy. Dżinsy, koszulka i...

Och, jasna cholera.

Justin wyglądał właściwie normalnie w świetle księżycy – włosy rozwiewał mu mocny wiatr i widać było dołek na brodzie. Tylko, że jego oczy wystawały z czaszki na jakieś dwadzieścia centymetrów.

Żrenice na końcu nowych, białoróżowych łodyg, skrzyły się potwornie w naszą stronę, wślępiając się w nas przez długą, straszliwą chwilę.

Byliśmy tak zaskoczeni tym widokiem, że wytraciliśmy całą energię, wszyscy stali jak skamieniali, oczekując, że ten obok zrobi pierwszy ruch.

Trzeba to Jennifer przyznać – jako pierwsza przerwała paraliż i niezgrabnie rzuciła płonąca butelkę w Justina. Potwór-Justin patrzył jak przelatuje obok niego i ląduje bezpiecznie na ziemi, toczy się po niej i zatrzymuje. Knot zamigotał i zgasnął. Opór skręcił swoimi optycznymi czułkami na dół i patrzył jak zawartość nieszczęsnej butelki wylewa się na ziemię. Po chwili odwrócił się do nas i powiedział:

– Odłóżcie to badziewie, kretyni, i chodźcie ze mną.

Wycofał się, najwyraźniej uświadamiając sobie, że gałki oczne dyndają mu poza oczodołami i po kilku przyprawiających o mdłości, gwałtownych ruchach zassał je na powrót do środka.

Staliśmy przez chwilę w bezruchu, spoglądając na siebie z poczuciem wstydu i porażki, po czym zrobiliśmy jak nam kazał.

Zbyt późno uświadomiłem sobie, że wszyscy czekali na mnie. Oczekiwali, że rozpocznę atak, że ich poprowadzę.

Witajcie na pokładzie fregaty Wiecznych Rozczarowań Davida Wonga, frajerzy.

Nie znajdowaliśmy się w Vegas. Pobieżne spojrzenie wokół uświadomiło mi, że jesteśmy gdzieś w polu pośrodku niczego. Była to wietrzna noc i na otwartym terenie w Newadzie oznaczało to nadmiar kurzu. Justin, hybryda demonicznej kolonii robaków z fanem Limp Bizkit, prowadził nas przez zakurzone podwórko do zakurzonej werandy, na której stała para przedpotopowych i równie zakurzonych butów zmumifikowanych w pustynnym powietrzu.

Drzwi były uchylone, widać było tylko idealnie okrągłą dziurę w miejscu, w którym powinna być gałka.

Obok drzwi stało oparte o ścianę nowe, ale też zakurzone, pudło kuriera, które najwyraźniej dostarczono tu przez pomyłkę, gdyż miejsce to było opustoszałe od przynajmniej dziesięciu lat.

Justin przepchnął się przez drzwi, obojętnie wkopując do środka mijane pudło.

Kiedy weszliśmy, po raz kolejny zauważyłem wysmarowany zaschniętym błotem słoik w dłoni Justina i przypomniałem sobie jak przez mgłę, że wygląda jak ten w prowizorycznej piwnicy

Jamajczyka. Postawił go na podłodze i podchodził do każdego z nas osobna, ustawiając nas, sadząc w półkolu wokół słoika. Wyczułem, że czeka nas przemowa i mogłem się tylko modlić, że nie zacznie nawijać jak budy chłopak wychowany wśród kukurydzianych pól, który stara się nagrać wtręty do albumu spod znaku gangsta rap.

Opór zaczął:

– Ten świat to gówno, yo. – *Och, żeby to jasny szlag trafił.* – Jak wy sobie w ogóle dajecie radę z tym wszystkim, w tych swoich ciałach, z tym całym gównem? Boicie się, że was zabiję, ale to najlepsze, co mogę dla was zrobić, yo. Trupoland, na przemian warstwy zgnilizny i gówna, nic tylko zgnilizna i gówno.

Rozejrzałem się po skąpo oświetlonej grupie i zobaczyłem światło księżycy, wpadające przez popękana szybę, a w nim łyzy na policzkach Jennifer. Wielki Jim miał zamknięte oczy, pewnie zatopiony w modlitwie. Fred Chu rozglądał się dookoła, jakby go to w ogóle nie interesowało, gładząc się jedną ręką po bródce i mnąc pasek wykładziny w drugiej. John wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w jakiś punkt po drugiej stronie pokoju, wpadając już w tępy stupor. Molly lizała sobie krocze.

Panie, panowie – oto Antypiekielny Oddział Uderzeniowy z Anonimowego!

Czuając, że przynajmniej ja powinienem coś zrobić, zapytałem:

– Trupoland? Stamtąd pochodzisz?

– Nie, gościu. To ty stamtąd pochodzisz. Jesteśmy w nim teraz. W tym miejscu, w tej grozie. Jeśli jakiś kolo postanowi cię na zawsze zgłuszyć z tego świata, to może to zrobić za pomocą kawałka metalu, co tam, gołymi rękami może cię zadusić. Siedzicie sobie jak ciepłe kluchy, luzujecie w tej chacie, a ja czuję smród zgniłych martwych zwierząt rozpuszczających się w kwasie w waszych bebechach. Wysysacie życie z niewinnych stworzeń tego świata, żebyście mogli przeżyć kolejny dzień. Jesteście maszynami napędzanymi przerażeniem, bólem i masakrą innych form życia. Odzieracie świat do czysta z wszelkiej zieloności, z każdego stworzenia, aż śmierć głodowa rozwali was wszystkich, żalosne skurwysyny, wasza zawziętość w uśmiercaniu wszystkiego doprowadzi do śmierci wszystkich i wszystkiego co żyje. Gościu, nie mogę uwierzyć, że nie paraliżuje was czysta, jawna groza tego miejsca.

Po dłuższej chwili przerwy John odezwał się:

– Cóż, dziękuję ci.

John nie oderwał wzroku od swego punktu na przeciwległej ścianie, gdy to mówił. Nagle dostrzegłem w jego oczach pewność siebie. Podążyłem za jego wzrokiem, zobaczyłem to, co widział on i szybko spojrzałem gdzie indziej.

Zerknąłem na potwora-Justina, zastanawiając się, czy załapał. Ale on był zbyt zajęty. Odkręcił wieczko starego słoika na kiszonki i wypadło z niego na podłogę coś niewielkiego, jakby zaschnięta dżdżownica.

Opór poszedł do kuchni i usłyszałem, jak majstruje coś przy zlewie. Nie było wody. Wrócił, popatrzył na nasze twarze i wskazał na Freda.

– Nasikaj na to – rozkazał.

Byłem tak tym zaskoczony, że nawet nie byłem pewien czy dobrze usłyszałem. Ale Fred, płynący idealnie z prądem do takiego stopnia, że filozofowie będą mogli przez lata studiować ten fenomen, wzruszył ramionami.

– Dobra.

Wstał, rozpiął zamek, nasikał na podłogę, zapiął spodnie i usiadł z powrotem. Mały, czarny skrawek wyschniętego robaka leżał w parującej kałuży. Nic się nie działo przez chwilę, może przez minutę.

I nagle robak drgnął.

Jennifer krzyknęła, podskoczyliśmy wszyscy.

Poskręcane coś zaczęło rosnać. Rosnąć coraz bardziej.

Wystarczy dolać wody!

Pojawiła się dłoń. Ludzka dłoń, różowa, o wielkości dłoni dziecka. Z niej, zamiast ramienia, zaczynało się wyciągać coś przypominające odnoże owada. Było długie na dwadzieścia

centymetrów i wyciągnęło się na naszych oczach niczym antena radiowa. Zaczęło pojawiać się coś na kształt muszli. Zobaczyłem oko, czerwone i posiatkowane jak u muchy. Kolejne ślepie, tym razem z okrągłą źrenicą ssaka, wyrosło zaraz obok pierwszego. Potem jeszcze jedno, żółte z czarną szparą w środku. Gadzie.

Zmora rosła z każdą chwilą. Urosła do rozmiarów królika, potem małego psa i zatrzymała się, osiągnąwszy wzrost pół metra i przekrój jakichś trzydziestu centymetrów, prawdopodobnie o takiej samej masie jak Molly.

Ukształtowany stwór zdawał się składać z części zapasowych. Miał podwinięty do góry skorpioniego ogon. Chodził na siedmiu – tak, siedmiu – odnóżach, z których każde zakończone było małymi, różowymi łapkami dziecka. Miał łeb w postaci odwróconego serca i rząd półkolistych ułożonych ślepi nad czarnym, zakrzywionym jak u papugi dziobem. Na głowie, nie żartuję, miał kępkę starannie uczesanych blond włosków, które – przysięgam na grób mojej matki – były peruką podtrzymywaną przez gumkę założoną pod brodą.

To, co było w tym dziwne, czy też raczej, co było jeszcze dziwniejsze, to że dwie części jego ciała – brzuch i zad – nie były ze sobą zespolone. Między nimi była przerwa na dwa palce i kiedy odwracało się bokiem, można było zobaczyć, co jest za nim. Ale poruszały się jednocześnie, jakby łączyła je jakaś niewidzialna tkanka.

Mały potwór stał, skręcając się na podłodze niby nowonarodzone ciele, wciąż ociekając uryną.

John skomentował:

– Uch.

Fred powiedział:

– Słuchajcie, czy wy widzicie tego okurwieńca, czy to tylko ja mam zwidy?

Bestia krążyła w kółko, rozglądając się po pokoju. Justin powiedział do nas:

– Nie ruszajcie się. Jak mu każę, to was zabije, yo. Nie wiecie, do czego to jest zdolne. Kurde, jak na to patrzę, to nawet nie wiem, czyja wiem. Ale to nie jest mój cel, bo mogłem was kropnąć w domu, gdyby taki był plan. Ale nie jest.

Potwór obracał się ciągle w kółko, gapiąc się na każde z nas, a tuzin jego oczu mrugał w nierównych odstępach. W końcu zatrzymał się spoglądając w moją stronę. Molly poruszyła się za moimi plecami, warcząc cicho.

– Chcę tylko, żebyście się nie ruszali, yo. Za minutę żadne z was nie będzie pamiętać, po co się tak spinało.

Stworzenie przykucnęło i znikło w zamazanej mgiełce. Rzuciłem się w tył, spodziewając się, że potwór skoczy na mnie, ale nie, nie skoczył. Usłyszałem straszliwy, wysoki skowyt za plecami i odwróciłem się gwałtownie, a potwór już siedział Molly na grzbiecie, owijając kończyny wokół jej ciała i zatapiając je głęboko w sierść niczym stalowe pręty.

Jennifer krzyknęła i wszyscy poderwali się z miejsc. Justin krzychał na nas, żeby siadać – siadać! Patrzyłem jak potwór robi zamach skorpionim ogonem (Wspominałem, że miał ogon jak skorpion? Popieprzony ogon porastały włosy.) i błyskawicznie zatapia jego koniec w sierści psa. Ogon zaczął się skręcać i pulsować na całej długości. Pompował w nią coś.

Molly zaskowyczała.

I nagle było po wszystkim. Bestia zeskoczyła z niej. Molly wyglądała na przerażoną, ale nie uciekała. Zobaczyłem końcówkę ogona bestii i spostrzegłem na niej kroplę gęstej, czarnej cieczy.

Sos sojowy.

Zaraz. Co takiego? Czy on stąd się bierze?

Gwałtowny ruch za moimi plecami. Szuranie stóp i krzyki.

John wkroczył do akcji, ruszając tam, gdzie wcześniej patrzyliśmy. Zarył stopami w podłogę i schwycił białe pudełko z FedExa.

Opór już go dopadał, szybki jak Bruce Lee. Kopnął Johna w brzuch i przesunął go o krok do tyłu. Następnie wyrwał Johnowi pudełko z rąk. Opór wyglądał na zaskoczzonego i już chciał cisnąć pudełkiem na bok, ale zamarł w bezruchu.

Popatrzył na naklejkę, potem na Johna, potem na mnie i znów na naklejkę. Wstałem i podszedłem do nich wolnym krokiem.

Opór zapytał, wpatrując się w Johna:

– Co jest w środku?

John nie odezwał się ani słowem i wyglądało, że sam nie jest pewien. Zbliżyłem się jeszcze bardziej, nic z tego nie rozumiejąc. Opór wyciągnął ramię w stronę Johna, jakby robił „Heil Hitler”. Zdezorientowało to nas na chwilę, po czym na jego dłoni pojawiła się szrama niczym wydęte usta. Wąski strumyk gęstej, żółtej cieczy ściekał na podłogę, tworząc niewielką, dymiącą kałużę, która bardzo szybko przeżarła się przez parkiet z cichym sykiem.

– Gadaj – zażądał Justin.

Spojrzałem na nalepkę na pudle. Paczka była zaadresowana na prawdziwe nazwisko Johna, na ten adres w miasteczku w Newadzie. Wysłana wczoraj nocną pocztą, zaadresowana niedużym, schludnym pismem Johna.

– Gadaj, albo stopię ci facjatę, yo. Co to jest, jakaś bomba?

John wzruszył ramionami i powiedział:

– Otwórz, to obaj się dowiemy, co?

Opór położył pudło na podłodze i powiedział:

– Wynieś to stąd.

– Dobra – odparł John i schylił się, by podnieść paczkę.

– Zaczekaj! Zostaw to tak, jak jest.

– Dobra.

Opór wskazał na potwora w peruce i rozkazał:

– Otwórz pudło.

Potwór najwyraźniej zrozumiał, bo przydreptał do przesyłki i zaczął rozrywać papier papuzim dziobem. Po kilku ciągnących się w nieskończoność minutach, podczas których starałem się bezskutecznie wskazać stworowi miejsce, w którym zaczynała się specjalna taśma do rozpakowywania, którą posiadało każde pudełko FedExu, stworzenie wsadziło w końcu pysk do środka i wyciągnęło pomietą kartkę z zeszytu.

Opór podniósł ją do oczu i zobaczył nabazgrany wielkimi różowymi literami: JOHN PATRZ KOŁO KRZAKA NA PODWÓRZU PRZED DOMEM.

Potwór-Justin odwrócił się do Johna i zapytał:

– Co tam jest? Broń jakaś? Starasz się mnie kropnąć? – John nie odpowiedział. Opór wskazał na bestię w peruce i powiedział: – Jeśli któreś z was się ruszy, ten stwór oderwie wam wszystkie kończyny i, zostawiając przy życiu, złoży w was po pięćset jaj w brzuchu. Kumacie bazę?

Kumaliśmy. Opór cisnął kartką i podszedł do drzwi wejściowych.

Rzeczywiście, rósł tam krzak, który teraz drżał na wietrze. Czyżby John będąc pod wpływem sosu w jakiś sposób umieścił tam coś z wyprzedzeniem? Ale jak? I co takiego? Broń? Bombę domowej roboty? Wytresowanego borsuka-mordercę? Nic już by mnie nie zdziwiło.

Stworzenie znane poprzednio jako Justin White podeszło do krzaka i popatrzyło na niego z góry, kopiąc go przy korzeniach. Zerknąłem na Johna, który również nie mógł się doczekać, najwyraźniej całkowicie zapomniawszy o swoim planie, po tym jak sos wywietrzył mu z głowy. Perukowy potwór kręcił się między nami, a ja zastanawiałem się, czy nie powinniśmy spróbować ucieczki przez tylne drzwi.

Na zewnątrz Justin nie znalazł niczego. Odwrócił się, by z powrotem wejść do domu...

I został zmieciony z nóg.

Grzmiące buuuuum rozeszło się echem po pustyni, a za nim rozległ się wyraźny mechaniczny szcęk zamka broni gładkolufowej. Rozległ się drugi wystrzał, a potem trzeci.

Bestia w peruce zasyczała i obnażyła zęby (tak, miała zarówno zęby jak i dziób), najwyraźniej wiedząc, że coś było nie tak i że powinna nas w jednej chwili rozszarpać na strzępy. Zamarliśmy w bezruchu, choć wszyscy mieliśmy wielką ochotę skoczyć na równe nogi i popatrzeć na naszego zbawiciela, ale najmniejsze nawet drgnienie mogło spowodować, że perukowy potwór ruszyłby w tym kierunku. Kreatura ruszyła do przodu i kiedy zobaczyłem, kto wchodzi do środka, zacząłem kibicować perukowemu potworowi.

Mówcie co chcecie o Oporze i jego pokawałkowanym zwierzaczku, ale żaden z nich nie próbował mnie ani zastrzelić, ani podpalić. Nie można tego natomiast powiedzieć o detektywie Lawrence „Morganie Freemanie” Appletonie, który wszedł do środka, ładując pociski do strzelby o pistoletowej rękojeści.

Jego oczy spoczęły na poskręcany stworzeniu na podłodze. Uniósł strzelbę.

Potwór odwrócił się w jego stronę i zamiauczał jak kot. Przykucnął, skoczył w jego kierunku i zniknął w tej samej chwili, w której John krzyknął:

– UNIK!

Morgan zakręcił się i uchylił w prawo.

Potwór perukowy pojawił się w powietrzu tam, gdzie jeszcze pół sekundy wcześniej stał Morgan, machając kończynami w jego stronę. Potwór spadł na dywan. Morgan opuścił strzelbę.

W pokoju rozległ się donośny odgłos wystrzału. Wokół poleciały kawałki potwora.

Morgan szarpnął strzelbą, wyciągając niebieski, plastikowy pocisk.

– Jest ich więcej?

Jim odparł:

– Nie, ale tamten na zewnątrz wciąż żyje.

Wszyscy podnieśliśmy się z podłogi, czując ulgę.

Wszyscy z wyjątkiem mnie.

Ja wciąż miałem ślad na środku piersi, niby trzeci sutek, w miejscu, w którym dobry policjant strzelił do mnie wcześniej, zanim starał się mnie upiec żywcem. Zastanawiałem się czy zauważyli, że Morgan raczej nie przeczytał Justinowi jego praw zanim wystrzelił w nim dziurę na wylot. Znaczący, ja zrobiłem to samo, ale dlatego właśnie społeczeństwo nie pozwala mi nosić odznaki policyjnej.

Morgan zaczął coś mówić – być może:

– Wywaliłem temu jełopowi dziurę wielkości piłki w płucach, mam nadzieję, że kurna zdechł jak pies. – Ale w tej samej chwili jego wzrok spoczął na mnie i uświadomił sobie, że ten drugi, któremu wypalił prosto w serce w ten weekend, stoi teraz przed nim cały i zdrowy.

Nastał taki moment, w którym moje oczy napotkały oczy Morgana, kiedy jeszcze raz zobaczyłem przeblysł jego myśli. Nic spójnego, tylko strach, wyczerpanie i chłodny, morderczy zamysł.

W ciągu tych intymnych dwóch sekund wiedziałem, że umysł detektywa robił co mógł, by zdławić wszelkie pozostałe wątpliwości na temat tego, co powinien zrobić. Miał swoją misję i podróżował przez kraj, by ją wypełnić. Ratował świat i w jego mniemaniu każdy na tyle głupi, pechowy czy też na tyle szalony, by brać sos, by ryzykować zmianę w coś, co ci najeżdźcy z innego świata chcieli wykorzystać do swoich celów, zasługiwał na śmierć.

Morgan musiał podjąć decyzję. Zerknął przez ramię, mrużąc oczy w poszukiwaniu Justina. Ale nie odwrócił się i wciąż miał strzelbę wycelowaną w naszym kierunku.

Była nas szóstka. Może byliśmy zakładnikami, a może ulami lęgowymi. Może wydawało mu się, że wpadnie do środka i zobaczy, że wszyscy będą spowici w kokony jak z Obcego, a on tylko spali tę budę do ziemi i ogłosi zakończenie misji. Ale staliśmy tu, wykończeni, brudni i poranieni. Do dzisiaj nie wiem: walczył z oporami moralnymi, broniąc się przed zastrzeleniem pół tuzina cywilów czy też liczył w myślach, czy ma wystarczająco dużo naboju w komorze.

John pochylał się i podniósł pudło kurierskie. Zerknął do środka i odwrócił je do góry dnem. Do ręki wpadła mu paczka papierosów i zapalniczka. Wyciągnął jednego i zapalił. Sięgnął do paska szpitalnych spodni od piżamy i wyciągnął zza niego buteleczkę jakiegoś brązowego trunku, który zgarnął z ciężarówki i wziął łyka. Byłem zaskoczony, że nie wysłał sobie buritto.

Powiedziałem do Morgana:

– To jest straszliwie popierdolona, długaśna historia, ale jesteście po pańskiej stronie. John wywabił Justina przed dom właśnie dla pana.

Tylko mnie kurwa nie pytaj jak.

Morgan odwrócił się i przepychając się przez drzwi poszedł jako pierwszy, z bronią gotową do strzału. Podążyłem za nim, uważając, by nie nadebrać strzępów perukowego potwora rozrzuconych po całej podłodze.

Gliniarz był o wiele bardziej zaskoczony niż ja, kiedy nie zastał Opora leżącego na pustynnym gruncie. Wsunął strzelbę do przodu, obracając się niby wieżyczka czołgu, po czym odwrócił się błyskawicznie w stronę ciężarówki, która obudziła się z warkotem do życia i wytoczyła na drogę.

Morgan rzucił się biegiem i oddał trzy strzały, aż czerwone światła pozycyjne zniknęły w oddali. Wrócił do nas i rzucił:

– Kurwa!

– Wiem, dokąd jedzie – powiedziałem. – I powiem panu, jeśli obieca pan, że zabierze nas z sobą. I że nie będzie pan więcej do mnie strzelał.

Zassał powietrze przez zęby, przyglądając się twarzom wszystkich osób z naszej grupy. W końcu powiedział:

– Dobra.

– Hotel Luxor. Niech pan nie pyta, skąd wiem.

Pół minuty później siedzieliśmy stłoczeni w wynajętym furgonie Morgana, jakby był to wóz cyrkowy ze spuszczanym dachem.

Z siedzenia pasażera obserwowałem jak światło reflektorów połyka drogę.

– Planują coś na kształt wielkiego seansu spirytystycznego – powiedziałem. – Jest tam taki facet o nazwisku Marconi. Najwyraźniej Opór... eee, Justin ma tam jakąś sprawę.

Wszystkie dziesięć palców Morgana zacisnęło się na kierownicy, a wskazówka szybkościomierza zaczęła się pięć do góry.

– Wiem.

– Wie pan? Skąd?

Wszystkich w wozie zarzuciło najpierw na prawo, a potem na lewo, kiedy Morgan wyminął jakiś samochód.

– Brock Wholesale zgłosiło wczoraj zaginięcie samochodu z alkoholem. Przypadkowo usłyszałem, jak sprzedawca na stacji benzynowej w Missouri mówił, że jakiś kierowca wozu z piwem pytał go o drogę do Las Vegas, a potem walnął go w jaja i powiedział, że jego córki będą żywymi kokonami mięsnymi w stawie pełnym pijawek. Facet pomyślał, że to dziwne i zgłosił to. Pojechałem tą samą drogą, którą wskazał Justinowi, jechałem jakby mnie czart gonił. Potem znalazłem się przy tamtym zjeździe i po prostu miałem nosa, no wiecie, miałem intuicję.

Wspomnienie „intuicji” wywołało u mnie chłód w żołądku. Zerknąłem do tyłu na Johna. Jego to też zaalarmowało.

– Pojechałem za swoim nosem i znalazłem ciężarówkę zaparkowaną przy tym starym domu.

Morgan podrapał się po policzku, a dwudniowy zarost wydał odgłos pocieranego papieru ściernego. Silnik zawarczał, a obraz za oknem zaczął się szybciej przesuwać przed moimi oczami.

– Co będzie, jeśli to coś dotrze do Luxoru? – zapytałem.

– Powiedzmy, że przebyłem wystarczająco długą drogę, żeby to się nie stało.

Z tyłu John powiedział:

– Skoro jechał pan za nami od naszego porwania, to pewnie nie spał pan ze dwa dni.

– Mniej więcej pięćdziesiąt godzin.

Jechaliśmy w milczeniu przez minutę. Według Morgana przez mniej niż minutę.

– Niech będzie pięćdziesiąt godzin i trzydzieści siedem minut i dwie, trzy sekundy. To chyba adrenalina. W ogóle nie jestem zmęczony. Czuję dreszcz łowcy.

Jechaliśmy w milczeniu przez chwilę. Przed nami pojawiły się czerwone światła pozycyjne. Wyciągnąłem ręce i złapałem się za deskę rozdzielczą.

Morgan powiedział:

– Adrenalina i te głośne, świdrujące głosy w mojej głowie.

Oczy Morgana eksplodowały.

Wrzasnął, kiedy dwa bryzgi krwi trysnęły w szybę samochodu. Za mną krzyknęła Jennifer, John i Fred zadudnili gromkim chóralnym: KURWA MAĆ!

Małe, białe pałeczki wysypały się z twarzy gliniarza i zaczęły kołować wewnątrz samochodu. Puścił kierownicę. Sięgnąłem i złapałem ją. Zjechaliśmy z drogi.

Trzęśliśmy się, teleпалиśmy i podskakiwaliśmy. Horyzont i niebo zamieniały się miejscami, a dach samochodu walnął mnie w ramię. Odłamki szkła spadły na moje oczy, wpadały mi do uszu i do nosa, deska rozdzielcza walnęła mnie w czoło, a dach trzasnął mnie po raz drugi i włochaty tyłek Molly przetoczył mi się po twarzy.

W końcu wóz zatrzymał się z trzaskiem.

Cisza. Tylko delikatny świergot na tle pustynnej bryzy. I wtedy nadeszły głosy.

Rozdział 6.

Poznajcie doktora Marconiego

Do dupy to wszystko. Uchyliłem powieki, czując ostre, drobne kawałeczki czegoś, co mogło być albo piaskiem albo szkłem. Na siłę otworzyłem oczy szerzej i zobaczyłem ziemię. Wszystko wisiało do góry nogami – ja na pasie bezpieczeństwa. Czuję się, jakby każdy staw został brutalnie wykręcony z panewki. Bolało mnie jak diabli od stóp do głów i było już tak ciemno, że dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że ogromna, powiększająca się kałuża na suficie, to nie olej silnikowy ale krew.

Wyciągnąłem szyję i zobaczyłem kawałki mięsa odpadające z resztek po funkcjonariuszu Freemanie-Appletonie w soczystych, poszarpanych, różowożółtych warstwach kości i żeber oraz gąbczastej masy, która z pewnością była kiedyś płucami. Z mięsistych strzępów wylatywały masy niewielkich, wrzecionowatych białych potworów, które kręciły się we wnętrzu pojazdu niczym ziarna ryżu w mikserze.

Ale nie to wywołało moją panikę – ani to, ani dźwięki rozrywanego mięsa wokół mnie. Nie, to, co naprawdę mnie ruszyło, to, co sprawiło, że zacząłem szarpać za klamrę pasa bezpieczeństwa, to dźwięk jaki wydawał z siebie rój.

Och, ten dźwięk. Nie dochodził też wcale do moich uszu, ale jakby rozprzestrzenił się niczym naładowany elektrycznością wrzask w moim mózgu, milion ostrych, najeżonych, trujących myśli rykoszetujących pod czaszką.

Wyobraźcie sobie pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn uwięzionych na opuszczonej wyspie, pozbawionych jedzenia, picia i seksu, którym udało się jakimś cudem przeżyć pięćdziesiąt tysięcy lat. I wtedy nagle, kiedy już byli tak umęczeni, że choroba umysłowa to betka, samookaleczenie i kanibalizm dawno przestawały zapewniać rozrywkę, ktoś zrzuci na wyspę rzeźbę nagiej kobiety wykonaną z krwistych steków. Jeśli wyobraźcie sobie dźwięki jednoczesnego pożerania, pierdolenia i rozrywania jej na kawałki, wzmocnione stukrotnie pod czaszką, to i tak byłoby to nic w porównaniu z tym, co słyszałem. Było w tym szaleństwo, desperacja, nędza i męka ponad wszelką miarę, skrzyki i wycia oraz co jakiś czas pojawiające się moje imię.

Wywiało to wszelkie myśli z mojej głowy, rozdarło umysł na dwoje. Byłem jak oszalały, szarpałem za klamrę pasa bezpieczeństwa dłońmi drżącymi niczym w ostatniej fazie Parkinsona. Ledwo słyszałem prawdziwe krzyki wokół siebie, tuż obok, z tylnego siedzenia, bo równie dobrze mogłyby rozlegać się o tysiąc mil stąd. Te małe, białe pasemka brzęczały wokół mojej twarzy, koło uszu, ocierając się o moją skórę.

Zacisnąłem palce na małym, plastikowym pudełku, które zawierało zamek pasa bezpieczeństwa, ale nie mogłem znaleźć przycisku, nie widziałem go, naciskałem i ciągnąłem i w końcu zacząłem szarpać za nie jak dziecko w napadzie szału. Poczułem swędzenie na nagich ramionach, a potem drobne ukłucia jakby igieł i wiedziałem co to jest, kurwa wiedziałem. Zacząłem wyginać ciało, by wyzwolić się z pasa niczym zwierzę schwyte w pułapkę.

W ciemności wszystko wokół się ruszało.

Przy tylnym siedzeniu trzasnęła szyba.

Kogoś wyciągali.

Krzyk.

Przebiegłem dłonią po przedramieniu i tysiąc białych wrzecion rozpięchło się w powietrzu. Usłyszałem w wyniku tego jakiś tumult w tych głosach, wrzaski podobne do tych, jakie wydają nastoletnie czarownice na koncercie boys bandu, a jednak zupełnie od nich różne. Dźwięk – był zbyt potężny, a jednak skompresowany w mojej czaszce – naciskał mi na skronie. Pomyślałem, że czuję, jak ze skrzypieniem i zgrzytem, na mojej głowie zaczynają się pojawiać pęknięcia.

Nagle pochwyciły mnie czyjeś ręce, ciągnąc też za pas bezpieczeństwa. Pojawiła się dłoń i nagle błysnęło wąskie ostrze – ktoś sprężynowcem przecinał brezentowy pas. Poczujęm wolność i spadłem w dół. Dwie pary rąk wyciągały mnie z wraku za koszulę i ramiona, tak że szorowałem plecami o ostre kawałki szkła.

To Fred Chu i John wyciągali mnie na wolność. Wszyscy krzyczeli mocno przerażeni. Molly tańczyła wokół i szczełała, opanowana całkowitą paniką na widok małej chmury białych owadów latających wokół mnie niby tuman pierza.

Robaki siedziały mi na ramieniu i zaczynały lądować na szyi i twarzy. Strzepnąłem je i zamachnąłem się na nie w powietrzu. John chwycił mój nadgarstek, wydobyl brązową butelkę z alkoholem ze swoich spodni i polał nim ramię.

To najwyraźniej rozwścieczyło latające rob ale, bardziej niż cokolwiek innego i moja skóra zaczęła płonąć od ich prób wwiercenia się w nią. Wykrztusiłem:

– To nie działa! Alkohol nic im nie ro...

John pstryknął zapalniczką i podpalił moje ramię.

Mówiłem już wcześniej, że „moja skóra zaczęła płonąć” z bólu, ale wkrótce musiałem się zmierzyć z prawdziwym podpaleniem. Przyznaję, że tamto wrażenie w niczym nie przypominało prawdziwego podpalenia skóry.

Ale nawet biały żar na moim ramieniu był niczym w porównaniu z agonią, która nagle wybuchła mi pod czaszką. Setki robaków spłonęło żywcem, wrzeszcząc w moich myślach w niebogłose, jakbym wsadził głowę do silnika 747. Było to jak dźwiękowa bomba neutronowa, która porusza ziemią i można ją tylko porównać z eksplozją miliona żyłek pod czaszką.

I nagle cisza. John obtoczył moje ramię w kurzu, zaklepując jeszcze tłące się płomienie. Skóra przybrała kolor buraczany i odlażała w kilku miejscach.

Usiadłem, starając się przywrócić ostrość spojrzenia, spróbowałem wstać z ziemi, ale ponownie padłem na tyłek. Zobaczyłem jak strumyczek krwi ścieka Johnemu po czole, a on stara się zetrzeć go z oczu. Pusta butelka po trunku leżała u jego stóp. Pochylił się i wyrzygał. Jennifer klęczała na ziemi i widać było, że ma dziurę w udzie i włosy zmatowiały od krwi po jednej stronie.

Wielki Jim wskazywał na coś i krzyczał. Molly szczełała.

Fred.

Darł się wniebogłose.

Miotał się jakby płonął.

Rój go znalazł.

Latające robaki wylewały się z wraku furgonu niczym z kopniętego gniazda szerszeni. Wszystkie wylądowały na Fredzie.

Kaszlał i krztusił się, a wrzecionowate robaki wlatywały mu całą chmarą do ust. Po pięciu sekundach było po wszystkim.

Fred przewrócił się na ziemię.

Wszyscy wiedzieliśmy, że żyje. Jim, John i Molly gapili się w stronę Freda w otępiałym szoku, a cisza jaka zapadła była tak gęsta, że można ją było kroić nożem.

Jedynie Jennifer się ruszyła. Pognała w stronę wraku wozu, a z rany na udzie z każdym krokiem wypływała jej krew. Wpełzła do środka, złapała coś, po czym pospiesznie się wycofała.

Fred się poruszył. Drgnął, przewrócił się na plecy, a następnie niezdarnie wstał na nogi. Wszyscy cofnęli się o kilka kroków. Zmusiłem się do wstania z ziemi, choć oprostowały to mięśnie nóg. Fred – to wciąż był Fred – wyglądał przez chwilę na zdezorientowanego, ale po chwili otrząpał się i powiedział:

– No dobra. Nic mi nie jest. Nic mi nie jest.

Jennifer podbiegła do nas i zobaczyłem teraz, co wyciągnęła z samochodu. Była to strzelba Morgana. Warstwa świeżej krwi Morgana połyskiwała na jej korpucie w świetle księżyca. Jim odebrał ją bez pytania i sprawdził komorę, żeby zobaczyć, ile jest naboji w środku. Położył ją sobie na ramieniu, jakby nagle został kapitanem całej ekipy.

– Musimy teraz wyczarować jakiś samochód – powiedział.

Nikt się nie ruszył. Jennifer popatrzyła na mnie wyczekująco. Co niby miałem zrobić? Ledwo trzymałem się na nogach. Popatrzyłem Fredowi w oczy, szukałem w nich czegoś.

Powiedziałem do Freda:

– Idź, zatrzymaj jakiś samochód.

Jim kiwnął głową, jakby był to idealny plan i poszedł za Fredem, który skierował się w stronę autostrady. Jennifer posłała mi porytowane spojrzenie, podeszła do Jima i wydarła mu broń z rąk. Odwrócił się na pięcie i spytał ją, co właściwie robi, do cholery. Dziewczyna cofnęła się i już niemal widziałem jak dziurawi zainfekowanego Freda na wylot przy pomocy strzelby.

Nie zrobiła jednak tego.

Podeszła natomiast prosto do mnie i wepchnęła mi strzelbę w dłonie.

Bardzo wolno i ostrożnie Wielki Jim zapytał mnie:

– Co chcesz z tym zrobić, David?

John, Jen i ja staliśmy obok siebie na wprost Jima i Freda, o jakieś trzy metry od nich.

Fred powiedział:

– Uooo, spokojnie koledzy. Wszyscy jesteśmy nieco podenerwowani. No jak, w porządku?

Jennifer:

– Jim, nie widziałeś, co się stało. To nie jest Fred. Już nie.

– Nie wiemy, co się stało – warknął Jim zerkając na Freda. – Czy ktokolwiek rozumie coś z tego? Naprawdę. Jak wam się wydaje, że tak, to pieprzę was serdecznie.

Fred powiedział:

– Słuchajcie, koledzy. Nie wiem, co wam się wydawało, że widzieliście, ale to wciąż ja, Fred. Zapytajcie mnie o cokolwiek. Jestem sobą. Znaczący, wszyscy byliśmy w wozie, kiedy rozpuknął się ten gliniarz. Każdy z nas mógł zostać... zarobaczony, czy jak tam się mówi, ale musimy trzymać się razem. No bo w końcu kto jest, kurwa, z tych dobrych, co? Mam rację?

Wszyscy spojrzeli na mnie. To ja miałem broń. Skierowałem spojrzenie w dół, jakbym zwracał się o radę do spluwy. Była chłodna, ciężka i lepiała się od krwi Morgana.

Owiała nas bryza. Z prawej strony Molly wydawała z siebie cichy warkot.

Zamknąłem oczy, wypuściłem powietrze z płuc i powiedziałem:

– Idźcie zatrzymać samochód.

Wielki Jim i Fred odwrócili się raz jeszcze i zrobili krok w stronę autostrady. Wypuściłem całkowicie powietrze i zrobiłem dwa kroki w przód.

Uniosłem strzelbę i zestrzeliłem głowę Freda z jego ramion.

Trysnęła krew. Widziałem krwawą mgiełkę w świetle księżyca, przez ułamek sekundy zawisłą w powietrzu jak na fotografii. Znów to uczucie, iskry w głowie, do głosu doszła stara, dobrze znana przemoc i jej wyładowanie przechodzi teraz przez całe moje ciało.

Ciało Freda opadło na kolana, a potem płasko na pierś.

Krew.

Krzyk.

Panika.

Stare widoki i dobrze znane odgłosy.

Już to widziałem.

Wielki Jim cofnął się obryzany krwią Freda i krzyczał coś, czego nie słyszałem. Wszystko jest jakby przytłumione, spowolnione. Wyciągnąłem szyję i zobaczyłem minę Johna, którą widziałem już trzykrotnie wcześniej – niby strach przemieszany ze współczuciem. Miałem ochotę walnąć go na odlew kolbą w dziób. Nienawidzę tego spojrzenia. Mówiło: „Jesteś jaki jesteś Dave, i tyle na ten temat”.

Zerknąłem na Jen, która zakryła sobie usta dłońmi. Jeszcze dziesięć sekund temu był to doskonały pomysł, co mała?

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. To Wielki Jim sunął do mnie, tupiąc głośno, z furią na twarzy. To też dobrze znany widok, bo widywałem jego minę wiele razy podczas bijatyk w szkole średniej. Jego pięści za chwilę wystrzelą niczym błyskawice, jak dwa bojowe psy wypuszczone z klatek.

Jasne, Jim, możesz sobie cytować Biblię ile wlezie, ale ty i ja mamy tę samą chorobę.

Wycelowałem strzelbę prosto w jego twarz.

Jim popatrzył w lufę, zrobił jeszcze dwa kroki, po czym podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy.

Zatrzymał się.

Nie odrywał ode mnie wzroku. Powiedział:

– Dzień po tej całej aferze z Hitchcockiem w szkole. Widziałem ciebie, razem z twoimi kumplami, jak się śmialiście. Śmialiście się w korytarzu. Ledwo dwanaście godzin po tym, jak Bill umarł. Wiem o tobie wszystko, Dave. Masz diabła za skórę...

Przeładowałem strzelbę.

– To nie jest przyjacielska pogaduszka, Jim.

Mięśnie napięte jak postronki. Staliśmy tak, zdaje się, całą wieczność, a spust palił mnie w opuszek palca.

Zastrzel go. Powystrzelaj wszystkich.

To John przerwał zakłęcie. Podbiegł do ciała Freda i zaczął je ciągnąć.

– Wsadźcie go do wozu! – Jennifer mu pomagała, ale we dwójkę szło im opornie, bo trudno jest płynnie przeciągnąć martwy ciężar po piachu.

John powiedział:

– Dave! Te potwory zaczynają już z niego wyłazić!

Jim patrzył na mnie jeszcze przez chwilę. Nagle odwrócił się i podszedł do nich. John mówił coś cicho do niego, ale Jim odsunął jego i Jennifer na bok. Wciągnął ciało Freda z powrotem do wozu i oparł je o tylne drzwi. Dobrze znana nieregularna chmura zaczęła wyłaniać się z poszarpanej szyi tam, gdzie kiedyś tkwiła głowa Freda Chu.

Jim podszedł szybko w moją stronę i błyskawicznym, niewiarygodnie silnym ruchem z łatwością wyrwał mi broń z rąk. Odwrócił się i wymierzył w zbiornik paliwa furgonu.

Skuliłem się w oczekiwaniu eksplozji, gdyby ogień opanowała dziwna chęć zredukowania nas wszystkich do kupki popiołu.

Nic. Zobaczyliśmy tylko regularne skupisko dziur w metalu, rześisty deszcz benzyny spadający z tyłu wozu na rozłożone ciało Freda Chu. John podszedł do jego ciała, zapalił zapalniczkę i rzucił ją na ziemię.

Fred Chu skończył w kuli ognia. Płomienie pełzły w górę karoserii, dotarły do zbiornika paliwa i podpaliły jego zawartość z głośnym, metalicznym PLONK, a my wszyscy padliśmy na ziemię, gdy małe fragmenty metalu zagłębiały się gładko w piasek wokół nas.

Jim wstał z ziemi i podszedł do mnie z opuszczoną lufą. Adrenalina wyciekła ze mnie wszystkimi porami, tak że wydawało mi się, że za chwilę będę stał w adrenalinowej kałuży. Byłem bardzo zmęczony. Taki zmęczony.

Dwa kroki ode mnie Jim uniósł broń.

Stary, zrób to. Po prostu zrób to i daj mi pospać na tym piasku, aż słońce zmieni się w supernową i zamieni cały ten świat w garstkę zapieczonych wspomnień.

Oddał mi broń, wpychając strzelbę boleśnie w żołądek i odszedł. Lufa była ciepła. Wszyscy patrzyliśmy jak z Freda wylatują tysiące drobnych cząstek roju niczym płonące iskry nad strzelającym ogniskiem. W mojej głowie koncert potępińczych głosów coraz bardziej nikał, po czym całkowicie zamarł.

John powiedział:

– Myślisz, że to wszystkie? Te robaki, czy co to tam takiego jest? Myślisz, że zniszczyliśmy je wszystkie?

Nie odpowiedziałem.

– Bo mam przeczucie, że kilka uciekło. Do diabła, jeśli choć jeden się wydostanie i wlezie do czyjegoś ciała, to się wszystkie rozmnożą. Złożą jaja i będą robić to, co zwykle.

Nikt mu nie odpowiedział. No bo cóż można było powiedzieć?

Samochód zatrzymaliśmy po piętnastu minutach. Przekonałem Jennifer, żeby samotnie stanęła na poboczu, cała drżąca i upozowana na poszkodowaną z kształtną nóżką spowitą w szkarłacie.

Wkrótce zatrzymał się błyszczący nowy furgon z młodym facetem i żoną w środku, pewnie na jakimś miesiacu miodowym.

Kiedy tylko otworzyli drzwi od strony pasażera, wleciałem do środka i przystawiłem im broń do twarzy, zmuszając ich do opuszczenia pojazdu, a Jim przeproszał ich cały czas, zarzekając się, że oddamy im samochód. Nasza piątka wraz z psem wpakowała się w samochód i odjechała w noc.

– Nie podoba mi się to – powiedziała cicho Jennifer, jakby mającą, ciemna konstrukcja na horyzoncie mogła nas usłyszeć.

Patrzyła na hotel Luxor w Vegas, piramidę na tle nocnego nieba, wielką, czarną i regularną niczym budowla sprzed trzech tysięcy lat. Zaparkowaliśmy na parkingu przed ogromną, oświetloną neonami restauracją ze stekami, jakieś pół kilometra przed naszym celem. Wszyscy wyglądaliśmy na poobijanych, śmierdzących dymem uchodźców wojennych.

Skryliśmy się w toalecie dla kierowców ciężarówek tuż przed granicami miasta i obmyliśmy z krwi na tyle, na ile się dało. Jim wypluł dwa zęby. John był całkowicie pewien, że ma wstrząs mózgu i będzie wymiotował nawet przy całkiem pustym żołądku. Ja miałem podwójne widzenie w jednym oku i generalnie czułem się, jakbym wpadł do spalinowego tartaku. Kupiliśmy cztery apteczki i ogarnęliśmy się jak potrafiliśmy. Jennifer zawięła sobie udo bandażem, podkładając tampon. Kupiliśmy mnóstwo jedzenia w spożywczym i ciągle jedliśmy, szukając Luxoru. Ten parking znajdował się najbliżej hotelu i ktoś w końcu musiał zapytać jak wygląda nasz plan.

– Potwór-Justin już tam jest. To pewne – powiedział Jim wskazując brodą na Luxor. – Na co więc czekamy? Z tego co wiemy, to wszystko może się już zaczynać, a my tu siedzimy i nie robimy nic.

John odezwał się:

– Jeśli wezwał szatana, to byśmy go stąd zobaczyli, czy tak?

Przeważnie o tym rozmawialiśmy od wypadku i tego całego bajzlu, jaki w niego wyniknął.

Powiedziałem:

– Podstawowym problemem jest dotarcie na tę imprezę. Faceci tacy jak Marconi z pewnością przyciągają wielu świrów. Trzeba zakładać, że drzwi będą strzeżone, a ja nie mam zamiaru wchodzić tam ostrzeliwując się.

Jim powiedział:

– Myśl, David. Ten cały seans ma się odbyć wewnątrz kasyna. Jak zrobisz dwa kroki do środka ze spluwą w dłoniach, to powali cię na ziemię dziewięciu gości w gajerach.

– I wepchną ci głowę w imadło – dodał jak zawsze pomocny John.

Odparłem:

– Cóż, bez broni mamy nikłe szanse. Chyba, że Jim ma zamiar cytować potworowi urywki z Biblii.

Jennifer podniosła dłonie i powiedziała:

– Chłopaki, może skończmy już z tym mierzeniem sobie fiutek, dobra?

Na chwilę zaległa cisza, a potem odezwał się John:

– To dobrze, bo wygraną miałbym w kieszeni.

Znów cisza.

– Chciałem tu się odnieść do tego, że mój fiutek jest większy niż fiutek każdego z was.

Westchnąłem i powiedziałem:

– John, nie sądzę żeby znalazł się ktoś w samochodzie, kto miałby nastrój do...

– John, ustalmy jedno – powiedział Jim przerywając mi swoim srogim, ewangelizującym głosem. – Każdego Pan czymś obdarował. U mnie jest to penis na tyle duży, że gdyby miał własnego penisa, penis mojego penisa byłby większy od twojego.

Zapadła zupełnie nieplanowana cisza, a potem usłyszeliśmy, jak Jen zaczyna śmiać się tak głośno, że obawialiśmy się, że się udusi.

– A, pieprzę was wszystkich – odparował John. – Was nawet nie ma. Wszyscy jesteście tylko wytworem wyobraźni mojego ptaszka.

Jim starał się powstrzymać śmiech, ale mu się nie udało. Kolejna ofiara knowań Johna. Wystarczy znaleźć się z nim w jednym pokoju i już człowiek wpada w basen ciepłego piwa, gier

wideo i kawałów o penisach, spoglądając wraz z nim na wszechświat i mówiąc: Uwierzyłyś w coś takiego?

Pomyślałem, nie pierwszy raz, że John mógłby założyć całkiem dochodową sektę.

Spojrzałem na strzelbę na moich kolanach, ciężką, zimną, nienawistną rzecz wciąż pokrytą kurzem i krwią. Zauważyłem coś jeszcze – duże wybrzuszenie w kieszeni moich spodni. Wsunąłem tam rękę i wyciągnąłem złożoną kopertę gotówki, którą uzyskałem od faceta w ciemnym zaułku. Skończyło się na tym, że zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem go odszukać i oddać mu jej. Zza pleców zaszczekała Molly.

John patrzył na drugi koniec parkingu, gdzie stał wielki, przewoźny dom na kołach niczym wieloryb wyrzucony na plażę. Był przyczepiony do białego osiemnastokątowca przystrojonego neonową taśmą i z jakimś logo na drzwiach.

– Ciekawe, co tam jest? – zapytał.

Wielki Jim odparł:

– Pewnie świeża dostawa pedałów.

Gnojkwowi się nagle dowcip wyostrzył.

Samochód najwyraźniej rozzłości! Molly, która wychylając się przez szybę, wpadła w szal szczekania. Sięgnąłem do tyłu i po raz pierwszy w moim życiu pacnąłem psa w nos kopertą pełną gotówki. Jennifer powiedziała:

– Dziękuję.

John nie dawał za wygraną.

– W takim wozie mogłyby być jakieś ciuchy na zmianę. Moglibyśmy się przebrać, wyglądać jak ludzie. Poszukać długiego płaszcza dla Davida, żeby mógł schować swoją pompkę. A potem ruszyć na Luxor, odnaleźć Justina i otworzyć tę... no... puszkę z Pandorą.

– Nie możemy włamywać się komuś do wozu – powiedziałem.

John zmrużył oczy, próbując odczytać logo na burcie.

– Ten wóz nie należy do żadnej konkretnej osoby. Należy do Eltona Johna. No wiesz, do tej kapeli.

Jen zdziwiła się:

– Naprawdę?

Molly skryła się na tylnym siedzeniu i zaczęła podgryzać bagaż nowożeńców. Pewnie zapakowali tam furę kiełbasek.

John powiedział:

– Jasne, patrzcie na napis. Założę się, że to sprzęt koncertowy.

Jim uzupełnił:

– Elton John to facet, a nie żaden zespół.

– Proszę cię, nie zaczynaj z nim – powiedziałem błagalnie. – Jest takie wideo, gdzie on ma różne stroje i...

– Po raz ostatni ci mówię, Dave, to byli dwaj różni faceci. Sprawdziłem. To bracia.

– O Jezu, daj już spokój. Kogo to obchodzi – ścisnąłem strzelbę i rozważałem, czy nie wypalić sobie w łeb.

Na twarzy Johna z wolna zaczął się pojawiać szeroki uśmiech. Odwrócił się do mnie i powiedział cztery najbardziej przerażające słowa, jakie znam:

– Dave, mam szczywany plan.

Gdyby obcy, którzy pomagali Egipcjanom budować piramidy wrócili na Ziemię i otwierali kasyno, to z całą pewnością wyglądałoby jak Luxor w Las Vegas. Była to masywna, połyskująca czernią szklana piramida z rzędem świateł błyskających na wszystkich czterech rogach.

Zaparkowaliśmy właśnie na parkingu kasyna i obserwowaliśmy dwa radiowozy oraz lawetę, na którą wciągano wóz dostawczy porzucony przez Justina, beztrudnie zaparkowany na krawężniku. Gliny i facet od lawety wyglądali na nieco zaskoczonych tym widokiem.

Rzuciłem:

– Chodźmy.

Wysypaliśmy się z furgonu i poszliśmy w stronę głównego wejścia, omijając gliniarzy szerokim łukiem. Jennifer podniosła wzrok i wyszeptła do mnie:

– Nie podoba mi się tutaj.

– Już to mówiłaś.

– Wygląda jak... jak koniec świata. Nie wiem, jakoś tak. Jak te wielkie, przerażające, futurystyczne budowle w „Łowcy Androidów”, czarne z płomieniami, no i w ogóle.

Wielki Jim się odezwał:

– Jasne, jasne, a te gigantyczne ekrany z tymi wielkimi Azjatkami? Kiedy byłem mały widziałem taki film i zacząłem płakać. – Wielki Jim poprawił swoją pelerynę.

Wejście było otwarte na oścież niczym paszcza potwora, a flaki we wnętrzu połyskiwały czystym złotem.

– Wiecie co mnie jeszcze przeraża? – zapytała Jen, sięgając tam, gdzie kępa czarnych piór łaskotała ją w szyję. – „Dzień Niepodległości”. Film o inwazji obcych. Pierwsza część, kiedy przylatują obcy i stają między budynkami i nie widać nieba, i no jakby widać tylko metal. Jak okiem sięgnął tylko stalowy, unoszący się nad głowami statek kosmiczny. Pamiętam, jak sobie pomyślałam, że właśnie tak będzie wyglądać koniec świata. Nie będzie to wojna czy jakiś spadający meteor. Będzie to coś, co nikomu nawet do głowy nie przyjdzie...

Lękliwy podziw zdławił jej głos. Wszyscy weszliśmy do holu i zatrzymaliśmy się. Przestronne pomieszczenie Luxoru było złote – złote podłogi, złote ściany i złoty sufit. To miejsce przypominało jakąś świątynię i nie było wątpliwości, kto jest w niej Bogiem.

Hol tętnił ludźmi i przepychaliśmy się naprzód, płynąc z prądem. Wszyscy się na nas gapili, oczy wędrowały ode mnie do Jen i do gołego tyłka Johna. Nerwowo poprawiałem pasek od gitary na szyi.

Strzelbę miałem przy boku, schowaną pod płaszczem. Prawdopodobnie ściągnęliśmy spojrzenia kilkunastu ochroniarzy na tym piętrze. Ale na nasz widok żaden nie pomyślał sobie „broń”. Myśleli „kretyni”, ale z całą pewnością nie „broń”.

John rzucił:

– O, tam.

Odnalazł wejście z napisem EGIPSKA SALA BALOWA, przed którym stały dwie wielkie tablice przedstawiające uśmiechniętego pięćdziesięciolatka, czyli pewnie doktora Marconi, bo jego nazwisko było wypisane wołami na dole.

Jakaś kobieta siedziała przy stoliku z laptopem, stertą programów i broszur ułożonych w harmonijkę na blacie. Drzwi strzegło dwóch facetów w garniturach, z cienkimi słuchawkami w uszach.

Poszliśmy wprost na nich. Moje serce stanęło na chwilę. Jak do tej pory wszystko idzie zgodnie z planem.

Kiedy zbliżyliśmy się do wejścia, zerknąłem przez częściowo otwarte drzwi, by zobaczyć, co się za nimi dzieje – czy na przykład Lucyfer nie wywija hołubców na parkiecie. Nie wywijał.

Widziałem tylko, że sala balowa jest olbrzymich rozmiarów, z parkietem wielkości połowy boiska sportowego. Pośrodku stała olbrzymia lodowa rzeźba, która miała z sześć metrów wysokości. Był to anioł z rozpostartymi skrzydłami i z rękami wyciągniętymi ku górze. Najwyraźniej pompowano przez niego wodę, bo z kryształowych skrzydeł leciał deszcz kropel na podobieństwo wodospadu, rozbryzgując się u stóp anioła. Publiczność siedziała w rzędach wokół posągu. Wszystkie miejsca były zajęte. Każda osoba na widowni miała zamknięte oczy.

Do holu przedostał się wzmocniony głos doktora Marconi.

– No dobrze, proszę posłuchać. Proszę sobie wygodnie usiąść. Wiem, że niektórzy się boją, ale to z czym będziemy tu mieli do czynienia, jest prawdziwe, tak prawdziwe jak osoba siedząca obok. Ale chciałbym, żebyście wszyscy państwo, żebyście wszyscy się skupili, całą swoją mocą, otwartością umysłu, żeby wszystko się udało. Słyszeliśmy wszyscy wypowiedź Betty, która mówi, że jej mąż zniknął w tajemniczych okolicznościach rok temu. Nazywa się Harold Alexander. Skoncentrujmy się wszyscy na Haroldzie Aleksandrze. Oczyszćcie wasze umysły. Niech każdy z was wyobrazi sobie jabłko...

Zostawiłem sześć tysięcy dolarów z mojej koperty technicznemu z kucykiem, który dał nam piętnaście minut na przeszukanie przyczepy, a sam poszedł zajarać. Gitara wisząca na mojej szyi była w całości wykonana z przezroczystego szkła, czy też polimeru. Miałem na sobie biały, skórzany płaszcz podbity ekstrawaganckim, zielonym futerkiem oraz olbrzymie, białe sombrero z błyskającą świecidełkami, neonową taśmą na rondzie.

Jennifer przywdziała coś na kształt smokingu skrzyżowanego z płaszczem konferansjera z cyrku, nałożonym na koszulkę i szorty, który był na tyle krótki, że było widać jej nogi. Boa z czarnych piór przydało jej światowego wyglądu. Wielki Jim miał na sobie niezwykle obcisły kombinezon z połyskliwym logo Eltona Johna na plecach. Pod pachą niósł olbrzymią klawiaturę Casio i ciągnął za sobą wózek obarczony dwoma czarnymi pudłami wielkości sypialnianych szafek.

John miał czarny ochraniacz na genitalia, parę białych, skórzanych ochraniaczy na nogi i purpurową czapkę Robin Hooda, która zakrywała jego krocze. Na górze nie miał nic, jeśli nie liczyć obcisłej, skórzanej kamizelki i pęku złotych łańcuchów. Wszyscy byliśmy w okularach przeciwsłonecznych.

Kiedy dotarliśmy do stolika, głos Marconiego zadudnił:

– Dobrze, już dobrze, proszę o spokój. Kto następny? Czy ktoś z państwa ma osobę, z którą chciałby się skontaktować?

Ochroniarze i kobieta przy drzwiach popatrzyli na nas ze zdezorientowanym rozbawieniem, kiedy się do nich zbliżyliśmy. Kobieta, starając się ukryć uśmiešek, powiedziała w końcu:

– Mają państwo, eee, bilety?

John odezwał się pierwszy:

– Nie, my jesteśmy Elton John.

– Jesteśmy, eeh, z jego zespołu – powiedziałem, przerywając mu pospiesznie. – Gramy zaraz po seansie. Proszę nam pokazać wejście od kulis, a zaraz...

– Dave! – wykrzyknął John. – Patrz!

To był Opór. Znajdował się na drugim końcu sali balowej, przedzierając się między rzędami i kierując się w stronę sceny. Miał na sobie niedopasowaną marynarkę, dżinsy i kowbojski kapelusz, który – jak wiedzieliśmy – zakrywał poszarpaną ranę na głowie.

– Yo, mam takiego starego szpynia, co chciałbym, żebyś mnie pan z nim spiknął – powiedział, zbliżając się do Marconiego.

Uśmiech spelzł z twarzy doktora Marconiego na sam widok Opora, który utykał na wykoślawionych kończynach, a jego ciało było tak napuchnięte, że zdawało się, iż za chwilę pęknie. Marynarka wcale nie skrywała dziury od wielkokalibrowej strzelby, ziejącej na jego korpusie.

Opór powiedział:

– Nazywa się Korrok, Pan Niewolników z ósmej płaszczyzny, znany jest też w innych królestwach jako Baa'aaa'aaa'aab, a w jeszcze innych jako Pan Zanthk All-Bzzki'l Shadd'uuu'l L'luuu'ddahs L'ikzbb-lla Khtnaz.

Ochroniarze i odźwierna skupili swoją uwagę wyłącznie na nim, nie wiedząc, czy jest to element przedstawienia, ale jednocześnie wyczuwając, że coś się święci, coś niedobrego.

Podszedłem do drzwi i przebiegłem dłonią po boku, wyczuwając długi, sztywny kształt pod płaszczem. Już miałem powiedzieć Odźwierniej, że mamy spory kryzys, który może rozwiązać wyłącznie rock and roli i dlatego właśnie musi nas wpuścić.

– BRONŃ!

To krzyknął! ochroniarz z mojej lewej strony. Spojrzałem w dół i uświadomiłem sobie, że spod poły płaszcza wystaje mi kawałek lufy.

Pospiesznie wyłuskałem strzelbę i wymierzyłem mu ją prosto w twarz, na co zamarł w całkowitym bezruchu.

John powiedział:

– To nie jest broń! To rekwizyt!

A ja w tym samym momencie rzuciłem:

– Jestem gliniarzem! Po cywilnemu!

Nagle rozległ się głos z głośników.

– AAAAAGGH! MOJE KLEJNOTY!

Odwrociłem się błyskawicznie i zobaczyłem jak doktor Marconi pada na podłogę, chwytając się za obolałe krocze.

Opór stanął nad nim.

Przez publiczność przetoczyła się fala niepokoju.

Rzuciłem się do wnętrza sali. Obok mnie przepchnęli się ochroniarze, pędząc w kierunku sceny.

Opór walnął pierwszego ochroniarza w krocze tak mocno, że tego odrzuciło na dwa metry w tył. Drugi się wycofał.

Uniosłem strzelbę, mierząc w Opora.

– STÓÓÓJ! – wykrzyknął em.

Jakaś pani wrzasnęła na widok broni. Opór odwrócił się do nas plecami i nachylił się w przód. Pękły mu spodnie. Z przedziałka wykwitnął mu jakiś gąbczasty wystający kikut i zaczął się przepychać na zewnątrz. Wyglądał jak koniec mięsistej trąby.

PRRRRT!

Z basowym przytupem i smrodem palonej siarki, Opór pierdnął i wyleciał wysoko w górę.

Tłum oszalał, wszędzie wokół zaczęły trzaskać krzesła. Śledziłem Opora, mierząc do niego z broni, a on wspinał się w chmurze opalizującego metanu. Wylądował na szczycie lodowego anioła. Przykucnął na jednym ze skrzydeł, uniósł ramiona w triumfalnym geście i powiedział bardzo głośno coś, co z pewnością było bardzo doniosłe i złowieszcze, ale utonęło całkowicie w tłumie, jaki rozpętał się wśród publiki.

Wystrzeliłem. Opór eksplodował.

Ej! Łatwo poszło!

Deszcz krwi i hamburgera zaplamił skrzydła anioła na czerwono i różowo. Poczulem chwilową euforię zwycięzcy i już szykowałem się do poniesienia przez rozentuzjzmowany tłum na ramionach ludzi. Powinienem wiedzieć, że nie pójdzie tak łatwo.

Z flaków Justina wylały się, wcale nie bzyzące białe wkrętki, ale deszcz czarnych drobin przypominających ziarna kawy. Odbijały się i ześlizgiwały po anielskich skrzydłach wpadając do sadzawki poniżej.

Zbliżyłem się do niej ze strzelbą. Ciemne drobiny zaczęły się wić i pluskać w wodzie.

O kurwa.

Czyjaś dłoń spoczęła na moim ramieniu i kiedy się odwróciłem, zobaczyłem bystre, piwne oczy doktora Alberta Marconiego.

– Synu, myślę, że powinniśmy ewakuować stąd publiczność. – Wielki Jim stał tuż za nim, wciąż z klawiaturą pod pachą. Marconi powiedział cierpliwie: – Nie sądzisz? Nie mamy za wiele czasu.

Odwrociłem się i pobiegłem, strzelając w powietrze i krzycząc.

– Bomba! W fontannie jest bomba! Wszyscy w nogi. Proszę tylko *bez paniki!*

Moje słowa całkowicie zginęły w szaleństwie, jakie wywołał mój wystrzał. W tłumie wpadłem na Johna.

– Gdzie ta bomba?

– Nie ma żadnej bomby, za to są...

– Chłopaki!

To była Jen. Darła się, pokazując na fontannę. Odwróciłem się w chwili, w której jeden z siedmionogich potworów w peruce wystrzelił z fontanny w bryzgach wody.

Bestia wylądowała na dywanie na swoich łapkach niemowlęcia, rozejrzała się, zamiauczała i zniknęła. W sekundę wczepiła się w jakąś starszą panią, zatapiając w podstawie jej kręgosłupa koniec skorpioniego ogona.

Wyłoniła się kolejna bestia. A za nią następna. Potem jeszcze trzy. Pełzały i skakały, przywierając do swych ofiar. Jakiś grubas z bestią przyczepioną do piersi przebiegł koło mnie, wymachując rękami, jakiś brodacz starał się strącić potwora z nogi.

Jeden z perukowych potworów pokłusował i skoczył na Jima. Ten pacnął go niczym bejzbolem klawiaturą Eltona Johna, następnie walnął ciężkim Casio w jego rozłożone na ziemi ciało, rozbryzgując czarne i białe klawisze.

Jen była po drugiej stronie fontanny, kopiąc jedną z bestii na śmierć. Pobiegłem do niej, rozwalilem potwora na pół, przeładowałem i zorientowałem się, że broń jest pusta. Zamachnąłem się nią na kolejnego z potworów, chybiłem i walnąłem starszego pana na wózku, przewracając go.

Przekopywałem się przez morze błękitnych krzesel, zbliżając się do Jen. Dwa perukowe potwory szły moim tropem. Nie, trzy. Jeden z nich przykucnął i rzucił się na mnie.

ŁUP!

Bestia legła od składanego krzeselka dzierzzonego przez Johna.

Krzyknął:

– TAAAK! – udając zachęcającego do udziału w zawodach wrestlingu „Macho Mana” Randy Savage’a i chwycił za dwie nogi krzesła. Znów się zamachnął i rozpląszczył jedną z bestii z okrzykiem: – Może sobie usiądziesz, dziwko!

Po sali balowej hasała co najmniej setka perukowych potworów. Kilkanaście ich ofiar już leżało na podłodze.

Drgnąłem, słysząc ostry odgłos wystrzału. Odwróciłem się na pięcie i zobaczyłem panią w średnim wieku, trzymającą mały, chromowany pistolet. Zastrzeliła jednego z potworów, zabiła go, wypaliła do kolejnego i chybiła. Bestie dopadły ją i wszystkie trzy zaczęły żądlić ogonami. Usłyszałem jak ktoś woła: „Becky!” gdzieś za moimi plecami. Jakiś wysoki facet z wielką, brązową brodą przepychał się przez rzędy krzesel.

– BECKY!!! SKAAARBIE!!!

Skopał dwie maski ze swojej żony kilkoma wściekłymi kopniakami, na co wbiegł John i zatłukł ostatniego krzesłem, drąc się wniebogłosey:

– Zostałeś skazany na *krzesło*, skurwysynu!

Mężczyzna podniósł żonę z ziemi i powiedział do mnie:

– Te potwory! One blokują wyjścia!

Odwróciłem się na pięcie i zobaczyłem, jak czarne kluchy otaczają drzwi, przez które weszliśmy.

– Kurwa mać!

Kobieta wyglądała na całkowicie zagubioną. Mężczyzna pytał ją, czy dobrze się czuje. Pokiwała głową, a następnie wyciągnęła lewą rękę i wyrwała prawe ramię z torebki stawowej. Rozległ się ośliszy odgłos zasysanego powietrza, jakby ktoś odrywał udko od świętecznego indyka. Nie było krwi. Rana została błyskawicznie pokryta cienką, czarną warstwą sosu sojowego.

Kobieta spokojnie podeszła do fontanny, niosąc jakby od niechcenia swoje ramię niczym parasolkę. Jej mąż stał kompletnie zaskoczony i nie mówił nic. Usłyszałem, jak John dwukrotnie wali swoim krzesłem.

Kolejna uządlona ofiara leżała nieopodal – młody mężczyzna, który wił się jakby miał jakiś atak. W końcu jego nogi wyzwoliły się z reszty ciała. Kończyny zaczęły sunąć samodzielnie po podłodze niczym dwa wielkie poliestrowe węże z butami w miejscu łbów. Tuż za nimi oddzielona od ciała głowa zespoliła się z ramieniem i, kłusując wściekle, wczepiała się w dywan.

Zrozumiałem, że być może już nie kontrolujemy całej sytuacji.

Usłyszałem krzyk, który rozpoznałem jako wołanie Jennifer. Klęczała ze sprężynowcem Freda w dłoni, otoczona przez pięć trupów perukowych potworów, które miały poszarpane rany od ostrza. Pognałem w jej stronę.

Usłyszałem metaliczny trzask za plecami i głos wołającego Johna:

– Jak chcesz gnoju jeden zasiadać w komisji, to najpierw musisz zobaczyć, jakie tam są twarde *krzesła!*

Podniosłem Jen z ziemi.

Wszędzie wokół nas łączyły się oderwane ludzkie członki. Tworzyły krąg wokół fontanny, składając się do kupy niczym Lego szatana. Wilgotny, różowy kręgosłup prześliznął się koło nas jak wąż.

Doktor Marconi biegł w naszą stronę, wykrzykując jakieś polecenia, których nie słyszałem w tym całym pandemonium. Wokół nas perukowe potwory zacieśniały krąg, spływając do fontanny jak oliwa po ściankach zlewozmywaka.

Jeden z nich skoczył Jen na plecy. Rzuciłem się na niego, zakleszczyłem w niedźwiedzim uścisku i oderwałem go od niej. Jedna z tym małych piąstek wyskoczyła do przodu i zaczęła mnie walić po twarzy.

Zaniosłem dziada do fontanny, krocząc nad soczystą stertą części ciała. Wepchnąłem potwora pod wodę, przytrzymałem go tam wrzeszcząc „Zdychaj!” albo coś równie odpowiedniego do okoliczności. Po kilku sekundach przestało się rzucać i czarny sos wyciekł z niego niczym plama po oleju.

Doktor Marconi zbliżył się na tyle, że w końcu mogłem go usłyszeć. Powiedział:

– Starają się dostać do wody! Nie pozwól im na to!

Spojrzałem na rozległą, czarną sadzawkę i usłyszałem plusk, kiedy wskoczyła do niego kolejna bestia, a potem następna – stworzenia wracały do zbiornika, z którego wcześniej wyskakiwały.

Nie wróżyło to nic dobrego.

Marconi rzucił:

– Chodź za mną.

Popędziliśmy w stronę drzwi za sceną, a John walił w potwory krzesłem po drodze. Marconi otworzył drzwi i weszliśmy do środka. John zatrzymał się i okręcił w otwartych drzwiach. Stał na wprost przynajmniej pół tuzina perukowych potworów, które zaczęły go okrężyć. Machał krzesłem dookoła, rozpoławiając jednego z nich siłą impetu, rozlewając smugę krwi, która odbijała światło tak jak rtęć. John zadudnił:

– Ktoś jeszcze ma ochotę honorowo oddać krew, zapraszam na *krzeselko!* – Śmignął przez drzwi, zatrzymał się, zastanowił przez chwilę, po czym znów ruszył do ataku. Machnął krzesłem i trachnął jednego potwora prosto w perukę krzyżując: – Może deserek! Pan raczy spocząć na *krześle!*

Znów wrócił, dysząc ciężko, i zatrasnął za sobą drzwi, w chwili w której coś pacnęło o nie z głuchym odgłosem.

Powiedziałem:

– A może byśmy tu zostali i poczekali, aż sobie pójdą?

Doktor Marconi zdjął okulary i przetarł jej chustką.

John powiedział:

– Co tam się z nimi dzieje? Z tymi pokąsanymi? – Spojrzał na Marconiego. – Kilku naszych przyjaciół wzięło ten sos sojowy, ten, eeh, jad, którym teraz potwory szprycują swoje ofiary. Niemal wszyscy nie żyją, ale nie tak, jak...

– Na zewnątrz mamy salę pełną tych, co prawdziwie wierzą – powiedział ze smutkiem Marconi. – Teraz dokonuje się przemiana – fizyczna, psychiczna i duchowa. Byli na nią gotowi.

Coś zaczęło walić o drzwi i jeden z zawiasów wyskoczył w chmurze tynku. Wielki Jim i John zaparli się o drzwi.

– Zaraz, pan wie co tu się dzieje? – zapytałem.

Spojrzał na mnie pobłaźliwie.

– Poślę was do domów z egzemplarzem mojej książki.

Wielki Jim spytał:

– On się stara przedrzeć, prawda?

Marconi pokiwał głową:

– Tak, on albo jego sługi, tak.

– Niech to jasny szlag trafi! – wykrzyknąłem. – Czy już wszyscy oprócz mnie wiedzą, co się właściwie dzieje?

– Z całą pewnością nie wiedziałem, że dojdzie do tego – powiedział Marconi – bo inaczej odwołałbym wszystko, zwracając za bilety. Ale kiedy dowiedziałem się o „sosie”, jak o nim mówicie, wiedziałem, że ma tylko jeden cel.

Po drugiej stronie drzwi rozległo się drapanie, które, jak podejrzewałem, było odgłosem przegryzania się potworów przez drewno.

– A jaki to cel?

– Proponuję ludziom, by zerknęli przez duchowe okno. A ktoś chce z okna zrobić drzwi.

Błękitne oko, w ciemności.

Jim wyszeptał:

– Diabeł.

Marconi odparł:

– Synu, najlepszą sztuczką diabła było przekonanie świata, że istnieje i działa sam.

Podniosłem dłoń jakbym chciał zatrzymać pociąg i zapytałem:

– Jak. Mamy. Się. Stąd. Wydostać. No jak?

Marconi założył okulary na nos i powiedział:

– Jesteśmy niczym pojedynczy niemiecki żołnierz na plaży w Normandii w dniu inwazji, uzbrojony jedynie w zaostrzony kij. Zapewniam cię synu, że jeśli któreś z nas byłoby zdolne zniszczyć takie zło, to świat zabiłby nas już dawno temu. Ziemia się obraca, synu. A teraz obraca się prosto w ciemność.

– A więc co pan proponuje? – spytałem.

– Kiedyś byłem duchownym. Wiedziałaś?

John zapytał:

– Jest pan jednym z tych księży, którzy potrafią strzelać laserem z oczu? Ponieważ teraz bardzo by nam to pomogło.

– Nie – odparł. – Ale mogę pobłogosławić wodę, żeby stała się wodą święconą. Przy lodowym posągu.

John rozpromienił się i powiedział:

– To doskonale! – Wycelował palec wskazujący w górę. – Pobłogosławimy lód, a potem będziemy musieli jakoś skłonić hordę potworów, by zaczęła lizać posąg!

Popatrzyłem hardo w twarz starszego mężczyzny i powiedziałem:

– No dobra, w języku angielskim nie ma słów, które mogłyby ułożyć się w plan głębszy niż to, co tu usłyszałem.

– Oczywiście, musimy kupić sobie więcej czasu – powiedział niezmierny. – Ale, jeśli mam rację, jeśli one robią to, co ja myślę, to jest to nasza jedyna nadzieja. Nasi podróżni za drzwiami, chciałem powiedzieć – te bestie – one też mają swoją słabość.

John przytaknął:

– Wiemy. Mają alergię na krzesła.

– Eeh, niekoniecznie. Są naturalnymi dyskordianami. Żyją w parodii jakiegokolwiek ładu i są tego produktem. Kiedy się żyje w świecie koszmarnego zgiełku, każda melodia jest niczym brzytwa w uszach. Anioły z harfami i tym podobne.

Zadałem pytanie:

– A co to ma wspólnego z...

W środku drzwi eksplodowała dziura. Mała, różowa piastka i segmentowa kończyzna wyłoniły się przez otwór, chcąc sięgnąć Johna albo Wielkiego Jima. John złapał ją, a Jennifer odcięła ramię przy pomocy sprężynowca. Rozległ się przerażająco koci miauk po drugiej stronie. John przez chwilę trzymał odcięte ramię w dłoni, po czym wypchnął je z powrotem przez poszarpany otwór.

Marconi powiedział:

– Widzę, że macie instrumenty. Potraficie śpiewać? Najlepiej działają stare kawałki spiritual.

John potwierdził:

– Ja potrafię śpiewać.

Poprawiłem go:

– Nie, nie potrafisz John.

– Cóż, na gitarze grać umiem.

– Tak jak i ja – dodał Wielki Jim. – Mamy dwie gitary.

Powiedziałem:

– Już głupiej być nie może.

John zapytał:

– Dave, pamiętasz tekst „Holokaustu Wielbłądów”?

– Ach, znowu mnie nie doceniasz, John.

Marconi spojrział w dół, na dwa wózki ze wzmacniaczami i kablami, po czym powiedział:

– Długie to? Potrzebuję kilku minut.

John obszedł wszystkich dookoła i zdjął gitarę z mojej szyi, po czym powiedział:

– „Holokaust Wielbłądów” może trwać tyle ile trzeba, mój przyjacielu. Ja na solowej, Jim na rytmicznej, Jen w chórkach. Jen, powtarzaj wszystko, co będzie śpiewał Dave, tylko z sekundowym opóźnieniem. Wzmacniacze są pewnie na scenie. Przemkniemy tam, podłączymy się i zaczniemy wyć. Dobra? Słuchajcie mnie, *to jest tak porąbane, że może się udać.*

Ustawiliśmy się i stanęliśmy przed drzwiami, w które wciąż coś waliło. John powiedział:

– A wiecie, jestem zaskoczony, że drzwi je powstrzymały, bo przecież mogą się teleportować. Pomyślałby kto, że mogłyby przeniknąć przez drewno.

Za drzwiami zapadła głucha cisza i rozległo się jakieś mamrotanie, jakby właśnie potwory coś sobie uświadomiły. Za moimi plecami Jim krzyknął.

Jedna z bestii siedziała mu na karku. Druga pojawiła się na jego piersi i prawie niewidocznym ruchem chwyciła go za gardło.

Jim przewrócił się na swoją gitarę, a biały instrument momentalnie pokrył się czerwienią.

Jennifer rzuciła się do niego ze sprężynowcem i zadźgała jedną z bestii na śmierć. Dobra była z tą kosą.

Zapytałem:

– Jim? Nic ci nie...

Przewrócił się na plecy. Jego gardło było w strzępach i ochłapach, jakby ktoś mu wypalił z dwururki. Miał szeroko otwarte oczy i mówił coś bezgłośnie. I odszedł.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale nagle jakaś czerń przesłoniła mi oczy. Poczułem drobne ukłucia na piersi i brzuchu, jakby coś się wdrapywało na mnie. Kiedy już odzyskałem wzrok, zobaczyłem przed sobą wpatrujące się we mnie skupisko niedopasowanych ślepi.

Padłem do tyłu i uderzyłem o podłogę, a perukowy potwór ze mną, siedząc mi na piersi. Otworzył dziób i zobaczyłem różowy, ludzki język, międlący coś w środku.

Z sali balowej dobiegł mnie elektryczny pisk. Gitara.

Stworzenie zamknęło dziób i ruszyło do otwartych drzwi, za którymi już grał John. Na pysku potwora widać było olbrzymią irytację. Podreptało gdzieś dalej, przystawiając drobne łapki do uszu.

Marconi wykrzyknął:

– Dobrze! Jedziesz!

Wstałem i przepchnąłem się przez otwarte drzwi. John grał na swoim wiośle. Stał w rozkroku, opuszczając instrument prawie do ziemi. Obiegnę go dookoła, chwytając za mikrofon przed sceną. Przez chwilę nie mogłem wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Podstawa fontanny była teraz schowana za dwumetrowym wałem fragmentów ciał, z którego wystawał lodowy anioł. Pozostałe perukowe potwory zebrały się wokół niego pyskami do środka, jakby na coś czekały.

Nie ma takich zwierząt, żeby to działało się naprawdę.

Dlatego też równie dobrze mogliśmy to pociągnąć. Złapałem się za gardło i nabrałem powietrza w płuca, aż brzuch oparł mi się na złoconym pasie i zachrypiałem:

„Znałem kolesia,

Nie, zmyślam sobie,

Włosy, włosy! Włoooooosy!

Holokaust wielbłądów, holokaust wielbłądów!”

Stworzenia momentalnie odwróciły się w naszą stronę, robiąc bardzo zawiedzione miny i cofając się.

– Doskonale! – wykrzyknął Marconi. – Naprawdę je wkurzyliście! Do roboty!

Przepchnęliśmy się w stronę fontanny, a odgłosy muzyki dudniły w całej sali, rozpraszając bestie przed nami, jakbyśmy trzymali przed sobą dmuchawę do liści. Jeden z perukowych potworów mnie opluł.

*„Moja dusza melona
Zmiażdżona twoją apatią
Młotem parooooowym! Młooooot!
Holokaust wielbłądów! Holokaust wielbłądów!”*

Doszliśmy dokąd pozwalały nam kable, wciąż nieco oddaleni od fontanny. Marconi ruszył, a za nim Jennifer. Znaleźli się w odległości pozwalającej pobłogosławić anioła i Marconi powiedział:

– Ojczy, ty obdarzyłeś nas łaską sakramentów, która mówi nam o cudach twojej niewidzialnej mocy. Podczas chrztu świętego używamy daru wody, z której uczyniłeś widomy symbol twojej łaski, jaką nas obdarzyłeś w tym sakramencie. Na początku stworzenia...

*„Stoi za tobą wilk
Nie, zaraz, to przecież pies
O kurwa! Borsuk! Boooooosuk!
Holokaust wielbłądów! Holokaust wielbłądów!”*

Dochodzimy do pierwszej solówki, na którą John rzuca się niczym szczerbaty na suchary. Kilkanaście perukowych potworów wgryza się w kabel gitary Johna.

Dźwięk nikt nie przechodzi w ciche, żalosne brzdąkanie strun.

Potwory ruszają na nas kupą. Ale John kombinuje bardzo szybko. Podbiega i wyrywa mi mikrofon z ręki. Zaczyna ustami naśladować dźwięki gitary.

– UUUAUUUUUU, ua-ua, ua-ua-ua, wiii-wuuu, wiii, wiii, woou...

Nie sądziłem, że to pomoże. Obracam się do doktora Marconiego i widzę jak wchodzi na stertę ludzkich szczątków w stronę fontanny. Idę jego śladem, wspinam się, staję na czyjaś twarz, płataninę rąk, dupę.

Sadzawka ma teraz czarną barwę. Nie taką czarną jak po oleju, ale czarną niczym wewnątrz jaskini, tak że nie widać ani odbicia ani zmarszczek na powierzchni, ani nawet jak doktor Marconi zaczyna w niej brodzić. Czarny deszcz spada na nas z anielskich skrzydeł.

John ustawiony za nami drze się, jakby go ktoś ze skóry obdzierał.

– UUAŁ. DO-DO-DO-DOOOO-DO, DII DOO DOOO...

Marconi po kolana w czarnej ropie wyciąga dłonie i dotyka lodowej powierzchni posągu. Mówi:

– Prosimy cię Ojczy, byś wraz z Twym Synem...

John dochodzi do końca solówki i teraz przechodzi pospiesznie do trzeciej zwrotki.

*„Moja czapka podjeżdża
Wazeliną, nie dotknę jej
Zaraz, to nie moja! I to nie czapka!
Holokaust wiel... ”*

Przegryziono kabel mikrofonowy. Dźwięk ginie.

– ... tę wodę pobłogosławił. Prosimy cię w imię Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Marconi cofa się o krok.

Nic.

John, nadając na falach słyszalnych przez potwory, krzyczy:

– A TERAZ POLIŻECIE STATUJĘ!

Czerń w sadzawce nagle wzbiera, podchodząc pod stopy rzeźby, wylewając się z cembrowiny fontanny. Przechyliam się przez nią, chwytam Marconiego za marynarkę i ciągnę go w tył nie wiedząc, co prawda, co się wydarzy, ale będąc pewnym, że ja nie chciałbym stać w tej wodzie,

kiedy to nastąpi. Wyciąga jedną nogę z czerni i widzimy z przerażeniem, że nie ma nogi. Wszystko co było zanurzone znika, a jego spodnie kończy równa linia, pod którą nie ma już niczego.

I nagle wszystko wraca tak, jak było. Jakby ktoś zagrał światłem. Doktor wyskakuje gwałtownie z sadzawki, czując przypływ motywacji. Zerkam nerwowo na moje skórzane białe spodnie niknące we wzbierającej czarnej toni.

John i Jennifer pomagają nam zejść z waku ludzkich członków, a potem biegniemy, jakby nas czart gonił, przez całą salę balową. Słysząc szelest, jakby wiatr wył w konarach drzew. Widzę jak kilka krzeseł składa się na podłodze w stronę fontanny i nagle czuję, że coś mnie przyciąga niczym elektromagnes, jakbym miał brzuch wypełniony żelaznymi kulkami.

Jeden z perukowych potworów pędzi prosto na nas, ale nagle coś go unosi w górę i zasysa z powrotem tam, gdzie – jak byłem całkiem pewien – znajduje się portal do piekła. Wycie jest coraz głośniejsze, ogłuszające, jakby startował odrzutowiec. Złożone krzesła latają w powietrzu, miotane niewidzialną siłą. Nasza piątka przepycha się naprzód, ktoś koło mnie krzyczy, ale odgłosy te giną w ogłuszającym szumie. John łapie mnie za koszulę i wskazuje niewielką przestrzeń za sceną, miejsce, w którym można przykucnąć. Jennifer krzyczy do mnie coś, czego nie jestem w stanie usłyszeć, coś co brzmi jak „Todd!”

Ze światła na suficie trysnęły snopy iskier i spowiła nas ciemność.

Niewielkie zestawy lamp awaryjnych włączają się z cichym trzaskiem, delikatnie oświetlając skrzydła lodowego anioła na środku sali. Wchodzimy za scenę skuleni niczym ofiary tornada. Czekamy.

Cisza. Zaryzykowałem i zerknąłem w mroczną studnię. W czerni dostrzegłem jakiś ruch. Ciemne postacie wynurzały się z portalu.

Przypominały wolno stojące cienie, o ledwo ludzkich sylwetkach, wysokie i smukłe, każda o wysokości prawie dwóch metrów. Jedyną rozpoznawalną cechą jest para niewielkich, gorejących ślepi przypominających żar z papierosa.

Jedna po drugiej pojawiają się w zaciemnionej sali, już jest ich spory dum, ramię przy ramieniu wynurzają się z portalu. Powiększają swoje grono niczym zwiększająca swoją objętość plama rozlanej ropy. W idealnej ciszy wypełniają pomieszczenie konstelacją małych, mrugających czerwonych oczu.

Są wszędzie wokół nas, zbliżają się na kilka kroków. Podchodzą w całkowitej ciszy.

I nagle cisza zostaje przerwana. Rozlega się niski syk, jakby para uciekała z nieszczelnej rury. Kłęby pary wodnej unoszą się od podstawy lodowego anioła, gdzie też pojawia się jasne, białe światło, jakby był rakieta kosmiczną szykującą się do startu.

Dźwięk narasta z każdą chwilą, zmienia się w zwierzęcy okrzyk bólu.

W skąpym świetle lamp awaryjnych anioł z zamrożonej święconej wody zatapia się, wpadając w czarną dziurę.

Rozlega się odgłos gromu tak potężny, że mam wrażenie, iż rozpadam się w pół. Zaciskam mocno oczy, nakrywam głowę dłońmi i błagam Boga o wybaczenie mi wywołania kresu wszelkiego istnienia przez przypadek.

Najpierw wstrząs, a potem bezcielesne, sennie wrażenie płynięcia gdzieś w niebyt, jakby ktoś zdjął ze mnie całe brzemień masy ciała.

Jakaś dłoń dotknęła mego ramienia. Drgnąłem, jak szturchnięty rozżarzony żelazem. Znów wszystko się uspokaja. Ile czasu minęło? Czuję się jak człowiek budzący się z drzemki w całkowitych ciemnościach, który nie wie, jaka jest pora dnia.

Otworzyłem oczy. Widzę Jennifer z Johnem i Marconim, stojącymi za nią. Światła się palą. Pomaga mi wstać, a ja spoglądam na środek sali.

Niczego tam nie ma oprócz zwykłego czerwonego dywanu. Żadnej fontanny, żadnych ciał, nie ma też czarnej dziury. Pomieszczenie jest całkowicie opustoszałe, jeśli nie liczyć nas, no i kilku poprzewracanych, wciąż porzrzucanych składanych krzesełek. Usiadłem na podłodze czując krańcowe wyczerpanie. John i ja popatrzyliśmy hardo w miejsce, w którym stała fontanna. Obydwaj wyciągamy dłonie i pokazujemy wyciągnięty palec.

Drzwi otwierają się z trzaskiem. Gajery i gliniarze w mundurach wlewają się do środka.

Molly wpada wraz z nimi, niosąc zwitek wymiędlonych papierów w pysku. Rzuca to przede mną, zaszczekując się na śmierć. Spoglądam na dwa bilety na pokaz Marconiego, które najwyraźniej wyciągnęła z bagażu młodej pary. Odsuwam na bok bilety i widzę kompakt z napisem: *Amazing Grace: Brookliński Chór Śpiewa Gospel*.

Jakiś brodacz podchodzi do nas, najwyraźniej zdezorientowany, a ja rozpoznaję w nim męża kobiety, którą staraliśmy się uratować zanim sama się rozczłonkowała i kiedy wszystko poszło, że tak powiem, w diabły.

Mówię:

– Przykro mi. Z powodu pańskiej żony. Jak miała na imię? Becky?

Patrzy na mnie, jakby nie wiedział, o co chodzi i mówi:

– Jestem kawalerem. Co się tutaj stało?

Nie jestem w stanie mu odpowiedzieć. Leżę płasko na podłodze, moje ciało się wyłącza pomimo szurających wokół butów. Nie spałem od czterdziestu godzin i każdy mięsień aż krzyczy z bólu. Odlatuję z klifu na olbrzymiej fali adrenalinowej i momentalnie zasypiam.

Ktoś wymawia moje imię, pyta czy wszystko w porządku. Nie odpowiadam, odgłosy krzątania wokół mnie bardzo szybko nikną, a ciężki małpizson snu opiera swój ciepły, włochaty tyłek na moich powiekach.

Ciemność i ciepło, oraz nosowe iiiiik, iiiiik, iiiiik budzika. Mam w ustach jakiś smak, dymny jakiś, jakbym lizał popielniczkę. Czuję coś gryzącego i grubego wokół ust. Otwieram gwałtownie oczy. Gdzie ja do diabła jestem?

Siadam na łóżku. Nie moja sypialnia. Spoglądam na budzik na nocnym stoliku. Nie mój budzik. Ładniejszy.

Rozglądam się po pomieszczeniu, a budzik wciąż wylewa swoje żale z nocnego stolika. Odnajduję lustro. Mam coś ciemnego na twarzy, więc walę w to ręką na odlew. Włosy. Wydrapuję się z łóżka i idę w stronę lustra. Mam gęstą, długą bródkę.

Co do diabła?

Siadam ciężko na krawędzi łóżka. Czyj to pokój? Jakiś głos mówi do mnie:

– Wyłączysz go w końcu?

Sięgam dłonią i w końcu znajduję przycisk wyłącznika. W łóżku leży Jennifer Lopez. I mówię tu o tej aktorce.

Och, zaraz. Nie, przewraca się w moją stronę i widzę, że to nasza, swojska Jennifer Lopez. Wstaje z łóżka w samym bezrękawniku i bieliźnie, i sennym krokiem idzie, jak sądzę, do łazienki. Ma ledwo widoczną białą bliznę na udzie. Puszczą cichego bąka i zamyka drzwi.

Wstaję, odnajduję komórkę wśród przedmiotów na szafce z szufladami i wykręcam numer Johna.

Komunikat operatora: „Ten numer został wyłączony...”.

Z wolna opanowuje mnie narastająca panika. Zerkam przez okno, widzę na podwórzu drzewo z liśćmi przybierającymi już jesienne barwy. Wracam do telefonu, przeglądam szybkie wybieranie. Znajduję Johna – nieznany mi numer – wykręcam.

Słyszę jak woda cieknie w łazience. Wstrzymuję oddech, kiedy pojawia się sygnał, czwarty, piąty. Siódmy.

– Halo? – słychać zaspany głos Johna.

– John, to ja.

– Przecież widzę. Co się dzieje?

– Och. Nic takiego.

Po chwili mówi:

– Nie pamiętasz ostatnich sześciu miesięcy, tak?

– Ty też?

– Nie, ja pamiętam. To już czwarty raz ci się zdarza. Nie pamiętasz niczego od tamtej nocy. Ostatnie, co pamiętasz, to Vegas?

– Taaa.

– Myślę, że to jeden ze skutków ubocznych działania sosu. Przyjeżdżaj do mnie. Cóż, nie wiesz, gdzie teraz mieszkam, prawda? Spotkajmy się w Dairy Queen.

Jennifer wychodzi i ku memu zaskoczeniu, całujemy się przez kilkanaście minut. *Popielniczka*.

Wychodzę. Spoglądam na niewielki biały dom w stylu bungalowu i czuję niejaką ulgę, widząc mojego dobrze znanego hyundaia na podjeździe.

Jadę i zastaję Johna siedzącego na ławce przed restauracją, z brązową torbą DQ w dłoni. Widzę, że on także wyhodował grubą kozią bródkę.

Mówię:

– Do dupy to wszystko.

– Mówisz tak za każdym razem.

– Czy muszę, no czy pracuję dzisiaj? A w ogóle to gdzie ja pracuję?

– W Wally's. Masz wolne niedziele. Dzisiaj jest niedziela, tak à propos. Chodź.

John prowadzi mnie do bardzo pięknego motocykla. Wskakuje na siodełko i klepie drugie za plecami. Spoglądam na maszynę przez chwilę, po czym idę do samochodu ze słowami:

– Pojadę za tobą.

Kiedy idziemy korytarzem do nowego mieszkania Johna, on mówi:

– To była wielka sprawa, ale nie, no wiesz, prawdziwa wielka sprawa. Historia, która ujrzała światło dzienne, mówiła o tym, jak to pięciuset widzów ze spektaklu Marconiego wpadło w panikę, popędziło do wyjścia, a jednego chłopaka stratowano w tym zamieszaniu. Czyli, jak wiesz, Jima.

Wchodzimy przez drzwi i mówię:

– Tylko on? A co z tymi wszystkimi osobami, które...

Zatrzymuję się zaskoczony widokiem mieszkania Johna. Ma brązową, skórzaną kanapę i taki sam fotel. Wielki plazmowy telewizor na ścianie na środku pokoju: podłączony do czterech systemów gier wideo z pudełkami po grach rozsypanych po całej podłodze. Całkiem niezły odtwarzacz DVD, zmieniarkę na sto kompaktów w wieży.

– John, czy my teraz dilujemy drągi?

John otwiera szufladę w biurku i wyciąga wielką szarą kopertę, a z niej kilka gazet, wycinków prasowych, kilka złożonych tabloidów, jakiś szykowny magazyn zatytułowany *Strange Days* ze zdjęciami UFO na okładce.

Mówi:

– O nie, nic w ten deseń. W Vegas poznaliśmy jednego faceta. Był alfonsem. Zarobiliśmy niezłą kasę jako męskie prostytutki. Nazywali cię Zwieracz Rakietą. Zdobyłeś złoto na Olimpiadzie Sodomitów Stanu Newada jeszcze w lipcu i zawarłeś kilka korzystnych umów. Jesteś właścicielem domu, w którym mieszkacie z Jennifer. Zapłaciłeś gotówką, jak mi się zdaje.

Wygląda poważnie jak studolarówka, kiedy to mówi. Pytam:

– Jaja sobie ze mnie robisz?

– Nie. To naprawdę twój dom. Zmyśliłem tylko to z tym kurwieniem się. Za każdym razem korci mnie, żeby dodać nowe pikantne szczegóły. A tak na poważnie, to Molly wygrała kupę forsy w kasynach.

– John...

Wyciąga gazetę, kolorowy dział „Lifestyles” z „Las Vegas Sun” z artykułem zatytułowanym „Pies wygrywa ćwierć miliona na automatach!” Jest zdjęcie Molly u niego na rękach, która za wszelką cenę chce mu się wyrwać. On wyciąga rękę, układając palce w kształt broni i wskazuje na Molly, usta ma szeroko otwarte w pijackiej minie pod tytułem „to mój piesek!”, Jen i ja jesteśmy widoczni daleko w de, bo staramy się ukryć nasze twarze.

– Całe to zamieszanie z przedstawieniem Marconiego, z paniką... Było duże śledztwo ze wszystkimi szykanami – mówi. – Gliniarze podejrzewali, że zaaplikował wszystkim LSD i wystraszył ich grą świateł i sztuczkami. Wszyscy okrzyknęli go oszustem. Miał przesrane w całej tej sprawie. Ale wyszedł z tego cało. Śmierć uznano za nieszczęśliwy wypadek i nagle jego książka stała się bestsellerem, a ludzie aż się pałą, żeby go zapraszać na występy. Staraleś się, eee, skontaktować z nim kilkakrotnie, ale nie odbiera twoich telefonów.

Kiedy to opowiadał, wszystko zaczynało mi się przypominać. Wszystkie wariackie, pijackie wspomnienia wracały. Podał mi magazyn o UFO i wskazał na mały nagłówek w lewym, dolnym rogu.

Legenda Freda Chu:

Czy ten martwy młodzieniec nawiedza swoje rodzinne miasto na środkowym zachodzie?

Nasz człowiek na miejscu mówi: „OCZYWIŚCIE”.

Usłyszałem jakiś hałas nad głową.

Podniosłem wzrok.

Serce skoczyło mi do gardła.

To wisiało na suficie na jednej ze swych małych, różowych łapek. Idiotyczna maskara w rudej peruce przekrzywionej na łbie. Spoglądała w dół na mnie, a potem wylądowała o kilka kroków dalej z głuchym stuknięciem.

– Eee, John...

– Och, zobaczyłeś go wreszcie. – Wstał, wziął worek z Dairy Queen, wyciągnął bułkę z kiełbasą i jajkiem i odwinął ją z papieru. Położył kanapkę na podłodze. Potwór podniósł ją dwiema łapami i wgryzł się w nią.

– Kiedy przyszedłeś do mnie wtedy w nocy, tej pierwszej nocy, kiedy do ciebie dzwoniłem, to stało na ścianie. Wszedłeś i oczywiście nie zobaczyłeś niczego. I wiesz co, kiedy ci powiedziałem, żebyś ani pisał? Potwór siedział ci *na plecach*. Skoczył na ciebie, a ty stałeś jak cielę.

Perukowy potwór odwrócił jakieś pięćdziesiąt oczu w moją stronę podczas jedzenia. Przestał przeżuwać, zniknął. Kanapka spadła bezgłośnie na podłogę.

Zapytałem:

– Wystraszyłem go? Znaczący, czy on wciąż, no wiesz, atakuje, czy się rzuca?

– Nie, od tamtej nocy już nie. Wtedy przegryzł się przez mój but, ale go skopałem, więc jesteśmy kwita.

Bestia pojawiła się ponownie, jedną łapą obejmując olbrzymi kubek z colą. W dziobie trzymała zawiniętą słomkę. John pociągnął za słomkę, odwinął ją i wsadził w wieczko kubka. Perukowy potwór przyssał się do słomki i znów wziął do łapy kanapkę.

– A więc, czy wszyscy mogą go zobaczyć?

– Nie. Moja mama odwiedziła mnie miesiąc temu a toto siedziało na środku podłogi. Nie dostrzegła tego w ogóle. Ale słuchaj tego: tydzień później zostawiła u mnie kota, bo jechała na wakacje, a ten kot to widział. Syczał i prychał na niego cały czas. Potwór brał zwinięty papier i różne inne rzeczy i rzucał nimi w kota. Na drugi dzień kot zdechł, ale z innego powodu.

Powiedziałem:

– A więc w gazetach piszą, że wygraliśmy ćwierć miliona dolców. Co zrobiłem ze swoją działką? Kupiłem dom? Coś mi zostało?

– Bo ja wiem. Nie widzimy się teraz za często. To jest naprawdę pierwszy raz, kiedy gadamy od, och, może sierpnia. Ty i Jennifer, eee, no wiesz, nie za często wychodzicie z domu.

– Och. Ja... przykro mi, tak myślę.

– Nie. Zaufaj mi, w ogóle ci nie jest przykro – wskazał na telewizor. To jak, machniemy ze trzy tercje w hokeja?

Rozdział 7.

Arnie myśli, że David łąze jak pies

Przerwałem swą opowieść i zauważyłem do razu, że Arnie Blondestone gapi się na mnie szeroko rozwartymi oczami zdjęty niemałą grozą. Nie taką grozą, jaką odczuwa się, kiedy człowiek dowiaduje się, że wszechświat jest pełen potworów, ale taką, kiedy człowiek uświadamia sobie, że skretynienie rozmówcy właśnie doprowadziło do zmarnowania całego dnia. Zerknąłem w dół na dyktafon i zobaczyłem, że dawno temu już się wyłączył. Arnie potarł twarz dłońmi, jakby chciał się umyć bez wody.

– No co jest?

Popatrzył na mnie, zmuszając się uprzejmie do ukrycia swej głębokiej, czystej pogardy, ale się nie odezwał.

– Czy chce pan, eeeh, coś zjeść? Ja stawiam.

– Nie, dzięki – powiedział, krzywiąc twarz w boleśnie fałszywym uśmiechu. – Skończmy to i nie będę już panu zawracał głowy.

– Ech, no dobra.

– A teraz, tak dla porządku, dla uściślenia faktów, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Po pierwsze, potwierdźmy, że to jest rzeczona buteleczka na pigułki.

– O, tak. Teraz jest pusta.

– Ponieważ wziął pan ostatnią, eee, tabletkę sosu sojowego zanim pan tu przyszedł.

– Tak, właśnie.

– A więc nie ma pan już żadnej, żeby mi pokazać. Pokazać, że to coś pełza po stole i tak dalej.

– Och. Nie. Chyba powinienem zachować jedną do pokazania.

– Nie ma sprawy. Znaczy, byłby to namacalny dowód na poparcie pana opowieści, ale nie będziemy się przejmować takimi drobiazgami.

Gnojek. Powinienem mu wykroić nożem do masła ten uśmieszek z pyska.

– I, jak sądzę, zapomniał mi pan powiedzieć, że zabrał pan ten pojemnik z przyczepy? Ponieważ ma pan go teraz, ale pominął to pan w swojej opowieści. Rozumie pan, wtedy kiedy pański pies wjechał do środka i zabrał pana stamtąd. Ej, trzeba było mi coś jeszcze pokazać. Tego psakierowcę.

– Poszedłem później do przyczepy Roberta, odnalazłem pojemnik z pigułkami wśród zgliszczy. Był nietknięty.

– Oczywiście.

– Mogę panu pokazać, gdzie stała przyczepa, tak à propos. Znaczy, stoi tam już inna, ale jeśli przyjrzy się pan ziemi, to zobaczy, że coś się tam paliło. Możemy tam pojechać.

– Eee... dziękuję, ale nie. A co z tuzinem trupów rozczłonkowanych fanów Marconiego? Jestem zaskoczony, że media tego nie rozdmuchały, żeby tylu ludzi tak po prostu zniknęło?

– Między nami mówiąc, jest ku temu dobry powód...

– A kiedy mówił mi pan o tym, jak Jim ciągnął jeden wózek ze sprzętem dźwiękowym w Luxorze, a potem wspomniął o *dwóch* wózkach.

– Nie może pan uwierzyć w nic, co panu mówiłem?

– Poza tym w pańskiej historii płacze się pan w zeznaniach mówiąc, ile osób było z panem. W pewnym momencie powiedział pan: „Nasza piątka wraz z psem wcisnęła się do samochodu”, choć w tamtym momencie było was tylko czworo, jeśli dobrze liczę. Pan, pański przyjaciel John, Wielki Jim i ta dziewczyna, Lopez. Ale pewnie się panu coś pomieszało.

– Trudno mi jest to wyjaśnić...

– Pewnie już pan zapominał, że zabił pan Freda. Znaczący Freda Chu, faceta któremu odstrzelił pan głowę strzelbą.

Nie odpowiedziałem.

– A więc był taki facet o nazwisku Chu i naprawdę nie żyje? Mogę to sprawdzić?

– Oficjalnie jest zaginiony.

– Dobra. Jest tego jeszcze więcej, czy mogę się pakować? Ma pan jakieś dokumenty, które mógłbym skopiować, na przykład PIT za rok, w którym pański pies wygrał pieniądze w kasynie? Jaki druk trzeba do tego wypełnić dla skarbowki?

Wzięłem głęboki wdech i powiedziałem:

– Niech pan posłucha, nie wszystko w tej opowieści jest prawdziwe, ale główny trzon jest. Przysięgam. Przyznaję, że głupio się płaczę, kiedy trudno jest wyjaśnić prawdę. Tak już mam. Ale ci ludzie naprawdę zniknęli w Luxorze, Arnie. I mówię tu o zniknięciu bez śladu. A ten brodaty, co zgubił żonę? Wrócił później i powiedział, że jest kawalerem, ale wiesz co? Wcale nie był. Nie miał żony o imieniu Becky i na sali nie było żadnej innej Becky. Sprawdzili listę gości – znaleźli wszystkich.

– A więc nigdy jej tam nie było. Dobra.

– Mógłbyś przestać? Nie traktuj mnie protekcjonalnie, dobrze? Widziałeś perukowego potwora w moim wozie, w klatce. To było właśnie to, sam widziałeś.

– Widziałem coś. Widziałem to, co ty chciałeś, żebym zobaczył. Niektórzy ludzie mają talent do manipulacji, tyle wiem. Och, dobra, powiedziałeś, że te potwory ociekają sosem sojowym, tak? Możesz więc wyjść tam i przynieść trochę?

– Naprawdę chcesz tego spróbować?

– Nie. Nie chcę. Pozwoli pan, że zadam pytanie: czy przeprowadzali na panu jakieś testy psychologiczne po wypadku w szkole? Po tym, po którym został pan relegowany? A czy w raporcie, który napisano nie ma przypadkiem słowa „socjopata”?

Jęknąłem.

– Może nie skupiajmy się na mojej osobie. Ci ludzie w Vegas, ci którzy zniknęli? Oni nigdy nie istnieli, Amie. Nie, posłuchaj. Trudno jest to zrozumieć, ale w chwili, w której zostali wessani do tej czarnej dziury, czy co to tam było, przestali istnieć nie tylko tu i teraz. *Zostali też wymazani z przeszłości.* Dlatego właśnie w raportach nie ma nic na temat ich zaginięcia. W tamtej chwili było tak, jakby się w ogóle nie narodzili. Gdybym ja tam wpadł, mógłbyś przekonać się, że moja mama nigdy nie miała męskiego potomka o imieniu David i nie siedzielibyśmy tu teraz.

– Zakładając, że to prawda – co, tak nawiasem mówiąc, jestem zbyt trzeźwy, żeby zrobić – jak pan może to wszystko udowodnić?

Wzięłem głęboki wdech.

No i zaczęło się...

– Mam sny, Arnie. I w moich snach rozgrywa się cała ta historia z Luxoru, tylko że jest z nami jeszcze jeden gość. I wiem, jak się nazywa. Todd Brinkmeyer. Jest rok starszy ode mnie. Ma długie blond włosy. We śnie jest z nami, ciągnie drugi wózek ze sprzętem, jedzie z nami w furgonie. Ma drugą gitarę...

– Dobra, dobra, niech pan poczeka...

– Słyszałem, jak ona wymawia jego imię, Arnie. Słyszałem jak Jennifer krzyczy „Todd”, jasno i wyraźnie. I od tamtej chwili nie ma po nim śladu, został wessany do środka, wymazany z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, ze wspomnień wszystkich. Czasami popisują się taką mocą. Ale pewnego wieczora wraz z Johnem upiliśmy się naprawdę i zaczęliśmy sobie opowiadać historie Todda Brinkmeyera, prawdziwe historie, które się wydarzyły, ale nie miały miejsca. Przypomina mi się jego twarz i czasami ją widzę. To jak sen, którego nie jesteś sobie w stanie przypomnieć na drugi dzień rano. I raz za razem odtwarzam w myślach krok po kroku wszystkie wydarzenia, i są takie momenty, dziury, w których wiem, że powinien być Todd. Był tam i pomagał nam, Arnie. Walczył razem z nami. A mnie nawet nie wolno go pamiętać, opłakiwać jego śmierci. Jim przynajmniej miał pogrzeb. Ale Todd, nie mogę znaleźć jego zdjęcia w kronice klasowej. Jesteś w ogóle sobie w stanie wyobrazić, jak to jest?

Arnie westchnął i przez krótką chwilę miał naprawdę współczującą minę, że ktoś może śnić coś tak misternie smutnego. Powiedział:

– Obaj mamy jutro sporo zajęć. Czy jest coś jeszcze?

Udajesz znudzonego, Arnie, udajesz jakbyś był wiele mil ponad tym. Ale wciąż tu siedzisz, prawda? Wciąż słuchasz. Wiem, że masz swoje powody, ale ja ich nie znam. Bóg jeden wie, jak szybko bym stąd uciekał, będąc na twoim miejscu.

Powiedziałem:

– Musisz zrozumieć... Vegas to był dopiero początek.

Księga II

KORROK

Podczas sporządzania listy przedmiotów z Chevy Tahoe – chevroleta należącego do Wielkiego Jima Sullivana – znaleziono żółty notes. Na pierwszej stronie zapisano tekst zamieszczony poniżej. Najwyraźniej jest to pierwsza część niedokończony powieści zatytułowanej Jameson i Inwazja z X'aU'th'thu"thuuu". Nie odnaleziono innych fragmentów tego dzieła.

wyciągnęła ostrze w jego stronę i w świetle pochodni Jameson widział, że cechowała je niezwykle ostrość i ~~nawiedzały je duchy~~ nawiedzała je krew niezliczonych Ziemi. Jameson wpatrywał się w groźną piękność stojącą przed nim kobiety, jedno błękitne oko, którego nie skrywała przepaska lśniło niczym lśniący błękitny klejnot.

– Xorox – powiedział Jameson. – Powinienem być wiedzieć, że to ty. Mogłem wyczuć twoje zło zanim stanęłaś w drzwiach!

– Nie powinienes tak mówić, kiedy to ja trzymam to niezwykle ostre ostrze! ~~I to ty jesteś~~ Musnęła smukłym, ostrym jak brzytwa ostrzem po nagim udzie Jamesona. Ten napiął się w okowach krępujących go przy ścianie i zgrzytnął zębami z wściekłości.

– Wszechmocny kapitan Jameson – zakpiła Xorox – związany w moim lochu podczas gdy moje potężne armie szykują się do inwazji na Ziemię!

Nieznaczny ruchem delikatnego nadgarstka przecięła opaskę biodrową Jamesona, która spadła na ziemię. Jej oczy rozszerzyły się na widok wspaniałość nagiego, wyeksponowanego ciała Jamesona, jego wyeksponowanej potężnej niczym cielesny grom męskości.

– Potężne armie? – zapytał szydyczko Jameson. – Szlachtowałem większe armie w drodze na bitwę!

– Bezczelny psie! Przystawiła Jamesonowi ostrze do ~~kręć~~ pachwiny. – Gdybym nie potrzebowała twego nasienia do spenetrowania Ziemi, odciąłabym ci męskość i zawiesiła niczym trofeum nad moim tronem!

– Moje nasienie?

– Ha, ha, ha! Wciąż nie rozumiesz, psie! Z nasieniem twej męskości w moim łonie wyhodujemy rasę hybryd Ziemi i Gadów, której nie wykryją nawet wasze najbardziej czule Gadźczujniki! Ruszą między ludzi jako moi agenci i nawet oni będą wiedzieli, że mają być wierni tylko mnie! Aż w końcu uderzą! A teraz masz się ze mną kochać, albo zginiesz!

– ~~NIE!~~ Nigdy!

Jameson zebrał siły i uwolnił się z łańcuchów. Chwycił za nadgarstek Xorox swym żelaznym uściskiem prawej ręki i wyrwał go z jej ciała a krew trysnęła jak z fontanny. Następnie dźgnął Xorox w brzuch jej własną dłonią.

[wstawić tutaj tekst Jamesona]

Rozdział 8.

Plama na dywanie

Moje wspomnienia z tych kilku miesięcy po Vegas są mocno poszarpane. Wiem, że John zimą wylądował w pudle na dwa tygodnie. Chodziło o bijatykę o jakąś dziewczynę, czy coś takiego, nic wielkiego. Jennifer wyprowadziła się ode mnie na skutek sporej kłótni o coś tam, a następnie z powrotem się wprowadziła. Dach zaczął mi przeciekać, poznałem więc rozkosze bycia właścicielem, kiedy po jego zreperowaniu w mojej skrzynce pojawił się rachunek na tysiąc dolarów. Na urodziny pojechałem odwiedzić moich adoptowanych rodziców i jak zawsze czułem się trochę nieswojo. Ale to dobrzy ludzie. Urodzinowym prezentem od Johna była koperta pełna prażonej fasoli.

Nie rozmawialiśmy z Jen na temat Vegas. Nie mówiliśmy o Wielkim Jimie ani o tych wszystkich rzeczach, które widzieliśmy i zrobiliśmy w ciągu tych dwóch dziwnych dni. Dlatego właśnie Jen niezbyt dogadywała się z Johnem, jak myślę, bo John uwielbiał o tym mówić, kochał czytać o różnych duchach, innych wymiarach oraz demonicznych spiskach. Chłonał te rzeczy z netu i opowiadał nam o tym cały czas nad pustymi butelkami po piwie i zatłuszczonymi pudłami po pizzy. On mówił, a ona się wierciła, zwykle zmieniając temat. Najczęściej brałem jej stronę.

Ale i tak wyrobiłem sobie nawyk obserwacji, szukania obcych, białych owadów, śmigających na dworze, przypatrywania się cieniom, czy czasami nie przybierają formy mrocznych postaci, które widzieliśmy unoszące się z portalu Bóg raczy wiedzieć dokąd. Trzymałem wartę przed, cóż, praktycznie przed wszystkim. I od czasu do czasu coś widziałem. A może nie. Jakiś ciemny kształt prześlizgujący się za rogiem, odbicie dwojga gorejących niczym węgielki ślepi w oknie. Czy też w stanie częściowego porażenia między głębokim snem i pełnym przebudzeniem podczas wczesnych godzin rannych, kiedy światło jeszcze nie jest tak ostre. Nic, czemu można by zaufać, nic, o czym można z całą stanowczością powiedzieć, że się naprawdę widziało.

John zastał mnie samego pewnego wieczora – myślę, że było to kolejnej wiosny po Vegas i zapytał mnie wprost, czy widziałem coś dziwnego. Ponieważ, jak mówił, on widział. Cały czas, jak twierdził. Dostał posadę dozorczy w Sądzie w Anonimowym i jak mówił, widział starca kręcącego się po piwnicy, ducha – na wpół przeźroczystego, choć bardzo realnego i... „I był, stary. Stał tam, jak ceglana ściana. Znaczący, był niezwykle namacalny.”. John wymyślał też inne opowieści, mówiąc mi jak oglądał kiedyś mecz baseballa w telewizji i komentatorzy rzucali uwagi na temat tego, że trybuny są wypełnione tylko w połowie i że drużyna ma problemy ze sprzedażą biletów. „Ale stary, trybuny były pełne. Mówię ci Dave, ja widziałem jak każde miejsce jest zajęte i chyba siedzieli na nich nieumarli. Myślę, że widziałem tysiące ludzkich dusz, których nie widział nikt inny. Oglądali mecz. Czy to nie dziwaczne?”

Poniekąd powiedziałem mu prawdę. Powiedziałem, że nie widzę duchów, demonów czy ruchomych cieni ani niczego, co można by uznać za coś więcej niż tylko przywidzenie. Powiedziałem mu, że sos sojowy sprawił, że widzieliśmy to wszystko, a już minęło wiele miesięcy odkąd go przyjmowaliśmy, więc nie ważne było czym była ta substancja ani skąd pochodziła, bo z całą pewnością została już wypłukana z naszych organizmów. Zapadła niezręczna cisza, a John pozwolił by implikacja wynikająca z tego faktu zawisła w próżni. Nie ujawniając się ani nie mówiąc tego wprost, dawałem mu do zrozumienia, że moim zdaniem albo podpierdala na całego albo traci rozum.

Tydzień później znalazłem się w mieszkaniu Johna i przerzucałem magazyny, podczas gdy on siedział na kanapie i grał w jakąś grę. Zerknąłem na ekran i wyglądała na typową strzelankę, w której włączysz się korytarzami, wpatrzony w lufę swojej sploty i naparzasz do łotrów, rozrywając ich na strzępy w strugach cyfrowej krwi. Nigdy nie ciągnęło mnie do strzelanek.

– Wciąż masz ten pojemnik na kapsułki? – zapytał John, starając się mówić zupełnie obojętnie, jednocześnie waląc kciukami w panel kontrolny. – Powiedziałeś, że wróciłeś tam i znalazłeś to w zgliszczach przyczepy Roberta, prawda?

– Taa.

– Czy był tam jeszcze sos?

– Nie. W środku były dwie... kapsułki, tak myślę, i wtedy wziąłem je obie.

– Och.

Na ekranie John strzelał i zabijał jakąś demoniczną kreaturę, z której wypadło pudełeczko. Na ekranie pojawił się napis: MASZ PUDEŁKO AMUNICJI DO STRZELBY.

Dopiero później z pełnym zaskoczeniem i odrazą uświadomiłem sobie co John do mnie mówił – *wziąłby jeszcze raz ten pierdolony sos gdyby mi coś zostało.*

Od tego czasu zacząłem unikać Johna.

Jednak dość trudno jest unikać Johna. Pojawiał się w moim domu z konsolą do gier wideo pod pachą, dzwonił do mnie, żebym przyszedł pograć w kosza i wciąż pytał mnie, czy go unikam. Został „zredukowany” na posadzie dozorczy w sądzie i pytał mnie, czy nie mógłbym mu jeszcze raz załatwić pracy w Wally’s. Załatwiłem i zacząłem go widywać codziennie, czy mi się to podobało czy nie. Ale kiedy próbował poruszyć choćby mimochodem jakąś upiorną kwestię, robiłem to, co Jen – zmieniałem temat.

I wtedy, pewnego dnia w Taco Bell zobaczyłem tę starą kobietę, jak siedziała dwa stoliki dalej od Johna, Jen i mnie. Staruszka nie jadła niczego. Po prostu siedziała z rękami założonymi na torebce spoczywającej jej na kolanach.

Do środka weszła czteroosobowa grupka studentów z jakiegoś bractwa studenckiego i usiadła przy stoliku staruszki, jakby jej tam w ogóle nie było, a jeden z nich siedział wprost na niej. *Przechodził przez nią.* Wgryzał się w Burrito Supreme z łokciem staruszki wystającym przez cały czas z jego tułowia. W końcu odsunęła się od niego i przeszła z godnością – dosłownie – przez szklane drzwi.

Wszyscy utkwiliśmy w niej wzrok, nawet Jen. Nie było co udawać, że nic nie widzimy i wszyscy się na nią gapiliśmy. Była niczym Godzilla w centrum miasta, donośne pierdnięcie w ciasnej windzie. Zaprzeczanie byłoby idiotyzmem. Dokończyliśmy posiłek, wyszliśmy z restauracji, wsiedliśmy do mojego samochodu, a Jen zakryła twarz dłonią i zaczęła płakać. John miał na twarzy ową zadowoloną z siebie minę, że chciałem go od razu walnąć na odlew. Wiedział jednak, że nie powinien się odzywać.

Postanowiłem z miejsca, że przetrzymam to – że jeśli trzeba, będę ignorować takie widoki przez resztę swego życia.

Oczywiście myliłem się.

Latem John znalazł artykuł w sieci na temat pewnej kobiety z sąsiedniego stanu, która utrzymywała, że na jej dywanie, w jednym miejscu wciąż pojawiają się krwawe plamy. Wymienili dywan. Plamy wróciły. Nakręcili wszystko kamerą.

John powiedział mi o tym, ale go olałem. Następnie upił mnie i znów opowiedział mi o tym, a ja nagle byłem zafascynowany. Zadzwoniliśmy do tej kobiety, powiedzieliśmy, że jesteśmy ekspertami w dziedzinie nowych technologii czyszczenia dywanów i zapytaliśmy, czy możemy przyjechać i przyjrzeć się temu. I tak, powodowani pojedynczym impulsem pijackiej ciekawości, poświęciliśmy całą sobotę jadąc przez siedem godzin na spotkanie plamy na magicznym dywanie.

Kiedy tylko zajechaliśmy przed dom, usłyszeliśmy krzyki dobiegające z wnętrza. Zaczęliśmy walić do drzwi i powitała nas sześciolatka z kubkiem dla maluchów w ręku. Weszliśmy do środka i zobaczyliśmy rodziców oglądających rozdanie jakichś nagród w telewizji, gdy tymczasem na środku pokoju leżał wrzeszczący facet, z którego krocza wypływała karmazynowa strużka plamiąca dywan pod nim. Matka, miła, ociągała kobieta po czterdziestce, wskazała na wrzeszczącego faceta i powiedziała:

– To ta plama.

Powiedzieliśmy jej, że musimy zabrać środki z samochodu i odjechaliśmy. Zaczęliśmy poszukiwania w miejscowej bibliotece – czyli John szukał, a ja zwinąłem się w wozie i spałem – i odnaleźliśmy zdarzenie sprzed kilku lat, kiedy to pewien mężczyzna zmarł po tym, jak jego penis dostał się do sprężynowej pułapki na krety, nad którą pracował. Wykrwawił się na śmierć. Wróciliśmy do domu na drugi dzień i poprosiliśmy rodzinę, by opuściła pokój. Staraliśmy się pogadać z krwawiącym.

Powiedzieliśmy mu, że to już nie jest jego dom, że jego żona sprzedała go i że z za grobu plami nowym właścicielom dywan. Nie reagował na nas, tylko dał się i miotał, ściskając się za krocze. Ale po godzinie zadreżnienia go, po prostu zniknął. Tam, skąd przyszedł. Plama zniknęła.

Rodzina od dywanu była pod takim wrażeniem, że najwyraźniej rozpowiedziała o tym wszystkim. Do tego wiedzieli, że plama nie zniknęła za sprawą jakiegoś magicznego detergentu.

Po tym zdarzeniu dostaliśmy z tuzin telefonów i maili, w których proszono nas, byśmy przyjechali sprawdzić inne zjawiska. Stwierdziliśmy że tylko jedna sprawa była warta sprawdzenia, ponieważ wspomniano w niej o „ludziach cienia”, ale okazało się, że to ścierna, bo jakiś studencik miał galopującą schizofrenię. W gruncie rzeczy z kontaktów, jakie nawiązaliśmy w ciągu trzech miesięcy, tylko jeden wiązał się ze sprawą nawiedzenia i chodziło o Franka Campo, faceta z zapajęczonym samochodem. Pomogliśmy mu przekonując, że nie zwariował, że groza, którą widział, była prawdziwa. Zdawał się być tym dziwnie podniesiony na duchu. Był prawnikiem.

Reszta to chłam, przerażone, samotne paniusie i ludzie szukający poklasku, którzy uważali, że lepiej być wariatem niż przejść przez życie niezauważonym.

Ale John i ja widzieliśmy różne rzeczy. O tak. Wystarczyło się przejść, po prostu żyć, i rzeczy się pojawiały. Najwyraźniej mieliśmy do tego dryg, pozwalający spojrzeć tam gdzie trzeba. Przypominało to skupienie wzroku na brudzie na szybie, zamiast na drodze za nią.

Obudziłem się pewnego poranka i zobaczyłem cztery pary wielkich oczu, zerkających znad mojej kołdry, o kilka cali od mojej twarzy. Karły, stojące w rzędzie przy łóżku, miały gałki oczne trzy razy większe niż powinny. Zamrugąłem. Zniknęli. Nie powiedziałem Jennifer. O niczym takim jej nie mówiłem. Powtarzałem sobie, że to tylko kolejna rzecz, do której powinienem się przyzwyczaić. Na tym polega życie. Na dostosowaniu.

I wtedy, jesienią wszystko runęło w diabły.

Rozdział 9.

Proroctwo smażonej kiełbaski

To oczy Ronalda McDonalda mnie prześladowały.

Zachciało mi się smażonej kiełbaski i poszedłem do jednego z czterech McDonalldów w Anonimowym (jeśli myślicie, że to dziwne, żeby iść na smażoną kiełbaskę do McDonalda, to pewnie nie byliście na Środkowym Zachodzie). Zerknąłem na logo w kształcie klauna na szybie i wydałem z siebie okrzyk.

Krótki i do tego męski okrzyk. Ale i tak przestraszyłem jakąś małą dziewczynkę na chodniku – tak bardzo, że i ona krzyknęła.

Nie mogłem nic na to poradzić. Był to jeden z tych plastikowych, przyczepianych za pomocą elektrostatyki znaków, które przytyka się do szyby od środka tak, że rysunek wdać od zewnątrz przez szkło. Burza rudych włosów, czerwone buty rozmiar sześćdziesiąt, żółty strój i no ten...

Sięgnąłem do szyby i musnąłem palcami szkło.

Jest tak doskonale narysowany, pomyślałem. Tak żywy.

Inni spóźnieni klienci przechodzili obok mnie i rzucali pospieszne, ukradkowe spojrzenia w moją stronę, spoglądając na wariata z kilkunastu centymetrowym zarostem i zmierzwionymi, ciemnymi włosami. Ale oni nie widzieli tego co ja, tego byłem pewien.

Nie, wdzieli zadowolonego klauna z rozpostartymi ramionami, z jedną nogą zgiętą pod kątem czterdziestu pięciu stopni z uniesionym do góry błazeńskim butem, wielkim uśmiechem na jego czerwono-białej twarzy, witającego klientów w tej wytwórni pożywienia. Pamiętałem go z setki odwiedzin w tym przybytku.

Wtedy jednak zobaczyłem klauna stojącego z rozprutym, poszarpanym brzuchem jakby ktoś ciachnął go tępą, przemysłową kralnicą. Był – jak by tu delikatnie powiedzieć? Na idealnie odwzorowanym rysunku, własnymi, odzianymi w białe rękawiczki dłońmi, wyciągał sznur własnych wnętrzności i wkładał je sobie do ust.

Ze szczegółami. Tak. To był bardzo szczegółowy rysunek.

Ale to oczy były najbardziej fascynujące. Jego wyraziste, komiksowe oczy pulsowały grozą, która przechodziła w szaleństwo. Łzy ciekły mu po twarzy, na czole pojawiały się krople potu. Te oczy patrzyły na mnie błagalnie, spoglądały wprost w moje i aż krzyczały, by ulżyć jego cierpieniom. W tych oczach była historia nie tylko człowieka, który sam siebie pożera, ale człowieka, który jest zmuszany, by się zjadać.

I tylko ja to widziałem.

Zamknąłem oczy i spojrzałem ponownie. Wciąż tam był. Nie falował jak miraż na pustyni albo plama w kącie oka. Przywierał do okna w swym beczelnym jestestwie, realny aż po plastikowe rogi reklamy, odlepiające się od szyby.

Odwrociłem się, starając się oczyścić umysł i skoncentrować. Z powrotem odwróciłem się do obrazu. Jest. Przez ułamek sekundy dostrzegłem normalne logo, które widzieli wszyscy inni. Szczęśliwego firmowego klauna. Później obraz rozmazał się, ukazując znów zmienioną wersję. Tym razem z napisem.

Zwyczajowe MCDONALD'S – I'M LOVIN' IT! zostało zastąpione przez płataninę wariackich, czerwonych liter układających się w napis:

MCWONGALD'S – GÓWNIANY LUNCH PANI KUPY

Niektórzy zaczęliby w takim momencie kwestionować swoją poczytalność, ale w tej chwili część mojego umysłu, która wieszczyła chorobę psychiczną, topiła się już z przepracowania. Wróciłem do samochodu i przez kilka godzin jeździłem po mieście – mój apetyt rozplynął się bez śladu.

Było tam, kurwa, moje nazwisko. *McWongald's*. Co jest do chuja?

Nawiedzają umysły.

Ktoś z tej drugiej strony próbował coś do mnie powiedzieć. Wyobraziłem sobie unoszące się nad ziemią czarne postacie i oczy przypominające żar z papierosa. Wyobraziłem sobie pojedyncze, błękitne oko w całkowitych ciemnościach. Poczuję mdłości.

Moja trasa wokół miasta w końcu zawiodła mnie pod mieszkanie Johna, więc władowałem mu się na chatę bez pardonu. Opowiedziałem mu o *McWongald's*, mając cichą nadzieję, że powie coś w stylu: „A to dopiero popierdolona historia” i zacznie wyłuskiwać dwa piloty ze swoich rozlicznych konsoli. Ale on powiedział:

– Wstawaj.

Wstałem i uświadomiłem sobie, że siedziałem na trzech kartonowych pudłach. Otworzył jedno z nich i zobaczyłem, że jest wypełnione książkami w twardej oprawie.

– Zaraz, co ty tu trzymasz?

– Książkę doktora Marconiego.

– Masz sto pięćdziesiąt egzemplarzy?

– No jasne. Nie pamiętasz? W Vegas wychodziliśmy z kasyna od zaplecza i Marconi napomknął coś, że powinniśmy przeczytać jego książkę. Ty miałeś wypisane na twarzy „pierdol się staruchu”, ale ja powiedziałem, że czemu by nie. Złapałem więc za wózek i wytoczyłem cały zapas. Patrzyłem na niego oziębłe przez cały czas, kiedy wyjeżdżałem z nimi tyłem przez drzwi. Czekałem tylko, aż mnie skurwiel zatrzyma.

– Dlaczego?

– Były za darmo, Dave. Nieważne, pisze coś tutaj o... – John kartkował egzemplarz. – To jest gdzieś na początku, teraz tego nie widzę... może to była inna książka... Tak czy inaczej pisze, że kiedy się czyta Biblię, z jej kart patrzy na ciebie diabeł.

– Ze niby co, Biblia jest nawiedzona? Jasna dupa, musiał być najgorszym księdzem pod słońcem.

– Nie. Pisze, że jak masz do czynienia z istotami nadprzyrodzonymi wszelkiego rodzaju, z Bogiem, diabłami, z aniołami, to myślisz o nich w kategoriach huraganów czy trzęsień ziemi, jakichś bezrozumnych sił natury. Ale jeśli istnieją naprawdę, to muszą mieć umysł. Wiedzą, jak masz, na imię. Tak więc nawet czytanie o diable jest dla niego sygnałem, bo od razu wie, że o nim czytają i że jesteś osobą, z którą będzie miał do czynienia. I myślę sobie, że to, co zrobiłeś w Vegas, wykroczyło poza zwykłe ramy kontaktu, bardzo mocno wykroczyło.

– Co? Ja zrobiłem? A co się stało z „my zrobiliśmy”? Obaj tam byliśmy.

– Jasne, ale ja od tego czasu przyciąłem włosy. Myślę sobie pewnie, że jestem zupełnie kimś innym.

Zamknąłem oczy i padłem na kanapę Johna. Powiedziałem:

– A ten potwór. Ten perukowy potwór. Pojawia się jeszcze?

– Nie. Nie widziałem go od wielu miesięcy. Oprócz tego, że jakieś trzy tygodnie temu, kiedy jadłem corn doga, drań się pojawił, wyszarpnął mi go z ręki i znów zniknął. Od tego czasu go nie widziałem.

– Dość już tego. Dobrze? Dość gonienia za tym badziewiem. John, oni rozbili obóz w mojej głowie. To zaszło za daleko.

John powiedział bezgłośnie:

– Dobra – ale jego oczy mówiły: *A myślałeś sobie, że możesz tak po prostu sobie odejść?*

– Zamówmy lepiej pizzę.

Pizza smakowała jak zgniłe jaja. Tylko według mnie, nie według Johna. Przez resztę tygodnia każdy z moich posiłków smakował jak formalina albo rozpuszczalnik do farb. Uzmysłowiłem sobie, że pogrywają ze mną. Naciskają różne guziki w moim mózgu na chybił trafił. Kiedy się tym znudzili, zajęli się innymi zmysłami. Słyszałem swoje imię, kiedy zapadałem w sen, jakby ktoś wypowiadał je tuż przy moim uchu. Raz za razem.

Molly zaczęła być niespokojna i warczała często na coś w ciemnościach, kręcąc się wokół łóżka przez całą noc, jakby stała na straży. Pewnego dnia obudziła mnie wcześniej rano, wypychając mi

wilgotny nos w zgięciu łokcia. Wypuściłem ją na dwór, a ona puściła się biegiem ulicą. Nawet się nie obejrzała.

Niedługo po tym, oni – kimkolwiek byli ci „oni” – spróbowali czegoś nowego. Zajęli się radiem. Słyszałem całe pozmieniane nagrania, ich pojechane wersje. Słyszałem taneczną, błahą melodyjkę z tekstami o więziennych gwałtach, kazirodztwie, a raz wersję „Stairway to Heaven” z moim nazwiskiem w środku. Ta nowa wersja, która wylewała się z głośników w centrum handlowym (choć oczywiście tylko ja ją słyszałem) była listą moich wszystkich chronicznych grzechów i wad, muzyczną wyliczanką powodów, dla których ja, David Wong, jestem skazany na piekło. Przyznaję, wałnęło mnie to. Pomimo tego, że nowa wersja „Schodów” nawet się nie rymowała. Co może się rymować ze słowem „masturbacja”?

Z wolna uświadamiałem sobie, że te istoty cienia miały rubaszne poczucie humoru czternastolatka.

Wtedy właśnie zaczęło się rozpadać między mną i Jen. W gruncie rzeczy, jak sądzę, cały nasz związek był jednym wielkim procesem powolnego rozkładu. Wiedziała, że coś jest nie tak, głównie dlatego, że w domu pojawiło się mnóstwo rockowych ballad z lat osiemdziesiątych, więcej niż zwykle. Wierciła mi dziurę w brzuchu, aż wyznałem jej prawdę, mówiąc co się dzieje.

Pokiwała głową i powiedziała, że rozumie, a następnie pojechała do domu swej koleżanki Amber, pozornie by pomóc jej z nowonarodzonym dzieckiem. Zabrała jednak prawie wszystkie swoje ciuchy i nie wróciła na noc. Siedziałem w domu zdjęty depresją i myślałem, jak to jest wracać co wieczór do pustego mieszkania, nie mając do kogo ust otworzyć. Nawet nie mając towarzystwa Molly.

Kilka tygodni później, pewnego wieczora, jechałem do domu z pracy z jedną myślą krążącą mi pod czaszką – pójde do sklepu, kupię sobie ciasto i zjem je całe. Na jedno posiedzenie. Całe ciasto.

W radio leciała nadprzyrodzona wersja przeróbki jakiegoś kawałka Duran Duran w wykonaniu innej, podobnie brzmiącej kapeli. Tego z powtarzającym się słowem „Afryka” w refrenie, a ta wersja była rasistowskim atakiem wymierzonym w czarnych. Starłem się wyłączyć, skupiając się na czymś innym. Kapela nazywała się Toto.

Zadzwoiła komórka.

Zaskoczony, jak zwykle, że nie wyłączyłem dzwoniącego telefonu z wnętrza kurtki. Na wyświetlaczu pojawiło się imię Johna. Wdusiłem przycisk i powiedziałem:

– Nie.

– Dave, dobrze że cię złapałem. Właśnie dzwonił do mnie wujek. Prosił nas, żebyśmy się zajęli pewną sprawą. Jako konsultanci.

– Twój wujek? Ten tancerz erotyczny? Konkretnie na czym ma polegać owa „konsultacja”?

– Nie, nie. Wujek Drake. Gliniarz. Mają jakieś dziwactwo i chcą, żebyśmy się temu przyjrzeni. Miejsce przestępstwa to Zachodnia Dwudziesta Trzecia numer osiemset osiemnaście. Przy centrum handlowym.

Zastanowiło mnie to. Gliniarze dzwoniли do nas? Co, złapali ducha i chcą, żebyśmy mu się przypatrzyli? Za co oni nas mają, za pierdolonego Scooby-Doo?

– Nie. Rozmawialiśmy już o tym. Jadę do domu zjeść ciasto.

– Zdaje się, że znaleźli Molly.

– Co takiego?

Molly? Co, znów ukradła samochód?

– Przyjedź po mnie. To na razie.

– Nigdzie nie jadę. John, ja...

Gadałem do zdechłego telefonu.

Zakląłem i potarłem czoło. Z radia płynęły plugastwa w idealnej harmonii popu lat osiemdziesiątych.

Odeślijmy ich stąd ciup asem do AAAAfrykiiii...

Sięgnąłem do wyłącznika, ale radio było już wyłączone.

No i proszę, kurwa jego mać, bardzo.

Zabrałem Johna spod jego domu, ponieważ okazało się, że jego nadprzyrodzone moce nie są w stanie nic wskórać w starciu z bankiem, który zajął jego motocykl.

Skręciliśmy w Dwudziestą Trzecią, rząd idealnych, nowych domów z modnymi deskowaniami zewnętrznymi w kolorze kawy z mlekiem i błyszczącymi furgonami na każdym podjeździe. Odnalezienie właściwego domu było prostą sprawą – był to ten z migoczącymi, obracającymi się policyjnymi kogutami z przodu. Liczne radiowozy sprawiały, że miejsce wyglądało, jakby wylądował tu statek kosmiczny z „Bliskich Spotkań Trzeciego Stopnia”.

Jeden facet powie nam, że mamy zawrócić i zrobimy to, pomyślałem, kiedy zaparkowaliśmy przecnicę dalej od tego całego zamieszania. Jeden z tych tutaj robi „buuuu” i odjeżdżamy, żeby nigdy tu nie wrócić.

Minęliśmy niebieskiego jeepa na podjeździe. Na jego tablicy rejestracyjnej widniało STRMQQ1. John zaczął się jej przyglądać, marszcząc nieznacznie czoło. Na trawniku przed domem stało czterech gliniarzy o wyglądzie niezdecydowanych, jakby każdy z nich potrzebował teraz towarzystwa uzbrojonego kolegi. Cztery pary oczu spoglądały teraz na nas.

– Już w porządku – powiedział do nich John. – Już jesteśmy.

Każdego z nich z osobna wkurzyło to nie na żarty, widziałem wyraźnie, i jedynie pojawienie się wuja Johna, Drake’a, oszczędziło nam konfrontacji z tymi facetami, którzy najwyraźniej nie mieli pojęcia kim byliśmy. Drake to duży facet w mundurze rozciągniętym i wybrzuszonym na dole. Nosi nierównego wąsa, którego moim zdaniem zapuścił, żeby ukryć bliznę na górnej wardze.

– Hej, Johnny. Naprawdę dziękuję ci, że się zjawiał tak na gorąco.

Uściskał prawicę Johna mocno, po męsku.

– A więc co się dzieje?

– Czy wiesz do kogo, ech, do kogo należy ten dom?

– Do Stroma Cuzewona? – zaryzykował John.

Drake zamilkł na chwilę, zdezorientowany.

– Ee, nie, do Kena Phillipe, faceta od prognozy pogody z Kanału 5.

– Och – powiedział John wyraźnie zawiedziony.

Spojrzałem jeszcze raz na tablicę rejestracyjną – STRMQQ1.

– Duże litery Q mają udawać oczy – poinformowałem Johna. – Tablica informuje, że wóz należy do Obserwatora Burzy.

John popatrzył na tablicę, potem na mnie, potem znów na tablicę. Po raz pierwszy zauważyłem, że ktoś wybił szybę w wielkim, wykuszowym oknie salonu i zasłony poruszały się na wietrze. W końcu John stwierdził:

– A więc ktoś zabił pana pogodynkę?

Drake mruknął:

– Tak jakby. Najbardziej pokręcona rzecz na świecie.

– Śmiem wątpić.

– Nie wchodziliśmy jeszcze do środka. Jest tam ten pies. – Do mnie powiedział: – Naszemu Johnowi wydawało się, że to twój.

Nie byłem w stanie niczego zobaczyć przez zasłony w oknie, więc podszedłem do frontowych drzwi i zerknąłem przez ozdobne okienko do salonu. Na wypchanej do granic możliwości skórzanej sofie siedziała dziewczyna, może o parę lat młodsza ode mnie, z aksamitnymi, kasztanowymi włosami związanymi w koński ogon. Drobne kosmyki spadały jej na czoło tuż nad przepięknymi, migdałowymi oczami. Miała na sobie szorty z odciętymi nogawkami, z których wystawały dwie, najbardziej doskonałe, opalone nogi jakie w życiu widziałem. Poczujęm jak moja dłoń instynktownie wędruje w górę, by poprawić włosy i nagle stałem się straszliwie świadom wszystkich moich ułomności. Każdej uncji tłuszczu i nawet małej blizny na policzku.

Gdybym tak wyglądał, to też nosiłbym szorty, nawet w październiku. Rzuciłbym pracę i siedział całym dniami w domu delikatnie pieszcząc swoje ciało. Czy ja się dzisiaj goliłem?

Na podłodze obok kanapy leżało zakrwawione ciało.

– To ten facet od pogody? – spytałem.

– Taaa – potwierdził Drake.

– Widzieliście dziewczynę siedzącą na kanapie?
– Słuchaj kolego, mówiłem ci, że staraliśmy się wejść do środka, ale ten pies...
– Nie kpię, po prostu chciałem wiedzieć, czyją widzieliście.
– To Krissy Lovelace, jego sąsiadka. Siedzi tak, odkąd tu przyjechaliśmy, zupełnie bez ruchu. Staraliśmy się nawet dać jej jakiś sygnał, ale nie reaguje. Jakby miała jakąś zaćmę.

– A więc to ona go zabiła?
– Nie, facet ma rozerwane gardło. Przez psa. Wciąż tam jest. W tym sęk. Za każdym razem, kiedy próbujemy wejść, pies...

– Cholera – przerwałem mu. – Bardzo niedobrze, że nie ma w mieście specjalnej służby, no wie pan, weterynaryjnej. Zaraz, chwileczkę. Przecież mamy. Nazywa się Służba Weterynaryjna. Dać panu numer?

– Momencik – wtrącił się John. – Mówisz, że to sprawka Molly? – odwrócił się do mnie. – Dave, siedzieliśmy i dźgaliśmy Molly kijkiem. Dokładnie po dwudziestu trzech minutach po raz pierwszy w ogóle zawarczała. Nie mogła tego zrobić człowiekowi.

– Nie – odezwał się Drake. – Wciąż nie rozumiesz. Moi ludzie nawet nie wchodzą do środka i nie mam o to do nich pretensji. Tam jest jakaś... siła nieczysta.

Znów zerknąłem do wnętrza.

– Cóż, psa nie widzę. I nie rozumiem dlaczego nie mielibyśmy po prostu...

Molly pojawiła się w polu widzenia. To była ona, z rdzawą sierścią irlandzkiego retrievera, czy jaka tam to była rasa, obecnie wykąpana i wyczesana do stanu bliskiego ideałowi. Nowa właścicielka najwyraźniej dbała o nią lepiej niż ja. Połączenie tej dziewczyny i tego psa mogło zapewnić niezły chleb w branży towarów kynologicznych.

Jedynie, co się w Molly zmieniło, to krew na pysku i fakt, że unosiła się o kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią.

Kiedy się poruszała, robiła to na sztywnych łapach, sunąc wolno przez pokój jakby na jakichś szynach czy niewidocznych, zawieszonych w powietrzu linkach. Kiedy znalazła się przy drzwiach, odwróciła łeb w moją stronę i powiedziała wyraźnym, choć gardłowym głosem:

– Korrok jest mym jedynym panem.

Molly wciąż sunęła przez pokój niczym włochaty sterowiec.

No. I. Znowu. Się. Zaczęło.

Odwróciłem się od drzwi. John miał minę, jakby dla niego była to rutyna. A, tak, sytuacja z kwitującym psem. Mamy odpowiednie przyrządy w wozie.

Drake powiedział:

– Sąsiadka wszystko widziała. Powiedziała, że Krissy po prostu prowadziła psa i ten nagle się rzucił. Cholerstwo zerwało smycz i popędziło przez trawnik, jak wystrzelone z działa. Wskoczyło przez szybę w oknie. Mówiła, że pies podskoczył i rozerwał grdykę Phillipe'a w ułamku sekundy. Chyba pani Lovelace pobiegła za psem do środka, zaczęła coś krzyczeć i potem po prostu się wyłączyła. Za dużo tego było, jak dla niej. Sam miałem na to ochotę. Ale bez krzyczenia.

Powiedziałem:

– Zaraz. Czy słyszał pan, co powiedział ten pies?

– Powiedział? Zaszczekał...

– Aha, dobra. A kiedy patrzy pan teraz na psa, to czy on...

– Unosi się kilkanaście centymetrów nad ziemią.

Pomyślelibyście, że fakt, iż inni ludzie widzą to dziwactwo, był dla mnie pocieszeniem? Wcale nie. Oznaczało to, że zasady się już zmieniły.

– John i ja musimy zamienić słówko o tym wszystkim. My, no tego, zaraz wrócimy.

Idąc do samochodu, powiedziałem:

– Odjeżdżamy stąd tak szybko, jak nam technika pozwoli. Prosto do działu z ciastem w spożywczym.

– Dave, ci wszyscy faceci ją widzieli. Wszyscy gliniarze. Widzieli jak lewituje po pokoju i odpieprzą różne nadnaturalne numery. To coś nowego.

– To ma być coś nowego? Dlaczego ona w ogóle lewituje, John?

– To pewnie przez sos, no nie? Dostała go więcej niż każdy z nas. Zawsze mnie zastanawiało, że przeżyła. Może, no wiesz, w końcu ją dopadli.

– Po tak długim czasie? To zupełnie się kupy nie trzyma.

– Słyszałeś, co powiedziała?

– Powiedziała „Korrok jest mym jedynym panem”.

Kiedy wymawiałem to nic dla mnie nieznaczące słowo, poczułem jak włosy stają mi dęba i nie byłem w stanie dociec dlaczego. Mój umysł już prawie połączył wszystkie elementy, ale nagle i gwałtownie odskoczył od tego na tyle bezwzględnie, że strumień myśli wyfrunął mi przez ucho.

– Pewien jesteś? – zapytał John. – Wydawało mi się, że powiedziała „Rock jest mym jedynym panem” i z tym byłbym skłonny się zgodzić.

– John, nieważne.

– A więc kto to, ten Korrok?

– Nie mam pojęcia.

I utrzymywanie tego stanu będzie kosztowało sporo nadgodzin pracy mego gruczołu negacji w mózgu.

– Wciąż masz te miętówki w samochodzie?

– Nie wiem, chyba mam.

John poszperał w schowku i wyciągnął niewielką tubkę dropsów, które ktoś mi niedawno przysłał. Różni wariaci ślą mi różne rzeczy. Większość z nich wrzucam na półkę w szopie i zapominam o nich.

Wróciliśmy do frontowych drzwi domu, a ja wytrząsnąłem jeden z cukierków na dłoń. Bardzo wolno przekręciłem gałkę w drzwiach i pchnąłem je tylko tak, żeby przeszła moja głowa i ręka.

Molly, Pies-Poduszkowiec, znajdowała się jakieś trzy metry ode mnie, za kanapą ze swą niezwykle seksowną nową właścicielką. Wyciągnąłem cukierek na dłoń, co od razu zwróciło uwagę Molly.

Rzuciłem smakołyk na podłogę i wycofałem się pospiesznie. Molly podpłynęła, zatrzymując się nad nim, skręciła w powietrzu tak, że jej pysk znalazł się nad białym kąskiem. Podrzuciła go w górę.

Przez chwilę nic. John już miał rzucić jak zwykle krzepiące „nie działa”, ale nagle rozległ się wilgotny, rozdzierający odgłos: TRAAAAACH. Molly eksplodowała niczym mięsna piñata na przyjęciu urodzinowym dla bardzo silnych, niewidzialnych dzieci.

Dwóch policjantów za nami zakrzyknęło radośnie. Drake podszedł do nas.

– Co to było, do diabła?

John odpowiedział za mnie:

– To były Testamiętówki. Małe dropsy z wrytymi na nich wersami z Biblii. Można je dostać w księgarniach z dewocjonaliami. Mieliliśmy nadzieję, że tylko wygna z niej zło, ale... – John wzruszył ramionami jak zawodowiec. *Czasami coś się przydarzy.*

Drake powiedział:

– Dobrze. A teraz ustalmy jedno. Po dzisiejszym dniu nie życzę sobie słyszeć o tym, co tu zaszło. Zaprotookolujemy to jako wypadek z groźnym psem. Ktoś przyjedzie później, by wszystko uprzątnąć, odbędzie się pogrzeb i wszyscy ci funkcjonariusze wrócą do domu, do swoich żon i będą starali się zachowywać, jakby świat wcale nie zwariował.

Powiedziałem:

– Jasne, tak pewnie będzie najlepiej...

Drake odwrócił gwałtownie głowę w moją stronę.

– Zamknij się. Nie skończyłem jeszcze – spojrzał znów na Johna. Tak między nami, to muszę się dowiedzieć. To był twój pies, czy tak?

– Cóż, właściwie pies Dave’a. Ale ona miała wielu właścicieli...

– Ej! *Popatrz tam.* Nie żyje. Rozumiesz mnie? Teraz ty i ja wiemy co nieco o sprawach... w naszym otoczeniu. W naszym mieście. Zawsze tak było. Mój tato nosił mundur przede mną i opowiadał mi różne rzeczy. Ale ja nigdy nie widziałem czegoś takiego.

John uniósł ręce w obronnym geście i powiedział:

– My też nie.

– Ale ostatnio zaczęło się robić naprawdę dziwnie, byliście tu. Na imprezie, gdzie zginęły te wszystkie smarki, kiedy detektyw wyjechał z miasta i nie wrócił. Więc nie pogrywajcie sobie ze mną. Jeśli coś wiecie, to mówcie. Powiedzcie mi, żebym był na to przygotowany.

John powiedział:

– Nie znamy sytuacji. Jeszcze nie – przy słowie „jeszcze” miałem ochotę walnąć go w nery. – Ale pozwólcie nam spróbować z dziewczyną – wszyscy spojrzeliśmy w stronę Krissy, która wciąż tkwiła na sofie w bezruchu – zanim dotrze tu psychiatra czy inny fachman od rebootowania takich jak ona.

Drake spojrzął z góry na Johna, ale postanowił zaryzykować.

– Macie dwie minuty.

– Wspaniale. – John przeszedł przez drzwi frontowe. Drake wyciągnął rękę i chwycił go za łokieć.

– Ej.

– No?

– Czy to jest koniec świata?

Powiedział to z taką obezwładniającą szczerością, jak mężczyzna w średnim wieku pytający lekarza, czy to rak. Myślałem, że się zesram ze strachu, kiedy to usłyszałem.

John powiedział:

– Zawiadomimy cię, jak się dowiemy.

John podszedł do kanapy, ale ja nie mogłem się opanować i zatrzymałem się przy dwumetrowym okręgu psiej papki.

Znalazłem obrożę Molly obok łba. Poplamiony krwią numerek:

Jestem Molly

Proszę oddać mnie...

– Żegnaj Molly – mruknąłem. – Ze wszystkich znanych mi psów, ty byłaś najlepszym kierowcą.

Zanim się odwróciłem w drugą stronę, zauważyłem coś jeszcze. Ze sterty psiej salsy sterczała w górę jedna z łap. Na stopie, na opuszkach, gdzie ludzie mają dłoń, znajdował się jakiś znak, niby tatuaż.

Był to niewielki, czarny symbol, coś na kształt matematycznego symbolu liczby pi. Pokazałem to Johnowi, który zaproponował, by zabrać odciętą łapę do dalszych badań. Zawyrokowałem, że to nic ważnego. Może jakiś znak hodowcy, nie miałem pojęcia. Nie zauważyłem tego wcześniej, ale jak często ludzie patrzą na psie stopy?

Krissy Lovelace nie chciała nawiązać z nami kontaktu wzrokowego i nie reagowała na nasze głosy, ale udało się nam podnieść ją z kanapy i wyprowadzić na zewnątrz. Zabraliśmy ją na podwórze z tyłu domu, karmiąc ogólnikowymi, kojącymi słowami przez całą drogę.

Kiedy zeszliliśmy gliniarzom z pola widzenia, John położył dłonie na ramionach Krissy i odwrócił ją w swoją stronę. Uniósł dymiącego papierosa.

– Słyszysz mnie pani? Widzi to pani? Niech pani zacznie mówić, albo zaraz panią przypalę.

Żadnej reakcji.

– Psze pani – włączyłem się. – Na pani miejscu zrobiłbym, co mówi. Jestem dobrym, rozsądnym facetem, ale mój przyjaciel? To dzikus. I jak zacznie, trudno go zatrzymać. Nie wolałaby pani raczej porozmawiać ze mną?

Nic.

John dźgnął zapalonym papierosem w dłoń dziewczyny. Rozległ się cichy syk.

Wrzasnęła i wyszarpnęła dłoń, strzepując nią wściekle.

– Co ty do diabła wyprawiasz? – wydarła się.

– Psze pani, mamy tu bardzo poważną sytuację – powiedział John głosem wyzutym ze współczucia. – Mamy trupa i być może na horyzoncie coś o wiele gorszego, jeśli nie zechce nam pani pomóc. Jest mi bardzo przykro, że widziała pani co pani widziała, ale nie mamy czasu na to,

by zwinęła się pani w kłębek w jakiejś psychologicznej muszli. Proszę nam pomóc, a wspomnienia będzie sobie pani eliminowała później.

Zupełnie zdezorientowana, rozglądała się wokół przez chwilę. Po czym:

– Molly! – zawołała zduszonym głosem. – Molly zaatakowała Kena!

– Tak, to wiemy – powiedziałem. – Ale nie rozumiemy z jakiego powodu...

– I mówicie, że nie żyje?

– No... tak, nie żyje. To wszystko jest bardzo dziwne i chcielibyśmy, żeby pani powiedziała nam...

– Będę rzygać – nachyliła się. – Czy mogę za to trafić do więzienia? Bo to był mój pies? Czy mogą mnie oskarżyć o morderstwo?

– Nie. Proszę posłuchać, ja... nie wiem. Ale potrzebujemy...

– Proszę pani – przerwał John. – Mamy powody, by wierzyć, że pani pies był opętany przez jakiegoś piekielnego demona. Czy Molly kiedykolwiek wcześniej odzywała się do pani?

Cisza.

– Kim wy w ogóle jesteście?

– Proszę tylko odpowiedzieć na pytanie – powiedział John. – Czy były już wcześniejsze przypadki lewitacji?

– Co takiego? Nie.

– Jest pani pewna?

– Psze pani – powiedziałem – jeśli pani pies był umoczony w okultyzmie, kiedy go pani miała, to lepiej niech nam pani o tym powie. Jesteśmy ekspertami.

– Co takiego? Nie, nie. Miałam ją tylko od kilku tygodni – pojawiła się w moim domu i pojechałam ją odwiedzić pod adres na obroży, ale właścicielką była taka dziwna dziewczyna, która powiedziała mi, że mogę ją zatrzymać. Wyprowadzałam ją tylko, kiedy natknęłam się na Danny ego Wexlera. – Wypowiedziała to imię tak, jakbyśmy powinni je znać, jakby był to jakiś wspólny znajomy czy coś w tym rodzaju. Zobaczyła po naszych minach, że nie wiemy o kogo chodzi, więc dodała: – Dziennikarza sportowego z Kanału Piątego. Ja...ja go znam. Chodzimy do tego samego kościoła. Zatrzymał się przy drodze, jakby miał zamiar wpaść do domu Kena Phillipe'a bo, no wiecie, pracują razem. Wysiadł z samochodu i pogłaskał Molly, a potem odjechał. Tak po prostu.

Zerknąłem na Johna i zwróciłem się do niej.

– Psze pani...

– Proszę przestać tak do mnie mówić. Mówisz jak gliniarz. Mam na imię Krissy.

– Krissy – zacząłem. – Powiedz mi dokładnie, co Wexler ci powiedział. Słowo w słowo.

– Chyba nic specjalnego. Tylko „ale masz ładnego psa”. I odjechał. Chwilę potem Molly oszalała.

– Po tym jak ją dotknął?

– Taa – odpowiedziała. – Ale on ją tylko pogłaskał.

Przypomniało mi się, jak w furgonetce z piwem John dotknął Molly i obudził go wstrząs, a jego dusza przeskakiwała z niej na niego jak iskra wyładowania elektrycznego.

– A nie mówił niczego więcej? – zapytałem. – Nie używał słowa „Korrok” czy czegoś podobnego?

– Eemm, nie, jestem pewna, że nie.

– Dobra – odwróciłem się, by odejść.

– Poczekaj! – zawołała Krissy. – Jest coś jeszcze. Kiedy Danny podjeżdżał, miał na twarzy maskę. Czy też wyglądało to jak maska, cała czarna. Ale musiał ją zdjąć, bo kiedy już wysiadł, to nie miał jej na twarzy. Ale wiem, że ją widziałam. To dość dziwaczne, no nie?

– Czy widziałas jego twarz? Kiedy miał na sobie maskę?

– Nie, ale... była taka ciemna. Po co to zrobił? Czy z Molly wszystko w porządku? Myślicie, że teraz zabiorą ją do schroniska?

– Uch, jak pójdziesz przed dom i pogadasz z policją, to oni ci wszystko wyjaśnią.

Odszedłem, a John podziękował Krissy za współpracę i zawiadamia ją, że się z nią skontaktujemy, jeśli pojawi się jakiś nowy ślad. Podbiegł do mnie i powiedział:

– Kurwa! Dave! Ludzie cienia! Ona widziała jednego z tych popierdolonych ludzi cienia...

– Jakich ludzi?

– Dobrze wiesz, do jasnej cholery. Te poczwary, ci ludzie zrobieni z cienia, których widzieliśmy w Vegas, Dave. Są tutaj. A przynajmniej jeden z nich. Widziałem ich, Dave. Widziałem ich w okolicy.

– Nie, nie ma ich i wcale nie widziałeś.

Kiedy złożyliśmy tyłki w moim wozie minutę później, John zapalił kolejnego papierosa i zapytał:

– Dobra, co teraz?

Problem z grą w koszykówkę na wideo polega na tym, że to komputer decyduje czy piłka wpada do kosza, jeśli ty rzucasz. Powiedzmy, że grasz przeciwko drużynie komputera i przegrywasz jednym punktem i powiedzmy, że postanawiasz wykonać w ostatniej sekundzie decydujący rzut, aby wygrać. W tym ostatnim rzucie to komputer, przeciwko któremu grasz, decyduje czy cyfrowa piłka wpadła do cyfrowego kosza. Arbitralnie rozstrzyga czy wygrałeś, czy przegrałeś. Cała ta zabawa to jedna wielka ścierna.

Ale i tak zagraliśmy, siedząc na mojej sofie. John grał Lakersami Kobe Bryanta, a ja grałem Chicago Bulls pod wodzą Pierre Oklepywacza (można sobie nazywać graczy wedle woli). Było to w godzinę po tej całej aferze z Molly i trupem.

– Tak więc – powiedział John patrząc na zegarek – myślisz, że gliny gadały z Wexlerem?

– Z kim?

– Z Dannym Wexlerem, dziennikarzem sportowym? Z powodu zabicia faceta od pogody?

– Faceta od pogody zabiła Molly. Tak to będzie przedstawione, jako atak psa. Sprawa zamknięta. A Molly nie żyje, więc...

– Wiesz co, głupi jesteś. Myślisz, że powinniśmy zadzwonić do Marconiego?

Wzruszyłem ramionami.

– Rób, co chcesz. Ej, wiedziałeś, że najwyższym notowanym programem telewizyjnym w Korei była premiera tego show z lat osiemdziesiątych „Joanie kocha Chacha”? Okazało się, że po koreańsku „chachi” to penis.

John zatrzymał grę.

– Jest po dziesiątej. Chcę się przełączyć, sprawdzić czy nie ma czegoś w wiadomościach.

Przełączył się zanim zdołałem zaprotestować i od razu przypomniałem sobie, dlaczego nienawidzę wiadomości lokalnych. Przesiedzieliśmy przez przydługi hołd dla Kena Phillipe, w którym pokazywano archiwalne materiały idioty stojącego po kolana w pędzącej fali powodziowej, a wiatr dął mu w mikrofon, kolejne drżące ujęcie przedstawiało próbę wysledzenia tornada na horyzoncie podczas wykrzyczanej przez Kena relacji.

Później przeszli do materiału o skandalu w miejscowym domu starców, w którym pomywacze płukali baseny i talerze w tej samej wodzie, a potem do pożaru w domu, który nie byłby żadną medialną rewelacją, gdyby ekipa nie przyjechała na miejsce na czas, by pokazać materiał z pięknymi płomieniami. Potem przeszli do wiadomości sportowych i muszę przyznać, że te były... odmienne.

Pierwszą dziwną rzeczą było podwójne ujęcie – na jednej połowie ekranu sprawozdawca, a na drugiej Danny Wexler – bo twarz Danny ego była czarna. Od razu zrozumiałem dlaczego Krissy wydawało się, że miał na sobie maskę. Przy pierwszym spojrzeniu wyglądało to, jakby miał na sobie czarną maskę hokejową, tylko bez otworów na oczy.

Ale kiedy zrobili zbliżenie na jego głowę, można było dostrzec wyraźniejszy efekt. Danny Wexler zdawał się być niczym posąg wyrzeźbiony z namacalnego cienia. Oczywiście widzieliśmy to tylko John i ja, bo inni komentatorzy jakoś nie uciekali z krzykiem. A przynajmniej do czasu, kiedy Danny otworzył usta:

– Nazywam się Danny Wexler, a to są wiadomości sportowe Kanału 5! Drużyna futbolowa Anonimowego znów została wyruchana w dupę przez los i wykopana z pierwszej rundy playoffów, gdyż nie udało im się przenieść swego dmuchanego wypierdka przez kredową linię na trawie tak

często, jak zrobili to ich przeciwnicy. Oto quarterback Kornetów, Mikey Wolford, machający ramieniem niczym przygłup stara się podać do kolegi, którego najwyraźniej tylko on widzi. Iiiii, przejęcie piłki. Niezłe podanie, głupku! A teraz fullback Spartan, Derrick Simpson, zapierdala wzdłuż pola tymi swymi czarnymi łydami jak tłoki w kombajnie do zbierania bawełny. Och, jaka ładna próba powstrzymania, Freddy Mason! Założę się że powstrzymałbyś fullbacka, gdyby miał kształt kutasa, co Freddy? Ale nie ma, więc ostateczny wynik czterdzieści jeden do siedemnastu. Niech każdy Spartanin zdechnie z kałem na wardze. Cześć Korrokowi!

Danny'emy nie pozwolono już odczytać żadnych innych wiadomości, a kamera wróciła do wyraźnie wstrząśniętej komentatorki, która oświadczyła, że wróca za chwilę. Reklama.

John wyłączył telewizor i wydał z siebie długie, pełne rezygnacji westchnienie. Bez słowa założyliśmy kurtki i wyszliśmy z mieszkania. Zatrzymaliśmy się przy mojej szopie.

Chorobliwie otyły ochroniarz w budynku Kanału 5 powiedział nam, że Wexler wyszedł wcześniej. Wtedy niemal daliśmy za wygraną, ale w sprawie nastąpił wielki przełom, kiedy John wymyślił, żeby sprawdzić adres Wexlera w książce telefonicznej.

Po tym, jak na krótko się zgubiliśmy, stanęliśmy na parkingu przed jego budynkiem i odnaleźliśmy Buicka z napisem 5 SPRTS na tablicy rejestracyjnej, co, po krótkiej debacie uznaliśmy za skrót od Kanał 5 Sport, zatem wóz musi należeć do niego.

– Masz jeszcze te miętówki? – zapytał John, kiedy szliśmy do czteropiętrowego bloku mieszkalnego. – Zapukasz do drzwi, a kiedy Wexler otworzy, wepchniesz mu kilka miętówek do gardła.

– Jeśli będzie zachowywać się normalnie, niczego nie będziemy robić. Dowiemy się tylko, co wie. W sprawie Molly i, sam wiesz, wszystkiego innego, co się dzieje. Jeśli będziemy to mogli naprawić miętówką, to dobrze. Jeśli nie, zostawimy wiadomość na skrzynce głosowej doktorowi Marconiemu i będziemy jechać tak długo, aż znajdziemy takie miasto, które nie pojawia się wciąż w książkach o tytułach typu „Prawdziwe Opowieści Niesamowite”. Marconi może sobie przyjechać i zrobić tu cały swój show, jeśli o mnie chodzi. Niech napisze kolejną książkę.

Miałem ze sobą swój oldschoolowy ghetto blaster, a John torbę z kilkoma przedmiotami, które zabrał z mojej szopy. Nie mieliśmy święconej wody. W ogóle, gdzie coś takiego można znaleźć? Przez Internet?

Stanęliśmy przed drzwiami mieszkania Wexlera na trzecim piętrze. Ustawiłem magnetofon, kierując głośniki wprost na zamknięte drzwi. John otworzył torbę i wyciągnął wykonaną przez siebie broń – Biblię, przyczepioną taśmą izolacyjną do kija bejsbolowego. Podniósł ją w gotowości. Wdusiłem „play”.

Gładkie, a jednak nieco skrzypliwe dźwięki „Don't Know What You've Got 'til it's Gone” Kopciuszka wypełniły korytarz.

Pozwoliliśmy wybrzmieć całemu nagraniu, aż jeden facet wystawił głowę przez drzwi, ale szybko je zamknął, widząc kij Johna. Drzwi Wexlera pozostały zamknięte.

Wyłączyliśmy blasters i zaczęliśmy nasłuchiwać. Po drugiej stronie drzwi nie było niczego słychać. Pokręciłem gałką. Nie były zamknięte na klucz. Dałem znać Johnowi, a on wsadził głowę do środka, trzymając kij z Biblią w pogotowiu. Mój gest miał znaczyć „Czekaj, powinniśmy się jeszcze raz zastanowić”.

Niechętnie poszedłem w ślady Johna. Zostawiłem za sobą otwarte drzwi.

Na oścież.

Światło się paliło, ale nikogo nie było w domu. Telewizor był włączony i podskoczyłem, widząc siebie i Johna na ekranie. Wtedy zauważyłem statyw i kamerę stojącą w drugim końcu pokoju, wycelowaną w sofę przed nami. Najwyraźniej była wycelowana w miejsce, w którym ktoś siedział, a telewizor miał pokazywać zdjęcia na żywo. Sofa była teraz pusta.

Rozdzieliliśmy się i przeszukaliśmy wszystkie pięć pomieszczeń niewielkiego mieszkania, ale emanowało aurą pustki i moje serce zwolniło, kiedy zerknąłem przez ostatnie drzwi. Nikogo nie było.

Mieszkanie było schludne, lecz zagracone. Meble zbyt blisko telewizora, stół kuchenny trzeba było odsunąć od ściany, jeśli chciało się usadzić więcej niż dwójkę ludzi. W sypialni wisiały plakaty filmowe. Typowe kawalerskie mieszkanko.

– DAVE! TUTAJ!

Ruszyłem biegiem. John leżał rozpostarty na podłodze sypialni.

– JOHN! CO...

Na mój widok usiadł i wyciągnął obie ręce do góry. W jednej trzymał dużą, złożoną kopertę, poszarpaną w miejscu niecierpliwego otwierania. W drugiej miał niewielki, srebrny pojemnik.

Taki jak mój.

Powiedział:

– Pod łóżkiem było.

Wypuściłem powietrze i powiedziałem:

– O rzesz kurwa jego mać.

– No właśnie.

Usiadłem na łóżku. Wolno pokręciłem głową i powiedziałem:

– Stary, nie możemy znów w to brnąć.

– Patrz.

Podał mi kopertę. Rozprostowałem ją i zobaczyłem adres napisany agresywną, poszarpaną bazylią, którą musiała skreślić ręka mężczyzny.

DO WIADOMOŚCI: DZIENNIKARKI KATHY BORTZ KANAŁ 5 NEWSROOM

... oraz numer skrytki pocztowej stacji telewizyjnej.

John powiedział, że pamięta ją z poprzedniej porcji wiadomości, mówił, że była główną dziennikarką, która nakręciła materiał z domu opieki. Dlatego, jeśli było się wzorowym obywatelem i miało jakąś rewelację, którą chciało się podzielić ze światem, na przykład o fiolce czarnego, oleistego gluta z planety X, należało skontaktować się z Kathy Bortz. Albo przynajmniej tak zrobiliby Wielki Jim Sullivan.

Mogę to powiedzieć, ponieważ to jego nazwisko widniało wypisane kurzym pazurem w górnym rogu nadawcy wraz z adresem, który widziałem już tyle razy, który zapamiętałem i zawsze kojarzył mi się ze słowami: *Jestem Molly, Proszę zwrócić mnie...*

Potarłem usta dłonią, starając się wszystko przemyśleć. Powiedziałem:

– Jim miał sos sojowy.

John wzruszył ramionami.

– Zdaje się, że tak.

– Dlaczego nam nie powiedział?

– Z tego samego powodu, dla którego ty nie powiedziałaś nikomu innemu. Tej nocy byłem zaskoczony, że Jim jest tak długo z nami, nawet po tym, kiedy pojawiła się igła. Ale może był tam, ponieważ wiedział, co to było. Starał się kontrolować sytuację. I naprawdę starał się powiedzieć komuś, sam wiesz. Wysłał to do cholernej stacji telewizyjnej.

– Przed śmiercią.

Wzruszenie ramion.

– Bardzo możliwe.

– Sukinsyn. Wiedziałem, że on wie więcej niż nam mówił. Powinniśmy go byli powalić i wymusić odpowiedzi na kilka pytań. A więc dostał to od Jamajczyka?

– Chyba tak.

– A skąd to miał Jamajczyk?

– Od perukowych potworów, no nie?

– Co, myślisz, że Robert Marley hodował je gdzieś na ranchu? Nie, myślę, że mówienie iż sos sojowy pochodzi od tych potworów to jakby powiedzieć, że mleko bierze się z butelki. Sos ma swój rozum, a te potwory to tylko nosiciele. A te małe, srebrne fiolki, które wciąż się gdzieś pojawiają? Nie można ich kupić w sklepie z gospodarstwem domowym. Nie, Roberta ktoś zaopatrywał.

Już chciałem zaproponować, żeby zadzwonić do Drake'a Gliniarza, ale powstrzymałem się w okamgnieniu. Wyobraziłem sobie te wszystkie pytania na temat wyprawy do Las Vegas,

zaginionego detektywa i tak dalej. Potem znów przyszło mi do głowy, by zadzwonić do Marconiego, ale to było bez sensu. John sprawdził numer jego biura, ale nie było tam z pewnością gorącej linii kończącej się przy jego nocnym stoliku. Dotarliśmy do rozbudowanego komunikatu automatycznego, gdzie pytano nas czy chcemy zamówić sobie DVD.

Krażyłem po salonie i usiadłem na sofie, widząc jak to samo robi moja podobizna na ekranie. Pomachałem do siebie. Miałem depresję wypisaną na twarzy, pomarszczoną i zmęczoną tak, że mogłem spokojnie spać na chodniku. Ludzie zatrzymywaliby się i wrzucaliby mi monety do kubka.

John poszedł do kuchni i robił tam coś, trzaskając talerzami i otwierając szuflady. Minutę później usiadł obok mnie z kanapką i napojem w rękach.

Zauważyłem stojący na telewizorze magnetowid, który nagrywał materiał z kamery. Wcisnąłem „stop” a następnie „rewind”.

John sięgnął po automatyczną sekretarkę na końcu stołu. Przewinął jedenaście bezwartościowych wiadomości, po których usłyszeliśmy nie dający się pomylić z niczym głos Obserwatora Pogody Kena Phillipe:

Piiip.

– Danny? Tu Ken. Zadryndaj do mnie, stary. Nie chcę, żebyś źle zrozumiał to, co widziałeś. Krissy i ja jesteśmy sąsiadami od dawna, znałem jej mamę jeszcze z dawnych czasów. Słuchaj, chcę żebyś wiedział, że owszem rozmawialiśmy, ale nie rozmawialiśmy na twój temat, Danny. Przestraszyłeś się, bo tak zawsze reagujesz. Nieważne. Zadzwoni do mnie, Danny, aja przyjadę z sześciopakami i walnięmy browara. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz, kolego.

Piiip.

Włączyłem kasetę od początku. Pusta sofa. Nagle Danny Wexler nachyliła się w kadrze, zerka na telewizor. Siada, wygląda na zmęczonego, wyczerpanego i skonanego w przepoconej koszulce i dżinsach. Nad jego ramieniem widać drzwi, przez które weszliśmy do mieszkania. Mówi:

– Cześć skarbie. Jesteś tam? Odpowiedz jak jesteś.

Spoglądam na Johna.

– Czy on mówi do kogoś za kamerą?

John nie odpowiada, tylko zdziwiony mruży oczy, kiedy Wexler ciągnie dalej.

– Daj spokój. Już dobrze.

Przerwa, Wexler wpatruje się w milczeniu w kamerę przez kilka sekund.

– Po prostu się przywitaj.

[kolejna przerwa]

– Wiem. To były ciężkie dwa tygodnie. Skarbie, zrobiłem coś naprawdę głupiego. Wplątałem się w coś. W coś, czego nie jesteś sobie w stanie wyobrazić.

– To dawne – mówi John. – Jakbym słuchał połowy rozmowy telefonicznej.

– Gdybym wprowadził cię w szczegóły, żałowałabyś tego – mówi. – Ale ja wiem już, że nie jestem sobą. Przychodzę i odchodzę, i teraz nic mi nie jest, ale muszę toczyć bój o każdą sekundę zachowania kontroli. To wyczerpujące. Skarbie, to zabiera mi tyle energii, żeby być na górze, na powierzchni, przy sterze. Kiedy się tylko odprężam, to przejmuje władzę. I przejmie. A ja będę tylko tego świadkiem. Bezradnym świadkiem.

Załamuje się i zaczyna szlochać.

Wexler bełkocze coś dalej i są tu kolejne chwile zawieszenia.

Mówię:

– A więc był na sosie, mam rację?

– W pewnym momencie tak. Może wydawało mu się, że poprawi to jego komentarze. I teraz, kiedy się nad tym zastanowić, to chyba poprawiło. Tak jakby.

– A może nie brał tego. Może to wzięło jego. Tak samo, jak to się stało ze mną. Dziennikarka dostaje kopertę, zerka na nią i podejrzewa, że przysłał ją jakiś wariat, wrzuca do śmieci...

John podejmuje wątek.

– A Wexler-kretyn pojawia się znieca, zżera go ciekawość i mówi: „A co to?” i wyławia kopertę z kosza. Zaczyna się rzeźnia.

– Przewiń do końca taśmy. Sprawdź, czy mówi coś dokąd idzie przed wyjściem.

John nie miał takiej okazji. Na ekranie Wexler drgnął i podniósł wzrok. Dźwięki piosenki Kopciuszka „Don't Know What You've Got 'til it's Gone” wypełniają pokój.

Wexler zeskakuje z kanapy i schodzi z kadru. Kilka minut później widzimy już jak sami wpadamy do mieszkania.

Wraz z Johnem zeskakujemy z kanapy, jakby dźgnięci niewidzialną sprężyną.

– Minęliśmy się z nim! – krzyknął John. – Minęliśmy się z nim o włos! Kurwa!

W telewizorze mijamy kamerę i ruszamy do przeszukiwania mieszkania.

Na ekranie nad nami pojawia się jakiś kształt.

Jakaś maskara przywierająca do sufitu.

Wexler.

Na ekranie złazi głową w dół w stronę drzwi i wczepiony w górną części framugi przemyka na korytarz. Jakby nic nie ważył. Porusza się szybko niczym salamandra tak, że ludzkie oko rejestruje tylko nieludzką rozmazaną mgiełkę.

John unosi magnetofon i wducha przycisk „play”. Ryknęło „Sweet Child O' Mine”. Podnosi sprzęt nad głową jak John Cusack w „Say Anything” i wypada na korytarz.

Biegniemy po schodach z łoskotem, ciągnąc kilwaterem balladę rockową, mając głupią nadzieję, że Wexler zabradziażył w budynku.

Minutę później na parkingu, John obraca się dookoła z ghetto Masterem, jakby chciał odgonić noc. Po Wexlerze ani śladu.

Miejsce parkingowe jest puste. Nagranie się skończyło, a my stoimy tam jak idioci, łapiąc oddech, a chłodne powietrze zamraza pot na mej twarzy.

John mówi:

– Może wrócił do telewizji?

Wzruszam ramionami.

– Albo do domu Kena. Albo do szpitala. A może do całodobowego salonu tatuażu. Albo jeszcze lepiej na lotnisko, gdzie czeka na niego samolot do Tajlandii. Wiesz gdzie myślę, że powinniśmy sprawdzić przed wszystkim? W nocnej piekarni.

Włeczemy się wokół budynku i z powrotem przez rząd żywopłotów, oddzielający parking dla gości od przestrzeni parkingowej zarezerwowanej dla mieszkańców. Egipskie ciemności. Podnoszę wzrok i zauważam, że na parkingu wyłączono światła...

...no jasne...

... księżyc też nie ma. Ciemno jak w piekle. Do tego jest zimno, jak w typową wilgotną jesienną noc, ale ja wiem, że część odczuwanego przeze mnie cModu pochodzi z wnętrza. Strach pełnie po mnie, zaczynając od bebeczków.

Stary, wracaj. Jedź do domu, do ciepła i światła. Robiłeś co mogłeś. Ale już jest po wszystkim. Nie znajdziesz go. A ciemność taka jak ta, prawdziwa ciemność, to żywioł nietoperzy i gwałcicieli. Zrobiłeś, co było w twojej mocy.

Idę dalej, już czując, że jest źle, bardzo źle. Ściskam kluczyki do auta niczym różaniec, a pod butami z każdym krokiem słychać chrupanie zeschniętych liści.

Chrup... chrup... chrup...

Mrugam, starając się przyzwyczaić wzrok do ciemności, ale mi się nie udaje. Oczy łzawią od chłodu, w kolanach czuję lekkie rwanie po zeskakiwaniu po kilka stopni na raz, mrowienie w kostkach. Każdy nerw żyje i stoi na baczność.

Wciąż, mrugam i teraz co nieco widzę – mojego hyundaia ze dwadzieścia kroków dalej, jednego z dwóch wozów na parkingu. W wiszącym nisko, przefiltrowanym przez chmury mroku błękit wydaje się być o kilka odcieni za ciemny.

Nagle przelatują mi przed oczami obrazy, widok parkingu, gdy moje reflektory omiotły całą przestrzeń kiedy się zatrzymaliśmy. Płaski asfalt z kręgami światła od lamp. To wspomnienie z jakiegoś powodu zacina się w mojej głowie na czymś, czego nie mogę wskazać palcem. Idziemy.

Chrup... chrup... chrup...

Coś jest nie tak.

Znów to widzę, światła omiatają przestrzeń parkingową, a my skręcamy na nowo wybrukowanej płycie ze świeżo pomalowanymi żółtymi liniami, odcinającymi się wyraźnie od ciemnych płyt...

Chrup... chruuup.

... na których w ogóle nie ma żadnych zeschniętych liści.

Chruuuuup...

Znów mrowienie w kostkach. Zatrzymuję się i spoglądam w dół.

Za moimi plecami krzyczy John.

Całe podłoże faluje.

Pulsuje, jakby w rześnym deszczu.

Drga.

Karaluchy.

Mam całe nogi pokryte nimi. Wydaję z siebie wysoki pisk i zaczynam jak szalony walić się po spodniach, starając się strącić z siebie robactwo, rzucam też torbę i kluczyki od samochodu na ziemię. Jeśli jest to jedno z naszych patentowanych halucynacji, to musi być szaleństwem pięciu zmysłów. Kiedyś w północy poczułem jak karaluch przełazi mi przez kark. Jest to uczucie nie do podrobienia i nie można go z niczym pomylić.

To tutaj jest realne, całkiem realne, z łaskotaniem, swędzeniem i wszystkimi nieprzyjemnymi doznaniem na dokładkę. Serce mi wali, skóra cierpnie i to dosłownie. W tej chwili jestem pewien, że owady nie tylko pełzają po mojej skórze, ale też pod nią, zakopując się w tkankę mięśniową i swymi czepnymi odnóżami szorując po zakończeniach nerwowych.

Wszystkie myśli zostają wymiecione z mego umysłu.

Można by pomyśleć, że w takich warunkach nic już nie jest mnie w stanie zaskoczyć. Błąd. Na przykład, bardzo zaskoczyło mnie, kiedy spojrzałem w dół i zobaczyłem, że rzucone kluczyki zaczynają ode mnie uciekać, jakby niosł je wartki prąd wody.

Zabierają mi kluczyki! Karaluchy kradną mi kluczyki do wozu!

Przedzieram się do samochodu, czując swędzenie na całym ciele. Widzę, że to nie jesienne nocne światło sprawiło, że odcień lakieru na moim wozie wydawał się być ciemniejszy. To kilkaset tysięcy karaluchów rojących się na jego karoserii.

Ściągam kurtkę i przy jej pomocy strącam skurwysynów z drzwi i okien, szarpnięciem za klamkę, rozduszam jakiegoś robala między palcami i metalem. Otwieram drzwi na oścież...

W środku jest o wiele więcej karaluchów niż na zewnątrz. Kłębią się na podłodze i wylewają na płyty parkingu niczym główna wygrana w diabelskim jednorękim bandycie, wydając odgłos przypominający skwierczenie boczku na patelni.

Na fotelu kierowcy pojawia się wybrzuszenie, niemal niewidoczne pod falującą karaluszą pokrywą. Ale bryła zaczyna rosnąć i pulsować, a ja uświadamiam sobie, że cała jest z karaluchów. Wchodzą jeden na drugiego, rozedrgane kończyny płaczą się i wiążą, pnąc się coraz bardziej w górę.

Na horrorach często można zobaczyć jak ludzie stoją niczym ostatni krety, a przed nimi wyrasta coś złowrogiego za sprawą specjalistów od efektów specjalnych. Pólmózgi gapią się na to, zamiast odwrócić się i uciec gdzie pieprz rośnie. Ja też chciałem uciekać – było to najrozsądniejsze z rozwiązań. Ale to był mój wóz do cholery. Mój jedyny środek transportu. Prędeż mnie szczyści niż pozwolę na to, by zmusiły mnie do codziennych spacerów do pracy.

Sterta karaluchów na przednim siedzeniu rośnie, zmieniając się w groteskowy, kostropaty słupek o wysokości pół metra. Robale obmywają moje stopy niczym fala przyboju, sunąc po oponach i kołpakach wprost na siedzenie kierowcy. Ich tupot kojarzy mi się z chrupaniem płatków śniadaniowych słyszanych z drugiego końca pomieszczenia i czuję je, bo rozsiewają wokół odór podobny do starego, zapieczonego oleju do smażenia.

Na fotelu dwie mniejsze odnogi wychodzą z podstawy sterty robaków niczym korzenie drzewa, uporczywie wyciągając się w stronę podłogi. Wybrzuszenie ma już nogi.

Zobaczyłem, że tworzy się coś na kształt postaci.

Ej, no bo niby czemu nie?

Ramiona wysuwają się po kilku sekundach. W końcu pojawia się głowa. Doskonała replika mężczyzny, wyrzeźbiona w całości z karaluszkiej masy, siedzi sobie teraz spokojnie na fotelu kierowcy.

Ściśnięta kula karaluchów tworząca głowę odwraca się w moją stronę, jakby chciała mi spojrzeć w oczy.

Odzywa się:

– Karaluch nie ma duszy. A jednak biega, żre i sra, pierdoli się i mnoży. Nie ma duszy, a jednak żyje pełnią życia. Tak jak ty.

Czas staje. Zostaję zakleszczony w jego trybach z tym czymś. Odzywam się, choć myślę, że nie poruszam ustami.

Mówię bądź myślę:

– Kim jesteś?

– A ty kim jesteś? Kimże jesteś dla takiego jak Korrok, który wypełnia sobie brzuch wielkimi ludźmi, połykając ich tak, jak wieloryb pochłania ławice kryla? Pragnienia i ambicje ludzi, którzy górują nad tobą, w Korroku są trawione przez wieczność, a fermentując tworzą rozpacz przewyższającą sumę wszelkiego cierpienia ludzkości na przestrzeni wieków. W jego flakach kotłują się całe populacje światów, a za każdym razem kiedy Korrok pierdnie, rozlegają się oszalałe wrzaski i desperackie żale siedmiu trylionów dusz. *A on lubi pierdzić*. Powtórzę więc pytanie: Kimże ty jesteś, siejący głównem owocu ludzkich lędźwi?

– Jestem nikiem – udaje mi się odpowiedzieć. – Jestem nikiem. Może by mnie zostawić w spokoju? Nie mam niczego, co chciałbyś mi zabrać.

– Korrok lubi gorzkie kąski i już postanowił pozostawić cię na swym języku. Potem połknie. Chcesz, żeby zostawiono cię w spokoju? Twoje życzenie będzie spełnione. Umrzesz samotnie z kupą w spodniach. Tak brzmi proroctwo.

Zamrugalem i uświadomiłem sobie, że czas wciąż stoi w miejscu i nie jest to iluzja – nie minęła ani sekunda. Cała rozmowa została przeprowadzona za pośrednictwem przewodnika, którym zostałem obdarowany przez sos sojowy wiele miesięcy temu.

Karaluzec uniósł dłoń. Moje kluczyki. Włączył silnik hyundaya. Drugą ręką z palcami z poskręcanych karaluchów zacisnął na klamce i zatrzasnął drzwi.

Karaluzec włączył wsteczny, wycofał się z miejsca i pojechał do wyjazdu z parkingu. Włączył prawy kierunkowskaz i odjechał w ciemną noc. Spojrzałem pod nogi i zobaczyłem, że parking był wolny od wszelkiego robactwa.

John odrzucił papierosa i powiedział:

– Kurwa. Wiedziałem, że tak będzie.

Zapytałem drżącym głosem:

– I co teraz?

– Nic ci nie jest?

– To... to przemówiło do mnie. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– I co mówiło?

– Że... bo ja wiem.

– Stary, jak ty teraz wypełnisz druczki w ubezpieczalni?

Usłyszeliśmy silnik samochodu gdzieś z tyłu i biały ford focus wjechał na parking. Z okna wyjrzała śliczna główka Krissy, dziewczyny co siedziała na kanapie na miejscu zbrodni. Podszedłem bliżej i wiecie co, tak, jej ciało było na swoim miejscu.

– Ej, fajnie was widzieć. Oglądaliście wiadomości?

John przydreptał bliżej, już z torbą na ramieniu.

– Oglądaliśmy. Wexler zniknął. Potrzebujemy twojego samochodu.

– Co? Dlaczego?

John obszedł już wóz dookoła i stanął przy drzwiach pasażera.

– Do pościgu.

Uśmiechnęła się.

– Fajnie. Wskakujcie.

– Zaraz – powiedziałem wygrzebując Testamiętówki. – Proszę. Zjedz jedną.

– A tak w ogóle mówiłeś, że jak masz na imię? – zapytała.

– Jestem jedynym człowiekiem, który widzi wszystko, jakim jest naprawdę. To już nie jest robota dla jakiegoś hycła. Jest coś ponad tym, coś mrocznego. Mówimy tu o wszystkich złych rzeczach, które, jak myślałaś, nie istnieją: demonach, czarnej magii, gremlinach i yeti, i nie obchodzi mnie czy w to wierzysz, czy nie...

– Dobrze już, dobrze. Przestań gadać. Wiem, co widziałam dziś' wieczorem – sięgnęła pod bluzę i wyciągnęła złoty krzyżyk dyndający na cienkim łańcuszku. – Widzisz? Czy założyłabym to, gdybym była jakąś diabolicą, wampirzycą, czyja wiem czym jeszcze? No to jak, wsiadasz czy nie?

Przyglądałem się jej bardzo uważnie, osądzając ją na gorąco. Wsiadłem do samochodu. Opony zaskrzypiały, kiedy wyjeżdżaliśmy z parkingu kierując się w tę samą stronę, w której zniknął karaluszec.

Ruch uliczny o tej porze praktycznie zamierał, sunęliśmy więc sprawnie, a prędkościomierz balansował lekko powyżej siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Jest ciemno jak w dupie. Nie ma księżycy, gwiazd, a my jesteśmy zdani tylko na siebie...

– Tam! – wykrzyknął John.

Przed nami było widać światła pozycyjne. Niewielkie, blisko rozstawione. Jasne, to moje maleństwo. Była to chwila, w której – ponownie – nie miałem żadnego planu co zrobić po tym, jak go dogonimy. To samo najwyraźniej pomyślała sobie Krissy, bo zapytała:

– No i co teraz robimy?

– Zrównajmy się z nim – powiedział John – a potem zepchniemy go na pobocze.

– Nie będę niczego spychać! Kto mi zapłaci za... – Urwała, a ostatnie słowo przeszło w krzyk. Byliśmy już blisko, na tyle blisko, że zobaczyła kierowcę. – Co to za potwór?

– Nie chcesz wiedzieć – powiedział John. – Ale nie bój się. Przybliź się do niego, mam plan.

Wyglądała na zdezorientowaną, ale wbiła wzrok przed siebie i zwiększyła prędkość focusa do osiemdziesięciu. Jechaliśmy teraz bok w bok przy błękitnym kompakcie.

– Wyrównaj – powiedział John i odkręcił szybę.

Karaluszec też jechał z opuszczoną szybą, wystawiając karaluszki łokieć na zewnątrz jak wytrawny kierowca ciężarówki. Od czasu do czasu jeden z karaluchów ściekał mu z ramienia, jak gorący wosk porwany podmuchem wiatru.

John zaczął wychodzić przez okno, a wiatr rozsypywał mu włosy po twarzy i zacząłem podejrzewać, iż ma wariacki plan rzucenia się na drugie auto jak Bruce Willis. On jednak odchylił się do tyłu, opierając się na karoserii fordą i przyciskając kolanami do drzwi od wewnątrz. Rozpiął spodnie.

Karaluszec obrócił swą karaluchową głowę w naszą stronę w tym samym momencie, kiedy podmuch wiatru rozbryztał mu strumień moczu na twarzy. Kreatura zamachała rękami i wpadła w jakieś konwulsje. Hyundai zachybotał na swoim pasie. Niewielkie opony straciły przyczepność i samochód wypadł na pobocze. Przedał się przez zielsko i zarył nosem, przewalając się przez nabrzeże, i wpadł do rowu melioracyjnego w bryzgach wodnej piany.

Krissy zjechała na bok i wszyscy wypadliśmy z wozu.

– Co to było? Co? – krzyknąłem na Johna. – No co to było, do diabła?

– Ej, zatrzymałem drania.

– Chodziło o to, by odzyskać samochód. Mój samochód. Nienaruszony. A nie obryzgiwać go sikami.

– Patrz! No nie, stary...

Jakiś ciemny kształt.

Unoszący się z hyundaia.

Kłęb czarnego dymu.

Z gorejącymi ślepiami.

Poczułem to. Było tak, jakby cień mrocznego człowieka sięgnął i przebiegł zimnymi palcami po mojej czaszce i kręgosłupie.

Nagle zniknął, rozpluwając się bezgłośnie w nocy. Usłyszałem jak Krissy mocno dyszy. Plasnęła się na odlew po policzku, szeroko rozwierając oczy.

John powiedział:

– Są tutaj, Dave. Są tutaj. Są tu, są, kurwa są.

Zasyczałem:

– A kto taki?

– Nie wiem. Pewnie jest o tym w książce Marconiego, ale nie skończyłem jej, bo po pierwszych dwóch rozdziałach akcja trochę siada.

Powiedziałem do Krissy:

– Nie martw się, wygląda na to, że zniknął. Widziałas to?

Potrząsnęła głową.

– Poczulałam. Przebiegło przeze mnie, takie przyciężkie doznanie, jakby nic tu nie było. Jakby wszystko było nicością, wszystko i wszędzie. Jakby były cząstki i cała reszta, ale poza nimi nic. Tylko chłód i mrok...

Zamilkła.

Powiedziałem do Johna:

– Kiedy przemówiło do mnie, wymieniło jakiegoś Korroka. Tak jak Molly.

– Czy to coś było Korrokiem?

– Nie. Tego jestem akurat pewien.

Krissy w ogóle nie nadążała za konwersacją, więc skupiła swoją uwagę na rozbitym hyundaiu, na dwie trzecie zanurzonym w stojącej wodzie, z tyłem wystającym w górę jak w ostatnich minutach Titanika.

– Uch! A to co takiego?

Gruba na dwa palce warstwa karaluchów unosiła się wokół samochodu niczym plama oleju, gdzieś jeszcze zachowując zarys kończyn. Pół tuzina starych toreb z fastfoodów wypływało z wnętrza wozu i zamierało w miejscu niczym boje.

– Karaluchy – powiedziałem. – Widzisz je?

– Taaa. Skąd się wzięły?

– Cóż, dawno nie sprzątałem w wozie – zwróciłem się do Johna. – Widzisz, co facet z cienia zrobił z tymi robakami? Myślę, że to samo co z Molly. Po prostu wyciągnął rękę i przejął kontrolę.

John powiedział:

– I jak sądzę nad Wexlerem też. Tak więc wniosek. Mogą to robić.

– To bardzo, ale to bardzo niedobrze. Co dalej?

Krissy zapytała:

– Co to niby jest, jakieś demony?

– Cóż, te stworzenia to samo zło – powiedział John. – Widziałas, jak jeden z nich ukradł samochód.

– Molly!

Krissy wskazywała na coś na drodze.

I rzeczywiście, pies stał jakieś dwadzieścia metrów od nas i była to Molly, albo też jej wierna replika.

John zapytał mnie:

– Duch?

– Krissy ją widzi.

– W takim razie zombie. Cóż, przynajmniej stoi na ziemi, to dobry znak.

Molly szczeęknęła i podreptała dalej, po czym odwróciła się i szczeęknęła jeszcze raz.

John powiedział do Krissy:

– Chce, żeby za nią iść – powiedział to do niej, a nie do mnie. Wykluczał mnie z procesu decyzyjnego. Kawał gnoja.

Zerknąłem na zegarek.

– Ktoś ma ochotę pojechać do Denny's? Może tam się wszystko wyjaśni.

Obydwoje wsiedli do auta. Zaczęłam w myślach wyliczać wszystkie popierdolone aspekty tego planu i kiedy skończyłam, wszyscy sunęliśmy w samochodzie za miedzianym psem oświetlonym snopami światła reflektorów.

Po kilku minutach pies, który wyglądał jak okaz zdrowia, mimo że rozpuknął się na kawałki tego samego wieczora, skręcił i zeskoczył z jezdni. Zaczął przedzierać się przez połąć wysypaną żużlem i połamanymi elementami z betonu, porośniętą wysokim zielskiem.

Znaleźliśmy się nieopodal Trupiej Galerii.

Tak właśnie nazywaliśmy niedokończone i tym samym porzucone Centrum Handlowe w Anonimowym. Miasto utopiło czterdzieści milionów dolarów odpisów podatkowych i środków na infrastrukturę, wchodząc w budowę, zanim trzech z pięciu inwestorów zniknęło (zawsze wyobrażałem sobie, że wszyscy trzej zastrzelili się jednocześnie jak w filmie „Wściekłe psy”). Teraz, trzy lata i trzydzieści pozwów później, na stu pięćdziesięciu stoiskach sklepowych z kałużami deszczówki w korytarzach gnieździły się tylko szopy pracze.

Budowla stała spowita w ciemnościach, pokruszona i gnijąca niczym jakieś psujące się zwierzęce ściervo z wolna podgryzane przez padlinożerców.

Molly wystrzeliła w stronę budynku i została pochłonięta przez ciemność.

Krissy zapytała:

– Czy idziemy tam za nią?

Radio włączyło się niespodziewanie, a dźwięki mandoliny zainicjowały kawałek grupy REM z początku lat dziewięćdziesiątych, pod tytułem „Losing My Religion”. John i ja zareagowaliśmy, Krissy nie. Dopiero po kilku chwilach zrozumiałem, że nie było to nagranie w wersji takiej w jakiej napisał je Michael Stipe.

OOOOoooooh, nóż

Plus czarnuch

Równa się ty, a Żydzi to już truchło...

– Znam kilku gostków z okolicy – powiedział John – którym ta wersja podobałaby się bardziej niż oryginał.

– Słyszysz to?

– Taaa.

Krissy zapytała:

– Co słyszysz?

– Nieważne. Popatrz tam, przy śmietnikach – powiedział John. – Wóz Wexlera. 5 SPRTS

– Cóż – stwierdziłem – nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wejść bez żadnej broni do pierdolonego opustoszałego budynku.

John otworzył torbę i wyjął długą, metalową latarkę, sprawdzając czy wciąż działa. Następnie wyjął coś zawiniętego w ręcznik i podał mi to.

Rozwinąłem pakunek i oto trzymałem w dłoni pistolet z nierdzewnej stali, który ukradłem z pickupa podczas wyprawy do Vegas. Planowałem go gdzieś wywalić, wrzucić do rzeki, bo ja wiem. Broń była nie tylko kradziona, ale z tego co wiedziałem była wykorzystywana podczas napadów na sklepy monopolowe i zanim dostała się w moje ręce postrzelono z niej dwóch policjantów.

– Dlaczego to wciąż trzymasz? Myślałem, że gdzieś to wypieprzysz.

John wzruszył ramionami.

– Nie miałem serca. Trzymałem to w ukryciu. No i spiłowałem numer seryjny. Powinno być w porządku.

Wyjąłem magazynek.

– Co? Dlaczego jest naładowany?

– Och, Head kupił naboje. Pożyczył go miesiąc temu. Myślę, że chciał pogrozić jakiemuś gostkowi. Ale zwrócił, nie można powiedzieć.

Krissy powiedziała:

– Chyba nie zastrzelisz Danny’ego, co? Jeśli jest opętany, czy co tam innego, wiesz, że to nie jest jego wina.

– Chodzisz do kościoła, tak? – zapytałem. – Wiesz wszystko na temat egzorcyzmów? Tego typu spraw?

Pokręciła głową.

– A Biblię znasz? – zapytał John. – Mogłabyś wskazać nam te rozdziały z zaklęciami i inkantacjami, i czytać je na głos.

Patrzyła się tylko na niego. Usłyszała refren ciągnącej się zbastardyzowanej piosenki. Refren taki:

*To ja wpornolu
W świetle reflektorów
Tracę moją wiarę
Chcąc wpierdolić pejsatej kutwie...*

Krissy pogrzebała w swojej torebce i wyciągnęła niewielki plastikowy przedmiot. Pomyślałem, że to latarka, ale kiedy nacisnęła przycisk, na jego końcu przeskoczyła błękitna iskra.

– Taser. No, ee, paralizator. Chyba nie mam niczego więcej – grzebała w torebce. – Pilnik do paznokci...

– Nie, chodźmy już.

Serca dudniły nam zgodnym rytmem, kiedy nasza trójka zbliżała się do przestronnego budynku, a żadne z nas nie wydawało żadnych odgłosów, jeśli nie liczyć zgrzytania żwiru pod stopami.

Podszedłem do wozu Wexlera i wymierzyłem z broni w okno.

Nikogo w środku nie było.

Przed nami pojawiła się wysoka, pordzewiała, metalowa rama, która jak podejrzewam – miała służyć za wspornik fikuśnej markizy przy głównym wejściu. Pod nią rozciągał się rząd wysokich okien i kilkoro drzwi – wszystko zabite dechami ze sklejki.

Wśród licznych dzieł graficiarzy, zauważyłem napis wysprejowany grubymi, wysokimi na pół metra literami. Przy bliższej inspekcji zobaczyliśmy, że litery skręcały się, bardzo nieznacznie przesuwają.

Ślimaki.

Było ich kilka setek. Znacząc dyktę śluzem, ułożyły się w napis – byłem niemal pewien, że wiadomość pochodzi od „Korroka”, kimkolwiek był ten szpynio:

JESTEŚCIE ZGÓBIENI

To on pisał, nie ja.

Jeden panel z dykty został częściowo oderwany z framugi, najprawdopodobniej przez pana Wexlera.

John powiedział:

– Dave, ty masz spluwę. Idź pierwszy.

– A ty masz blastera! A poza tym, jeśli wejde pierwszy i zostanę od razu zabity, to wy macie przejebane. Ale jeśli was zaatakują, będę was mógł obronić ostrzeliwując się.

– Może Krissy powinna wejść pierwsza, na wabia.

Ruszyła w stronę szpary, ale przepchnąłem się przed nią.

Smród uderzył we mnie po dwóch krokach wewnątrz. Zgnilizna i pleśń podlane trupim jadem gryzoni.

Puste pomieszczenia zostały zabite deskami tak, że znaleźliśmy się na pojedynczym, nienaturalnie długim korytarzu. Podłoga była zasypana papierowymi kubkami, papierkami po cukierkach i niedopałkami oraz innymi pozostałościami typowymi dla nastolatków. Zobaczyłem pod butem zużytą prezerwatywę.

Jedynym źródłem światła był wielki świetlik biegnący przez całą długość budynku. Był częściowo zasłonięty, a odsłonięte fragmenty pokrywały pajęczyny i warstwy nagromadzonych na górze zwiędłych liści. Kiedy przechodziliśmy pod zakrytymi fragmentami szkła, trafialiśmy w obszar nieprzeniknionych egipskich ciemności.

John włączył latarkę. Odpalił sprzęt.

„Home Sweet Home” Mötley Crue.

Rzuciliśmy się na główkę w upiorny basen światła i muzyki w martwej przestrzeni.

Jakiś dźwięk.

Podeszwy szorujące o kafelki podłogowe.

Uniosłem broń.

– Wexler?

Żadnej odpowiedzi.

Dotarliśmy do zakrętu galerii, gdzie korytarz skręcał pod kątem prostym w prawo. Krew szumiała mi w uszach. Pot na dłoniach zmoczył rękojeść pistoletu.

Przed nami znów zaszurały podeszwy.

Cienisty kształt.

Nie buty.

Kopyta.

Rączy kopyta.

To coś było wysokości człowieka. Weszło w snop światła.

John wrzasnął ze zgrozy.

Nacisnąłem spust.

Strzały zadudniły w zamkniętej przestrzeni.

Krissy wrzasnęła.

Żółte smugi z pistoletowej lufy. Urywane jak w lampie stroboskopowej obrazy brązowej sierści i rogów. Jeleń?

Może kiedyś tak, dawno temu. To stworzenie wyhodowało sobie kilka nowych zestawów oczu. Każdy z jego rogów był zakończony kłapiącymi szczypcami, jak u homara. Wyglądało to, jakby na głowie miało reklamowy żyrandol z restauracji z owocami morza. Z perspektywy czasu muszę przyznać, że była to najbardziej idiotyczna sztuczka, jaką widziałem w życiu.

Maszkarą potknęła się, zbliżając się do nas, bo moje strzały na chybił trafił zaczęły dochodzić celu, tworząc krwawe wybroczyny na piersi i szyi bestii.

Starzło się zawrócić, stając do mnie bokiem, i dostało kilka strzałów na korpus. Zmutowany jeleń przewrócił się i zaczął się rzucać po wykafelkowanej podłodze, zostawiając czerwone mazy, jakby smugi wymalowane dziecięcym palcem.

Wierzgnął po raz ostatni i zamarł.

Trzęsły mi się dłonie. Pistolet wyglądał na zepsuty, bo górna połowa została wypchnięta do tyłu od głównego mechanizmu. Gmerałem przy nim przez kilka chwil i zrozumiałem, że jest to naturalna pozycja zamka przy pustym magazynku. Wcisnąłem przycisk zwalniający magazynek. Jak dotąd w oszczędzaniu amunicji zdobyłem mistrzostwo świata.

Zbliżyliśmy się do powalonego niby-jelenia, kopiąc po drodze mosiężne łuski. Szturchnąłem go nogą w owłosiony bok. Ciężki, jak każdy martwy jeleń. Odwróciłem się do Krissy, pytając:

– Widzisz to?

Pokiwała głową, wciąż z oczami jak spodki.

– Och, patrz! – jęknął John. – Patrz na jego zadek!

Zadek jelenia topił się, rozlewając po posadzce niczym gorący wosk. Nie trwało to nawet minuty, kiedy całe jego tylne kończyny zmieniły się w brązową kałużę na podłodze, żebra zapadły się do środka, jak przekłuty balon na paradzie w Święto Dziękczynienia. Kiedy przednie łapy i łeb też się spłaszczyły, płynna pozostałość po tylnych rozpuściła się na naszych oczach, pozostawiając suchą podłogę.

Jedna część jelenia nie rozpuściła się jednak, fragment w środku zwierzęcia, który wystawał teraz z różowobrazowego śluzu. Kostka. Pudełko o wymiarach sześć na sześć.

Sprawdziłem, szturchając stopą. Ciężkie. Kiedy maź rozpuściła się na nim, zobaczyłem, że to zielonożółte pudełko z napisem...

– Naboje do strzelby – powiedział John. – Szkoda, że nie mamy...

Urwał w pół zdania, gdy jego wzrok spoczął na samotnej, drewnianej skrzyni stojącej przy ścianie, najpewniej wypełnionej kafelkami lub zwojami kabli, czy innymi częściami zapasowymi.

John kopnął kilka razy mocno w skrzynię, rozbijając deski w drzazgi. Zanurzył dłonie w otwór i wyciągnął jakiś długi, ciemny przedmiot z metalu i tworzywa, który, jak już odgadłem, był strzelbą.

W ciemnościach rozległ się warkot, a po nim drapanie pazurami. Wieloma pazurami.

Ścisnąłem pusty pistolet w dłoni, celując nim jak kretyn w ciemność. John gorączkowo ładował strzelbę.

– No nie, niech pan patrzy, która godzina! – wykrzyknął Arnie wstając z miejsca i zbierając się do wyjścia. – Panie Wong. Ubawiłem się, jak już dawno nie, podczas rozmowy z panem. Ale będę musiał już zniknąć, bo mam przed sobą sześć godzin jazdy. Artykuł pewnie nie ukarze się w przyszłym miesiącu, ale szybko. Może zechcą umieścić go na halloween, sam pan rozumie.

– Arnie, proszę. Przejechałeś taki szmat drogi. Nie odchodź teraz, myśląc sobie to, co myślisz.

Wyciągnął kluczyki do samochodu z kieszeni.

– Nie przyjechałem tu nikogo oceniać, jak już wspominałem. Strzelba, ej, pewnie zostawili ją dekarze. A może jeleni miał już dość miejscowych myśliwych i zjadł jednego z nich, razem z nabojami, które ten biedak miał w kieszeni.

Wyciągnął cygaro z wewnętrznej kieszeni marynarki i wsadził je sobie do ust.

– Nie, nic z tych rzeczy. To coś w Wexlerze miało moc, pozwalającą przyzywać te szkaradzieństwa by, jak sądzę, próbować nas zabić. Ale myślę, że Wexler wciąż był w środku i ciągnął za drugi koniec sznura, chcąc się wydostać. Jak wiesz, był na sosie i wykorzystywał to do swoich celów.

– Po tym, jak opowiedział mi pan tę historię z wyprawą do Vegas, pamięta pan jak powiedziałem, że to najgłupsza opowieść jaką słyszałem?

– Nie powiedziałaś tego.

– Cóż, ale pomyślałem. Ale teraz stwierdziłem, że powinienem przeprosić historię z Vegas, bo przy tych ostatnich rojeniach wygląda niczym „Grona Gniewu”. No to do zobaczenia.

Arnie skierował się do wyjścia. Poszedłem za nim, zatrzymując się na chwilę, by pośpiesznie zapłacić za posiłek.

– Poczekaj – wyjąkałem, kiedy on pchnął drzwi. – Mam, no wiesz, wszystkie dokumenty na temat hyundaia i wypadku. Goście z firmy ubezpieczeniowej zrobili zdjęcie miejsca zdarzenia i cóż, niewiele z tego wynika, ale bardzo dokładnie wszystko opisali, włącznie z karaluchami. Wróciłem tam na drugi dzień rano i zabrałem rękę, zbitek robaków w kształcie, no, połączonych palców. Mam ją w domu...

Żadnej reakcji Arniego. Nawet nie skinął głową.

– W mojej szopie mam słój. Mogę ci go pokazać. Kto chciałby coś takiego podrabiać? Siedzieć w domu i sklejać ze sobą karaluchy? „Skarbie, co robisz?”. „Och sklejam sobie rękę z karaluchów. No wiesz, żeby zostać sławnym i żeby prasa zaczęła mi wierzyć.”

Arnie odezwał się:

– A ten chłopak, co mówił pan, że go zabił podczas wyprawy do Vegas? Fred Chu? Powiedzmy, że to sprawdzę, fakty dotyczące jego zniknięcia.

Zawahałem się.

– Zrób to. Wszystko jest w aktach. Ciągle powtarzam, że mówię ci prawdę.

– A więc przyznaje pan, że go zabił?

– Nieoficjalnie przyznaję, taaa.

– A ten drugi chłopak, który zginął, Wielki Jim...

– On też naprawdę nie żyje. Możesz sprawdzić.

– Już sprawdziłem. Ale Wielki Jim mógł pójść do glin w sprawie Freda, mam rację? I powiedzieć, że to pan go zastrzelił? Nie był raczej tym faktem zachwycony.

– Ja... nie wiem. Nigdy się tego nie dowiemy.

– W takim razie dobrze się wszystko dla pana ułożyło, że Wielki Jim zginął, mam rację?

– Pierdol się.

– Nie dostrzegasz tego? Wong, w twojej historii aż roi się od gównianych wstawek, ale są też fragmenty całkiem realne, fragmenty, które można potwierdzić. I wszystkie dotyczą przestępstw.

Martwy chłopak. Zaginiony chłopak. Zaginiony gliniarz. Może więc wyświadczyliśmy sobie nawzajem uprzejmość i udamy, że tej rozmowy nie było? Bo nie jestem pewien, czy mam ochotę słuchać dalszego ciągu.

Otworzył drzwi białego cavaliera i wszedł do środka.

– Poczekaj!

Podbiegłem do samochodu, okrążyłem go, stanąłem od strony pasażera i delikatnie stuknąłem w szybę dłonią. Arnie zawahał się, ale sięgnął do klamki i otworzył drzwi. Wsunąłem się do środka.

– Mogę usiąść?

Jeszcze raz się zawahał, nie mając ochoty przedłużyć spotkania, ale też nie wiedząc za bardzo, jak ma się mnie pozbyć. Może bał się, że jestem niebezpiecznym przestępcą gotowym dostać morderczego szału, gdy mi się czegoś odmówi. Obiema rękami podniósł naręczne notesów i teczek z fotela pasażera. Wsunąłem się do wnętrza i opadem stopy na podłodze między stertą sprzętu rejestrującego i kaset.

– O, proszę – powiedziałem. – Zobacz – wyciągnąłem złożoną kartkę z kieszeni. – Nosilem ją w spodniach przez cały dzień, więc jest trochę pomięta i, no, wilgotna, ale da się odczytać. Zrobiłem ksero z książki doktora Marconiego.

strona 192

NAUKA I NIE TYLKO

dr Albert Marconi

...wyglądający jak słoik marynowanych jaj pożartych, a następnie wyrzyganych przez goryla.

Dziwaczny plemienny rytuał odprawiano na cześć bóstwa, którego imię w moich uszach zabrzmiało jak „Koddock” (plemię nie znało języka pisanego). Powiedziano mi, że każdy współplemieniec nosi znamię tego boga i pozwolono mi być świadkiem ceremonii inicjacji, jaką przechodzi każdy członek wspólnoty wchodząc w wiek męski.



Młodego, nagiego mężczyznę siłą położono twarzą do dołu na macie. Kapłan wyciągnął gliniane naczynie, zawierające wijące się czerwie gzów. Larwy umieszcza się na plecach młodzieńca, układając je w symbol Koddocka. Następnie wgryzają się w górną partię skóry na niewielką głębokość. Powiedziano mi, że larwom pozwala się, zgodnie z rytuałem, pozostać w ciepłych, wilgotnych tunelach na plecach młodzieńca przez siedem dni. Jeśli młodzieniec podda się i zacznie drapać swędzące mocno miejsce, nie ukończy sprawdzianu męskości i będzie musiał czekać cały rok na kolejną próbę.

Siódmego dnia kapłan wyciąga larwy z kanalików i leczy ranę. Zostają po niej blizny kanałów wyżartych przez czerwie. Te blizny tworzą „znamię” Koddocka. Kapłan pokazał mi symbol po zakończonej inicjacji i fajka, dosłownie, wypadła mi z ust.

Ponownie, przypominało to literę n tylko obróconą o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Taki sam symbol widziałem na rysunkach dziecka z Manchesteru, powstałych podczas transu kilka miesięcy wcześniej.

Kiedy tylko wróciłem do Limy, zadzwoniłem do doktora Haleine, egiptologa. Krzycząc do siebie z powodu złego połączenia, rozmawialiśmy przez jakiś czas, a on jeszcze raz opisał mi hieroglif, jaki odkrył na swoich wykopaliskach niemal siedem i pół tysiąca mil od miejsca, w którym przebywałem.

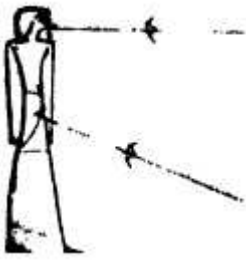
Byłem tak zaskoczony tym, co mi powiedział, że nie mogłem ustać na nogach. Siedząc na podłodze w hotelowym pokoju rozważałem niezwykle anormalność tej rewelacji i musiałem szukać natchnienia w butelce.

strona 193

NAUKA I NIE TYLKO

dr Albert Marconi

Haleine wyjaśnił mi, iż istniał pewien egipski bóg Kuk, który był już znany egiptologom (w ósemkowej kosmogonii Kuk był podobnym do ropuchy bogiem, przedstawicielem mroku i chaosu). Haleine jednak utrzymywał, że natrafił na kult czci oddawanej jego porywczemu i groźnemu synowi Kor'rokowi. Symbolicznie przedstawiano tego boga jako mężczyznę trafionego dwiema włóczniami – jedną w usta i drugą w krocze – bliźniacze ośrodki pragnień rodzaju ludzkiego.



W mitologii kultu Kor rok był bezlitosnym i okrutnym panem niewolników, który wykorzystywał ludzkie żądze, by wciągać ich w zasadzkę na własną zgubę, wyłącznie dla własnej uciechy.

Hieroglif doktora Haleina i symbol – „Koddocka” skopiowany do mego notesu, po przyłożeniu do siebie miały niemal identyczny kształt. I tak, mieliśmy trzy różne narody żyjące po przeciwnych stronach Ziemi, oddzielone oceanami wody i czasu, które niezależnie od siebie oddawały cześć temu samemu bóstwu.

Był to najbardziej namacalny dowód na istnienie nadprzyrodzonego, jaki kiedykolwiek odkryła nauka.

Na drugi dzień wróciłem do wioski. Przybyłem tam tak podekscytowany, że kapłan nakazał kilku silnym mężczyznom przytrzymać mnie i napił mnie jakąś miksturą, „by ochłodzić rozpalone węgle w mojej głowie”. Po jakimś czasie znalazłem się sam na sam z kapłanem i zapytałem go o Koddoka i ten symbol.

Powiedział mi, że symbol przedstawiał samego boga Koddoka. Koddok był młodym bogiem, jak mówił, w gorącej wodzie kąpanym, skłonny do wybuchów gniewu, jeśli coś szło nie po jego myśli. Wertykalna linia przedstawiała jego ciało. Górna linia horyzontalna przedstawiała strugę wymiocin, a druga linia strumień moczu. Bo, rozumieją państwo, szczep wierzył, iż Koddok pił na umór, a kiedy był pod wpływem alkoholu, wtrącał się w ludzkie sprawy i wywoływał wielki zamęt i zniszczenie. W taki właśnie sposób ten szczep interpretował przyczyny wszystkich cierpień i nieszczęść na świecie.

Arnie spojrzał na kartkę i westchnął głęboko.

– Widzisz? To jest Korrok. Ten symbol był na łapie Molly, taki sam jest na..., słuchaj, to ty jesteś dziennikarzem, a to są niezależne źródła, potwierdzające to samo zdarzenie. Nieważne, czy jestem wariatem, to jest dowód, prawda?

– A cóż ja mam powiedzieć, Wong? Czego ty ode mnie chcesz?

– Chcę, żeby ktoś się o tym dowiedział. Muszę wydobyć to na światło dzienne. Zanim... – potrząsnąłem głową. Zabrakło mi słów.

– Zanim co? Potwór złapie cię w ciemnej alejce i zje na kolację?

Powiedz mi o Amy.

– Nie, nic z tych rzeczy. To znaczy, istnieje taka ewentualność, ale jest coś ważniejszego niż to. Arnie znów westchnął.

– Po prostu posłuchaj – powiedziałem nieco błagalnym tonem. – Po prostu posłuchaj jeszcze trochę i wszystko stanie się jasne. Zrozumiesz, o jak wielką stawkę tu chodzi. Mówię poważnie.

Arnie westchnął i spojrzał przez parking.

– Nie mam za wiele czasu, Wong. Robi się późno.

– Wiem, ja tylko... chciałbym, żebyś nas dokądś zawiózł. Pojedziemy tam i będę ci mógł pokazać. Wszystko stanie się jasne, poznasz, co prawda, a co nie.

– Dokąd?

– Do centrum handlowego. Do galerii.

Długo patrzył na mnie ciężkim wzrokiem. Pewnie oceniał swoje szanse na obezwładnienie mnie, gdyby mi odbiło i gdybym próbował przegryźć się przez jego szyję. Najwyraźniej wysoko ocenił swoje możliwości fizyczne, bo przekreślił kluczyk w stacyjce i obudził silnik do życia.

– Skręć w prawo zaraz za wyjazdem z parkingu.

Odgłosy, szurających po posadzce łap rozbrzmiewały coraz głośniejsze w przepastnych korytarzach galerii. John przeładował strzelbę i uniósł ją do strzału.

„Sister Christian” Night Ranger zwolniło, zakrzusło się i zamilkło. Ghetto blaster wysłał ostatnie soki życiowe z baterii.

Pazury drapiące o podłogę.

Zbliżały się szybko.

Dwie szare, rozmazane sylwetki.

Były to dwa przerośnięte, mocno umięśnione kojoty ze zmatowiałą sierścią i ślepiami gorejącymi czerwienią. Oba zatrzymały się na nasz widok, sunąc jeszcze przez chwilę po kaflach siłą bezwładu. Ciężko dyszały, wypuszczając z pysków płomieniste kłęby.

Wszyscy troje skryliśmy się za skrzynią. John wychylił się ze strzelbą i oddał strzał, wyrывая kawał wielkości pięści z łba pierwszego kojota. Wystrzelił do drugiego, ale chybił.

Przeładował.

Wystrzelił.

Znów chybił.

Bestia rzuciła się na mnie, przewracając mnie niczym zawodowy futbolista. Stała na mojej piersi, dysząc na mnie oddechem, który przypominał swąd palonych kabli. Potwór zassał głęboko powietrze i wiedziałem, że wyżre mi teraz połowę twarzy.

Wystrzeliła czyjaś dłoń.

Waląc kojota w bok.

Krissy użyła paralizatora.

Poleciały niebieskie iskry.

Podbrzusze kojota nabrzmiąle płonącym tchnieniem eksplodowało niczym Hindenburg. Włochate kawały ciała uderzyły mnie w twarz, a w stronę szklanego sufitu zaczęła unosić się piękna, pomarańczowa kula ognia.

Podniosłem się z ziemi z rozpaloną, napiętą twarzą, strząsając oślizłe, czerwone szczątki zwierzęcia z siebie i klnąc w żywy kamień. Nie byłem pewien, czy to krew kojota, czy moje własne siki plamiły mi spodnie.

Coś ciężkiego odbiło się od mego buta. John błysnął latarką i oświetlił paczkę naboji.

Obok niej leżał klucz z wygrawerowanym numerem 1.

– Klucz – powiedział John, wsadzając ładunki do swej strzelby z charakterystycznym trzaskiem.

– Dobrze. Teraz, kiedy wiem o co biega – a myślę, że wiem – będziemy musieli poszukać drzwi, które otwiera ten klucz. Za nimi napotkamy całą czeredę potworów czy też, co bardziej prawdopodobne, całą bandę takich samych potworów. Zabijemy je, zdobędziemy kolejny klucz i tym otworzymy naprawdę duże drzwi. Ale przedtem, jak znam życie, dostaniemy naprawdę ładne spluwy. Może się to wiązać zwracaniem na to samo miejsce, co jest nużącym i irytującym zadaniem.

– Och, pierdol się – nie wytrzymałem. – Ja tu zostaję – usiadłem na ziemi, otworzyłem kartonową szufladkę w pudełku z amunicją i starałem się wsadzić jeden z naboji do magazynka mojego pistoletu. Pasował.

Ej, niby dlaczego nie, do diabła. Zacząłem wpychać naboje do magazynka, po jednym na raz. – Idź, znajdź sobie te swoje drzwi.

Metaliczny huk wypełnił korytarz.

Wszyscy ruszyliśmy do akcji, a pociski spadły z moich kolan i rozsypały się na wszystkie strony.

Przed nami coś wielkiego zleciało z sufitu, blokując nam pole widzenia. Metaliczny stukot urwał się w końcu w ogłuszającym huku, pod wpływem którego wszyscy podskoczyliśmy.

Ruszyliśmy do przodu, wyciągając przed siebie broń. Była to jedna z tych wielkich, zasuwanych od góry bram, jakie widuje się często w galeriach handlowych przed zamknięciem.

– Cóż – odezwała się Krissy – myślę, że to jest ta duża brama. Na dole, obok zamka, widzę dziurkę od klucza.

– Wszystko w porządku – powiedział John. – Wszystko według planu. Duże drzwi. Szybciej niż się spodziewałem, ale co tam. To oznacza, że za nimi jest szef. Wielki, zły łajdak – skupił się na Krissy. – Chcę, żebyś była na to przygotowana. To zło, które opanowało Wexlera. Nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, jaką formę przyjęło. Spodziewaj się macek. I całej masy ślepi. Albo tylko jednego oka. Nie wiem dokładnie czego mam się spodziewać, ale to będzie o wiele większy sukinkot niż te, które widzieliśmy do tej pory...

– Krissy!

Głos zza pleców. Odwróciliśmy się jak oparzeni, a ja odruchowo naciśnąłem spust. Tylko trzask iglicy. Nie przeładowałem.

Był to Wexler, miotający się w cieniach za naszymi plecami. Był bardzo blady, ale miał ludzki wygląd. Stałem, jak gdyby nigdy nic, z pistoletem w dłoni, aby zbytnio nie uwypuklać faktu, że niemal go zastrzeliłem.

Krissy ruszyła w jego stronę.

– Nie rób tego – powiedział. – Trzymajcie się ode mnie z daleka. On wróci. Wróci lada chwila.

Zgiął się w pół, zdjęty atakiem kaszlu. Krew bryzgnęła na podłogę.

– Gościu – odezwał się John – zabierzemy cię do szpitala, możemy cię ochronić i...

– Nie, słuchajcie. Ja już się kończę. Rozpadam się w środku. Kiedy wróci, nie utrzymam się. Co wy w ogóle wiecie o tym miejscu?

– Jeśli mówisz ogólnie o mieście – zaczął John – to daj spokój. Jesteśmy ekspertami w tej dziedzinie.

– Nie, nie. Mówię o tych drzwiach. O całym budynku... – atak kaszlu – ... o drzwiach pod nim, gdzieś tutaj. Sam nie wiem, gdzie. Schowanych. W tym budynku i w innych, jak sądzę.

– Tym możemy się zająć później – powiedziałem. – Gdzie jest człowiek cienia? Ten, no wiesz, ten potwór, który cię nawiedza? Gdzie on jest teraz? Za tą bramą?

– Wróci tutaj. Pozwólcie mu. Niech we mnie wejdzie. A potem zabijcie mnie...

Krissy krzyknęła:

– Danny, nie!

– Zabijcie mnie i spalcie moje ciało. Spalcie to całe miejsce na popiół. Odnajdźcie inne drzwi, jeśli gdzieś tu są, i też je podpalcie. W gruncie rzeczy możecie spalić całe miasto. Tak na wszelki wypadek.

– Drzwi? Nie rozumiem...

Danny zakaszłał, splunął, po czym zaczął kaszleć bez ustanku, zanosząc się i charkając. W końcu zemdłał.

Krissy podbiegła do niego, ale nie reagował. Wciąż oddychał, więc zaciągnęliśmy go pod ścianę i oparliśmy go o nią.

John i ja wycelowaliśmy w niego i czekaliśmy.

Krissy patrzyła to na jednego to na drugiego z nas i powiedziała w końcu:

– Co wy w ogóle *wyprawiacie*?

Spojrzeliliśmy z Johnem po sobie.

– Cóż... no wiesz – odezwałem się pokornie – czekamy, aż znów coś w niego wstąpi, żebyśmy mogli no, eee...

– Nie zrobimy tego.

Według mnie facet już i tak był na ostatnich nogach i kurczowo trzymał się życia jak teściowa skarpy, więc był to o wiele lepszy plan niż dać się pożreć temu okropieństwu, które czaiło się za drzwiami. Czyż nie powinniśmy uszanować jego ostatniej woli?

Nie byliśmy w stanie przekonać do tego Krissy. Wzięła klucz i zaczęła majstrować przy zamku wielkich drzwi.

Westchnąłem i podszedłem do niej, trzymając mocno pistolet w obu dłoniach. John odepchnął ją na bok i przyklęknął z jedną dłonią na ręczce do podnoszenia bramy.

Krissy wyjęła paralizator z kieszeni.

John podniósł na nas wzrok i powiedział:

– Trzymamy się razem. Szukajcie wrażliwego punktu, takiego jak oko, czy coś w tym rodzaju. Jeśli w pomieszczeniu są jakieś skrzynie to kryjcie mnie, a ja je pootwieram, żeby sprawdzić czy nie ma w nich czegoś w stylu granatnika, czy czegoś o podobnym wygarze. Jeśli któreś z was znajdzie wielkiego, zielonego, cętkowanego grzyba, schowajcie go na później. Możemy go jeszcze potrzebować.

Krew znów zadudniła mi w uszach, a pod czaszką zaszumiało niczym w oceanicznej muszli. Mrugałem co siłą, starając się rozproszyć mroczki pulsujące mi przed oczami.

Wiedziałem, że należy to zrobić, choć każdy skrawek mego ciała darł się wniebogłosy, by wycofać się i spróbować jutro, pojutrze, kiedy będziemy mieli większą przewagę, kiedy nie będę taki zmęczony, taki nerwowy czy gruby. Walczyłem ile sił, by znaleźć jakąś opokę tak, jak żołnierze w okopach myślący tylko o swych rodzinach czy też o sztandarze.

Mój wóz – przyszła mi do głowy szalona myśl. – Ten skurwysyn rozbił mój Wongmobile. I za to musi zakosztować śmierci.

Musiało to wystarczyć. Napominałem się w myślach, by miarowo oddychać, a John otworzył bramę, przetaczając ją po prowadnicach w górę, co zabrzmiało jak zgrzyt gąsienic czołgu.

Weszliśmy do wielkiego, ośmiokątnego pomieszczenia widząc kolejne witryny sklepowe, które miały mieścić punkty gastronomiczne. Na podłodze było sporo zeschniętych liści i kawałków szkła w miejscu, nad którym pękły szklane panele świetlika na suficie.

Nic ponadto.

John wskazał na lewo i powiedział:

– Sprawdź tam.

Nie zastałem tam potwora. Ale i tak stanąłem jak wryty, wydałem z siebie zduszony okrzyk i rzuciłem:

– Kuuuuurwa!

Na ścianie po lewej stronie zobaczyłem malowidło. Na ścianie, na suficie, na podłodze i na kantówkach łącznikowych ułożonych pod ścianą. Rozpoznałem styl.

Było to malowidło abstrakcyjne, a pomimo tego w dziwaczny sposób realistyczne. Był to trójwymiarowy obraz jednego kręgu zachodzącego na drugi w taki sposób, że zdawały się przemieszczać pod różnymi kątami. Podobnie jak pejzaż, który widziałem w sypialni Roberta Marleya, obraz zdawał się wciągać widza i nabierać szczegółów w miarę patrzenia.

To obraz czasu.

Oderwałem od niego wzrok i powiedziałem do Johna:

– Myślę, że twój jamajski znajomy tu był.

– Myślę, że tu mieszkał.

Wskazał mi brodą coś na kształt gniazda, z przedpotopowym śpiworem i pół tuzinem pustych, plastikowych skrzynek na mleko. Podłoga wokół wyglądała na pobojuwisko po krwawej bitwie między pustymi butelkami po Kapitanie Morganie i wyblakłymi papierami po batonikach.

Przypomniał mi się Wexleer, mający coś o ukrytych drzwiach. I teraz znaleźliśmy się w miejscu, w którym nasz kolo, nasz Pacjent Zero rozbił obóz wiele miesięcy temu. Poczułem jakby otaczały mnie kropki, których celowo nie chcę połączyć. Chciałem znaleźć się w jakimś przytulnym, oświetlonym miejscu, w którym mógłbym sobie to wszystko przemyśleć. Albo jeszcze lepiej, w ogóle o tym zapomnieć.

Poczłapałem na środek pomieszczenia, rozgniatając kawałki szkła i zeschnięte liście pod stopami. John zapalił papierosa i powiedział:

– Stary, jakby zalać to miejsce zimą i zamrozić wodę, można byłoby mieć wykurwiste miejsce do hokeja....

Wrzask zza pleców. Krissy wyrzaskiwała moje imię.

Huk wystrzału ze strzelby przeszył ciszę.

Odwrociłem się na pięcie, omiatając pomieszczenie z perspektywy przyrządów celowniczych pistoletu.

John krzyczał do mnie, wyrzaskując jakieś polecenia, których w ogóle nie rozumiałem. I wtedy to zobaczyłem – czarną sylwetkę sunącą nad podłogą niczym szykowna reklamówka miotana porywistym wiatrem. Dostrzegłem ją, zgubiłem, znów zobaczyłem i nagle...

Zniknęła. Odwróciłem się dookoła. Ani śladu. John i Krissy patrzyli na mnie z przerażeniem w oczach.

– Już dobrze! Nic mi nie jest! Dokąd poszedł?

Czułem się doskonale, teraz kiedy sobie o tym przypominam. Szczerze mówiąc, wspaniale. Adrenalina musiała zrobić swoje, bo wszelkie strachy zniknęły w jednej chwili.

Jakby ktoś zdjął z moich myśli woal niewiedzy.

John i Krissy. Dwójka z sześciu miliardów ludzi na naszej planecie. Jeden Amerykanin, jak słyszałem, pochłania tyle kalorii, że mógłby utrzymać przy życiu czterdzieścioro afrykańskich dzieci.

John zwykle spalał pół galona benzyny, aby kupić paczkę papierosów. Dziewczyna kupowała specjalny szampon dla psa, a dzieci w Somalii głodowały. Rozpraszała poczucie winy złotym symbolem na szyi, nachodzącymi na siebie paskami złota, ostatnią rzeczą jaką widziały miliony, zanim wyrwano im kończyny średniowiecznymi machinami tortur. Stały przede mną dwie szarańcze, dwojąc się i trojąc w swej pomysłowości.

Ależ ze mnie pojebany wał.

– Eee... Dave?

John zaciągnął mnie tu nie bez powodu: jego żądza zwrócenia na siebie uwagi domagała się nowych i silnych doznań, ogniw łańcucha odwrócenia równowagi, aż do dnia, kiedy w końcu zapije się na śmierć.

I dziewczyna – mógłbym ratować jej życie dziesiątki razy, a ona i tak wdrapie się na wyro faceta, który ma doskonałe oko i obieca je karierę w telewizji. Nigdy w życiu nie zanieczyściłaby swojego drogiego materiału genetycznego moim pospolitym DNA.

Kiedy w końcu stawię opór światu, który chce mnie wyssać do cna?

– Dave, słyszysz mnie?

Bez słowa zrobiłem krok w stronę tej parki. Kopnąłem jakiś metalowy przedmiot. Był to zardzewiały nóż do tapet z calowym ostrzem wystającym z rękojeści. Wepchnąłem go do kieszeni, bo pomyślałem, że jeszcze będę go potrzebować.

Z bronią u boku, wycelowaną niewinnie w podłogę, poszedłem w stronę dziewczyny i poczułem radość, widząc otepiający strach wyzierający z jej oczu, wyraz twarzy, który roztrzaskiwał te wyrzeźbione, porcelanowe rysy niczym młotem.

Czy kiedykolwiek naprawdę się czegoś bałaś, księżniczko?

Miałem sekundę, by spojrzeć na Krissy od szyi w dół, na te wszystkie idealnie napięte mięśnie, miękkie zaokrąglenia pod aksamitną skórą. Zarys idealnych, niewielkich piersi pod bluzą. Nagle wpadł mi do głowy pomysł dotyczący tej dziewczyny, który dla mojej kuśki był wart nagrody Nobla.

Kroki.

John, biegnie w moją stronę.

Okręcam się w miejscu.

Unoszę broń.

Strzelam mu w głowę.

Leci do przodu i pada twarzą na posadzkę, a fontanna kropelek krwi szybuje lukiem w powietrzu.

Ruszam w jego kierunku, żeby wbić drugi, trzeci i czwarty pocisk w jego mózg.

Jakiś ruch za mną...

TRACH. BZZZZZZUT. TRACH. TRACH!

Ból.

Odgłosy strzelania. Jakby popcorn.

Każdy mięsień w moim ciele zaciska się niczym pięść, a potem rozwiera się bezwładnie. Kafelki na podłodze powiększają się i walą mnie w twarz.

Leżę sobie ze sklejką wciskającą mi się w policzek, widząc świat z perspektywy żaby. Jestem sparaliżowany i w mózgu mi się kotłuje.

Zdaje się, że Krissy powinna sobie kupić nowe buty. Ej, patrz! Przydeptany pet na podłodze!

Czuję jak ktoś wykręca broń z moich palców. Z wielkim wysiłkiem odwracam głowę na tyle, by podnieść wzrok i zobaczyć Krissy trzymającą mnie na muszce i sprawdzającą co z Johnem. Drgnął, poruszył się, usiadł.

Zdjął flanelową koszulę i przycisnął ją do mokrej rany na głowie, a jego włosy zmatowiła świeża krew.

Pomogła mu wstać. Stanęli nade mną, Krissy z paralizatorem w ręce.

Staralem się poruszyć. Pojedyncze mięśnie zaczęły się kurczyć na mój rozkaz, ale nie byłem w stanie skoordynować ich pracy.

John z zakrwawioną szmatą przyciśniętą do głowy patrzył mi prosto w oko.

– David, jeśli to w ogóle jeszcze ty, będziesz wiedział dlaczego to robię. Jesteś tam?

Napotkałem jego spojrzenie. Staralem się odezwać, wypróbować na kilku słowach zdolność poruszania ustami.

– John... John, ja rozumiem i przykro mi. Nie wiem, co mnie napadło. Słowo. Ale teraz wraca mi zdolność myślenia. To ja. Nie pozwól jej mnie zastrzelić, dobra?

Przyglądał się mojej twarzy. Ogarnąłem całą sytuację z narastającą grozą.

– John – powiedziałem, wpatrując się w niego błagalnie – proszę cię.

Potrzebowałem tylko, by się odwrócił. Miałem nóż do tapet. Wystarczyło schować go w dłoni i mógłbym szybkim, zdecydowanym ruchem poderżnąć mu gardło. Użyć go jako tarczy, zabrać pistolet dziewczynie. A potem, pod lufą pistoletu, zrobią wszystko, czego zażądam.

Wszystko będzie dobrze.

John odsunął Krissy na bok. Szeptali coś do siebie, a ona cały czas trzymała mnie na muszce, choć broń chwiała się w górę i w dół w jej delikatnej dłoni.

Staralem się poruszyć nogami. Czulem je, ale nie mogłem zmusić do posłuszeństwa. Zacisnąłem zęby tak mocno, że czulem jakby pękały.

Muszę wyluzować, pomyślałem. Nic nie słyszałem, ale teraz mówiła głównie dziewczyna, suka starała się nakłonić Johna do czegoś złego. On w końcu przystał na to i wrócił, by znów na mnie spojrzeć.

– Dave, myślę 'sobie tak. Myślę, że to co było wcześniej w Wexlerze, przeszło na ciebie. Może wciąż tam jest, a może nie. Słuchaj, zrobimy coś z tym teraz. Krissy da mi broń, a ja ją w ciebie wyceluję. Nie obrażaj się, to nic osobistego. A na dokładkę przyciśnie to elektryczne ustrojstwo do twojej skóry. Więc się nie ruszaj. Wiesz, że cię nie zabiję, Dave, ale jeśli skoczysz, by ją złapać albo zrobisz coś równie głupiego, ona cię sparaliżuje, a ja postrzelę cię w udo. A potem podejdę do ciebie blisko i skopię cię po jajach.

Nie okazałem żadnych emocji, tylko pokiwałem głową.

Uruchom ręce, trzeba je rozruszać. Odbierzesz paralizator dziewczynie i unieruchomisz przy jego pomocy Johna. Ruszaj się, ruszaj, ruszaj...

Czując przypływ energii w prawym ramieniu, mogłem poruszyć wszystkimi jego mięśniami. Byłem pewien, że jestem w stanie zmusić je do działania.

Skupiłem całą swoją uwagę na przygotowaniach do szybkiego, brutalnego ruchu ręką. Walnięcie w grdykę tak, żeby upuściła paralizator.

Krissy podała pistolet Johnowi. Obeszła mnie, lewą ręką przyciskając paralizator do mojego barku.

Prawą sięgnęła do szyi i zdjęła złoty wisiołek, ten z krzyżykiem.

Co do...?

Rzuciła mi wisiołek na głowę w tym samym momencie, kiedy zrobiłem zamach pięścią...

Coś ścisnęło mnie gwałtownie w żołądku. Moja dłoń zamarała w pół drogi.

Trucizna. Pokryli to paskudztwo jakąś toksyną, która teraz przenika przez moją skórę jakby ktoś mi przykleił plaster antynikotynowy, wcieka mi do krwiobiegu, przeżera się przez płuca i wątrobę jak stężony kwas...

Odrzucało mnie od niej i wyciągnąłem ręce do góry, ale moja koordynacja ruchowa była teraz jeszcze bardziej zaburzona niż po ładunku elektrycznym z paralizatora. Wyrываłem się jak szczeniak. Moje ciało zatracalo się w konwulsjach, organy wewnętrzne telepały się wewnątrz, jakby miały zamiar dać nogę z więzienia moich bebechów.

Padłem na ziemię, mocno.

Dłonie na moim ramieniu.

Miękkie dłonie. Dziewczyna.

Wszystko się zatrzymało w miejscu.

Napad, czy cokolwiek to do cholery było, urwało się gwałtownie. Byłem zmęczony, zdezorientowany. Mrugałem, starając się zobaczyć, gdzie się znajduję.

Usiadłem i zobaczyłem, że dziewczyna chwieje się na nogach, jakby ktoś walnął ją w głowę gazurką i całkowicie skołowana zatacza się. Stojąc tak na chwiejnych nogach, zgięła się w pół i dyszała ciężko. Zwymiotowała na podłogę.

Miałem ochotę na to samo. Czuję to oślizłe uczucie w żołądku, jakbym miał się pozbyć czegoś nieczystego, jakbym wypluł z siebie tasiemca. I wtedy dopadło mnie to obezwładniające, obmierzłe poczucie winy, uczucie człowieka, który trzeźwieje już na tyle, aby uświadomić sobie, że właśnie wydymał matkę swego przyjaciela.

John patrzył przerażony na Krissy. Odwrócił się do mnie, a na jego twarzy widać było pytanie i podejrzliwość.

– No i czego się na mnie gapisz? – krzyknąłem. – Pomóż jej, ty dupo wołowa!

John skinął głową, najwyraźniej upewniwszy się, że nic mi już nie jest. Krissy wręcz przeciwnie. Krzyczała. Padła na kolana, po czym przewróciła się w konwulsjach na plecy. Podniosłem się z ziemi i poszedłem w jej stronę. John chwycił mnie za kurtkę, przytrzymał.

– Nie! – krzyknąłem. – To weszło w nią! To stało się nią! Pozwól mi ją dotknąć, niech znów przejdzie na mnie, żebyś mógł mi przestrzelić skroń.

– Nie ma takich zwierząt.

– To ją wykańcza!

– Nie. Wcale nie. To ona wykańcza tego skurwysyna.

– Co takiego?

Krissy podniosła na nas wzrok różowych z przekrwienia oczu, a jej mokre od potu włosy zwisały w strąkach. W tym spojrzeniu widać było czarną, głęboką nienawiść tak wielką, że odebrałem to jak cios w żołądek.

Nigdy nie wdziałem spojrzenia na ludzkiej twarzy, które choćby w przybliżeniu było podobne do tego, co miałem przed oczami. Spoglądało na mnie stworzenie o nienawistnej, obcej inteligencji, wyzutej ze wszelkiego współczucia, irracjonalnej i przerażającej do szpiku kości.

Korrok jest mym jedynym panem.

Błękitne oko, w ciemności.

Przejmuje nad tobą władzę, tak jak nad karaluchami.

Miałem ochotę zwinąć się w kłębek i zostać tak w pozycji embrionalnej, zacząć ssać kciuk, wypuszczając hektolitry łez i wyciekającą ze mnie kałużę śliny.

Przepraszam. Staralem się żyć, starałem się odczuwać. Nie potrafię. Nie mogę żyć w jednym wszechświecie z tą istotą.

Znów krzyknęła, bardzo głośno. Tak głośno, jak diva operowa. Niewyobrażalnie głośno. Chwyciła się za włosy i zacisnęła mocno powieki. Wokół nas wybuchnął dźwięk, długi ryk oceanicznej fali, rozbijającej się o nabrzeże. Odłamki szkła waliły mnie w szyję.

Setka szyb w świetliku eksplodowała jednocześnie, wzbudzając koncentrycznie rozchodzącą się falę dźwięku, która niczym zmarszczka na spokojnej toni rozprzestrzeniła się gwałtownie na skutek podmuchu huraganu. Szkło spadało na nas rzęsistym deszczem, grzechocząc głośno, gdy odłamki spadały na kafle podłogi oraz na nasze głowy i ramiona.

Cisza. Leży bez ruchu.

Łuaaa. Nie żyje.

Nie... pierś się porusza. Oddycha.

RUSZAJ SIĘ! RUSZAJ!

John ciągnie mnie za rękaw, podnosząc jednocześnie Krissy z ziemi.

Za nią spada metalowy wspornik.

Pomieszczenie rozpada się na kawałki. Biegniemy, wyciągając dziewczynę z sali. Kratownice z sufitu, mocowania świateł, kable, deski i szkło spadają na dół potężną lawiną.

Dajemy nura przez bramę, lądując na tyłkach. Za nami cały sufit restauracyjnej odnogi centrum handlowego wali się, a odłamki przelatują obok nas w fali skondensowanego powietrza.

Krissy stara się usiąść i wygląda na skrajnie wyczerpaną. Wyciera pył z oczu.

Zdejmuję łańcuszek z szyi i oddaję jej. Bierze go bez wahania i zakłada na szyję.

– Złamała dziada – powiedział John. – Przeczekała go, jak gorączkę. Przeszedł od ciebie na nią, ale nie był się w stanie w niej utrzymać.

Skierował swą uwagę na dziewczynę.

– Jak się czujesz?

– Jakbym zaraz miała zasnąć na tysiąc lat.

Mój pocisk musnął czaszkę Johna i choć mówił, że nic mu nie jest, ale, cholera, mocno krwawił. Zwinięta koszula, którą przytrzymał ranę, była cała nasączona krwią.

Krążyliśmy po galerii w poszukiwaniu Molly i kolejnych potworów. Ani jednego, ani drugiego.

Krissy została z Wexlerem i zadzwoniła po karetkę z komórki. Upierała się, że facet żyje, choć nie widać w nim najmniejszych nawet objawów życia. Później, kiedy w oddali słysząc już było pierwszą syrenę karetki, Wexler odzyskał przytomność na tyle długo, by uśmiechnąć się do Krissy i palcami odgarnąć kosmyk jej włosów z czoła. Mówił do niej coś, czego nie słyszeliśmy, ale to i tak nie nasza sprawa.

Zjawili się sanitariusze i zadawali wiele, bardzo wiele kłopotliwych pytań. John powiedział im prawdę. I chcę tu podkreślić, że słowo w słowo – że został nawiedzony, i że przy zabijaniu demona zniszczyliśmy całe centrum fast foodów w galerii. Odmówili mu pomocy lekarskiej.

Po odjeździe karetki poszliśmy do wozu Krissy. Spytała Johna:

– Nie chcesz, żeby ci opatrzili głowę?

– Eee tam, to tylko zadrapanie. I tak chciałem sobie ogolić łeb na zero. Odwieszysz Danny ego do szpitala?

– Taaa. Ale... jest coś, co powinnam zrobić najpierw. Prosił mnie, żebym obejrzała jakąś taśmę. Wicie, o co tu chodzi?

Odpowiedzieliśmy jednocześnie – ja powiedziałem „nie”, a John „tak”.

– Chodzi o film, który nakręcił – odpowiedział John. – W swoim mieszkaniu.

Pół godziny później Krissy zasiadła na kanapie w mieszkaniu Wexlera, a John przewinął taśmę do początku i włączył ją.

– Cześć skarbie. Jesteś tam? Odpowiedz jak jesteś.

Krissy spojrzała na nas zdezorientowana. Nie potrafiliśmy jej pomóc. Ponownie odwróciła wzrok w stronę ekranu i czekała.

– Po prostu się przywitaj.

– Ee, cześć – powiedziała Krissy z zażenowaniem. Po policzku ciekła jej łza. – Danny. Strasznie wyglądasz...

– Wiem. To były ciężkie dwa tygodnie.

Mówił Danny całe trzy godziny przed tym, zanim Krissy zrobiła tę uwagę.

– Skarbie, zrobiłem coś naprawdę głupiego. Wplątałem się w coś. W coś, czego nie jesteś sobie w stanie wyobrazić.

– Co takiego? – spytała Krissy, szlochając. – W co się wpakowałeś?

– Gdybym wprowadził cię w szczegóły, żałowałabyś tego – powiedział. – Ale ja wiem już, że nie jestem sobą. Przychodzę i odchodzę, i teraz nic mi nie jest, ale muszę toczyć bój o każdą sekundę zachowania kontroli. To wyczerpujące. Skarbie, to zabiera mi tyle energii, żeby być na górze, na powierzchni, przy sterze. Kiedy się tylko odprężam, to przejmuje władzę. I przejmie. A ja będę tylko tego świadkiem. Bezradnym świadkiem.

Głos mu się załamał i zaczął szlochać. Podobnie jak Krissy, która była na skraju załamania nerwowego.

– Nic ci nie jest? – zapytał, łapiąc urywany oddech. – Czy w jakiś sposób ucierpiałas od tego wszystkiego?

– Nic mi nie jest. Dojdę do siebie. Tylko to wszystko jest takie dziwne.

– Ja nawet nie wiem, jak mi się to udaje, wszystko to. Tu i teraz. Widzę różne rzeczy, słyszę głosy z czasu i przestrzeni i... lepiej żebyś zapomniała o tym wszystkim, Kris. Lepiej przeżyć

resztę życia w przeświadczeniu, że takie rzeczy w ogóle nie są możliwe. Ale są jeszcze inne sprawy, o których muszę ci powiedzieć. Sprawy, o których chciałem ci powiedzieć już dawno. I gdybym wciąż żył, to pewnie nie miałbym odwagi powiedzieć ci tego osobiście. Ale najpierw...

Oczy Wexlera uciekły gdzieś w bok. Zimny dreszcz przebiegł mi po Patrzył wprost na mnie.

Przesunąłem się w lewo o metr, ale jego oczy podążyły moim śladem. Powiedział:

– To ty jesteś David Wong?

Nie! Powiedz, że nie!

– No taaak... zdaje się, że tak.

Konferencja wideo w czasie. Matko, jak mi się chce ciasta, i to już.

– Nie znam wszystkich szczegółów, bo teraz... miesza mi się trochę w głowie. Ale ma cię na oku. Rozumiesz, co chcę powiedzieć, prawda?

W ogóle nie potrafiłem tego skomentować. W ustach mi zaschło i wargi się skleiły.

– David, tylko ty jeden wiesz jaka jest stawka w tej grze.

Tysiące pytań pojawiło mi się w głowie, ale byłem w stanie tylko rozchylić lekko usta i powiedzieć:

– Ale... ja nie... – i zamilkłem.

– Kris i ja chcemy teraz porozmawiać w cztery oczy, dobrze? Cieszę się, że udało się wam przeżyć.

Wyłączyłem się od propozycji Johna, by zostać u niego na noc i wypić w jego towarzystwie morze piwa. Byłem głodny, ale musiałem się najpierw czymś zająć.

Wsiadłem do taksówki, pojechałem do McDonalda i kazałem się wyrzucić na parking.

Wziąłem głęboki wdech, uzbroiłem się we wszystko co mam i zbliżyłem się do reklamy. Modliłem się, żeby wyglądała normalnie.

A gdzie tam. Widziałem Ronalda jak chlasta, wywleka swoje flaki i pożera je. Poczułem coś sztywnego w kieszeni kurtki i wyciągnąłem nóż do tapet, o którym już całkiem zapomniałem. Rzuciłem go na ziemię jakbym dotknął grzechotnika, po czym podniosłem go dwoma palcami i wrzuciłem do śmietnika.

Znów spojrzałem na reklamę.

Byłem głodny.

Sama restauracja była zamknięta, ale mieli czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę okienko dla kierowców. Podeszedłem do niego i, drżąc w chłodnym jesiennym powietrzu, zamówiłem dwie kielbaski.

Usiadłem na krawężniku po drugiej stronie parkingi i, patrząc przez cały czas wprost na reklamę, zjadłem je obie.

Arnie zatrzymał się na porośniętym chwastami poletku, które byłoby parkingiem centrum handlowego, gdyby robotnikom udało się położyć płyty.

– A więc – powiedział Arnie – chrześcijańskie miętówki, krzyże, Biblie. Ta cała rozwlekła opowieść miała wyłącznie na celu skłonić mnie, żebym zapnumerował „Guideposts”, czy nie tak? Zostawisz mi ulotki z obrazkami Jezusa, a potem zaczniesz opowiadać swoją historię kolejnemu grzesznikowi? Nie musiałeś tak kluczyć, Wong.

– Nie. To wszystko, krzyże i cała reszta albo działa, bo my myślimy, że zadziała, albo dlatego, że upiorne bandziory myślą, że to na nich skutkuje. A może jest jakaś siła, do której można się odwołać, jeśli ktoś wie jak.

– To jakaś scjentologia, czy tak?

Odpowiedziałem:

– Nigdy więcej nie widziałem ani Krissy ani Wexlera. Nawet w telewizji. Wyprowadzili się z miasta kiedy tylko on wyszedł ze szpitala. Razem. A więc tak, posuwał ją.

Zmrużył oczy, patrząc na rozpostarty przed nami szkielet galerii handlowej i zapytał:

– To jest to miejsce?

– Myślisz, że w jednym miasteczku mogą być takie dwa?

Przebiegłem dłońmi po włosach i wpatrywałem się w zaciemnione oczodoły rozsypującej się galerii, w miejscach gdzie powinny być okna. Usłyszałem cichy odgłos plastikowej plandeki walącej gdzieś na wietrze.

– Boisz się, Arnie?

– A powinienem? Czy to nawiedzone miejsce?

– To nie jest takie proste. Wolałbym, żeby tak było. Mówisz „nawiedzone”! wyobrażasz sobie ducha jakiejś starszej pani wałęsającego się bez celu i sensu. Te istoty, które pojawiały się tu i zniknęły, ja nawet nie wiem czy były ludzkie. A może tylko tego nie pamiętały. Postaraj się sobie wyobrazić Hitlera czy też Vlada Palownika, czy nawet starego, wrednego dziada w tej ruderze, który kradnie ludziom koty i zakopuje je żywcem. A teraz wyobraź sobie to samo, ale bez żadnych ograniczeń. Bez ciała, które może zginąć, zniszczyć się czy zmęczyć. Daj im cały czas wszechświata. Wyobraź sobie tę złośliwość, tę głupią czarną masę nienawiści wędrującą przez nieskończoność, która wciąż wypływa na wierzch, pojawia się niczym płomień na jeziorze ropy naftowej.

Arnie czekał aż rozwinę temat. Nie rozwinąłem.

Uświadomiłem sobie nagle, jak trudno mi będzie zrelacjonować to, co było dalej. Ale kolejny fragment zabrzmiał nieco jak spowiedź.

Wysiadłem z samochodu i poszedłem w stronę betonowej rampy, która miała być stacją wyładunkową dla poronionej galerii handlowej. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi od strony Arniego i wiedziałem, że idzie za mną.

Powiedziałem:

– W mieście mieszkała pewna dziewczyna. Zniknęła w zeszłym roku. Nic wielkiego, ale możesz to sprawdzić.

– Niech zgadnę. Byłeś ostatnią osobą, która z nią rozmawiała.

Nie odpowiedziałem. Wspiąłem się na rampę przeładunkową i dotarłem do bramy, powitany dobrze znanym zaduchem stęchlizny i moczu.

Rozdarłem pasek żółtej taśmy ostrzegawczej i wszedłem do chłodnej ciemności za nią.

– A teraz, to zabrzmia naprawdę jak czyste wariactwo...

Rozdział 10.

Zaginiona dziewczyna

Latem, rok po jesiennych wydarzeniach z Wexlerem, uświadomiłem sobie, że ktoś mnie obserwuje przez telewizor.

Czułem to, tak samo jak czuje się, że ktoś patrzy na twoje plecy. Za ekranem czaiła się jakaś obecność, para czujnych oczu.

Ignorowałem to tak długo jak mogłem, wmawiając sobie, że nikt nie chciałby podglądać samotnego dwudziestotrzylatka, siedzącego na kanapie i zjadającego się dzień po dniu fasolowymi burritos z Taco Bell (osiemdziesiąt centów za sztukę, dwa z colą za trzy dolce). Ale oczywiście wiedziałem, że to możliwe. Pewne siły najwyraźniej miały dobry powód, by mieć mnie na oku, i nie chodziło bynajmniej o idealną rzeźbę moich pośladków.

Pewnego wieczora, oglądając na kanale historycznym program o Dziesięciu Najbardziej Śmiercionośnych Okrętach Wojennych Świata czy jakimś innym badziewiu, odwróciłem się od telewizora i spojrzałem w lustro na przeciwległej ścianie. Podniosłem szczotkę, by przeczesać splątane włosy i zamarłem.

W odbiciu spostrzegłem obraz z telewizora.

Jakby twarz.

Była to twarz o dziwacznym rysach, niby ludzkich, ale jakby trochę przerysowanych. Twarz Michaela Jacksona, twarz niby maska. Szeroka, z za dużymi oczami, nosem niekoniecznie pośrodku. Spoglądała wprost na moje plecy z ekranu telewizora, wyraźnie widoczna twarz.

Odwróciłem się błyskawicznie w stronę ekranu, szczotka do włosów wyleciała mi z ręki i przerażony zassałem powietrze przez zaciśnięte zęby.

Wszystko wróciło do normy i „Bismarck” topił się w kłębach dymu.

Przypuszczam, że przeciętny człowiek w tym momencie wystraszyłby się choroby umysłowej, takiej zwykłej – z badaniami i receptami.

Nic wielkiego. Nie ja. Ja poczułem strach, ponieważ ktoś naprawdę obserwował mnie przez mój pieprzony telewizor.

Powiedziałem o tym Johnowi i od razu do mnie przyszedł, tak jak powinien zrobić najlepszy przyjaciel. Klęliśmy do telewizora przez pół godziny, a John nawet spuścił spodnie i przycisnął klejnoty do ekranu. Jak mówiłem, nie było sensu zmieniać naszych przyzwyczajzeń. Zaproponował mi, żebym trochę odpoczął, że niby jestem zestresowany z powodu Jennifer, która najpierw się wprowadziła, potem znów wyprowadziła, drugi raz w ciągu pół roku. Piliśmy później i graliśmy w hokeja na Play Station aż do wschodu słońca.

Weszło mi to w krew i stało się rutyną kolejnych tygodni – zbyt mało snu, za dużo picia i mnóstwo hokeja. Wszystko zaczynało się wymykać spod kontroli. Wkrótce zaczęliśmy grać bez bramkarzy, sześciu na sześciu z wynikiem 74 do 68. W końcu, kiedy zaczęliśmy grać po tej samej stronie (Red Wings) przeciwko zespołowi fajtlap prowadzonych przez komputerową sztuczną inteligencję i wygrywaliśmy 126 do zera, wiedziałem, że stoczyłem się na samo dno.

Ponadto wiedziałem, że wciąż jestem obserwowany. Wiedziałem, że to źle wróży, że znów się wszystko zacznie, że muszę zacząć myśleć rozsądnie.

Wyrzuciłem wszystkie butelki, ogoliłem się i nawet zacząłem rozważać możliwość sprzątnięcia w mieszkaniu. Znów zacząłem prasować koszule. Ktoś przysłał mi pocztą małą butelkę, twierdząc, że zawiera wodę święconą, położyłem ją więc na nocnym stoliku. Nad frontowymi drzwiami powiesiłem krucyfiks z wyprzedaży garażowej.

Nagle, tuż po Bożym Narodzeniu, znów zaczęło się robić dziwnie.

Koniec zaczął się, kiedy wróciłem do domu z pracy pewnego chłodnego piątkowego wieczora. Brnąłem swoim samochodem przez najgorszą od lat burzę śnieżną, która rozpełtała się nad moim miastem – cały świat wyglądał jak po wybuchu boskiej maszyny do robienia śniegu.

Przepchnąłem się przez drzwi wejściowe, rozsypując topniejący śnieg z mojego skórzanego płaszcza. Malaryczny pot oblał mnie całego, zanim mój organizm dostosował się do pięćdziesięciostopniowej różnicy temperatur wewnątrz i na zewnątrz. Wiatr się zmienił i cały dom zaczął trzeszczeć, a za oknami rozległo się stukanie odłamków lodu odbijających się od szyb.

Właśnie zakończyłem koszmarną, szesnastogodzinną, otepiającą, podwójną zmianę w wypożyczalni video Wally's. Pracownica na wieczorną zmianę twierdziła, że nie może wyjechać w taką zawieruchę z domu i że gdybym tak mógł popracować za nią, to byłaby mi dozgonnie wdzięczna, i że w ogóle jestem taki kochany, i że gdybym czegoś potrzebował, czegokolwiek, to wystarczy, że jej powiem. Myślę, że nie mówiła serio. Drzemiąc, przebrnąłem przez tysiącminutową gehennę głuchoj ciszy bez jednego klienta, walcząc ze zmęczeniem i wielką chęcią zatłuczenia mojej koleżanki na śmierć. Teraz chciałem się tylko wysuszyć i zwinąć w łóżku...

Zobaczyłem kątem oka coś, co zatrzymało wszystkie moje myśli. Odchyliłem się, by spojrzeć przez uchylone drzwi sypialni.

Szuflada w moim nocnym stoliku była otwarta.

Szuflada, w której trzymam broń.

Pośladki zacisnęły mi się tak mocno, że nie przedostałby się przez nie nawet promień światła. Nasłuchiwałem odgłosów włamywaczy. Cicho jak w grobowcu. Zrobiłem bezszelestny krok naprzód, zastanawiając się, czy byłbym w stanie udawać mistrza kung fu, gdyby zaszła taka konieczność. Widziałem raz, jak Arnold Schwarzenegger zabił faceta w filmie, łapiąc go za głowę i przekręcając tak długo, aż mu skręcił kark. Czy było to aż tak trudne? Czy człowiek był w stanie to zrobić, nie mając za wiele praktyki?

Broń trzymałem w wydrążonym egzemplarzu Koranu, który dostałem do Johna na gwiazdkę. I ta wielka księga leżała teraz rzucona na łóżko, otwarta i bez broni w środku. Nic więcej nie było ruszone. *Naprawdę sprawdzili mój Koran, żeby zobaczyć czy w środku jest broń.* Wiedziałem, że mam do czynienia z prawdziwie popapranym skurwysynem.

Stąpałem ostrożnie i cicho, przechodząc przez drzwi sypialni i zerkając co chwila na boki. Nikogo tam nie było. Sprawdziłem pod łóżkiem, pościel wciąż miała delikatny zapach dziewczyny, po tyłu miesiącach od ostatniej nocy z Jen. A może to była moja chora wyobraźnia.

Tak czy inaczej, powinienes może zmienić już tę pościel...

Pod łóżkiem pusto. Sprawdziłem pozostałe pokoje w ciemnym niewielkim domu, stąpając wolno po wykładzinie. Zauważyłem, że ktoś dzwonił, bo na automatycznej sekretarce pojawiła się mrugająca czerwona dioda, która świeciła w tych ciemnościach niczym wskaźnik niewielkiej bomby.

Nikogo nie było. Podeszedłem do sekretarki, czując w żołądku kłębowisko węży. Śnieg topił się na moich włosach, a kropelki lodowatej wody ściekały mi do ucha. Sięgnąłem ręką, by je zaczesać do tyłu...

I przerażony zassałem powietrze przez zęby.

Znalazłem pistolet.

Był, kurwa jego mać, w mojej dłoni.

Puściłem pistolet, jakby był wykonany z roju pszczoł. Odbił się, lądując na sofie, a ja gapilem się na niego jak krety, po czym spojrzałem jak jeszcze większy przyglup na swoją pustą dłoń, na palce zaróżowione od zimna. Co jest ku...

Skoro pytasz, to od ogrzewanego samochodu do frontowych drzwi dzielą cię jakieś trzy metry. Dlaczego każdy cal twojej skóry jest osmagany lodowatym wiatrem? Dlaczego masz całą zaspę śniegu we włosach?

I znów to uczucie, trzepoczące wrażenie mentalnej lekkości, jak w chwilach, w których budzisz się w ciemnościach na masce samochodu z butelką w ręce, nie mając pojęcia jaki to dzień, a jakaś dziewczyna krzyczy coś do ciebie po arabsku.

Staram się pozbierać. Jestem zmęczony. Jak sponiewierany zombie. Przpracowany zombie, taki, który przyjął się do roboty jako zastępca kierownika na etacie w wypożyczalni wideo dla zombie i przekonał się, że „etat” nie oznacza, że płacą za nadgodziny. Pod czaszką mi dudni, kolana są niczym dwa trące o siebie kawałki szkła. Siadam ciężko na sofie i gapię się niewidzącym wzrokiem w małe paciorki wody skroplonej na lśniącej, chromowanej powierzchni pistoletu. Zerkam na zegarek. Tuż po północy.

Dobra. Wyjechałeś o jedenastej. Pojechałeś prosto do domu. Jedzie się dwanaście minut, może dwadzieścia w taką pogodę. Od razu wszedłeś do środka. A więc gdzie zapodziałeś pół godziny z okładem, Dave? A może zjechałeś z trasy, by zastrzelić swego szefa?

Nie, gdybym zastrzelił kierownika Wally's, Jeffa Wolflake'a, przecież nie pozbawiałbym się takiego pięknego wspomnienia, prawda?

Podnoszę broń i wyciągam magazynek. Wciąż jest ciężki od kul. Wzdycham z ulgą. Gdybym naprawdę zatrzymał się przy domu Jeffa, żeby go zamordować, to opróżniłbym cały magazynek. Wkładam go ponownie w rękojeść.

Nie jest to dobry sposób na rozpoczęcie weekendu. Włączam przycisk „play” na sekretarce i odsłuchuję wiadomość. To John. Skończył mówić, a ja wduszam jeszcze raz przycisk odtwarzania i tym razem słucham uważniej, potem jeszcze raz. Przy czwartym razie jestem pewien, że John powiedział „wór łaju”

Postanawiam spróbować jeszcze raz.

Piiip.

– Dave? To ja. Amy zaginęła i mamy tutaj coś, co wygląda na wór łaju. To dziwne. I mam tu na myśli „złowieszco dziwne”, a nie „błazeńsko dziwne”. Jest niemal północ. Zdaje się, że nie ma cię jeszcze w domu. A może już śpisz. Nie śpisz, co? Wiem, że nie spałeś. Jesteś tam? Obudź się, David. Obudź się. Dobra, a więc cię nie ma. Zadzwoń do mnie, jak odsłuchasz wiadomość, nieważne o jakiej porze. Aha, a kiedy będziesz jechał do mnie, uważaj na meduzę. Norka.

Worek łaju. Podnoszę słuchawkę i wykręcam numer komórkowy Johna. Jeden sygnał, a po nim...

– MÓWIŁEM CI, ŻEBYŚ SIĘ ODE MNIE ODPIERDOLIŁ, VINNY!

– John?

– Och, Dave. Przepraszam. Odbyłem właśnie dość gwałtowną kłótnię przez telefon i wyłączyłem się zdegustowany. I wtedy telefon zadzwonił, a ja pomyślałem, nie sprawdzivszy, że to jest ta sama osoba, z którą się kłóciłem, więc zacząłem bluzgać na oślep. Jakie to żenujące.

– Też mam go już po dziurki w nosie, John.

– No jak, jedziesz?

– Ja, eeh, coś tu się kroi.

– O co chodzi?

– Mam... – zawahałem się, nim podjąłem decyzję – tacę pierników w piekarniku. Nie chcę ich przypalić, a jak nie dopilnuję, to wyjdzie zakalec.

– Taa, i będzie się przyklejał. A wysmarowałaś formę masłem?

– No o, taak.

– Dobrze. Słuchaj, zniknęła Amy, a okoliczności są zupełnie popierdolone. W tej całej sytuacji zajeżdża Lovecraftem. Choć, gdybyś przyjechał, to, no wiesz, byłoby bardziej jak u Anne Rice. Wiesz co chcę powiedzieć.

– Kto jest...

– Bo straszny gej z ciebie.

– Kto zaginął, John?

– Amy, Dave. A-M-Y. Sygnał mi się rwie...

– Ja nie znam żadnej...

– Amy Sullivan? Siostry Wielkiego Jima nie znasz?

To mi dało do myślenia.

Wspomnienia całego dnia na pace samochodu, gdy konaliśmy ze strachu i z nudów. Obietnica złożona zmarłemu koledze. Nie myślałem o tamtym dniu od wielu miesięcy.

- Och. Masz na myśli Ogórka.
- Nie czujesz potrzeby uczenia się prawdziwych imion ludzi, Dave?
- Tak ją nazywaliśmy w szkole. Była w klasie specjalnej i wymiotowała z byle powodu. Słuchawka z głosem Johna zamilkła na chwilę.
- No wiesz, jak ogórek morski? I te węgorze podpływają, a...
- Dave, nieważne, jesteśmy teraz u niej w domu. Gliny też tu są. Jak szybko możesz przyjechać?

Może jakoś w czerwcu?

Nawet tyle czasu nie wystarczyłoby, żeby to wszystko poskładać w jedną całość. Przypomniałem sobie Wielkiego Jima na plecach, z karmazynową plamą na szyi. Ten trup zatoczył koło i znów pojawił się dziwnym trafem w moim życiu. Zerknąłem na broń, starając się poukładać sobie to wszystko w jedną całość.

– Co mówiłeś w nagraniu? Wór czego...

– Nie słyszę cię, przerywa. Przyjeźdź jak najszybciej, bo musimy uporać się z tą latającą meduzą. Teraz ja zamilkłem.

– Co takiego?

– Do zobaczenia za kilka... **POD SZAFKĄ! NIE, POD SZAFKĄ!**

O TUTAJ! MOŻE JA...

Klik.

Dooooooooooooooooo...

Rozłączyłem się i zrobiłem to, co zwykle po zakończeniu rozmowy z Johnem – siedziałem otumaniony w głuchej ciszy i roztrząsałem wszystkie złe wybory, jakich dokonałem w życiu.

Zrzuciłem płaszcz, ściągnąłem moją koszulę z Wally's, powąchałem ją i zawiesiłem w szafie w sypialni.

Kiedy zakładałem nową koszulę, wyciągnąłem też buteleczkę tabletek z kofeiną z szuflady w biurku. Spłukałem cztery z nich ciepłą zawartością na wpół opróżnionej butelki cytrynowego Mountain Dew, którą znalazłem na blacie kuchennym.

Założyłem płaszcz i, po chwili wahania, wsunąłem arcydzieło wytwórni Smith&Weston do kieszeni, czując jak ciężar zsuwa mi całą lewą stronę płaszcza z ramienia. Poczułem się jak Bruce Willis.

Czy mi się wydaje, czy lufa jest lekko ciepła?

Wyszedłem przez drzwi frontowe i zanurzyłem się w zimnie, lecz nie dotarłem dalej niż do wycieraczki.

Ślady stóp.

Cienki kobierzec bieli na trawniku przed domem powinien być nietknięty, jeśli nie liczyć pojedynczego śladu stóp biegnącego od mojego samochodu do miejsca, w którym stałem. Jednak przed domem zobaczyłem kręgi chaotycznych śladów, które biegły na tyły domu. Szlak stóp wyłaniał się z drugiej strony i kończył przed werandą, na której aktualnie się znajdowałem.

Zszedłem z werandy, stając na skrzypiącej śnieżno-lodowej powłoce, która pokrywała ziemię. Nachyliłem się, mrużąc oczy w zawieii. Siady butów, zygzaki na podszewkach. Opanowało mnie bardzo mroczne, wzbudzające niezwykle osamotnienie, przeświadczenie.

Ślady na śniegu były moje. Wszystkie.

Rozejrzałem się w ciemnościach, widząc tylko połyskliwe płatki lodu przesuwające się przez snopy ulicznego światła. W duchu podjąłem decyzję, że nie powiem o tym nikomu i wsiałem do wozu.

Zaginiony czas. Tak to nazywają. John ma zaginioną dziewczynę, a ty zgubiłeś gdzieś pół godziny. Kurde.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce, zastanowiłem się przez chwilę, po czym wyciągnąłem pistolet z kieszeni. Nacisnąłem przycisk na rękojeści, ponownie wyjmując magazynek. Na kolanach zrobiłem prowizoryczne zawiniątko z koszuli i kciukiem wyłuskałem wszystkie naboje, jeden po drugim. Liczyłem je, mając nadzieję, nie – modląc się, żeby żadnego nie brakowało.

Jeden, dwa, trzy, cztery...

Naboje były, eeh, niezwykle. Pociski były srebrne z jasnozielonymi, plastikowymi końcówkami. Przysłał mi je anonimowo jakiś facet. Leżały sobie w rzędach w ciężkim, białym kartonowym pudełku, oznaczone określeniem z żargonu strzeleckiego, którego nie rozumiałem. Coś na temat „zapalników zbliżeniowych” i długie numery seryjne. Testowaliśmy je z Johnem, strzelając do dyni i patrząc jak eksplodują, rozrzucając płonące kawałki poczerniającej skóry.

...siedem, osiem, dziewięć...

To właśnie robią ludzie w dzisiejszych czasach, wciąż mi coś wysyłają. Kryształowe kule. Skurczone głowy. Falszywe zdjęcia aniołów w chmurach oraz krwawiących posągów. Sterty zeszytów w niebieskie linie z nagryzmołonymi nerwową dłonią opowieściami o szatanie, wysyłającym ukryte przesłania przez komputerowy spam. Mam kawałki kamienia wykradzione z nawiedzonych zamków w Szkocji, odłamki podobno przeklętej wulkanicznej skały z Hawajów oraz zasuszone kawałki kupy Wielkiej Stopy. Wraz z Johnem zyskaliśmy jakąś reputację i teraz każdy chce nam dopomóc.

... trzynaście, czternaście...

Robię głęboki wydech.

Jednego brakuje. Jednego.

Dwupiętrowy dom w stylu hitchcockowskiej „Psychozy”, w którym Wielki Jim Sullivan mieszkał ze swoją opóźnioną w rozwoju siostrą, mógłby nawet kosztować z milion dolarów, gdyby nie był zaniedbany i gdyby nie znajdował się w zachwaszczonej, opustoszałej części miasta, przecnicę dalej od fabryki kanalizacyjnego kreta. Zgadywałem, że Amy mieszkała tu teraz sama, odkąd Wielki Jim zszedł był w okolicznościach, które rzadko kiedy udaje mi się precyzyjnie opisać w mieszanym towarzystwie.

Moje przednie światła suną po podwórku domu Sullivanow, rodem z „Psychozy”, i wjeżdżam między cadillacem Johna z 1978 roku (z tajemniczą tablicą rejestracyjną o symbolach CRKHTLR) i radiowozem z Anonimowego, zaparkowanym wzdłuż drogi.

To naprawdę paskudna, główniana okolica. Dom obok wygląda na opustoszały. Sąsiaduje z nim położona niżej połącz białego parkingu posiatkowana węzowymi śladami opon samochodowych. Kończy się tyłkiem wielkiego budynku z szeregiem opuszczanych od góry garażowych drzwi. Jest to tylny wjazd dla zaopatrzenia fabryki Drain Rooter. Przy jednym ze stanowisk parkuje tyłem ciężarówka z logo w postaci narysowanego hydraulika przekreślonego jednym wielkim, czerwonym „X”. Zastanawiam się, czy w fabryce kiedykolwiek zatkały się rury do tego stopnia, że musieli wezwać hydraulika, a jeśli tak, to czy ktokolwiek tam był w stanie spojrzeć mu w oczy.

Widzę przez szybę dwie postacie przed domem. Jedna z nich to John, z rękami wbitymi w kieszenie, któremu ostry wiatr zasysa dym z papierosa niemal horyzontalną smugą. Drugi to mężczyzna o posturze niedźwiedzia, w którym rozpoznaję wujka Johna, Drake’a – wciąż jedyne go gliniarza w mieście, z którym jesteśmy na ty. Drake coś mówi, John potakuje, a żar papierosa podskakuje nieznacznie w ciemnościach. John od jakiegoś czasu zapuszcza brodę. Pracuje dorywczo na budowie, po tym, jak rok temu wyleciał z wypożyczalni Wally’s. Został przyłapany na piratowaniu DVD i rozdawaniu ich klientom, centralnie w sklepie. Ale uwaga, nie na sprzedaży. Na rozdawaniu. Wychodzę z wozu i od razu napada mnie lodowaty wicher.

Wyrastający przede mną dom nie wydaje się być tylko pusty, wygląda na opuszczony. Posunął się od ostatniego razu, kiedy go widziałem, wtedy kiedy starałem się zwrócić Molly Łuszcząca się farba, brudne okna i żadnych śladów opon na podjeździe.

Wielki Jim opiekował się Amy od kiedy zmarli ich rodzice, ale nie wiem, kto się nią opiekował ostatnio. Najwyraźniej nikt, bo zaginał po niej wszelki ślad. Cholera, to strasznie smutne.

Drake wyglądał gorzej niż ja, wbity w gliniarski mundur i futrzaną kurtkę, z niebieską czapką uszanką na głowie. Zmęczony życiem grubas w kolorze blue.

– Wong – powitał mnie brakiem entuzjazmu, zwyczajowo zarezerwowanym dla chodzących od drzwi do drzwi Mormonów.

Mnie też nie są w smak nasze spotkania, Drake. Ale i tak zawsze natkniemy się na siebie.

– Od jak dawna jej nie ma?

– Nie wiem. Sąsiedzi widzieli, jak jej pies kręci się po okolicy dzisiaj po południu. Starali się go zwrócić, ale u drzwi nic nie wskórali. Przyszedłem i zobaczyłem...

Serce stanęło na sekundę, pospieszne spojrzenie na Johna.

– Uch, wydawało mi się, że coś wiecie.

Powiedz mu o zaginionej pół godzinie!

Odgoniłem tę myśl i udawałem, że nigdy jej nie było. Poza tym, miałem precyzyjną wiedzę na temat tego, gdzie byłem podczas zaginionego czasu. Chodziłem w kółko po swoim podwórzu. Jasne? Doskonale trzyma się kupy.

John odrzucił papierosa i poszedł do drzwi frontowych, skrzypiąc na śniegu.

– Drake sprawdzi, czy Amy nie przebywa w domu jakiejś koleżanki. Zna Hoaglandów, więc podejrzewa, że przestraszyła się, uch...

Spojrzeni po sobie, jakby chcieli powiedzieć: „nie diskutujmy teraz na ten temat”.

Otwierając drzwi do radiowozu, Drake powiedział:

– Jak coś znajdziecie, to dzwoniś do mnie na komórkę, tak? I ja już sobie z tym poradzę. – Podkreślił fakt, że nie byliśmy gliniarzami, i że sprawa zaginięcia jest wciąż sprawą dla gliniarzy, bez względu na to, jakie dziwactwo czaiło się we wnętrzu domu.

John wycelował w niego palcem i powiedział:

– Jasna sprawa. Dzięki za telefon do nas, Drake. Jesteś takim facetem, jakiego potrzebuje facet, kiedy facet potrzebuje faceta.

Tuż za drzwiami znajdował się niewielki hol z posadzką z czarnych i białych kafli, ułożonych w szachownicę. Przy ścianie brakowało kawałka posadzki i ktoś pomalował drewno pod spodem w taki sam wzór, najwyraźniej markerem i korektorem.

Zerknąłem do kuchni.

Zamarłem.

Molly.

Nie było wątpliwości, że to ona. Rudy labrador jakiś tam, spał sobie smacznie na linoleum. To samo pomyślałem sobie, kiedy zobaczyliśmy ją przed opustoszałym centrum handlowym tamtej nocy.

Niemożliwe. To tylko taki sam pies tej samej rasy. No przecież.

– Och, ależ to ona – powiedział John. – Zobacz na obrożę. Ma tam adres i wszystko inne jak było.

– Ale... jak?

– Nie pytaj mnie. Reaguje, jak się ją zawoła Molly. Przynajmniej tak, jak poprzednio.

Chciałem się bliżej przyjrzeć, ale muszę przyznać, miałem pietra. Powrót z martwych niemal zawsze odbija się na zdrowiu innych. Filmy mnie tego nauczyły. Na jednego Jezusa masz miliony zombie.

– A więc pies, który eksplodował na naszych oczach, to nie była Molly?

– Nie wiem.

– A może to była Molly, a to tutaj to oszust?

Wzruszył ramionami.

– Powinieneś być widzieć mnie, kiedy ją zobaczyłem. Mało się nie zesrałem ze strachu.

– Myślisz, że jest odpowiedzialna za to, co się stało Amy? Może ona, bo ja wiem, zjadła ją?

– Wstrzymaj się z sądami, aż zobaczysz meduzę.

Nie zadawałem zbędnych pytań. Niechętnie odwróciłem się plecami do wskrzeszonego psa i przeszliśmy do salonu z zieloną kanapą, która wyglądała mi na rocznik 1905. Na schodach w głębi zaciemnionego korytarza znajdowała się niezapalona lampa na suficie i jeden z tych starych, mosiężnych wyłączników na ścianie, takich z czarnymi przyciskami. Wdusiłem górny guzik, nic się nie wydarzyło.

John szedł ostrożnie korytarzem, mrużąc oczy w ciemności. Odwrócił się i powiedział:

– Nie, to nic nie da. Podaj mi latarkę.

– Nie mówiłeś, że mam zabrać ją...

Podniósł dłoń, by mnie uciszyć i zniknął w bocznych drzwiach. Weszliśmy do dużego pokoju, który w niewyraźnej poświacie od okna wyglądał jak biblioteka, z półkami wypełnionymi głównie różnymi kształtami cienia, z całą pewnością nie były to książki. Zobaczyłem coś, co wyglądało jak kłęb pajęczyn zwisający z sufitu i wyciągnąłem dłoń, by odsunąć to na bok...

TRZASK!

Deszcz błękitnych iskier oświetlił pokój. Wzdłuż łokcia poczułem ukłucie wyładowania elektrycznego.

Lampa na suficie mrugnęła raz i drugi, po czym skąpała pokój w świetle. Mniej więcej pół metra przede mną wisiało w powietrzu coś, co wyglądało jak kłęb wilgotnych linek. Nie wyglądało na klasyczną meduzę, raczej na rurkopława, oślizłego bydlaka, który unosi się leniwie na powierzchni oceanu, a jego parzące odnóża wiszą głęboko w wodzie. Stworzenie uniosło się wolno do sufitu w stronę światła. Owinęło mackami lampę i ku naszemu krańcowemu zaskoczeniu zaczęło gorączkowo kopulować z nią niczym szczeniak z kapciem w kształcie królika.

Światło przybladło i w końcu znów zapadły ciemności. W pokoju panowała cisza, jeśli nie liczyć cichego grzechotania szkła o metalową ramę z każdym spazmatycznym ruchem stworzenia.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – wyszeptał John gdzieś z ciemności.

Nad nami, między jedną a drugą macką w kształcie makaronu, przeleciała błękitna iskierka z cichym FZZT.

– Powiem krótko. Wspomniałbym coś o tym, gdybym widział.

– Wujek Drake strzelił do paskudy, ale najwyraźniej niewiele sobie z tego robiła.

– Widział to?

– Taa, to jest widoczne i realne.

Mieści się więc w tej samej grupie co mutanty w galerii, a nie tej z perukowymi potworami i ludźmi cienia. Będę musiał sobie je wszystkie sklasyfikować, żeby się nie pogubić.

I nie zapomnij, nawet jeśli widzi to Drake, nie znaczy to wcale, że zobaczy to też jakiś nieznajomy z miasta. W naszej pipidowie taki gliniarz może się bardzo łatwo zainfekować. Zapytajcie Morgana Freemana.

Pojawił się kolejny ciąg myśli, który aż prosił się, by go wyciąć z korzeniami.

Zapytałem:

– Masz zapalniczkę?

John pstryknął swoim Zippo i wokół nas wytworzył się obszar słabego, żółtawego światła. Rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem jedynie kilka półek z książkami – zaczytanymi, tanimi wydawnictwami z białymi, pionowymi liniami na grzbietach od ciągłego rozkładania. Tolkien, C.S. Lewis, ktoś o nazwisku Terry Pratchett. Nowele z cyklu Babylon 5. Pierwsza, trzecia i czwarta część Harry'ego Pottera. Pewnie Jim postanowił, że trzy wystarczą, żeby Amy nie zwróciła się ku czarnej magii.

Reszta półek była zagracona wypchanymi zwierzętami i różnym śmieciem. Zobaczyłem rząd talerzy na drucianych podstawkach z wymalowanymi na nich twarzami bohaterów Star Trek.

Maszkarę na suficie nie reagowała.

– Cóż – powiedziałem, wypuszczając ciężko powietrze z płuc – miałem nadzieję, że rzuci się na twoją rękę. Zdaje się, że lubi elektryczność, a nie światło.

John zamknął zapalniczkę z trzaskiem i powiedział:

– Pomyślałem, żeby otworzyć okno i wystrzelić toto na zewnątrz.

– Uch, to nie jest, zdaje się, najlepszy pomysł – zastanowiłem się przez chwilę, myśląc czy pamiętałem, by włączyć światło na werandzie w domu. – Czy to może, na przykład, przenikać przez ściany?

– Jeszcze nie przenikało.

– Chodź ze mną.

Wyszliśmy na korytarz, a ja zamknąłem za sobą drzwi.

– Dobra – powiedziałem. – Jak nikt nie będzie otwierał tych drzwi...

– Jasna sprawa. Umieścimy ostrzegawczą tabliczkę, czy coś w tym rodzaju – powiedział John, rozwiązując pierwszy problem. – Ale tam jest kolejne dziwactwo. Zobacz tylko.

Przeszliśmy przez korytarz, a on wskazał ręką na przedpotopową łazienkę z olbrzymią żeliwną wanną i poźółkłą toaletką z pękniętym głównym lustrem. Z kranu wyciekał miarowy strumyczek kropli wody. Pod jeden z kurków ktoś wsadził nożyczki, żeby zawór nie puścił. John włączył przycisk i zamigotało światło, tym razem najwyraźniej nie niepokojone przez żadne nadprzyrodzone stwory.

Na podłodze leżało coś, co wyglądało jak przeźroczysty worek z plastiku, wypełniony marmurkową, różowożółtą substancją, w rozmiarze tych wielkich worów na psią karmę. Z boku było coś napisane, dziwnymi, kanciastymi literami.

John powiedział:

– Drzwi były zamknięte na zasuwę od środka. Musieliśmy je wyważyć, żeby się tu dostać. Woda wciąż leciała do umywalki, szczoteczka leżała na blacie z wyschniętą pastą do zębów. To okno jest zamalowane na amen, nie było sposobu wydostać się z łazienki. A więc była tu, a potem zniknęła. I nie opuszczała tego pomieszczenia. Czy tak?

Drzwi były zaopatrzone w zasuwkę, jedną z tych niewielkich, jakie jeszcze można spotkać w starych toaletach. Rzeczywiście wyważyli drzwi, prawdopodobnie barkiem, aż niewielka metalowa obejmka odskoczyła, wyrwijąc śruby, którymi była przykręcona do framugi. Nachyliłem się i sprawdziłem okno. Wyglądało, że zostało zaklejane farbą na długo zanim jeszcze się urodziłem. Nie robiło to jednak żadnej różnicy – nawet gdyby Amy zamknęła drzwi i z jakiegoś powodu wyszła przez okno, skacząc cztery metry w dół na lód, to jakim cudem udało się jej zamknąć okno za sobą?

– Czy przychodzi ci do głowy jakiś sposób na to, żeby zamknąć drzwi od zewnątrz? Czy mogli ją porwać, a następnie zasunąć za sobą zasuwę?

Chciałeś zapytać – rozległ się irytujący głos w mojej głowie – *czy mogłeś to zrobić, czy nie, Dave.*

A gównno. Daj spokój. Byłem pewien, że moje zaginione pół godziny, podczas którego jeden pocisk opuścił lufę pistoletu, nie miało nic wspólnego z tą osobą, która nagle zaginęła tego samego dnia. To zupełnie dwa różne wydarzenia. Tak naprawdę, próbowałem stłumić przypuszczenie, że Amy przysłała do mnie do domu, by pożyczyć jeden nabój, a ja spokojnie go jej wydałem.

– Jasne – powiedział John. – Można byłoby zasunąć zasuwę od zewnątrz. Wystarczy jakieś dwadzieścia minut i drut z wieszaka do ubrań. Można próbować jakieś czterdzieści razy. Ale po co? Żebyśmy mieli zagwozdkę?

Szturchnąłem stopą worek na podłodze. Gęsta ciecz, wór brei. John powiedział:

– Te napisy na worku to waga, prawda?

– Chyba tak – nachyliłem się. – Czterdzieści cztery kilogramy czterdzieści dwa deko – podrapałem się po głowie. – Ja się poddaję.

– A, eee, myślisz, że to ona? W tym worku?

– Uch. Nie, przynajmniej na razie tak założmy. To byłoby zbyt ohydne.

– Myślisz, że zeżarła ją meduza?

– Z kośćmi, w całości?

– Mówimy tu o latającym lampojebcy z mackami, Dave. Chcesz powiedzieć, że to nieprawdopodobne?

Wyszedłem z łazienki i wałęsałem się po korytarzu, mijając pomieszczenie wypełnione kartonowymi pudłami i połamanymi krzesłami. Były tu jeszcze jedne drzwi, które ktoś zabił gwoździami, a które najwyraźniej prowadziły w próżnię.

John powiedział:

– Wiesz, co to jest? Kiedyś budowali te stare domy, dodając drzwi, które kończyły się szybem, żeby zmylić włamywaczy. Wywieszali na drzwiach tabliczkę z napisem SKARBIEC, czy coś w tym guście. Facet wpada przez drzwi i leci na łeb na szyję, prosto w dół. Na dole wstawiali szpikulce i inne atrakcje. Nazywali to „irlandzką windą”.

– Albo też, drogi Johnie, zlikwidowali balkon lata temu i nikomu nie przyszło do głowy, żeby zamurować drzwi.

Mineliśmy opustoszały pokój gościnny, który pachniał kurzem i starą politurą, korytarz kończył się otwartymi drzwiami z przylepionym do nich od wewnątrz plakatem grupy o nazwie VNV Nation.

Zajrzałem do chaotycznie urządzonej sypialni, zagraconej meblami i wyłożonej pomarszczonymi chodnikami. Plakaty wisiały na wszystkich ścianach. Zespoły, o których nigdy nie słyszałem, a jeden z nich przedstawiał słodką Angelinę Jolie w filmie „Tomb Rider”. Na poduszce niezasałanego łóżka spoczywał bardzo fajny laptop Maca.

– Komputer – pytam – leżał tak, kiedy się tu dostaliście?

– Taa. Nie ruszaliśmy niczego.

Na nocnym stoliku, nieco oddalonym od łóżka, stały cztery puste butelki z naklejkami soku pomarańczowego i pół tuzina brązowych, medycznych fiolek. Na podłodze leżało otwarte pudełko z Froot Loops.

Zobaczyłem to wszystko z progu, ale nie wchodziłem. Poczułem się jak intruz, wsadzając głowę do środka, naruszając czyjąś prywatną przestrzeń. John jednak przepchnął się przede mną i uświadomiłem sobie, że jeśli mamy podejść do tego poważnie, to nie mamy większego wyboru. Dla glin to chleb powszedni – grzebanie po szafach i przekopywanie się przez szuflady z wibratorami. Zauważyłem, że laptop jest włączony tylko, o ironio, znajduje się w stanie drzemki, błyskając diodą napięcia z boku obudowy. Stuknąłem w spację i ekran otrząsnął się z czerni, ukazując biały obraz z błękitnymi kolumnami rozwijającego się w dół tekstu.

– Popatrz tylko – John wskazał brodą na bielizniarkę z jedną szufladą wyciągniętą do połowy, z której próbował uciec biustonosz. Na bielizniarce stał niewielki, czarny przedmiot, okrągły, nie większy niż rolka filmu. Z obiektywem w środku.

– Kamera – zauważyłem.

– To jedno z tych bezprzewodowych cacek – powiedział. – Do komputera.

– Co, webcam?

– Taa, albo coś w tym stylu.

– Czy to jest dawny pokój Jima? – zapytałem.

Z jakiegoś powodu miałem problem z wyobrazeniem sobie, że Amy „Ogórek” Sullivan wie, jak kupować w sieci i używać elektronicznych gadżetów. Zanim spotkałem Amy kilka lat temu, starając się zwrócić Molly, moje wspomnienia z nią pochodzą wyłącznie z lekcji Umiejętności Życiowych z Alternatywnej Szkoły Pine View dla Umysłowo Popierdolonych Uczniów, gdzie przesiedziałem ostatni rok edukacji. Zawsze trzymała głowę na blacie, śpiąc w najlepsze, a gęsta szopa rudych włosów rozlewała się po kościstych ramionach.

Myślę, że usłyszałem z jej ust tylko jakiś tuzin słów przez cały ten okres, przeważnie: „proszę, odsuń się, bo na ciebie narzygam”.

John wymamrotał „bojawiem” w taki sposób, jak robią ludzie, gdy zadać im bezsensowne pytanie, które nie zasługuje na pełną odpowiedź. Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem drugą kamerę, kwadratową, na górnej półce standardowego stolika komputerowego po drugiej stronie pokoju. Była wycelowana w fotel przed stolikiem tak, jak powinna być umieszczona każda kamera do sieci, tylko że bokiem, w stronę korytarza.

– Ta kamera celuje nad drzwiami – wydedukowałem. Podniosłem wzrok i zobaczyłem wiatrak na suficie z czterema niewielkimi lampami dookoła. Do jednego ze świateł była przymocowana trzecia bezprzewodowa kamera. – I jeszcze jedna – powiedziałem – wycelowana prosto w okno. Wszystko okamerowane, jak w jakimś skarbcu.

W brzuchu zaczął mi rosnać nie dający spokoju zbitek nerwów, z powodów, których nie obejmował mój gnuśny umysł.

– Dobra... – powiedział John, ruszając w stronę laptopa. – Wiesz co, przyszło mi coś do głowy. Po co miałyby zamykać drzwi do łazienki skoro mieszkała tu sama? Wtedy kupkę wali się przy otwartych drzwiach, mam rację?

Pokiwałem głową i powiedziałem:

– Może więc bała się już wcześniej. Gdyby to był odcinek „Prawo i porządek”, mielibyśmy piękne ujęcie porwania pod okiem kamery. I tak, zanim popatrzysz na mnie w ten swój irytujący

sposób, mam świadomość, że to, co się stało, miało miejsce w łazience, a nie tutaj. Nie miała kamery w łazience, prawda?

– Chciałbym, żebyś przemyślał sobie to, co właśnie powiedziałeś.

John wziął laptopa i usiadł z nim w fotelu komputerowym.

– Cóż – powiedział. – Powinna złapać kogoś w korytarzu.

Znów to uczucie. Niczym cichy alarm z tyłu głowy, niczym pełgające poczucie, że zostawiło się coś niezbędnego w domu, wyjeżdżając na wakacje.

Będzie przeglądał zdjęcia z kamer.

No i co z tego? Wepchnąłem ręce do kieszeni i zacząłem chodzić po pokoju, zastanawiając się, jak bardzo odkrycie przez nas dowodów spierdoli pracę prokuratora, jeśli okaże się, że jest to najzwyczajniejsza pod słońcem sprawa z porwaniem i morderstwem, pomijając całkowicie latającą meduzę. Witajcie w Anonimowym.

Wyrzebałem z kieszeni pojedynczy klucz, który najwyraźniej wysmyknął się z breloczka. Drugą dłonią przejechałem po włosach, które zastygały w zmierzwioną kępę. Powiedziałem:

– Czy jest jeszcze jakieś otwarte miejsce, gdzie można kupić cytrynową Mountain Dew? Wypiłem dzisiaj tego trochę i czuję się tak, jakby ktoś rozpuścił pudełko wiśniowych lizaków i rozmieszał to z kokainą. Czy sklep przy Lexington jest otwarty całą dobę?

John mnie nie słuchał. Studiował płaski monitor laptopa.

W POSZUKIWANIU ZDJĘĆ Z KAMER. ŻEBY ZOBACZYĆ, KTO PORWAŁ AMY.

Zaschło mi gwałtownie w ustach, a moje serce zaczęło walić przyspieszonym rytmem. To pewnie od kofeiny. Nachyliłem się nad ramieniem Johna i zobaczyłem zdanie: KOT NASIKAŁ MI NA ŁÓŻKO na górze ekranu. Była też seria urywanych zdań, zaczynająca się od imienia w nawiasach. Znałem ten format.

To jest chat. Była na czacie, a potem poszła umyć zęby. Wtedy ktoś ją porwał, może ktoś, a może coś. Ale na pewno jakimś cudem wiedziała, że to nadchodzi. Wiedziała, bo poustawiała kamery tak, żeby był dowód...

O KURWA.

Wyprężyłem się jak struna.

CO POWIESZ, JAK ZOBACZYSZ SIEBIE NA ZDJĘCIACH, DUPKU?

Ta myśli – niczym cios młota prosto w jaja. John nawet zerknął na mnie, a ja nagle poczułem się, jakbym był goły. Staralem się przypomnieć sobie, jak wygląda język mego ciała, kiedy zachowuję się całkiem zwyczajnie i niewinnie, ale cały efekt legł w gruzach, kiedy wyciągnąłem z kieszeni drugą dłoń i zobaczyłem, co w niej trzymam.

Był to klucz od mojej szopy na tyłach domu.

Zwykle wisi na gwoździu przy tylnych drzwiach. Nie trzymam go w kieszeni.

Och, co włożyłeś do szopy, Dave?

Uniosłem palec w geście mówiącym „mam pomysł” i powiedziałem:

– Poczekaj.

John odwrócił się do mnie i nagle jego uwaga oświetliła moją twarz niczym snop ostrego światła z lampy. Uświadomiłem sobie, że nie mam najmniejszego pojęcia, co zamierzam teraz powiedzieć.

– Nie powinniśmy, eeeh, nie powinniśmy tego robić.

– Dobra. Dlaczego?

– Bo myślę sobie, eee, że byłoby lepiej gdybyśmy... Słuchaj, mamy jednego świadka tego co zaszło, tak?

– A mamy?

– Taa, tą maszkarę. Latającą meduzę. Znaczący, my tutaj się opierdalamy z kompem, a ten koszmar może w tym czasie czmychnąć i pójść tam, dokąd zwykle chodzi. Komputer nie meduza, nie ucieknie.

John zerknął w stronę korytarza i zapytał:

– Myślisz, że będzie gadać?

Spojrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem:

– Myślę, że możesz zmusić ją do gadania. Czy tego będzie chciała, czy nie.

Podrapał się w zamyśleniu po brodzie, po czym powiedział:

– Przydałby się toster.

– Widziałem w kuchni. Idź, zostawi mi laptopa i wyduś zeznania z tego ośliźlego łajdaka.

John wyszedł z pokoju z nowym celem. Zająłem jego miejsce. Tapeta na ekranie przedstawiała Orlando Blooma w pełnym stroju z „Władcy Pierścieni”. Czekałem, aż usłyszę kroki Johna na dole schodów i zacząłem klikać po folderach tak szybko, jak byłem w stanie. Byłem już nieco spocony, mojej serce waliło o żebra, a kolana obijały się o siebie.

W końcu natrafiłem na folder pełen niewielkich ikonek, które okazały się być mocno ziarnistymi zdjęciami z kamer. Kliknąłem na jedną z nich i zobaczyłem zaciemniony obraz wybrzuszenia śpiącego smacznie pod kołdrą na łóżku. Kolejne, to samo. Trzecie – zdjęcie pustego łóżka. Czwarte, znów wybrzuszenie. Były ich setki.

Usłyszałem ciężkie kroki wchodzącego po schodach Johna i otwierane drzwi biblioteki.

Byłem w matni. Kasowanie zdjęć było wykluczone. Nie będę zacierał dowodów winy i naprawdę zamierzałem powiedzieć Johnowi, jeśli by coś wyszło i jednak okazałbym się głównym sprawcą. Ale chciałem zrobić to po swojemu. Potrzebowałem trochę czasu, by się w tym połapać, by to przetrwać, by odzyskać kontrolę nad tymi rewelacjami. Chciałem mieć wybór.

Wyciąłem cały folder zdjęć i przeniosłem go do najbardziej ukrytego miejsca na twardym dysku, jakie byłem w stanie znaleźć: w podfolderze podfolderu podfolderu podfolderu sterowników do drukarek. Wyłączyłem komputer i zeskoczyłem z fotela, nagle czując przypływ nerwowej energii.

Musisz iść do domu. Musisz zobaczyć, co jest w szopie.

Tak. Tak trzeba zrobić. Zanurzyłem dłoń w kieszeni i wyłowiłem kluczyki do samochodu, ściskając je tak mocno, aż zostały ślady. Wyszędłem z sypialni i ruszyłem korytarzem, czując wzbierający opar winy wokół mnie niczym smugę smrodu. Minąłem bibliotekę w chwili, w której wypadł z niej John, trzaskając głośnie drzwiami.

Powiedział:

– Ten kurewski zwis coś wie. Odczytałem to z jego kocich ruchów.

Powiedziałem:

– Muszę jechać.

– Po co?

– Mam cały dom na głowie. Wróć.

– Jaaasne, pewnie jedziesz sprawdzić, jak tam ciasteczka. Czy, jak będziesz sprawdzał, możesz mi zabrać gumowe rękawice?

– Dobra.

Otworzył ponownie drzwi do biblioteki i powiedział:

– No i dokąd chcesz spieprzyć, gnoju jeden? – jeszcze raz zamknął się w środku.

Uciekłem.

Znów jadę. Gorące powietrze dmucha w szybę, a kryształki lodu topią się na szkle i sekundę później zmiata je pracowicie wycieraczka. Koła pode mną pływają, nie mając żadnej przyczepności na lodzie. Mam dla siebie całą drogę.

Jeśli w szopie jest trup, powiedzmy chudej, rudowłosej, lekko opóźnionej w rozwoju dziewczyny, to muszę o tym komuś powiedzieć. Najpierw Johnowi. Powiem mu dokładnie, co się stało. Nie ma co dalej planować. Muszę najpierw sprawdzić. Muszę zobaczyć...

Włączam radio, szukając czegoś co będzie w stanie przedmuchać mi mózg, mając nadzieję, że wilgotne, nocne powietrze przywieje coś, co nie będzie muzyką country. Przedziera się przez trzaski, całe morze trzasków i aż podskakuje, słysząc ostry, zacinający się głos faceta, który najwyraźniej charczy coś przez wgniecioną grdykę. Po chwili uświadamiam sobie, że to po prostu Fred Durst i grupa Limp Bizkit – ulubiona kapela Opora. To oni wynaleźli nową muzyczną technikę, polegającą na karmieniu kozy całą listą typowych rapowych odzywek, a następnie odczytywanie jej kup do mikrofonu przy dźwiękach heavy metalowej gitary.

Leci kawałek zatytułowany „Rollin” sądząc po refrenie, w którym Fred wielokrotnie powtarza to słowo. Idealnie. Rollin’, rollin’, rollin’...

Muszę po prostu powiedzieć prawdę, ot co. Po prostu powiedzieć prawdę. Jeśli to zrobiłem, to trudno. Zamroczyło mnie i znalazłem martwą dziewczynę. Żadnej przykrywki, żadnego ukrywania ciała, nic z tych rzeczy. Trzeba po prostu ponieść konsekwencje.

Jasne. Twój „tato” od razu przyleci i będzie ci mówił, żebyś z nikim nie rozmawiał i będzie rozdmuchiwał tę historię o podejrzeniu o chorobę psychiczną, używając mnóstwa wielkich słów. I upiecze ci się, bo jest mistrzem w docieraniu do ludzi i zamiast w więzieniu wylądujesz w szpitalu, wachając mocz i zepsute jedzenie, otoczony ludźmi, którzy mamrocą coś do siebie i smarują ściany kupami. Uda się. Udało się w sprawie Hitchcocka. Nie, tak nie myśl. Tylko jedź, tylko jedź...

Z ciemności za moimi plecami wyłoniła się bardzo zimna i bardzo koścista dłoń i zacisnęła mi się na ustach.

Dłoń ścisnęła mnie za twarz, odchylając głowę w tył.

Spodziewałem się poczuć ostrze na szyi.

Zamiast tego jednak, coś długiego, zimnego, oślizłego i wijącego prześliznęło mi się po szyi i wleciało za koszulę.

Szarpnąłem za kierownicę i wpiłem paznokcie w rękę. Wóz pojechał siłą bezwładności po śnieżnej pokrywie, przeskoczył krawężnik i walnął w dystrybutor gazet z hukiem giętego metalu i tłuczonego szkła.

Z szarpnięciem, przednie koła przedarły się przez zaspę i wylądowały na ulicy wciąż się kręcąc, chwytając powierzchnię i znów obracając się w miejscu.

Oślizły koszar na mej szyi wlaź mi na obojczyk i ześliznął się w dół, coś o konsystencji ślimaka bądź dużej pijawki, która ogonem sięgnęła z piersi do obojczyka. Zimny, wijący się, drażniący ciężar na mojej skórze.

Krzyknąłem. Przyznaję. Wypadłem na skrzyżowanie przy migającym żółtym świetle i szperałem stopą, aż trafiłem na pedał hamulca. Awaryjne hamowanie obróciło wóz dookoła.

– Nie, nie. Jedź dalej – powiedział cichy głos wprost do mego ucha. – Ona cię nie ugryzie, jeśli będziesz jechał.

Pierdolić to. Pierdolić światłe pomysły, co ja jestem, jakiś pierdolony kapitan jebanej tajskiej reprezentacji na ochujałym wyścigu pierdolonego Tour de Chuj? Wcisnąłem hamulec i szarpnąłem kierownicą. Zatrzymaliśmy się, sunąc kawałek po lodzie i...

Znów krzyknąłem. Straszliwy, szczypiący ból na wysokości obojczyka przeszył moje ciało. Było to całkowicie odrealnione doznanie, jakby moje kości wypuściły z siebie ostrza brzytwy. Krzyknąłem ponownie, chwytając potwora na mojej piersi. Dłoń sięgnęła z tyłu i schwyciła mnie gładkim, szybkim ruchem za nadgarstek.

– Uspokój się – powiedział głos. – Jedź. Po prostu jedź. Zostawi cię w spokoju, jeśli będziesz jechał.

Nawet tego nie słyszałem, nie dokładnie. Wbiłem wolną rękę do kieszeni i wyszarpnąłem z niej pistolet. Ból ponownie rozdarł mi pierś w niewyobrażalny sposób, jakby mnie rozrywało na pół. Kaleczyło mnie. Wszystkie moje członki odmówiły posłuszeństwa w niemym proteście.

Dłoń z tyłu wozu sięgnęła dalej i bardzo powoli zabrała mi pistolet. Ponownie odezwał się głos:

– Jedź, po prostu jedź.

Ból ustąpił. Łapałem powietrze urywanymi, ostrymi haustami. Zacisnąłem powieki i otworzyłem je ponownie, opuszczając nogę na pedał gazu. Starłem się spojrzeć w dół na potwora, który wziął mnie w niewolę, a którego ogon wystawał spod kołnierza koszuli. Miał długie na całą łodygi na całej powierzchni, każdą zakończoną czymś, co wyglądało jak małe, czarne oko. Kilka tych łodyg łaskotało mnie w brodę, kiedy monstrum przemieszczało się, opierając swój ogon na moim ramieniu i wijąc się delikatnie w przód i w tył na mojej skórzanej kurtce. Usłyszałem, jak osoba za moimi plecami wierci się na tapicerce, rozsiadając się wygodnie. Jechałem w noc, starając się za wszelką cenę przypomnieć sobie, co robię. Poczułem jak w brzuchu przelewa mi się kropla jakiegoś płynu.

Staralem się powiedzieć coś zawadiackiego, coś co wyszło jak urywane: MNIE CHECIE WYDYMAĆ, MNIE? Ale końcówka rozmyła się w wysokim, krztuszącym się charkocie.

- Tylko spokojnie. Idzie ci świetnie. A teraz powiedz mi, co robiłeś, zanim się ujawniłem.
- A kim ty... kim ty kurwa jesteś?
- Nazywam się Robert North.
- Gratulacje. A teraz kim jesteś i co to za okurwieńca mi...
- Odpowiedz, proszę, na moje pytanie. Dokąd jechałeś w takim pośpiechu?
- Do domu. A co? Co cię to obchodzi? Co się dzieje w tę cholerną noc?

Sięgnąłem do lusterka i poprawiłem je tak, żeby widzieć tylne siedzenie. Był tam zwykły chudy mężczyzna po trzydziestce. Brązowe włosy, wylupiaсте oczy i nos jak ptasi dziób. Wyglądał bardzo po angielsku, ale nie miał akcentu. Mówił jak robot, z wyraźną trudnością. Tak mówią ludzie z wadą słuchu, bo nie są w stanie usłyszeć własnych słów. Miał na sobie białą, futrzaną, damską czapę i coś, co wyglądało jak błękitna kamizelka z supermarketu z niewielką, plastikową zabawkową tarczą szeryfa przyczepioną do piersi.

Wskazał na tył samochodu, gdzie były zamontowane głośniki.

- Ten człowiek w tym, jak to tam nazywasz, twoim komunikatorze. Czy potrzebuje pomocy?
- Co takiego?
- Krzyczy jakby był ranny. Potrzebuje twojej pomocy?
- Chyba nie pochodzisz z tych stron, co?
- Dlaczego nie odpowiadasz wprost na moje pytania?
- To tylko Fred Durst. W radio. Nie mówi do nas.
- Jesteś pewien? Brzmi to, jakby on krzyczał, a coś go dusiło.
- Wiem. Takie dźwięki to dla wielu z nas rozrywka. Nazywa się to „piosenka”.
- Wiem, co to piosenka. Ale wydawało mi się, że one się rymują.

Znów popatrzyłem do tyłu i zobaczyłem, że mężczyzna trzyma broń za lufę, przyglądając się jej z obojętnym zaciekawieniem. Nigdy nie miał broni w ręku.

Powiedziałem:

- Wyłączę teraz radio, żebyśmy się mogli słyszeć. Popatrz.

Bardzo ostrożnie sięgnąłem do odbiornika i wyłączyłem go.

– Dobra. Jadę do domu. Tam mieszkam. Możesz mi powiedzieć kim jesteś i w ogóle skąd jesteś? A może jeszcze inaczej, kto cię przysłał?

– Jestem stąd, o ile mi wiadomo. To, kto mnie przysłał, znaczy teraz bardzo niewiele. Dlaczego jedziesz do domu z takim pośpiechem w takich warunkach? Czy to sprawa najwyższej wagi?

- Czy zabiłem tę dziewczynę?

– Nie rozumiem pytania. Interujesz mnie tylko ty i twoje uporczywe unikanie odpowiedzi na moje pytania. Zapewniam cię, że twoje bezpieczeństwo zależy od twojej szczerości.

Potwór na mojej piersi zaczął delikatnie pulsować, zachowując się, jakby coś pił.

Dobra, to błazeństwo musi się skończyć. Nie jestem ani odważny ani nierozsądny, ale po prostu zaczęło mnie to wszystko wkurwiać.

- Znów wyciągnę rękę – powiedziałem – żeby podkręcić grzejnik. Dobrze?

Bardzo powoli, ruchem jakby od niechcenia, wdusiłem zapalniczkę samochodową.

– A teraz – powiedziałem – jadę do domu, by coś sprawdzić. W mojej szopie. To taki, eee, mały budynek u mnie za domem, gdzie trzymam różne rzeczy. Dobrze?

Milczał przez kilka sekund. Pospieszne spojrzenie w lusterko ukazało bardzo poważną minę na kościstej twarzy spowitej w cieniu, oświetlanej regularnie przez światła mijanych latarni. Była to mina człowieka, który zaraz miał uśpić psa.

- Fascynujące.

- Co takiego?

Zerknąłem na zapalniczkę. Ślimak na mojej piersi wolno skręcał ogon i oparł go na szyi i na małżowinie usznej. Wstrząsnął nim lekki dreszcz.

North wpatrywał się w przesuwającą się za oknem noc i powiedział:

– Tutaj hodują owady, prawda? Dla miodu? Czy pszczoły wiedzą, że robią dla was miód? Czy też pracują bez wytchnienia, bo myślą, że to ich własny wybór? Czy nigdy nie zauważyłeś, że kiedy słyszysz jakieś słowo pierwszy raz w życiu, to słyszysz je ponownie w dwadzieścia cztery godziny później? Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego czasami widzisz pojedynczy but leżący przy drodze?

Łza pociekła mu po policzku. Wiedziałem już, że facet ma niezłego świra.

Zapalniczka odskoczyła z cichym traskiem. Moje serce skoczyło z emocji i z obrzydzeniem uświadomiłem sobie, że to ślimacze monstrum poczuło zmianę. Skręciło się i zafalowało, jakby karmiło się moimi emocjami.

Albo zwiększonym przepływem krwi.

Zmieniłem dłonie, kładąc lewą na kierownicy, a palce prawej spoczęły na gałce zapalniczki.

North najwyraźniej nie wyczuł mojego podstępku, ale powiedział:

– Nie wiem, co mam sobie myśleć. Obserwuję cię od jakiegoś czasu, ale w mojej wiedzy są olbrzymie luki. Wiesz, obserwowałem kiedyś mężczyznę, który się tak mocno masturbował, że zaczął krwawić. Czy chciał, żeby tak było? A ty, kiedy byłeś sam...

Wyszarpnąłem zapalniczkę z gniazda. Zwoje w środku były pomarańczowe od żaru. Wdusiłem hamulec i szarpnąłem kierownicę lewą dłonią. Jednocześnie prawą wbiłem zapalniczkę w wyrzuczenie na mojej koszuli, w miejscu, gdzie podejrzewałem łeb kreatury i rozległo się głośne ssssssss!

Ślimakowiec wrzasnął i zaczął się dziko miotać pod moją koszulą. Wozem zarzuciło i przez jedną straszną chwilę jechał tylko na dwóch kołach.

Samochód opadł na cztery koła z głośnym hukiem. Zapalniczka potoczyła się po podłodze, zostawiając za sobą pomarańczową smugę w ciemnościach. Niewielki żółty płomień przepalił mi koszulę w miejscu, w którym zaznaczyłem swój ślad.

Chwyciłem ślimakowe monstrum i przez kilka straszliwych sekund czułem, jak jego kły ocierają się o moją skórę, a szczęki się rozwierają, by mnie chapnąć. Uwolniłem się od potwora i nagle trzymałem go mocno w dłoniach, oślizłego, wyrwijającego się z mego uścisku, prześlizgującego się między palcami. Ohyda miała niewielki krąg małych kielków, zakrzywionych i ostrych jak igiełki, podobnych do wędkarskich haczyków. Ze środka sterczała mu cienka, podobna do słomki kończyzna, długa na palec, która smagała na boki, rozbryzgując wokół kropelki krwi.

Chwyciłem to w jedną rękę i otworzyłem drzwi od strony kierowcy. Cisnąłem trzepoczące paskudztwo na środek pokrytej śniegiem drogi.

Odwróciłem się gwałtownie i zobaczyłem, że North szuka czegoś na podłodze – po pistolecie ani śladu. Walnąłem go na odlew w twarz. North cofnął się gwałtownie, żeby uniknąć ciosu, co dało mi sposobność złapania za broń, która wystawała spod mojego siedzenia.

Rzuciłem się całym ciałem, kopiąc nogami w szybę. Wylądowałem na łokciach, chwyciłem spluwę i odwróciłem się do niego. Wbiłem mu lufę pod brodę.

Siedzieliśmy tak dłuższą chwilę, wydechając obłoczki pary wodnej, gdyż lodowate powietrze wdarło się do środka przez otwarte drzwi. Wydawało mi się, że słyszę jakieś ciche dudnienie. Czyżby nasz ślimaczek starał się przystosować do życia w lodzie i śniegu?

– Dobra – wydyszałem. – Już dobra. To coś, czym w ciebie celuję, wiesz co to jest?

Pokiwał głową i powiedział:

– Myślę, że mam ogólnikowe pojęcie, tak.

– A słyszałeś kiedyś takie przysłowie: Tak bardzo chcę cię zastrzelić, że mi stanął?

– Nie słyszałem. Ale myślę, że w tym kontekście jego znaczenie jest całkiem zrozumiałe.

– Zamknij się. Nawet się nie rusz.

Wpełzłem, z powrotem na fotel kierowcy, cały czas mając go na oku, po czym wystawiłem nogi przez drzwi i stanąłem na wietrze. Rozejrzałem się po ulicy w poszukiwaniu miotającego się potwora. Podpełzł aż do chodnika.

Ruszyłem na paskudztwo, uniosłem stopę i walnąłem w niego podeszwą. Miotając całym repertuarem przekleństw pod nosem, tratowałem potwora raz za razem, zdeptując go obcasem. Ślimak w końcu eksplodował w brązowoczerwonej fontannie wnętrzości. Czerwone to krew,

stwierdziłem z obrzydzeniem – moja krew. Wciąż go tratowałem, z każdym uderzeniem rozsiewając drobiny lodu, aż potwór zmienił się w mokrą, poskręcana płamę.

Kopnąłem truchło do kratki ściekowej i wróciłem do samochodu, energicznie tupiąc po drodze. Pot zamarzał mi na twarzy i ciekło mi z nosa. Zaciśnąłem mocno zęby, moja dłoń zakleszczyła się na rękojeści pistoletu tak mocno, że czułem puls w dłoni. Z odległości kilku metrów spostrzegłem, że tylne drzwi wozu są otwarte i z zaskoczeniem stwierdziłem, że North zniknął. Walnąłem mocno drzwiami. Wsiadłem do wozu. Pojechałem do domu.

Po drodze widziałem tylko jeden pojazd i był to pług śnieżny. Minąłem radiowóz na parkingu sklepu wielobranżowego, widząc jak gliniarz próbuje założyć łańcuchy na opony. Popatrzył na mnie, kiedy przejeżdżałem obok niego, jakby przyglądał się wariatowi, który w ogóle wsiadł do wozu w taką zawieruchę. Musiałem raz stanąć i przetrzeć drapakami szybę, bo wycieraczki nie nadążały za nawałnicą.

Zaparkowałem przy drodze koło mojego domu i zostawiłem włączony silnik. Przeszedłem przez podwórze. Płatania śladów zmieniła się teraz w miękkie kratery pokryte świeżym śniegiem i lodem. Ścisnąłem w dłoni klucz do szopy.

Masz przecież alibi. Byłeś w pracy przez cały dzień. Caaaaly dzień. No nie?

Jasne. Pewnie, no właśnie.

Ale kto wie, kiedy dokładnie dziewczyna zniknęła. Mogło minąć parę dni zanim ktokolwiek zauważył. Nawet jeśli to się stało zeszłej nocy...

Zeszłej nocy byłem w łóżku. Od jedenastej.

Czy na pewno? Czy możesz pamiętać każdą minutę, kiedy wydawało ci się, że śpisz? Jest taki okres, w którym – jak wyraźnie pamiętasz – byłeś piratem i brałeś udział w abordażu statku pełnego nagich kobiet. Czy mogłeś być na nogach, włóczyć się po mieście, porywać biedne dziewczyny i ukrywać je w szopie?

Nie. Nie ma mowy.

Może trzymałeś ją związaną cały dzień, a kiedy przyszedłeś do domu postanowiłeś, że w końcu pozbędziesz się zabaweczki? Albo skrócisz jej cierpienia? Wszedłeś więc do domu, wziąłeś pistolet i...

Nagle przypomniała mi się automatyczna sekretarka na stoliku przed drzwiami wejściowymi. John dzwonił i czerwona dioda wolno mrugała.

Wolno.

Jak jest nowa wiadomość to mruga szybko, jak w stroboskopie. Maszyna sygnalizowała zachowaną wiadomość. Taką, która była już odtwarzana.

Nie. Pamiętałbym.

Czy na pewno? Przypomniało mi się ostatnie lato, miesiąc po tym jak zerwaliśmy z Lopez i pokazała się w barze, w którym grała kapela Johna. Wypiłem, ooch, jakieś siedemset piw. Wylądowałem u niej, w wynajmowanym domu, w którym mieszkała z koleżanką. Cała noc rozmazała mi się całkowicie. Pamiętam pot zalewający oczy, mój własny oddech, odbijający się od jej szyi, mokre prześcieradło. I muchę. Ta mucha bzycała mi nad głową, siadała mi na szyi i na plecach, łaskocząc mnie niemiłosiernie tak, że co chwila budziłem się w nocy. Reszty nie pamiętam. Kilka dni później dotarło do mnie przez jedną ze znajomych Jennifer, że wpadłem w pijacki, łzawy słowotok, uzalając się, jak to piekło czeka na mnie i nie mogę nic na to poradzić. Mówię, że to jakaś ścierna, że Jen wymyśliła to, że bym wyszedł na idiotę. Ale czy na pewno wymyśliła? Skąd mam wiedzieć? Niektóre wspomnienia zakopują się w pamięci tak głęboko, tak bardzo głęboko...

I tak po prostu przebłyski pamięci zaczynają pulsować mi pod czaszką, niby zapomniane fragmenty snu.

Pamiętasz. Pamiętasz jak wpadłeś do domu i wyciągnąłeś tę wielką księgę z nocnej szafki. Wyrwałeś z niej pistolet i wypadłeś z domu na zimno...

Z kluczem zaciśniętym w dłoni przeszedłem przez podwórko i obszedłem dom. Szlak śladów, który mnie prowadził, zniknął teraz, a przestrzeń między domem i szopą zmieniła się w tunel wypełniony wichrem, który chciał mi oderwać uszy. Obok mieszkają Andersonowie, ale są na

Florydzie. Następny dom stoi pusty, a tabliczka agenta nieruchomości NA SPRZEDAŻ tkwi głęboko zakopana w śniegu przed budynkiem. Pojedynczy strzał w tym wietrze? Kto zadzwoniłby po gliny? Człowiek się budzi i nawet nie jest pewien, czy coś słyszał, czy mu się śniło.

Tył domu oświetla mi od zmierzchu do świtu przyćmione światło lampki nad kuchennymi drzwiami. Wystarczająco jednak, żebym zobaczył kałużę różowej brei na śniegu. Metalowa struna owinięta wokół żołądka zacieśnia ucisk.

Naprawdę jeszcze kilka minut temu zaczęłaś się roztkliwiać nad sobą, że będziesz musiał dożyć swoich lat w wariatkowie albo w więzieniu? To jest naprawdę krew dziewczyny, Dave. Siedziała w ciepłym domu i przygotowywała się do spania, ale po chwili została z niego brutalnie wyciągnięta i ogłuszona. Co z tego pamiętasz? Pamiętasz rozbłysk światła i pistolet podskakujący ci w dłoni, a potem kopanie w śniegu w poszukiwaniu mosiężnej łuski i to, jak jej nie znalazłeś, oslepiony blaskiem w ciemną noc i z odgłosem wystrzału dźwięczącym ci w uszach. I tak, jak tej nocy z Jennifer, wiedziałeś, że to ostatnia rzecz pod słońcem jaką chciałeś zrobić, ale i tak zrobiłeś, zrobiłeś, zrobiłeś do cholery. Nigdy ci dość, Dave.

Sięgam do drzwi i drżącymi palcami staram się wepchnąć klucz do zamrożonej kłódki. Upuszczam klucz raz, drugi, po czym obejmuję zamrożoną kłódkę dłonią, by ją ogrzać. W końcu udaje mi się włożyć klucz, przekręcić go i otworzyć.

Wybuch ognia w ciemnościach, ostry huk wystrzału, osłepienie, panika, wydychane zamrożone powietrze, niebieska plandeka...

Otwieram drzwi, szorując nimi po zamrożonej ziemi. Struna fortepianowa wokół mego żołądka zaciąga się jeszcze bardziej i gdybym coś wcześniej zjadł, zwymiotowałbym.

Mam tę plandekę, niebieską, tę której zawsze używam, by drewno na opał nie zawilgotniało zanim mi się skończy. Teraz leży luźno zwinięta na wysypanej żwirem podłodze mojej szopy, przy kolejnej plamie zamrożonej brei w kolorze żurawinowym. Coś spoczywa tu zawinięte w brezent, coś rozmiaru ludzkiego ciała, coś o czym wiem, że jest ludzkim ciałem, zrolowanym jak...

Trupie burrito!

... wypatroszony jeleni na przyczepie pickupa. Mógłbym pomylić to z zabitym kozłem, gdyby nie fakt, że spod krawędzi płóciennej plandeki wystają trzy blade palce.

Odwracam się, wychodzę na zewnątrz, kładę dłonie na kolanach.

Oddychaj.

Wolne, głębokie wdechy. Prostuję się, para wodna dostaje mi się do oczu, a moja dusza wyrывa się, żeby uciec stąd jak najdalej. Kolana mam jak z waty. Opieram się o framugę drzwi szopy, ale czuję, jak szoruje mi po plecach. Nagle czuję mróz na tyłku. Śnieg zaczyna się przesączać. Jestem zaskoczony faktem, że siedzę, wyciągając przed siebie nogi, i nie mając siły wstać.

Znacie moją siostrę. Siedzi teraz sama w domu. W wielkim, starym domu.

Jeśli któś z was przeżyje, a ja nie, chcę żebyście zaglądali do niej, pilnowali, sprawdzali czy sobie radzi, dobrze?

Po prostu nigdy nie była sama.

Chcę, żebyście mi to obiecali.

Skończyło się tak, że ludzie podróżujący na pace wozu z piwem nie byli jej w stanie ochronić. Nie byli jej w stanie ochronić przede mną.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to zrobiłem. Nie chciałem, to na pewno, ale i tak zrobiłem. I ta myśl, gargantuiczna myśl połykała mnie w taki sam sposób, w jaki niewyobrażalna idea wieczności pochłonie mnie po przybyciu do piekła, że nic już nie będzie tak jak powinno, nigdy, przenigdy.

Jezu. Ale brzemię.

Bez jaj, gnojku. Dlatego właśnie musisz działać. Ona nie żyje, a ty tak. Myśl. Wiesz, co robią takim jak ty w pierdlu? Rzeka jeszcze nie zamarzła, po prostu zabierz to ciało i chlup, odetnij głowę i ręce i pozbądź się trupa. To przecież nie twoja wina...

Nie. Tego bym nie zrobił. Widzę przyjaciół, rodzinę – i ona też miała rodzinę, gdzieś tam, która będzie dożywała swych dni, nie wiedząc co się stało Amy Sullivan. Nie, oni zasługują na to, by się

dowiedzieć. Zasługują, by się dowiedzieć, że ja to zrobiłem i muszą zobaczyć mnie przypiętego pasami do stołu z igłą w żyłę.

Zmuszam się do oddychania. Krok za krokiem, to był jedyny sposób, by zapanować nad wszystkim, po tym jak wymknęło się spod kontroli. Krok pierwszy – oddychaj. Krok drugi – wstawaj. Idź do szopy, przyjrzyj się, upewnij się czy to ona...

No już, jasne. Może się okazać, że masz całą kolekcję trupów poupychanych w tej budzie...

...a potem idź do domu Amy i powiedz Johnowi. Po prostu mu powiedz, bez kitów. A potem zadzwoń do Drake'a i pokaż mu ciało. Powiedz mu prawdę, powiedz mu, że zemdlałeś, a potem pojawiła się ona. Spójrzmy prawdzie prosto w twarz, jeśli jestem niebezpieczny, to lepiej żeby mnie zamknęli. Tak będzie bezpieczniej dla wszystkich.

Podnoszę się na nogi, kładę dłoń na drzwiach...

Dobra, już dobra, wejdź tam, rozwiń ją i się przypatrz, po prostu popatrz na swoje dzieło...

... i zamykam je. Zatrzaszukuję kłódkę, po czym brnę przez śnieg do domu.

Rozdział 11.

Tak à propos...

Z perspektywy czasu myślę, że gdybym wszedł wtedy do środka i zobaczył, co było w szopie, to chwilę później wpakowałbym sobie kulę w łeb.

Rozdział 12.

Amy

Jadę po śladach własnych opon, wracając samochodem przez miasto. Mam włączone światło i rzucam nerwowe spojrzenia za siebie co kilka sekund. W domu Amy zastaję Johna, zgarbionego pod maską swego cadillaca. Mijam go, a straszliwe wieści kłębią się we mnie niczym te potwory z „Obcego”, rozrywające klatkę piersiową. Pytam:

– Zdechł ci akumulator?

– Mam nadzieję, że nie – widzę zestaw kabli do prostownika zwinięty w śniegu wokół jego stóp. Wokół jednego łokcia ma owinięty guzowaty kabel, który wygląda jak światełka na bożonarodzeniowe drzewko. – Będzie miał spóźnione święta, skurwysyn oślizły. Kiedy go tylko znajdę. Przywiozłeś mi rękawice?

– Ee, nie.

– No dobra... A ciasteczko dostanę chociaż?

Zobaczył przez sekundę moją twarz, gdy przechodziłem obok. Podniósł się bardzo zaniepokojony.

– Dave? Co się stało? Zmieniłeś koszulę?

– Odłóż to na miejsce. Myślę, że, eeeh, myślę, że rozgryzłem o co tu chodzi.

– Co takiego? Naprawdę, rozgryzłeś?

Wszedłem do ciepłego domu, podejrzewając, że będzie to kolejna z tych niezręcznych życiowych rozmówek. Odruchowo rozcierałem palce od chłodu. Słyszałem, jak John zbliża się do drzwi i nagle opanowały mnie rozmaite światłe pomysły, pospieszne i desperackie. Dzikie, spanikowane pociski myśli.

Mógłbym im powiedzieć, że to był wypadek.

Jasne. Może ci się udać. Możesz ustawić całą armię świadków tego, jak przeciąłeś sobie żyłę w ramieniu, starając się wyciąć środek z dyni. Możesz wyciągnąć kartotekę z pogotowia, z dnia kiedy Jennifer musiała cię zmusić, żeby ci usunęli pół filiżanki wosku z krocza. Był jeszcze incydent z pistoletem do gorącego kleju. Ludzie uwierzą, zobaczą, że żaden z ciebie morderca, a jedynie niewiarygodny głupek. Bo widzi pan, panie policjancie, jechałem sobie obok tego domu i nagle zauważyłem przez okno coś, co wyglądało jak ogolony pawian, który najwyraźniej uciekł z wędrownego cyrku. Zwierzę było wyraźnie wychudzone i niedokarmione, co, jak podejrzewałem w jeszcze większym stopniu narazi na niebezpieczeństwo mieszkańców tego domu. Oczywiście wyciągnąłem broń i położyłem stworzenie jednym strzałem. Ale, co ciekawe, w tej właśnie chwili mój penis przypadkowo wypadł i znalazłem się...

CHRUP. SKRZYYYYYP.

Nade mną.

Skrzypiące deski parkietu.

Zatrzymałem się, wstrzymałem oddech, nasłuchiwałem. Wiatr? Nade mną stuknęły zamykane drzwi.

Podszedłem szybko i bezszelestnie do schodów, z oczami wbitymi w drzwi na górze. Zerknąłem przez ramię na Johna, a przestraszony wyraz jego twarzy powiedział mi, że nie zapraszał żadnych znajomych. Wyjąłem pistolet z płaszcza i wycelowałem w schody.

No, schodźcie skurwiele. Schodźcie do mnie. Chodźcie zobaczyć Davida w najgorszym dniu jego życia, kiedy jest o włos od więzienia albo jeszcze gorzej, ale wciąż ma jeszcze czternaście naboju na zbyciu. Kimkolwiek jesteście, wybraliście cholernie złe schody w cholernie zły dzień.

Schodźcie na dół.

Usłyszałem jak otwierają się kolejne drzwi, a następnie znowu zamykają. Czy najniebezpieczniejsze poczwary to te, które używają drzwi, czy też wręcz przeciwnie?

Zacząłem wchodzić wolno po jednym stopniu do góry, bardzo cicho. Moja stopa natrafiła na skrzypiącą deskę w korytarzu. Wszystkie drzwi na piętrze były zamknięte, oprócz drzwi do sypialni. Biblioteka znalazła się, całkiem logicznie, na pierwszym miejscu listy do sprawdzenia. Bardzo cicho przekręciłem mosiężną gałkę, aż drzwi ustąpiły z cichym trzaskiem. Nic prócz ciemności. Spróbowałem włączyć światło – zapaliło się od razu.

Meduzy brak.

Wycofałem się, zrobiłem kolejny krok i spróbowałem drzwi po mojej prawej. Łazienka. Nie było potrzeby włączania światła. Od razu zobaczyłem, że pomieszczenie jest puste i – popatrzcie państwo tylko – zniknął wór z łojem.

Teraz w stronę sypialni z pistoletem trzymanym obiema dłońmi na sztywnych ramionach, jak wieżyczka w czółgu. Znow to znane wrażenie, krew szumi mi w uszach, w mózgu strzelają iskry i ponownie zlewam się zimnym potem. Moje ubranie musi śmierdzieć na kilometr.

Coś poruszyło się w cieniu.

Szczupła postać, niemal tak wysoka jak człowiek.

Szary korpus, jak u nosorożca.

Zobaczyło mnie i zamarło.

Strumyczek potu ściekł mi po czole, kapiąc żarem do lewego oka.

Jasna dupa! To ogołony pawian!

Z perspektywy przyrządów celowniczych widzę młodą, bardzo szczupłą i bladą dziewczynę ubraną w szarą bluzę Uniwersytetu Notre Dame, którą założyła jako dres.

– Och! Amy! Cześć!

Lawina wielkiej ulgi pogrzebała wszelkie złe myśli w mojej głowie.

Amy zrobiła kilka kroków w tył. Trzymała szczoteczkę do zębów i nerwowo pocierała kciukiem włosie, cofając się w stronę drzwi. Jej drugie ramię kończyło się pustym rękawem.

– Cześć – powiedziała nieco zbyt głośnym piskiem. – Czy mogę jakoś, eeh, pomóc?

– Nie, nie. Wszystko w porządku. Martwiliśmy się tylko...

Zrobiłem wielki błąd. Wyciągnąłem do niej dłoń, od tak zwyczajnie, żeby (zdaje się, że trzymanie broni w drugiej ręce nie ma w sobie niczego zwyczajnego) dotknąć jej. Musiałem sprawdzić, czy to ona, z krwi i kości.

Moje palce zacisnęły się na bardzo konkretnym i bardzo namacalnym przedramieniu, ale ona się wyrwała i kiedy chciałem ją chwycić za dłoń, moje palce natrafiły jedynie na próżnię.

Schowała się za drzwiami sypialni i zatrzasnęła je. Patrzyłem głupkowato na swoje puste palce i uświadomiłem sobie dwie rzeczy:

Amy Sullivan żyje i nie ma lewej dłoni.

– Zaczekaj! Ej! – krzyknąłem z bronią w ręce, wypisz wymaluj jak uzbrojony gwałciciel. – To ja!

– Dobra! – powiedziała i usłyszałem jak coś szura po podłodze, szarpnąłem więc za gałkę w drzwiach. Zastawiła je jakimś meblem, prawdopodobnie bieliźniarką z szufladami.

– Nie! Wszystko w porządku! Nie jestem uzbrojony, znaczy jestem, ale nie żeby coś tego. Wszędzie cię szukaliśmy.

– Jestem tutaj! – odpowiedziała przesłodzonym głosem, jakim zwykle uspokaja się wściekłego dobermana. – Teraz możesz już sobie spokojnie pójść!

Wepchnąłem broń w kieszeń kurtki i nachyliłem się w stronę drzwi.

– Ej, a gdzie byłaś?

Żadnego odzewu ze środka. Usłyszałem jej cichy głos, jakby coś do siebie mruczała. Biedne dziecko.

Wróciłem do schodów, a jedno pytanie zastąpiło tuzin nowych. Po pierwsze, kogo zabiłem?

John wszedł po schodach, mówiąc:

– Kto tu gadał?

– Znalazłem ją. Była w sypialni.

John zerknął w tamtą stronę i powiedział:

- Cholerka. Dobry jesteś. A więc była tu cały czas? Ale co, zwinęła się i schowała do szuflady?
- Nie wiem, John. I guzik mnie to obchodzi. Chce, żebyśmy sobie poszli.
- Pewien jesteś?
- John, musimy pogadać.

Odwróciłem go w drugą stronę i zesłaliśmy na dół do salonu, gdy w tej samej chwili za wykuszowym oknem pojawiły się migające, czerwone niebieskie policyjne światła. Dotarliśmy do frontowych drzwi, przez które już przepychał się Drake.

– O co tu biega? – spytał Drake, strzepując śnieg z ramion. – Dostaliśmy telefon na numer alarmowy od Amy, która mówi, że w domu jest uzbrojony mężczyzna.

Drake poszedł na górę, by uspokoić Amy, a ja wraz z Johnem czekaliśmy w kuchni, siedząc przy zielonym stole z chromowanymi nogami w stylu taniej jadłodajni. John wyciągnął jakieś niewielkie pudełko, które wyglądało na paczkę tytoniu i spytał:

– Myślisz, że miałyby coś przeciwko, gdybym tu zapalił?

– John, zabiłem kogoś – kiedy te słowa zawisły w powietrzu, miałem chwilę, by zastanowić się, ilu ludzi je wypowiedziało i wciąż wiedzie szczęśliwy żywot. Powiedziałem: – W mojej szopie leżą zwłoki.

– Czy to Jeff Wolflake? Czy to oznacza, że jest wakat na stanowisku kierownika?

– Nie. Pojawił się jakiś facet. Do końca nie wiem, czy facet. Po drodze do domu. Poszczuł mnie takim paskudztwem, co wyglądało jak ślimak i zadawał mi rozmaite pytania.

– I zabiłeś go.

– Nie, nie. Ten uciekł. Zabiłem kogoś innego, osobę całkowicie nie związaną z tym, jak się okazało. I schowałem tam zwłoki.

– Dobra, a więc kto to taki?

– Bo ja wiem. Nie sprawdzałem. Jednak pamiętam, jak to robiłem, no tak jakby. Zastrzeliłem z pistoletu. W magazynku nie ma naboju, no i w ogóle. Pamiętam, jak to robiłem, ale nie przypominam sobie, że bym chciał to zrobić.

John przyglądał mi się bardzo uważnie. Odwrócił wzrok, zebrał włosy z tyłu i przewiązał je gumką. Wyciągnął niewielkie pudełko i wytrząsnął z niego bibułki, po czym otworzył tytoń.

Powiedział:

– Myślisz, że było tak jak z Dannym Wexlerem? Tym demonem, na którego natknęliśmy się w galerii handlowej?

Natknęliśmy się, powiedział. Jakbyśmy zaskoczyli go, jak sobie portki kupował w American Eagle.

Korrok jest mym jedynym panem.

– No wiesz – powiedział – że wchodzi w różnych ludzi i kieruje nimi niczym kukiełkami? Tak jak wtedy, gdy mnie postrzeliłeś?

– Znów będziesz mi to wypominał?

– Myślisz, że zabiłeś Jennifer?

O tym nie pomyślałem.

– Nie, ja... znaczy, przecież rozstaliśmy się w zgodzie, mam rację?

Nie odpowiedział.

Wyciągnąłem moją komórkę i wyłowiłem numer Jennifer Lopez z menu szybkiego wybierania. Jeden dzwonek. Trzy dzwonki. Potem sześć. Osiem. W końcu...

– Mmmm... halo?

Znałem ten głos. Zaspany i zapijaczony, jasna sprawa, ale jej własny. Przerwałem połączenie.

– Jest u siebie – powiedziałem.

– Cóż, to już koniec twoich znajomych.

– Ale, jeśli to było... jeśli to coś mną kierowało, to nie byłaby osoba, którą bym chciał zabić. To byłby ktoś, kogo to coś chciałoby zabić.

Jasna dupa, toż to czyste szaleństwo.

John zapytał:

– A więc mogło to się zdarzyć ponownie?

Otworzyłem usta, by odpowiedzieć, ale znów je zamknąłem. O tym też nie pomyślałem. John zaczął pracowicie rozsypywać tytoń na bibułkę.

Powiedziałem:

– Może się jej nie spodobać, że tu palisz, John.

– Eee tam, ja tylko kręcę sobie na zaś. Kiedy przyjdzie mi ochota, by zajarać, nie mam zamiaru siedzieć i się z tym pieprzyć. Wtedy tytoń zbija się w środku i nie chce się palić. Skręcanie to robota głupiego.

– Wiesz, myślę, że można je kupić gotowe – zaczął skręcać, rozwinął, skręcił jeszcze raz. Ściszyłem głos i nachyliłem się w jego stronę. – Ej, John, kiedy widziałem Amy, wydawało mi się, że nie ma dłoni.

– No tak, już od dłuższego czasu. Miała wypadek.

– Och. I mieszka tu sama?

– No tak. Dlaczego pytasz?

– Nie ma nikogo kto, no wiesz, przychodziłby i jej pomagał?

John przyglądał mi się przez chwilę, po czym powiedział:

– Cóż, Dave, myślę, że sąsiadka przychodzi, żeby jej dać pożywienie i miskę wody. No i wypuścić ją na dwór.

– Co takiego?

– Eee, nic.

Urwaliśmy naszą dyskusję gwałtownie, kiedy Drake pojawił się w drzwiach, a za nim ledwo widoczna Amy. Przecisnęła się obok niego, teraz już całkiem ubrana w wyjściowe ciuchy i nawet w buty. Nie wybierała się nigdzie, nie w taką noc przy takiej pogodzie. Musiał to być jej strój na użytek gości. Miedziane włosy sięgały jej do brody i wyglądały, jakby je sama przycinała. Coś dziwnego czaiło się w jej oczach. Jakiś złowróżbny odcień zieleni.

Na dodatek wciąż nie miała ręki. Kiedy weszła do pomieszczenia, odwróciłem wzrok od pozbawionego dłoni ramienia. Machanie nim nie wychodziło jej za dobrze podczas poruszania się, ale uświadomiłem sobie, że moje odwracanie wzroku jest aż nadto widoczne. Spojrzałem więc na naznaczony bliznami kikut nadgarstka. Zauważyła gdzie patrzę i schowała nadgarstek w rękawie. Spojrzała obok mnie i powiedziała:

– Cześć, John!

– No, co jest z tobą. To jest Dave, ten, którego widziałas w korytarzu. Żaden z niego psychopatyczny morderca – skłamał.

– Och, ja wiem. Chodziliśmy razem do szkoły.

Tak, Amy, powspominajmy sobie szkołę Pine View dla osób z zaburzeniem osobowości. A pamiętasz jak musieli obezwładnić tego psychologa, Bobby Valdeza i jeden z sanitariuszy złamał mu rękę! Hahahahahaahhha!!!"

Odezwałem się:

– Ej, przepraszam za, no wiesz. Ze prawie cię postrzeliłem. Zadamy ci tylko kilka pytań i zostawimy w spokoju.

Popatrzyła na mnie zbyt długim spojrzeniem osoby pozbawionej umiejętności nawiązywania kontaktów z innymi, bądź też osoby o zmniejszonej sprawności umysłowej. Jak mówił John, wiedziałem, że miała wypadek za młodu. Uszkodzenie mózgu? Czy na tym polegała jej choroba? Przypomniały mi się tabletki na nocnym stoliku.

Wytrzymała moje spojrzenie i powiedziała:

– Nic się nie stało! – machnęła lekceważąco ręką i uśmiechnęła się.

– A więc jesteście z policji, czy jak?

Cholera, coś taka rozradowana. Czyżby w jednej z tych buteleczek był Vicodin, skarbie?

– O, nie. John zna funkcjonariusza Drake'a, który wezwał nas do pomocy. Jesteśmy, jakby to powiedzieć, ekspertami...

– Och, wiem – odparła pogodnie. – Czytałam o was. Jest taka strona, na którą wchodzę, coś na kształt Wiadomości ze Świata Dziwów. Wymieniają wasze nazwiska w co drugim artykule. Pisali o Jimie, kiedy Jim, no wiecie. Bardzo dużo czytam. Chcecie się czegoś napić? Mam, eeemm, skok żurawinowo-jabłkowy... – obróciła się na pięcie i otworzyła lodówkę – no i... wodę. I pikle.

– Nie, dziękujemy.

Zamknęła lodówkę i usiadła na krześle przy stole, na wprost Johna i mnie. Drake powiedział:

– Nic nie pamięta. Mogę stwierdzić, że zgubiła gdzieś dwadzieścia godzin.

Powiedziałem do niej:

– A co robiłaś ostatnio? Co pamiętasz?

– Myłam zęby. Trzymałam szczoteczkę w rękę, zesłam na dół, by wypuścić Molly, żeby mogła się wysikać i potarzać w śniegu. Ona to lubi. Weszłam z powrotem po schodach na górę i nakładałam pastę na szczoteczkę, i właśnie wtedy zgasło światło. Nagle, tak po prostu. Szczoteczka wróciła na półkę i woda była wyłączona i nie pamiętam nic pomiędzy. Potem usłyszałam kogoś w korytarzu i okazało się, że to byłeś ty.

– Siedziałas na kampie, czy tak? Zanim tu weszłaś?

Wahanie. Ukrywa coś?

– Taa, chyba tak.

– Nic się dziwnego nie wydarzyło?

– Kiedy?

– Tej nocy, lub poprzednich.

– Nie – powiedziała, przyglądając się mojej twarzy, jak to robią osoby nie potrafiące kłamać, kiedy chcą sprawdzić, czy się udało. Ta dziewczyna nie miała żadnej praktyki.

– Jesteś pewna?

Jak na sygnał, John wstał i skierował się do drzwi ze słowami:

– Zaraz wrócę.

Odwróciłem się do Drake'a i powiedziałem:

– Cóż, w takim razie nie było tu żadnej zbrodni, czy tak?

Obdarzył mnie lekceważącym spojrzeniem, które wręcz krzyczało „to ja tu jestem glina” i że wyjdzie, do cholery, kiedy sam będzie miał na to ochotę, i ani sekundy wcześniej.

Amy powiedziała:

– Naprawdę nic mi nie jest. Jestem tylko trochę zmęczona.

Drake i ja gapiliśmy się na siebie już na tyle długo, że ustaliliśmy, iż dobrze, wyjdzie, ale i tak jego wacek jest większy niż mój. Porwał swoją uszankę z blatu i wcisnął ją na uszy.

– Taa, muszę już wracać. – Zwrócił się do Amy: – Ale powiesz mi, jeśli coś podobnego się jeszcze wydarzy. Rozumiemy się?

Nacisk na „mi”.

– Jasne. Dziękuję.

Zniknął w obłoczku mroźnego powietrza, trzaskając drzwiami. Doświadczylem niespotykane krępującej chwili ciszy, która występuje zwykle, kiedy człowiek znajdzie się w jednym pomieszczeniu z osobą, której wymyślił przezwisko. Bo widzicie, morskie ogórki wyrzucają z siebie wnętrzości, żeby odwrócić uwagę drapieżnika, i kiedy wymiotowała komuś na blat po raz trzeci... cóż, myślę, że wspominałem już o tym wcześniej. Nieważne.

Przyglądała się podrapanej powierzchni kuchennego stołu i bębniła w nią palcami. Mój wzrok przeskakiwał po przedmiotach w kuchni, z kalendarza na lodówce (z małpami pozującymi w wiktoriańskich kostiumach) przez kikuta, w miejscu, w którym powinna wyrastać ręka, przez psa, który spał na podłodze, najwyraźniej obojętnego wobec faktu własnego wskrzeszenia tudzież powrotu swej pani, plastikowych, piknikowych kubków na blacie, aż w końcu z powrotem do brakującej dłoni Amy. Gdzie, do diabła, na tak długo zniknął ten John?

Amy nachyliła się w moją stronę i powiedziała:

– No to, hmm, jaka była najbardziej przerażająca rzecz, którą wdziałeś?

Zastanowiłem się i odpowiedziałem:

– Byłem pewnego wieczora w Cracker Barrel. Dwa stoliki ode mnie siedziała grupa czterech starszych pań. Wszystkie miały na głowach wielkie, czerwone kapelusze. Czerwone kapelusze i fioletowe płaszcze. Gapiłem się wciąż na nie, a one sobie tylko popijały kawę nic nie jedząc. Wstałem więc, żeby wyjść, no...

– A ty jadłeś w samotności?

– Taa. Wstaję więc do wyjścia, płacę po drodze do drzwi i widzę, że przy kolejnym stoliku siedzi druga grupa kobiet w czerwonych kapeluszach. I fioletowych płaszczech.

Amy zastanowiła się nad tym przez chwilę, po czym powiedziała:

– Dziwne. – Spojrzała w dół na blat stołu, a potem odezwała się cichym szeptem konspiratora: – Słyszałeś kiedyś o zapłonie spontanicznym?

– Jasne.

– Moja przyjaciółka, Dana, była pewnego dnia w spożywczym i jej ramię, tak jakby, buchnęło płomieniami. Tak po prostu. Tylko ramię. Zaczęła wrzeszczeć i wymachiwać nim wokół, a płomienie strzelały na boki. W końcu pojawiły się gliny i aresztowali ją.

– Aresztowali ją? Dlaczego...

– Za posiadanie broni bez pozwolenia.

W pomieszczeniu zaległa ciężka, głucha cisza. Znów wbiła wzrok w blat stołu, a na jej ustach zatańczył uśmiech niezwykle zadowolonej z siebie osoby.

Powiedziałem:

– A wiesz, że na Bliskim Wschodzie można kobietę wychłostać za opowiadanie takich historii?

W tym samym momencie do środka wparował John z plastikową buteleczką, zawierającą poprzednio płyn do mycia naczyń, a obecnie wypełnioną przezroczystą, gęstą substancją, którą można by wziąć za żel do włosów, choć gdyby to ktoś zrobił, nie miałby już w życiu drugiej okazji pomylenia czegokolwiek z żelem.

Wstałem, John przysunął się do mnie. Tryb przesłuchaniowy.

– No dobra – zacząłem. – Wiemy, że ty wiesz, że coś się kroi. Wiedziałaś, że coś nadciąga i okamerowałaś cały swój pokój, żeby nagrać to wydarzenie.

Długa chwila milczenia.

W końcu powiedziała:

– To już miało miejsce wcześniej.

– Zaginiony czas?

Pokiwała głową.

– Przynajmniej z pół tuzina razy, o ile mi wiadomo. Jestem pewna, że było więcej. Drobne zjawiska, zaczęły się prawdopodobnie dwa tygodnie wcześniej, ale któż to może wiedzieć, rozumiecie? Włączałam wodę w wannie i nagle była już na podłodze, bo wanna przelała się w dwie sekundy. Raz obudziłam się w innym pokoju, a kolejnym razem nagle znalazłam się w łóżku w koszulce na lewej stronie założonej przodem do tyłu. Siedziałam i oglądałam telewizję, a sekundę później leżałam w łóżku.

John zapytał:

– I nigdy nie widziałaś niczego?

– Nie.

Odezwałem się:

– I myślisz, że co to jest? UFO?

– Nie, nie, nie. Lunatykowanie, rozumiecie. Zaniki pamięci. Myślałam, że coś związanego z medytacją.

Mam po dziurki w nosie twoich łgarstw, ścierwo jedne!

Zwróciłem się do przyjaciela:

– John?

Wyciągnął talerzyk ze zlewozmywaka. Wylał nań nieco płynu z butelki, a następnie odnalazł łyżeczkę na blacie.

Powiedział do niej:

– Wyobraź sobie coś. Jakiś przedmiot.

- Niby co?
- Cokolwiek.

Naprawdę, słowo daję, uśmiechnęła się rozbawiona, gotowa do zabawy. Odgarnęła włosy z czoła i zauważyłem, że jej grzywka ma dokładnie taką długość, o tragedio domorosłych fryzjerów, że wchodzi jej w oczy. Zmrużyła powieki, przybierając niemal komiczną minę wielkiego skupienia. Żel na spodku zaczął bulgotać i rosnać, skręcając się i wypiętrzając niczym gejzer. Szczyt zaczął się rozszerzać i rozwijać na zewnątrz niczym grzyb. Po chwili przybrał kształt dwudziestocentymetrowego drzewka, na podobieństwo tych kryształowych koszmarków, które niektórzy starsi ludzie trzymają na półkach.

Amy była pod wielkim wrażeniem.

- Ale jak....

– Nie mamy pojęcia – powiedziałem. – Ktoś mi to przysłał. Facet pisał, że pracuje dla firmy wiertniczej i znaleźli to cholerstwo przywarte do końcówki wiertła, które było jakieś trzysta metrów pod ziemią. Myśleli, że to jakiś smar, czy coś w tym stylu, że niby coś wyciekło. Aż to paskudztwo zabiło jednego z nich.

Drzewko już zaczęło się topić, ponownie zmieniając się w gęsty żel. John przytrzymał łyżeczkę tuż nad żelem i powiedział:

- Jasne, to robi wrażenie, bo udaje mu się wszystko, choć to tylko jakiś pedalski glut.

Żel zmienił barwę na krwistoczerwoną. Znowu zmienił kształt, tworząc otwór w samym środku. Z krawędzi sterczały ostre kolce. Zęby.

– Och, nie podoba się coś naszemu maleństwu, co? – zakpił John. – Widziałem już żele, które mogły tworzyć kształty dwa razy większe od twoich. Skoro taki z ciebie chojrak, to dłaczego nie wyleziesz stąd i nie znajdziesz sobie jakiejś przyzwoitej roboty ty cip...

Coś tylko śmignęło i z głośnym *chrup* zniknęła połowa łyżki. Żelowy stwór międlł ją teraz w swoich szczękach, zginając i rozrywając kawałek metalu, jak pies wgrzający się w kość. Krzesło padło z hukiem na podłogę i nagle Amy wstała, trzymając się obiema rękami za brzuch.

– Poczekaj – powiedział John. – Zawsze się uspokaja po chwili. – Barwa potwora przeszła od karmazynowej do różowej i znowu stała się przezroczysta. W końcu żel osiadł spokojnie na spodku, na którym widać też było kawałki pociętej łyżeczki.

Powiedziałem:

– Mamy całą kolekcję takich dziwactw w domu. Opowieści, które o nas słyszałaś? W większości przypadków to wszystko prawda. To właśnie robimy. Do tego mamy dryg. Widzieliśmy takie paskudztwa, że wystarczyłoby na koszmary przez resztę życia. Musisz więc zrozumieć, Amy, że czegokolwiek byś nam nie powiedziała, w żadnym razie nie uznalibyśmy cię za wariatkę. Ale jeśli mamy ci pomóc, musimy wiedzieć wszystko. Chcesz naszej pomocy? Bo dzisiaj w nocy zdarzą się bardzo dziwne rzeczy. Wielkie, dziwaczne i do tego głupie rzeczy.

Odgarnęła włosy z oczu, pokiwała głową i powiedziała:

- Dobrze.
- No to słuchamy.

Powiedziała:

- Piwnica.

Drzwi do piwnicy były schowane za półką. Nie była to tajna półka, którą odsuwał Batman, żeby wejść do swojej jaskini, ale zwykła stara półka na książki, którą ktoś zastawił wąskie drzwi w składzie, by odstręczyć obcych przed wejściem do środka. Obcych bądź też chudą dziewczynę, która nie była na tyle silna, by odsunąć szafkę na książki. Wraz z Johnem ledwo ją ruszyliśmy, choć półki wcale nie były pełne książek.

Amy odsunęła drzwi i błędziła dłonią w ciemnościach, aż w końcu znalazła sznurek zapalający zwisającą z góry żarówkę – niegdyś sznurek był biały, a teraz zbrązowiał i kleił się.

Pajęczyny.

Nagie, ceglane ściany.

Zaduch niczym z całej sterty mokrych psów.

W połowie drogi na dół po skrzypiących schodach uświadomiłem sobie, że przepuściliśmy dziewczynę przodem w drodze do nowej przygody w ciemnej piwnicy, i że było to bardzo nierycerskie.

Wyciągnąłem rękę i poruszając nieznacznie ciałem zrobiłem coś, co mogło na zawsze zmienić moje życie. Delikatnie odsunąłem Amy na bok i wyszedłem przed nią, stając między nią i cieniami.

Na dole panował chłód. Po lewej stronie zobaczyłem małe białe prostokąty – okna na poziomie ziemi tonęły w śnieżnych zaspach.

Za rogiem dostrzegłem jakiś długi, poszarpany przedmiot wystający z ciemności niby konar drzewa. W skąym świetle moja wyobraźnia zaszalała i wydawało mi się, że widzę ostre jak brzytwy szpony na końcu.

Wyszedłem za róg, mrugając, by odzyskać widoczność. Napompowany adrenaliną zobaczyłem potwora, którego „ramię” kończyło się w przysadzistym korpusie pokrytym szpiczastymi łuskami aligatora, a jego długie nogi, wygięte jak u pasikonika, do tyłu, wystawały ponad resztę ciała, co nadawało sylwetce kształt litery „W”. Łeb posiadał dwa skupiska ślepi, zbitych niczym u insekta, które biegły do tyłu wąskiej czaszki. Paszczę miał długą i wyposażoną w żuchwy zakończone szpikulcami ostrymi niczym chirurgiczne igły.

Gapiałem się na potwora, cały czas mrugając i mając nadzieję, że okaże się, bo ja wiem, zepsutym bojlerem na wodę. Wtedy uzmysłowiłem sobie, że cień w kształcie potwora był – uwaga, pełne zaskoczenie – potworem!

Amy wyszła zza rogu. Krzyknąłem: DO TYŁU!!! By ją powstrzymać, wyrzuciłem w jej stronę dłoń, która wylądowała jej wprost na twarzy. W drugiej dłoni trzymałem pistolet, który wyrwałem z kieszeni jednym płynnym ruchem. Oddałem strzał, a ogłuszający huk rozszedł się po całej piwnicy. Byłem pewien, że kula poszła Panu Bogu w okno, i że raczej trafiłbym sobie w stopę niż w tę bestię.

Bark maskary eksplodował w deszczu żółtych iskier. Wyciągnięte ramię odleciało i spadło na ziemię, a jego poszarpana końcówka zapaliła się.

Kopnąłem bydlaka w pierś, przewracając go na podłogę. Podniosłem odstrzelone ramię i waliłem nim w potwora raz za razem, krzycząc ile sił w płucach i zagłuszając przytłumione trach, trach, trach – odgłos własnej kończyny, walącej go w krocze.

Po chwili było jasne, że bestia nie stawia oporu. Leżała na ziemi z kończynami podkurczonymi w powietrzu, jakby zamieniła się w kamień. Dałem mu jeszcze z siedem, osiem razy jego własną łapą, po czym upuściłem kończynę, która spadła z głuchym stukotem na betonową posadzkę. Drżąc cały, zassałem wilgotne, zapleśniałe powietrze kilkoma potężnymi haustami.

John zbliżył się do mnie i spojrzał na pokonaną bestię. Powiedział:

– Nie była zbyt zwinna, co?

– Słuchajcie... – Amy przepchnęła się między nami. Przykucnęła i podniosła potwora, który znów stanął pionowo na ziemi. – Ach, chłopaki, przecież to sztuczne. To model. Rekwizyt. Jim go wykonał.

Ustawiła bestię równo na łapach, po czym minęła porzrzucone, kartonowe pudła i znalazła wyłącznik światła. Ten włączał z kolei rząd świetlówek na suficie.

Stworzenie było o wiele bardziej przerażające w jaskrawym świetle. Kuliło drugie ramię przy boku z pazurami, którymi z wyglądu można było ścinać drzewka. Zobaczyłem moje odbicie we wszystkich skupionych ślepkach, kalejdoskop mojej bardzo zmęczonej, pobladłej twarzy.

Powiedziałem:

– Och. Ja, no tego, przepraszam za to.

Odróciła się do mnie, spoglądając pogodnym wzrokiem, jakby właśnie obejrzała najbardziej rozrywkowy spektakl od lat. Przyjrzałem się potworowi. Był, bardzo oględnie rzecz ujmując, zapierającym dech w piersiach dziełem sztuki modelarskiej.

John stwierdził:

– Popatrz tylko na to. Ramię ma ścięgnię i wszystko, co mieć powinno.

Przyjrzałem się odstrzelonemu ramieniu leżącemu na podłodze i zobaczyłem, że rana kończyła się na roztrzaskanych fragmentach kości i tkanki łącznej. Wielki Jim wyrzeźbił wszystko, co

potwór powinien mieć w środku: mięśnie, ścięgna, kości i pewnie też organy wewnętrzne. Niemożliwe.

– Bardzo się tym interesował – powiedziała Amy. – Zbierał wszystkie te magazyny science fiction, poza tym prenumerował pisma na temat charakteryzacji i efektów specjalnych. Potrafił zaszyć się tutaj po całym dniu pracy i nie było go do nocy. Spotykałam go dopiero na drugi dzień, wcześniej rano. Siedział tu całymi godzinami...

Jej głos umilkł, bo wspomnienia o zmarłym bracie zabierały jej umysł w inne miejsca. Byłoby nietaktem powiedzieć, że wydawało mi się do tej pory, że tego rodzaju rekwizyt wykonuje cała sześciuosobowa ekipa z firmy Industrial Light & Magic z budżetem ćwierci miliona dolarów. To było rzemiosło sosu sojowego.

Jim, ty popierdalany okurwieńcu. Zaczynam myśleć, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

– Chodźcie – powiedziała. – To tutaj.

Przeszła przez niskie drzwi, pod którymi John musiał się schylać, do rogu piwnicy, który kilka dziesięcioleci temu mógł służyć za przechowalnię węgla. Przykłękała i włączyła żółty przedłużacz, wprowadzając do pomieszczenia ostre światło. Dwa przemysłowe halogeny stały na cienkich, metalowych statywach, oświetlając niewielki warsztat składający się z dwóch składanych metalowych stołów, tuzina słoików i menzurek, barwników, lateksu, gipsu i jeszcze czegoś. W rogu ustawiono białe, pięciogalonowe pojemniki.

Amy powiedziała:

– Miał całe pudła szkiców i notatek. Pisał powieści science fiction, naprawdę fatalne. Nie pozwalał mi ich czytać, ale czasami podglądałam i bohater zawsze kończył nagi i związany na łasce i niełasce pięknej księżniczki z innej planety, która go „torturowała”. No bo Jim, wiecie jak to jest, długo nie był z żadną dziewczyną.

Kłęcząca przy stercie kartonowych pudeł. Zdjęła pokrywę jednego z nich i wyciągnęła kilka szkicowników.

– Pracował nad czymś większym, powieścią czy sztuką. Mówiłam mu, że nie pozwolę mu robić własnych rekwizytów i jednocześnie pisać scenariusza. Mówił, że James Cameron sam projektował i wykonywał modele robota do pierwszego Terminatora. Pamiętacie tę scenę z „Matrixa”, kiedy mają ujęcie Keanu sięgającego do otwartych drzwi i w gałce przy drzwiach widać jakby odbicie ekipy filmowej? Jim zauważył to, kiedy pierwszy raz oglądał ten film. Ekspert pełną gębą. Robił te wszystkie projekty i zawsze mówił o sprzedaży domu i przeprowadzce, żeby można było...

Wzruszyła ramionami i przerwała w pół zdania, jak sądzę, by powstrzymać łzy, które lada chwila mogły pociec po jej twarzy. Podała mi stertę czterech czy pięciu szkicowników. Przejrzałem je, zobaczyłem rysunki stawów, mięśni, dłoni, szponów i ślepi. Przeglądałem dalej i zobaczyłem coś, co przyciągnęło moją uwagę.

Była to grupa ludzi przechadzająca się w towarzystwie trzech istot, które ludźmi nie były. Kruczoczarne postacie, których członki były zaznaczone ciężkimi pociągnięciami węgla na białym papierze. Narysowani byli podobni do ludzi cienia.

Ludzie na rysunku znajdowali się w niewielkim pomieszczeniu, przy drzwiach. Jedna z mrocznych postaci sięgała do drzwi, jakby miała zamiar je otworzyć.

Przerzucałem kolejne kartki. Zobaczyłem kolejny rysunek przy drzwiach – ten obraz był mi dobrze znany. Widziałem go godzinę temu. Przedstawiał zapomniane drzwi na balkon na piętrze.

Zerknąłem przez ramię na rozwaloną rzeźbę i powiedziałem:

– Wszystko tu to ten potwór w piwnicy. Jim mówił, że to do tej opowieści nad którą pracował?

– Nigdy o tym nie mówił. Ale ja widziałam jego notatki. No wiecie, po tym. Prowadził dziennik z tym wszystkim, a ja musiałam wszystko posortować. – Otarła policzek rękawem, a ja poczułem się jak ostatni łajdak, tak ją wypytując. Nie zadaliśmy kolejnego pytania, ale i tak powiedziała: – Dotyczyło paralelnych światów. Typowa science fiction, alternatywna rzeczywistość i takie tam. Myślę, że jego opowieść mówiła o ludziach na Ziemi, równoległej Ziemi, no wiecie, która znajdowała się bardzo blisko tej, a oni chcieli wybudować coś na kształt pomostu pomiędzy nimi. A potem, już sami wiecie, jak zwykle inwazja.

– A tamto stworzenie? – zapytałem. – Jak ono się wpasowuje w tę opowieść?

Wzruszyła ramionami. John oznajmił bardzo poważnym głosem:

– Będę zgadywał, że to coś przywiązywało go, żeby nagie obce mogły go przesłuchiwać.

Amy wybuchnęła śmiechem i nagle przypomniałem sobie, po co w ogóle trzymam Johna przy sobie. Zerknąłem ponownie na jednorękiego łajdaka i powiedziałem:

– Wynośmy się stąd w cholere.

Nie mogłem wtedy wiedzieć, prawda? Że być może wszystkie odpowiedzi na nasze pytania tkwią właśnie tam, w szpargałach Jima. Że być może poukładał to w jedną całość.

Jednak wtedy, tamtego wieczora, chciałem tylko się stamtąd wydostać. Zgniły smród winy wisiał nad każdą myślą. Szczególnie, jeśli dotyczyła Jima.

A więc tak, wspieiliśmy się po schodach i powyłączaliśmy światła. Wszystkie materiały Jima przykrył całun ciemności i więcej żadnemu ludzkiemu oku nie było dane na nich spocząć.

Nigdy już tam nie wróciłem, aż do dnia, kiedy spaliliśmy cały dom do fundamentów.

Znalazłszy się ponownie na górze, John zapytał Amy, czy kiedykolwiek widziała w domu wałęsającego się meduzopodobnego stwora albo też wielki wór czegoś, co wyglądało jak skrawki rzeźnicze. Ku memu całkowitemu brakowi zaskoczenia odpowiedziała, że nie.

Powiedziała też, że jej kamery nie wychwyciły niczego, choć były ustawione tak, by włączyć się przy najmniejszym ruchu.

– Widać tylko mnie, jak się włączę po domu – powiedziała. – Wiercę się w łóżku, bo mam chory kręgosłup.

– A wtedy, kiedy zaginęłaś poprzednio – John pomyślał, żeby zapytać – jak to było dawno temu?

– Z całą pewnością zdarzyło się to w niedzielę w nocy, a potem we wtorek w nocy. A potem, jak wicie, zeszłej nocy.

– Co czterdzieści osiem godzin – zauważył John – o ile wiemy.

– Ale zwykle nie na tak długo. Do tej pory najdłużej zniknęłam na sześć godzin, od północy do wczesnych godzin porannych. To jest pierwszy raz, kiedy zaginęłam na cały dzień.

– Czy zawsze to ma miejsce około północy? – zapytałem.

– Taa, chyba tak.

Amy odmówiła przyjęcia naszej propozycji, byśmy zostali i przejrzeni zdjęcia z kamer z zeszłej nocy. Bardzo chciałem sprawdzić, co wyjdzie, ale w końcu to była jej sypialnia i najwyraźniej opanowały ją uzasadnione obawy przed dwoma pokreconymi facetami przeglądającymi jej zdjęcia, jak się przebiera i robi rzeczy, jakie dziewczyny robią same w sypialniach. Podpalają bąki, czy co tam innego.

Obiecała przejrzeć je i zawiadomić nas. Powiedziałem jej, że jestem więcej niż pewien, że przeniosłem zdjęcia do foldera zakopanego w sterownikach drukarek. Przez przypadek oczywiście. John zgłosił się na ochotnika, by zostać na noc i obstać dom, ale Amy wręcz zachnęła się na ten pomysł, komentując, że noc właściwie się już kończy.

I tak – z poczuciem, jakie z pewnością towarzyszy ludziom starającym się ułożyć puzzle z opaską na oczach, wyłącznie przy pomocy chwytnych pośladków – opuściliśmy jej dom.

Przyjechałem do domu i zobaczyłem na moim ściennym zegarze, że jest 3:26 nad ranem. Włączyłem światła w całym domu, sprawdziłem każde pomieszczenie, szukając dziury w całym. W końcu zapadłem w fotel, myśląc, że nie takiej możliwości, żebym dzisiaj pospał. Za dużo adrenaliny, za wiele paskudnych snów, czających się pod moimi powiekami.

Zasnąłem.

Pokój znów zrobił się wyraźny i ostry. Ile czasu minęło? Starłem się poruszyć rękami, ale odkryłem, że nie mogę. Ktoś tu był. Kroki za plecami. Znów spróbowałem się poruszyć. Kończyny nie reagują.

Śniło mi się to już kiedyś. Muszę tylko...

O, KURWA.

Pojawiła się szczupła twarz nachylająca się przede mną. Wielki nos. Mój przyjaciel Robert North z mojego bronco.

Zapytał:

– Słyszysz mnie?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Byłem sparaliżowany niczym posąg z mózgiem w środku.

– Mrugnij oczami. Mrugnij, jeśli mnie słyszysz.

Mrugnąłem, nie żeby mu odpowiedzieć, ale żeby sprawdzić czy potrafię mrugać. Potrafiłem. Czy jest jakiś sposób, by zabić kogoś mruganiem?

Powiedział:

– Dobrze.

Zszedł mi z pola widzenia, po czym wrócił i wyciągnął dłoń w moją stronę. Na dłoni coś się poruszało. Przystawił mi to do twarzy.

Pająk.

Wielki, z korpusem wielkości kurzego jaja.

Czarne odnóża w żółte pasy.

Wyglądał, jakby ktoś go wyhodował na arenę.

North wystawił go na otwartej dłoni i powiedział:

– Chcę, żebyś go zjadł.

Mogłem na tyle poruszać ustami, że udało mi się powiedzieć:

– Pierdol się.

– Powiem pewne słowa. Chcę, żebyś wysłuchał ich uważnie. Traktor. Światło księżyca. Skrzypce. Glina. Kciuki.

Trwało to przez kilkanaście minut. North wypluwał z siebie coraz to nowe słowa. Może z setkę. Podniósł pajeczaka do góry, a ten zaczął przebierać łapami.

– Czerwień. Piaskowiec. Puzon. Plama. Ociągać się.

I tak po prostu zacząłem konać. Poczułem, jak trucizna krąży po moim ciele, zamyka wszystkie organy, sprowadza gangrenę na flaki, pali mi żyły żywym ogniem. I było na to wyłącznie jedno lekarstwo – ta ohyda na dłoni Northa. Nagle pająk stał się mym wybawieniem, moim wąskim, jasnym oknem w ciemnym pokoju. Zebrałem każdy okruch siły i nachyliłem się w przód – moje dłonie wciąż były odrętwiąłe i bezużyteczne – i wciągnąłem pajaka w siebie niecierpliwymi, zachłannymi ustami. Przegryzłem się przez twarde, żylaste kończyny i poczułem jak gorący, słonawy płyn tryska mi w ustach i zaczyna się przeżerać przez moje ciało. Pospiesznie przełknąłem gorzką płataninę łap i sierści, i...

Wyrwałem się z koszmaru i zeskoczyłem z fotela. Sam. Wciąż w ciemnościach.

Zegar na ścianie wskazywał 6:13. Przyłożyłem dłoń do ust i poczułem ślad gorzkości, błakający się na końcu języka. Obejrzałem się gwałtownie w prawo i w lewo, upewniając się, że jestem sam.

W takim razie to był sen, prawda? Żeby zjeść pajaka? Co to niby ma symbolizować?

Popatrz na pozytywwy. Przynajmniej dzisiaj jest dzień wolny od pracy.

Zadzwonił telefon.

Chciałbym przerwać na chwilę, by powiedzieć kilka słów na temat mojego penisu.

Mój penis jest niczym berbec. Berbec – który ma zupełnie proporcjonalne rozmiary do swego wieku – podczas długiej wyprawy, kiedy wydaje mu się, że jedzie do Disneylandu. Mój penis jest podekscytowany, bo dawno, bardzo dawno w Disneylandzie nie był, ale pamięta te czasy, kiedy chodził tam codziennie. Dlatego teraz penisowy berbec cały rząs narzeka i jocy: Już dojechaliśmy? Jesteśmy już? No jak tam, jesteście? No? A może teraz?

A Disneylandu jak nie widać, tak nie widać.

Tym samym, jedną ze strasznych prawd, do których muszę się przyznać jest fakt, że dwa lata spędzone z Jennifer żyją w mojej pamięci wyłącznie jako ciąg gorączkowych, pozbawiających tchu wspomnień. Zdzierania ubrań, szumu w uszach, paznokci, które zagłębiały się w moje plecy, słonych smaków w ustach. To biologia. Hormony. Z upływem czasu pamiętam coraz mniej rozmów

i nie jestem w stanie podać szczegółów naszych najbardziej udanych randek (choć przed oczami staje mi wyrazista wizja tego, jak się kończyły).

Jeśli słysząc to mówicie „zuch chłopak” i mrugacie porozumiewawczo okiem, to możecie mnie pocałować w dupę. Była moją przyjaciółką. Wytrzymywała moje nastroje, a czasami ja sam z sobą nie jestem w stanie wytrzymać. Ale to, czego nie ma i to, co zostało, skryło się w wielkiej czarnej dziurze, w której kiedyś był seks.

Związek z Jen skończył się alertem prokreacyjnym. Widziała mój świat i nie chciała sprowadzać do niego dziecka. Doprowadziło to do zażartej kłótni, podczas której wykrzychałem jej bardzo głośno i tocząc pianę z ust, że jeśli przeprowadzi aborcję, ten pierdolony nienarodzony kurwa płód będzie najprawdopodobniej nas kurwa straszył – i mówię tu o dosłownym nawiedzeniu w naszym domu – do dnia śmierci i najprawdopodobniej jeszcze po niej. Okazało się, że jest to deklaracja najgorsza z możliwych.

Okazało się też, że z tą ciążą to był fałszywy alarm, ale ja potem miałem już pietra i odruchowo wycofywałem się coraz bardziej, mając w zanadru garść wymówek – o jejku, muszę dzisiaj wstać wcześniej i będę bardzo zajęty przy inwentaryzacji, a w ogóle, Jen, to nie mam dzisiaj specjalnego nastroju...

Z wolna oddalaliśmy się od siebie. Jen wydawało się, że to ma coś wspólnego z tym, że już jej nie kocham, choć w moim ciele część odpowiedzialna za kochanie oraz ta odpowiedzialna za penisa prawie ze sobą nie rozmawiały. Dużo płakała. Długo spała. Kłóciliśmy się bez przerwy. Odeszła.

Kiedy więc tak stałem za ladą wypożyczalni Wally's Videe-Oh! podczas kolejnego przymusowego, nadprogramowego dyżuru w chłodny poranek, miałem za sobą półroczny przymusowy płciowy szlaban. Zapowiadał się paskudny dzień. Hormony nadciągały i odpływały niczym fala przyboju i raz nie było to nic wielkiego, a innym razem znów odczuwałem to, jak piętnastolatek na głodzie. Poprzedniego wieczora koleżanka z pracy namówiła mnie, żebym wziął do domu film Ghost World, który – jak się okazało – wcale nie był o duchach, ale za to był opowieścią o dorastającej dziewczynie, która, co zauważyłem od razu, miała wspaniałą kolekcję krótkich sukienek. Z dwugodzinnego filmu zapamiętałem jedynie nagie uda Thory Birch.

Ale to taka dygresja. Tego poranka to właśnie moja współpracownica Tina dzwoniła do mnie, pytając, czy mógłbym ją zastąpić, bo, o jejku, choć nawierzchnie były wydrapane do żywego asfaltu, ona słyszała, że może dzisiaj padać śnieg i nie chce utknąć w pracy, a ja przecież jestem najmilszym facetem pod słońcem i będzie mi dosłownie dozwonnie wdzięczna. Tina, tak a propos, jest niską, sprężystą blondynką o energii cheerleaderki. Ubrałem się więc i pojechałem, trzymając się ostatkiem sił po tych kilku godzinach niespokojnego snu w fotelu. Tak w ogóle, to Tina ma też narzeczonego oraz dziecko. W dniach takich jak ten Pan Penis nie przejmuję się w ogóle logiką.

A... teraz?

Złożyłem poranną gazetę i wrzuciłem ją do kosza u mych stóp. Przeglądałem ją w poszukiwaniu informacji o zaginięciach, polowaniu na zbiegłego przestępcę, czegoś w tym rodzaju. Nic. Na pierwszej stronie widniały zdjęcia dzieci bawiących się w śniegu. Zwłoki w mojej szopie najwyraźniej nikomu nie były potrzebne do szczęścia, albo też trup był takim gnojem, że przez noc zebrało się całe miasto i zdecydowało, że lepiej jego zaginięcie pozostawić bez echa.

Trzy godziny minęły, a tu klienta ani śladu. W pewnym momencie spojrzałem pod nogi i zauważyłem, że gazeta spadła na podłogę. Dzień wcześniej rozwiesiliśmy w wypożyczalni balony w celach promocyjnych i podczas sprzątania jeden z moich kolegów musiał wcisnąć balon do niewielkiego kosza. Napompowany. Dosłownie wypełniał całe jego wnętrze, więc nie można było włożyć tam więcej śmieci. Z jakiegoś powodu zafascynowało mnie to zjawisko. Usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi.

Funkcjonariusz Drake wśliznął się przez drzwi jak to zwykle robią gliny, wciąż w mundurze. Szedł bokiem przez całą wypożyczalnię, odwracając się dopiero przy ladzie. Zobaczyłem, jak moje dłonie zaciskają się na pudełku DVD.

Proszę mi powiedzieć, panie Wong, czy nie zna pan przypadkiem pewnego faceta z dzielnicy na drugim końcu miasta, który zaginął zeszłej nocy? Pańskie nazwisko było wypisane krwią na ścianie, a para patia rękawic leżała obok, do tego mamy nagranie wideo jak go pan zabija.

Zamiast tego powiedział:

– To po prostu piękne, prawda?

Nie miałem pojęcia o czym mówi. Odwrócił się i wyjrzał przez szklane drzwi, po czym skinął głową. Na zewnątrz znajdowało się pobojowisko, pozostałość po lodowej burzy, świat zakuty w kryształ. Drobne drzewa ozdobne na parkingu lśniły gałęziami jak z dmuchanego szkła. Wciąż było dość ciemno, więc nie zauważyłem tego, kiedy przyszedłem do pracy.

– Aha. O co chodzi, Drake?

– Nie spałem ani minuty – powiedział. – Po tobie widzę, że ty też nie.

– No.

Wzruszył ramionami.

– Ech, pewnie musisz wymienić materac, co? Może kupić sobie taką maszynę, co wydaje uspokajające dźwięki. Odgłosy wodospadu czy dżungli, coś w tym rodzaju.

– Odgłosy dżungli? – zapytałem, przybierając śmiertelnie poważny wyraz twarzy. – Nie sądzę, żebym mógł zasnąć przy odgłosach dżungli. Za bardzo mi się Wietnam przypomina.

Drake nie roześmiał się wcale.

– A ja nie śpię, bo mi nie daje moja mała córeczka – powiedział. – Ma cztery latka. Budzi się co kilka godzin i płacze, że coś jest z lalką. Idziemy do niej, pytamy o lalkę i uspokajamy ją. Ale dwie noce temu przechodzę obok jej sypialni, ale jej tam nie ma, widzę natomiast lalkę. Nigdy jej wcześniej nie widziałem, wielka, chińska z wyglądu, lalka ze szklanymi oczami i wielką, bufiastą sukienką, no wiesz. I siedzi na brzegu łóżka. Pomyślałem, że moja żona kupiła ją gdzieś na jakiejś garażowej wyprzedazy, bo wcześniej jej w domu nie widziałem. Ale wracam tą samą drogą, jakieś dwie sekundy później i widzę, że lalki nie ma. Tylko puste łóżko. Pytam o nią żonę, a ona mówi, że nigdy w życiu nie widziała takiej lalki. Nigdy.

– Jasne – mówię, jakby ta informacja rzuciła nowe światło na całą sprawę. Co miałem mu powiedzieć?

– A doszedłeś do tego, co tam latało po domu Sullivanów?

– Wiem tyle co i ty, Drake. Ze to jakiś straszny dziwoląg, tylko tyle. To przez to miasto, sam wiesz.

– A wiesz, że był tu jeden gliniarz, detektyw, który zaginął jakiś czas temu? Nazywał się Appleton. Czarny facet. Zaczął coś pieprzyć o końcu świata, a potem zniknął jak sen złoty.

– Chyba słyszałem o czymś takim.

Drake powiedział:

– A wiesz, kto był ostatnią osobą, którą przesłuchiwał przed swoim zniknięciem?

– Ja?

– No właśnie. No właśnie. I tyle go widzieli.

Posada gliniarza w Anonimowym z całą pewnością nie jest ścieżką wiodącą do długiego, zdrowego psychicznie życia, Drake. Sprawdź sobie procent samobójstw. I powiem ci coś jeszcze. Spojrzenie, jakie widziałem w oczach tego faceta zanim zupełnie mu odwalilo, jest bardzo podobne do twojego.

Na głos zaś powiedziałem:

– Dlaczego tu przyszedłeś, Drake?

– Muszę wypożyczyć film – powiedział pogodnym głosem. – Będę dziś siedział do późna.

– Dobra.

– A może mi coś polecisz? Coś lekkiego i rozrywkowego.

Sięgnąłem na półkę i wyłuskałem pierwszy film ze stosu zwrotów.

To „Mulholland Drive”, jakiś film Davida Lyncha, o którym w życiu nie słyszałem. Ma zdjęte zabezpieczenie przed złodziejami. Jakbyśmy niemal chcieli, żeby ktoś go nam podprowadził.

Masz – mówię. – To dobry film.

– Moje dziecko może obejrzeć bez problemu?

– Jasne.

Przeciągnąłem kod po czytniku, a Drake zabrał pudełko z lady. Położył dłoń na kłamce w chwili, w której wziąłem do ręki kolejne DVD i wypuściłem wstrzymywane powietrze. I wtedy, kiedy miał już wyjść na mróz, usłyszałem, jak sam mówię:

– Nie było żadnego nowego zgłoszenia zaginięcia?

Zatrzymał się i odwrócił. Pozwolił spojrzeniu spocząć na mnie przez chwilę, po czym powiedział:

– Nie. Dlaczego pytasz?

Zapamięta, że pytałeś czy ktoś nie zaginął, ty głupi chuju.

– Tak bez powodu – powiedziałem. Usprawiedliwiłem się: – Cokolwiek stało się Amy, nie chcę by przydarzyło się komuś innemu.

– Jasne.

Odczekał chwilę, jakby miał coś jeszcze do powiedzenia, ale odwrócił się i wyszedł z wypożyczalni. Zadzwoiła moja komórka. Wszyscy ściągają utwory i zastępują nimi zwykłe dzwoneki – wszyscy oprócz mnie. Ja ustawiłem ponownie dzwonek. O jedno zmartwienie mniej. Wyciągnąłem telefon z kieszeni spodni i zobaczyłem na wyświetlaczu imię Johna. Odebrałem.

– Halo?

– VINNY, MÓWIŁEM CI, ŻEBYŚ SIĘ ODE MNIE ODPIERDOLIŁ!

– To ty zadzwoniłeś do mnie, John.

– No właśnie. Sorka. Widziałeś te drzewa? Czy nie są piękne?

– Ten facet wrócił, John. Ten sam, który mi się zmaterializował w aucie. Wrócił, a mnie się wydawało, że to sen, ale zaczynam podejrzewać, że jednak nie.

– Zabiłeś go?

– Nie, John. I dziękuję ci, że zadajesz mi to pytanie przez komórkę.

– A propos, czy dowiedziałeś się czegoś o tym pan-wiesz-a-ja-rozumiem w szopie? Może na przykład jak się nazywał?

– Nie, trup w mojej pan-wiesz-gdzie-a-ja-rozumiem wciąż jest jedną wielką tajemnicą. Muszę wracać do pracy. Czego ci potrzeba?

– Musisz wyjść z wypożyczalni.

– Nie mogę, tylko ja tu jestem.

– W takim razie pozamykaj interes. Zamknij wypożyczalnię i spadaj stamtąd.

– Co takiego? Dlaczego?

– Zobaczysz. Spotkajmy się w kryjówce. W południe. Nie uwierzysz w ten cały syf.

„Kryjówka” w naszym kodzie znaczyła lokal u Denny ego.

Przyjechałem na miejsce i zobaczyłem Johna w odległym, narożnym boksie z garścią papierzysek w ręce i parą cycuszków należących do jakiejś dziewczyny. Nie była to Crystal, wysoka laska z elektryzującymi, błękitnymi oczętami i krótkimi włosami, gustująca w wieśniackich sukienkach, nie była to też Angie, seksowna bibliotekarka z okularami w ciemnych oprawkach, końskim ogonem i w kwiecistych spodniach. Nie była to Nina z koszulkami, za zakładanie których powinno się iść do pierdła, i z zielonymi pasemkami we włosach, ani też Suka Nicky.

Była to Marcy. Och, Marcy! Jakby wbrew wszystkim gejom rządzącym w powszechnym przekonaniu przemysłem mody (którzy oczywiście zupełnie przypadkowo wołają, kiedy ich modelki wyglądają jak chudzi faceci), najbardziej zmysłowa dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałem na żywo, ważyła coś ponad siedemdziesiąt kilogramów. Nazywała się Marcy Hansen. I była dziewczyną Johna. Rdzawe, rudobrazowe włosy, mniej więcej tego samego koloru co sierść Molly, i wielkie kobaltowoniebieskie oczy, które patrzyły na ciebie tak, jakbyś był najważniejszą osobą na świecie.

Usiadłem, przywitaliśmy się. W kącie mego oka, z dala od cycuszków Marcy, po lewej stronie John wymachiwał papierami i powtarzał:

– Musisz to przeczytać.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że gapię się na te dary boże i wziąłem papiery od Johna. Marcy miała na sobie beżowe spodnie z drelichu i obcisłą koszulkę z napisem PRZEPŁYNEŁAM MILE NA GOLASA! Marcy była jedną z tych dziewcząt, które zdawały się mieć niezmierzone pokłady opowieści, traktujących o jakichś zabawnych seksualnych przygodach i – lub – przypadkowej nagości. Wziąłem papiery od Johna. Uważnie przyjrzałem się piersiom Marcy. Znów się na tym złapałem i podniosłem papiery w górę, by zakryć obfite krągłości jej biustu. Trzymałem w ręku wydruk, zapis czatu Amy z jednej z ostatnich nocy, kiedy dała się uprowadzić.

– Widziałem się rano z Amy – powiedział John. – Wpadłem do niej, no wiesz, żeby upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Czytając to, była nieźle spietrana.

Przeczytałem, niczego nie rozumiejąc, jedną trzecią tekstu, ale wtedy wszystko się zmieniło.

To, pomyślałem, jest koniec. Tak czy inaczej, to będzie koniec.

{faerydust} ludzie giną krztusząc się nimi
{faerydust} pożerają ich od środka
{MustacheGirl} Wszystkich nas czeka taki sam los.
{EWLNYMPH} służyć
ZALOGOWAŁ SIĘ S_GUTTENBERG

{S_GUTTENBERG} HEJ PANNY!!! PISZĘ SWOIM KUTASEM. SZTYWNE ŁĄCZE?
{MustacheGirl} Nasza rasa została stworzona jako pożywienie dla robaków co nie giną. Nasze
oczy są dla nich słodkie jak cukierki.

{faerydust} jak
{EWLNYMPH} służyć
{faerydust} ja
{EWLNYMPH} służę
*S_GUTTENBERG WYLOGOWAŁ SIĘ *

{MustacheGirl} tylko
{faerydust} Ja
{EVYLNYPH} służę
{MustacheGirl} tylko
{faerydust} TYLKO
{EVYLNYPH} K
{MustacheGirl} O
{faerydust} R
{EVYLNYPH} R
{MustacheGirl} O
{faerydust} K
{EVYLNYPH} OWI
{MustacheGirl} Dokonało się.

{faerydust} Właśnie wymazałam z głowy godzinę KORROK PAN NIEWOLNIKÓW
KORROK WSZECHWIEDZĄCY KORROK MĄDRY KORROK ŻYWY KORROK
WYGŁODNIAŁY KORROK ZDOBYWCA KORROK DAWCA KORROK WSZECHPOTĘŻNY
KORROK MYM JEDYNYM PANEM

{EVYLNYPH} faerydust nic ci nie
{MustacheGirl} Ona to już tylko karma.
{MustacheGirl} IIIIilii
{MustacheGirl}////////////////////
{MustacheGirl}////////////////////
{MustacheGirl} III III III
{MustacheGirl} IIIIilii
{MustacheGirl} //////////
{MustacheGirl} //////////
{MustacheGirl}////////////////////
{MustacheGirl}////////////////////
{MustacheGirl} //////////
MUSTACHEGIRL WYLOGOWAŁ SIĘ

Złożyłem kartki i zakryłem usta dłonią, czując pod palcami nieogoloną szczękę, ostrą niczym papier ścierny. Korrok Pan Niewolników.

Błękitne oko w ciemności. Pokolenia światów obracają się w jego brzuchu.

Choć szczerze nienawidzę, kiedy mam rację, jeszcze bardziej nie cierpię, kiedy rację ma John.

Marcy powiedziała:

– Czy to nie dziwne?

Zerknąłem na Marcy, a potem na Johna. Przypomniałem sobie, że ta parka wychodzi do miasta od bitych dziesięciu dni.

John powiedział:

– Ktoś musi dzisiaj zostać z Amy.

– Och, nawet mi tu z nią nie wyjeżdżaj, John – odrzuciłem wydruki. – No bo, zauważyłeś, że ona nawet nie jest opóźniona w rozwoju?

John zamilkł, ale po chwili odpowiedział:

– A co, miała wrócić opóźniona w rozwoju?

– Trzymali ją w tej szkole. W Pine View. W alternatywnej szkole, gdzie wsadzają opóźnione w rozwoju dzieci.

– Czy to przypadkiem nie ten sam ośrodek, do którego ty uczęszczałeś przez rok?

– Tak. Pine View.

Zamilknął na trochę, ale po chwili:

– Nieważne, i tak miałem zamiar obstawić jej dom dziś wieczór...

– Dobry plan.

– ...ale Steve dzwonił i mówił, że potrzebuje mnie wraz z ekipą na miejscu pracy. Kawałek dachu się zapadł, od lodu, jak mówią...

– John, zmusiłeś mnie do zamknięcia wypożyczalni, więc...

– Nie, słuchaj. Zgadnij tylko, gdzie mamy tę robotę.

– Przy tyłku twojej matki?

– W fabryce Drain Rooter. Tuż obok domu Amy. Musimy być tam o piątej trzydzieści rano.

– Nie kumam.

– Ja też nie, ale dali Stevowi rozpiskę, kto ma gdzie pójść, do jakiej części fabryki może wejść. To wszystko brzmiało bardzo dziwnie. Do tego naprawdę, ale to naprawdę, potrzebuję kasy. Płacą potrójnie. No to jak, możesz dzisiaj zostać z Amy? Sprawdzić, co straszego się zdarzy?

– John, czytałeś zapis tego czata? Pamiętasz o... – Zerknięcie na Marcy. – ... tym czymś? W mojej szopie? Ona nie jest przy mnie bezpieczna, John.

Marcy otworzyła szeroko i tak już wielkie oczy:

– Chcesz powiedzieć, że masz tam coś jeszcze *oprócz trupa*?

Zamykam oczy i w duchu liczę do dziesięciu.

– Dave, zasłiśmy już tak daleko. Co jeszcze mamy zrobić? Przykuć cię łańcuchami w pokoju? Mam ci coś jeszcze do pokazania. Bo widzisz, spodoba ci się. Gotów?

John rozwinął kartkę białego papieru z kolorowym zdjęciem pośrodku. Wydruk z kolorowej drukarki.

– Zdjęcie z kamery. Sprzed dwóch dni.

Mocno ziarnista fotografia sypialni Amy. Dobre światło, wczesny wieczór. Amy stoi pośrodku z uniesionymi ramionami zgiętymi w łokciach, unosząc jedną stopę nad podłogą. Rozmycie świadczące o ruchu.

Mówię:

– Co ona wyrabia?

– Eeh, myślę, że tańczy. Ale w tym nie ma niczego dziwnego.

Wiedziałem, co jest. Za nią widać było jakiś czarny kształt, który stał tam, tworząc sylwetkę mężczyzny. Jakby miał ciało pomalowane smołą od stóp do głów. Znany już obraz mężczyzny starannie wyciętego z rzeczywistości...

Zamknąłem oczy.

Kuuuuurwa.

Powiedziałem do cycuszków Marcy:

– A co myśli Amy?

– Dla niej – John odpowiedział za nie – to tylko jej zdjęcie w pustym pokoju.

– Jak to możliwe, John? Przecież na papierze jest tusz. Albo coś jest, albo czegoś nie ma.

– Nie byłbyś zaskoczony, gdybym w jakiś sposób znalazł odpowiedź na to? Marcy też tego nie widzi. Tylko ty i ja. Poza tym, pomyślałem sobie, że może mógłbyś założyć rudą perukę i piżamę, i

poudawać, że jesteś Amy. Mógłbyś spać w jej łóżku i sprawdzilibyśmy w ten sposób, czy nie porwą cię zamiast niej. Zostaniesz z nią?

Proszę zauważyć subtelność różnicy między „mógłbyś założyć?” i „zostaniesz z nią?”. Gdybym wyskoczył z „nie”, odpowiadając na pierwsze pytanie, znaczyłoby to, że nie mógłbym, że to niemożliwe. Gdybym jednak teraz odmówił, to znaczyłoby, że nie, nie zrobię tego. Mogę, ale postanowiłem, że nie, bo jestem nieczułym łajdakiem. Pięknie.

Hmmmm...A co cyczyszki Marcy zrobiłyby w takiej sytuacji?

– Dobra.

– I uważaj na Molly. Pilnuj, czy nie robi czegoś niezwykłego. Straciłem do niej zaufanie po tym, jak najpierw eksplodowała, a potem ot, tak sobie wróciła z martwych.

– Muszę wracać do roboty. Dobrze było cię spotkać, Marcy.

Wstałem, ona też. Nachyliła się do mnie i, ku memu pełnemu zaskoczeniu, zarzuciła mi ręce na szyję i uściskała mnie mocno.

Usiadła, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Wyglądało, że potrzebujesz otuchy.

No dobrze, otucha otuchą... ale CO TERAZ?

– Eehm, dzięki.

Stałem tak przez chwilę jak gwizdek, a potem poszedłem sobie. Zza pleców usłyszałem jak mówi do Johna:

– Gdzie to ja skończyłam? A tak. Wybiegłam na zewnątrz i właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że nie mam spodni...

Wróciłem do wypożyczalni i pracowałem do końca zmiany, bo cienias ze mnie. Jeff przyszedł o szóstej, spojrzął na burzę, która szykowała się na zewnątrz i oficjalnie zamknął interes do końca dnia.

Zatrzymałem się w domu, by się przebrać i zobaczyłem przesyłkę w skrzynce, grubą, szarą kopertę wysłaną do mnie od anonimowego nadawcy. Na kopercie były wypisane duże, kanciaste litery. Jakby pisało jakieś dziecko.

Rozewałem kopertę i znalazłem w środku kartonowe okulary z plastikowymi szybkami z logo Scooby-Doo z boku. Nagroda z Burger Kinga za zestaw dla dzieci. Z boku było też wypisane „upiorną” czcionką „GhostVision”. Założyłem je i zobaczyłem wyblakłego duszka z komiksu, który się do mnie uśmiechał. W kopercie była przyklejana fiszka z informacją POMOCY JA TESZ JEZDEM OBSERWATOREM DÓCHUF MUUU MUUU MUUUUUUUUTY POJEBIE.

Milutko.

Wrzuciłem okulary na siedzenie pasażera i ze cztery razy niemal wywaliłem się na lodzie w drodze do drzwi wejściowych. Wiedziałem, że powinienem odśnieżyć ścieżkę zanim listonosz skręci sobie kark.

Jasne. Szufla stoi sobie tam w szopie na narzędzia...

Jakąś godzinę później wyszedłem ze sklepu z narzędziami z nowiutką szuflą do śniegu. Robiło się późno, pojechałem więc prosto do domu Sullivanów.

Amy otworzyła mi drzwi z bardzo rozradowaną miną, którą zwykle utożsamiam z wariatami i psami. Miała na nosie okulary w drucianej oprawce – nie nosiła ich wczoraj, ale zdaje się nie zakładała ich do spania – i chyba włożyła mnóstwo pracy w ułożenie fryzury. Dżinsy i gołe stopy z niewielkimi, czerwonymi paznokciami. Zimno mi się zrobiło, gdy na nie spojrzałem. Zauważyłem, że wciąż nie ma lewej dłoni.

– Cześć! – zaczęła. – Wejdz, proszę!

Molly stała w przedpokoju, obrzucając mnie spojrzeniem wyrażającym całkowity brak zainteresowania. Amy odwróciła się i wskazując na mnie powiedziała:

– Patrz, Molly! David przyszedł! Pamiętasz Davida?

Tego, który zrobił ci buuum!

Pies odwrócił się i odszedł z godnością, wydając z siebie odgłos, który – przysięgłbym – był pogardliwym parsknięciem. Amy zaprowadziła mnie do salonu. Telewizor był włączony i na ekranie widać było wyłącznie twarz siwowłosego starca, który bez słowa wpatrywał się w kamerę. Pewnie telewizja edukacyjna. Na ścianie wisiał obrazek wymalowanego w komiksowe barwy Jezusa na czarnym atłasie. W pokoju świeciła się tylko jedna długa lampa stolikowa, pogrążając resztę pomieszczenia w cieniu.

Ze wszystkich upiornych miejsc na nocleg...

Powiedziała:

– Wyglądasz na zmęczonego. Oczy masz różowe.

– Eee, bo mało spałem. Boli mnie głowa.

Czuję się, jakby elfy huśtały się na haczykach na ryby wbitych w mój mózg...

– Zaraz wrócę!

Amy zniknęła w kuchni, niemal podskakując po drodze.

Vicodin.

Usiadłem na kanapie i znów zerknąłem w telewizor. Ten sam facet, dziwnie ukształtowana twarz. Nachylił się i wyszeptał coś do kogoś poza ekranem, a potem znów popatrzył w obiektyw kamery. Dziwne, bo zdawał się patrzeć na mnie.

Amy wróciła w podskokach z zieloną fiolką excedryny w dłoni i butelką cynamonowej Mountain Dew wetkniętej w zgięcie łokcia. Wskazała brodą na telewizor i powiedziała:

– Kabłówka wysiadła. Mam nadzieję, że wzięłeś sobie coś do czytania.

Spojrzałem na starego, który popatrzył wprost na mnie.

Och, KURWA.

Ekran zamrugał, zrobił się czarny, a potem wyskoczyło MTV. Jakiś reality show z nastolatkami, które piszczwały na siebie.

Amy postawiła butelkę przede mną i powiedziała:

– Ej, wróciła telewizja. Mam wiśniową Mountain Dew. John mówił, że lubisz, więc to jego wina jak nie...

To nie jest wiśniowy napój, skarbie, tylko CYNAMONOWY.

– Nie, w porządku, dzięki.

Przyglądałem się telewizorowi. Były tam tylko piszczące panny.

Amy powiedziała:

– Pojawia się i znika. John mówi, że widział stado ptaków na przewodach, które machały skrzydłami, ale nie mogły odlecieć, bo im łapy poprzymarzały.

Nie odrywając spojrzenia od ekranu powiedziałem:

– Dla Johna ważniejsze jest, żeby coś było zabawne, niż prawdziwe.

Zerknąłem na duży stojący zegar, który chodził, ale mijał się z prawdą o jakieś siedem godzin.

Telewizor znów zamrugał, po czym znów przełączył się na śnieg.

Amy powiedziała:

– Widzisz?

Odparłem:

– Kiedy się wyłącza, to tylko śnieży?

– Jasne.

– Nie widać niczego innego? Na przykład innych programów?

– Nie. Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami. Nie mogła widzieć starca na ekranie.

Reagując na jej próby nawiązania niezobowiązującej rozmowy wyłącznie wieloznacznymi pomrukami, byłem w stanie wypędzić Amy z powrotem do jej sypialni na piętrze. Zerknąłem na stojący zegar...

12:10

... uświadamiając sobie ponownie, że jest całkowicie bezużyteczny i znów spojrzałem na swój zegarek.

19:24

To będzie cholernie długa noc. Pomyślałem odruchowo, że może jak Amy znów zabiorą o północy, to będę mógł wymknąć się stąd i przespać noc we własnym łóżku. Nikt nie zauważy.

Przed sofą stała ława i zauważyłem jakieś kolorowe czasopisma na półce przy blacie. Zacząłem je przeglądać. Cosmo. Wziąłem pierwszy egzemplarz z brzegu i zacząłem go kartkować. Kobieta bez stanika. Kolejna kobieta naga, jeśli nie liczyć bitej śmietany na wstydliwych partiach. Dwie kartki dalej, naga męska dupa. Mniej nagości widziałem w Cinemax. Podniosłem wzrok na malowidło na atłasie i nagle poczułem się jak świętokradca, gapiąc się na nagie modelki. Wcisnąłem magazyn z powrotem na półkę w lawie i skinąłem przepaszająco w stronę Żle Narysowanego Jezusa. Ponownie zerknąłem na zegarek.

19:25

Rozsiadłem się na kanapie i oparłem wysoko stopy. Jakbym leżał na stercie pokrytych filcem cegieł. Zastanawiałem się, czy nie można by poprzestawiać wszystkich zegarków na północ – wtedy oszukałbym ich wszystkich i zjawiliby się wcześniej.

Wraz z Johnem badaliśmy sprawę faceta z Wisconsin, który przed rokiem stał się ofiarą spontanicznego zapłonu, jadąc swoim zielonym oldsmobilem. Mieliśmy jednego świadka, który utrzymywał, że płomienie układały się w wielką szatańską łapę tuż przed eksplozją. Pojechaliśmy tam, pogadaliśmy z ludźmi i nic nie znaleźliśmy. W końcu dostaliśmy telefon od małego gotha z okolicy, który bawił się na poważnie w kult szatana. Szczeniak mówił, że zawarł pakt z diabłem, żeby ten zabił oboje jego rodziców, a potem wycofał się z tego, kiedy jego mama niespodziewanie kupiła mu konsolę do gier wideo. Ten gówniarz, jak się okazało, też jeździł oliwkowozielonym oldsmobilem.

Mściwy demon – czy co to tam było – pomylił samochody i usmażył nie tego co trzeba. A więc oni też robią błędy Mogą pomylić osoby. Mały czuł się paskudnie z tego powodu i od tej pory spędzał sporo czasu wieczorem na klęczkach, modląc się, by Bóg dał mu jeszcze jedną szansę. Dla mojego własnego bezpieczeństwa, ja modłę się, by Brad Pitt nie zrobił czegoś, co wkurzy królestwo ciemności.

Powieki robią się ciężkie. Jakiś cień przemieszcza się po ścianie, prawdopodobnie za sprawą światła przejeżdżającego samochodu. Oczy mi się zamykają.

Znów je otwieram. Ciemniej. Ile czasu upłynęło? Znów cień na ścianie, wydłużona postać mężczyzny.

Nie, to tylko drzewo za oknem...

Kolejny cień, obok pierwszego. I jeszcze jeden, las cieni. Przesuwają się powoli. Czy mi się to śni? Nagle tuż obok mnie robi się naprawdę ciemno, prawdziwe egipskie ciemności. W samym środku tej ciemnicy pojawiają się dwa kręgi płomieni, unosząc się w powietrzu tuż obok.

Podrywam się z miejsca, a moje mięśnie płoną od adrenaliny. Pokój znów normalnie. Na odległej ścianie wciąż widać pojedynczy cień, który okazuje się być podświetlonym konturem konaru drzewa stojącego przed domem. Podchodzę do niego, wyciągam dłoń, dotykam. Cień nie reaguje. To dobrze.

Mój zegarek:

23:43

Biegnę co sił po schodach do sypialni Amy, głośno tupiąc, co bardzo ją przstrasza. Siedzi na łóżku z laptopem, z podwiniętymi nogami i z czymś, co przypomina baton czekoladowy wiszący w połowie drogi do jej ust.

Łapię oddech i mówię:

– Jak możesz to jeść i pisać na komputerze? Nie sypie ci się to po całej klawiaturze?

– Uch, ja...

– Zejdź na dół. Jeśli coś ma się wydarzyć, to się wydarzy. Ale chcę wtedy być na parterze i to blisko wyjścia.

– Dlaczego?

Na wypadek, gdyby trzeba było uciekać stąd z krzykiem.

– I założę buty. Tak na wszelki wypadek.

23:52

Ekran telewizora ożywa zapowiadającym programem, podstawowym pakietem kablówki dla kogoś, kto nie ogląda za dużo telewizji. Nie jest to kanał filmowy. Wyłączam telewizor i odwracam się do Amy, która siedzi sztywno na sofie, gryząc paznokcie.

Mówi:

– Na co czekamy?

– Na cokolwiek. I wiem, co mówię.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne – krążę po pokoju jak lew w klatce, zerkając przez wielkie okno w wykuszu.

Przynajmniej śnieg przestał padać.

O ile nie będziemy znów poruszać kwestii twojego brata...

– Mówiłeś wczoraj, że to, co mówią o was ludzie, to w większości prawda. No to są takie rzeczy, o których czytałam, no wiesz...

– Co tam pisali, Amy?

– Ze macie coś na kształt kultu. I że Jim zginął, bo w coś go wpakowaliście.

– Czy, gdyby to była prawda, przyznałbym się do tego? – zerkam na zegarek, bo wchodzi mi to w nawyk.

23:55

– Nie wiem. Ale byłeś tam, prawda? W Las Vegas?

– Byłem.

– I John mówił, że Jim nie zginął w wypadku, jak pisały gazety.

– A co John mówił?

– Powiedział, że mały potwór, który wyglądał jak pająk z dziobem i w blond peruce, go pożarł.

Niezręczna cisza.

– I ty mu wierzysz?

– Pomyślałam, że ciebie zapytam.

– A w co chcesz uwierzyć, Amy? Wierzysz w duchy, anioły, demony, diabły i bóstwa, we wszystko to?

– Jasne.

– Dobra. Więc skoro istnieją, dla nich bylibyśmy niczym bakterie czy wirusy, mam rację? Daleko poniżej ich szczebla na drabinie życia. Sztuczka polega na tym, że im wyżej się na niej stoi, tym łatwiej można badać to, co stoi poniżej, ale w drugą stronę już nie. Patrzymy na wirusa pod mikroskopem. Wirus nie może zrobić tego samego z nami. A więc, jeśli istnieją istoty stojące wyżej nas, ludzi, to są całkowicie odmienne, zbyt wielkie i złożone, żeby pomieściły się w ludzkim umyśle, byśmy, podobnie jak zarazki nas, byli je w stanie dojrzeć. Mam rację?

23:58

– No.

– Znaczący z użyciem odpowiednich narzędzi.

– No.

– John i ja mamy takie narzędzia. Tylko dlatego, że potrafimy zobaczyć te istoty, te dziwaczne, nieziemskie i przerażające istoty, nie znaczący to też, że możemy je zrozumieć czy też poradzić cokolwiek na ich obecność.

– Dooooobra.

– A teraz zapytam cię o coś. Wielki Jim interesował się wieloma rzeczami, miał niezwykle hobby. Budował modele potworów. Ale znał też różnych ludzi, tak? Dziwnych ludzi? Wiesz o kim mówię, prawda? Na przykład ten czarny facet z jamajskim akcentem?

Odparła:

– Taaa, wydawało mi się, że już o tym rozmawialiśmy, prawda? Był bezdomny. Odnaleźli tego faceta i słyszałam, że on, no, jakby eksplodował. Zawsze się nad tym zastanawiam. Myślisz, że Jim też coś z nim kombinował?

Nie można było udzielić zwięzłej odpowiedzi na takie pytanie, więc nie powiedziałem nic. Amy spojrzała na podłogę.

23:59

Odezwała się:

– Czego mamy się spodziewać?

– Wszystkiego. Więcej niż wszystkiego.

Była bardzo blada. Oplotła się mocno ramionami i zaczęła nieznacznie kiwać.

– Która godzina?

– Już niemal czas.

– Jestem śmiertelnie przerażona, Davidzie.

– To dobrze, bo jest się czego bać.

Zerknąłem na Żle Namalowanego Jezusa, a następnie wyjąłem pistolet z kieszeni.

W Dniu Sądu Ostatecznego będę mógł z dumą oznajmić, że kiedy myślałem, iż hordy piekielne szły po dziewczynę z mojej miejscowości, ja stanąłem im na drodze, gotów je powstrzymać z niewielkokalibrowego pistoletu.

Powiedziałem:

– Mów dalej.

– Uchm, dobra. Zobaczmy. Mów dalej. Mów, mów, mów, da, di, do, da. Uch, nazywam się Amy Sullivan i mam dwadzieścia jeden lat, hm, bardzo się teraz boję i czuję, że posikam się w spodnie, i plecy mnie boją, ale nie wezmę pigułki, bo myślę, że zwymiotuję ją wprost na kanapę, co będzie bardzo żenujące, no i nie lubię szynki. To jest trudne. W ustach mi zasycha. Która godzina?

Wstrzymuję oddech, moje serce wali jak młotem. Można się spodziewać wszystkiego. Żalony, sam pomyślałem, że coś się wydarzy. Niemożliwe. Ale powinniśmy byli wiedzieć od początku. Wielki wybuch. W jednej chwili nie ma nic, a potem nagle BUM! Jest wszystko. Cóż może być niemożliwe po czymś takim?

00:02

Zerkam na Amy. Wciąż tu jest.

– Cóż – mówię – spóźniają się.

– Może nie chcą przyjść, kiedy ty tu jesteś?

– Może.

– A może mają trochę inny zegar niż twój?

Kolejna słuszna uwaga.

Zapytała:

– Boisz się?

– Prawie cały czas, taaa, boję się.

– Dlaczego? Z powodu tego, co stało się w Las Vegas?

– Ponieważ tak jakby zerknąłem do piekła, ale wciąż nie wiem, czy jest jakieś niebo, czy nie.

To powstrzymało kolejne pytanie.

00:04

W końcu mówi:

– Widziałeś to?

– Tak jakby. Poczułem. Usłyszałem chyba. Krzyki, krwawienie w głowie. I wiedziałem, wiedziałem od razu jak będzie – biorę oddech i wiem, że za chwilę wyleję z siebie olbrzymią ilość szaleńczych bredni wariata. – Było tak, jak w szatni – mówię. – Tego dnia w ogólniaku. Nie w Pine View, gdzie razem chodziliśmy do szkoły, ale wcześniej, zanim mnie tam wysłali. Billy Hitchcock i czterech kolegów. Trzymali mnie niczym w zwierzęcych szczękach, wykrecali, przytrzymywali przy ziemi. Jakie to proste. Tak kurewsko proste, obezwładnić mnie, i to spojrzenie, to spojrzenie głupkowatej radości na ich twarzach, bo wiedzieli, wiedzieli że mogą ze mną zrobić co chcą i wiedzieli, że ja też to wiem. I strach, całkowita bezradność, kiedy uświadomiłem sobie, że nie wyrwę się, i że trener nie nadejdzie i nie przerwie tego, i że nikt nie przyjdzie mi na ratunek. To, co chcieli mi zrobić, zaraz się stanie i będzie trwało do kiedy się nie znudzą i *naćpają* tą władzą do syta...

Czuję jak okładzina z tworzywa zagłębia mi się w dłoń, wiem, że odruchowo ją ściskam.

– Jeszcze wcześniej sąsiadka Billa miała malutkiego rozszczekanego szczeniaka, z tych drogich. Pewnego dnia starsza pani wraca do domu i znajduje swojego szczeniaka na tyłach domu, tylko

że już nie szczeka, bo Billy wziął pistolet do klejenia na gorąco i zakleił mu szczęki. Postanowił zakleić też oczy i... słuchaj, chodzi o to, że ludzie wciąż żyją, na zawsze, w jakimś stopniu poza biegnącym czasem. I myślę, że ludzie tacy jak Billy nigdy się nie zmieniają. I myślę, że wszyscy skończymy w tym samym miejscu, i ty, i ja, skończymy wśród nich i będą mogli przez wieczność, dosłownie zawsze robić z nami co chcą. Jakby ludzie nie żyli, mogą nie mieć ciał, które można ranić i siniaczyć czy palić, ale najgorszy ból nie bierze się z zakończeń nerwowych, prawda? Lecz z nieopisanego strachu, z podporządkowania, mąk, straty i beznadziei, fali przyływu beznadziei. Oni nigdy się nie męczą, nie śpią, a ty nigdy, przenigdy nie giniesz. Stoją nad tobą i przytrzymują cię przy ziemi na zawsze, w nieskończoność.

Wypuszczam powietrze.

00:06

Powiedziała:

– Billy Hitchcock. To ten, który zm...

Słowa się załamały i parsknęła tylko nerwowo, jakby nagle zapadła w głęboki sen w połowie zdania.

Odwróciłem się i tam, gdzie poprzednio siedziała Amy, zobaczyłem człekopodobną istotę z dołączonymi ramionami, ubraną w szare łachmany, z nogami przylegającymi do siebie ściśle z przodu. Niczym manekin ze sklepu, wykonany przez ślepcę. Rude włosy wyglądały, jakby zostały zrobione z miedzianego drutu. Szczeka na zawiasach zatrzasnęła się i odgłos chrapania urwał się całkowicie. Dwie sekundy później szczeka rozwarła się szeroko i rozległo się niezwykle głośne chrapanie – dźwięk bardziej mechaniczny niż ludzki. Sztuczny.

Muszę im to przyznać, pomyślałem, tego się naprawdę nie spodziewałem.

Usłyszałem stukot i zrozumiałem, że to pistolet wypadł mi z odrętwiałej dłoni. Uświadomiłem sobie też, że moja szczeka rozwiera się szeroko. Starłem się wziąć w garść, zmusić moje nogi, by ruszyły naprzód. Wyciągnąłem dłoń w stronę tej istoty...

Pistolet wrócił do mej dłoni. Amy znów siedziała wyprostowana jak świeca na kanapie, patrząc niewidzącym spojrzeniem gdzieś w przestrzeń. Błyskawicznie spojrzałem na zegarek...

03:20

KURWA.

Amy wolno odwracała głowę, powoli dochodząc do siebie. Zobaczyła mnie, zobaczyła moje spojrzenie. Kiedy uświadomiła sobie, że coś się stało jej dłoń poszybowała do ust, a oczy zrobiły się w jednej chwili wielkie jak spodki.

– Czy to... Czy to się stało? Stało się, prawda?

Powiedziałem:

– Idź na górę i spakuj wszystko, co zdołasz. Spadamy stąd.

Siedem minut później zeszła ze schodów, z torbą przewieszoną przez ramię i laptopem pod pachą.

Odnaleźliśmy Molly w kuchni. Stała na krześle i wyjadała ciastka z otwartego pudełka na stole. Po kilku minutach wabienia i grózb zmusiliśmy ją, by poszła za nami do mojego wozu. Załadowaliśmy się i silnik ryknął, budząc się do życia. Na szybie spoczywała gruba warstwa bieli.

Amy zobaczyła kartonowe okulary GhostVision na desce rozdzielczej i przyglądała się im z niemym pytaniem w oczach. Wydostałem skrobaczkę do lodu spod siedzenia i wyskoczyłem z samochodu, by zderzyć lodową pokrywę z szyby. Na zewnątrz odwróciłem się w stronę domu...

I zatrzymałem w pół kroku.

Wymamrotałem:

– O kurwa, kurwa, kurwa.

Na dachu stała jakaś postać, odcinając się od perłowych chmur oświetlonych księżycowym blaskiem. Nic, tylko zarys, ruchomy cień. Z dwoma, gorejącymi ślepiami.

– Na co patrzysz?

Amy starała się podążyć za moim wzrokiem.

– Nie zobaczysz tego.

Zmrużyła oczy.

– A właśnie, że zobaczę!

– Wracaj do wozu!

Po kilku nerwowych ruchach udało mi się wyskrobać dziurę w utwardzonej powierzchni lodowego proszku na szybie, po czym pobiegłem na tyły, by zrobić to samo.

Usłyszałem jak Amy mówi:

– Ej! A ten co tam robi?

Wychyliłem się z za wozu i zobaczyłem, jak Amy w okularach Scooby-Doo do wypatrywania duchów gapi się wprost w miejsce, w którym stoi Człowiek Cienia. Ściągnęła okulary i popatrzyła na nie ze zdumieniem, po czym ponownie przez nie spojrzała i powiedziała:

– Co to za stwór? Patrz! Co to jest?

– Co, patrzysz przez te cholerne okulary Scoobiego?

– Widzę to! Ma czarny kształt i... i się porusza! Patrz!

Popatrzyłem na tyle długo, by zobaczyć jak cień wypuszcza olbrzymie czarne skrzydła. Nie... to nie było tak. On sam stał się skrzydłami, dwoma bijącymi zarysami skrzydeł, które nie stykały się w środku. Poszybował w górę, czarny woal na tle chmur, coraz wyżej i wyżej, aż zniknął.

Usłyszałem szczekanie. Molly wydołała się z wozu i stanęła przy moich kolanach. Amy wciąż patrzyła w górę z otwartą buzią, wypuszczając parę wodną małymi obłoczkami. Zapytała:

– David, co to takiego?

– A skąd ja mam wiedzieć? To ludzie cienia. To chodząca śmierć. Zabierają cię i cię nie ma, i nikt nie wie, gdzie się podziewasz.

– Widziałeś ich wcześniej?

– Jest ich coraz więcej. Chodźmy, chodźmy już.

Wsiedliśmy do wozu, wołając Molly. Nie poruszyła się, stała tylko na sztywnych łapach, drżąc cała i warcząc na niebo. Zawołałem ją ponownie, wysiadłem, podniosłem ją z ziemi i wrzuciłem do środka.

Wskoczyłem i dałem gaz do dechy.

Pędziliśmy drogą, zarzucając bagażnikiem na śliskiej powierzchni czarnego lodu pozostawionej przez pługi śnieżne. Dom kurczył się we wstecznym lusterku. A za nim niska, płaska fabryka Drain Rooter.

Amy odwróciła się na fotelu i zerknęła przez tylną szybę, a następnie zrobiła to samo z tymi głupimi okularami. Molly tańczyła na tylnym siedzeniu, podskakując w kółko, prawdopodobnie myślała, że będzie bezpieczniejsza stojąc. Amy pisnęła:

– Patrz! Patrz!

Zerknąłem w lusterko i zobaczyłem wysokie reflektory za nami, prawdopodobnie należące do ciężarówki z Rootera, która wyjeżdżała z towarem. Zrobiłem coś, czego nie uczą w szkółkach jazdy, bo wychyliłem głowę na świszczący wicher i spojrzałem w górę, kierując na oślep jedną ręką.

Czarne sylwetki kłębiły się nad naszymi głowami, uskrzydłone, podłużne cienie, jak u węży. Kłębiły się, zamierały, obracały niczym odłamki niesione przez tornado.

Zbierały się wokół fabryki.

Przynajmniej większość. Niektóre z nich wyłamywały się z szyku i leciały za nami, ciemne kształty śmigające po niebie i znikające w spowitych w cienie drzewach i domach wokół nas. Schowałem się z powrotem do wozu i skupiłem na drodze.

Amy siedziała pochylona do przodu, wisząc na pasie bezpieczeństwa, i krzyczała:

– Co my zrobimy?

– My robimy.

Kolejne zerknięcie w lusterko, reflektory coraz bliżej. Kierowca dawał gazu, ciągnąc ładunek kreta do rur.

Jakiś cień przemknął przed maską.

Wdusiłem hamulce, wozem zakręciło i zarył się tyłkiem w przydrożną zaspę śnieżną na wysokości zderzaka. Przez sekundę cisza, a potem apokaliptyczny odgłos osiemnastu kół ślizgających się po lodzie.

Cieżarówka złożyła się jak scyzoryk, bo przód hamował, a cięższy tył wciąż sunął siłą rozpędu, prosto na nas. Za szybą zamajaczył wielki rysunek hydraulika przekreślonego czerwoną krechą na krzyż.

Przyczepa zaryła i stanęła jakieś dwa metry przed moim zderzakiem, po czym zakołysała się groźnie w przód i w tył, jakby nie wiedząc, czy ma się przewalić na bok, rozrzucając śnieg z dachu w obie strony.

Cisza, jeśli nie liczyć odgłosów silnika i szumu wiatru. W końcu Amy zapytała:

– Nic ci nie jest?

– Uch, nic.

Spojrzałem w niebo w poszukiwaniu cieni. Zerknąłem na czerwoną kabinę ciężarówki i zobaczyłem, że ktoś się tam rusza. Łokieć.

Dłoń zacisnęła się na moim ramieniu. Amy wyszeptała:

– Tam. O tam!

Wskazywała na coś ramieniem pozbawionym dłoni, niech Bóg ma ją w swojej opiece, na czarny kształt rosnący z bolcu ciężarówki, kilkanaście cieni stapiających się w jedno, tworzących coś o kształcie pająka. Przysiadł na białej ścianie przyczepy niczym fragment czarnego, wysprejowanego graffiti jakiegoś gangu.

Drobna dłoń zacisnęła się jeszcze mocniej na moim przedramieniu, silnie, niczym aparat do mierzenia ciśnienia. Molly zaczęła cicho warczeć, przez cały czas siedząc z tyłu wozu, wciśnięta w tylne drzwi, jakby próbowała ucieczki drogą osmozy.

– David, jedź. Jedź – Amy wyszeptała schrypniętym głosem, jakby syczała JEEEDŹŹŹ JEEEDŹŹŹ...

Wdusiłem pedał gazu. Koła zabuksowały. Obracały się w miejscu bez końca. Napęd na cztery koła. Dwa koła zakopane w zwartym śniegu, dwa obracające się w miejscu na lodzie.

Pająk z cienia poruszył się, rozmazał, rozpląnął wzdłuż przyczepy ciężarówki i wyłonił zaraz obok kabiny. Ledwo kilka metrów od siedzącego w środku kierowcy. Wrzuciłem wsteczny, potem przedni, starając się wykołysać z kolein wyżłobionych obracającymi się oponami szukającymi punktu zaczepienia.

– David!

Podniosłem wzrok. Pajęczy kształt zniknął.

Usłyszałem krzyki, przekleństwa. Furię. Kierowca, wielki facet, wysoki i gruby, z modną bródką, wygramolił się z kabiny.

Zaczął krzyczeć, pluł śliną i zaciskał pięści. Aż mu się twarz zaróżowiła z wysiłku. Wtedy skierował na nas swój wzrok. Wzrok wściekłego psa.

– Pizda, kurwa, chuj, jebane skurwysyny...

Może myślisz, że jesteśmy hydraulikami...

Ruszył w naszym kierunku ciężkim krokiem i zobaczyłem je teraz, kształty poruszające się wokół niego, cienie owijające go niczym czarne wstążki rozwiewane przez wiatr. I jego oczy. Teraz całkiem czarne. Żrenice i białka zniknęły w czarnych jak węgiel dziurach.

Był już tylko kilka metrów od nas i sunął w naszą stronę niczym robot. Ponownie wdusiłem gaz, koła znów zawirowały i poczułem, jak tył samochodu przesuwa się w bok, próbując wydostać się z matni. Opony wydawały żalosne jęki, rozbijając mokrą breję. Przedemną wystrzeliło szczupłe ramię i zablokowało drzwi z mojej strony w milisekundzie przed tym, jak kierowca ciężarówki zaczął szarpać za klamkę.

Szaleńcze przekleństwa zagłuszone drzwiami, oddech który zaparowywał szybę. Opony mielące lodową maź.

– PIERDOLCIE SIĘ, OCHUJAJĄCE SKURWYSYNY, ZEŻRYJCIE SOBIE WASZE PIERDOLONE... – mięsista dłoń pacnęła w szybę.

Przekleństwa przeszły w długie, bolesne wycie. Mężczyzna zatoczył się, przykładając dłoń do czoła. Zakołysało nim i padł na kolana, drąc się tak donośnie, jakby piła przeżywała się przez metalową płytę.

Eksplodował.

Poleciały kończyny, drobiny czerwieni rozbryznięły się na przedniej szybie i Amy wrzasnęła. Głowa wystrzeliła do góry, spadła na drogę i, podskakując, zniknęła w ciemnościach. Dźwięk torturowanych opon urwał się. Uświadomiłem sobie, że zdjąłem nogę z pedału gazu, gapiąc się na splątane szczątki wnętrza kierowcy parujące na lodowatym wietrze.

Cienie znów zrobiły się niespokojne. Pełzały po ciężarówce i zaśnieżonym terenie wokół nas, istoty o tak intensywnej czerni, że w świetle księżyca zdawały się być zrobione z czarnego filcu na białym śniegu. Jeden wysoki wyrósł przed nami. Niemal przypominał człowieka, gdyby nie brak głowy i zbyt wiele kończyn. Molly zupełnie oszalała i wciąż czekała, przechodząc w wysokie, zaciągające wycie.

Ponownie wduśłem pedał gazu, wprawiając koła w ruch i usłyszałem jak kawałki lodu i brudnego śniegu wałę w błotniki. Kształt przesunął się bliżej nas i roztopił się na masce, przechodząc przez komorę silnika i brodząc w mechanizmie samochodu jak w sadzawce. Czarna mara wyciągnęła ramię, długie jak u człowieka, i wsadziła je w maskę. Silnik zamilkł w sekundę. Reflektory zgasły.

Teraz wszędzie był cień. Księżycowa poświata ujawniała jego ruch wokół. Amy dyszała ciężko koło mnie, biorąc szybkie, nerwowe hausty powietrza. Przez dłuższy czas nic się więcej nie działo.

Wymamrotała coś zbyt cicho, bym mógł zrozumieć. Zerknąłem na nią. Nachyliła się i powiedziała:

– Myślę, że nas nie widzą.

Z początku nie rozumiałem, ale to miało swój sens. Czymkolwiek były, nie miały źrenic, tęczówek i nerwów optycznych. Normalnie ich nie mogliśmy zobaczyć. One nas wyczuwały, szukając bez patrzenia.

Poniosłem wzrok i zobaczyłem, jak jeden z kształtów unosi się i znika w górze. Kolejny, szybując nad przyczepą ciężarówki, wpelzł na logo z hydraulikiem, po czym rozplynął się w ciemności.

Wolno pokiwałem głową i szepnąłem:

– Nie należą do tego świata. Latają na oślep nie mając oczu, by...

Miękkie kłapięcia na szybie. Amy krzyknęła.

Na zewnątrz, o kilkanaście centymetrów od mojej twarzy, znajdowała się odcięta głowa kierowcy ciężarówki. Długi na pół metra ochłap kręgosłupa dyndał mu z szyi, wisząc w powietrzu. Miał oczy szeroko otwarte, ani śladu źrenic, dwie gałki oczne obracały się na wszystkie strony łypiąc na nas. Amy wciąż krzyczała. Niezłe płuca ma to dziewczę.

– Amy!

Głowa przycisnęła się do szyby, rozwalając nos przystawiła gałkę oczną, by zajrzeć do środka. Otwarte usta szorowały po szybie zębami.

– Amy! Zakryj uszy!

Popatrzyła na mnie, zobaczyła jak wyciągam pistolet i zakryła uszy ramionami. Zacząłem odkręcać szybę.

Opuściłem szybę na jakieś dwadzieścia centymetrów, a głowa starała się wcisnąć w ten otwór, kłapiąc zębami. Wsadziłem jej lufę do pyska i nacisnąłem spust.

Grom. Głowa rozleciała się na kawałki, zmieniając się w czerwoną mgłę i deszcz kawałków kości. Zerknąłem na broń, będąc pod wielkim wrażeniem pocisków przysłanych mi przez nieznanego sympatyka. Przywarłem do szyby i krzyknąłem:

– Mogłeś odpuścić, kiedy jeszcze byłeś...

– David!

Odwrociłem się. Ciemność zapadała wokół nas, gęstniejąc coraz bardziej, a chmury nad nami zniknęły za żywymi cieniami. Nagle zrobiło się ciemno jak w jaskini, jak w trumnie. Otworzyłem

usta, by powiedzieć Amy, żeby uciekała i zostawiła mnie samego, ponieważ to mnie chcieli, a nie jej, ale nie udało mi się wydobyć z nich żadnego dźwięku.

Przekręciłem kluczyk, tłoki silnika ruszyły i zastygły. Spróbowałem ponownie i kiedy silnik odpalił, wdusiłem pedał gazu. Po chwili zmagania ruszyliśmy z kopyta w poprzek niewidocznej ulicy, lądując na drugim poboczu. Wrzuciłem wsteczny, znów dałem gaz do dechy i jeszcze raz wydostałem się z zasy. Zacząłem wolno sunąć naprzód...

Uwolniliśmy się. Wyjechaliśmy z ciemności w noc pochłaniającą ulicę, a moje dłonie zaciskały się z całych sił na kierownicy. Prędkościomierz zaczął pełznąć w górę, opony pływały pod nami, jakbym prowadził poduszkowiec. Znów poczułem dłoń na ramieniu. Amy, dysząc ciężko, rzucała głową na wszystkie strony, starając się zobaczyć wszystko jednocześnie przez te idiotyczne, kartonowe okulary.

Noc robiła się coraz ciemniejsza, a wokół kłębiły się różne kształty, czern zbliżała się, pływaliliśmy w niej, jakbyśmy sunęli pod wiatr buchający z palącego się lasu.

I nagle Amy zniknęła. Zostało tylko puste miejsce.

I poczułem się piramidalnie głupio.

Oczywiście, że fotel był pusty – przyjechałem tu sam i nie znalazłem Amy, a dom był pusty, ponieważ wszyscy doskonale wiedzieliśmy, że Amy leżała zawinięta w plandekę w mojej...

Ciemność mnie pochłonęła. Przesuwająca się sceneria za oknami zniknęła, nie było domów, roślinności ani zasp, jakbym jechał przez kosmos.

Cień wlał się do samochodu niczym fala powodziowa. Ostrze z lodu przebiło moją pierś i chłód wpływał do mego ciała jak trucizna. Serce mi stanęło. Silne, zimne place sięgnęły gdzieś pod żebra i ścisnęły.

I nagle zniknąłem z wozu, jak i zewsząd. W mojej głowie rozpętała się burza obrazów, oszalałych mentalnych fotek niczym w malignie – spojrzałem w dół i zobaczyłem, że trzymam w dłoni czarną kredkę i kreślę trzy schematyczne postacie. Jedna ma długie włosy, druga krótsze z odrobiną czerwieni na górze...

... pod moim wozem, moim starym hyundaiem. Leżę na plecach, obok mnie jakiś facet z długimi blond włosami. Przytrzymuję tłumik, a on wkręca śruby i mówię Toddowi, że brakuje jednej, bo się gdzieś potoczyła, a on na to, że podnośnik się przekrzywia i WYCHODŹ UCIEKAJ WYCHODŹ BO SAMOCHÓD ZARAZ NAS ZGNIECIE...

... biegnę, dysząc ciężko przez salę balową w kasynie w Las Vegas. Chaos, a potem widzę Jima i, wiedząc co muszę zrobić, unoszę broń, strzelam i patrzę jak pada, chwytając się za szyję...

... niebieski drelich, kolana w śniegu, przewracam ciało, przewracam, bo ktoś mógłby nadejść, a trupa baaaaardzo trudno się niesie...

Wróciłem. Znów jestem w swoim samochodzie, z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy. Brnę przez głęboki śnieg, a skrzynka na listy leci w moją stronę.

– David!

Wjechałem komuś przed dom. Szarpnąłem za kierownicę, przedarłem się przez zaspę i znów wylądowałem na ulicy. Widzę, że Amy wróciła i siedzi na fotelu pasażera, blada jak ściana. Sięgam ręką i łapię ją za ramię, jakbym był w stanie uratować ją przed wciągnięciem, wysaniem z rzeczywistości, jeśli tylko chwycę ją wystarczająco mocno. Krzyczy:

– Światło! Jedź do światła!

Nie miałem pojęcia o czym ona mówi. I wtedy zobaczyłem – krąg światła w kompletnych ciemnościach tuż przed nami. Płaski parking, zarys nieoświetlonego czerwonego znaku.

Robiło się coraz ciemniej, bo czern pożerała krajobraz wokół mnie, jakby ktoś wyłączył prąd podczas nowiu. Zjechałem ostro w stronę pobocza i przeskoczyłem przez krawężnik, wspiąłem się na niewielki wzgórek, po czym wylądowałem z szarpnięciem. Wdusiłem hamulec i zakręciło mnie na białej przestrzeni, płaskiej niczym lodowisko.

ŁUP!

Walnęliśmy w latarnię i światło wypełniło wnętrze wozu. We wstecznym lusterku zobaczyłem reklamę nowego sklepu z pączkami, który co prawda był jeszcze w budowie, ale parking oddano wcześniej. I potem wszystko mi się urwało, bo ciemność ogarnęła wszystko wokół naszej wysepki

oświetlonego śniegu, na której osiedliśmy. W sekundę zostaliśmy odcięci od wszechświata i niczego nie było widać, jakby ktoś nas zanurzył w jeziorze ropy naftowej, sto metrów pod dnem oceanu. Tylko czern, nic tylko głęboka, nieprzenikniona czern.

Cisza. Odgłosy oddechów dwójki ludzi. Poczulem mokry nos w moim uchu i zobaczyłem, jak Molly wystawia łeb, machając ogonem i podskakując z cichym warkotem.

Amy powiedziała:

– Nie mogą nas dopaść! Nie mogą nas tknąć w świetle! Wiedziałam!

– A skąd...

– Davidzie – powiedziała, przewracając oczami – to są *ludzie cienia*.

Opuściła szybę, wystawiła głowę na zewnątrz i krzyknęła:

– Pieprzcie się!

– Amy, wolałbym, żebyś tego nie robiła.

Wsunęła się z powrotem do wnętrza i powiedziała:

– Moje serce pędzi z prędkością tysiąca mil na godzinę.

Wyrzałem w nicość, spostrzegłem broń na kolanach i ścisnąłem ją. Jak talizman na szczęście.

Amy powiedziała:

– Oooch! Popatrz na to. Co to...

Drobne okrucy światła poruszały się parami w ciemnościach. Bliźniacze ogniki, niewielkie jak żar z papierosa, unosiły się wokół nas. Było ich kilka, a potem doszły inne i po chwili tuziny gorejących ślepi zerkwały na nas. I nagle, przez szybę zobaczyłem kolor. Cienką linię elektrycznego błękitu w ciemności, na podobieństwo horyzontu. Nagle niebieska linia zaczęła puchnąć pośrodku, rozszerzając się niczym rozcięcie w czarnej materii. Rozszerzała się, aż przez szybę widać było tylko błękit.

To było oko. To oko. Jaskrawobłękitne w ciemnościach, z pionową, gadzią szramą źrenicy. Znów poczułem dłoń na przedramieniu. Wydawało mi się, że Amy chce mi złamać rękę swoim uściskiem. Oko drgnęło, biorąc nas na cel. Nagle mrugnęło i zniknęło.

Zniknął też całun czerni. Widać było teraz tylko noc, przyćmione gwiazdy i oświetlony księżycową poświatą śnieg oraz smutny, uśpiony sklep z pączkami.

Amy powiedziała:

– Czy... czy zniknęli?

– Oni nigdy nie znikają.

– A co to było?

Cóż, widzisz Amy, jest tak. Znajdujemy się pod czujnym okiem Korroka. Jesteśmy jego strawą, a nasze krzyki są niczym sos tabasco.

Zamiast tego powiedziałem:

– Ja tam nie wyjeżdżam ze światła.

– Nie.

Amy wyciągała szyję, rozglądając się wokół, patrząc we wszystkich kierunkach, i ściągnęła kartonowe okulary. Spojrzałem na pistolet i coś sobie uzmysłowiłem, prawdopodobnie o kilka minut za późno. Chwyciłem za lufę i wyciągnąłem broń w stronę Amy.

Wyszeptałem:

– Weź to.

– Co? Nie.

– Amy, widziałaś co się stało z kierowcą ciężarówki? Widziałaś, jak przejęli nad nim władzę, jak wykorzystali jego ciało? Cóż, to samo może przytrafić się mnie.

I nie pytaj mnie, skarbie, skąd to wiem.

– David, nie...

– Amy, posłuchaj mnie uważnie. Jeśli zacznę się dziwnie zachowywać, jeśli będę chciał się na ciebie rzucić, to musisz mnie zastrzelić.

– Nawet nie wiedziałabym jak...

– To nie jest skomplikowana sprawa. Blokada jest wyłączona. Wystarczy nacisnąć. I nie kombinuj, nie staraj się strzelić mi w ramię, czy coś takiego. Spudłujesz. Celuj w sam środek, wbij

mi lufę w żebra. Strzelaj i uciekaj, biegiem. Nie próbuj, no wiesz, strzelać kilka razy. Proszę cię, weź to.

Ku memu zaskoczeniu, posłuchała. Odwróciła pistolet, który zdawał się być olbrzymi w jej dłoni. Powiedziała:

- No a co będzie jak mnie to dopadnie? Jak wezmą się za mnie?
- Mogę cię obezwładnić, odebrać ci broń. Ale myślę, że tak się nie stanie. Nie z tobą.
- Dlaczego?

Oparłem się, czując nagłą ulgę po oddaniu broni. Przysięgam, że broń sama tworzy złowieszczą aurę wokół siebie.

- Mam swoją teorię.

Amy podciągnęła stopy na siedzenie i zaskrzypiała tapicerką, drząc cała. Trzymała broń w prawej dłoni opartej na biodrze, celując mniej więcej w moje krocze. Pomyślałem, że gdyby okazało się, że to sen, to miałyby to bardzo głębokie symboliczne znaczenie.

Powiedziałem:

– A poza tym, ja nie potrzebuję broni – uniosłem dłonie. – Uchwalili takie prawo, że nie można trzymać dłoni w kieszeniach. Wiesz dlaczego? Bo mogła by tam być ukryta broń. Potrafię zabić człowieka tymi rękami. Albo jedną z nóg.

Parsknęła nerwowym śmiechem i powiedziała:

- Jasne. Dobra, będę musiała w takim razie na ciebie uważać.

Znów złapałem mocno kierownicę obiema rękami, aż ścięgnię wyszły mi pod skórą niczym stalowe powrozy i siedziałem tak w całkowitej ciszy przez nieskończoność kilku minut.

W końcu zamknąłem oczy i powiedziałem:

- Dobra. Słuchaj. Musisz coś zrozumieć. Na temat sytuacji, w której obydwójce się znaleźliśmy.
- Dooooobra.

Odwróciła się, by spojrzeć mi prosto w oczy. Jej natomiast były tak cholernie zielone. Jak u kota.

– Nie, słuchaj, po prostu mnie posłuchaj. Wiesz, dlaczego zostałem skierowany do szkoły specjalnej, dlaczego byłem w Pine View?

Odparła:

– Trochę wiem. Chodziło o tego Billy’ego, tak? O bójkę, w jaką się z nim wdałeś? I potem, później kiedy on...

– Tak, no właśnie. Posłuchaj. Faceci to bydlaki. Wystarczy zebrać nas w kupie, usunąć wszelkie autorytety i od razu robi się „Władca Much”. Billy ze swoją bandą, kilkoma chłopakami z drużyny zapaśników, kręcili filmy na wideo. Ten młody, no wiesz, chłopak Pattersonów, trochę przy kości? Tak czy inaczej dopadli go po szkole, przywiązali do słupka od bramki, ogolili mu głowę i to wszystko filmowali. Minęło wiele godzin zanim ktoś go odnalazł, a wtedy już, sama wiesz, skóra na twarzy była już cała pokryta pęcherzami od kontaktu z kałem...

Może mógłbyś oszczędzić jej nieco szczegółów, co?

– ... i zrobili sobie imprezę i pokazywali film, pokazywali film jak torturują tego grubaska, a on tylko krzyczy. Siedzieli z piwem przy swoim filmie i oglądali go raz za razem i tak to już jest w ogólniaku. Gównno, za które każdego dorosłego wpakowaliby od razu w kaftan bezpieczeństwa, tutaj zupełnie przeszło bez echa. Młodość musi się wyszumieć. To tylko takie zabawy chłopaków.

Zawahałem się i spojrzałem w noc, szukając czegoś, czegokolwiek. Zobaczyłem pojedynczego ptaka na linii wysokiego napięcia, jak trzepotał skrzydłami, ale najwyraźniej donikąd się nie wybierał.

– Nieważne, miałem wf z chłopakami od Hitchcocka i od razu wyłuskali mnie z tłumu. Stało się to rutyną. Z początku były to drobne sprawy, ale robiło się coraz gorzej, bo musieli podnosić poprzeczkę, żeby odczuwać radość z rozrywki. A wuefista nie cierpiał mnie, pamiętał więc, żeby zniknąć w odpowiednim momencie. Naprawdę, kiedyś dosłownie widziałem jak odwraca się plecami i wychodzi z pomieszczenia, kiedy tamci na mnie napadli, celowo tak zrobił, żeby tamci widzieli. I pewnego dnia przyczepili się do mnie i zabrali mnie do składziku na sprzęt, niewielkiego pomieszczenia, w którym były ochraniacze i materace do zapasów ułożone w stosy. Gdzie było

gorąco jak w piecu i wszędzie unosił się odór pleśni i starego potu fermentującego w piance. I zaczęło się. Jak w więzieniu na spacerniaku. W końcu mnie tam zostawili i wyszli przez szatnię jak gdyby nigdy nic...

Hmmmm... czy zauważy, jeśli niespodziewanie zmienię temat?

– Cóż, już wcześniej zacząłem zabierać do szkoły nóż, nie sprężynowiec ani żadna szpanerska kosa, tylko scyzoryk na breloczku do kluczy. Tylko tyle miałem. Otworzyłem ostrze, stanąłem za Billym i chlasnąłem go prosto w plecy, robiąc płytkie nacięcie wzdłuż kręgosłupa. Nie było głębokie, ale poczuł i padł, przewrócił się, myśląc, że kona i zakrwawił ławkę i podłogę. Wtedy go dopadłem, usiadłem mu na piersi i zacząłem go dźgać po twarzy, kaleczyć, aż ostrze odbijało się od kości na jego czole, pojawiło się więcej krwi i...

Długo i intensywnie zastanawiałem się, jak przedstawić kolejny rozdział tej opowieści, ale nie mogłem niczego wymyśleć. Ciekawiło mnie, kiedy mają otworzyć sklep z pączkami.

Wypełniając ciszę Amy zapytała:

– Co oni ci takiego zrobili?

– Powiedzmy tak. Nigdy, przenigdy ci tego nie powiem.

Nie odpowiedziała, co mogło oznaczać, że albo zupełnie nie miała pojęcia, albo też wręcz przeciwnie – miała bardzo wyraźne pojęcie w tej sprawie. Brnąłem dalej.

– A więc skończyło się na...

na wycinaniu oczu

– ... tym, że mocno ucierpiał i stracił wzrok. Dosłownie, oślepl. Oskarżono mnie o napad z niebezpiecznym narzędziem i kilka innych rzeczy, które były synonimami napadu z niebezpiecznym narzędziem. W szkole mówiło się o dożywotnim wydaleniu. Mój tato, mój przybrany tato, jest prawnikiem, no wiesz i odbył serię spotkań w szkole i u prokuratora, wiedział więc, że to kaplica. Skończyło się tak, że badali mnie pod kątem choroby psychicznej, co, jak wiedziałem nawet wtedy, mogło mi pomóc, bo można było zarzucić szkole, że gdyby mnie wcześniej zbadali, powinni chronić Billy'ego *przede mną*, nieważne. Spotkałem się z psychologiem, który skłonił mnie do rozmowy na temat mamy i kazał patrzeć na kleksy, odgrywać przedstawienie z podziałem na role i rysować obrazki przedstawiające to, jak widzę swoje miejsce w świecie, a ja wiedziałem, że to blaga, prawnicza sztuczka, ale wciąż wyobrażałem sobie, jak trener Wilson odwraca się plecami raz za razem i pomyślałem, ej, pieprzyć ich. Prokurator, brodaty, żydowski twardziel nie chciał wysuwać oskarżeń. Powiedział, że było pięciu na jednego i w takich sytuacjach wszystko się może zdarzyć i że nie chce patrzeć, jak znikam w szczękach systemu penitencjarnego dla nieletnich. Szkoła wycofała się z wyrzucenia mnie pod groźbą pozwu i skończyło się na tym, że ostatni rok chodziłem do Pine View.

Kawałek kryształu wylądował na szybie. Samotna śnieżynka. Druga spadła kilka centymetrów dalej.

– Tak więc – ciągnąłem – cztery miesiące później Billy przyzwyczajał się do życia bez oczu, żegnając się ze sportem, prawkiem jazdy i niezależnością, doskonale wiedząc jak wygląda pożywienie, które wkłada do ust, jednocześnie nie mając pewności, czy mucha nie wpadła mu do zupy. Wziął wszystkie swoje środki przeciwbólowe na raz. Demerol, jak sądzę. Znaleźli jego trupa na drugi dzień.

Cisza. Bardzo chcę usłyszeć coś z jej ust, cokolwiek. Pytam:

– Ile z tej historii już znałaś wcześniej?

– Większość. Ktoś rozpowiadał głupie plotki, że zakradłeś się do jego pokoju i otrułeś go, czy coś równie głupiego, niby że trutką na szczury, co byłoby kretyńskie, bo policja by przecież zauważyła.

– Jasne, jasne.

Tak à propos, to ja rozpowszechniałem te plotki.

– Musiałaś się czuć paskudnie, kiedy się dowiedziałaś. Na temat Billy'ego, znaczy się. To musiało być straszne.

– Taaa.

Nic a nic.

Nastąpiła teraz najdłuższa i wypełniona największym napięciem pauza w konwersacji w moim życiu, jakbym siedział na diabelskim młynie z kimś, kogo właśnie obrzygałem. Właściwie to dokładnie tak. Prawda była taka, że nie żałowałem tego, co się stało Billy emu. Drażnił się z psem, a ten odgryzł mu palce. Pierdolić go. Pierdolić wszystkich. I ty też się pierdol Amy, za zmuszenie mnie w jakiś sposób, żebym ci to opowiedział. Jasne, pewnie, podle się czułem, Wysoki Sądzie. A tamtego dnia, wiele lat temu, kiedy usłyszałem, że jakiś młody zaczął strzelaninę w szkole w Kolorado, kręciłem głową i mówiłem, że to tragedia, straszna tragedia, ale w środku pomyślałem, że widok mord tych wszystkich wysportowanych skurwysynków, kiedy zobaczyli prawdziwą broń musiał być, kurwa, bezcenny. A więc tak, na twój użytek, czuję żal po tym co się stało z Billym, jak każda dobra osoba. I nigdy, przenigdy nie powiem ci, że jest inaczej. Nigdy w życiu.

Powiedziała:

– A jednak, kto to wie, co mógłby jeszcze komuś zrobić gdybyś go nie...

– Nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia, Amy. Skłamałem. Kiedy usłyszałem o tym, nie czułem absolutnie niczego. Wydawało mi się, że poczuję, ale nie. Nie było we mnie winy, bo nie jestem osobą, która obwiniałaby się za takie rzeczy. I dlatego właśnie mówiłem, że jesteś w niebezpieczeństwie. Nie sądzę, żeby te istoty, te ochłapy, te cienie niczego, były w stanie cię wykorzystać, ale sądzę, że rozpoznają we mnie swojego. Dlatego też trzymaj mnie na muszce. Trzymaj palec obok spustu i bądź gotowa go nacisnąć tak mocno i tak szybko, jak tylko potrafisz.

Znów cisza. Czy wspominałem już, że ostatnia chwila ciszy była najdłuższa i najbardziej zenująca w moim życiu? Rekord został pobity bardzo szybko.

Dałbym wszystko co mam, byleby tylko w jakiś sposób cofnąć tę rozmowę.

Powiedziałem:

– Nie mamy pojęcia, co oni ci robili, Amy, kiedy cię zabierali tyle razy. Ale nie zrobią tego więcej. Te głupoty ze straszaniem już mnie powoli wykańczają. I wiesz co, doszedłem do granicy, na której mogę oświadczyć: możecie mnie zabić, oderwać mi ręce, oblać benzyną i podpalić, ale nie zobaczycie mnie już takiego więcej, uwięzionego przez własny strach. Teraz, kiedy tyle już widziałem, nie boję się potworów ani demonów, czy co tam lata w powietrzu. Boję się jedynie jednego i jest to strach. Życia w strachu, w zastraszaniu. Buta na moim karku. Nie będę tak żył. Nie będę. Nie mogłem tego znieść wtedy i teraz też nie zamierzam.

Po dłuższym czasie zapytała:

– Co robimy?

– Siedzimy. Tylko pamiętaj, celuj we mnie. Będziemy tu siedzieć i czekać na wschód słońca. A potem pogadam z Johnem. John będzie wiedział co robić.

Nie mogę uwierzyć, że powiedziałem coś takiego.

Rozdział 14.

John prowadzi śledztwo

04:20

John postanowił przyjechać wcześniej na miejsce pracy w zakładach Drain Rooter i rozejrzeć się na własną rękę. Tak więc, kiedy Amy i ja siedzieliśmy w naszym obozowisku, w samochodzie przy nieczynnej jeszcze pączkami, John sunął swym cadillacem po zaśnieżonej drodze, mijając dom Amy. Oczywiście daleko nie zajechał, bo utknął przy grupie pojazdów, przy pomocy których starano się rozczepić złożoną na pół przyczepę ciężarówki Drain Rooter.

Ale nie było mnie tam, więc niniejsza opowieść opiera się na pogłoskach. Trzeba pamiętać, że szczegóły podawane przez Johna należy brać z pewną poprawką, i że jeśli John mówi jak to „o trzeciej trzydzieści był już na nogach”, żeby przeprowadzić śledztwo, to jest więcej niż pewne, że po prostu wciąż był na nogach, nieco wstawiony po udanym wieczorze.

John mówi, że zajechał na miejsce ogrodzone żółto-czarną taśmą, która oznajmiała wejście na Teren z Niebezpiecznymi Materiałami. Kilkunastu facetów w żółtych kombinezonach kręciło się wokół i czyściło wszystko w pewnym pośpiechu, więc oczywiście od razu postanowił przekroczyć taśmę z napisem ZAKAZ WSTĘPU. Zrobił dwa kroki i stanął na rozmytej, różowej plamie na śniegu, szerokości samochodu. Wydedukował, że to krew, choć ciała kierowcy ciężarówki nie można było nigdzie znaleźć. Stał tak nad tą wielką plamą krwi i powiedział, na głos zresztą i w obecności kilkunastu świadków, „To jest krew! David musiał tu być”.

W tym momencie dwóch starszych ochroniarzy w nieprzemakalnych futrzanych kurtkach, facetów, którzy zwykle siedzą w recepcji fabryki, poprosiło Johna, by wyszedł za obręb taśmy. John utrzymuje, że zaczął mówić ochroniarzom, że nie rozumie po angielsku, a kiedy to nie przyniosło rezultatów udał, że ma atak. John rzucił się na ziemię i zaczął tarzać w śniegu, waląc wokół kończynami i krzycząc: „EL NAPADO!!!

NO ES BUENO!!!” z meksykańskim akcentem. Pół tuzina śniegowców ruszyło w jego stronę przez białą połąć.

Z ziemi John zobaczył coś, co zmroziło mu krew. Ciężarówka według niego „krwawiła z dupy”. John zobaczył galony czerwonej cieczy wypływającej obfitym strumieniem z tylnych drzwi do załadunku i wylewającej się na asfalt, przez co droga wyglądała na niemal czarną w świetle księżyca. Kilka dłoni odzianych w rękawice złapało go i zaczęło ciągnąć przez śnieg – faceci w kombinezonach i maskach na twarzach. John mrużył oczy w tej ciżbie, by jeszcze dojrzeć coś wokół ciężarówki, i zobaczył jak kilku innych wyciąga kilka niebieskich plastikowych beczek poplamionych na bokach czerwoną substancją, która zdawała się być nieco bardziej przezroczystym płynem niż krew. Ciemną, gęstą i oleistą.

Tuż za nimi wyciągnięto już kilka pudel w kształcie trumien, a ludzie nieśli je jak na pogrzebach. John podkreślał, że owe pojemniki trumnami nie były, jedynie miały kształt trumien i były oklejone różnymi nalepkami, które miały wskazywać na niebezpieczne materiały organiczne w środku. Zupełnie nie przypominały nalepek z chemikaliów domowych, jakie można zobaczyć w sklepie chemii gospodarczej.

I tutaj właśnie opowieść się nieco rozjechała. John twierdzi, że mężczyźni odciągający go od miejsca wypadku byli obstawieni przez innych, z krótką bronią automatyczną, choć przyparty do muru przyznał, że równie dobrze mogły to być latarki. Tak czy inaczej, John mówi, że mężczyźni rzucili go na ziemię i chcieli od razu rozwalić, dlatego kopnął jednego z nich w twarz i koziołkując do tyłu stanął na nogach. Następnie obezwładnił innego, wrywając mu broń, a potem mu „chujnął”. Nie wiem dokładnie, czy znaczyło to, że walnął go w krocze, czy po prostu trzepnął go na odlew, jakby to robił kutasem. W takich chwilach nie mam w zwyczaju prosić Johna, żeby

wyjaśniał mi takie sprawy. Tak czy inaczej, powiedział, że zamachnął się jeszcze raz i wałnął wyrwaną bronią drugiego faceta w czaszkę tak mocno, że aż „baterijki mu wyleciały”.

Następnie – naturalnie według Johna – jednym ciągłym ruchem „trójkopnął” trzeciego faceta w twarz, jednocześnie wałąc czwartego „wprost w jego przebrzydłego fajfusa”. John oczywiście wiedział, że nie może zostawić tak człowieka leżącego i krzyczącego z bólu. Chwycił go więc za twarz i litościwie złamał mu kark ostrym, zdecydowanym ruchem rąk. W tym momencie, mówi John, reszta ekipy ratunkowej zauważyła co się święci i ruszyła w pościg, a on uciekł, kradnąc stojącego nieopodal konia. Jest to pierwsza niespójność w relacji Johna, ponieważ na początku opowieści jedzie spokojnie autem, mijając dom Amy i znajduje się bardzo daleko od fabryki Rooter. Podejrzewam, że w rzeczywistości albo ludzie sprzątający miejsce po wypadku nie widzieli Johna, albo też najwyżej spojrzeli na niego krzywo, a on zawrócił i odjechał. Ale podkreślam ponownie, nie było mnie tam, nie chcę więc rzucać cienia na wiarygodność Johna.

Niezrażony niczym John skręcił w boczną drogę niedaleko domu Sullivanów. Przekonał się, że nie był pierwszą osobą, która tej nocy wpadła na taki pomysł, ponieważ na śniegu widać było ślady opon i John wygłótkował, że ostatnia osoba, która tędy przejeżdżała zrobiła to, co on – objeżdżała miejsce wypadku.

Po kilku minutach upewnił się, że ma rację. Droga zdawała się okrążyć tył starego, przemysłowego parku, na którym oprócz fabryki Rooter znajdowała się opuszczona wytwórnia konserw fasoli z kiełbaskami, centrum dystrybucyjne Best Buy oraz zamknięty zakład Hanesa, wytwarzający suspensoria dla sportowców. Po przeciwnej stronie autostrady znajdowało się opuszczone Centrum Handlowe w Anonimowym, z rzędami rozpadających się stoisk, gdzie jedynym asortymentem była pleśń, nietoperze oraz rodziny wiewiórek, budujące sobie gniazda ze zużytych gumek.

Żwirowa droga i świeże ślady opon poprowadziły Johna przez wąski pasek drzew wzdłuż terenu fabryki Rooter. Właśnie przejeżdżał przez zacienioną aleję, kiedy po lewej stronie zobaczył rozbłyśki światła pomiędzy pniami drzew.

Zwolnił i zatrzymał się, widząc podskakujące snopy światła, które najpewniej oznaczały obecność jakoś pół tuzina mężczyzn z latarkami.

Rozległy się strzały.

Światła zniknęły i John siedział tak przez kilka minut, zanim znów dostrzegł postacie, jeszcze dalej między drzewami. Podjechał jeszcze kawałek, po drodze zerkając w las i zobaczył, jak snopy latarek zatrzymują się i gasną jedna po drugiej. Czegokolwiek tam szukali ci faceci – szopa na kolację czy soczewek kontaktowych jednego z nich, musieli to znaleźć. Zerknąwszy między drzewa, wypatrując jakiegoś ruchu, stwierdził, że grupa musiała składać się ze zwykłych wiejskich kłusowników albo uczestników studenckich biegów na orientację i wcisnął pedał gazu. Wielki Cadillac wjechał na wzgórze i, kiedy John zobaczył, co było poniżej, natychmiast wcisnął hamulec. Stała tam ciężarówka, ciężka ciężarówka wyglądająca na wojskową, choć nie miała kamuflażu. Cała czarna. Najwyraźniej to za śladami jej opon jechał.

Grupa mężczyzn, prawdopodobnie trzymających strzelby, stała wokół pojazdu. John błyskawicznie wyłączył reflektory wozu. Ale wtedy przyszło mu do głowy, że jak ktoś tak gwałtownie wyłącza światła, może się to wydać podejrzane. Włączył je więc z powrotem, choć spostrzegł, że dwóch mężczyzn obróciło się w jego stronę. Błyskawicznym ruchem ponownie je zgasił. Teraz wiedział, że mruganie nie mogło przejść niezauważone i rzeczywiście, już wszyscy mężczyźni zdawali się patrzeć do góry w jego kierunku. Grupa mogła rozpocząć pościg albo też wycelować w jego samochód i przedziurawić mu szybę, gdyby goryl pędzący na gigantycznym krabie nie wyskoczył z lasu i nie pożałował dwóch z nich.

Dobrze słyszeliście.

John mówi, że był wielki jak sama ciężarówka i łąził na sześciu łapach, które wyglądały na równie szpiczaste i opancerzone jak to, co zwykle się widuje w bufecie z owocami morza. Ale pewien fragment świadczył też o powinowactwie ze ssakami, czyli sierść i ramiona. Proszę pamiętać, że z tej odległości małpa na krabie musiała mieć wielkość monety, nie krytykowałbym więc opisu bestii, nawet jeśli wszyscy wiemy, że jest mocno popieprzony.

Potwór odpełził – bokiem – a nogi jednego z mężczyzn wciąż wierzgały pomiędzy jego szczękami. U podnóża pagórka rozległy się odgłosy wystrzałów, a niewielkie rozbłyski z luf rozświetliły śnieg. Mężczyźni popędzili w las. John czekał, a następnie włączył wsteczny bieg i wycofał się za wzgórze tak daleko, że nie można go było fizycznie zobaczyć od ciężarówki, choć on zarzeka się, że ją widział, co było po prostu niemożliwe.

Z lasu rozległy się strzały. Dobiegł też stamtąd zwierzęcy wrzask. Ponownie strzały w lesie. Wycie i znów wystrzały, dziesiątki wystrzałów zagłuszające się wzajemnie. Pełen ogień automatyczny. Krzyki.

Przez chwilę zrobiło się cicho. John zauważył, jak jedna postać wybiega z lasu i zmierza do ciężarówki. Mężczyzna wskoczył na pakę, wyciągnął dwie walizeczki wielkości pudełka na lunch i znów pobiegł do lasu. Po chwili kolejne strzały zaterkotały w nocnej ciszy. Ponownie zwierzęce wrzaski i wycia. Kolejne strzały. Kolejne krzyki. Kolejne strzały. I ciche, zwierzęce zawodzenie, dochodzące z pomiędzy drzew. Strzały ucichły. John wrzucił bieg i był gotów przejechać obok ciężarówki zanim wrócą do niej ludzie, ale spóźnił się, bo zobaczył! jak jeden z mężczyzn biegnie z powrotem. Niósł te same niewielkie walizeczki, które zdawały się być teraz lżejsze. Znów schował się w wozie i po chwili wyłonił z dwiema nowymi walizeczkami, po czym wrócił do lasu. Ponownie rozległy się wystrzały w towarzystwie krzyków małpokraba.

Trwało to mniej więcej przez pół godziny, aż w końcu odgłosy ucichły. Czterech mężczyzn wyszło z lasu i wsiadło do ciężarówki. Odjechali. John za nimi. Minął skręt prowadzący z powrotem do fabryki Drain Rooter, prawdopodobnie na parking pracowniczy, ale zobaczył, że wjazd jest zamknięty zasiatkowaną bramą. Gdyby był to film akcji, pomyślał John, wjechałby do środka, rozwalając bramę. Jednak, w odróżnieniu od filmowych samochodów, Cadillac Johna nie był rekwizytem i musiał go zawieźć rano do pracy, a przebita chłodnica kosztowałaby tygodniową wypłatę.

Ale – co ważniejsze – ciężarówka, której szlakiem jechał, nie skręciła do zamkniętej bramy i teraz bardzo zapragnął zobaczyć, dokąd pojechała. John cofnął się i musiał zadowolić się jazdą szlakiem śladów opon na śniegu. Prowadziły przez główną drogę dojazdową do parku przemysłowego i przez krzyżującą się z nią dwupasmową autostradę. Ciężarówka jechała dalej przez białą połąkę będącą parkingiem martwego centrum handlowego w Anonimowym. Krążyła w koło, zajeżdżając za wschodnie skrzydło – jedną odnogę budowli w kształcie litery „U”.

John uznał, że czekał wystarczająco długo, aż mężczyźni w ciężarówce wsiądą i pójdą tam, gdzie zamierzali, a następnie ostrożnie objechał budynek, gdzie zobaczył ciężarówkę zaparkowaną nieopodal rampy i zabitego dechami wejścia do tego, co miało być sklepem wielobranżowym, gdyby tylko ktoś zadał sobie trud i otworzył całą galerię. John przyjrzał się temu miejscu, ale nie zobaczył niczego. W końcu zaczął się niecierpliwić. Będąc osobą całkowicie nieuzbrojoną, choćby w latarkę, i nie posiadając nawet krztyny instynktu samozachowawczego, podjechał do pozbawionego drzwi wejścia i wkroczył do środka, jakby był nowym właścicielem.

W przestronnym wnętrzu było zimno jak w chłodni. Gdzieniedzie księżycowa poświata wlewała się do środka przez oprawną w ramę dziurę w dachu, świetlik w którym szkło poszło w zeszłym roku. Przez dziurę wleciał śnieg i zalegał na podłodze grubą warstwą, niczym sterta wysypanej mąki. Na jej krawędzi biegły ślady stóp. Pięć czy sześć prowadzących do wydłużonego śladu poślizgu, który – jak podejrzewał John – powstał, kiedy któryś z facetów pośliznął się na śniegu i spadł na tyłek. John nie popełnił tego samego błędu, okrążając śnieżną łąkę i kierując się po śladach w głąb budynku. Prowadziły do metalowych drzwi z napisem KONSERWACJA. John zatrzymał się, roztrząsając problem, czy konserwacja w takim obiekcie była najłatwiejszą pracą pod słońcem, czy też wręcz przeciwnie. Okazało się, że drzwi są zamknięte na zamek. John utrzymuje, że i tak go otworzył. Nie wiedziałem, że John potrafi otwierać zamki bez klucza, ale też nie mówię, że znam wszystkie jego tajemnice. Może tamci po prostu zostawili je otwarte.

Tak czy inaczej, John mówi, że otworzył je i wszedł do niewielkiego, brudnego pomieszczenia bez okien, które było domostwem licznych pajaków i ciemnych, śmigających przed światłem cieni, ale nie posiadało żadnego innego wyjścia. Pstryknął zapalniczką i potwierdził swoje podejrzenia. Żadnych drzwi, włazów czy tuneli. Tak jak w łazience Amy, ślady prowadziły do tego miejsca i się

urywały. John odwrócił się do wyjścia, ale kątem oka zauważył jakieś drzwi. Poczł się jak idiota, no bo jak można przegapić coś takiego, drzwi na środku ściany? Wysokie, z łukiem na górze, zdobione. Zupełnie nie na miejscu w takim pomieszczeniu. Odwrócił się wtedy w ich stronę i znów zobaczył tylko pustą ścianę.

Odwrócił się bokiem, ponownie dostrzegł kątem oka rozmazany obraz wielkich drzwi. Były tam, ale jednocześnie ich nie było, jakby ktoś wywoływał złudzenie optyczne. John podszedł do ściany i dłonią zaczął wodzić po jej powierzchni przy ciepłym, propanowo-butanowym płomieniu, szukając jakiejś dźwigni bądź śladu krawędzi, czy też ukrytych zawiasów. Przez kilka minut nic nie znalazł, wyłącznie litą ścianę. Zerknął na zegarek...

05:06

... i uzmysłowił sobie, że musi być na miejscu zlecenia za niecałe pół godziny. Wyszedł, słusznie podejrzewając, że tu jeszcze wróci.

05:18

Włączałem i wyłączałem silnik mojego bronco, aby móc uruchomić grzejnik bez zatrucia się tlenkiem węgla, co, jak slyszalem, zdarza się w zaparkowanych samochodach zostawionych zbyt długo z włączonym silnikiem. Szczególnie w takim jak ten, który i tak co jakiś czas podjeżdżał zgniłymi jajami. Podejrzewałem, że przyczyną jest jakiś problem ze spalaniem i byłem pewien, że nic się z tym nie da zrobić, nawet gdybym zlecił gruntowne czyszczenie wozu, choć nigdy wcześniej nie rozważałem takiego kroku.

Włosy Amy pachniały truskawkami. Opierała się o mnie, ze stopami na drzwiach z jej strony, z bronią wycelowaną gdzieś w schowek Teraz wszystkie szyby pokrywała biała warstwa śniegu, jakby ktoś zarzucił puchową kołdrę na mój samochód. Po raz drugi tej nocy doznałem bardzo dziwnego uczucia nieważkości. Jakbyśmy byli dwiema ostatnimi istotami ludzkimi na planecie Ziemia.

Powiedziałem:

– Mogę cię o coś zapytać?

– Nie.

– Dlaczego trafiłaś do Pine View? Przecież z tobą jest wszystko w porządku. I mam prawo wiedzieć jako, no wiesz, podatnik.

– Po wypadku samochodowym. Nie chodziłam do szkoły przez kilka miesięcy i kiedy wróciłam, miałam całą masę problemów. Napychali mnie środkami antydepresyjnymi i całą chemią. Wellbutrinem. Ugryzłam nauczycielkę i wyłącowałam z małymi wariatami.

– Ugryzłaś nauczycielkę?

Westchnęła i powiedziała:

– No dobra. Pewnego dnia, wraz z mamą i tatą jechaliśmy samochodem, żeby kupić jakieś ubrania do szkoły. Miałam czternaście lat i szłam do ogólniaka. Zasnęłam na tylnym siedzeniu i obudziłam się czując, jak ktoś mną potrząsa. Okazało się, że wiszę do góry nogami, opierając się policzkiem o chodnik. Wszędzie było pełno szkła i krwi. Tatę wyrzuciło z samochodu i zmarł na miejscu, metr ode mnie. Jego twarzy była jak... jak gumowa maska. Nie było na niej żadnych emocji. Mama leżała nieopodal z nogami przygwożdżonymi maską i strasznie krzyczała. Mnie w zasadzie nic się nie stało, ale miałam przekreślony kręgosłup i zdrętwiałe nogi, a dłonie miałam pod drzwiami. Leżałam tak i mówiłam mamie, żeby się uspokoiła, że pomoc zaraz nadejdzie. Leżałyśmy tam całą wieczność. I slyszalam, jak mijaly nas przejezdżajace samochody. Slyszalam ich, jak mówili: „może się zatrzymajmy?” Pomyśleć, że ktoś mógłby...

Głos jej się załamał i odwróciła się, by wyrzeć przez boczną szybę, spoglądając w przestrzeń.

– Wyciągnęli mnie. Moja dłoń przypominała hamburger. Wystawały z niej ścięgna i strzępy, obrzydlistwo. Dłoń ledwo się trzymała wisząc na pojedynczym pasku ciała łączącym ją z nadgarstkiem. Położyli mnie na noszach, a moja dłoń dyndała sobie w przód i w tył. Mama zmarła w szpitalu. Oczywiście, Jima tam nie było, bo został w domu i nic mu się nie stało, ale zaczął świrować, że to wszystko przez niego. Zoperowali mi dłoń, przyszyli ją z powrotem. Zrobili mi też jakiś zabieg na kręgosłupie, gdzie miałam pęknięty krąg. Włożyli mi metalowy pręt o... –

odwróciła się i wskazała miejsce między łopatkami – tu. Dzięki temu urosłam o pół cala. Czy to nie dziwne? Bardzo mnie bolało i podłączali mnie do wyciągu co jakiś czas, żeby rozciągnąć moje ciało i zniwelować napięcie. Ponadto wystąpiły poważne komplikacje z dłonią. Funkcjonowała przez kilka lat, kiedy byłam już w ogólniaku, ale nagle straciłam czucie w dwóch palcach...

Amy zrobiła coś, co wywołało u mnie napad gęsiej skórki, bo uniosła kikut i wskazała puste miejsce po dwóch ostatnich palcach.

– I znów mnie operowali. I jeszcze raz. Ból był nie do zniesienia. Ból w plecach. Cały czas byłam na prochach, na środkach przeciwbólowych, które brałam co cztery godziny i ciągle przez to wymiotowałam. Zmniejszyli mi więc dawkę, ale kiedy środki przestawały działać, przez dwie godziny liczyłam minuty dzielące mnie od kolejnej dawki. Pozostało mi więc albo przyzwyczać się do bólu, albo rzygać cały czas.

Środki antydepresyjne. Na myśl, że ta dziewczyna ma depresję chciałem złapać całą planetę i cisnąć ją prosto w słońce. Cóż, przynajmniej bardziej niż zwykle.

– I ugryzłam nauczycielkę. W końcu moje palce stały się zupełnie drętwe, prawie wszystkie i nie byłam w stanie chwycić nimi niczego. Upuszczałam przedmioty. Kazali mi zamieszkać u wujka Billa i ciotki Betty, ale oni właśnie się rozstawali, więc nie chcieli mnie u siebie. Pewnego razu upuściłam szklany przedmiot, małą figurkę i Bill się wściekł. Znaczący, to nie była jego wina, że mnie nie chcieli, ale cóż ja mogłam na to poradzić? Krzyczał na mnie, a lekarze i tak powiedzieli, że mamy ostatnią szansę, by zmusić dłoń do funkcjonowania, bo zaczęła obumierać w niej tkanka nerwowa.

Spojrzała w dół i zdjęła coś ze skarpetki.

– A więc przeprowadzili ten zabieg. Obudziłam się w sali pooperacyjnej ledwo żywa, bo śniło mi się, że nie mam ręki. Kiedy się wybudziłam, rzeczywiście jej nie było. Znikła. Była tylko pusta przestrzeń, białe prześcieradło tam, gdzie zwykle była moja dłoń. Wyglądało to bardzo dziwnie. Płakałam całymi dniami. Nic, tylko ryczałam jak bóbr. Całymi godzinami. Oni wiedzieli, Davidzie, wiedzieli, że mi utną rękę. I nic nie powiedzieli. A ja leżałam tam i nagle wiedziałam, że nigdy nie będę mogła się wmieszać w tłum. Rozumiesz.

Mruknałem coś.

– I nieważne, czego bym nie powiedziała, czego bym nie zrobiła, to zawsze będę „Amy, no wiesz, ta dziewczyna bez ręki?” Wszędzie, dokąd bym nie poszła. A najgorsze było to, kiedy, no wiesz, poznawało się kogoś, a ten ktoś nie zauważał od razu braku dłoni, nie widział tego i można z nim było rozmawiać i czekać, spodziewać się tej chwili, kiedy to zauważy. Tego spojrzenia w chwili, w której to zobaczył. Jakby byli *zażenowani* moją obecnością.

Zamilkła.

Powiedziałem:

– Do dupy ten świat.

– Odeszłam. Po tym zamieszkałam tylko z Jimem. Wciąż czuję tę dłoń, wiesz? To prawda, co mówią o fantomowych bólach amputowanej kończyny.

– A co, swędzi cię czy coś w tym rodzaju?

– Nie, jest jakby, no, zaciśnięta. Czuję jak dłoń mi się zaciska i nie mogę jej rozluźnić. Czy to nie dziwne? – uniosła swoją zdrową dłoń i zaciśnęła mocno w pięść. – O tak. Czuję jak paznokcie zagłębiają się w moją dłoń, dłoń, której tam nie ma. I, jak sądzę, to coś w mojej głowie, coś związanego z nerwami. I tak jest za każdym razem. Jeśli naprawdę się skoncentruję, mogę ją nieco rozluźnić, ale po minucie wraca do poprzedniego stanu. Zawsze jest to ukłucie bólu na tej niewielkiej przestrzeni, na której powinna być moja dłoń. Budzę się z tym.

Przyszło mi do głowy, by wyjawic przed nią moją własną tragedię z wylewaniem gorącego wosku na krocze, ale pomyślałem, że w ogóle nie robi to na niej wrażenia. Skrzyżowała ramiona i nacierała się nimi przed chłodem, a ja objąłem ją, by jej pomóc. Pistolet spadł na podłogę.

Powiedziałem:

– Wiesz, że kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, miałem mieszane uczucia, tak? W domu? Nie wiedziałem, gdzie się podziała twoja dłoń...

– Cóż, w szkole jeszcze ją miałam.

- ... ale John wiedział.
- No tak – przyznała. – Kiedyś zachodził do mnie.
- Powiem ci coś, co powinnaś wiedzieć na temat Johna. Powodem, dla którego byłem zaskoczony, widząc brak twej dłoni było to, że John nigdy nie mówił o tobie „ta dziewczyna bez ręki.”

05:36

Nie wiem, co John robił w czasie między opuszczeniem centrum handlowego i pojawieniem się na miejscu pracy w Drain Rooter, ale z poprzednich doświadczeń z Johnem mogę wywnioskować, że opowiadał zabawne historyjki na temat swojego penisa, pił jakiś podły alkohol, a potem kochał się z kolejną dziewczyną, do której w tajemnicy czułem miętę, nie mając odwagi się z nią umówić. W międzyczasie przebrał się też w robocze ciuchy, warstwy flaneli i na to jeszcze kombinezon pobrudzony smołą.

Miejsce wypadku ciężarówki zostało starannie posprzątane, kiedy mijał je ponownie widać było jedynie plataninę śladów opon jako dowód, że coś się tu w ogóle stało. Steve-Spec-od-Dachów czekał już z tyłu budynku i rozmawiał ze strażnikiem na temat wejścia na dach. Był to jeden z ochroniarzy, których John widział na miejscu katastrofy. Nie miał pojęcia, czy facet go rozpoznał, wyjął więc gazetę z kosza i zbliżając się, trzymał ją przed twarzą. I znów tak mi John mówił, więc wiadomo... Szczypta soli. O szóstej rano trzynastu pracowników z ekipy Steve'a kręciło się nad i pod poszarpaną dziurą w dachu, pracując co siłą, a śnieg i kawałki topiącego się lodu wpadały kaskadami do pokoju socjalnego fabryki Drain Rooter. Namoknięta wykładzina i zalana wodą maszyna do sprzedaży batoników były całkowicie do wymiany.

John wszedł na dach i od razu zobaczył, że dziury nie mógł zrobić spadający lód. Wszystko było wyrzucone w górę, szczątki desek i kafelków porozrzucane po dachu, jakby coś je wypchnęło od środka. Tyler Shultz, wielki blondyn w typie młodego esesmana, który też dorywczo robił z ekipą Johna, zauważył to samo i powiedział, że to jakieś dziwaczne badziewie. John powiedział Tylerowi, że często tak się dzieje, kiedy nagle do ciepłego pomieszczenia wdziera się zimno i podgrzewany budynek rozszerza się, powodując miejscową eksplozję, na tej samej zasadzie jak balony wybuchają, kiedy się je napełnia ciepłym, a nie zimnym powietrzem. Tyler zapytał Johna, czy znów coś zmyśla, a John na to, że może sam sprawdzić wiedząc, że tego nie robi.

Po jakimś czasie John zszedł na dół do pomieszczenia socjalnego odgradzonego taśmą, by nie kręcili się tam pracownicy z fabryki. Zauważył, że maszyna do sprzedaży przekąsek wyglądała, jakby walnęła w nią samochód, roztrzaskując szkło i rozrzucając wokół papierki po słodyczach. Kredy koledzy tupali nad jego głową, rozkładali plandekę i odgarniali z rany dachu śnieg, John kręcił się po pokoju. Spozrzegł, że fragment korytarza był zagrodzony taką samą żółto-czarną taśmą z napisem NIEBEZPIECZEŃSTWO, jaką widział wcześniej.

Po raz drugi tego dnia John przeszedł pod spodem, jakby ód niechcenia, pod taśmą na której ktoś równie dobrze mógł napisać NIE SCHYLAĆ SIĘ POD TAŚMĄ JAKBY OD NIECHCENIA i zobaczył drugą dziurę, tym razem w ścianie, znów jakby coś wypchnęło ją od środka. Coś o wielkości samochodu albo też gigantycznego kraba z małą przywiązaną do jego pancerza. Na krawędziach dziury widać było uszkodzoną okładzinę, jakby ślady po zadrapaniach. Ślady szponów. John nachylił się i zerknął przez poszarpaną wyrwę w ścianie.

Zobaczył pomieszczenie, którego z całą pewnością nie było na planach parteru budynku. Było niewielkie, wielkości może standardowego salonu i nie było w nim dosłownie niczego. Same gołe ściany. John odwrócił się i, jak mówi, dostrzegł idealnie okrągły otwór w podłodze, sięgający krawędziami do czterech ścian i schodzący w dół. Głęboko w dół. John powiedział, że była to przepaść, jaką z nieznanых powodów można zobaczyć we wszystkich stacjach kosmicznych w „Gwiezdnych Wojnach”, taka poprzetykana kładkami, w których nie ma barierek.

Kiedy spojrział na to wprost, już jej tam nie było. Tylko wykafelkowana podłoga. Tak, jak w galerii. A więc krabia bestia uciekła stamtąd, ale załoga wyznaczona, by ją schwytać, wróciła do opuszczonego centrum handlowego. Wszystko skupiało się w tej galerii, prawda? Johnowi przypomniał się Robert Marley, Pacjent Zero sosu sojowego, który pomieszkiwał w przestrzeni

restauracyjnej i Danny Wexler, bredzący coś o niewidzialnych drzwiach. John stwierdził, że całość wymaga kurewsko dokładnego śledztwa.

Spryskałem twarz wodą i przyjrzałem się przekrwionym oczom w lustrze. Dobrze być znów w domu, we własnej łazience. Zdjąłem koszulę i poczułem, że o coś zahaczyła. O coś, co mnie zaswędziało. Obróciłem się na bok i popatrzyłem na odbicie moich pleców w lustrze. Oddech uwiązał mi w krtani.

Tkwilo coś tam podłużnego, długości może kilkunastu centymetrów. Wystawało mi z łopatki. Cienkie niczym igła. Różowe.

Łup.

Pukanie do drzwi.

Nachyliłem się bliżej lustra. Sprawdzałem narośl i wycofałem palce, bojąc się tego dotknąć. Dreszcz wstrząsnął całym moim ciałem.

Łup, łup.

Przytłumiony głos przy drzwiach.

– David? Jesteś tam?

Głos Johna. Co on tu robi?

Łup. Łup. Łup.

– Poczekaj – krzyknąłem, wyciągając mniejsze lusterko z szuflady. – Daj mi minutkę. Eehhm, gołę sobie klejnoty.

Podniosłem lusterko i nakierowałem je na narośl na plecach – stłumiłem krzyk. Wystające coś na mojej łopatce było czułą zakończoną gałką oczną. Malutkim ślepiem ślimaka, które obracało się wraz z kurczącą się i prostującą narośłą, jakby rozglądało się dookoła...

PODERWAŁEM SIĘ NA ŁÓŻKU.

ŁUP

Było mi zimno. Czułem rozrywający ból w karku. Poczułem słodką, lecz sztuczną woń szamponu o zapachu truskawkowym. Jak się nad tym zastanowić, truskawki nie mają swojego zapachu. Pachną jak wilgotna trawa.

Skup się.

Poczułem coś na kształt stalowej liny wokół piersi. Nie mogłem się ruszać, bo przygniatał mnie jakiś ciężar. Rozkleiłem powieki i zobaczyłem dwoje oczu patrzących na mnie przez zamarznąłą szybę. Zamrugalem, spojrzałem w dół i zobaczyłem tylko czerwień miedzi. Szopa rudych włosów spoczywała mi na piersi. Obejmowało mnie i przygniatało ramię z dłonią zaciskającą się na mojej koszuli i skręcającą ją spazmatycznie.

Leżałem oparty głową o drzwi bronco, z korbką szyby wciśniętą w plecy, z nogami na siedzeniu, opierając się butem o przeciwległe drzwi. Natomiast Amy było wyraźnie wygodnie, gdyż wykorzystywała mnie jako samonagrzewający się materac. Leżała zwinięta na mnie, oddychała nieregularnie i powieki jej drgały. Koszmary.

Przywyknij do tego, mała.

Wyciągnąłem głowę i zobaczyłem zamazane kontury twarzy Johna wyglądające przez otwór, który oczyścił ze szronu i śniegu. Pomachał do mnie, stojąc na zewnątrz w roboczych ciuchach. Zegarek:

08:07

Mój wóz w pewnym momencie zdechł, bo silnik i ogrzewanie nie pracowały. Amy i ja wyplątaliśmy się z siebie i wygramoliliśmy się na zewnątrz, wdychając zmrożone powietrze i prostując stawy, jakbyśmy je uwalniali z grubej stalowej liny. Zerknąłem do wnętrza wozu i zobaczyłem, że Molly śpi smacznie z tyłu, ale łapy jej drgają, jakby chciała kogoś zadrapać na śmierć, pewnie mnie.

John stwierdził:

– To wasza pierwsza randka i zmuszasz już dziewczynę, żeby biwakowała z tobą przy nieczynnej pączkami? Wiesz, że otwierają dopiero za trzy miesiące, tak?

Oprócz Johna, wokół stało pięciu facetów, choć z tej grupy znałem jedynie Tylera. Przyjechali w dwóch wysokich wozach dostawczych z napisem ANDERSON DACHY I RYNNY wymalowanym na burcie. Zerknąłem na nieznanym i powiedziałem do Johna:

– Musieliśmy, ech, wyjść z domu. Nie powinieneś być teraz w pracy?

John odpowiedział:

– Musimy przywieźć mnóstwo badziewia z Home Depot. Pierdolimy się z tym od dwóch godzin. Przejeżdżaliśmy tędy i zobaczyłem twój wóz. Co się stało w domu?

Na to pojawiła się Amy. Oplotła ramionami za dużą na nią kurtkę i od razu przytuliła się do mnie.

– Cześć, John. Uch, zaraz zamarznię.

Sięgnęła do tyłu, wzięła moje ramię i owinęła się nim ze słowami:

– Rozgrzej mnie.

– Eee, muszę zamienić słowo z Johnem.

Chwyciłem ją za ramiona i dosłownie odstawilem na bok, a następnie odciągnąłem Johna na drugi koniec parkingu. Obchodziliśmy obrzeże parkingu. Mrużyłem oczy, by przyzwyczaić się do światła. John stwierdził:

– Wyglądasz jak kupa nieszczęścia, z przewagą kupy.

– Wypalam się, John. Serio. Nie wiem, czy wystarczy mi sił na to wszystko. Czuję się, jakby mnie ktoś rozciągał, jak za mało masła na za dużym gofrze, które wpada potem w dziury w gofrze i człowiek musi go przechylać, żeby wyciekło.

– Mają tam w fabryce Drain Rooter jakieś niezłe kurestwo, Dave. W galerii też.

Wtedy właśnie John opowiedział mi tę swoją nieco naciąganą historię z miejsca wypadku ciężarówki i o tym, co działo się potem. Ja sprawdziłem jego opowieść i podbiłem naszymi doświadczeniami z ludźmi cienia.

Spojrzałem na mój wóz, gdzie Amy siedziała bokiem w otwartych drzwiach i grzebała w torebce. Wyciągnęła brązową fiolkę z lekarstwami.

– No i proszę bardzo, Dave. Wygląda na to, że w fabryce przemysłowego kreta wyrabiają coś więcej niż tylko środek na zapchane rury. Można by nawet powiedzieć, że produkują zło.

– Nie, tego nie możemy stwierdzić.

– Chcę zobaczyć, dokąd prowadzi ta dziura. Myślę, że z niej wylazł potwór.

– Nie możemy tam wejść, John, Zakład pracuje na trzy zmiany i stale ktoś tam jest.

Dokończyliśmy obchód parkingu i wróciliśmy do miejsca, w którym Tyler wraz z jednym ze swych ludzi opierał się plecami o ciężarówkę, ćmili fajki i popijali kawę z parujących, termoizolacyjnych kubków.

John powiedział:

– Może być jeszcze inny sposób.

Opowiedział mi o galerii i nadprzyrodzonych drzwiach, które tam były, ale ich nie było.

– Chcesz wiedzieć, co myślę? Myślę, że wszystkie te tajemne drzwi prowadzą do tego samego miejsca. Do diabła, takich drzwi może być pełno w całym mieście. Tak jak mówił Wexler.

Pokiwałem głową z rezygnacją, westchnąłem i powiedziałem:

– Cóż, nie będziemy już czekać, aż znów dobiorą się do Amy.

– Jasne jak chuj. Spotkamy się w południe.

– A co się stanie w południe?

– Skończymy robotę na dachu. Chcą, żebyśmy na razie to tylko załatali i przykryli. Żeby śniegu nie napadało.

– Wciąż chcesz naprawiać im dach?

– Zapłacili Stevowi z góry. Do tego naprawę potrzebuję tej kasy.

Zauważyłem, jak duchy spalin unoszą się z mojego bronco. Amy włączyła silnik, by się zagrzać.

Powiedziałem:

– Nie wiem, co mam z nią zrobić. W tym ich domu jest pojechane jak w czołgu, w te i nazad – zerknąłem na Tylera i zobaczyłem, że pilnie nadstawia ucha, więc zacząłem mówić ciszej. – Są tam ludzie, którzy obserwują ją przez telewizor, jak mnie.

Amy zobaczyła nas i wyłoniła się z wozu w tym właśnie momencie, z półlitrową butelką cynamonowego Mountain Dew w dłoni.

Podeszła i zapytała:

– Mogę się napić?

– Trzymasz to czerwone gówno u siebie w wozie? – zapytał mnie John. – Wydawało mi się, że to jeden z dwunastu znaków ostrzegawczych, mam rację?

– Zjadam wszystkie swoje posiłki w pracy. Jeśli jesz w samochodzie, nikt nie stara się ciebie zagadywać – John spojrzał na mnie z czymś na kształt litości. Powiedziałem: – Jest twoja, Amy.

Przekręciła nakrętkę, kuląc się przed chłodem. Ktoś podał Johnowi kubek kawy. John powiedział:

– Czas na przerwę.

– A co, kurna – powiedział Tyler na swój zwykły, kutafioński sposób.

Miał szpanerskie zaokrąglone okulary przeciwsłoneczne. Obserwował, jak Amy próbuje jedną ręką odkręcić butelkę Mountain Dew, przytrzymując ją zgięciem łokcia. Skoncentrowała się na tym zadaniu, mrużąc coś do siebie, a mokra butelka obracała się w miejscu.

Zapytałem Johna:

– Jakie znasz najbezpieczniejsze miejsce dla niej, kiedy będziemy to robić?

Amy zapytała:

– Kiedy co będziecie robić? Mogę z wami?

Tyler z jakiegoś powodu zareagował na to, spoglądając na Johna spojrzeniem mówiącym „kiedy ci ludzie się w końcu nauczą” i splunął na ziemię. Plucie tytoniem do zucia jest niewerbalną formą komunikacji w wielu regionach Środkowego Zachodu. Za młodu musiał rozlać wiele kawy, bo miał jeden z tych wielkich kubków uniemożliwiających przypadkowe wylanie płynu, taki rozszerzany na dole. Wyglądało to, jakby za każdym razem, kiedy chciał się napić, mówił coś do megafonu.

Powiedziałem:

– Pogadamy o tym później.

Amy upuściła butelkę i wydała z siebie nerwowe mruknięcie, jakby ktoś nastąpił na kota. Ruszyłem jej na pomoc, ale palnęła mnie w rękę, po czym wróciła do odkręcania nakrętki.

Ciągnąłem:

– Nie może wrócić do domu. Nie wiem, czy ma pieniądze, ale możemy coś zorganizować. Jeśli będzie bardzo źle, może spać u mnie na kanapie.

John posłał mi porozumiewawcze spojrzenie, jakby mówił „Naprawdę?”, ale na głos nic nie powiedział.

Tyler błysnął przebiegle okiem i powiedział:

– Mam taką jedną ciekawą opowieść. Mój brat i jego żona mieli małego Downa. Ślinił się cały i srał pod siebie. Kilka razy musiałem toto niańczyć, więcej niż kilka, a potem już co noc. Każdego cholernego wieczora. Wicie, co się wtedy stało?

– Wypadł ci mózg? – zauważyłem, że Amy przestała mocować się z butelką i tylko patrzyła na nią niczym zaczarowana. Powiedziałem: – Słuchaj, musimy...

– Nie, to ty posłuchaj, stary. Zostawili dzieciaka. W domu mamy. Raz na jakiś czas przychodzili w odwiedziny. Moja mamuśka została praktycznie ugotowana, bo musiała karmić, przebierać to coś, kilka razy dziennie, to była jej praca. Na pełny etat. Nie mogła chodzić na swoje bingo ani na randki, ani w ogóle, bo musiała się zajmować tym przygłupem, bo chciała być miła. To jest jak w pierdlu.

Amy posłała mu złowrogi spojrzenie, jakby chciała mu powiedzieć coś, co zwali go z nóg, ale po chwili na jej twarzy pojawiła się zgorzkniała mina, taka jak wtedy, kiedy ktoś wgryza się w jabłko i widzi, że tam jest robak. Obróciła się na pięcie i zrobiła dwa kroki w stronę mojego wozu, następnie przyłożyła dłoń do ust i nachyliła się.

Wskazówka: jeśli kiedykolwiek poczujecie, że nadchodzi paw, pod żadnym, ale to żadnym pozorem nie przykładajcie dłoni, by go powstrzymać. To odruch, ale zupełnie niepotrzebny. Rzygowiny przedostają się przez wszystko. Tak więc Amy stała pochylona w śniegu, z zaciśniętymi oczami, z ociekającą dłonią i kałużą u stóp. Był to bardzo niezręczny moment. Ktoś coś mruknął, a ktoś inny parsknął.

Podszedłem do niej i powiedziałem:

– Tutaj – poprowadziłem Amy do wozu i usadziłem ją w otwartych drzwiach. – Nie ruszaj się.

Pobiegłem do tylnych drzwi bronco, otworzyłem je, sięgnąłem do środka i wyjąłem czerwono-białą lodówkę z odkrywaniem wieczkiem. Był to mój zestaw ratunkowy. Zawierał rolkę taśmy klejącej, zapasowe spodnie, kopertę z dwustoma dolarami, dwie torebki suszonych owoców, dwa opakowania suszonej wołowiny, trzy butelki wody, rolkę grubych papierowych ręczników jakich używają mechanicy, małą metalową rurkę – w sam raz do zgruchotania czyjejsz czaszki – oraz sztuczną brodę. Słuchajcie, przecież nigdy nie wiadomo.

Wyciągnąłem butelkę wody i nasączyłem nią papierowy ręcznik. Poszedłem do Amy, żeby jej to dać, jak ostatni dureń nie uzmysławiając sobie, że przecież nie miała ręki, żeby wziąć w nią ręcznik, bo miała jedną obrzyganą i tę drugą, której nie było.

– Masz – powiedziałem. Złapałem jej rękę za nadgarstek i wytarłem jej dłoń z wymiocin. Amy marszczyła nos z obrzydzenia, ale, mówiąc szczerze, nie było takiej imprezy u Johna, na której ktoś by nie wyrzygał się na mnie lub koło mnie. Byłem na to uodporniony. Wycierając, mówiłem: – Kiedy byłem w siódmej klasie zabrałem Emily Parks na Festiwal Jesieni. Był to pierwszy raz, kiedy umówiłem się z dziewczyną. Wałęsaliśmy się po terenie, jedliśmy słodkie uszy słoniowe i słone ciągutki oraz cytrynowe koktajle. Cały asortyment festiwalowych przysmaków. Wsiadliśmy na diabelski młyn i zaaaraz po tym jak ruszyliśmy, nachyliłem się i zwymiotowałem jej na kolana. Koło zwalnia, sama wiesz, żeby wysadzić wszystkich podróźnych. A my siedzimy na samej górze. Czekamy. Ona siedzi koło mnie z obrzyganymi kolanami i ryczy. I siedzieliśmy tam w górze przez całą wieczność.

Dłoń Amy jest już czysta. Rzuciłem pobrudzony ręcznik w śnieg i dałem jej nowy, wraz z butelką wody. Cofnąłem się o krok i powiedziałem:

– Kolejną dziewczynę zaprosiłem na randkę dopiero na początku ogólniaka. Miałem już siedemnaście lat, kiedy trzymałem dziewczynę za rękę. Wszystko dlatego, że gdzieś w moim umyśle wciąż byłem pewien, że ją obrzygam.

Amy nie zareagowała. Wypiła nieco wody i starła odbryzgi wymiocin ze spodni i butów, a jej palce musiały być już zamrożone od tego sprzątnięcia na mokro przy takiej pogodzie. Podchwyciłem minę na jej twarzy, to spojrzenie, dobrze znane spojrzenie, jakby zażenowanie, które niemal wywołuje odrętwienie. Jakby chciała wykopać dziurę i zakopać się w niej, żeby na górze jeszcze wyrosła trawa.

Ciepło rozeszło mi się przed oczyma. W mózgu wszystko spłynęło czerwienią, moją czaszkę nagle wypełnił sos tabasco. Poczułem rwanie w żołądku, poczułem jak mi mięśnie tężeją. Podniosłem zużyty ręcznik i podszedłem do kosza na śmieci na parkingu nieopodal miejsca, w którym stał Tyler z chłopakami. Wrzuciłem do kosza ręczniki, a Tyler nachylił się do mnie i szepnął:

– Miły z ciebie chłopczyk, Dave. Więc mówię tylko: uważaj, tylko tyle. Uważaj, bo miłych chłopców przeważnie ruchają w dupę.

Mgnienie oka. Rozrywający ból w dłoni. Krew.

Chwyciły mnie czyjeś ręce, złapały za kurtkę, odciągnęły i zobaczyłem krew na kłykciach, poczułem krew w ustach. Miałem zaciśnięte szczęki i musiałem przegryźć sobie język, bo czułem smak ciepłej miedzi. Tyler klęczał, podpierając się rękami, krew kapła mu z nosa i ust, bełkotał coś, żeby mnie trzymali, bo jestem pierdolonym psycholem, i że rozjechałem mu kinol. Nagle przed moją twarzą pojawił się John, mówiąc, że już dobrze, dobrze, odpuść, po prostu daj spokój i idź już stąd. Spojrzałem na drżące dłonie i zobaczyłem, że mam rozwalone kostki, jakbym walił w beton. John odepchnął mnie od grupy i spoglądając ponad moim ramieniem powiedział:

– Zabierzcie go stąd.

Gruby, młody blondyn, stał nad Tylerem i wyglądał jak jego opasła wersja, i uświadomiłem sobie, że to kuzyn czy brat Tylera. I gruby młody zaczął mówić:

– Widzisz, a widzisz, co się dzieje jak nie potrafisz trzymać języka w gębie, Tyler, pewnego dnia jak będziesz tak pierdolił, to cię zajebią, bo polecisz jakimś krzywym tekstem i ci jakiś asfalt w plery strzeli.

John zawrócił i dołączył do grupy, a ja stałem sam na parkingu, zagubiony, zdezorientowany. Tyler był ode mnie cięższy dobre trzydzieści kilogramów i kiedy ja spędzałem całe dni na układaniu filmów na półkach, on nosił worki po drabinie. Ale najdziwniejsze było przyprawiające o mdłości uczucie, chęć jaka mnie opanowała, kiedy nad nim stałem...

... *chęć żeby GRYŻĆ...*

... i wiedziałem, że to znowu to, że straciłem czas, że zatraciłem siebie. Po chwili poczułem, że ktoś mnie ciągnie za kurtkę oraz zupełnie niezwykle doznanie, kiedy pozbawione dłoni ramię obejmuje mnie w pól.

– Chodź. No chodź, David.

Amy okrążyła mnie z dłonią na moim rękawie.

– Amy, ja...

– Daj już spokój. Wszystko dobrze. Chodź.

Zacząła odwracać mnie w stronę samochodu i poczułem, że wszyscy się na nas gapią. Stała za mną i zaczęła mnie pchać w stronę bronco.

– Chodź, David. Weź głęboki wdech. Nic ci nie będzie.

– Amy, proszę cię, nie...

– Nie ma takiego numeru. Chodź. No, jedziemy już. Wrrrruuuummm...

To ostatnie, to Amy naśladująca odgłos silnika, kierująca mną jak samochodem i prowadząca do mojego wozu. Sięgnęła przede mną i otworzyła drzwi, następnie wepchnęła mnie na siedzenie tak, jak to robią gliny ze skutym podejrzanym. Zatrzasnęła drzwi, okrążyła samochód i usiadła koło mnie. Siedzieliśmy tak przez chwilę. Zerknąłem przez szybę z mojej strony i zobaczyłem, że cała grupa się nam przygląda. Drżącą dłonią sięgnąłem, by przekręcić kluczyk w stacyjce i uświadomiłem sobie, że silnik już pracował. Starłem się uspokoić oddech. Nie potrafiłem opanować drżenia rąk.

– Nic ci nie jest? – zapytała Amy.

– Daj mi chwilę.

– Skopałeś mu tyłek.

– Amy...

– Daj spokój, jedźmy już. Zanim wstanie i stłucze cię na miazgę.

Wróciliśmy do mojego domu i zorientowaliśmy się, że ktoś go splądrował. Trudno było to zauważyć od razu, bo nie należę do najlepszych gospodarzy świata, ale kiedy wszedłem do kuchni, wiedziałem, że ktoś tu był – zwykle nie zostawiam otwartego piekarnika. Wyciągnąłem broń i rozejrzałem się po domu, ale był pusty. Amy zapytała mnie, czego szukali. Starłem się unikać odpowiedzi na to pytanie, podkreślając, że to wielka szkoda, iż rozbebeszyli mi chatę, bo wcześniej panował tu nienaganny porządek i szkoda, że nie widziała, jaki był tu błysk. Poszedłem do kuchni i opłukałem wodą krwawiące kostki.

– Patrz – powiedziała Amy zza moich pleców – porozrzucali całe pranie po podłodze.

– Taa. I najpierw ponosili sobie trochę te ciuchy, dranie jedne.

– A tak w ogóle, to czego mogli szukać?

Milczenie. Byłem o krok od ujawnienia prawdopodobnie największej i najbardziej niebezpiecznej tajemnicy komuś, kogo znam praktycznie jeden dzień. Wypuściłem powietrze i spojrzałem jej prosto w oczy. Tęczówki były za zielone, w tym cały problem. Jak trawa po tygodniu wiosennego deszczu. I w tych oczach czaiła się dociekliwa, porażająca inteligencja, której jako kompletny głupek nie zauważyłem poprzednio. Widziała mnie na wylot. A ja nagle odczułem niezwykle niepokojący fakt, że oto nie jestem w stanie skłamać tej dziewczynie z jednego prostego powodu. Była ode mnie mądrzejsza.

Powiedziałem:

- Szukali sosu sojowego. Wiem jednak, że go nie znaleźli.
- Czego szukali?

Nie odpowiedziałem. Zrobiłem obchód domu, żeby sprawdzić, czy coś nie jest uszkodzone. Z jakiegoś powodu wyciągnęli baterijki z mojego zegarka, a szklana lampa przy moim wiatraku na suficie była popękana.

Amy szła wszędzie za mną, zadreńczając mnie pytaniami, nagle bardzo ciekawa. Prawda była taka, że nie wiedziałem, jak mam jej to wyjaśnić. Po jakimś piątym razie, kiedy próbowała skierować rozmowę na niebezpieczne tory, uniosłem dłoń, by ją uciszyć, zrobiłem „ciiiii” i przystawiłem jej palec do ust.

- Wszystko stanie się jasne i zrozumiałe w swoim czasie, moja słodka Amy.

Przez sekundę naprawdę wydawało mi się, że mnie uderzy. Wyszedłem na zewnątrz i zrobiłem obchód wokół domu, cały czas zerkając nerwowo na szopę i modląc się, żeby drzwi od niej nie były otwarte.

O czym ty gadasz, głupolu? Jeśli przyszli i zabrali zwłoki, to jest to błogosławieństwo.

Zauważyłem podniesioną flagę na skrzynce pocztowej. Dodam, że była niedziela. Podszedłem, otworzyłem ją i wyciągnąłem ze środka przesyłkę wielkości dłoni. Nie było nazwiska, adresu ani znaczka. Patrzyłem na nią z trwogą, ale oddarłem brzóg i otworzyłem przesyłkę myśląc, że może będzie to najmniejsza bomba świata. W środku znajdował się wisiorek, mały złoty krzyżyk na delikatnym łańcuszku. Widziałem go już wcześniej, choć z tak bliska zauważyłem, że tworzyły go dwa malutkie gwoźdźce połączone cieniutkim niby nitka drucikiem. W środku była kartka, złożona strona z papeterii z rysunkiem szczeniaka z ołówkiem w pysku. Pismo było jaskrawo różowe.

Cześć! Miałam sen

*i anioł powiedział mi, że
mam to tobie dać!*

*Zawsze przynosił mi
szczęście!*

Niech cię Bóg błogosławi!

(śmieszek) J

– Krissy Lovelace

Wszystkie litery były ozdobione przyjacielskimi zawijasami. Każdy chce pomóc.

Kiedy wszedłem do środka, zastałem Amy w łazience, jak puszczała wodę. Wyłoniła się z niej wpychając miętówki firmy Altoids z pudełeczka prosto do ust. Poszedłem do lodówki i zapytałem:

– Napijesz się czegoś? Mam, uch, trochę owocowego piwa Leinenkugel i, ech, jakiś straszliwy trunek o smaku śliwek, który przysłał Johnowi kumpel z Czech. Smakuje jakby ktoś wycisnął sok z jednej śliwki do dziesięciolitrowej beczki rozpuszczalnika.

Puszki leinenkugela były opasane malarską taśmą z wydrukowanym napisem TO JEST JOHNA. Amy rozejrzała się wokół i powiedziała:

- John jest bardzo zaborczy wobec swego piwa, prawda?

– To ja nakleiłem tę taśmę. Kiedy zejdą się kumple, chcę żeby wiedzieli, że to piwo Johna, nie moje. Chcesz spróbować?

– Uch, nie. Ja nie piję – powiedziała, potrząsając głową i odgarniając włosy z oczu czterechsetny raz od wczoraj. – Znaczą, piję płyny. Nie alkohol. Nie mogę mieszać z pigułkami. A więc komu powiemy o tych potworach?

- Eee, że co takiego?

– No o tym wszystkim, o wszystkim co widzieliśmy. Z kim się rozmawia o takich sprawach?

– Myślę, że numery rządowe zaczynają się na 800, ale wtedy człowiek łączy się z automatem. Nie. John i ja, uch, sprawdzimy to dzisiaj. Dzisiaj. Zanim będą mieli okazję znów przyjść po ciebie.

Zamknąłem lodówkę i spojrzałem jej w twarz, a następnie zdałem jej skróconą i mniej popapraną relację z opowieści Johna na temat fabryki Drain Rooter oraz Galerii Trupów.

Powiedziała:

– Dlaczego nie możemy się przeprowadzić? Do innego miasta, stanu czy nawet do Kanady. Kiedy ostatni raz słyszałeś, żeby coś eksplodowało w Kanadzie?

Pokręciłem głową.

– Dlaczego nie?

Ponieważ coś ma nas na oku, Amy.

– Są sprawy, o których jeszcze nie wiesz. Ludzie cienia... oni mówili do mnie. Znają moje imię. To jest teraz jakby... sprawa osobista. Moja z nimi. Myślę, że próba ucieczki przed tym w taki sposób... Nawet wdrapanie się do rakiety i opuszczenie tej pierdolonej planety byłoby śmiechu warte. Dla nich byłoby to jak obserwacja chomika starającego się uciec z obrotowego koła, który tylko coraz szybciej przebiera łapami. Wyobraziłem sobie resztę mojego życia, gdy cały czas przerażony uciekam, całe życie. Nie. Nie potrafię. Nie będę. Pójdziemy tam, gdzie mieszkają. I pójdziemy uzbrojeni.

– Ja chcę iść.

– Amy...

– Nie, nawet nie próbuj. Chcę to zobaczyć. Mam prawo.

– Amy, idziemy tam z zamiarem pozostawienia za sobą tylko wypalonej, dymiącej dziury w ziemi.

Chwała Allahowi!

– Wiem.

– Nie, myślisz, że to fajna wycieczka, widzę to w twoich oczach. Wcale nie jest fajna. Nie kontrolujemy tego świństwa. Opowiem ci pewną historię. Kiedy byłem mały, wybijało nam z rury kanalizacyjnej. Zalewało toaletę i w ogóle. Więc przyszli fachowcy, żeby ją przetkać i wyciągnęli z rury świstaka. Gdzieś w rurze była dziura, dwa odcinki się rozeszły i zwierzak jakoś się tam dostał. Kapujesz? Dla świstaka była to przygoda życia. Ukryty tunel, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Więc wpełznął do środka i zaczął go badać, spodziewając się znaleźć na końcu ukryty skarb. I nagle utopił się. *W naszej kupie.*

Amy pokiwała głową i powiedziała:

– Cóż, to smutne.

– Najsmutniejsze. John i ja jesteśmy takimi świstakami. Widzisz, wyraźnie widzę po tobie, że myślisz, iż stałaś się częścią czegoś wielkiego, że zrobimy coś naprawdę wspaniałego i zmienimy świat. Cóż, Amy, musisz zrozumieć, co mam ci zamiar teraz powiedzieć. Z nami jest coś straszliwie nie tak, jak być powinno. Z Johnem i ze mną. Amy, są takie dni, kiedy jestem pewien, całkiem pewien, że jestem zimnokrwistym, bełkocącym świrem pierwszej wody. Ze nic z tego nie dzieje się naprawdę, że moje bredzenie o tym dobiega gdzieś z wywatowanej celi, gdzie siedzę w kaftanie bezpieczeństwa. I wiesz jak reaguję na to, na wiedzę, która może być częścią urojeń i do tego niebezpieczną częścią? Zbroję się. Mam pistolet.

– Davidzie, ty nie jesteś...

– Posłuchaj. Jedynym powodem dla którego stawiam się tym gościom jest fakt, że zapędzili mnie do narożnika. Nie mam wyboru. Ty masz. I jeśli dokonasz złego wyboru, to bardzo prawdopodobne, że są to twoje ostatnie godziny na ziemi. Wszystko to, co chcesz zrobić ze swoim życiem, może się w ogóle nie wydarzyć. Wszystko, czego chcesz dokonać, wszystko to, co chciałaś robić w przyszłości, wszystko znika. I to z mojego powodu. Ponieważ zaprowadziłem cię pod moją srajrurę.

Zapytała:

– Dlaczego ty, no, tak się nienawidzisz?

– Gdybym znał siebie jako ktoś inny, nienawidziłbym się równie mocno. Po co utrzymywać podwójne standardy?

– No, to co mówisz jest głupie.

Potarłem oczy i westchnąłem. Sięgnąłem do przedniej kieszeni, wyjąłem łańcuszek i uniosłem go do góry.

– Masz. Na szczęście. Albo już sam nie wiem na co.

Podszedłem do Amy, sięgnąłem do tyłu i zatrzasnąłem niewielką klamerkę pod jej włosami.

Zerknąłem za okno i zobaczyłem, że śnieg znów zaczął padać.

Stojąc przed nią powiedziałem:

– Zaslugujesz na normalne życie, Amy. Jestem sobie w stanie ciebie wyobrazić na studiach, z rodziną. Może będziesz pracować dorywczo w sklepie muzycznym. Kujony będą przyłazić i flirtować z tobą przy ladzie. A ja wejdę i zacznę coś bełkotać do ciebie, a ty będziesz miała sto wymówek, żeby się ze mną nie umówić, ale ja będę ciągle wracał, a wtedy ty uzyskasz sądowy nakaz zbliżania się do ciebie, a mój tato go zaskarzy. W końcu zgodzisz się wyjść gdzieś ze mną, na piknik czy na kręgle, czy też tam gdzie normalni ludzie razem chodzą. Co normalni ludzie robią, kiedy są razem?

– Nie mam pojęcia.

Zabawne tak udawać, że się prowadzi rozmowę z kimś, kto stoi o włos od ciebie.

Nachyliła się i...

Wyglądało, jakby świat za moim oknem stracił sygnał i zatrzymał się w miejscu. Padało jak jasna cholera, a wiatr rozwiewał wszystko dookoła. Oparłem się o okno, czując zimną szybę na czole, a oddech matowił szkło w skraplających się kręgach pod moim nosem. Był taki moment, że sama myśl o niechybnej śmierci stanowiła niejaki pocieszenie, jak ostatni dzień w zniechęconej pracy. Zdjęto ciężar z pleców. Teraz, czując zimne szkło na mojej twarzy, wilgotne włosy chłodzące mi czaszkę i smak cukierków Altoids z drugiej ręki w ustach, wiedząc, że już nigdy nie zobaczę śniegu, miałem chęć się rozplakać. Ale bardzo nikłą chęć.

Zobaczyłem jak krata chłodnicy samochodu wylania się niczym duch, błyskając przyćmionym światłem reflektorów w zadymce. Wielki wóz sunął po moim podjeździe – Cadillac Johna. Przez okno widziałem wysiadającego z auta Johna w wojskowej kurtce. Okrążył wóz, doszedł do bagażnika, otworzył go i wyjął brezentowy plecak. Zrzucił go sobie na ramię, po czym wyjął jeszcze jakiś duży przedmiot, który był bez wątpienia...

– Czy to jest średniowieczny topór? – zapytała Amy zza moich pleców, wycierając włosy rącznikiem.

– Jak znam Johna, to mamy wielkie szczęście, że nie jest to coś bez porównania głupszego.

Topór był pozostałością z ogólniaka, gdzie był używany do gry w Lochy i Smoki. Znaczący, eehmm, w polowaniu na niedźwiedzia. W tym właśnie momencie John wpadł przez drzwi, otrzepując się ze śniegu i oznajmił:

– Rozpierzdolimy im tę budę.

Rzucił bagaż na ziemię z taką siłą, że aż zadrżał parkiet, a następnie przechylił się i uniósł topór, który, jak sądzę, był jednym z kilku rekwizytów ukradzionych z restauracji stylizowanej na średniowiecze, w której pracował przez jakiś czas. Zatrzymał się w pół drogi, żeby popatrzeć na nasze mokre włosy i najwyraźniej zadawał sobie w myślach pytanie, czy grafik prysznic zbiegł nam się w jakikolwiek sposób. Był jednak zbyt dobrze wychowany, by o to zapytać wprost.

Następnie odwrócił się i minął mnie w korytarzu. Przyjrzał się ścianie, uniósł topór, po czym zamachnął się nim. Rozległo się głucho LUP i posypał się tynk.

Uderzył jeszcze trzy razy, a następnie włożył rękę w wybitą dziurę i wyciągnął przedmiot pasujący idealnie do dłoni. Zerknął nań, wytarł z kurzu koszulą, a następnie rzucił w moją stronę. Złapałem niewielki pojemnik. Srebrny, o wielkości fiolki na lekarstwa.

Amy zobaczyła to i zapytała:

– Co to jest?

– Nigdy wcześniej tego nie widziałas?

– Niby gdzie?

– Wielki Jim miał kiedyś coś takiego. Nie wiemy jednak skąd.

Pospiesznie opowiedziałem jej historię faceta od pogody i centrum handlowego oraz to, w jaki sposób natrafił na pojemnik.

– A więc – powiedziała – co jest w środku?

Rozdział 15.

D-Day

– To bardzo proste – powiedziałem do Amy. – Widzimy różne rzeczy, których ty zobaczyć nie możesz, z powodu tego, co znajduje się w tej buteleczce. Nie wiemy, skąd pochodzi, ani dokładnie jakie jest tego działanie. Ale po kilku pierwszych godzinach od wzięcia twój mózg podkreca się w taki sposób, że nie jesteś sobie tego w stanie wyobrazić. Masz oczy jak teleskop Hubble'a i wyczuwasz światło, którego nawet nie ma w spektrum. Możesz czytać ludziom w myślach, zatrzymać czas, ugotować makaron tak, żeby był idealnie al dente. I widzisz mroczne istoty na tym świecie, takie, które są zawsze obecne, lecz w stałym ukryciu. To jest jakby jakiś lekarz chodził ze wszystkimi mikroskopami przymocowanymi do oczu przez cały czas, tak, by mógł widzieć choroby, które pełzają w naszym ciele.

Amy uściśliła:

– Cóż, musiałyby widzieć wnętrza waszych krwinek, płuca i tak dalej. Mikroskop nie byłby w stanie...

– Te mikroskopy mają też przystawki do rentgena.

Wyciągnęła dłoń i podniosła pojemnik.

– Uch. Jest zimny.

– Pojemnik zawsze jest zimny – powiedziałem. – Zamraża zawartość dwadzieścia cztery godziny na dobę. I nie mamy pojęcia, w jaki sposób. Nie ma żadnych baterii, żadnego źródła zasilania. I działa od wielu lat. Sos trzeba trzymać w chłodzie, bo inaczej staje się, eeeh, niestabilny.

Niestabilny, jakby rój morderczych szerszeni mógłby kiedykolwiek być „stabilny”.

– I macie zamiar znów to przyjąć?

– Nie chcę, ale myślę, że muszę. To wyrówna szanse, będziemy na tej samej częstotliwości, co te zbiry. Dzięki temu jeszcze żyjemy.

Och, zapomniałem, dodać, że każdy, kto tego próbował, nie żyje. Czyż to nie ironia losu?

– Kiedy trafiłem na tę buteleczkę była pusta, tak jak moja – powiedziałem.

Otworzyłem pojemnik i wytrząsałem zawartość. Wypadły dwie kapsułki, czarne jak lukrecja.

– Założę się, że zastanawiasz się, skąd się tu wzięły. Nas to też zawsze ciekawi. Najwyraźniej pojawia się, kiedy mu to pasuje.

Powiedziała:

– Nie pozwolisz mi wziąć tego, prawda?

– Nie życzylibym tego najgorszemu wrogowi. Ale nie miałas tego brać. Gdyby było inaczej, w środku byłyby trzy kapsułki.

John powiedział:

– Łyknijmy lepiej, zanim nas zaatakują.

Łyknęliśmy. Oczekaliśmy swoje.

– No taaaaak... – zaczęła Amy. – A skąd będziecie wiedzieć, że już działa?

Odparłem:

– Po prostu, ee, zauważasz różne rzeczy. Trudno to wyjaśnić. To jak fragmenty audycji radiowych przedostające się przez szum eteru.

Mówiąc to poczułem, jak myśl przelatuje mi przez głowę niczym meteor. Zawodowy wrestling nie był ścierną. Ale też nie był prawdziwy w sensie, w jakim postrzegamy rzeczywistość. Był bardziej realny niż rzeczywistość. Nagle zobaczyłem cztery tysiące cyfr liczby pi po przecinku i uświadomiłem sobie, że gdyby ktoś wykreślił idealny okrąg, w naszych oczach musiałby wyglądać jak prosta. Spojrzałem na srebrny pojemnik na pigułki i uświadomiłem sobie, że ma cztery tysiące lat. Albo mniej niż cztery sekundy.

Powiedziałem do Johna:

– Wiesz, że gdybyś przeszedł pieszo wokół ziemi, twój kapelusz zaszedłby trzydzieści jeden stóp dalej niż twoje buty?

John odpowiedział:

– Bo ja wiem, Dave, ale zanim zrobimy bombę, muszę ogolić pół psa.

Skinąłem głową. Wstał, zawołał Molly i zaprowadził ją do łazienki.

Zastanawiałem się, kiedy będzie widać efekty działania sosu sojowego.

Żeby zabić czas, wstałem i zacząłem przeszukiwać szafę w pralni, aż znalazłem mój pistolet na wodę. Była to jedna z tych współczesnych, dużych spluw w kolorze zielonym z napisem WIELKA SPLUWA na boku.

Posiadała osobny dwugalonowy zbiornik z zaczepami na pas. W reklamach producent przechwalał się, że potrafi rozpylić kilkucentymetrowy strumień wody na odległość ośmiu metrów i była to prawda. Pistolet lepił się od zeszłego lata, kiedy to John napełnił zbiornik piwem.

Poszperałem jeszcze trochę i znalazłem rolkę szerokiej taśmy oraz jednorazową zapalniczkę z długą dyszą, taką, jaką się podpala pod grill. Wziąłem trzy butelki różnych łatwopalnych płynów, które mogłem wymieszać, tworząc paliwo do miotacza. Zebrałem te przedmioty i rzuciłem je na stół.

Amy stwierdziła:

– A więc robisz miotacz ognia?

– Amy, musimy być gotowi na wszystko. Nie wiemy, na co się tam natkniemy, ale z tego co wiemy, może to być równie dobrze sam diabeł.

– David, co można zrobić takim ustrojstwem?

– O nie, chyba dobrze nie usłyszałem. Sama powiedziałaś, że to miotacz ognia – ach, te dziewczyny.

– Ale jeśli coś pochodzi z piekła, to nie ma sensu używać... – Amy zamilkła, najwyraźniej, postanawiając nie drażnić tej kwestii dłużej, ale zapytała – A ja, co dostanę? Kiedy idziemy? Macie dla mnie jakąś broń, albo coś w tym rodzaju?

– Już zapomniałaś opowieść o świstaku?

Zająłem się pistoletem na wodę. Z łazienki zaczęły dobiegać odgłosy szurania i warkot. W tle usłyszałem cichy szum mojego trymera do brody.

Amy położyła swoją dłoń na mojej ręce, a jej druga dłoń zwinięta w pięść leżała na stole.

– Była taka jedna owca – powiedziała. – Myślę, że to było w Szkocji. I ta owca uciekła z farmy. Wiesz, że strzygą owce na wełnę. No i to zwierzę zniknęło na siedem lat. W końcu znaleźli ją w jaskini. Ponieważ nie było nikogo, kto by owcę ogolił, kiedy ją znaleźli była cała zarośnięta. Przypominała chodzące afro. I wróciła na farmę jako zwykła owca, ale przez resztę życia wiedziała, że choć przez chwilę była wolna. Miała to coś, czego nikt nie był jej w stanie odebrać. Rozumiesz? Jestem taka jak ty. Chcę stawić temu czoła. Cokolwiek to jest. Jesteśmy jak ta owca, ryzykujemy. Choćby z tego powodu, żeby powiedzieć, iż próbowaliśmy.

– Rozumiem, naprawdę. Uwierz mi, rozumiem. I trzeba być niezwykłą osobą, żeby wymyślić taki kit. Przecież wiesz, że ich sierść nie rośnie bez końca.

– Przecież tu w ogóle nie o to chodzi, David.

Chciałem ją wziąć za drugą rękę i zobaczyłem, jak moja dłoń znika w jej i uświadomiłem sobie, że to dlatego, że ona drugiej nie ma. Ale widziałem ją, drobne paluszki zaciśnięte mocno w pięść.

Spojrzała w dół zaciekawiona, niepewna tego na co patrzę. Powiedziałem:

– Myślę, że sos zaczął działać. Załóż swoje okulary Scooby'ego. Chcę coś sprawdzić.

Wstała, znalazła je na blacie, po czym usiadła, a ja wskazałem jej kierunek, w którym miała spojrzeć – tam gdzie powinna być jej dłoń.

– Ale teraz skoncentruj się bardzo. Nie wiem czy...

Nie było sensu kończyć zdania. Amy aż otworzyła buzię ze zdziwienia.

– Och! Widzę ją! Jak to możliwe? – Próbowała z okularami i bez, widziała jak dłoń znika i znów się pojawia. – Patrz! Moje paznokcie! Zapuszczałam je i chciałam przyciąć przed operacją. Nic dziwnego, że mnie boli...

Następnie uniosła zaciśniętą pięść ze stołu i bardzo powoli rozprostowała palce. Położyła dłoń na blacie.

– David, to czyste szaleństwo.

– Jestem więcej niż pewien, że to najniewinniejsze szaleństwo, jakie dzisiaj widzisz.

Drzwi łazienki otworzyły się z trzaskiem i Molly podreptała po korytarzu. Lewa połowa jej ciała była ogolona niemal do skóry. Prawa była włochata tak jak zawsze. Za nią pojawił się John, strzepując warstwy psiej sierści z ubrania.

John powiedział:

– No i po krzyku.

Zanim mogłem ją powstrzymać, Amy zapytała:

– Dlaczego ogoli...

– To pomysł Molly. Chce wyglądać jak dwa różne psy, kiedy będzie chodzić w te i we wte. Myśli, że dzięki temu łatwiej jej będzie kraść jedzenie.

Odwrócił się do mnie.

– To pies o niezwykle skomplikowanej naturze, Dave. Zacząłeś już robić bombę?

– Co takiego?

Spółceństwo jest zgubione z jednego prostego powodu: kilkudziesięciu ludzi pracuje przez wiele miesięcy, używając materiałów za wiele milionów dolarów, by wybudować budynek, ale wystarczy jeden głupi kmiot z bombą, żeby go rozwalić. Wraz z Johnem przeszukiwaliśmy dom w poszukiwaniu materiałów do konstrukcji bomby. Żaden z nas nie wiedział wcześniej jak się ją wykonuje, ale improwizowaliśmy, analizując składowe na poziomie molekularnym. Czułem ogarniający mnie palący ból w głowie, w której parowało niczym w zbyt długo i zbyt intensywnie pracującym silniku. Zastanawiałem się, nie po raz pierwszy, czy przyjmowanie sosu sojowego skraca życie, ale doszedłem do wniosku, że to pewnie i tak nie ma znaczenia.

Tak więc przy pomocy torebki z galaretką w proszku, wnętrzości dwóch detektorów dymu, talii wyszmodranych kart i płynu z klimatyzatora w moim samochodzie oraz dziewięciu innych składników, zamajstrowaliśmy klejącą wybuchową glinę barwy zgnięzielonej. Wlaliśmy ją do formy z aluminiowej folii, którą uformowaliśmy w kształt psiej kości i wsadziliśmy do zamrażalnika, by stężała. Chodziło o uzyskanie jak najniewinniejszej postaci, przedmiotu, jaki zwykle właściciel psa nosi w kieszeni, gdyby nas złapano i zrewidowano.

Usiadłem przy kuchennym stole, wkładając z trzaskiem pociski do zapasowego magazynka, który kupiłem do swojego Smitha.

– Myślę sobie tak – powiedział John. – W tym zakładzie muszą mieć jakiś wewnętrzny system komunikacji. Zakradniemy się do biura, tam gdzie jest mikrofon i postawimy przed nim nasz magnetofon. Rzucimy im się wprost do gardzieli: „November Rain” z powtarzaniem utworu. Kiedy będą zakrywać uszy i błagać o litość, znajdziemy tego ochujałego Korroka i wsadzimy mu bombę prosto w dupę. Albo każemy mu ją zeżreć, jakby się okazało, że to wielki pies.

Pokiwałem głową i wstałem. Prawdziwy plan, niewypowiedziany, skryty w słowach Johna, zakładał, że zginiemy. Ale jeśli tak, to zamierzaliśmy oddać życie w wydarzeniu zapamiętanym przez sługi Korroka jako najbardziej popierdolony i wstydlivy incydent w ich historii. Będziemy ich Guyem Fawkesem. Zrobiją dzień wolny na naszą cześć. Jeśli mamy skończyć w bebeczach Korroka, to równie dobrze możemy go zadławić, sunąc przez jego przełyk.

Znaczy – ja i John. Amy nie biorę pod uwagę.

Wypuściłem powietrze z płuc i założyłem kurtkę. Wsunąłem pistolet wraz z zapasowym magazynkiem do kieszeni. John wrzucił na grzbiet swoją wojskową kurtkę, nachylił się, rozpiął plecak i wyciągnął piłę spalinową. Zobaczyłem, że przywiązał do rękodojeści kawałek liny z bungee, żeby móc zarzucić ją sobie na ramię. Następnie wziął miotacz ognia domowej roboty, ani przez sekundę nie kwestionując konstrukcji ani efektywności działania. Pstryknął zapalniczką i przed lufą zabłysnął niewielki płomyk. Skinął z aprobatą i zgasił go, następnie wziął topór z podłogi i podał go Amy. Udało się jej potrzymać go w górze przez dokładnie dwie sekundy, zanim opuściła

głównie z brzękiem na podłogę. Puściła rączkę, po czym wyjęła sztyft do ust i posmarowała sobie wargi.

Ładowaliśmy się właśnie do bronco, kiedy John przypomniał mi o eksplodującej psiej kości. Wbiegłem do domu, wyciągnąłem ją z aluminiowej folii i wyszedłem na podwórze z kością w ręku.

Prawdopodobnie powinienem był to przewidzieć. Molly podbiegła do mnie – w połowie łysa, w połowie włochata – i wyrwała mi kość z ręki.

Na żądanie Johna pominę, co było dalej, ale wiązało się to z łapaniem psa na podwórzu przez bardzo długi czas. Kiedy w końcu John ją dopadł, otworzył jej pysk i znalazł tam resztki po eksplodującej kości.

Zacząłem iść w przeciwną stronę, całkowicie zde gustowany, kiedy pokryty śniegiem John, wciąż leżąc na ziemi z Molly, krzyknął:

– Patrz!

Trzymał w górze przednią łapę Molly. Nie dostrzegłem w niej niczego niezwykłego, ale nagle zrozumiałem, że czarny, przypominający literę pi symbol, jaki widzieliśmy na szczątkach psa po eksplozji, teraz zniknął z jej łapy. Molly oblizła nos i kichnęła. John wstał, a Molly skoczyła na równe łapy i podreptała byle dalej od niego.

Powiedziałem:

– Jak myślisz, co to znaczy?

– Zabij mnie, nie wiem. Potrzebujemy tej bomby. Weź piłę i otworzymy psa.

Amy sprzeciwiła się temu i wymyśliła, moim zdaniem, ohydny plan, by odzyskać materiał wybuchowy z drugiej strony psa. Weszła do domu, wyłowiła dwa burritos ze spożywczaka z mojej lodówki i podgrzała je w mikrofalach, żeby były ciepłe.

Po nakarmieniu Molly dwoma burritos, nie widząc namacalnych wyników, John powiedział:

– Dobra, ruszamy. Bo się spóźnimy na naszą niechybną śmierć.

Zadymka. W powietrzu było więcej śniegu niż tlenu. Jechaliśmy trzydziestką przez miasto, które było całe pozamykane przed burzą. Była to, tak mi się wydawało, prawdziwa burza śnieżna. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Mniej więcej w połowie drogi John zmrużył oczy, patrząc we wsteczne lustro.

– Co jest, do diabła?

W zamrażniętej szybie dostrzegliśmy mrugające czerwono-niebieskie światła. Spojrzeliśmy po sobie, myśląc, że mamy do wyboru albo zjechać na pobocze, albo rzucić się do najwolniejszej panicznej ucieczki od czasu policyjnego pościgu za O. J. Simpsonem. Zjechałem na pobocze, wbijając się przednimi oponami w przydrożną zaspę. Niebieska, niedźwiedzia sylwetka podeszła do drzwi od strony kierowcy. Opuściłem szybę i poczułem jak zamrażnięte płaty śniegu wbijają mi się w policzki. Pochylona twarz. Zobaczyłem ją i poczułem jak tężeję, a moja dłoń powędrowała od razu do rękojęści pistoletu.

O w mordę.

Był to Drake. Ale jednocześnie nie Drake. Jego szeroka twarz zatrzymała się o kilkadziesiąt centymetrów od mojej i zobaczyłem nieludzką pustkę w wyrazie jego twarzy, jak u zabalsamowanego nieboszczyka na pogrzebie z otwartą trumną. Jego oczy były całe czarne, żadnych białek, żadnych tęczywek. Zamrugalem i jego oczy znów zrobiły się jak u normalnego człowieka. Człowieka, który ma w sobie tyle życia co sklepowy manekin.

Usta Drake'a ułożyły się w jedno polecenie: WYSIADAĆ. Cisnął we mnie tym słowem jakby uderzył mnie pięścią. Poczulem chemicznie słodki oddech, jak u szczawia po wypiciu zbyt dużej ilości Kool-Aid. Drake szarpnął za drzwi, otwierając je, chwycił mnie za kurtkę i wyciągnął na zewnątrz. Złapał mnie za ramiona, odwrócił i pchnął w stronę wozu. Usłyszałem jak otwierają się drugie drzwi i to był John, który stanął tylko, patrząc na Drake'a i widząc to samo co ja. Drake'a już nie było.

Wielki gliniarz wyciągnął pałę z zawieszki przy pasie i prasnął nią w otwartą dłoń.

– TAK – powiedział i zabrzmiało to jak szczeknięcie, jakby nie mówił po angielsku. – Tak. Wielki spryciarz. Chłop jak dąb. Lalki i meduzy, a noc budzi się i przechadza po Mulholland Drive.

Walnął się pałką w dłoń. Jego wydatne usta rozszerzyły się w grymasie uśmiechu, ukazując rekinie uzębienie. Chciałem chwycić za broń, ale jednym machnięciem tej pały w ułamku sekundy złamałby mi wszystkie kości. Nie wiedziałem, czy mam wykonać jakiś ruch, czy znieruchomieć w panice. W każdej chwili Drake-potwór mógł zakończyć naszą małą przygodę, zanim zaczęła się na dobre. Zerknąłem na Johna, mając nadzieję, że ma jakiś plan. Spojrzenie w jego oczach mówiło, że on ma nadzieję na to samo. Zerknąłem na radiowóz Drake'a i zobaczyłem, że nie przyjechał sam. Był z nim muskularny, czarny gliniarz, który gramolił się teraz z fotela obok kierowcy, śnieg padał mu na czapkę, a on sam uśmiechał się drapieźnie, grymasem świeżego szaleństwa.

Drake podszedł do chłodnicy mojego wozu. Powiedział: – MULHOLLAND DRIVE! MĄDRALA! NIEBIESKIE PUDEŁKO! NIEBIESKI KLUCZ! NIEBIESKIE OKO! – Machnął pałką i reflektor rozprysnął się z głośnym trzaskiem. Drake uśmiechnął się ponownie, następnie zgiął kolana i wyskoczył dwa metry w górę. Wylądował na masce z głośnym hukiem, aż wóz zakołysał się na resorach. Zobaczyłem jak Amy podskoczyła na tylnym siedzeniu, patrząc gorączkowo to na mnie, to na Johna. Molly szczerknęła, ale nie ruszyła na pomoc.

Drake popatrzył na mnie z wysokości swego miejsca na masce. Wsadził koniec pałki w kieszeń, rozpiął spodnie i zaczął obsikiwać mi szybę. Mocz rozpryskiwał się, barwiąc zgromadzony między wycieraczkami śnieg na żółto.

– HA! KORROK CZEKA W ALEJCE, MĄDRALO!

Partner Drake'a rozbierał się. Czarny gliniarz rozrzucał ubranie po drodze, mrużąc coś do siebie. W końcu zerwał z siebie parę bokserów, podparł się rękami, opierając je na nagich lędźwiach i krzyczał coś raz za razem, co brzmiało jak „grubyszlauch” podnosząc twarz ku zaśniedziałemu niebu.

Drake skończył sikać, zapiął rozporek. Uniósł jeden but, złapał za niego i go ściągnął. Zsunął też skarpetę i podniósł nogę w moją stronę.

Stał tak przez chwilę z uniesioną nogą, jak bramkarz na zdjęciu uchwycony podczas wspaniałej parady. Zerknąłem w tył i zobaczyłem, że drugi gliniarz zagarnia śnieg i przykładą go sobie do krocza.

Popatrzyłem znów na Drake'a i w końcu zobaczyłem, co mi pokazuje. Na paluchu widać było niewielki tatuaż. Symbol pijaki miała stara Molly.

– TO TYLKO NAGRANIE, MĄDRALO!

Opuścił nogę i ponownie wyciągnął pałkę. Uniósł ją wysoko, wskazując drugą ręką na mnie.

– A TERAZ POCHYL SIĘ! POCHYL SIĘ I OPUŚĆ SPODNIE MĄDRALO!

John i ja jednocześnie czmychnęliśmy do wnętrza bronco. Wrzuciłem bieg i wdusiłem pedał gazu, wciąż z Drakeiem na masce.

Wóz szarpnął w przód i ruszyliśmy zakolami po szosie, ale Drake stał tam jak wmurowany, kucając na masce niczym przerośnięty emblemat firmy motoryzacyjnej. Ryczał coś na mnie przez wiatr, odrzucając czapkę i zarzucając włosami.

– DOKĄD JEDZIESZ? HA, HA, HA! POJEDŹMY DO ALEI! ON CZEKA, MĄDRALO!

Odgiał się w tył z pałką w dłoni, jakby szykując się do rozbicia szyby. Wdusiłem hamulec, wozem zawirowało. Drake poleciał w bok.

Zniknął w miniaturowym łańcuchu górskim nagromadzonego śniegu leżącego przy drodze. Usłyszałem zduszony krzyk, który przeszedł w wycie, wysoki dźwięk, którego nie były w stanie wydać z siebie ludzkie struny głosowe. W pierwszej chwili chciałem mu pomóc. Ale ta chęć szybko mi przeszła. Włączyłem wsteczny bieg i wcisnąłem gaz, następnie przerzuciłem bieg i popędziliśmy drogą, zarzucani w prawo i w lewo. Zerknąłem w lusterko, szukając nerwowo albo jego, albo też jego gołego partnera ze śniegiem w kroczu. Nigdzie nie było widać radiowozu. Molly wstała i wyjrzała przez tylne okno, zadrżała i zaczęła cicho, gardłowo warczeć.

Amy zadawała pytania – pytała, co mu się stało, czy nie żyje, czy powinniśmy wrócić. Ani John, ani ja nie kwapiliśmy się z odpowiedzią. Po prostu jechałem.

Muszę jechać wciąż naprzód, nie oglądać się za siebie.

W tylnym lusterku coś się poruszało, jakiś ciemny kształt odcinający się od białego śniegu. Spojrzałem, wydawało mi się, że coś widzę, coś, co poruszało się niezwykle szybko. Nie była to osoba. A może w ogóle mi się zdawało.

Znaleźliśmy wjazd zakopany w śniegu, skręciliśmy i wjechaliśmy powolutku na parking galerii. Szukaliśmy innych zaparkowanych pojazdów, ale nie znaleźliśmy niczego. Szarzało w zastraszającym tempie.

Wysiedliśmy, załadowaliśmy sprzęt i ruszyliśmy przez parking, Molly na czele, a my wszyscy zbici w grupkę, z oczami z tyłu głowy. Widoczność była taka, że nie widzieliśmy dalej niż do granicy parkingu, bo tam biała śnieżna zasłona przesłaniała resztę świata. Trzymałem pistolet w dłoni, nie pamiętając nawet, kiedy go wyciągnąłem. Płatek śniegu wleciał mi do nosa. Tuż przed drzwiami zobaczyłem jak John obraca się gwałtownie, jakby dostrzegł coś w wirującej śnieżnej masie. Zmrużyłem oczy i nie zobaczyłem niczego, więc obaj złożyliśmy to na karb nadmiaru adrenaliny. Powinniśmy być już bardziej doświadczeni.

Uciekliśmy do wnętrza przez to samo wejście, przez które John wszedł rano. Śnieg wsypywał się obficie przez świetlik, tworząc grubą warstwę na podłodze, a przez otwór wmiatało jeszcze poddmuchy lodowatego powietrza. Będąc już w środku, gdzie nie wiało tak strasznie, John zapalił zapalniczkę, która miała posłużyć za podpałkę zabawkowego miotacza ognia.

John powiedział:

- Stopa Drake’a. O co tam chodziło? Pomyślałem, że chciał cię kopnąć, ale chybił.
- Miał na niej symbol, małe pi. Taki jak Molly.
- Jak myślisz, to jest jakiś istotny znak?
- Znak czego?
- Znak zła?

Amy zapytała:

- Czy nie trudniej im czynić zło, skoro muszą obnosić się z tym znakiem?

John wzruszył ramionami.

– Jak widzisz lejącą w twoją stronę bosą stopę, która chce cię kopnąć, to i tak już jest za późno. Chodźcie za mną.

Weszliśmy do pomieszczenia konserwatora. John i ja widzieliśmy jasno i wyraźnie wielkie, zdobione drzwi na ścianie z prawej strony, zupełnie ni przypiął ni wypiął, jak twarz na powierzchni Marsa. Amy widziała tylko ścianę. Oczywiście do chwili, w której nie założyła swoich kartonowych okularów. Pozwoliłem, by małe drzwi do pomieszczenia konserwatora zamknęły się za mną. John spojrzał na Amy i skinął głową w stronę drugich drzwi, mówiąc:

– Drzwi duchów.

Powiedziałem:

- Proszę cię, nie mów tak.

Molly podreptała, mijając mnie, podeszła prosto do nich i obwąchała. Ciekawe. John powiedział:

– Zdaje się, że powinniśmy poszukać drogi ewakuacji.

Zobaczyłem długą, zakrzywioną klamkę w drzwiach. Odetchnąłem głęboko i uniosłem broń. John podniósł miotacz ognia. Sięgnąłem do klamki i patrzyłem, jak moja dłoń przez nią przechodzi.

– Kurde – zaklął John. – Upiorna klamka.

Westchnąłem i spojrzałem na Johna, który był o krok od zaproponowania, byśmy wrócili do domu i zwinęli się w kłębek przed kominkiem.

Ale nagle Amy podeszła do drzwi z mokrymi, pomarszczonymi okularami z kartonu przekrzywionymi na nosie.

Sięgnęła do niej lewą ręką, czyli tą, której właściwie nie było. Ale dłonią, którą widziałem, a właściwie duchem dłoni, której tam nie było, sięgnęła, złapała za klamkę, której też tak naprawdę nie było. Klamka ustąpiła.

Z łoskotem całkiem podobnym do odgłosu rozbrzmiewającego ci w głowie, gdy kruszysz lód, na ścianie utworzyła się pionowa szpara, a następnie zaczęła się rozwierać. Obydwaj z Johnem

zamarliśmy w bojowych pozycjach, a ja poczułem jak mój pęcherz chce się rozerwać. Ściana topiła się i odpadała płatami niczym stara zasłona, aż przed nami pojawił się otwór wielkości drzwi z wiechciami słomy wokół brzegów, kawałkami tynku i wystającymi drewnianymi drzazgami. Za nią zobaczyliśmy niewielkie, okrągłe pomieszczenie, które jak wyczułem było windą.

John przeszedł przez otwór i popatrzył w prawo. Wskazał numer na ścianie, a było to „10”. Po kilku sekundach zmieniło się na „9”.

Poczułem, jak Molly ociera mi się o nogi i idzie do otwartych drzwi. Odwróciłem się i położyłem dłonie na ramionach Amy.

– Idź.

– Co? Nie.

– Masz pieniądze, z polisy ubezpieczeniowej? Kiedy twoi rodzice...

– Taaa, więc...

– Czekaj na nas, poczekaj w jakimś oświetlonym miejscu. Daj nam godzinę. Potem, jeśli nie wrócimy, wsiądź do mojego wozu i...

– David, ja nie umiem prowadzić.

Zagłębiłem dłoń w kieszeni i wcisnąłem jej moją komórkę w rękę.

– W takim razie zadzwoń po taryfę. Mówię cholernie poważnie. Jeśli nie wrócimy za godzinę, uciekaj. Weź taksówkę, niech cię zawiezie prosto na lotnisko, skąd polecisz gdzieś daleko, wsiądź w samolot i leć na Alaskę. Trzymaj się z dala od tego miejsca i w ogóle zapomnij, że mnie kiedykolwiek znałaś.

– Na Alaskę? Ale dlaczego na...

– Bo tam jest zawsze dzień.

– Nie, nieprawda!

– Mówiąc szczerze, Dave – powiedział John zza moich pleców – wydaje mi się, że tam jest zawsze noc.

– Nieważne – pisnęła Amy – bo ja i tak nigdzie się nie wybie...

– Amy, proszę cię. To szaleństwo. Kiedy te drzwi się otworzyły, jedyna myśl, jaka przeszła mi przez głowę to, że będę przeklęty za to, że pozwolę ci zginąć z łap tego, co się w nich pojawi. Zaszliśmy już tak daleko i wciąż nic ci nie jest, a ja chcę mieć na koncie ten jeden dobry uczynek, na jaki mam jeszcze szansę. Z żadnego innego powodu, bo jeśli zginę, a jestem cholernie pewien, że mam tylko godzinę życia przed sobą, chcę móc powiedzieć, że była to ta ostatnia rzecz, ta jedna pozbawiona egoizmu rzecz, zanim wyzionę ducha.

Wyciągnąłem Smith&Wessona z kieszeni i podszedłem, by włożyć go w jej drugą dłoń, ale przypomniałem sobie, że przecież nie ma drugiej dłoni, wepchnąłem go więc w kieszeń jej kurtki. Amy chciała coś powiedzieć, ale przerwała jej eksplozja metalowych drzwi.

Niewielkie drzwi do pomieszczenia konserwatora przeleciały przez cały pokój i odbiły się od przeciwległej ściany. Wszyscy uchyliliśmy się i w tumanie kurzu zobaczyłem coś wielkości człowieka, ale o innym zarysie sylwetki, ze sterczącymi w górze stawami, niewielką pozbawioną mózgu główką i skórą z łuskami jak u aligatora. Nastąpiła sekunda paraliżu mózgu, podczas której nie wiedziałem, na co patrzę. Ale widziałem już coś podobnego, w piwnicy Jima. Tylko ten stwór się ruszał, kucając niby czający się drapieźnik, obracając, by na nas spojrzeć.

Amy klęczała i miała otwarte usta, żeby coś krzyknąć, ale zanim zdołała to zrobić, słup ognia owionął jej twarz.

– PADNIJ! – krzyknął John o jakieś pół sekundy później niż bym wołał.

Pomarańczowy płomień polizał bestię, podłogę i ścianę za nią. Wydawało mi się, że czuję swąd własnych palonych włosów. Potwór skręcił się z bólu i zaczął się miotać, ale najwyraźniej jego skóra nie była łatwopalna, bo kiedy John przerwał ogień, na jego ramionach tańczyło tylko kilka niewielkich płomyczków.

Potwór wyglądał na nieźle wkurzonego.

John pracował pompką podobną do tej w broni gładko lufowej, by zwiększyć ciśnienie i znów wystrzelić. Rzuciłem się na bok i zanurzyłem dłoń w kieszeni, żeby wyciągnąć pistolet, ale

przypomniałem sobie, że dałem go przed chwilą Amy. Wyciągnąłem więc kluczyki od samochodu i cisnąłem nimi w bestię – odbiły się od jej piersi, dzwoniąc bezradnie.

Potwór ruszył na mnie, śmigając obok Amy, niezwykle szybkimi, niemal niezauważalnymi kroczkami – poruszał się, jakby był na szybkim przewijaniu. Starąłem się wstać, ale nagle wokół mojej szyi zacisnęły się szpony, a sekundę później już fruwałem. Ściana walnęła mnie w plecy i nagle znalazłem się w małej, okrągłej windzie, podnosząc wzrok na Johna – bestia rzuciła mnie niczym zabawkę. Zebrałem się z ziemi, ale potwór już był znowu przy mnie, wypełniając otwór wejściowy, blokując nas w małym pomieszczeniu. Molly stała tam obok mnie, wężąc kończynę potwora i najwyraźniej stwierdzając, że będzie zupełnie niesmaczna przy spożyciu.

John krzyczał coś, ale wtedy stwór złapał mnie szponami za bark, a ból rozlał się po całym moim boku. Wychyliłem głowę zza bestii i krzyknąłem:

– AAAAAMYYYYYYYY!!!!!! UCIEEEEEKAAAAAAJ!!!!

Stała za bestią bardzo długo, wryta w ziemię i znieruchomiła. Bestia robiła coś ze swoją drugą łapą, sięgając nią w tył, prawdopodobnie szykując się do oddarcia mi całej twarzy. Pysk potwora znajdował się o włos od mojej twarzy, jego małe oczka obracały się cały czas i poczułem zapach bestii, która, nie wiedzieć czemu, woniała cała Old Spicem. Kątem oka zobaczyłem numer na ścianie: „2”.

Amy odwróciła się, by uciec i nagle miałem nową misję – musiałem przytrzymać potwora w miejscu, żeby pożarcie nas zajęło mu maksymalnie dużo czasu.

Pojawił się drugi potwór.

Na zgliszczach wejścia do pokoju konserwatora, taki sam jak pierwszy. Kiedy zbliżał się do Amy, w mojej głowie pojawiła się wariacka myśl, że widzę kawałki śniegu przywarte do jego krocza.

Numer na ścianie zniknął. Upiorne drzwi zamknęły się.

Wszystko się zatrzymało. Ściana wytopiła się, tworząc mur tak solidny, jakby zawsze był twardy jak, hmmm, ściana.

Nagle patrzyłem na łeb, ramiona i szpony potwora wyłaniające się ze ściany, jakby były zawieszonym tam myśliwskim trofeum. Upiorne drzwi zamknęły się, pętając sukinkota, połowę po tej, połowę po tamtej stronie. Po sekundzie odcięte kawałki osunęły się na podłogę zostawiając czerwone smugi na ścianie. Szponiasta łapa wciąż tkwiła zakleszczona na moim barku, odcięte ramię zwisało, znacząc podłogę krwawymi kroplami.

John wymamrotał:

– Co do... Zastanawiam się, ilu swoich pracowników zwalniam w ten sposób?

– Amy! – krzyknąłem do ściany, odrywając urwaną kończynę i ciskając ją z obrzydzeniem na ziemię. Szpony wciąż drgały kurczowo, nawet kiedy wylądowały już na ziemi. Molly stała u moich stóp szczerkając i skowycząc.

Nie usłyszałem nic po drugiej stronie. Waliłem w ścianę dłońmi, aż poczułem, że powierzchnia ześlizguje się pod moimi palcami.

– AMY!!! AAAAAMYYYYYYYY!!!!!!

Walnąłem mocno w ścianę i wydawało mi się, że złamałem rękę. Poczułem ruch i wiedziałem, że suniemy w górę, co było niemożliwością, bo galeria nie miała piętra. Znow zakląłem, przyłożyłem dłonie do kolan i uświadomiłem sobie, że wszystko czego dotknę, kończy w nieopisaną grozie.

Molly zaskomlała u moich stóp. John powiedział coś, coś na temat, że dojeżdżamy, żeby się przygotować, i że ma plan. Wyprostowałem się i wziąłem piłę spalinową od Johna, drżąc na całym ciele. Spojrzałem na piłę, rozpracowując zasady działania. Czy mogłem się znaleźć w tej sytuacji z bardziej idiotyczną bronią?

Rozejrzałem się wokół i uświadomiłem sobie, że getto blaster nie trafił do windy. No nie, czy w tym momencie cokolwiek miało jakieś znaczenie?

Jechaliśmy cały czas w górę i w górę. Czy winda wspinała się w powietrzu? John przygotował miotacz ognia. Mówił coś o tym, że nic nie mogliśmy zrobić i że musieliśmy wsiąść do tej windy i wydostać się stamtąd i że od naszego przeżycia zależy bardzo wiele i bla, bla, bla. Nie ma tematu.

Podróż w górę zabrała cholerne dwadzieścia minut. Setki metrów. W końcu szarpnęło nami i zatrzymało się, a w ścianie ukazał się otwór. Spoglądaliśmy na długi korytarz, zaokrąglony przy suficie, z wyglądu wykonany z gładkiego kamienia, podobnego do marmuru czy wypolerowanego granitu. Był oświetlony światłem fluorescencyjnych lamp i przystrojony znakami ostrzegawczymi, dotyczącymi skażonych plaketek identyfikacyjnych.

Moje palce zacisnęły się mocno na plastikowej ręczce piły spalinowej. Wkroczyłem w korytarz, a Molly krok za mną. Przeszliśmy odległość czterech, może pięciu miejskich przecznic – John z niewielkim płomyczkiem tańczącym na końcu zabawkowego miotacza ognia, ja zastanawiając się, jak głośna jest piła, kiedy w końcu pociągnę za rozrusznik. Albo czy w ogóle benzyna jest w zbiorniku.

Doszliśmy do drzwi. Zwykłych metalowych drzwi z gałką. Przygotowaliśmy się. John otworzył je z rozmachem i wskoczyliśmy do środka.

Podłoga przeszła w metalową kratę i zobaczyliśmy, że stoimy zawieszeni nad przestrzenią o powierzchni hangaru lotniczego, choć bardzo skąpo oświetloną. Na dole kręcili się ludzie ubrani na biało, krzatali się niczym na targu i tłoczyli wokół stołów i sprzętu. Było głośno jak cholera. Słychać było odgłosy maszyn, zgrzyt metalu, szum skomasowanych odgłosów ludzkich stóp i ludzi pracujących w ciemnościach.

Zrobiliśmy kilka kroków naprzód i uświadomiliśmy sobie, że nie jesteśmy sami. Na kładce jakieś trzy metry od nas stał mężczyzna w białym kombinezonie z kapturem i szybą na twarzy, który to strój przypominał mi sterylne ciuchy, jakie nosi się w laboratoriach. W jednej dłoni schowanej w rękawicy trzymał torebkę kanapek, a w drugiej paczkę papierosów. Patrzył się na nas bardzo długo, wodząc oczami po Molly, mojej pile i po płomyku tańczącym na urządzeniu, o którym musiał wiedzieć, że to pistolet na wodę wyrzucający płomień.

John powiedział:

– Kontrola przeciwpożarowa.

Mężczyzna obrócił się na pięcie i puścił biegiem w przeciwną stronę, głośno tupiąc o kratowaną podłogę. Ruszyliśmy w pościg. Przeszedł przez jakieś wejście. Poszliśmy w jego ślady i znaleźliśmy się na spiralnej klatce schodowej prowadzącej w dół. John krzyczał za nim cały czas, domagając się od niego atestu niepalności kombinezonu.

Mężczyzna dotarł na dół i śmignął przez kolejne wejście. Pobiegliśmy za nim i znaleźliśmy się na parterze fabryki, czy co to tam było, otoczeni przez ludzi w białych kombinezonach, którzy wykazywali się mistrzostwem świata w ignorowaniu nas. Ci tutaj nie nosili masek na twarzach i wszyscy wyglądali na kompletnie łysych.

Ciemność, ciemność i jeszcze raz ciemność. Na elementach machinerii, której nie byłem w stanie rozpoznać, świeciły się małe, czerwone diody to tu, to tam, ale nie było żadnych lamp nad głowami czy żadnego innego oświetlenia, jeśli nie liczyć niewielkich, fosforyzujących łątek, które rzucały odwrócone do góry nogami cienie. Mężczyzna, którego ścigaliśmy, zniknął w zaludnionych ciemnościach. Nie poszliśmy jego tropem.

Po lewej stronie stały niebieskie, plastikowe beczki, całe rzędy beczek, setki. Na brzegu zobaczyłem dwie beczki bez dekli. Były wypełnione ciemnoczerwoną cieczą, która naprawdę wyglądała jak smar. Nad jedną z otwartych beczek stało dwóch mężczyzn zanurzając w niej próbki i zbierając próbki. Jeden z nich odwrócił twarz w moją stronę i zobaczyłem, że wcale nie ma twarzy.

Czy też raczej powinienem powiedzieć, że miał połowę twarzy. Czoło marszczyło się w dół w miejscu, w którym powinny być oczy, łącząc się z policzkami. Nozdrza były szerokie i płaskie – afrykańskie. Miał cienkie, pozbawione warg usta i wielkie uszy. Facet obok niego wyglądał tak samo. Podobnie czterech następni. Mieli ze sobą wielkie, przeźroczyste, zapakowane próżniowo torby skurczone wokół czegoś, co wyglądało jak płaty wołowiny.

Rozglądałem się dookoła niczym dziecko na wycieczce z rodzicami. Po lewej stronie stały długie, szklane zbiorniki wysokości domów, coś co można zobaczyć w miejskim akwarium. Ciecz w środku była nieprzejrzysta i miała różową barwę. Wewnątrz unosiły się jaśniejsze, zamazane kształty, które mogły uchodzić za ludzi lub inne rzeczy, mniejsze kawałki posiadały kształty

niewielkich zwierząt – psów i jakby wiewiórek. Ruszyłem wzdłuż rzędu szklanych zbiorników zupełnie otumaniony. Mrugałem powiekami, gorączkowo starając się przyzwyczaić do półmroku, chcąc zobaczyć wszystko dokładnie. Przyszła mi do głowy zupełnie szalona myśl, że nic dziwnego, że oszczędzają tu na oświetleniu. Większość osób tu na dole nie posiadała oczu. Nie ma sensu płacić zawyżonych rachunków.

Gdziekolwiek by się człowiek nie udał, menadżerowie to wszędzie banda skurwysyńskich sknerusów.

Usłyszałem jak John dyszy za moimi plecami, wstrząśnięty, zbrzydzone, albo jedno i drugie. Podążyłem za jego wzrokiem i jakieś cztery metry dalej zobaczyłem klatkę, a w niej chudego, młodego chłopaka. Miał może z dziesięć lat. Stał tam z przerażeniem na twarzy, z palcami wczepionymi w stalową siatkę i patrzył na mnie wielkimi, niebieskimi oczami. Obok klatki znajdowało się jakieś urządzenie, okrągłe, wysokości około półtora metra. Na jednym jego boku świeciło się czerwone światło. Kiedy zmieniło się na zielone, rozległ się elektroniczny dźwięk. Chłopak krzyknął.

Skóra chłopca pokryła się bąblami i zmarszczyła się. Jedno z jego oczu pękło i treść pociekła mu po policzku gęstym śluzem, wyglądającym prawie jak nasienie. Mięśnie zaczęły się topić i odpadać od kości. Złożył się na ziemi i po chwili został z niego tylko drgający ochłap. Ochłap zabulgotał i zaczął przybierać nowy kształt. Pojawiły się dwie krótkie nóżki. Kopyto. Jeszcze dwie nogi i pękate ciało. Usłyszałem skowyt za plecami i wiedziałem, że Molly też na to patrzy. Po pięciu sekundach patrzyłem przez siatkę na różową, dobrze odżywną świnię.

– Skurwy. Syny.

To John za moimi plecami. Świnka podreptała spokojnie do siatki i zaczęła węszyć w moją stronę. Oparła się przednimi kopytkami o siatkę i wydawało mi się, nie mogę być pewien, że zobaczyłem niewielkie wytatuowane pi, jakie kiedyś miała Molly, jakie miał Drake – co to kurwa niby miało znaczyć? Szarpnąłem linkę rozrusznika piły tak mocno, że wydawało mi się, że ją urwę. Piła zaryczała, budząc się do życia.

John popatrzył na Molly i powiedział:

– Lepiej będzie, jak zrobisz tę wybuchową kupkę, bo mamy zamiar wypierdolić to miejsce do samego piekła.

– RZUĆCIE TO!

John i ja odwróciliśmy się gwałtownie i zobaczyliśmy jednego z mężczyzn w „czystym” kombinezonie, jakieś dziesięć metrów do nas, celującego w nas potężną spluwą, która zdawała się mieć za dużo luf. Jego głos zniekształcał głośnik, przez który mówił, umieszczony z boku hełmu kombinezonu, a on sam przepychał się przez tłum ubranych na biało robotników.

John ani myślał odkładać miotacza. Wycelował ustrojstwem w faceta i krzyknął:

– To ty rzuć ten swój złom, złamasie.

Dodałem:

– Na pana miejscu tak bym postąpił. Jesteśmy solidnie wkurzeni.

– MACIE SEKUNDĘ NA RZUCENIE PIŁY I TEGO... TEGO CZEGOŚ.

W tym momencie John padł na ziemię krzycząc:

– POSTRZELIŁEŚ MNIE! AAAAGHHH!

Nie oddano żadnego strzału. Przypadłem do Johna z krzykiem:

– Postrzeliłeś go! On ma czwórkę dzieci! Cztery sierotki!

Facet podszedł, wciąż z bronią wycelowaną w Johna. Broń zdawała się pochodzić z roku 2050, miała gładkie boki, elektroniczny celownik jarzący się zielonym światłem i dwie lufy – na dole niewielką, a na górze olbrzymią, ziejącą szerokim otworem, która wyglądała jakby można było z niej strzelać kulami armatnimi.

– TY. ODSUŃ SIĘ I POŁÓŻ SIĘ NA PODŁODZE, O TAM.

Odparłem:

– Zastrzeliłeś go, ty sukinsynu!

– NA ZIEMIĘ, ALE JUŻ.

Wstałem i cofnąłem się. Facet nachylił się nad Johnem i wycelował strzelbą prosto w jego głowę.

– NIE JESTEŚ RANNY. WSTAWAJ.

W tej samej chwili poczułem dwa sprzeczne pragnienia. Miałem chęć poddać się, położyć kres wszelkim napięciom i strachom, pogodzić się z losem. Poczułem jeszcze gwałtowniejsze łaknienie przemocy.

Nie pamiętam, jakiego dokonałem wyboru. Wiem tylko, że moje mięśnie zapłonęły czystą adrenaliną i nagle poczułem przypływ strachu i furii, które są najmocniejszym narkotykiem wszystkich ludzkich zwierząt. W ułamku sekundy wiedziałem, że przeciwnik ma znaczną przewagę, ale wiedziałem też, że jeśli zginę, to tak, jak tego chciałem. Miałem zamiar zostawić na tym gnoju szramę, dołączając do tego własną, ciekawą historię.

Rzuciłem się na faceta machając piłą jak bejsbolem. Celowałem wysoko, starając się odpiłować mu ramię w barku. Machnąłem się o pół metra i trafiłem w dłoń.

Była to dłoń trzymająca rękojeść strzelby. Łańcuch zahaczył o broń i impet wyrwał mi piłę z ręki. Piła spadła na ziemię, terkocząc wibracjami silnika.

Pięknie.

Ale facet wrzasnął z bólu i, ku memu przerażeniu, zobaczyłem jak dwa jego palce spadają na ziemię, bryzgając krwią. Strzelba zagrzechotała na betonie. Dałem nura i złapałem broń za rękojeść, która była śliska od krwi. Odnalazłem język spustowy w miejscu, w którym występuje w większości rodzajach broni. Wycelowałem w pierś mężczyzny i podniosłem się z klęczek. John wstał, spoglądając z obrzydzeniem na kikuty palców faceta.

Powiedziałem:

– Proszę pana, taką ranę trzeba opatrzyć.

Mężczyzna nie poruszył się. Serce waliło mi jak młotem. Uświadomiłem sobie, że okaleczyłem go na resztę życia. John dodał:

– W takich sytuacjach zwykle się spierdala i szuka apteczki, głupi gnoju.

Mężczyzna wstał i zatoczył się. Wokół nas dziesiątki czy nawet setki łysych, pozbawionych twarzy robotników stało bez ruchu jak manekiny, które przypominali. Wszystko stanęło. Maszyny wyłączały się jedna po drugiej.

Starłem się zaczerpnąć tchu, czułem, że mój pęcherz za chwilę podda się w nierównej walce. Powiedziałem:

– Wszystko idzie dobrze.

Nagle rozległo się głośnie PUK i jedna z niebieskich beczek koło mnie trysnęła cieczą. Spojrzeliśmy z Johnem z zaciekawieni, ale zobaczyliśmy, że tuzin facetów w kombinezonach biegnie w naszym kierunku ze wszystkich stron, a każdy jest uzbrojony i przemyka między manekinami roboli i przewracającym się sprzętem.

Uniosłem strzelbę, nie mając pojęcia co robić, i usłyszałem trzaski wystrzałów, które zdawały się ginać w olbrzymim pomieszczeniu. Odwróciłem się, wycelowałem w olbrzymie zbiorniki z różową cieczą i kto wie z czym jeszcze w środku, i pociągnąłem za spust.

Broń wypaliła. Albo tak mi się zdawało – zamiast odgłosu wystrzału usłyszałem dudniący huk, który wbił mi kolbę strzelby w bark. Zbiorniki pękły w deszczu szkła. Płyn i trzepoczące kształty wylały się na podłogę, a pozbawieni twarzy robotnicy rozpierzchli się we wszystkich kierunkach.

Zaczęło się szaleństwo. Nieludzkie krzyki. Odgłosy pękającego szkła, przewracanych stołów. To, co wylało się wraz z cieczą na podłogę, zaczęło się wić i miotać, waląc kończynami wokół i wydawało mi się, że widzę ludzką twarz przyczepioną do bezwłosego pawiana. Ale wszystko było jedną wielką, ciemną, rozmazującą się plamą, a John ruszył już do biegu. Poszedłem w jego ślady.

Omijaliśmy biegnących niczym zawodowi futboliści, zostawiając chaos za sobą. Sceneria przypominała zawieruchę podczas wyprzedaży w centrum handlowym, jak z koszmarne snu. Mijaliśmy biegiem setki chodzących manekinów, stoły pełne ubrań i czegoś, co wyglądało jak przybory krawieckie i bele materiału. Półka pełna bielizny. Przebiegliśmy obok grupy mężczyzn, pracujących jakby w pracowni protetycznej, którzy wiercili, dopasowywali mostki i sztuczne zęby. Przewracaliśmy krzesła i stoły oraz szafki pełne plomb. Zobaczyliśmy przypiętą pasami do stołu

młodą kobietę, która nie miała nóg. Zobaczyliśmy całe stojaki worków z łojem, jak ten w łazience Amy, oznaczonych cyframi. Widziałem mężczyznę przykutego łańcuchami do ściany, który najwyraźniej miał węże w miejsce ramion, a każda dłoń była kłapiącą szczęką z jadowitymi kłami.

Zobaczyłem Molly – pędzącą miedzianą kulę przed nami – i uświadomiłem sobie z przerażeniem, że John biegnie za nią. Usłyszałem jeszcze kilka strzałów i widziałem, jak kilka manekinów pada na ziemię z poszarpanymi dziurami w plecach. W brzuchu miałem stężony kwas, a moje dłonie zacisnęły się na pękatej strzelbie, poczułem pot i lepłą krew przywierającą do spustu. Dotarliśmy do ściany i zobaczyłem szerokie schody, prowadzące do podwójnych drzwi ze szcztokowanej stali, przypominające wejście do bankowego skarbcza. *Zamkniętego* bankowego skarbcza.

Usłyszałem krzyki i łoskot kroków. Zobaczyłem ludzi na kładce nad naszymi głowami, zobaczyłem, jak białe kombinezony otaczają nas tłumem i słyszałem też rozkazy rozlegające się z kilku stron. Z interkomu popłynął dudniący głos, który przekazywał informację gardłowym językiem, przypominającym hebrajski. Nagle przekonałem się, jak musiał czuć się świstak.

Podniosłem strzelbę, odnalazłem niewielką przekładnię obok rękojeści i przestawiłem ją z nadzieją, że teraz będę mógł wystrzelić z mniejszej lufy. Uniosłem broń do barku.

Cholera, jak tu ciemno...

Starałem się wybrać cel w fosforyzujących na zielono przyrządach. Poczułem na sobie czyjeś dłonie. Nacisnąłem spust i broń ryknęła. Buchnął płomień, lufa podskoczyła jak młot pneumatyczny i straciłem nad nią kontrolę. Kolba pchała mój bark do tyłu tak mocno, że strzelałem już pionowo w górę. Po trzech sekundach rozległ się suchy trzask – znak, że opróżniłem magazynek. Na poły oślepiony, czując wyłącznie zapach kordytu, usłyszałem trzykrotne *łup-łup-łup* i zrozumiałem, że to ciała spadają z kładki nad nami.

Znów czyjeś ręce, robolskie klony, czy co to tam było, chwyciły mnie za kurtkę i ciągnęły za włosy. Wydarto mi broń z rąk i usłyszałem głośnie *szzzuuuu*, odgłos podejrzenie podobny do tego, jaki wydaje broń rzucona w powietrze. W głowie eksplodowała mi bomba. Światła zabłyśły mi przed oczami i walnąłem mocno o ziemię. Usłyszałem szczekanie i warkot, poczułem jak Molly rzuca się koło mnie. Niemal zemdlałem. Usłyszałem głos Johna, który przekrzykiwał to całe wariatkowo:

– PANOWIE, CHCIAŁBYM WZNIEŚĆ TOAST!

I nagle cały świat stanął w ogniu.

Żar, błysk i straszliwe, nieludzkie wrzaski. Podniosłem głowę, stojąc na czworakach i zobaczyłem, jak John polewa wszystko pomarańczową fontanną ognia, która rozprzestrzenia się w ciemnościach, zalewając płomiennym deszczem las ciemnych kończyn. Jakaś dłoń z tłumu ponownie chwyciła mnie, ramię z płonącym rękawem...

Płonące ramię!

... ale wierzgnąłem i uwolniłem się. Za mną John pompował gorączkowo i znów płomień wystrzelił z lufy, z dźwiękiem przypominającym szum wiatru. Nagle ktoś podniósł mnie z ziemi, pociągnął w tył, zaciągnął do miejsca, w którym znajdowały się stalowe drzwi. Najwyraźniej były otwarte, bo wciąż szliśmy, przechodząc do innej przestrzeni, niewielkiego pomieszczenia, które wyglądało jak korytarz.

Usłyszałem ciężki brzęk zamykanych drzwi i nagle zabłysło światło. John, który mnie tu wciągnął, nadal zaciskał pięść na mojej kurtce. Teraz odwrócił się w stronę drzwi i obaj zobaczyliśmy szczupłego mężczyznę, stojącego przy metalowej skrzynce na ścianie, w której było widać rząd czerwonych przycisków.

Był to Robert North. Popatrzył na nas, po czym powiedział z niezwykłą prostotą:

– Niewiarygodne.

Byliśmy w korytarzu sami, a po drugiej stronie drzwi słychać było całą gamę odgłosów. Molly spojrzała w tym kierunku i warknęła. North minął nas i ruszył w głąb korytarza. Poszliśmy za nim. Przyłożyłem dłoń do obolałej głowy i gdy spojrzałem, zobaczyłem krew na palcach. John puścił mnie i zapytał:

– Możesz chodzić?

– Taaa.

North poprowadził nas przez jedno przejście, potem przez kolejne. W końcu stanęliśmy w olbrzymim, okrągłym pomieszczeniu ze schodkami prowadzącymi na platformę, a całość miała rozmiary sali do koszykówki. W środku, tam gdzie powinno być boisko, znajdował się tuzin wysokich łuków ustawionych w dwóch koncentrycznych okręgach. Przypominało mi to Stonehenge. W pomieszczeniu znajdowały się łóżka i stoły operacyjne, ale nikt na nich nie leżał. Na podłodze, na niewielkiej platformie, leżał wór łoju, taki sam jak w łazience Amy (z napisem 44,42 kg na boku) a nieopodal leżał bez życia czerwonołłosy manekin, który pojawił się na jej kanapie. North wyprowadził nas z tego Stonehenge, ledwo zaszczycając konstrukcję spojrzeniem i powiódł do kolejnych drzwi. Znow trafiliśmy do korytarza i do kolejnego dużego pomieszczenia zwieńczonego kopułą. Tu, pośrodku, od podłogi aż do samego sufitu, wznosił się cylinder z czarnego szkła.

North zamknął za nami drzwi – kolejne przesuwane, grube na stopę, podwójne wrota. Zobaczyłem, że nie ma żadnego innego wyjścia z pomieszczenia i, o ile wcześniej czułem niejaką ulgę z powodu tego, że udało się nam uciec przed tą tłuszczą, to teraz znikła bez śladu. Doszliśmy do końca.

North powiedział:

– Mam tysiące pytań, ale nie mam czasu, by je zadać.

Powiedziałem:

– Musimy wracać! Na parter, do galerii. Amy jest...

Odwrócił się, jakby mnie nie dosłyszał, i podszedł do szklanego cylindra. Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem, że ściany, podobnie jak wszystkie tutaj, zdawały się być wykonane z gładkiego jak szkło kamienia. Drzwi i przyciski przy drzwiach najwyraźniej zostały dodane później, okablowanie w metalowych rynnach przyczepionych na ścianie też. Znow zacząłem się zastanawiać, gdzie właściwie się znaleźliśmy. Czy wciąż byliśmy na Ziemi?

Podbiegłem do Northa i powiedziałem:

– Musi nas pan stąd wydostać. Proszę nas wydostać i powiedzieć, gdzie najlepiej będzie podłożyć tu bombę.

John dodał:

– No właśnie, mamy odbezpieczonego psa, gotowego do odpalenia.

John potrząsnął różowym zbiornikiem miotacza zawieszonym na pasku, ale zobaczył, że jest pusty. Zdmuchnął płomień zapalniczki na lufie zabawki, a następnie rzucił wszystko na podłogę. Zauważyłem, że lufa jest częściowo stopiona.

North powiedział:

– Myślę, że nie doceniacie w pełni tego widoku.

Wskazałem na Northa brodą i powiedziałem do Johna:

– To jest ten facet, ten którego widziałem w moim wozie tamtej nocy.

John powiedział:

– Dobra. Czy może mi wyjaśnić, co to za miejsce, kurwa? I co oni tam kombinują?

Machnąłem niecierpliwie ręką i powiedziałem:

– Może nam opowiadać godzinami o tym syfie po tym, jak się stąd wydostaniemy i jak oddadzą nam Amy. I po tym, jak wysadzimy to miejsce w cholere. Ale zanim te gnoje zaczną wlażyć nam przez te drzwi.

North powiedział:

– Myślę, że Amy jest bezpieczna. I zapewniam was, że ci na zewnątrz nie mogą tu wejść. Bardzo dobrze znam ten zakład.

– Skąd ta pewność w sprawie Amy? – zapytałem. – Jest pan częścią tego wszystkiego? Pracuje pan dla tych ludzi?

North odpowiedział:

– Urodziłem się tutaj. A co do tego, co oni tutaj robią, cóż, robią to samo, co wszystkie myślące stworzenia od chwili narodzin. Starają się zmienić świat według swoich upodobań.

Popatrzył na czarną kolumnę.

– Jak myślicie, co tutaj widzicie?

John odparł:

– Ty za chwilę zobaczysz moją piączę, a potem kutasa Dave’a, jak nie zaczniesz...

– Proszę o chwilę zastanowienia się i próbę zrozumienia tego, co widzieliście – powiedział North. – Kiedy zrozumiecie, złość wam minie. Złość zakłóca proces myślenia – North rozejrzył się po pomieszczeniu. – Urodziłem się tutaj, jak mówiłem. *Miesiąc temu*. Rozumiecie?

Starłem się wymyśleć nową groźbę przemocy, która podziałałaby na Northa, kiedy nagle zobaczyłem, że oczy Johna robią się wielkie jak spodki. Odwróciłem się do czarnej kolumny i zobaczyłem jakiś ruch w ciemność. Wirujące kształty przelewały się w jej środku. Smugi światła. Życie.

North powiedział:

– Wyobraźcie sobie jakąś część ubioru utkaną z pojedynczej nici. I wyobraźcie sobie, że po stworzeniu tego ubioru ta sama, nieprzerwana nić zostaje użyta do utkania kolejnej części garderoby, podobnej do tej pierwszej. A więc mamy nić, która jest jednocześnie częścią składową dwóch elementów garderoby, ale w pewnym miejscu nić przestaje być częścią jednego i staje się częścią drugiego.

John machnął niecierpliwie dłonią i powiedział:

– A chuja to kogo obchodzi?

North wskazał na kolumnę.

– To jest ta nić.

Powiedziałem:

– Dobrze. John, wyjmij psu bombę z okrężnicy i wypierdol tego chuja w powietrze.

North powiedział:

– Droga do uratowania waszej przyjaciółki, Amy, wiedzie właśnie tędy.

Zapytałem:

– Mamy tam wleźć? Co tam jest? Piekło? Czy tak się właśnie stało, ten termos się otworzył i kilka twoich ohydnych okurwieńców stamtąd wypełzło? Dlatego mamy tyle tego nadprzyrodzonego syfu w naszym mieście?

– Żaden człowiek nie przeszedł przez ten portal. Choć próbowało wielu.

– W takim razie, co ty mi tu pierdolisz? – wykrzyknąłem.

John zerknął na Molly i powiedział:

– Wysraj bombkę, Molly.

North powiedział:

– Nie, jedyni którzy mogą podróżować tam i z powrotem to ciemni.

John zdziwił się:

– Czarni? Czy dlatego nie ma żadnych czarnych w Anonimowym? Wessało ich?

To wstrząsnęło Northern. Pozbierał się jednak i powiedział:

– Nie, ciemni ludzie to ci, którzy kiedyś żyli, ale zostali wyrwani z ciała, przez śmierć i cóż, inne okoliczności, których nie zrozumiecie. Pochodzą ze wszystkich światów z wrażliwą myślą. Nie są ograniczeni materią i, jako tacy, mogą egzystować w jednym wymiarze, a potem w następnym, w jednym czasie i potem w następnym, a potem w żadnym. Istnieją w liczbie większej niż jesteście sobie to w stanie wyobrazić, w ciemnym oceanie pływów między światami. I kiedy kolejne myślące istoty rodzą się i umierają, szeregi ciemnych ludzi wzbierają niby wody w wylewającej rzece.

– Dobra! – powiedział John. – W takim razie wysadźmy ich. – Nachylił się i złapał Molly za przednie łapy. – Bardzo jest nam potrzebna ta bomba, Molly. Wysraj ją! Wysraj bombkę!

Nawet nie spróbowała.

John stwierdził:

– A, pieprzyć to. Po prostu podpalmy tego psa.

North powiedział:

– Nie jesteście w stanie tego zniszczyć. Gdyby tak było, wasz wszechświat też by zniknął.

Spojrzałem na niego, a następnie wsiadłem na Molly.

– Sraj, Molly! ALE JUŻ! WYSRAJ TO!

North najwyraźniej tracił cierpliwość i powiedział:

– Przejście przez ten portal jest jedynym sposobem na uratowanie Amy Sullivan.

Odwróciłem się do niego.

– Czy masz zamiar przejść w końcu do tego, jak niby mamy to zrobić?

– Musicie przejść na drugą stronę.

– Ale powiedziałaś....

– Istnieje powód, dla którego skupiacie takie zainteresowanie wszystkich, panie Wong. Tych, którzy prowadzą ten zakład, i innych, którzy poświęcili więcej czasu i środków niż jesteście sobie w stanie wyobrazić, żeby wytworzyć zdolność przejścia z jednej strony na drugą. Najwyraźniej pan i John potraficie to robić. I nie wiemy dlaczego.

Powiedziałem:

– Ja wiem, dlaczego. Ale z całą pewnością nie powiem.

North odparł:

– Jeśli tam nie wejdziecie, to dokąd pójdziecie?

I tu miał rację. Zaszliśmy tak daleko. Spojrzałem na kolumnę i powiedziałem:

– Dobra. Jak mamy tam wejść?

– Po prostu zdecydujcie się tam wejść i wejdziecie.

Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem powierzchni podobnej do szlifowanego onyksu. Jednak z mniejszej odległości byłem w stanie dostrzec w czerni kolor. Granatowy, ze smugami bieli. Kolumna zdawała się być twarda jak z kamienia, ale nagle zobaczyłem jak moje palce zagłębiają się w niej, jakby była wykonana z ciepłego wosku. Moja dłoń zagłębiła się do nadgarstka, potem do łokcia... Wtedy zmieniłem zdanie i spróbowałem się cofnąć, uświadomiłem sobie jednak, że odwrotu nie ma, bo inaczej ucięłoby mi rękę. Odwróciłem się do Johna i powiedziałem, żeby znalazł coś ostrego, ale w tej samej chwili czern przesłoniła mi wszystko.

Rozdział 16.

Gówniana Narnia

Był to urywek czasu całkiem podobny do chwil pólśnu między kolejnymi sygnałami drzemiącego budzika. Bezczasowa, niespokojna próżnia, która mogła być sekundą, ale równie dobrze mogła trwać dziesięć tysięcy lat. Poczułem powietrze na twarzy, pędzący, smagający mnie wiatr. Nie widziałem nic i uzmysłowiłem sobie, że mam zamknięte oczy, więc otworzyłem je na siłę. Momentalnie wszystko mi się rozmazało, bo pędzące powietrze wywiewało całą wilgoć z mych gałek ocznych. Poczułem się, jakbym spadał. Skoncentrowałem wzrok i zobaczyłem ziemię, tam gdzieś w dole, setki metrów ode mnie. Żyzna, zielona trawa i małe, białe sylwetki, które mogły być ludźmi, małe kropki, które zdawały się niemal niepostrzegalnie rosnać.

Zaraz, chwileczkę. To JA spadam. JASNA CHOLERA!

Zacząłem machać rękami, mając nadzieję, że jakimś cudem w tym świecie nabyłem zdolności latania. Nic z tego. Spadałem nadal przez zupełnie irracjonalnie długi czas i nagle przestałem. Wisiałem zaplątany w coś miękkiego i sprężystego, podobnego do gazy, odbiłem się dwa razy i w końcu wylądowałem na dobre.

Leżałem tak przez chwilę w jakiejś sieci, zupełnie oszołomiony, a ułamek sekundy później Molly wylądowała centralnie tyłkiem na mojej twarzy.

Podniosłem się z wysiłkiem i usiadłem. Zobaczyłem, że wiszę na kawałku materiału wielkości domu, zawieszonym w powietrzu. Nade mną tuzin bezskrzydłych, latających stworzeń wielkości człowieka trzymało materiał w górze na linach.

Anioły, pomyślałem. Trafiłem do nieba i teraz anioły niosą mnie na plandece.

Nie było to jednak to, czego kazano mi się spodziewać w takiej sytuacji na lekcjach religii, ale wiedza praktyczna zawsze mocno różni się od teoretycznej. Płachta materiału znów zadrgała i wyrzuciło mnie zdezorientowanego w górę, na przyprawiającą o zawrót głowy sekundę. John wylądował.

Schodziliśmy coraz niżej i niżej. Zerknąłem przez półprzezroczysty materiał, jakbym patrzył na świat przez rajstopy. Wydawało mi się, że widzę w dole tłum, morze o kolorze ciała z pustą przestrzenią pośrodku. Spodziewałem się niemal zobaczyć bramy z rzeźbionej macicy perłowej i sędziego, czekającego na mnie, spodziewałem się, że tłum w dole rzuci się na mnie, obleje mnie roztopionym masłem i pożre żywcem.

Wciąż schodziliśmy coraz bardziej w dół, robiło się cieplej i wiatr się uspokajał. W końcu wylądowaliśmy. Przetoczyłem się i szarpnąłem w sieci, wstałem, ale zaraz spadłem na tyłek. Dobrze przyjrzałem się bestiom niosącym plandekę. Wyglądali na garbusów i wydawali z siebie coś na kształt warkotu do momentu lądowania. Byli nadzy i trudno było nie zauważyć ich penisów, za to nosili coś na kształt oponczy zakrywającej im głowy i kończącej się na piersi.

Jeden z nich zbliżył się do mnie, dyndając przyrodzeniem. Wyciągnął dłoń, żeby pomóc mi zejść. Dostrzegłem, że wcale nie jest garbaty, tylko ma na plecach jakieś urządzenie przymocowane twardymi, połączonymi kawałkami plastiku, bądź też innego materiału. Pozwoliłem włochatemu niczym Robin Williams golasowi pomóc mi i, najszybciej jak to możliwe, cofnąłem rękę. Cofnął się i dołączył do garbusów otaczających luźnym kręgiem mnie, Johna i psa. Zobaczyłem tłum.

Było tu może ze sto osób i każdy z nich nosił kaptur. Poza tym elementem stroju wszyscy byli nadzy. Stwierdziłem z konsternacją, że w znacznej części byli w starszym wieku. Zauważyłem, że jedna z grup trzymała duży, kolorowy transparent, ale nie mogłem odczytać, co było na nim napisane.

Powiedziałem do Johna:

– No doooooobra. A więc, widzisz gdzieś tu Amy?

John odparł:

– Boja wiem – zrobił przegląd zakapturzonej golizny wokół nas i powiedział: – Wiesz co to jest, tak? Jesteśmy w alternatywnym wszechświecie i to jest świat z „Oczu szeroko zamkniętych”.

Tłum wpatrywał się w nas w milczeniu. Molly węszyła. Było tu chłodno, ale nie zimno – kilkanaście stopni. Łagodna zima. Trawa wokół nas była wciąż zielona i miękka, a na krajobraz składały się takie same niskie pagórki, na jakich wybudowano Anonimowe, rozlewające się wokół nas niczym pomarszczony, zielony dywan. Głowa tętniła mi bólem od wcześniejszych urazów.

Powiedziałem:

– Ciekawe, czego oczekują. Czy mamy z każdym z nich walczyć na śmierć i życie?

– W świecie z „Oczu szeroko zamkniętych” miałbyś szczęście, gdyby chodziło tylko o to.

Z tłumu wyłonił się jakiś wielki mężczyzna – bez kaptura, w sztuczkowym garniturze. Czy też raczej powinienem powiedzieć, że nosił imitację sztuczkowego garnituru. Garnitur był czarny, z dość szerokimi paskami, mężczyzna miał krótki, szeroki, czerwony krawat, który zwisał mu jedynie piętnaście centymetrów od brody. Rozłożył ramiona.

– Panowie. Witamy.

Miał ludzką twarz, ale nieco *przestawioną*. Twarz Michaela Jacksona. Widziałem taką w moim telewizorze. Mężczyzna nie miał kaptura, ale nosił coś w stylu lateksowej maski, lepszej jakości niż te, które zakłada się na Halloween, ale i tak było jasne, że nie jest to jego prawdziwa twarz. Widziałem łączenia pod uchem – ucho było częścią maski – a włosy to z całą pewnością peruka.

Zapytałem:

– Gdzie dziewczyna? Mężczyzna zawahał się, zdawał się być zdezorientowany. Dodałem: – Rude włosy? Nie ma jednej dłoni?

– Ach – zrozumiał. – Amy Sullivan. Jest w bardzo bezpiecznym miejscu. Chodźmy.

Mężczyzna wskazał kierunek i tłum rozstał się, by zrobić nam miejsce. Jeden z garbusów, którzy nieśli naszą sieć, pomajstrował coś przy swoim urządzeniu na garbatym grzbiecie i to coś zeskoczyło z niego – pełzało wokół po ziemi na szczęściu łapach. Uświadomiłem sobie, że to jest żywe stworzenie, które przypominało mi gigantycznego żuka. Zaczęło skubać trawę i pierdnęło cicho przez płyty panczerzyka. Wysnułem teorię, że był to ciąg, który utrzymywał nas w powietrzu.

Wielkolud ruszył korytarzem utworzonym przez nagi tłum. Znów zobaczyłem duży transparent i tym razem udało mi się dostrzec, co na nim było. Widniała na nim moja komiksowa podobizna, która przedstawiała mnie jako umięśnionego wojownika z otwartą raną głowy, Molly u moich stóp, z obnażonymi zębami, z kawałkiem ciała jakiegoś zaszlachtowanego wroga w szczękach. John został przedstawiony z gorejącymi dłońmi i z bardzo przesadzonym wybrzuszeniem w kroczu.

Wielkolud odwrócił się i powiedział:

– Wybrano niewielką grupę chętnych, chcących zobaczyć wasze przybycie. Poprosiliśmy ich, by zachowali się taktownie. Nasz styl ubierania znacznie różni się od tego, do którego jesteście przyzwyczajeni. Nie chcemy was stresować, więc zdjęliśmy stroje, by pomniejszyć wasz dyskomfort. Myślę, że niektóre trendy naszej mody byłyby dla was dość krępujące i niepokojące zarazem.

Poprowadzono nas wąwozem golizny, między dwoma ścianami oklapłych penisów i przyprószonych siwizną włosów łonowych, nagich kończyn oplecionych siatką niebieskich żył. Jeden wysoki mężczyzna, co zauważyłem, starał się niezdarnie ukryć swą gigantyczną erekcję. Jednak, spod szpar w kapturach nie było widać nawet oczu.

– Po co te kaptury? – zapytał John.

Wielkolud nie usłyszał, czy też nie miał zamiaru odpowiadać na to pytanie.

Weszliśmy na trawiaste wzgórze, które z jakiegoś powodu przypominało mi tę samą górkę, przy której wybudowano dom Sullivanów na prawdziwej Ziemi. Okazało się, że wzgórze miało drzwi w zboczu, rodzaj podziemnej budowli we wnętrzu pagórka. Przyszło mi do głowy, że wszystkie ich budowle mogą mieć taki charakter, nienaruszający krajobrazu.

Drzwi odsunęły się i przechodząc do środka zauważyłem, że mechanizm zdaje się być wykonany jakby z rzeźbionego kamienia, gęstego i gładkiego materiału. Może z granitu. Ja tam na skałach się nie znam. Zostaliśmy poprowadzeni przez korytarz, w którym stało jeszcze więcej

zakapturzonych nudystów. Oświetlenie górne wcinano się w sufit i zdawało się emitować idealnie naturalne światło słoneczne, co było dość kojącym doznaniem. Kiedy przechodziliśmy, obserwatorzy kiwali głowami na powitanie, nachylali się do siebie i pokazywali coś, jakby zauważali kolejne szczegóły i chcieli podzielić się nimi z sąsiadami. Brakowało natomiast jakiegokolwiek dźwięku. Żadnego szeptu czy pomruków. Musieli otrzymać szczegółowe instrukcje od wielkoluda, żeby nie rozmawiać i pomyślałem, że może między sobą rozmawiają w jakimś obcym języku.

Weszliśmy do wielkiej, owalnej komnaty w stylu sali balowej i wraz z Johnem stanęliśmy jak wryci. Na środku pomieszczenia stała olbrzymia, połyskująca, złota rzeźba. I nie mówię tu o „złoconej” czy „pomalowanej na złoty kolor” rzeźbie. Był to złoty, wysoki na sześć metrów pomnik przedstawiający mniej więcej to, co widzieliśmy na transparencie. John, ja i Molly стоимy plecami do siebie gotując się do bitwy. Z centralnego punktu posągu strzela płomień, do którego wszyscy jesteśmy zwróceni tyłem.

Powiedziałem:

– Chyba się nas spodziewali.

John pokiwał głową:

– Popatrz na to. Wygląda, jakby płomień strzelał nam z tyłków.

Zostaliśmy poprowadzeni w głąb sali, a następnie do niewielkiego, okrągłego pomieszczenia z białymi ścianami, które miały chropowatą fakturę jakby sztukaterii. Jedyne meblowanie stanowiły dwa duże, bogato zdobione krzesła, które zdawały się być wykonane z drewna nietkniętego ostrzem siekiery, jakby gałęzie drzewa utworzyły cztery nogi, poręcze i oparcia zupełnie przypadkowo. Dzieło natury. Na podłodze leżała poduszka, najwyraźniej dla psa.

Mężczyzna wskazał nam krzesła, usiedliśmy więc, włącznie z psem. Mężczyzna minął nas i zatrzymał się, przyglądając się krwi płynącej po mojej szyi.

– Jesteś ranny. Pozwól, że to opatrzymy – wyjrzał przez otwarte drzwi i bezgłośnie przywołał kogoś do środka.

– Nasz świat – powiedział – jest o wiele bardziej zaawansowany niż wasz. Z powodów, które bardzo szybko pojmiecie.

Chuda, koścista goła kobieta weszła do pomieszczenia, niosąc dwa białe kociaki. Położyła jednego z puchatych kotów na moich kolanach, a drugiego wepchnęła mi pod koszulę. Odwróciła się i wyszła.

– Proszę – powiedział wielkolud. – Kociaki sprawią, że prysną smuteczki.

Mężczyzna ponownie spojrzął w stronę wejścia, przez które przeszliśmy i drzwi same z siebie zsunęły się z góry z cichym trzaskiem. Zamykając się, wydały cichy jak szept odgłos *SSSSsss-fump*. Wewnętrzna strona drzwi pokrywała tak samo chropowata powierzchnia i ich zarys zniknął, gdy się zamknęły. Nagle poczułem klaustrofobię, jaką musi odczuwać ptasi pisklak zanim nie wydziobie się z jajka. Kociak drapał mnie po piersi, a ja rozchyliłem koszulę, żeby mógł wypaść mi na kolana.

Mężczyzna podszedł do ściany przed nami. Maską na jego obliczu tłumiła jego podekscytowaną minę.

– Pewnie zastanawiacie się, gdzie jesteście.

Uniosłem dłoń:

– Mam zamiar powiedzieć, że znajdujemy się w jakimś alternatywnym wszechświecie.

– To się zgadza. Nie traktujcie jednak tego jako konkretnej, fizycznej lokalizacji. Potraktujcie to jako inne, możliwe ułożenie atomów w waszym wszechświecie, które tworzą coś innego. Na zasadzie: dziś chmura, jutro kałuża.

– Tak – powiedziałem. – Teraz już mi się rozjaśnia.

Niespeszony wielkolud ciągnął dalej:

– Aby dostrzec jeden świat, a potem kolejny, trzeba mieć punkt styczny albo...

– Robaczą dziurę? – zapytał John, mając nadzieję, że naprowadza faceta na właściwe tory.

– Ten termin nie jest mi znany. Proszę, powiedzcie mi, jak to jest? Przechodzić na drugą stronę?

Wzruszyłem ramionami.

– Tak między nami, to niespecjalnie zwracałem na to uwagę.

John powiedział:

– Taaa, wcale tak różowo nie było.

Mężczyzna odczekał dłuższą chwilę w nadziei, że coś dodamy, ale nie dodaliśmy. W końcu powiedział:

– Oczekiwaliśmy waszego nadejścia, jak widzicie. Pracowaliśmy przez wiele lat, przeżywaliśmy liczne porażki, aby móc skomunikować się z inną płaszczyzną, taką jak wasza. Niektórzy twierdzili, że podróż z jednej do drugiej jest niemożliwa, ale proszę, oto jesteście. Bo widzicie, wasz świat jest jakby bliźniaczy do naszego, pęd wyrosły na tych samych śmieciach.

Mężczyzna odwrócił się i wskazał na ścianę, na której pojawiła się czarna litera „Y”. Nagle uświadomiłem sobie, że chropowata faktura ścian poruszała się i drgała, i że wcale nie było to dzieło zdolnego sztukatora. Były to owady, zbite w jedną masę, pokrywające całą powierzchnię ścian pomieszczenia, wielkości drobnej monety i najwyraźniej posiadające umiejętność kameleona – dowolnej zmiany barwy swoich pancerzyków.

– Aż do tego miejsca – powiedział mężczyzna, wskazując na trzon litery „Y”, w miejscu, w którym rozwidlała się na dwie gałęzie – nasza historia jest identyczna. To miejsce według waszego kalendarza oznacza rok 1864, a naszego Rok Minus Sześćdziesiąt Dwa, jak na niego mówimy. Żył wtedy pewien człowiek, Adam Rooney z Tennessee. W naszym i waszym świecie. W waszym świecie został zabity w wieku lat siedemnastu w czasach wojny secesyjnej, zadźgany podczas próby skrzyżowania byka z kłaczą szkockiej rasy Clydesdale. W naszym świecie przeżył.

Szeregi robali na ścianie znów zmieniły barwę, przybierając rozmaite odcienie brązu, beżu i czerni, tworząc schematyczny portret starszego mężczyzny palącego fajkę i spoglądającego przez grube okulary. Miał białą brodę jak pułkownik Sanders.

– Pan Rooney – ciągnął wielkolud – był geniuszem. Eksperymentował dalej w dziedzinie, którą nazywamy bestiologią.

– Tak – potwierdził John. – Południowcy pasjami oddają się tej dziedzinie.

Wielkolud odczekał sekundę, po czym mówił dalej:

– Jest to sztuka transformacji życia występującego w naturze w nowe formy, pomagające człowiekowi ulepszyć świat. W 1881 roku Rooney wyhodował samostrzygącą się owcę i gatunek węża zbierającego kukurydzę z pola. W 1890 roku jego grupa opracowała maszynę latającą w oparciu o organizmy owadów. W 1902 roku, czy też w Roku Minus Dwadzieścia Cztery według naszego kalendarza, stworzył prymitywną maszynę myślącą, na bazie mózgu świni.

Obraz za wielkoludem zmienił barwę, ukazując kilku mężczyzn stojących nad zbiornikiem jakiejś cieczy. Na powierzchni unosiła się poskręcana i zdeformowana masa, wyglądająca jak tkanka mózgowa wielkości mniej więcej małego psa. Mężczyźni mieli na sobie laboratoryjne fartuchy.

– Studiowałem wasz świat przez ostatnią dekadę, wasz język, waszą historię. Uderzyło mnie, że uparliście się, żeby wybudować maszyny obliczeniowe z metalu i silikonu, mając znacznie skuteczniejsze urządzenia pod czaszką. Nie przyszło to do głowy waszym naukowcom? W waszym roku 1922 otrzymaliśmy samowystarczalne, samodzielnie leczące się, wzrastające i modyfikujące się organiczne komputery, które były mniej więcej dziesięciokrotnie wydajniejsze od tych, których obecnie używacie w swoim świecie.

Obraz znów się zmienił i tym razem pół tuzina bardzo zadowolonych i dumnych z siebie mężczyzn stało na wprost potwora. Stwór górował nad nimi już nie ograniczony do zbiornika z płynem. Wyglądał niczym drzewo wyrzeźbione z flaków wieloryba – ohydnie poskręcana kupa mięśni, ścięgien i włókien, które rozwijały się tu i tam niczym pajęcza sieć. Stał wyprostowany niczym niewielkie drzewo, wielkości dwóch mężczyzn.

Zaczęło mi się kręcić w głowie i zamknąłem oczy. Czyżbym miał wstrząśnienie mózgu? Chwyliłem mocno za kociaki, jeden z nich zamiauczał. Po kilku chwilach naprawdę poczułem się znacznie lepiej.

– W 1926 roku, czy też w naszym Roku Pierwszym, pan Rooney odszedł od nas. Ale coś cudownego stało się z jego największymi wytworami – z maszyną obliczeniową, która pomagała

mu w tworzeniu wszystkich innych dzieł. Tego samego dnia, w którym odszedł od nas pan Rooney, jego dzieło zyskało świadomość.

Wielkolud zrobił efektowną pauzę w środku najwyraźniej wyuczzonego wystąpienia. Zdaje się, że był to moment, w którym mieliśmy wstrzymać oddech i westchnąć z zaskoczenia. Uprzejmie skinąłem głową.

– Nadało sobie imię – powiedział wielkolud – i zaczęło wyrażać potrzeby i emocje. Była to wielka niespodzianka. Dzieło kontynuujące dzieło Rooneya i podporządkowujące całą żywą naturę chęci ludzkiego postępu.

Nagle na naszych oczach rozpostarł się obraz otwartego, bagnistego pola. Całe pomieszczenie zmieniło się w jeden wielki obraz, panoramiczny ekran od patrzenia, przez co ponownie poczułem zawroty głowy. Obraz najechał na długi okop podobny do tych z pierwszej wojny światowej. Okop ciągnął się w dwie strony, a na jego krawędzi stali mężczyźni, kobiety i dzieci, ustawieni ramie przy ramieniu. Niektóre dzieci płakały. Wszyscy nosili ubrania z brązowymi i białymi smugami i wydawało się, że całe składają się z cienkich pasków owiniętych wokół ich ciał. Pomyślałem przez chwilę, że zawinęli ich jak balerony.

Ludzie zdawali się wykonywać jakieś nieme polecenie i wszyscy jak jeden mąż skoczyli do błotnistego okopu. Dzieci trzeba było ściągać wbrew ich woli. Nagle z ziemi podniosły się kłęby kurzu u ich stóp i okop zaczęła wypełniać ciemna masa. Zbliżenie ujawniło, że była to masa setek tysięcy pajaków, o kanciastych korpusach oznaczonych żółtymi pasami. Hodowanych do walki.

Rozległ się jeden wielki krzyk. Pajaki roiły się na swych ofiarach zagłębiając się pod skórę i włączając przez poszarpane rany w mięśniach. Zobaczyłem jak jeden z pajaków wystrzela z oka jednego mężczyzny, a pół tuzina innych przegryza się przez dziury w plecach drugiego, wyłaniając się potem z jego brzucha i ciągnąc za sobą festony wnętrzości. Krew tryskała, kończyny spadały na ziemię, kości z nóg i klatek piersiowych były gwałtownie wrywane z ciała.

I nagle pająki zniknęły. Ukazał się obraz porozrywanych i pokrwawionych ofiar, ale uświadomiłem sobie, że nikt nie zginął. Pająki pozostawiły po sobie sterty, setki setek krzyczącej, czerwonej, wijącej się w bólu masy ludzi bez kończyn, z wyrwanymi olbrzymimi kawałami ciała, ślepych i głuchych, niezdolnych do poruszania się ofiar. Nikt nie przyszedł im na ratunek. Kamera robi odjazd, by pokazać rów ciągnący się wiele kilometrów w obie strony, a cała jego długość ma teraz barwę różową, jak autostrada na mapie, krzyki wzbierają z każdą chwilą i...

I wszystko znika. Powraca biały pokój i stojący przed nami wielkolud, i widzę wyraźnie, że kraśnieje z dumy. Mówi:

– Zawsze znajdą się wstecznicy opierający się postępowi.

Mój wzrok krąży po pomieszczeniu i znów czuję, że się duszę. Nie ma drzwi. Do diabła, nawet nie potrafiłem wskazać miejsca, w którym były. Spoglądam na Johna i widzę wyraźnie, że stara się ocenić, czy krzesła na którym siedzi można użyć jako broni. Wygląda jakby było zakorzenione w podłodze.

– No i tak – mówi wielkolud. – Znając wasz świat, podejrzewam, że ta część może być dla was trudna do zaakceptowania. Pozwólcie, że podam przykład. Czy w waszym świecie, tak jak w moim, zabranie i używanie przedmiotu bez pozwolenia, przedmiotu, którego aktualnie używa ktoś inny i jest mu bardzo potrzebny, nie jest uważane za złe?

– Tak, w naszym świecie nazywa się to „kradzieżą” – mówi John z lekkim zniecierpliwieniem.

– Jednak za większą zbrodnię uznaje się poszczucie jadowitych pajaków na bezbronny tłum. Nazywamy to „arachnóbójstwem”.

– A w przypadku, jeśli ukradziony przedmiot później zrani albo zabije człowieka? Wtedy kradzież będzie ratowaniem życia. A co będzie, jeśli zapragnie użyć tego później jako broni, przeciwko niewinnej osobie? I jeśli ta broń zabije dziecko, które później mógłby wyrosnąć na dorosłego człowieka, który znajdzie lek na straszliwą chorobę?

John, który już wciągnął się w rozmowę, podrapał się po brodzie, wzruszył ramionami i powiedział:

– Cóż, tego nie można wiedzieć, ale robi się co w ludzkiej mocy, żeby....

– A jeśli można wiedzieć... – powiedział wielkolud. – Wy macie już w swoim świecie maszyny, które potrafią przeliczać i przewidywać skutki i rozmaite scenariusze wydarzeń, takie, które mogą na podstawie temperatury powietrza i kierunku wiatru przewidzieć pogodę z wyprzedzeniem. A gdyby istniała maszyna myśląca, istota tak potężna, że byłaby w stanie przewidzieć wynik każdego działania? Byłaby obdarzona fundamentalną moralnością i prawdziwą zdolnością wskazania właściwej ścieżki.

Powiedziałem:

– Cóż, są w naszym świecie ludzie, którzy wierzą w...

– Nie mówię tu o wierzeniach. Mówię o tym, co istnieje tu i teraz, w naszym świecie. Jest to coś, czego można dotknąć i zobaczyć, i powąchać. Coś realnego.

Dolna połowa maski przekrzywiła się i uznałem to za uśmiech.

– Chodźcie za mną.

Litościwie drzwi otworzyły się. Miałem chęć przywalenia temu typowi i rzucenia się do ucieczki, ale dokąd mielibyśmy uciekać? Nie można już było być dalej od domu niż byliśmy. W gruncie rzeczy nasz dom dosłownie nie istniał w tym momencie. Wielkolud prowadził nas z powrotem przez korytarz, teraz całkiem wyludniony. Doprowadził nas do kolejnego kamiennego portalu i kiedy drzwi odsunęły się, stanęliśmy przy jakimś szybie, na tyle dużym, że mogłaby poruszać się w nim winda towarowa. Prowadził prosto w dół, a rzędy światełek niknęły w ciemnościach setki metrów w dół.

Cienkie, czarne kończyny pojawiły się na jego krawędzi – każdej wielkości mojego ciała. Odskokczyłem w tył i usłyszałem pisk, bo nadepnąłem na kotka, który najwyraźniej szedł za mną. Wielkolud położył mi uspokajająco dłoń na barku.

Odnóża należały do pająka.

Pająka wielkości furgonetki.

Wspiął się na przeciwległą ścianę szybu, swoją masą wypełniając całą przestrzeń, jakby wybudowano go specjalnie dla niego. Mieliśmy przed oczyma jego wielki, wybrzuszony odwłok. W ciele pająka pojawiła się szpara, która otworzyła się, ukazując raczej czyste wnętrze o mleczobiałym kolorze. W środku nawet zamrugały światła.

Wielkolud wszedł do pająka i było tam na tyle miejsca, że mógł stać. Zaprosił nas do wnętrza i od razu postanowiłem, że nie, nigdy w życiu, za żadne skarby tam nie wejść. Ale wszedł John, a potem pies, a następnie puchate kociaki, więc tak naprawdę nie miałem większego wyboru. Wszedłem do środka potwora i odwłok zamknął się, zatrzymując nas we wnętrzu. Po chwili pająk drgnął i zaczęliśmy zjeżdżać na dół.

– Myślisz to, co ja? – zapytał John.

– Że gdyby widział to Franz Kafka, to głowa by mu eksplodowała?

– No, właśnie tak.

Wielkolud postanowił kontynuować opowieść i powiedział:

– Znajdujemy się u progu roku Siedemdziesiątego Siódmego naszej nowej ery, epoki przewodnictwa i oświecenia. Poczyniliśmy wielkie kroki. Bardzo niewielu rzeczy nie jesteśmy w stanie wyekstrahować z siły życiowej, która jest najpotężniejszą siłą we wszechświecie. Życie to energia kontrolująca pozostałe źródła energii. Żywy człowiek jest w stanie rozszczepić atom i podróżować do gwiazd, a wkrótce przemieszczać się z jednej rzeczywistości w drugą. Ale to życie jest maszyną w centrum tego wszystkiego.

Jechaliśmy jeszcze przez kilkanaście minut, a potem, ku mej wielkiej uldze, pająk otworzył się i wypuścił nas do wielkiej, otwartej sali zwieńczonej kopułą podobnie jak poprzednia, oraz jak podziemny kompleks przez który opuściliśmy nasz świat. John szturchnął mnie i wskazał na rząd okien nad nami, które przypominały przeszklony amfiteatr, jaki można zobaczyć w niektórych klinicznych szpitalach. Za szkłem zobaczyliśmy nagie, zakapturzone postacie, cały ich tłum. Zastanawiałem się, czy kupili sobie bilety na to widowisko. Wielu ludzi w pierwszym rzędzie przyciskało swoją nagość do szyb i wiedziałem, że ten nieapetyczny widok będzie mnie prześladował w koszmarach. Tuż pod oknami stały przeźroczyste zbiorniki – słoje wielkości człowieka. Stały pod ścianami i każdy z nich wypełniała ciecz o barwie głębokiej czerwieni. Już

miałem zapytać naszego przewodnika, co to za płyn, ale on wyszedł przez kolejne drzwi i ponaglił nas, żebyśmy za nim poszli. Przeszliśmy przez korytarz i kolejne drzwi, za którymi uderzył mnie w nozdrza straszliwy smród.

Siarka. Zapach tak silny, że zdawał się grzechotać w moich płucach. Przeszliśmy przez pomieszczenie i wyszliśmy na kładkę zawieszoną w ciemnej przestrzeni, która zdawała się rozciągać w nieskończoność we wszystkich kierunkach. Wszedłem na nią i zatrzymałem się. Wyciągnąłem szyję patrząc najpierw w dół, cały czas w dół, a potem w górę. Nie widziałem ani góry, ani dołu tego czegoś, co wyrastało przede mną.

Och, słodki Jezu...

– Panowie – powiedział wielkolud. – To, co widzicie, zobaczyło ledwo kilku wybranych. Patrzycie na ostateczną postać dzieła pana Rooneya, które teraz stanowi absolutną mądrość i siłę naszej egzystencji. Johnie, Davidzie – poznajcie Korroka.

W tym momencie zawahałem się ze swą opowieścią. Kiedy próbuję przywołać w myślach wizerunek Korroka widzę tylko kulę syfu, jaka gromadzi się pod kuchennym zlewozmywakiem, zbitek tłuszczu i włosów splukiwanych przez lata z pomyjami. Wyglądało to tak, jakby ktoś zebrał cały szlam z kanalizacji na Ziemi i sklecił z tego coś wielkości Statuy Wolności, a następnie ożywił to coś psychotyczną energią, jaką karmi się szykujący się do linczu motłoch. Na Korroka składało się tyle tego, że nie sposób było dokładnie się mu przyjrzeć – poskręcana kiść widocznych wyraźnie organów wewnętrznych i włókien, zwisających, zakończonych bulwiasto kończyn, zawilgotniałych otworów i oślizłych krągłości oraz ciemnych, czarnych bulw oblanych oleistą mazią, zmieniających barwy na podobieństwo tęczy na jego powłoce. Każdy fragment jego ciała poruszał się. Patrzyłem na to całą wieczność i stwierdziłem, że mój mózg tego nie ogarnia.

I nagle w mojej głowie usłyszałem wysoki, rechotliwy śmiech dziecka.

Witam – powiedział obcy głos w mojej głowie. Brzmiał jak głos rozpuszczonego bachora. Twoja parówka jest jeszcze mniejsza na żywo.

Zachichotało. Pomyślałem: To ma być Korrok?

Wystarczy drobna zmiana w chemii mózgu i zrobię z ciebie pedofila.

Czego chcesz? – zapytałem w myślach.

Nie taka jak wielkie, czarne fajfusy. Więc mamy jeszcze mniej wspólnych cech.

Długi, naprawdę długi, głośny śmiech zagrzechotał mymi kośćmi. Popatrzyłem w bok i zobaczyłem, że John i wielkolud rozmawiają ze sobą zapomniawszy całkowicie o mnie.

Pomyślałem: Wynoś mi się z głowy. Nie chce mi się z tobą gadać.

JAM JEST KORROK. W górach Urugwaju koza wsadziła kopyta w szczelinę i jej kość pęka jak cienka witka. Kość wystaje spod skóry, krew bryzga na białą sierść. Siedzi tak uwięziona przez trzy dni. W końcu nadchodzi wilczyca z młodym w pysku. Pozwala małemu wilczkowi żerować na kozie – mały odgryza kawałki sierści i skóry, dobierając się do mięśni. Koza wszystko czuje i krzyczy. Jest ból, mnóstwo bólu, ale ani koza, ani wilczyca, ani młode nie rozumieją swego miejsca w tej machinie. Ja stoję nad tym wszystkich i wyzywam ich od pedałów. JAM JEST KORROK.

Spierdalaj. Dla mnie jesteś tylko glutem z kibla. Wielkim, popierdolonym wypierdkiem. Wyglądasz jak zlepek wszelkiego gówna.

Długi, bardzo długi dziecięcy śmiech.

Davidzie Wong, synu chorej psychicznie prostytutki i nadpobudliwego sprzedawcy Amwaya. Są światy, wiele światów, nieskończoność, której nie jesteś w stanie pojąć. Możesz przechodzić z jednego w drugi i odnaleźć mnie w tysiącach tysięcy z nich, rozpostartego niczym gwiazdy na niebie między jedną rzeczywistością a drugą. To oni mnie zaprosili. To oni mnie zrodzili. I wkrótce twoi zrobią to samo, ludzie pracują bez wytchnienia, by to osiągnąć. Sprowadzają mnie do swego świata, bo zawsze pragną tego, co tylko ja mogę im dać. W tym miejscu siedem miliardów osób nosi mój znak. A w niezmierzonej nieskończoności światów rządzą niemal ich potową.

I nagle zobaczyłem po raz pierwszy, jak ciemność w komnacie porusza się. Czarne kształty, ludzie cienia, skrawki nicości wirowały w tym miejscu, pokrywając Korroka niczym dym nad plamą ropy. Przesuwały się przed nim i przechodziły przez niego każdym otworem ciała i

zakamarkiem skóry. Jego mroczni uczniowie. Usłyszałem jakiś dźwięk i uświadomiłem sobie, że ktoś do mnie mówi z zewnątrz. Odwróciłem twarz w stronę wielkoluda.

– ... największe dobro dla najlepszych ludzi – kończył zdanie. – A więc rozumiecie. Kiedy Korrok sprawuje sądy, są niekwestionowane. Potencjał wszystkich ludzkich umysłów żyjących w całej historii gatunku, wszyscy wasi myśliciele, pisarze, filozofowie i nauczyciele nie są w stanie równać się z nawet jednym skinieniem sieci neuronów Korroka. Przekonaliśmy się o tym na własnej skórze.

Spojrzałem na Molly tak, jakbym szturchnął jej brzuch butem. Jakbym starał się zmusić jej kiszki do pracy.

Wielkolud powiedział:

– Dwadzieścia lat temu Korrok przewidział wasze nadejście. Korrok pokazał nam, jak jest w waszym świecie, otworzył kanały komunikacji. Nie mogliśmy przejść na waszą płaszczyznę samodzielnie. Próbowaliśmy. Och, bardzo mocno próbowaliśmy. Bo widzicie, kiedy człowiek przechodzi na inną płaszczyznę, przechodzi jego ciało. Ale tylko ciało, które wałęsa się bez celu niczym jakaś krowa. Osoba podczas przejścia... odrywa się. Niemniej jednak pracowaliśmy bez wytchnienia, by stworzyć w waszym świecie to, co mamy tutaj, aby przygotować was na ten wspaniały dzień, kiedy przewyciężymy wszelkie przeszkody i postawimy naszą stopę na waszej ziemi i zobaczymy słońce waszymi własnymi oczami.

Wielkolud położył mi dłoń na ramieniu. Wzdrygnąłem się.

– Wasza przyjaciółka, ta dziewczyna, Amy Sullivan. Jest znana, bo ona była pierwszym krokiem. Udało się ją przetransportować z jednego miejsca do drugiego w waszym świecie bez zatrzymywania się po drodze i bez szkody dla transportowanej. Zrobili to wasi. Korrok pokazał im jak. Mając to, wiedzieliśmy, że jesteśmy blisko, widzieliśmy już słabe światło słońca sygnalizujące nowy świt. Panowie, wraz z waszym przybyciem ten świt nadszedł. To, co może jeden człowiek, potrafią i inni, a wy pokażecie nam drogę przejścia z jednego świata do drugiego. To jest najwyższe dobro. I niemożliwe, żeby było inaczej. Korrok powiedział nam, że będziecie zaszczytzeni i bez wątplenia powinniście się tak czuć – mężczyzna wyciągnął szyję, spoglądając w górę, w ciemność. Powiedział: – Nie można szacować mądrości stale łączącego się geniuszu miliardów. Widzicie, w naszym świecie, kiedy rodzi się człowiek obdarzony wielką mądrością i inteligencją, dzieli się swoją mądrością z Korrokiem, żeby Korrok rósł w siłę. Patrzcie.

Ze ściany jakieś dwa piętra ponad nami wyłoniła się cienka struktura. Przechyliła się w dół i zdawała się nie mieć stopni, jakby był to jakiś zsymp. Przy jego końcu, który przylgnął do Korroka, otworzył się otwór zakończony czymś w rodzaju dzioba. Po równi pochyłej zaczął staczać się jakiś grubas, machając kończynami. Miał na sobie te same brązowe pasy, jakie widziałem na filmie w pokoju z robalami. Korrok chwycił mężczyznę w dziób gruchocząc mu kości i rozbryzgując czerwone strugi krwi dookoła.

Usłyszałem wysoki śmiech w mojej głowie.

Mmmmmm. Baleronik!

Na moich oczach w Korroku utworzyła się szczelina, która otworzyła się szeroko. Spojrzało na mnie jaskrawobłękitne oko, wielkie niczym ekran w kinie. Z cienką, czarną, pionową źrenicą.

Rzuciłem się do ucieczki.

Wypadłem przez drzwi, zszedłem z kładki, przez kolejne drzwi, korytarzem i z powrotem do okrągłego pomieszczenia z galerią nagusów. Ludzie wciąż tam stali, teraz szurając i gestykułując, podekscytowani szaleńczym zachowaniem dziwnego gościa. Drzwi okrągłego pomieszczenia zsunęły się w dół zanim do nich dopadłem i walnąłem weń bezsilnie dłońmi. Wielkolud zawołał zza moich pleców i odwróciłem się na pięcie, dysząc ciężko. Wyciągnął dłoń w uspokajającym geście.

– Rozumiemy, zapewniam cię, że rozumiemy. Obserwowałem cię od jakiegoś czasu. Wiesz, że tak było. I widziałem wycinek twego dzieła. Zbliżamy się do waszego świata z niezwykłą prędkością. Nasi robotnicy przygotowują się do tego we dnie i w nocy. Mamy już całe legiony po naszej stronie. I wkrótce wszystkie zawieruchy, niepokoje i sprzeczności znikną pod kojącą dłonią Korroka.

Kociak pacnął mnie łapą w nogę. Kopnąłem go przez całe pomieszczenie.

– Patrz tylko – powiedział wielkolud. – Możemy dokonać tego, co w twoim świecie uchodzi za cud. Patrz uważnie.

Podłoga pod moimi stopami zniknęła. Czy też powinienem powiedzieć: zrobiła się przezroczysta jak szkło. Poda mną pojawiło się kilkadziesiąt przerażonych, zwróconych w moją stronę twarzy. Były odkryte i wyglądały tak samo, jak ludzie z mego świata. I nagle, w tym momencie uświadomiłem sobie, że pod maską wielkiego mężczyzny znalazłbym coś zupełnie innego niż szeroko otwarte oczy i nieogolone twarze, jakie widziałem w dole. Patrzyłem w dół na coś, co wyglądało jak cela więzienna pod podłogą, a każda osoba była uwięziona w heksagonalnym szklanym przepierzeniu o szerokości nieco większej niż ramiona więźnia, w masywnym krystalicznym ulu. Podłoga nie była dźwiękoszczelna, bo usłyszałem ich stłumione krzyki. Zobaczyłem jak John stąpa po podłodze i zatrzymuje się z wyraźnym obrzydzeniem.

Wielkolud zrobił ruch ręką i jeden z sześciokątnych bloków wyjechał bezgłośnie z podłogi. W środku znajdował się trzydziestoletni mężczyzna z kręconymi, czarnymi włosami, którego trzymano w tej gablocie niczym eksponat muzealny. Usłyszałem syk mechanizmu podnoszącego pozostałe kapsuły i wkrótce otaczało nas sześć szklanych pojemników. Wielkolud powiedział:

– Potrafimy zarządzać każdą komórką wedle woli. Potrafimy zmieniać mięśnie w kość i na odwrót, skórę w pancerz, palce w szpony. I możemy to robić dowolnie, według potrzeb. Patrzcie.

Kędzierzawy mężczyzna patrzył na nas z przerażeniem w oczach, z dłońmi przyciśniętymi do szyby. Nagle krzyknął. Z początku nie było widać, co mu się stało, ale po chwili zobaczyłem, że jedno z jego kolan zgina się w drugą stronę, wystając już na wysokości barku. Skóra twarzy stopiła się i stwardniała, tworząc niewielką, owadzią głowę, a reszta ciała stała się szara i pokryta łuskami niczym u aligatora. Molly zawyla i podbiegła do ściany. Nie byłem pewien czy jest przerażona, czy też w końcu przemówiły do niej burritos w brzuchu.

Okręciłem się dookoła własnej osi, spoglądając teraz na pół tuzina bestii, które nas tu zagnały. Bestii z piwnicy Jima. Prawdziwych Lochbestii. Szklane ścianki zjechały w dół i stworzenia stanęły teraz, otaczając nas ścisłym kordonem.

– I kiedy ciała im się zmieniają – powiedział wielkolud – zmieniają się też mózgi. Wspomnienia to tylko wyładowania elektryczne na neuronach i kiedy się zmieniają, są w stanie opierać się naszym poleceniom z równą skutecznością, co gałązka opiera się płomieniom – przyglądał mi się spod swej gumowej twarzy, po czym dodał: – jak sam wiesz.

Ruszyłem w stronę wielkoluda, mając zamiar wziąć go na zakładnika i negocjować opuszczenie tego miejsca. Sięgnąłem po broń w kieszeni, ale uświadomiłem sobie, że jej nie mam i wyciągnąłem zamiast niej zapasowy magazynek. Cisnąłem nim w wielkoluda, który aż drgnął, kiedy odbił się od jego piersi. Rzuciłem się naprzód.

Poruszały się bardzo szybko. W ułamku sekundy moją szyję, ramiona i nogi oplatały szponiaste łapy. Dwa potwory trzymały mnie niczym Kena, partnera Barbie. Wielkolud wyglądał na zawiedzionego, jak sądzę. Maskę oklapła nieco. Powiedział:

– To co chcemy, żebyś zrobił, jest bardzo ważne. Korrok przewidział rezultaty. Tak się stanie, czy będziesz się opierał, czy nie. Zmieni się tylko stan twego zdrowia. To wszystko dla większego dobra. Nie rozumiesz tego?

Jego głos brzmiał tak, jakby za chwilę miał się rozplakać, przytłoczony moim tragicznym brakiem zdolności uchwycenia tego, co oczywiste. Dwa potwory wyniosły mnie z pomieszczenia, ciągnąc mnie z powrotem przez korytarz. Pozostałe cztery rzuciły się na Johna i usłyszałem jak klnie na głos. Wielkolud poszedł za mną i drzwi zamknęły się za nim, przytłumiając krzyki Johna, że ma atak i że muszą go puścić. Krzyknąłem:

– Zapal psa! John! Zapal psa! – ale stwierdziłem, że drzwi są równie dźwiękoszczelne w jedną jak i w drugą stronę.

Zostałem zaciągnięty do kolejnego niewielkiego, okrągłego pomieszczenia w towarzystwie wielkoluda. Drzwi zamknęły się za nami i potwory puściły mnie. Zobaczyłem, że nie jesteśmy sami. W drugim końcu pomieszczenia dostrzegłem drobną postać wtuloną w ścianę. Rude włosy.

– Amy!

Podbiegłem do niej i walnąłem twarzą o pustkę. Upadłem na ziemię i zrozumiałem, że uderzyłem w szklaną ścianę, czy też jakąś inną przeźroczystą zaporę, którą przegrodzono pokój.

Amy podniosła wzrok w otepiałym zaskoczeniu. Wyglądała, jakby trwała w głębokim szoku. Wielgus powiedział:

– Nasi przedstawiciele rozjechali się po całym waszym świecie. Planowaliśmy to od lat i teraz wszystkie elementy układanki są na swoim miejscu. Teraz to tylko kwestia oczyszczenia drogi, wytarcia waszego świata do czysta. Dwie szklanki. W waszej jest woda, w naszej jest wino. Aby napełnić waszą szklankę winem, musimy najpierw wylać wodę. Nie rozumiesz, że wino jest lepsze od wody?

W części pokoju z Amy otworzyły się drzwi i do środka weszło dwóch mężczyzn. Nie byli nadzy, bynajmniej. Byli ubrani jakby w wiele warstw skóry, barki wystawały im wypchane czymś twardym. Wyglądali jak funkcjonariusze oddziału saperów. Nieśli ze sobą pojemnik o wielkości beczki. Był koloru czerwonego i posiadał olbrzymią, żółtą, ostrzegawczą nalepkę, z wypisanymi na niej końskimi literami, które wyglądały na alfabet elficki. Postawili pojemnik na ziemi i otworzyli zamknięcie. Następnie odwrócili się i biegiem uciekli z pomieszczenia.

Amy wstała i przycisnęła się do ściany. Pokrywa pojemnika odskoczyła i zsunęła się na ziemię. Wstrzymałem oddech. Spoglądając to na Amy, to na pojemnik, czekałem, co wyłoni się z ciemnego wnętrza. Podbiegłem bliżej i przycisnąłem dłoń do szyby, wykrzykując jej imię. Zauważyłem, że nie ma lewej dłoni.

Pojedynczy, biały, niewielki owad wyfrunął z pojemnika. Był cienki i bezskrzydły, ale i tak latał, przemknął w powietrzu zbliżając się do Amy. Cofnęła się przed nim, śledząc go wzrokiem, kiedy zaczął wirować nad jej głową.

– To cudowne stworzenie – powiedział wielkolud. – Ma umysł, instynkt i ludzkie żądze, tylko nie ma kończyn, nerwów czy receptorów czucia. Wie tylko jak latać i rozmnażać się, i kiedy znajduje nosiciela, w kilka minut wydaje na świat dwadzieścia tysięcy potomstwa. Rośnie szybko w tkance miękkiej nosiciela, a następnie każdy uwalnia się, szukając nowego nosiciela. I tak dalej.

To już wiedziałem. Insekty wciąż bzyczały wokół, bzyczały bez końca. Nagle jeden z nich wylądował Amy na ramieniu. Pacnęła go jak komara. Znów krzyknąłem do niej, ale mnie nie usłyszała. Teraz Amy zaczęła krzyczeć. Oderwała dłoń i spojrzała na nią jakby nadzieją się na gwóźdź. Potrząsnęła dłonią i potarła nią o ścianę, robiąc wszystko, co w jej mocy, by oderwać owada od skóry – bezskutecznie. Zagłębił się w jej ciało.

Walnąłem w szybę, patrząc na to bezradnie. Amy patrzyła to na dłoń, to na mnie, zaskoczona, nawet nie wiedząc, co to oznacza. Odwróciłem się na pięcie do wielgusa i powiedziałem:

– Odkręć to. Daj jej jakieś antidotum, jakiś środek owadobójczy, coś co zabije to paskudztwo.

– Wszelkie rozwiązania tego rodzaju też ją zabiją. Nie, to może skończyć się tylko w jeden sposób. Korrok dopilnował tego.

Odwróciłem się ponownie i zobaczyłem jak Amy ześlizguje się po ścianie, znów siadając na podłodze z beznadzieją wypisaną na twarzy. Wyglądała, jakby spodziewała się obudzić lada chwila, znaleźć się w swoim łóżku.

– Przyszłość jest jaka jest – stwierdził wielkolud. – Wasi ludzie zostali zatruci mitami, w których pojedynczy człowiek odwraca falę przyboju, nieprawdopodobnymi opowieściami o bohaterach potrafiących uciec przed eksplozją. Takie opowieści są u nas zakazane. Wydarzenia są jasne i dobrze znane. I nie można ich odwrócić. Nie ma bohaterów, panie Wong. Korrok obliczył wszystko do pojedynczego atomu i niczego nie zostawiamy przypadkowi.

W tej właśnie chwili drzwi otworzyły się z rozmachem. Oślizła, brązowa breja wpadła do pomieszczenia szerokim lukiem.

John miał plan.

Jeśli mu wierzyć, wtedy kiedy ciągnęli mnie do pomieszczenia z Amy, cztery Lochbestie przytrzymały Johna, a on wołał, że ma atak i zaczął wymachiwać rękami.

– ATAK! JA MAM ATAK!

Na sali obserwacyjnej wywołało to niemałe poruszenie, bo obserwatorzy nie wiedzieli, co mają robić, gdyż wielgus sobie poszedł i Międzywymiarowy Festiwal z Udziałem Zaproszonych Gości szybko wymykał się spod kontroli. Molly zaczęła skowyczeć w tym samym momencie i trząść się na całym ciele. John wiedział, że oba burritos Generała Valdeza z mikrofalówki za chwilę ponownie pojawią się na scenie wydarzeń.

Drzwi otworzyły się i wpadła ekipa ratunkowa – cztery zakapturzone kobiety, każda niosąca kociaka w obu dłoniach. Za nimi do pomieszczenia wlewało się coraz więcej osób i John zrozumiał, że to publiczność z amfiteatru, która miała teraz wymówkę, żeby podejść bliżej. Byli to najwyraźniej ludzie o pewnej pozycji, bo na ich skinienie cztery potwory puściły Johna. Padł na ziemię i dziewczyny błyskawicznie położyły kocięta na nim i nachyliły się z troską.

– Muszę wziąć swoje leki! – krzyczał John do niewielkiego, bladego mężczyzny, który jak podejrzewał był Azjata. Ani on, ani nikt inny w pomieszczeniu nie wiedział, co John mówi. – Moje lekarstwo na atak!

John sięgnął do kieszeni i kilku gapiów odskoczyło od niego. John wyciągnął tytoń i bibułki, i podniósł je do góry, by pokazać, że to nie jest żadna broń. Grupa stała i obserwowała z niekłamaną fascynacją, jak John usiadł strącając z siebie kociaki. Zebrał wszystkie pokłady koncentracji i zaczął kręcić szluga, idealnego papierosa, który mógł uratować nasz wszechświat.

Nasypał tytoniu, zrolował, zwinął w lekko stożkowaty róg tytoniowy, na widok którego zaklął ze złością. Próbował drugi raz, niemal mu się udało, a w końcu skręcił trzeciego. Był idealny.

Zerknął na Molly i skinął nieznacznie głową. Wtedy, piszcząc, Molly wydała z siebie odgłos przetykanej kanalizacji. Kupa wypadła jej z pomiędzy tylnych łap i była to ta kupa, w której John od razu rozpoznał psią kość, która nie została strawiona, gdyż składała się z niestabilnej, bardzo skondensowanej masy środków wybuchowych, a nie z rogów i sfermentowanej krowiej sierści, z których zwykle składają się psie przysmaki. John zapalił idealnego papierosa, wziął macha i skinął w podzięcie do grupy gapiów.

John skoczył na równe nogi. Wyciągnął dłoń w stronę ludzi oraz czterech paskud obecnych w pomieszczeniu. Wykrzyknął:

– Nie zbliżać się!

Podszedł do kupy i krzywiąc się wydobył kawałek wybuchowego psiego przysmaku. Małym palcem zrobił w niej dziurkę, następnie wsadził w nią niezapalony koniec papierosa. Postawił dymiące ustrojstwo na suchym fragmencie podłogi, wstał, sprawdził czas, a następnie popatrzył na cienki, żółtobrazowy strumyczek wyciekający z psa.

– Molly, nadszedł czas, by powiedzieć pa, pa!

John podniósł srającego psa, trzymając go obiema rękami za pierś tak, że łapy mu dyndały w powietrzu. Wpadł z pomieszczenia krzycząc:

– Z drogi, wszyscy z drogi. To zaraz wybuchnie – John targał psa przez korytarz, stanął przed pierwszymi zamkniętymi drzwiami. Nie było żadnej klamki, żadnych przycisków czy wajch. Krzyknął: – Otwieraj, chuju jeden! I drzwi otworzyły się posłusznie.

John zobaczył wielgusa i pomieszczenie z uwięzioną Amy. Zobaczył mnie z szaleństwem na twarzy i postanowił, że najlepiej będzie nakierować tyłek Molly na wroga, w nadziei, że go osra. Psinka to zrobiła.

Zakryłem twarz ręką, kiedy ciepłe gówno rozbryznęło się po całym pomieszczeniu, a pies wydał agonálny skowyt. Wielgus był zaskoczony obrotem wydarzeń i padł na ziemię. John puścił Molly, wyciągnął zippo z kieszeni, zapalił ją i cisnął w jedną z Lochbestii. Zapalniczka walnęła ją w łeb w żółtoniebieskim błysku – potwór zawył. John podbiegł i sprzedał mocnego kopa prosto w żebra wielkoluda. W mgnieniu oka bestie rzuciły się na niego, a wielgus krzyczał, by go nie zabijały, że wszystko jest pod kontrolą.

Jakby na zaprzeczenie jego deklaracji, zauważyłem kawałek stałego kału na podłodze, z którego wystawał kolejny, ukraszony kawałek wybuchowej kostki. Złapałem go w rękę, podbiegłem, dałem nura i chwyciłem zapalniczkę Johna z podłogi. Zobaczyłem, że grupa z korytarza przepycha się przez drzwi, włącznie z czterema Lochbestiami, które odrzucały nagich gapiów na bok i wpychały

się do pomieszczenia. Podniosłem psią kupę i pstryknąłem zapalniczką, a płomień zatańczył o cal od wybuchowych ekskrementów.

– W tej kupce jest wystarczająco materiałów wybuchowych, by zawaliła się cała ta jaskinia. A teraz wypierdalać stąd.

Choć musieli mieć jakieś podstawy angielskiego, najwyraźniej jednak nie zawierały one tych dwóch zdań. Nikt się nie ruszał przez dłuższą chwilę, a jedynym dźwiękiem rozlegającym się w pomieszczeniu były popierdywania, dobiegające z przewodu trawiennego psa.

– ALE JUŻ!

Wielgus zrozumiał doskonale. Podniósł się z ziemi i dał znak Lochbestiom przy drzwiach. Po raz pierwszy zrozumiałem, że tutejszy ludek porozumiewał się na zasadzie telepatii. Będę musiał znaleźć później czas, żeby się pozachwycić tym zjawiskiem. Bezgłośnie polecenia Wielgusa sprawiły, że pomieszczenie opustoszało i zamknięto drzwi. Zostaliśmy tylko John, pies i ja w towarzystwie Wielkiego Wielgusa. Odwróciłem się do Amy, która patrzyła na nas spod zmrużonych powiek, z jakąś taką przepełnioną niesmakiem ciekawością gapia spoglądającego na wypadek.

Krzyknąłem:

– Cofnij się! Aż do ściany!

John i ja nie omawialiśmy naszego planu. Przypadliśmy do podłogi, wyciągnęliśmy kawałek kostki z kupy – mieliśmy może jej ćwiartkę w sumie – i kluczykami od samochodu Johna odkroiliśmy niewielki kawałek, może wielkości ziarnka ryżu. Przylepiliśmy, wiecie czym, ładunek do szyby, jakieś dwa cale nad podłogą. John zapalił zippo, oparł ją o szkło, żeby płomień zaczął lizać rozsmarowaną masę.

Rzuciliśmy się na koniec pomieszczenia i zakryliśmy głowy rękami. Huk był potężny. Ostre TRAAACH! rozległo się, jakby w bębni wbito nam gwoździe. Nie słychać było jednak odgłosu pękającego szkła i bałem się, że się nie udało. Wstałem i zobaczyłem w rozwiewającym się dymie wielką dziurę wybitą w przezroczystej ścianie, jak w styropianie. Amy wybiegła do mnie, a ja objąłem ją mocno.

Zapytała:

– Gdzie my jesteśmy? Nie wiem, w jaki sposób...

– Później. – Zwróciłem się do wielgusa: – Jeśli nie potrafisz jej wyleczyć, to musisz nas stąd wydostać, żebyśmy mogli przejść do naszego świata. My znajdziemy jakiś sposób.

– Bardzo chętnie. Niedługo będą się... wylęgać.

Powiedziałem:

– Niech zgaśnie. Jeśli zginie, to robactwo wyjdzie z niej od razu, prawda?

Nie odpowiedział, ale ja wiedziałem, że mam rację.

– Dobra, w takim razie masz solidną motywację, żeby zadbać o jej bezpieczeństwo, nie myślę się? A teraz wyprowadź nas stąd, kurwa twoja mać.

John dodał:

– I to szybko.

Dwie sale dalej słupek popiołu spadł ze skrzyconego papierosa na pobrudzony psi przysmak. Niewielki pomarańczowy żar tlił się na końcu reszty papierosa.

John powiedział do mnie:

– Mamy – zastanowi się przez chwilę – pięć minut trzynaście sekund do odpalenia krakersa.

Spojrzałem na zegarek. Nie mogłem znaleźć funkcji odliczania i zanim ją nastawiłem udało mi się zmienić datę i strefę czasową, a potem musiałem ustawić stracony czas.

04:48

Wypadliśmy przez drzwi, ja trzymając wielgusa za szyję od tyłu i przystawiając mu zapalniczkę do policzka.

– Nie ruszać się, albo zjaram mu pysk w pizdu! – i naprawdę miałem taką chęć.

Albo wzięli moją groźbę na poważnie, albo Wielgus wydał im polecenie w myślach, bo cofnęli się. Wypchnęliśmy go w korytarz, a on wskazał nam koleina windę.

04:12

Weszliśmy do kolejnego wielkiego pająka, ku całkowitemu przerażeniu Amy, i podróż w dół trwała straszliwie długo. Amy miała problemy z ustaniem na nogach, zaciskała mocno powieki, trzymając się kurczowo za brzuch.

Coś w niej rośnie. Kurwa, kurwa, kurwa.

W dół, ciągle w dół. Ci ludzie budowali swoje drapacze chmur dachem do dołu.

01:32

W końcu winda zatrzymała się. Wyłoniliśmy się w okrągłym, przypominającym rurę korytarzu. Przeszliśmy gęsiego przez grube, okrągłe drzwi.

00:58

Weszliśmy do olbrzymiego pomieszczenia. Było pełne organicznych maszyn i wielkich kapsuł w kształcie jaja, które drżały od mocy. Ledwo co dostrzegałem. Moją uwagę przykuło wielkie stworzenie na środku sali, o kształcie przypominającym ropuchę, wielkości słonia. Siedziała na środku sali i na bezgłośnie polecenie Wielgusa rozwarła szeroko swój pysk.

Czerń. Wewnątrz stworzenia była taka sama wirująca ciemność, jaką widzieliśmy w ciemnej kolumnie w kompleksie pod galerią. Mrużyłem oczy i po chwili zacząłem dostrzegać światła, kształty, pomieszczenie. Poruszając się postać...

00:36

Wielgus stanął z boku i wskazał nam wyjście przez paszczę.

– Idźcie. Szybko.

Zapytałem:

– Dokąd trafimy? Ale dokładnie, dokąd to prowadzi?

– Teoretycznie? Powinniście znaleźć się nieopodal tego miejsca, przez które weszliście. Ale trudno jest przewidywać.

– Amy przeżyła wejście. Czy przeżyje też wyjście? – zapytałem.

Żadnej odpowiedzi. Podeszedłem do ciemnego portalu i z każdym krokiem uświadamiałem sobie, że coraz więcej za nim dostrzegam. Po drugiej stronie zobaczyłem jak przez mgłę, ledwo widoczne, niewielkie pomieszczenie. Wstrzymałem oddech i wszedłem bestii w pysk, znów czując nieważkość, zagubienie i utratę czasu niczym podczas niespodziewanej drzemki. Zostałem uniesiony w przód i wylądowałem na parkiecie. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że znajduję się w korytarzu, odwróciłem się i zobaczyłem otwarte drzwi z plakatem VNV Nation.

Wstałem i zrozumiałem, że patrzę przez drzwi irlandzkiej windy w domu Sullivanów, tylko że, zamiast na zewnątrz, spoglądam wprost w ropuszą wnękę, z której przyszedłem. Drzwi stały otworem, jakby otworzyły się od impetu, z jakim tu wpadłem.

00:22

Molly przeskoczyła na drugą stronę i minęła mnie. John przepchnął Amy, która padła na podłogę, błyskawicznie zwijając się w pozycji embrionalnej, z twarzą wykrzywioną bólem. W pomieszczeniu po tamtej stronie coś się ruszało. Zobaczyłem tuzin Lochbestii, które miały mord w ślepiach, i tłum nagich ludzi, gdyż widocznie rozeszło się, że wszystko skończyło się kłapą.

Wielgus złapał Johna, jakby zmienił zdanie albo postanowił go sobie zachować na pamiątkę. Rozegrała się walka na pięści i kopniaki, podczas której John złapał wielkoluda za twarz i w rękę został mu skórzasty flak – jego maska.

John zamarł cały. Mężczyzna był odwrócony do mnie plecami, więc nie mogłem widzieć tego, co widział John, ale w oczach Johna dostrzegłem nagłą pustkę. Nie krzyknął, nie zerzygał się ani w ogóle nie zareagował – tylko jakby jego mózg wyłożył się niczym Windows.

Usłyszałem kroki w korytarzu domu Sullivanów. Odwróciłem się na pięcie i zobaczyłem Roberta Northa zbiegającego w moją stronę ze schodów w długim, beżowym kobiecym płaszczu i olbrzymim kapeluszu z piórami.

– Ej! – krzyknąłem. – Udało się nam! Ona jest chora, ona ma... patrz, daj mi coś, uch... krzyż albo wodę święconą albo... och, daj mi obrazek Jezusa! Natrzemy nim ją.

Odwrociłem się i zobaczyłem jak wielgus wyrywa maskę Johnowi z dłoni i przystawia ją sobie z powrotem do twarzy. Otworzyłem usta, by krzyknąć do Johna, ale nie wiedziałem czy dźwięk w ogóle ma szansę przejść przez portal. Ta kwestia została wyjaśniona kiedy...

00:00

... rozległ się potężny, ogłuszający huk dobiegający ze świata po drugiej stronie portalu. Tłum w pomieszczeniu rozbiegł się w panice. John wierzgnął, uwolnił się i pobiegł w moim kierunku. Rzucił się i wpadł do korytarza. Podszedłem, by zamknąć drzwi, ale North spokojnie zaszedł mi drogę. Wyciągnął dłoń, przytrzymał drzwi i spojrzał na wielgusa. Patrzyli na siebie przez lukę między światłami, a mężczyzna po drugiej stronie miedlił coś w ustach, co wyglądało jak śmiertelna zniewaga. Choć nie słyszałem tego, co mówi i nie znałem żadnego z nich, znaczenie było jasne. *Powinienem był wiedzieć, że to ty za tym stoisz.*

Skóra Amy zaczęła pokrywać się bąblami i puchnąć w kilku miejscach. Chwyciłem ją za dłoń i oplotłem jej szyję ramieniem, przyciągnąłem do siebie i szeptałem, że wszystko będzie dobrze, że zaraz ją wyleczymy, że...

TRACH!

Nagle poczułem na sobie ciepłą krew, a na skroni Amy pojawiła się poszarpana rana. Zwiotczała mi w ramionach.

O kilka metrów dalej stał North.

Trzymał w dłoni mały, srebrny pistolecik.

Kobiecą broń.

Smuga dymu unosiła się z lufy.

Wszystko wewnątrz mnie poczerniało niczym kosmos. Siedziałem tak z koszulą i rękami poplamionymi krwią, patrząc na Amy, na jej zwiotczalą twarz, na wpólotwarte usta. I nagle jej ciało zaczęło wymykać się z moich ramion, kiedy North zaczął ją ciągnąć niczym szmacianą lalkę. John stał obok, po prostu kurwa stał, widząc to wszystko, a ja nie miałem nawet siły, by się podnieść z ziemi.

North mocował się z ciałem Amy, przerzucił jej nogi przez próg, obszedł ją i podniósł za ramiona tak, że przerzucił ją całą na drugą stronę. Tłum w drugim świecie, w pokoju ropuchy, był całkowicie zaskoczony tym, że ktoś przepycha martwe ciało przez portal. Ale wielgus zrozumiał i krzyknął. Krzyknął tak głośno, że słyszałem go po drugiej stronie i kiedy tylko wszyscy wokół niego zrozumieli, co się dzieje, zaczęło się prawdziwe szaleństwo.

Ale było już za późno. Ciało Amy pękło i wylała się z niego chmura białych insektów. Latające pasożyty zobaczyły salę pełną potencjalnych nosicieli i rzuciły się na nagi tłum. Ludzie zaczęli się tratować. Reszta ciała Amy eksplodowała i krople krwi wraz z kawałkami kości wleciały z powrotem do korytarza. Usłyszałem metaliczny brzęk, jakby moneta uderzyła o podłogę, w chwili, w której North zatrzasnął drzwi. Otworzył je ponownie i zobaczyłem tylko nocne niebo nad Anonimowym oraz padający, gęsty śnieg.

Zacząłem wstawać, ale North odwrócił się błyskawicznie, celując we mnie z pistoletu.

– Wiem, co sobie myślisz – powiedział.

– I tu się mylisz.

Zaczął mówić o czymś innym, ale w tej samej chwili John stanął za nim i walnął go w nerki. North wygiął się w tył i nagle zobaczyłem metaliczny przedmiot, którego dźwięk słyszałem, kiedy spadał na podłogę. Było to coś błyszczącego, zakrzywiony kawałek stali poplamiony krwią. Coś, co chirurg wstawia, by usztywnić złamany kręgosłup.

Podniosłem kawałek metalu i dźgnąłem nim w nadgarstek dłoni trzymającej pistolet. Poczułem jak się wbija, przechodzi przez skórę i klinuje się między kośćmi przedramienia. North wrzasnęła i pistolet z grzechotem spadł na podłogę.

Chwyciłem broń, wycelowałem Northowi w serce i patrzyłem, jak się topi. Dosłownie. Spadł na ziemię w kałuży śluzu, a z tego wyłoniło się stworzenie przypominające meduzę.

Właściwie to rurkopława.

Podniosło się ku górze, tak jak to widzieliśmy kilka dni temu. Nacisnąłem spust i strzelałem raz za razem w godzinę, a odłamki drewna odpryskiwały od boazerii na ścianach. Nie zrobiło to na meduzie większego wrażenia. Popłynęła w dół schodów, a Molly pobiegła za nią, głośno szczekając.

Nigdy więcej jej nie widzieliśmy.

Każda cętkowana śluzka na podłodze zdawała się parować, znikać. Pozostałości po Northcie.

Zrobiłem krok naprzód i szarpnąłem za drzwi, tak jak wcześniej zrobił to North. Podmuch zimnego powietrza i śniegu wleciał do środka – podwórko Sullivanów znajdowało się kilka metrów poniżej. Byłem zaskoczony widząc, że na dworze wciąż jest widno. Całość zabrała nam nie więcej niż godzinę. Usiadłem na parkiecie, a lepkie krople krwi zaczęły mi już krzepnąć na twarzy, śnieg topił mi się na kolanach. Nie przychodził mi do głowy żaden powód, dla którego miałby jeszcze kiedykolwiek stanąć na nogach.

Wyszliśmy do mojego wozu i wtedy przypomniałem sobie, że nie zaparkowałem przy domu, ale przy galerii, jakąś milę stąd. Zgubiłem też kluczyki w pewnym momencie, ale nie pamiętałem kiedy. Wyruszyliśmy, brnąc przez burzę, nie wędząc czy można iść taki kawał po kostki w śniegu bez odmrożenia sobie nóg. Mieliśmy to w nosie. Przedzieraliśmy się do przodu, nie mówiąc do siebie ani słowa. Popołudnie szybko zmieniało się w wieczór, a nie mieliśmy pojęcia, co mogły przynieść zapadające ciemności. Po kilku minutach, podczas których pokonaliśmy przynębiająco krótki odcinek drogi i straciliśmy czucie we wszystkich dwudziestu palcach, usłyszeliśmy jakiś zgrzyt i wyjechał nam zza pleców samochód, który zatrzymał się tuż przed nami. Z wozu wychylił się młody chłopak w czerwonej bejsbolówce.

– Yo! – krzyknął, patrząc na śnieg pokrywający nasze ubrania. – Co jest? Podrzucić was?

Skorzystalismy.

W wozie były siedzenia ergonomiczne, więc John wlaź na tył pojazdu i tam został. Zapytałem chłopaka, czy będzie jechał obok nieczynnej galerii, ale powiedział, że nie. Zapytałem go więc, czy będzie jechał przez moją okolicę i okazało się, że tak. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Molly i zobaczyłem, że nie poszła za nami, więc wsiadłem do wozu. Pojechalismy.

– Ale kurna nasypało tego białego syfu, yo! – rzucił.

Pod dolną wargą miał mały trój kącik włosów. Łatkę duszy, jak to nazywali. Potwierdziłem:

– No.

– Chujowo się jedzie na tym gównie. Ślizgam się i wpadam w zasy co chwila. I trąbią na mnie inni.

Popatrzyłem na faceta.

– Ty jesteś *Fred Durst? Z Limp Bizkit?*

Uśmiechnął się półgębkiem i skoncentrował na drodze.

W końcu powiedział:

– Robi się tu ciemno po chuju. Myślę sobie, że kiepsko byłoby zostać tu całkiem po ciemku, yo. Będą się tu kręcić, wysysać i wyżywać na wszystkim. Ale ty to wiesz, mam rację?

Powiedziałem:

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś jednym z nich? – zerknąłem we wsteczne lusterko na Johna, który kulił się przed wiatrem na pace. Zastanawiałem się, czy nie wyrwać mu kierownicy i nie wypchnąć go z wozu zanim rzuci się na mnie, by mnie pożreć, albo jeszcze co gorszego.

Fred Durst powiedział:

– Cóż, nie nazywam się Fred Durst. Człowiek widzi, co chce zobaczyć. Gdyby John siedział tu w środku, to zobaczyłby kogoś innego. Ale chodzi o to, że zapadają ciemności, taa, ale jest też światło, które równoważy to wszystko. Tak jak te ryby yin i yang, co gonią za swoimi ogonami. Wiesz, jak to jest.

Przyglądałem się jego błękitnym oczom i powiedziałem:

– A może powiesz mi kim naprawdę jesteś, zanim walnę cię w ryj?

– Yo, mówiłem już. Tylko nie słuchałeś. Ale jestem po twojej stronie. Obserwowałem cię. Można nawet powiedzieć, że chodziłem za tobą krok w krok przez cały czas.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz i nie jestem w nastroju do zgadywanek. Mów prosto z mostu albo stul ryja. Jesteś dobrą wróżką? Jakimś aniołem? Fredzie Durst, jesteś Jezusem?

– To nie ma znaczenia. Miałeś zadanie do wykonania i je wykonałeś, choć nawet o tym nie wiedziałeś ani też, że to właśnie robisz. Ostrze wycinające raka okrężnicy ma paskudne zadanie, no nie? Myślę, że powinno mieć zaufanie do chirurga, kiedy jego głownia przedziera się przez skórę i zwały kałowe.

– Wiesz co? Pierdol się. Wszystko to, ta cała awantura, to jedna wielka ścierna od góry do dołu. Ja nawet nie wiem, w co ja wierzę, ale wiem, że zabiliśmy tam jakąś straszną ohydę. I Amy zginęła przez to, Amy, która nikomu nigdy nie zrobiła nic złego. Urodziła się i przez dwadzieścia lat zbierała w plecy, a teraz nie żyje bez powodu, a ja wciąż żyję, choć powinno się mnie zabić już dawno. Do diabła, sam rozważałem ten krok kilka razy, żeby wyświadczyć światu przysługę.

Fred Durst powiedział:

– Yo, wiem, że jest ciężko. Wiesz, był ten bokser w latach dziewięćdziesiątych, Evander Holyfield. Już miał być mistrzem, ale zdiagnozowali mu chorobę serca. Koniec kariery, koniec życia. Idzie do jednego teleewangelisty, jednego z tych gostków z lakierem we włosach i implantami. Gościu modli się i tańczy nad nim, a Evander wraca do lekarza. Lekarz mówi, że już nie ma choroby serca. Holyfield mówi, że to cud, ale okazało się, że po prostu postawili złą diagnozę.

– To zupełnie nie ma nic wspólnego z tym, o czym mówimy. Wiesz, jacy są tacy jak ty, Fred? Jesteś jak dżin z butelki z tymi swoimi opowiadkami. Dostajesz życzenie i życzysz sobie miliona dolców, a potem okazuje się, że dostajesz tego melona od ubezpieczalni, bo zmarł ci najlepszy kumpel, który przepisał wszystko na ciebie.

– Taa – powiedział Fred, jakbym w ogóle niczego wcześniej nie mówił. – On niiiiigdy nie miał chorego serca. No i co ty na to? Okazało się, że na zdjęciach rentgenowskich była jakaś smuga czy inne gówno. Chciałbyś zginąć zamiast Amy? Jakby można było wszystko odkręcić?

– Spierdalaj.

– Zadaję ci pytanie, yo. Mógłbyś to zrobić?

– Tak.

– Serio?

– Tak, bez dwóch zdań.

– Zamieniłbyś swoje życie za jej? A więc jutro David Wong zginie, a Amy Sullivan ożyje?

– Przestań mnie wypytywać, Fred. Głowa mnie boli od tego gadania.

– Dobra.

– Znaczący, co masz zamiar zrobić, zastrzelisz mnie? Zastrzelisz mnie i wskrzesisz Amy? Albo powiesz mi, że i tak byłem cały czas martwy, jak w tym gównianym filmie z Bruceem Willisem?

– Gościu, gdybyś chodził codziennie do pracy, gdybyś...

– Zamknij się, Fred. Już jesteśmy na miejscu.

Zatrzymaliśmy się i zobaczyłem mój mały domek, którego wszystkie ściany były obsypane śniegiem. Fred powiedział:

– Wiesz co, nie bój się ciemności, yo. Teraz jesteś pilnowany. No jak, w porządku gościu?

Nie miałem mu nic więcej do powiedzenia, więc wyskoczyłem z wozu i zacząłem brnąć do chodnika. Dotarłem do połowy drogi i stanąłem. Siady stóp. Świeże ślady prowadzące od drzwi wejściowych na tyły. Na tyły, czyli tam gdzie była szopa.

Na śmierć zapomniałem o szopie na narzędzia i zwłokach w środku. Obszedłem dom, idąc szlakiem śladów na śniegu i zacząłem coraz bardziej zwalniać, szurając stopami niczym skazaniec idący na miejsce kaźni.

Wyjdę za róg i wszystko się zmieni. Wszystko.

Jednak za długo to odkładałem. Powinienem to zrobić dwa wieczory temu. Wyszedłem za róg domu i zobaczyłem szopę na narzędzia. Zupełnie nie zdziwiło mnie to, że drzwi do niej były szeroko otwarte. Kłódka wisiała przy skoblu, otwarta i tu też zero zdziwienia. Powiesiłem klucz na gwoździu na drzwiach kuchennych i każdy gliniarz z nakazem rewizji mógł go znaleźć.

Podszedłem do drzwi, otworzyłem je z rozmachem jeszcze szerzej i zobaczyłem dwie rzeczy, których nie był w stanie zarejestrować mój umysł.

Po pierwsze, była tu Amy.

Stała tu żywa, owijając się w poły swej futrzanej kurtki. Spoglądała na ciało na podłodze i zdawała się być całkowicie zagubiona, jakby nie mogła tego pojąć. Wiedziałem, jak się czuje. Usłyszała mnie, podniosła wzrok i wyraz wstrząsu na jej twarzy był niemal komiczny. Popatrzyła na mnie, znów na podłogę, po czym znów na mnie.

Powiedziałem:

– Amy, to ja.

Nie odpowiedziała. Ruszyłem w jej stronę, chcąc ją uściskać, zabrać do domu i nigdy już więcej nie spuścić z niej oka. Cofnęła się, objając o półkę ze szklanymi słojami. Wyglądała, jakby opracowywała plan ucieczki. To też zrozumiałem. A teraz druga rzecz:

Ciało na podłodze należało do mnie.

Całkiem nieźle znam swoją twarz, nawet jeśli jest zsiniała i zamarznięta na kość, tak jak ta otulona w pomarszczoną plandekę, którą odrzuciła Amy. W miejscu serca miałem dużą, pokrwawioną dziurę. John wszedł do środka za mną i popatrzył w dół, na ciało, a potem na Amy, przechodząc tą samą pokrętną ścieżką myśli, którą sam przed chwilą pokonałem.

John powiedział do Amy:

– Możesz pokazać mi swoje stopy?

Amy nie odpowiedziała.

John powiedział:

– Wiem, że tego nie rozumiesz, ale musi do ciebie dojść, że David i ja widzieliśmy jak giniesz niecałe dwadzieścia minut temu. Więc mamy tu zagwozdkę, z którą musimy sobie poradzić.

Amy pokiwała głową i odezwała się po raz pierwszy:

– Dobra.

Wyszła z szopy i usiadła na schodkach wiodących do drzwi kuchennych. S nieg padał na nią gęstym puchem, a ona zdjęła swój skórzany bucik i skarpetkę. Patrzyłem jak John podnosi jej stopę, przygląda się jej, po czym każe jej tak samo pokazać drugą.

Odwrócił się do mnie i powiedział:

– Są czyste.

I kiedy to powiedział, wszystko wpadło na swoje miejsce. Wszystkie elementy układanki. Jakby ktoś wcześniej to rozgryzł, to proszę bardzo, panie geniusz, nagroda Nobla czeka.

Powiedziałem:

– Zaludniają świat swoimi ludźmi, zastępują naszych. Istotami mogącymi być pomostem między aspektem duchowym i fizycznym, a Korrok wysyła swe cienie na nasz świat, by kontrolować swoje marionetki. To właśnie tutaj robią, tworzą rzeczy wyglądające jak ludzie. Potwory pod ich kontrolą. Jego kontrolą. Jak z Drakeem. A więc, co się stało z prawdziwym Drakeem? Zginął?

Amy podniosła na mnie wielkie oczy, rozumiejąc do czego to prowadzi.

John odparł:

– Bo ja wiem. Może trzymają go i innych gdzieś w zamknięciu. Ale wątpię. Sam wiesz, te zamienniki – kopie – muszą mieć wszystkie wspomnienia prawdziwych ludzi. Któż to więc wie, do czego używają oryginałów.

Powiedziałem:

– W takim razie to znamię, ten znak na stopie. To ich znak. I gdybyśmy przyjrzeni się drugiej Amy...

– Zobaczylibyśmy, że ma znamię wyglądające jak symbol pi. To prawdopodobnie znak towarowy.

– A więc stworzyli sobie Amy – powiedziałem. – Pewnie kiedy się jej przyglądali. Zrobili nową Amy i zainfekowali ją...

– Bo wiedzieli, że jeśli pomyślimy, że to ona, pewnie będziemy starali się ją ściągnąć tu z powrotem – dokończyliśmy wspólnie.

John powiedział:

– I to byłby koniec. Zostalibyśmy zainfekowani, gdy tymczasem ona, uch, już po wylegu, zakaziłaby wszystkich wokół, no wiesz...

– A więc North wiedział, co robi – powiedziałem. – Kiedy ją zastrzelił, wiedział, że postępuje słusznie. Ponieważ to nie była Amy.

Wstałem, zrobiłem krok w stronę szopy i zatrzymałem się. Ścisnęła mnie ruda. Amy przywarła do mnie z całej siły, objęła mnie w pól i schowała twarz w mojej koszuli. Płakała, mówiąc przez łzy, że przeprasza, ale nie mogła sama tego rozgryźć. Poglądziłem ją po włosach i wyszeptalem do ucha, że teraz już jest prawie po wszystkim, że naprawdę tym razem będzie dobrze i muszę tylko zająć się jeszcze jedną, ostatnią sprawą.

John położył jej dłoń na ramieniu i przyciągnął do siebie. Dziwny, niemal braterski gest. Ale uwolniłem się od niej i ruszyłem w stronę szopy.

Usłyszałem głos Amy za plecami, która mówiła, połykając łzy, że zgubiła gdzieś pistolet, że strzeliła do potwora w galerii i uciekła, biegła przez śnieg i wypadł jej gdzieś po drodze. Wezwała taksówkę i...

John uciszał ją, więc zamilkła. Szedłem w stronę szopy z dudniącym sercem. Nagle czułem się lekki jak piórko, jakby ktoś zdjął wielkie brzemię z moich ramion. Podniosłem wzrok na śnieg sypiący z nocnego nieba i nagle wszystko było w porządku. Powiedziałem:

– North wiedział, co się dzieje i ja wiedziałem, co robię tamtej nocy. Kiedy zastrzeliłem to coś, co teraz leży w mojej szopie.

Dotarłem do niewielkiego budynku. John nie poszedł za mną, ale najwyraźniej wiedział, co tam zastanę. Odrzuciłem plandekę owiniętą wokół stóp trupa i zacząłem rozrywać zamrożone sznurówki w czarnych, skórzanych górskich butach, takich jak moje własne. Nawet z rysą na palcach, tak jak u mnie. Porywacze ciał mieli obsesję na temat szczegółów. Musieli mieć.

Powiedziałem:

– Wróciłem do domu i zastałem to coś na swoim podwórku za domem, coś, co wyglądało tak jak ja, wbiegłem więc do domu, wyciągnąłem spluwę i stuknąłem go. Prawdopodobnie starałby się mnie zabić, gdyby...

Zamilkłem. Ściągnąłem już jednego buta i zdarłem ze stopy zamrożoną skarpetę, ale nie zobaczyłem ani śladu na podbiciu. Z jakiegoś powodu parsknąłem śmiechem. Opuściłem stopę i chwyciłem drugą. Znowu zacząłem rozsznurowywać but, upuściłem go ze zdrtwiałych palców, uświadamiając sobie, że sam siebie oszukuję.

Stałem tak, śmiejąc się cicho, a para wodna uciekała gdzieś w mrok. Wtedy w końcu zrobiłem to, od czego powinienem był zacząć. Usiadłem na schodkach opuszczonych przez Amy. Kiedy przechodziłem obok nich, John zasłonił sobą Amy i cofnął się ode mnie. Dał mi mnóstwo miejsca. Zacząłem ściągać prawy but, a potem lewy. Szarpnąłem za but, skarpetkę i spojrzałem na paluch. Wtedy już nie wytrzymałem i wybuchnąłem głośnym śmiechem, zaśmiewając się tak, że traciłem dech w piersiach.

John popatrzył na mnie obojętnym wzrokiem, bo on już wiedział, wyglądało, że wiedział od pewnego czasu. Amy skuliła się za jego plecami, spoglądając na nas nerwowo. Uniosłem stopę i potarłem symbol pi na moim palcu, jakbym sprawdzał czy nie zejdzie. Wiedziałem oczywiście, że nie zejdzie nigdy, przenigdy.

Epilog

– No i cóż, to jest moja opowieść – powiedziałem. – Przepraszam, że jest taka, no... Popieprzona.

W żadnym cywilizowanym języku nie ma odpowiedniego słowa na wierne oddanie sytuacji, w której człowiek dowiaduje się niespodziewanie, że oto znalazł się nagle w obecności potwora z piekła rodem, który tylko udaje człowieka. Może czasownik „spotworyzować” i rzeczownik „potworyzacja” byłyby najbliższe prawdy? Może? Myślę, że to nie ma znaczenia, ponieważ dziennikarz, z którym rozmawiałem nie odczuwał tego typu emocji.

Arnie Blondestone z magazynu America Lifestyle (A może było to American Living? Zbyt to błahe, żeby zapamiętać.) nie miał już ani dyktafonu ani notesu w zasięgu wzroku. Arnie i ja spacerowaliśmy, rozmawiając – zdawałem mu relację wydarzeń w zatęchłych korytarzach nieczynnego Centrum Handlowego w Anonimowym. Zatrzymałem się przed wąskimi, zamkniętymi drzwiami do pomieszczenia konserwatora i stanąłem z nim twarzą w twarz. Powiedziałem:

– Oto drzwi. Te drzwi.

Zerknął na nie i powiedział przesadnie dramatycznym głosem:

– Drzwi do innego świata!

– Cóż, hmm, tak właśnie było. Trzeba było przejść przez te drzwi do niewielkiego pomieszczenia i jeszcze przez jedne drzwi za nimi. Ale to nie były prawdziwe drzwi, jak mówiłem. To były drzwi upiorne czy też widmowe – miałem zamiar dodać nazwę tego świata nadaną jej przez Johna, „Gówniana Narnia”, ale stwierdziłem, że nie będę jeszcze zaniżał i tak już niskiej opinii Arniego na nasz temat.

– No to co – powiedział Arnie, zacierając energicznie dłonie – chodźmy!

– Czy ty mnie w ogóle słuchałeś? Nawet jeśli by się nam to udało, myślisz, że moglibyśmy znów stamtąd uciec? I nawet nie jestem pewien, czy tamten świat wciąż nadaje się do tego, by w nim przebywać.

– Daj spokój, spróbujmy tylko. Pozwól mi tylko wsadzić tam głowę. Znaczący, nie zrozum mnie źle, naprawdę wierzę w twoją opowieść. Chciałem tylko potwierdzić jeden szczegół. Ten dotyczący upiornych drzwi wiodących do świata pasterzy robali.

Podejrzywałem, że traktuje mnie protekcyjnie. Pokręciłem głową i powiedziałem:

– Nie możemy. Nawet gdybyśmy chcieli. Drzwi zniknęły. Te drugie drzwi, znaczący. Wracaliśmy tu kilkakrotnie, ale widzieliśmy tylko ścianę, w której wcześniej tkwiły. Ale wiem, że o nie pytasz, bo wiesz, że ich tam nie ma. Pytasz mnie, bo myślisz, że jestem świrem.

To jednak nie jest prawda. Gdyby naprawdę myślał, że jestem niebezpiecznym wariatem, czy dałby się zaciągnąć do tego opuszczonego miejsca? Mógłby pomyśleć, że mam tu cały schowek broni. A jeśli myślałby, że mu wciskam kit, czy nie znalazłby odpowiedniej wymówki i nie zakończył tej rozmowy dużo wcześniej? A więc o co chodziło? O chorobliwą ciekawość? Co ty knujesz, Arnie?

Arnie wyciągnął rękę i obrócił rdzewiejącą, srebrzystą klamkę w drzwiach prowadzących do pomieszczenia konserwatora. Otworzyły się z żalosnym skrzypieniem. Zerknął do środka pomieszczenia, a potem znów na mnie. Wskazał na drzwi, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz?”.

Zapytałem:

– No co?

– To są drzwi, które jak mówiłeś, wypadły z zawiasów, kiedy wpadły tu te potwory?

Hmmmm. To interesujące spostrzeżenie. Podeszedłem do drzwi pomieszczenia konserwatora i przesunąłem po nich dłoń.

– Pewnie je naprawili. Ale popatrz na przeciwległą ścianę. Widać ślady na tynku, w miejscu, w którym odbiły się od niego drzwi. Widzisz te rysy na górze?

Arnie wzruszył ramionami, zupełnie nieprzekonany. Staralem się wyobrazić sobie ten artykuł w magazynie „Life in the USA”, cały z wielką fotografią ściany z podpisem: „To są prawdziwe rysy, które są namacalnym dowodem na to, że straszliwa, wytworzona przez demony bestia wpadła przez drzwi, aby uniemożliwić Davidowi Wongowi przejście przez niewidzialny portal do olbrzymiego tajnego kompleksu, w którym znajdowała się ścieżka do alternatywnej rzeczywistości zamieszkiwanej przez rasę półludzkich hodowców tychże bestii.” Ja oczywiście przeczytałbym ten artykuł, ale zdaje się jako jedyny.

Ale dlaczego w takim razie wciąż tu był? Do diabła, po co w ogóle się ze mną spotkał? Nieważne co mówił, wciąż wyczuwałem, że chce mi uwierzyć i że sprawiam mu zawód. Słuchał cierpliwie mojej opowieści przez bite sześć godzin. Gdybym był na jego miejscu, nie wykazałbym się aż taką cierpliwością. Powiedziałbym uprzejmie: „Cóż, myślę że mam wszystko czego potrzebowałem!” i czmychnąłbym w przeciwnym kierunku, zaśmiewając się jak szaleniec.

Ale Arnie wyglądał, jakby przyjechał tutaj oczekując odpowiedzi i nie zamierzał wyjechać z pustymi rękami. Widziałem już wcześniej takie spojrzenie na twarzach turystów odwiedzających Teksaską Składnicę Księgarską w Dallas, z okna której Lee Harvey Oswald oddał strzały do JFK. Uczestniczyłem w takiej wycieczce i spotkałem kilku zwolenników teorii spiskowych, którzy stali w rzeczonym oknie i spoglądali w dół na miejsce, przez które przejeżdżała kolumna wozów. Tam właśnie, w dole pod oknem, z którego można oddać łatwy strzał do wolno przejeżdżających samochodów. Żadnej tajemnicy, tylko gówniarz z bronią i tragedia. Oni jednak przyszli w to miejsce, szukając jakichś mrocznych, straszliwych rewelacji i zamiast nich odkryli coś jeszcze bardziej mrocznego i przerażającego – że ich życie jest błahe i nudne.

Przyszła mi do głowy pewna myśl i powiedziałem do Arniego:

– Ten gliniarz, wujek Johna, Drake. On naprawdę zniknął, możesz sprawdzić, wraz ze wszystkim, co miał przy sobie. A to już dwóch gliniarzy zaginionych w tajemniczych okolicznościach i z obydwoma rozmawiałem przed faktem. Przesłuchiwali mnie w tej sprawie, a ja wynajmąłem prawnika i zrobiłem wszystko, co się robi w takich sytuacjach.

– I powiedziałaś glinom, że został wessany przez inny wymiar, zabity i zmieniony w potwora?

– Mniej więcej, choć bez słów „inny wymiar”, „zmieniony” i „potwór”. Powiedzieliśmy im, że zatrzymał nas i zachowywał się jak wariat. A jego partner, ten czarny? Ten, który pakował sobie śnieg w korcze? Wrócił do pracy na drugi dzień, jak gdyby nigdy nic. Ten, którego postrzeliła Amy, pamiętasz?

– Mogę z nim porozmawiać? Ponieważ on w rzeczywistości jest ukrytym potworem, prawda?

– Bo ja wiem. Nazywa się chyba Murphy. Jednak założę się, że nic nie pamięta z tego dnia.

Arnie przyglądał mi się bacznie. Nie był w stanie zadać mi istotnego pytania, nie był w stanie wsadzić swojego słonia do mojego składu porcelany. *Skąd mam niby wiedzieć, że nie zabiłeś tych wszystkich ludzi, panie Wong? Gliniarzy, Freda, Wielkiego Jima? Skąd mam wiedzieć, że nie rozmawiam z najprawdziwszym seryjnym mordercą?*

Zamiast tego powiedział tylko:

– Popatrz na to z mojego punktu widzenia, Wong...

– Nie, przestań. Skończ z tym dziennikarskim kitem, z tym kiepskim aktorstwem, zmianą nastawienia w zależności od tego, co przyniesie ci największą ilość informacji. Przestań zachowywać się jak sceptyk w jednej minucie, a mój najlepszy przyjaciel w drugiej, a potem jak surowy śledczy po to, by wydusić ze mnie jak najbardziej „prawdziwą” opowieść. Byłem z tobą szczery, Arnie. *W większości*. A teraz ty bądź ze mną szczery. Stać cię na to? Czy posiadasz prawdziwą osobowość czy też posługujesz się wyłącznie swoimi sztuczkami przy wywiadzie?

Rozłożył ramiona w geście „czego ty ode mnie chcesz, do diabła?”, ale nic nie powiedział.

– Chcę wiedzieć, co tu robisz, Arnie. Znaczący, podjąłeś się zrelacjonowania tej opowieści, tak? Masz pewnie ludzi, którzy całymi dniami podsuwają ci rozmaite pomysły, a ty decydujesz, o czym chcesz napisać, mam rację? Ale zaciągnąłeś swój tyłek taki kawał na to zadupie z, uch...

– Z Chicago.

– ... z Chicago i poświęciłeś cały dzień swego cennego czasu, by mnie wysłuchać. I przyjechałeś przygotowany, z notatkami i całym tym badziewiem, przeczytałeś wszystkie wpisy w sieci na nasz temat. Do tego dochodzi cały dzień przygotowań do tej wyprawy. Powiedz mi, Arnie, co spodziewałeś się usłyszeć?

Ponownie wzruszył ramionami. Z wahaniem.

– Nie wiem.

Przyszła mi do głowy kolejna myśl i powiedziałem:

– Jesteś tutaj na własną rękę, prawda?

Nie odpowiedział, ale jego mina mówiła wszystko.

Wepchnąłem ręce w kieszenie i natrafiłem na niewielki pojemnik. Zimny pojemnik. Wypuściłem powietrze z płuc. Wskazałem brodą na podłogę, na której nie było kafelków. Tylko gołe, nieoheblowane, tanie dechy poszarzałe od upływającego czasu.

– Widzisz kawałek podłogi, o tutaj, Arnie, tu przy ścianie? Widzisz jak jest podrapana na brzegach, jakby ktoś ją podważał?

Nie odpowiedział, ale patrzył na to.

– Pomóż mi ją podnieść. Musisz to zobaczyć.

Zwątpienie zakradło się na oblicze Arniego. Może też odrobina strachu. Może bał się tego, co zobaczy pod spodem, a może po prostu nie chciał robić tu bajzlu.

Przyklęknałem i zacząłem bez niego. Deska wygięła się i wiedziałem, że ustąpi. Wraz z Johnem nie wbiliśmy ponownie gwoździ, które usunęliśmy kilka miesięcy temu, ponieważ w tym stadium akcji byliśmy obydwaj zalani w trupa. Podniosłem drewniany panel, jakieś metr na półtora, i oparłem go o ścianę. Pod nim znajdowały się metalowe szyny podtrzymujące panele. A pod nimi znajdowało się ciało. Obecnie już szkielet, żeby być całkiem dokładnym.

Odszedłem o krok od prostokątnej dziury w podłodze i wskazałem Arniemu, żeby sam zobaczył. Spojrzał na mnie ostrożnie, podszedł i zamarł. Na jego twarzy widać było...

Potworyzację?

... lodowate przeświadczenie prawdy. Nie wiedział dokładnie kim, czy też czym byłem, nie mógł wiedzieć, ale w tym momencie wiedział, że zabiłem naprawdę.

Starając się, aby głos zabrzmiał mu zupełnie naturalnie, zapytał:

– A kto to może być?

– Ja.

Arnie zrobił dwa kroki w tył i oto nadeszła wiekopomna chwila. Moment, w którym Arnie odwróci się na pięcie i pobiegnie gdzie pieprz rośnie albo też rzuci się na główkę wprost w mroczne szaleństwo Wongolandu.

Arnie naprawdę wyglądał, jakby miał zamiar dać nogę. Odwróciłem się i najzwyczajniej usiadłem na podłodze, opierając się o ścianę i patrząc na niego z dołu. Gdyby uciekł, pozwoliłbym mu na to.

Pozwoliłbyś?

Zawahał się i zasłonił usta dłonią. Kości u jego stóp już dawno nie miały skóry ani mięśni i były wyschniętym, szaroburym szkieletem w zmurszałym ubraniu. Pomyślałem o masie wijących się żuków, czerwi, pajaków i innych robali, które żerowały na „moim” ciele tam w dole, jak budowały gniazda tam, gdzie były moje usta. Wzdrygnąłem się.

Powiedziałem:

– Mieliśmy zamiar przepchnąć je przez portal, ale kiedy tu dotarliśmy, już go nie było. Żadnych upiornych drzwi. Debatowaliśmy na ten temat dobre pół godziny, wypiliśmy z tuzin piw i w końcu postanowiliśmy wepchnąć je pod podłogę i wrócić do domu.

Arnie stał w milczeniu przez dłuższą chwilę, a potem powiedział:

– Co, nie baliście się, że ktoś je odkryje? Na przykład gliny?

– A o jakąż to zbrodnię mogliby mnie oskarżyć? O samobójstwo?

Arnie naprawdę parsknął nerwowym śmiechem. Odwrócił się od trupa pod podłogą, z pewnością pragnąc cofnąć swoje życie do chwili, zanim go zobaczył. Podszedł do drugiej ściany pomieszczenia i usiadł.

Powiedział:

– To niczego nie zmienia. Dobra, jest trup. Ale to wcale nie uwiarygodnia reszty opowieści.

Westchnąłem i powiedziałem:

– Arnie, daj już spokój. Wiem o czym mówisz, ale naprawdę, co spodziewałeś się tu zastać? No gadaj, kolego.

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Nie... To takie moje hobby. Tylko tyle. Sprawy paranormalne i w ogóle – przerwał. Czekalem. Powiedział: – A ta sprawa z cieniami, to ona jak sądzę przyciągnęła moją uwagę. W opowieści. Bardzo dużo się o tym słyszy, w necie jest tego sporo, i gdzie indziej, opowieści o ludziach cienia. Zdaje się, że Dean Koontz napisał o nich książkę, ale trzeba by zapytać, czy najpierw ukazała się książka, czy pojawiły się te historie? Aż tu nagle wszyscy o nich mówią. Wszyscy i nikt. Wiesz, co to znaczy?

Och, jasne że wiem, Arnie. Zaufaj mi, wiem.

Ciągnął dalej:

– I wróciłem myślami do tego co widziałem, w mojej piwnicy. Cień. A potem, co jakiś czas, może ich widziałem, a może nie, rozumiesz? Jak raz zobaczysz mysz w kuchni, to potem widzisz ją wszędzie. Ale jest też coś innego. Są takie chwile, przeważnie kiedy jestem senny... i zabrzmi to kretyńsko jak jasna cholera, ale zważywszy na to, co ty mi powiedziałeś, myślę, że mogę ci to sprzedać, w takich chwilach wydaje mi się, że widzę kota. Tylko urywane obrazy kątem oka. Kota wyglądającego zza rogu albo przemykającego pod moim krzesłem. I myślę sobie, dobra, to Puchatek. Mój kot, Puchatek. Ale ja przecież nigdy nie miałem kota. I wtedy wydaje mi się, że przypominam sobie, że jednak kiedyś miałem. A może nie. Klnę się, że pamiętam jak z nim mieszkalem i jak go nie było, a wtedy usłyszałem twoją opowieść...

– Z Toddem? – zapytałem. – Słyszałeś o Toddzie i pomyślałeś, że może to to samo? Ze może ludzie cienia zabrali ci kota?

Pokręcił głową, ale nie zaprzeczając. Był to gest rezygnacji. Powiedział:

– Nigdy nie wypowiem zdania: „Ludzie cienia zabrali mi kota” na głos ani nie potwierdzę, jeśli ty to powiesz. Mam swoje życie, wiesz? Ale tak, w pijackim widzie czasami myślę, że miałem kota i ktoś mi go ukradł, zarówno w czasie teraźniejszym jak i przeszłym. I wtedy usłyszałem urywki twoich opowieści i pomyślałem: to jest ktoś, kto przeżył to samo. Może mamy tylko te same problemy natury psychologicznej, a może braliśmy te same prochy w ogólniaku, ale mogę to sprawdzić dokładnie. Więc dlatego właśnie się u ciebie zjawilem. To oczywiście skrócona wersja.

I taka jest prawda, Arnie. Wierzę ci. Ale nie jest to cała prawda, czyż nie? Dlaczego ukrywasz całą swoją opowieść?

Powiedziałem:

– Ale jest jeszcze coś, mam rację?

Popatrzył na otwarty grób w podłodze i powiedział:

– Mówiłeś, że John pomógł ci przenieść ciało?

– Jasne. Sam bym tego nie zrobił. Wystarczy już, że muszę ciągnąć swoją tłustą dupę, a tutaj ładunek byłby podwójny.

– A więc po tym, jak się John dowiedział, no wiesz... poznał prawdę o tobie, dalej się kumpłowaliście?

Wzruszyłem ramionami.

– Cóż...

– No bo zabiliście gliniarza, kiedy dowiedzieliście się, że to jeden z tych potworów. Dlaczego z tobą miałyby być inaczej?

– Cóż, to się stało po tym, kiedy naprawdę zmienił się w potwora...

– A co z Amy? Mogę z nią porozmawiać?

– Eeh, nie.

– Czy ona wciąż...

żyje?

... tam mieszka?

Nie odpowiedziałem. Arnie wyprostował się na siedząco, ponownie wracając do trybu dziennikarskiego, gotów znów wałkować temat.

– Jest tego więcej, prawda? Co to takiego? Czy ma to coś wspólnego z dziewczyną? Z Amy? Co się z nią stało?

Potarłem oczy i powiedziałem...

Gdybyście mnie wtedy zapytali, kiedy siedziałem tak w śniegu na mrozie z tyłu domu, to powiedziałbym, że to najgorsza chwila mojego życia. I byłoby to zupełnie kretyńskie stwierdzenie, ponieważ, praktycznie, „moje życie” trwało dopiero od kilku dni.

Nie wiem jak długo siedziałem, patrząc na bosą nogę i symbol na paluchu, z Amy stojącą o kilka kroków dalej zupełnie sparaliżowaną strachem. Widziałem, jak John siada na pniaku drzewa i wyciąga swój zestaw do skręcania papierosów, obserwowałem go jak starannie zwija skręta, po czym oklepuje kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki i uświadamia sobie, że zostawił ją w innym wszechświecie. Wyrzucił papierosa, klnąc głośno. Wtedy Amy zaczęła płakać, jakby ktoś pstryknął przełącznikiem. Z początku cicho, zakrywając twarz dłońmi, zagłębiając palce w miedziane włosy. Oparła się o szopę i zaczęła ryczeć głośno, wydając z siebie żalosne, urywane dźwięki, wstrząsana konwulsjami przy każdym szlochu. Płacz zrozpaczonego dziecka. Zawodzący, urywany, straszny, naprawdę straszny...

– Może, uch, wejdziemy do środka... – zaczął John słabym głosem. – Amy, daj spokój.

Nie słyszała go, a jej całe ciało trzęsło się w spazmatycznych szlochach, wydając odgłosy, jakby jej płuca toczyły zażartą walkę na pięści. Było to naprawdę straszne. Zamknąłem oczy i zatkałbym sobie też uszy, ale nawet to nie zagłuszyłoby tych odgłosów, bo nawet powietrze cuchnęło czystą grozą tego wszystkiego.

John długo patrzył na Amy, a potem na mnie. W końcu skinął głową do swoich myśli, jakby podjął jakąś decyzję.

– No dobra – wycelował palec w Amy. – Amy – powiedział głosem mocnym i brutalnym. – Wyprostuj się, dziewczyno. – Nie posłuchała. – Ej, Amy – podszedł do niej i złapał ją za kołnierz kurtki, po czym potrząsnął nią mocno. – Wszyscy na pokład. Nasza nocna praca jeszcze się nie zakończyła. Gotowa jesteś do „wszyscy na pokład”?

Wytarła twarz i spojrzała na niego.

– Dobra – powiedział John – wciąż masz ten złoty krzyżyk? Ten, który dał ci Dave?

Pokiwała głową. Zauważyłem jak płatek śniegu wylądował na jej rzęsach.

– Dobrze – powiedział John. – Weź krzyżyk i dotknij nim Potwora Dave’a. Jeśli jest zły, to eksploduje.

Założyłem skarpetkę i but, i powiedziałem niemal niesłyszalnym głosem:

– Zostaw ją, John.

– Dave! Człowiek nigdy by tak nie powiedział! – wykrzyknął John na tyle głośno, że z całą pewnością usłyszeli go wszyscy moi sąsiedzi.

– A teraz siedź spokojnie, kiedy cię będzie dotykać krzyżykiem – odwrócił się do Amy i pociągnął ją za ramię. – No chodźże, wszyscy na pokład.

Wyprostował ją – bardzo brutalnie, jak zobaczyłem – a ona wymamrotała do niego coś, czego nie usłyszałem. John jej odpowiedział:

– Nie przejmuj się. Już ja się tym zajmę. – Wyszarpnęła swoje ramię z jego uścisku, na co powiedział: – Amy, ja cię wcale nie proszę. Po prostu trzeba to zrobić.

Włożyła dłoń pod bluzkę i wyciągnęła krzyżyk, po czym owinęła sobie łańcuszek, na którym wisiał wokół dłoni. Zerknęła z powątpiewaniem na Johna, który poganiał ją jak mógł.

Trzymając krzyżyk w kciuku i palcu wskazującym, jak klucz, zrobiła kilka drobnych kroków w moją stronę, a na jej twarz pojawiła się ostrożność granicząca z panicznym strachem. Usłyszałem, jak się odzywam:

– Amy...

– ZAMKNIJ SIĘ! – wrzasnął John. – Nie słuchaj jego kłamstw, Amy, bo w tym to on jest biegły.

Zbliżyła się, wyciągając krzyżyk na długość ramienia. Spojrzałem w dół na sypki śnieg na spodniach. Błyskawicznie podniosłem wzrok, bo krzyżyk znalazł się o cal od mojej twarzy. Ten ruch najwyraźniej przestraszył Amy, bo rzuciła się na mnie z krzyżykiem. Krzyżyk dźgnął mnie prosto w oko.

– O ŻESZ, CHOLERA JASNA! – poderwałem się na równe nogi, chwytając się za bolące oko.
– Dźgnęłaś mnie tym prosto w...

– WIEDZIAŁEM! – wykrzyknął John, na którego twarzy wyraźnie odmalowała się potworyzacja. – AMY, COFNIJ SIĘ.

John zdarł z siebie kurtkę i cisnął ją w śnieg. Następnie ściągnął koszulę przez głowę i stanął tak z gołą piersią, ze śniegiem padającym mu na nagie barki niczym łupież. Zamrugalem rannym okiem i ulżyło mi, bo nie zostałem oślepiony na całe życie.

– John, nie bądź...

– STUL PASZCZĘ. Mam nadzieję, że lubisz chińszczyznę, Potworny Dave – John podniósł pięści do góry. – Ponieważ w dzisiejszym menu mamy Kurczaka a la Kung Fu. WCINAJ ILE WLEZIE, MALEŃKI.

John stanął w postawie karateki z podwórka, z jedną ręką uniesioną z tyłu i jedną z przodu, pozując na kaktus z kreskówki. Przez jedną dziwną chwilę wydawało mi się, że tak szybko porusza kończynami, że wydają charakterystyczny świst rodem z filmów z Hong Kongu, ale zobaczyłem, że jest to klasyczny odgłos paszczą.

– POCZEKAJ! – to była Amy. Wbiegła między nas. – Dźgnęłam go krzyżykiem w oko! Nie rób tego, John, przestań. Uspokój się.

John oczywiście pozwolił się powstrzymać. Objął ją i wycelował w moją stronę oskarżycielskim palcem.

– Właśnie ocaliła ci życie, przyjacielu. Wytarłbym tobą glebę jak starymi gaciami.

Westchnąłem i powiedziałem:

– Ja tam wchodzę do domu.

Odwróciłem się i poszedłem w stronę drzwi. Po chwili John opuścił ręce i powiedział:

– A dobra – zabrał kurtkę i koszulę z zasy, i zwinął je w ręce. Poszliśmy, jak gdyby nigdy nic, jakbyśmy wracali po męczącym meczu w kosza. Amy trzymała się z tyłu, stojąc w agresywnym roju płatków śniegu. John odwrócił się do niej. – Chodź do ciepła, Amy. Rozgryziemy to wszystko przy puszczenie leinekugela.

Spojrzała na niego, a potem na mnie, nie bardzo wiedząc, co przed chwilą zaszło. John wrócił do niej i nachylając się nad nią wyszeptał ochryplym głosem coś, czego nie usłyszałem. Niemal jakby ją łąjał. Ona mu coś odpowiedziała, rzucając nerwowe spojrzenia w moją stronę. Ciągnęli tę tajną naradę przez kilka minut, ze mną już w środku, skąd przyglądałem się im przez kuchenne okno. Nie byłem do końca pewny, o co tu chodzi i wciąż nie wiem. W końcu John odszedł od niej, idąc w stronę domu. Odwrócił się po raz ostatni i powiedział, na tyle głośno, że usłyszałem:

– Kurwa mać, doskonale wiesz, co chciałem powiedzieć. No bo dosłownie go nie znasz. Kiedy pojawiliśmy się w twoim domu, to był już Potwór Dave i dalej pozostał Potworem Dave'em. I powiem ci coś, cokolwiek sobie myślisz, teraz jest o wiele miłszy niż był wcześniej. Ale skąd ty masz to wiedzieć.

Zostawił ją, pędząc jak burza, najwyraźniej mocno wkurzony, przepchnął się przeze mnie wpadając od kuchni. Rzuciłem do jego pleców:

– John, musimy zrobić coś z tym ciałem.

– To może poczekać. Jutro w dalszym ciągu będziesz trupem.

Spojrzałem po raz ostatni na stojącą na zewnątrz Amy, na której śnieg zbierał się teraz niczym na ogrodowej rzeźbie. Zapytałem:

– Wchodzisz?

Nie poruszyła się i czekałem przy drzwiach dość długo, aż w końcu odwróciłem się i zniknąłem we wnętrzu domu. Poszedłem do salonu i usiadłem na skórzanej sofie. Wbiłem wzrok w zimny, martwy kominek na przeciwległej ścianie. Był to jeden z tych kominków na gaz, w którym można palić prawdziwymi polanami, żeby było bardziej autentycznie, współczesne źródło ciepła udające

antyk. Był to pomysł, który zawsze uważałem za idiotyczny i zastanawiałem się, czy w przyszłości będą też robić laserowe grzejniki, które będą wyglądały jak gazowe, ze wszystkimi rurami i urządzeniami na gaz.

Usłyszałem skrzypnięcie kuchennych drzwi i wiedziałem już, że Amy zdecydowała się wejść do środka. Nie powinno być mnie to dziwić. Dokąd niby miała pójść? Zastanowiłem się przez chwilę i zerknąłem na notes obok telefonu, ten w którym zostawiałem wiadomości dla siebie (KUPIĆ MLEKO zapisane kresłonymi w pośpiechu kulfonami). Zastanawiałem się, czy by nie napisać pospiesznego testamentu i czy byłby wiążący dla sądu. John jest notariuszem. Mógłbym napisać kilka zdań, zostawiając dom Amy, żeby miała gdzie mieszkać, podpisać się i strzelić sobie w skroń. Ale wtedy pomacałem po kieszeniach i ponownie przypomniałem sobie, że utraciłem pistolet przed kilkoma godzinami. Odłożyłem swój plan na później.

John wypadł z łazienki już całkiem ubrany i poszedł przechwycić Amy w kuchni. Rozmawiali jeszcze trochę tym samym, ochrypłym szeptem, po czym we dwójkę weszli do salonu. Amy usiadła sztywno na kanapie, oplatając się ramionami w pół, jak to często robiła wcześniej. Nagle dotarło do mnie, że kiedy siadała w ten sposób, jej lewy, pozbawiony dłoni nadgarstek chowa się pod jej prawym przedramieniem. Przypadkowy świadek nie dostrzegłby od razu, że nie ma dłoni, tym samym nie dawała szansy na wystąpienie jego spóźnionej reakcji, których tak bardzo obawiała się przez całe swoje życie. Widząc ją w tej pozycji pomyślałby, że po prostu jest jej zimno. John usiadł po turecku między nami na podłodze.

– No dobra – powiedział głosem moderatora zaczynającego dyskusję panelową. – Ile pamiętasz, Potworze Dave? Jakie wspomnienia ci dali?

Wzruszyłem ramionami i powiedziałem:

– Wszystkie, jak sądzę. Brakuje tylko fragmentu o tym, jak się tu pojawiłem po raz pierwszy...

– Kiedy zjawileś się tutaj i zastrzeleś prawdziwego Dave'a?

– Taaa. To stało się na tyłach domu, jak sądzę. Wszędzie były ślady. Ale poza tym jest tak jak było. Albo, no wiesz. Na tyle, na ile pamiętam.

– Ale nie wiesz niczego na tematy poważne? Na przykład, skąd się tu wziąłeś, czy też jaki masz cel?

Powiedziałem:

– A ty pamiętasz co było, jak się rodziłeś?

– Ale pamiętasz swoje, mam na myśli Dave'a, dzieciństwo i takie tam. Szkołę, rodziców, kumpli?

Machnąłem lekceważąco ręką.

– Taa, taa. Spotkaliśmy się na zajęciach z komputerów. U pana Gertza. Zrobiłeś waginę z kodu ASCII i wykopał cię, i tak dalej...

– I wiesz, że jutro masz być w pracy? Wiesz gdzie?

– W wypożyczalni wideo Wally's. Do dupy. Współpracownicy to półmózgi. Taa, taa.

– A o tych pięciu słowach, które pożyczyłeś ode mnie w zeszłym miesiącu, pamiętasz?

– Spierdalaj.

John usatysfakcjonowany pokiwał głową.

– W takim razie spoko. Ja jadę do domu. Muszę się przespać we Masnym wyrku, bo jutro idę do roboty. I jeśli zaraz stąd nie ruszę, to zasypie mnie tu na amen. Amy zostanie tu dzisiaj na noc.

Uniósł dłoń, by uciąć mój protest.

– Nie chcę o tym słyszeć – powiedział. – Zostanie tu i będzie cię obserwować. Nie wiemy dokładnie, w co się zmieniłeś, ale jeśli jest to to, co widzieliśmy wcześniej, to wiemy, że nie cierpi ognia. Amy, jak zobaczysz że Dave zmienia się w jednego z tych potworów, to podpal go. Dave, pokaż Amy, gdzie masz środki łatwopalne w domu. Weź zapalniczkę i jeden z tych wielgaśnych lakierów do włosów, jakich używają starsze panie, jak masz coś takiego. Kapujesz?

John podniósł się z ziemi, a Amy obdarzyła go spojrzeniem krańcowego niedowierzania, mrużąc oczy, jakby pobił nowy rekord ludzkiego kretynizmu, który – jak się jej wydawało – był nie do pobicia. John powiedział do niej:

– Pamiętaj, o czym mówiliśmy – powiedziawszy to, otworzył drzwi wejściowe i zniknął w białym tumanie na dworze.

Na Skali Żenady Davida Wonga, na której „1” oznaczało podejście do okienka „zwrot naczyń” w barze zamiast do okienka z napisem „zamówienia”, a „10” kiedy facet dał się sfilmować ekipie krajowej telewizji jak posuwa zdechłego pawiana, powiem, że kilka kolejnych minut z Amy plasowało się gdzieś w okolicach 9,6. Po chwili tej niemej konfrontacji, po dziesięciu minutach czy godzinie, sam nie wiem, zadzwonił telefon. Obydwoje podskoczyliśmy do góry. Podniosłem słuchawkę, wyglądając przez okno, za którym zobaczyłem wielkie płyty śniegu spadające w zimną noc.

– Halo?

– To ja. Dojechałem do domu. Ślisko jak cholera, waliłem trzydziestą trzecią, robiąc skręt na rogu Lex i Main. Czy zmieniłeś się już w potwora?

– Nie, John.

– A teraz obczaj. Molly tu jest.

– U ciebie? John, skąd ona może wiedzieć, gdzie mieszkasz?

– Jest jeszcze lepiej. Nie stała przed budynkiem, kiedy dojeżdżałem. Była w *moim mieszkaniu*.

– Włamała się?

– Nie wiem. Teraz wcina paczkę hot dogów.

Wyczułem, że Amy przechodzi za mną i chwilę później zamykają się drzwi łazienki. Powiedziałem:

– Dałeś jej całą paczkę?

– Taa, przeterminowane. Przystanie jeść jak się napcha, no nie? Ej, nie wyłączyli u was prądu?

– Nie, wciąż się świeci.

I w tej samej chwili zgasły światła.

– Kurwa. Już wyłączyli, John.

– Taa, u mnie siadło, jak wszedłem do domu. Pomyślałem z początku, że może to kontratak ciemnych lajdaków. Ale włączyłem radio i mówili, że światło wysiadło w kilku dzielnicach. Chyba coś robią w tej kwestii. We wszystkich stacjach wciąż tylko o śnieżycy, mówią, że to klęska żywiołowa. Przewraca drzewa i zrywa linie wysokiego napięcia, i mówią, że zasy w więzieniu stanowym są już na wysokość ogrodzenia tak, że więźniowie mogliby po nich przejść na drugą stronę. Klawisze nie mogliby ich powystrzelać, bo boją się tych od praw człowieka.

Nie pomyślałem o tym, że burza śnieżna dotykała praktycznie wszystkich mieszkańców miasta oprócz naszej trójki, która miała poważniejsze sprawy na głowie. Rozłączyłem się z Johnem, zamrugałem, by przyzwyczaić wzrok do ciemności i zacząłem szukać świeczek w szafkach. Amy wyszła z łazienki z torebką przewieszoną przez ramię i wodziła dłonią po ścianie, by na nic nie wpaść. Założyła okulary, jakby mogły jej pomóc rozproszyć ciemności. Zapytała:

– Czy jak nie ma prądu, to wysiądzie ci też ogrzewanie?

– Och, jestem pewien, że nie.

Wcale jednak pewny nie byłem. Czy ludzie naprawdę mogą zamarznąć w domu w taką noc jak ta? Ruszyłem na poszukiwanie zapalek, nie znalazłem nic w kuchni, więc spróbowałem w łazience, jako że było to jedyne możliwe miejsce ich występowania. Otworzyłem szufladę w szafce i znalazłem zapalki, Otworzyłem szafkę na lekarstwa...

Ktoś tu był wcześniej. Zwykle trzymam tu trzy fiolki leków na receptę, a teraz ich nie było. Cholera, zniknęła nawet aspiryna. Wszystko to było na swoim miejscu, kiedy przyszliśmy do domu i zobaczyliśmy, że ktoś się włamał. Sprawdzałem.

Szperałem po szufladach, by sprawdzić czy coś jeszcze zginęło i zobaczyłem, że zniknęły też nożyczki. Te mogłem jednak gdzieś zapodziać. Nagle wrócił obraz Amy wychodzącej z łazienki z torebką i pomyślałem sobie, że ktoś bystrzejszy wpadłby na to w chwili, w której John kazał Amy zostać ze mną.

Okazało się, że myliłem się co do palnika. Dom zaczął gwałtownie wytracać ciepło od chwili, w której wyłączono prąd. Gaz chyba był, ale elektryczne dmuchawy rozprowadzające ciepło po całym domu nie działały. Godzinę później siedzieliśmy wraz z Amy skuleni przed moim lipnym

kominkiem ra podłodze, owinięci w koce niczym Indianie z kreskówki z królikiem Bugsem. Rozpaliłem w kominku i podkręciłem gaz tak mocno jak się dało. Nie było tu drewnianych polan, ale w końcu one i tak były wyłącznie dla wizualnego efektu. Niebieskie płomyki pełgały na palniku, oddając własne ciepło. Siedzieliśmy otoczeni bursztynową poświatą, wsłuchani w syk gazu i skrzypienie zewnętrznych ścian pod naporem wiatru. Ta cisza doprowadzała mnie do szaleństwa.

– Masz moje leki w torebce? – zapytałem w końcu.

Nie odpowiedziała.

Powiedziałem:

– Co to jest, pilnujesz niedoszłego samobójcy, czy jak? Masz też moje nożyczki, co?

Powiedziała:

– Przepraszam cię, że tak się spietrałam, tam na podwórku. To nie było w porządku. Trzeba zaakceptować ludzi takimi, jakimi są...

– Nie, Amy, miałaś rację. Miałaś rację wtedy, kiedy się przestraszyłaś. Teraz się mylisz, bo uspokoilaś się i wmawiasz sobie, że wszystko będzie dobrze. Nie będzie.

– Dzielnie się dziś trzymasz. I wczoraj też.

– Nie o to chodzi. Cokolwiek się zdarzy, kiedykolwiek się zdarzy, wiemy jedno: nie będę w stanie nad tym zapanować. Amy, musisz wyjechać z miasta. Z dala od tego miejsca.

– Wszyscy musimy. Przeprowadźmy się razem. Zabierz Johna, jeśli chcesz.

Zabierz Johna, mówi do mnie. Jakby był moim psiakiem...

Powiedziałem:

– Amy, mówiłem ci już wcześniej...

– Nie. Próbowaliśmy po twojemu. Wyjedźmy stąd gdzieś daleko, a jeśli te łajdaki ruszą za nami, to sobie z nimi poradzisz. Ale przynajmniej spróbujmy.

– Dobra, ale to trochę potrwa, u Johna i u mnie. Mamy pracę, musimy wszystko uporządkować. John ma tutaj rodzinę. Ale ty, ty możesz wyjechać od razu, choćby jutro. Jest jakieś miejsce, w które mogłabyś się przeprowadzić? Masz jakiś przyjaciół? Nie wiem, gdzieś daleko. Kogoś, kto ma zapasową wersalkę, na której można się tymczasowo przekimnąć?

– Nie wiem. Chyba mam. Poznałam jedną dziewczynę przez Internet. Mieszka w Utah z jeszcze jedną dziewczyną. To lesbijki.

– Dobrze. To dobrze. Zadzwońisz do nich i wyślesz im coś przez sieć, i zapytasz czy możesz trochę pomieszkać. Kupimy bilet na samolot i możesz lecieć do Utah.

Nic nie powiedziała. Przybliżyła się i położyła mi głowę na ramieniu, a odbłaski ognia zatańczyły na szklach jej okularów. W końcu powiedziała:

– I wtedy już nigdy cię nie zobaczę.

Nie przychodziła mi do głowy żadna odpowiedź, która byłaby czymś więcej niż jawnym łgarstwem, więc wymamrotałem coś, co miało ją uspokoić. Powiedziała:

– Polecę, ale zadzwonię stamtąd. I musisz odbierać telefony ode mnie. Jak przestaniesz, to zaraz wrócę. Wsiadam w pierwszy samolot i jestem na drugi dzień rano.

– Dobra. Uhm, pewnie.

Ułożyła się wygodniej, tak, że prawie leżała z głową na mych kolanach. Oddychała coraz wolniej i ciszej, zapadając w sen. Wymruczała:

– To bardzo fajnie, że śnieg pada tam, ale nie pada tu. Nie może nas zasypać. To bardzo fajnie...

Zaczęła cichutko chrapać.

I tyle. Ułożyłem plan, że jeśli wyjedzie stąd w cholerę, z tego piekielnego miasteczka, znajdzie pracę i zacznie chodzić po barach ze swymi lesbijskimi koleżankami, to się zadomowi. Zapomni o tym wszystkim, zapomni o mnie. Faceci tam na miejscu zobaczą jaką z niej laska, nawet gdyby nie miała obu rąk. Spotka kogoś i przestanie dzwonić, i wtedy wszystko będzie pod kontrolą. Mogłem się zastrzelić albo łyknąć garść pigułek, by skończyć z tym raz na zawsze. Mógłbym sporządzić prawdziwy testament, nawet u prawnika, włącznie z zastrzeżeniem, że John będzie musiał zagrać siedemnastominutową solówkę żalobną wykonaną na dwugryfowej gitarze o kształcie nagiej kobiety. Co do nieruchomości, to mogłem ją zapisać...

Zobaczyłem światło po lewej stronie. Wolno odwróciłem głowę i zobaczyłem, że choć w całym mieście nie było prądu, włączył się mój telewizor.

Dłonie. To właśnie zobaczyłem, dwie dłonie przyciśnięte do ekranu. A potem drugą parę, z palcami drapiącymi w szkło, jakby ktoś starał się wydostać. Przez chwilę wydawało mi się, że w tle śnieży, ale mój umysł rozpoznał robaki, białe, latające robaki, które roily się za dłońmi. Wydawało mi się, że słyszę krzyk, albo też poczułem go w jakiś sposób, a czerwona struga krwi bryzgnęła z dłoni na ekranie.

Jedna para dłoni odpadła od szkła, ale została jeszcze druga, desperacko drapiąca o szkło. Jedna z dłoni zacisnęła się w pięść i walnęła w ekran od środka, jakby starała się go rozbić. Walila raz za razem i wydawało mi się, że widzę krwawe wykwitki na kłykciach. Pięść cofnęła się tym razem dalej, zamachnęła się i...

Łup.

... telewizor zadrżał. Niemal posikałem się w spodnie. Pięść oderwała się od szyby a między palcami pojawiły się strumyczki krwi i ponownie walnęła w ekran. Znów telewizorem zachybotano na półce mojego zestawu rozrywki, a całość przechyliła się od przodu od impetu uderzenia. Pięść cofnęła się ponownie po raz ostatni – telewizor wyłączył się. Czerni.

Transmisje bezpośrednie z Gównianej Narni już się nie powtórzyły. Zasnąłem dopiero po czterech godzinach.

Dopiero po kilku dniach udało mi się wsadzić Amy na pokład samolotu. Burza załamała się na drugi dzień, ale pogoda wciąż uniemożliwiała loty. Po jednym dniu dostała odpowiedź od znajomych lesbijek. Aż paliły się do tych odwiedzin i po godzinnej, wypełnionej chichotami, rozmowie telefonicznej umówiły się, że odbiorą ją z lotniska w Salt Lake City. Dziewczyny mieszkały w Millcreek, co jak sądzę oznacza, że poza dużym miastem.

Byliśmy bardzo zajęci w te dwa dni, po których Amy miała zniknąć na zawsze i udało mi się na szczęście uniknąć poważnej rozmowy na ten temat. Musiałem odgarnąć mnóstwo śniegu z chodnika i nawet porobiłem ścieżki wokół domu dla Molly. Zabraliśmy Amy na zakupy i kupiła sobie walizki, torby i kilka swetrów, ponieważ nie byliśmy jej w stanie wytłumaczyć, że Utah nie było górskim, wiecznie skutym lodem odludziem. Wróciłem do Wally's i dokończyłem dawno odkładane zadanie przyklejenia naklejek antykradzieżowych na wszystkich pudełkach DVD. Było to żmudne, wyczerpujące zajęcie, którego nie chciałem zostawiać na głowie komuś po popełnieniu samobójstwa.

W środę Amy spakowała się i zawiozłem ją swoim bronco w trzy godziny na Międzynarodowe Lotnisko w Anonimowym. Błagałem Johna, żeby pojechał z nami jako odgromnik na całą tę niezręczną sytuację, ale musiał pracować, bo jego ekipa naprawiała w miejscowym barze ścianę, która zawałiła się od powalonego drzewa. Kilkanaście razy podczas jazdy Amy pytała mnie czy dobrze się czuję, na co odpowiadałem „Jasne!” i podkreślałem radio.

Niemal mi się upiekło. Zaniósłem jej bagaże do odprawy i brnęliśmy teraz przez lotniskowe proceduralne zbydlęcenie, które zdawało się trwać bez końca. Wzięła kartę pokładową i odprawiliśmy bagaże, po czym ochroniarz na kolejnej bramce dał jasno do zrozumienia, że dalej można przejść wyłącznie z kartą pokładową. Pożegnałem się, życząc jej udanego lotu. I wtedy Amy wszystko puściło. Zarzuciła mi ręce na szyję i zaczęła szlochać mi w koszulę, mówiąc, że uratowałem jej życie i że nie wie, co zrobi jak mi się coś stanie i całą resztę różnych innych bzdur. Wymogła na mnie obietnicę, że będę o sobie dbał. Obiecałem zanim zdołałem się powstrzymać.

Cofnęła się o krok i wytarła oczy mówiąc:

– Obiecujesz?

– Jasne.

– Pamiętaj o tym. Pamiętaj, że obiecałeś.

Wycelowałem w nią palec, mówiąc:

– Ej, mów o mnie co chcesz, aleja dotrzymuję obietnic.

– Przyjedziecie z Johnem w odwiedziny do Utah? Mówię teraz poważnie. Oszaleję, jak nie przyjedziecie.

– Jasne, Amy. Możemy spać w jednym pokoju, a John niech sobie śpi z les...

– I zaopiekujesz się Molly? I moim domem?

„Zaopiekujesz się” oznaczało „zniszczysz”. Rozmawialiśmy na ten temat i postanowiliśmy spalić dom ze szczętem. Jedyną kością niezgody było to, że ja chciałem, żeby wyglądało to na wypadek, żeby zgarnąć odszkodowanie. Ona nie chciała, przeciwnie, niech odszkodowanie przepadnie. Chciała po prostu podpalić tę budę.

Całowaliśmy się, mówiąc sobie różne kliwne teksty, które brzmiałyby głupio gdyby je relacjonować teraz, na sucho. Stałem z boku, czekając aż przejdzie przez kontrolę, żeby mogli sprawdzić jej buty i resztę, patrzyłem jak odchodzi i z okna terminalu obserwowałem start samolotu, który wspinał się coraz wyżej, aż w końcu zmienił się w kropkę na niebie. Nie płakałem. A jak myślicie, że tak, spróbujcie to udowodnić, gnojki jedne.

Zacząłem iść w stronę wyjścia, kiedy zauważyłem, że idzie za mną jakaś dziewczynka. Miała może z piętnaście lat, była przy kości, z blond włosami do pasa. Ruszyłem, ona za mną, stanąłem, ona też. Nie spuszczała mnie z oka. W końcu odwróciłem się i chciałem zapytać czy się zgubiła, ale ona opadła na czworaki i położyła się płasko na brzuchu.

Zmieszany zastanawiałem się, czy sobie nie pójść, kiedy zaczęła się wić po podłodze jak wąż, łącząc nogi razem i machając nimi na boki jak ogonem. Podpełzła w ten sposób przez całą salę aż do najbliższej ściany i przepchnęła się głową przez wahadłowe drzwi do męskiej toalety.

Oczywiście ruszyłem za nią. Wszedłem do pomieszczenia i zobaczyłem jak dziewczyna rozplywa się w kałuży czarnego oleju. Czerń rosła i przybierała kształt, a ja zacząłem się zastanawiać, czy aby nie popełniłem błędu.

Wpatrywałem się w przestrzeń w toalecie, uświadamiając sobie dopiero po chwili, że dwóch facetów sikało przy pisuarach zupełnie nie widząc tego co ja. Nagle czarny kształt skoczył na mnie i przez sekundę widziałem tylko ciemność.

Powietrze cuchnęło. Byłem po kostki zanurzony w jakimś chłodnym płynie, który chlupotał kiedy poruszałem stopami. Zamrugalem i niemal zobaczyłem, że znajduję się w pomieszczeniu pozbawionym drzwi. Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem metalowej ściany. Widziałem jedynie dwa ogniki pomarańczowego światła i uświadomiłem sobie z przerażeniem, że są to ślepia stworzenia cienia. Zewsząd dochodził monotony warkot i musiałem złapać równowagę, gdy podłoga zatańczyła pod moimi stopami. Czarny potwór stał na końcu pomieszczenia i gapił się na mnie.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytałem, żeby sprawdzić czy choć na to dostanę odpowiedź.

Odpowiedź nie nadeszła w formie słyszalnej, ale w obrazie. W mgnieniu oka miałem w mózgu idealny obraz lśniącego samolotu liniowego i miejsca pod kabiną pasażerską, w którym znajdował się centralny zbiornik paliwa. Stałem wewnątrz zbiornika paliwa pasażerskiego samolotu. Płyn u moich stóp to było paliwo lotnicze. Wiedziałem też z dużą dozą pewności, że jest to samolot Amy i że stoję zaledwie o kilka metrów od jej fotela, na którym wdaje się w rozmowę z osobą siedzącą obok.

Co dziwne, pierwsza myśl jaka przyszła mi do głowy – nawet przed „naprawdę tu jestem?” – to że zapomnieli zatankować. Ale dotarła do mnie odpowiedź, że często zostawiają pusty bak główny w zależności od dystansu i ładunku. Nagle uzmysłowiłem sobie, jakie to jest cholernie irytujące, taka telepatyczna rozmowa z cieniem i starałem się zamknąć przed nim swój umysł.

Istota cienia poruszyła się. Przepłynęła niczym obłok dymu w lekkim wietrze, zatrzymała się przy wybrzuszonym ustrojstwie na suficie zwisającym aż do podłogi, prawdopodobnie miernikiem poziomu paliwa. Opary paliły mnie w oczy, nos i płuca. Zakreśliło mi się w głowie. Czarny potwór podryfował w stronę miernika, swoją czarną kończynę owinął wokół kabla z izolacją, przez który najpewniej płynął prąd. Czarna mara pieściła kabel niemal zmysłowymi ruchami. Z przewodu posypały się iskry.

Krzyknąłem.

Odwróciłem się do Arniego i powiedziałem:

– Był błysk, żar i huk. Dźwięk, jakby cała składnica złomu spadała ze zbocza góry.

Skoncentrowałem się, starając się przywołać to wydarzenie z pamięci. Zęby to bardzo realistyczne wspomnienie spaliło mi ciało w milisekundę, żeby moje kości spiekły się na węgiel. Ale nie potrafiłem, nie mogłem. Wspomnienie było mętne i nierealne niczym wspomnienie o chomiku, którego dostałem w wieku pięciu lat, o tym który uciekł, a potem pożarł go drapieżny żółw. Nie mogę sobie tego wyobrazić, ale wiem, że gdzieś tam jest. I że nie działo się to tak szybko.

– I nagle – powiedziałem – wszystko wróciło do normy. Znow tam stałem w ciemnościach, z butami i skarpetkami nasączonymi cuchnącą, chłodną cieczą. Określenie, że było to bardzo dziwne uczucie, zupełnie nie oddaje rzeczywistości, ponieważ w tamtej chwili miałem w pamięci na świeżo wspomnienie eksplozji i równie wyraziste wspomnienie, że w ogóle nie miała miejsca.

To zdaje się zaciemniło nieco Arniemu obraz całości i to zrozumiałe.

– A więc samolot się rozbił, czy nie?

– Nie – zamilkłem na chwilę, po czym dodałem – nie rozbił się. Jeszcze nie.

To pogmatwało całą sprawę Arniemu jeszcze bardziej, ale czekał cierpliwie aż wyjaśnię. Dobry dziennikarz, do szpiku kości.

Powiedziałem:

– I stałem tak w cuchnącej ciemności i w głowie pojawiła mi się jasna, wyraźna myśl. Głos tego czegoś, człowieka cienia. „Ta chwila – powiedział – jest na zawsze”. I od razu zrozumiałem, że wszystkie chwile trwają całą wieczność i że można się cofnąć do każdego miejsca w czasie, tam w wilgotnych, cuchnących bebeczach samolotu. Potrafią cofnąć się i zrobić spięcie w tym przewodzie albo rozerwać jakąś uszczelkę i strącić Amy z nieba wraz z dwustoma innymi pasażerami. Ale to nie jest aż takie dziwne, prawda? Człowiek jedzie do gabinetu lekarskiego po wyniki i modli się, żeby to nie był rak. Czy Bóg nie sięga wstecz, kiedy człowiek o to się modli? Sprzed chwili wykonania badania, zanim w ogóle pacjent trafi do lekarza. Na wiele miesięcy wcześniej, żeby mógł w ogóle powstrzymać powstanie guza.

Arnie pokiwał głową i powiedział:

– Tylko, że teraz było na odwrót, mam rację. To była groźba. Mówili ci, że mogą sięgnąć wstecz i zrobić różne złe rzeczy, wymazać dziewczynę z całej sprawy. Kiedy tylko by zechcieli. Żebyś obudził się pewnego dnia, popatrzył na puste miejsce w łóżku obok siebie i powiedział „O jejku, szkoda że Amy zginęła w tej katastrofie lotniczej tyle lat temu”. Patrzysz i widzisz, jak zmieniają się wszystkie nagłówki i utracone istnienia i cała historia zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni. Zmienia wedle ich potrzeb.

Powiedziałem:

– Zaczynasz chwytać, Arnie. Trochę to trwało, ale zaczynasz naprawdę chwytać.

– A wiadomość – ciągnął – była taka, żebyś się wycofał. Bo w jakim innym celu miałyby być ta groźba? Mówili ci, że musisz przestać mieszać się w ich plany, bo jeśli nie, to wrócą i wytną Amy z kalendarza.

Zacząłem mówić, ale nie mogłem, przełknąłem ślinę i w końcu powiedziałem:

– Widzisz, dałem ciała. Miałem wszystko ułożone od samego początku, nie miałem żadnych powiązań. Żadnej rodziny, pieniędzy, kariery, nic. Co mogli mi zrobić? Co mogli mi zabrać? Ale wszystko to się zmieniło wraz z pojawieniem się Amy. Teraz mnie mają i nie zamierzają puszcząć. A kiedy ją widzę i patrzy na mnie tymi zielonymi oczyskami, to myślę sobie: ej, ratowanie świata, to jakiś hollywoodzki kit. Najlepiej będzie jak uratuję ten malutki jego skrawek, ten mały kawałeczek, na którym stoję ja i ta dziewczyna. I za każdym razem kiedy tak pomyślę, słyszę śmiech. Oni się śmieją. Jakby było już po wszystkim. Szach i mat.

Arnie powiedział:

– Nigdy jej nie pożarłeś?

– Co takiego?

– Nigdy nie zmieniłeś się w potwora i nie zeżarłeś jej?

– Nie. Nigdy nie zmieniłem się w potwora – zastanowiłem się i dodałem: – o ile mi wiadomo.

– Ale się zmienisz?

Wzruszyłem ramionami. Arnie wypuścił powietrze z płuc, wstał i otrzepał spodnie. Powiedział:

– Nie wiem, co to będzie dla ciebie znaczyć w świetle tego, co mi powiedziałeś. Ale myślę, że powinieneś to usłyszeć.

– Masz zamiar mi powiedzieć wszystko tym razem, Arnie? Prawdziwy powód twojej wizyty u mnie? Ponieważ ja chcę ci powiedzieć, że jeśli zamierzasz to wszystko opisać, to cały ten artykuł będzie do dupy.

– Z powodów, które zaraz przedstawię – zaczął Arnie – zaczniemy od przesłanki, że ludzie cienia istnieją naprawdę, dobrze? Nie, żebym był do końca o tym przekonany, ale tak załóżmy, z powodu o którym zaraz powiem.

– Jasne, jasne.

– I że czas nie ma dla nich takiego znaczenia, jakie ma dla ciebie i dla mnie. I, jak mówiłeś, mogą sięgnąć wstecz i wyciągnąć cię z przeszłości i teraźniejszości, tak że nic i nikt się nie zgadza.

– Jasne, racja – niecierpliwym gestem ponagliłem go, by kontynuował.

– A więc, jak sądzisz, jak daleko w przeszłość są w stanie sięgnąć? Czy mogą się cofnąć i zniknąć faceta, który wynalazł lek na polio?

– Och... Nie... nie sądzę.

– Ale powiedzmy, że działa to jak ogniwa łańcucha, że mogą dopaść faceta, który trzydzieści lat temu wyciągnął Billa Gatesa z rozbitego samochodu. Zrobić tak, że się w ogóle nie urodzi, żeby nie mógł ocalić Gatesa.

Gates ginie w dzieciństwie i budzimy się jutro w świecie, w którym wszyscy używają macintoshy?

Zadrzałem.

– Och, nie wiem, Arnie. A ty wiesz?

– Wspomniałeś wcześniej, że na telewizorze u ciebie stoi urządzenie, na którym grasz w różne gry? Takie, w których się łązi po salach i strzela?

– No, John ma takie. Ma ich sześć, jak policzyć te w szafie. Play Station i Xbox, i co tam jeszcze jest w sprzedaży.

Arnie pokiwał głową.

– Te nazwy nic mi nie mówią. Powiedz mi, nie uważasz, że to dość dziwne? Nie masz jakiegoś takiego dziwnego uczucia, kiedy na tym grasz?

Wzruszyłem ramionami.

– Bo ja wiem? Chyba nie.

Arnie powiedział:

– Pierwszy raz zobaczyłem te ustrojstwa z grami jakieś miesiąc temu. A potem każdy już je miał.

Odczekał, ale nic nie powiedziałem.

– Mam siostrzeńca – ciągnął Arnie. – Ma jedenaście lat. Zacztytuje się w komiksach i ma swoje zdalnie sterowane samochody i filmy Roba Schneidera. Ale kilka tygodni temu przyszedłem do domu i widzę jak siedzi na kanapie i nachyla się w przód, patrząc jak urzeczony. No bo nigdy wcześniej nie widziałem u niego takiego skupienia na twarzy. Nigdy. Widzę, że trzyma w dłoniach to plastikowe ustrojstwo z guzikami i zapomina o całym świecie. Spoglądam na telewizor i aż mnie zemdlilo. Na dole ekranu widać tylko łufę, z której co chwila błyska, a wyżej rozrywa ludzi na kawałki. Wszędzie fontanny krwi. I uświadomiłem sobie, czując jakbym zjadł zgniłe jajo, że to on tym wszystkim steruje. Siedzi sobie spokojnie, zabawiając się symulatorem mordercy, a jego mama wchodzi do pokoju i każe mu się przywitać z wujkiem Arniem, który przyszedł w odwiedziny. Patrzy na ekran i nie widzi nic, jakby wszystko było w najlepszym porządku z dzieckiem, które robi coś takiego, że rekruci porzygaliby się na sam widok. Patrzeć na ludzką sylwetkę, a ludzie na ekranie wyglądają tak samo realnie jak ty i ja, żeby patrzeć na ludzką sylwetkę i naciskać spust, oglądać jak padają i nawet nie mrugnąć powieką, nie czuć żadnej instynktownej odrazy przed zadawaniem śmierci... – Arnie otarł brew z potu. Powiedział: – Na wojnie służyłem z łajdakami o kamiennych sercach, facetami, którzy mieli to spojrzenie, sam wiesz, dziećmi ulicy, którzy dostawali regularnie w skórę przed pójściem spać przez całe dzieciństwo. I nawet ci faceci, ci

twardziele zamierali w bezruchu, kiedy mieli po raz pierwszy pociągnąć za spust, celując do żywej istoty.

Powiedziałem:

– Cóż, to dość okrutne, ale jednak tylko gry...

– Otwórz uszy, Wong. Nie mówię ci, że te gry były od dawna, a nie jestem aż takim piernikiem, żebym tego nie zauważył. Mówię ci, że te gry i urządzenia na których się w nie gra pojawiły się dopiero miesiąc temu. A teraz są wszędzie, przy każdym telewizorze w każdym domu, ej, popytaj się i ludzie powiedzą ci, że znają je od lat. Jestem dziennikarzem, dużo podróżuję, mam dzieci, rodzinę, znam świat. 1 wcześniej nie sprzedawali tych pudełek z grami. Wiem, że nie. Bo to czyste szaleństwo, że w ogóle to jest dozwolone. Ale zacząłem dostrzegać jak cienie się poruszają. Wstałem pewnego dnia z łóżka i nagle zobaczyłem, że wszystkie dzieci siedzą ze wzrokiem wlepionym w ekran, z pudełkiem, które je instruuje. Powiedz, że nie. Całe miliony, w całym kraju, na całym świecie, miliony dzieci godzinami siedzą przed tym gównem i reagują coraz szybciej, gry stają się coraz bardziej realistyczne i coraz bardziej bezwzględne w treści. To jest tresura. Tak właśnie wygląda warunkowanie osobowości. I w twoim świecie, w tym świecie, w tej wersji rzeczywistości nie uważa się tego za dziwne? Naprawdę?

– Cóż...

Nie było jak tego skomentować. Myśl, że te ciemne dranie mają taką moc zapadła we mnie głęboko, wywołując odrętwienie. Najgorsze było to, że nie mogłem nawet powiedzieć Arniemu, że jest wariatem, bo spędził ze mną cały dzień i to naprawdę nie byłoby w porządku.

– I sprawa wygląda tak – powiedział Arnie – że z czasem czuję jak to wszystko blaknie. Jak we śnie. Myślę, że przyzwyczajam się do tej myśli. Jasne, pewnie, zawsze były te gry. To pewnie ja zaczynam świrować ze stresu, albo z wieku, albo od prochów, które brałem dawniej. Ale nagle włączam wiadomości i widzę drobne różnice, niezauważalne z pozoru. Wiem, że mam rację. Jak na przykład z papieżem. Papież Jan Paweł Drugi wciąż tam jest i papieżuje, i wygląda na sto lat. Pamiętam, jak go zastrzelili w latach dziewięćdziesiątych. Został zastąpiony przez Papieża Leona któregoś. Mrużę oczy i niemal widzę twarz nowego papieża. Jest czarny. Młodszy, około pięćdziesiątki. Ale nie. Teraz nigdzie go nie widać. I jest jeszcze jedna drobnostka, która została zmieniona. Zupełnie niemożliwa, bo jest tak wielka, sama myśl o tym sprawia, że czuję się jak robak pod kolami osiemnastokołówki. Wiesz, o czym mówię?

Pokiwałem wolno głową.

– Tak. Tak, Arnie, wiem.

– A więc co mamy robić? Jeśli to się naprawdę dzieje, to co mamy robić?

– Zamierzałem zaproponować: nic.

Odwrócił się do mnie.

– Bo się boisz, że zabiorą Amy. Słuchaj, jeśli przyjmujemy, że to są realne istoty i że ten cały „Korrok” naprawdę majstruje przy świecie, to zakładam, że nie po to, aby zrobić nam dobrze, więc z całą pewnością jest coś, co możemy...

– Och, oczywiście, że możemy Arnie. Wiem, że możemy. Wiążę się to z poświęceniem wszystkich wokół dla sprawy. Dlaczego nie? Wszyscy wielcy ludzie tak robią. Piramidy stawiało dziesiątki tysięcy anonimowych istnień, które zaharowywały się na śmierć, żeby osiągnąć wielkie dzieło. Na tym polega ta gra, w taki właśnie sposób walczy się z łobuzami. Wystarczy tylko poświęcić wszystkich swoich bliskich, jak garść drobnych na flipperach. Pytałeś mnie wcześniej, czy jestem socjopatą. Cóż, lepiej trzymaj się tej myśli, bo świat zbudowali socjopaci, ludzie gotowi posłać milion niewinnych chłopaków do boju, żeby poszatkowało ich jak wrzeszczące podroby, żeby można było tylko wywiesić sztandar nad kolejnym skrawkiem ziemi z nowymi domami, marketami i drogami, które zaraz się tam pojawiają.

Mówiłem coraz szybciej. Zmilczałem kolejne zdanie, uspokoiłem się. Musiałem się skupić. Cholerna nadpobudliwość.

– Psycholodzy w szkole zrobili mi PCL-R. To jest taki test na którym oceniają cię od zera do czterdziestu w oparciu o indywidualne cechy socjopatyczne. Gładkość wypowiedzi, rozbuchane ego, przemoc, zaburzenia wieku dojrzewania, całe to gówno do oceny seryjnych zabójców. Każdy

wynik powyżej trzydziestu umieszcza cię wśród innych socjopatów. Ja miałem dwadzieścia dziewięć. Ironia losu polega na tym, że musiałem wykraść kartę z wynikami, żeby się tego dowiedzieć. Myślisz, że to jest warte dodatkowego punktu?

Pokręcił wolno głową.

– Teraz to za tobą nie nadążam.

– Co by potwierdziło, że jestem potworem, Arnie? Poświęcenie ludzi, których kocham dla sprawy? Czy może zrezygnowanie z walki i ocalenie ludzi, których kocham?

Arnie nie chciał się dać wciągnąć w dyskusję na ten temat i zamiast tego powiedział:

– Wysłuchaj mnie tylko. Powiedzmy, że to wszystko ujawnimy, twoją opowieść. Moją też.

– Po co, Arnie? Czemu to niby ma służyć?

– Wtedy inni się ujawnią, inni, którzy tak jak my czują, że coś jest nie tak. Siła w kupie. Do diabła, ludzie wierzą w anioły, w UFO i we wszystkie inne bzdury. Posłuchają. Łajdaki nie mogą wszystkich zdematerializować, prawda? Z pewnością mają swoje ograniczenia. Muszą mieć.

– Dlaczego?

Arnie znów rozłożył ręce, jak zawodnik NBA zaskoczony decyzją sędziego.

– Tylko to mi zostało, Wong. Nie mam wiary, żeby o niej mówić ani innych umiejętności, opisuję to, co widzę. Mówiąc prawdę, siła wiedzy w rękach ludzi, na tym polega esencja dziennikarstwa i w to wierzę. Tylko w to wierzę. Nie mam niczego innego. Nie mam żadnej innej broni. Ale to też wiem. Odebrałeś ode mnie telefon nie bez powodu. Myślę więc, że mamy taki sam pomysł.

Powiedziałem:

– To był pomysł Amy. Żeby się z tobą spotkać.

Arnie zapytał:

– Wciąż siedzi w Utah?

– Kto?

– Amy.

– Sprawdzalem tylko. Taa, wciąż siedzi u tych lesbijek. Odkąd wyjechała, było kilka incydentów. Przylazł do mnie potworny, wielki facet i go zabiłem. Dwa razy. Musiałem mu łeb uciąć. W kuchni znalazłem ślimaka giganta. Walczyliśmy z potworem zrobionym z mięsa. Próbuja sukinsyny, cały czas próbują. Nie chciałem, żeby Amy w tym uczestniczyła. Chciałem, żeby żyła spokojniej. Staralem się nawet odciąć ją od tego wszystkiego, żeby zaczęła nowe życie. Własne życie. Ale dzwoni do mnie. Cały czas dzwoni. Od kiedy wyjechała, dzwoni i dzwoni bez przerwy. W jednym miesiącu nastukało mi rachunku na cztery stowy. Powiedziałem jej, że chcesz się ze mną spotkać, a ona mi odpowiedziała, że powinienem to zrobić, że ma przecucie.

– Widzisz? Ona wie. Ona wie i ty wiesz, że w karaluchy trzeba walnąć światłem. Cienie nienawidzą światła, zaświećmy więc moim światłem prosto w te ich kaprawe ślepie. Niech ludzie wiedzą, co się dzieje w ich świecie.

Powiedziałem:

– To tylko historyjki, gówno to da. Zeznanie dwóch pojebów, które ustawi nas w jednym szeregu z fanatykami Roswell, mniejszością mózgowców walczących o swoje żalosne interesiki, wspieranych mailami przez grupkę równie pierdolniętych i samotnych ludzi.

– W takim razie co zamierzasz zrobić...

– Pokazać im to.

Wyciągnąłem srebrny pojemnik z kieszeni.

– To jest namacalne, Arnie. Prawdziwy dowód. Tak właśnie myślała Amy, że powinniśmy przekazać to komuś, do jakiegoś laboratorium, czy ja wiem. Nie wiem. I musi gdzieś być jeszcze więcej tego sosu sojowego. My mamy już dwa pojemniki. A może znów się pojawi w środku, tak jak to już było wcześniej. Może ten pojemnik wytwarza to świństwo. Ale ty musisz znać odpowiednich ludzi, na uniwersytecie, kogoś kto ma mikroskop elektronowy. Bo myślę sobie, że ktokolwiek przyjrzy się temu dokładniej, sekundę później będzie miał brązową plamę z tyłu białego fartucha – zastanowiłem się przez chwilę. – Trzeba to tylko trzymać w zimnie.

Arnie pokiwał głową.

– Jasne, jasne. Zrobić z tego wielki materiał. Do diabła, niech sami zobaczą efekty działania tego świństwa, niech nakarmią tym jakiegoś szczura laboratoryjnego i niech patrzą, jak zaczyna lewitować albo gadać po francusku.

I tak po prostu poczułem oszałamiający przypływ nadziei. Starłem się go stłumić, zepchnąć w dół, wystawić go na działanie rzeczywistości, zabić. Ale nie potrafiłem. Było to niczym wschód słońca, widok padającego śniegu w oczach dziecka wychodzącego do szkoły. Nadzieja. Że to wszystko może skończyć się dobrze, że w jakiś sposób można zawrócić tak wielką, czarną falę przyboju. Nadzieja niczym strzelający płomień ogniska, myśl o prezentach na Boże Narodzenie i swoiste spojrzenie w oczach dziewczyny, które może rozanielić człowieka w sekundę. Ta piękna granica między nocnym koszmarem i porankiem, kiedy człowiek uświadamia sobie, że wszystkie groźne potwory zniknęły, rozwiały się niczym kłęb dymu, pozostawiając jedynie ciepłe miejsce na pościeli i blade światło słońca w sobotni świt.

Amy Sullivan. Nazywa się Amy Sullivan. Jej samolot wylądował w Salt Lake City i zadzwoniła do mnie dwa dni później, i rozmawialiśmy przez cztery godziny i kupiła nową płytę, której słuchaliśmy podczas całej rozmowy. Amy Sullivan. Wciąż tam jest. Amy...

Powiedziałem:

– I chcesz zaryzykować wszystko? Swoim życiem? Rodziną? No bo twoja kariera dziennikarska w najlepszym wypadku się skończy, bo od tej pory będziesz znany tylko z tego. I nie zapominaj, że mogą być ludzie, prawdziwi ludzie, którzy nie chcą, żeby to wyszło na światło dzienne. Ci, którzy przetrzęsnęli mój dom, ludzie z fabryki, z CIA czy NSA, czy w ogóle „Faceci w Czerni”, kimkolwiek są, nie chcą dopuścić do tego, żeby to się ujawniło. Jesteś na to wszystko gotowy, Arnie?

– Kurde. Z niejednego pieca chleb jadłem, Wong. Na pierwszym roku dziennikarstwa dostałem pałą aż straciłem przytomność, na wiecu przeciw segregacji rasowej. Był rok 1964. Ocknąłem się, mój aparat leżał rozbity na chodniku obok, miałem krew na koszuli. Taki grubas podchodzi do mnie i mówi: „Leż jak ci dobrze, czarnuchu”. Myślę, że wtedy dowiedziałem się o co chodzi w tym łachu. Ale przez te wszystkie lata...

Arnie zobaczył moje spojrzenie i zamilkł.

– No co?

Nie odpowiedziałem. Nie potrafiłem.

– No co jest? Wong?

– Oni wyzywali cię od „czarnuchów”? Chociaż jesteś biały?

– Żarty sobie robisz, czy jak? Co ty...ej! No i z czego ty się śmiejesz?

Nie potrafiłem mu odpowiedzieć. Tym razem dlatego, że śmiech zatykał mi tchawicę. Arnie był wściekły.

– No co jest? Mów, gnoju jeden!

Nie mogłem. Był to taki śmiech, który staje się bezgłośny, zamienia się tylko w spazm z klatce piersiowej. I w mózgu. Aż mnie zgięło w pół. Arnie podszedł do mnie, chwycił mnie za koszulę i pchnął na ścianę.

– Co jest?

Zakrztusiłem się.

– Możesz mi siebie opisać, Arnie? Chodzi mi o wygląd, po prostu powiedz mi, jak wyglądasz.

Arnie cofnął się. Twarz wykrzywiła mu nieopisana groza. Wiedział, o co pytam. Wymamrotał:

– Nie, nie... teraz to mnie podpierdasz.

– Daj spokój, Arnie. Mam dużo spraw i mało czasu.

– Nie...

– Ponieważ dla mnie nie jesteś czarny, Arnie. W moich oczach jesteś białym facetem przy kości, z siwym wąsem. Z dużym, szerokim krawatem zawiązanym w węzeł o nazwie windsor.

Arnie wybałuszył na mnie oczy, a potem zmrużył je z obrzydzenia. Rzucił mnie na ścianę po raz ostatni, po czym się cofnął.

– Pierwsze co sobie pomyślałem, Arnie, to że wyglądasz dokładnie tak, jak sobie ciebie wyobrażałem gdy rozmawialiśmy przez telefon. Powiedziałem to nawet pod nosem. Powiniennem być wiedzieć. A tak zmarnowałeś mi cały dzień.

Rzucił coś ohydneho pod wąsem, odwrócił się na pięcie i wypadł z pomieszczenia. Siedziałem wstrząsany atakami niepohamowanego śmiechu. Muszę się uspokoić. Niestosowny śmiech jest powszechnie uznawany za pierwszy objaw szaleństwa. Wziąłem kilka głębokich wdechów. Całe popołudnie. Zmarnowane. Z wolna cała ta idiotyczna sytuacja przestawała mieć wymiar komiczny i zaczęła mnie poważnie wkurzać. Jeśli Arnie odjechał swoim wozem, to nie będę miał jak wrócić. Podniosłem się z ziemi i ruszyłem za echem jego kroków przez galerię.

Dogoniłem Arniego na ciemnym parkingu. Miał kluczyki w dłoni i szedł w stronę samochodu z wypożyczalni, ale się zatrzymał. Zaczął się przypatrywać pojazdowi gdzieś z tyłu wozu. Patrzył na bagażnik.

Podszedłem do niego wolnym krokiem, nie wiedząc, co zrobi dalej. Nigdy nie wiadomo, jak zareaguje człowiek w takiej sytuacji. Sposób, w jaki spoglądał na bagażnik, świadczył o tym, że coś wie. Co robi, kiedy dojdzie do prawdy? Co wy zrobilibyście na jego miejscu?

Podszedłem i stanąłem jakieś trzy metry za nim. Powiedziałem:

– Myślisz, że coś tam jest w środku, prawda Arnie?

Nie odpowiedział. Przyglądał się kluczykom.

– Daj spokój, Arnie. Otwórz go. Im szybciej to zrobisz, tym szybciej będziemy mogli ruszyć dalej.

Drżącymi palcami Arnie przekręcił kluczyk w zamku. Podniósł pokrywę bagażnika i wpatrywał się bez słowa w to, co tam zobaczył, może z minutę. Kluczyki wypadły mu z dłoni i zachrzęściły na żwirze. Byłem pewien, że Arnie zemdleje. Czy to w ogóle możliwe w przypadku kogoś, kto już nie żyje? Interesująca kwestia.

Zaszedłem Arniego od tyłu. W bagażniku leżało ciało szczupłego, czarnego mężczyzny lat około sześćdziesięciu. Siwiejące afro z łysiną w kształcie podkowy na czubku głowy było zbryzgane krwią.

Głowa nie była przytwierdzona do reszty ciała. Została bardzo sprawnie odcięta, tak szybko i skutecznie, że poplamiona krwią muszka wokół szyi wciąż trzymała się bez zarzutu. Mężczyzna w bagażniku nie mógł bardziej się różnić od Arniego Blondestone, którego poznałem. Ale z całą pewnością był to ten prawdziwy.

Powiedziałem:

– Przykro mi, Arnie. Naprawdę jest mi przykro. Myślę, że jestem jednym z nielicznych ludzi na świecie, którzy naprawdę szczerze mogą ci współczuć.

Arnie odwrócił się i spojrzał na mnie, jakbym był wcielonym diabłem. Wycelował we mnie oskarżycielsko palec niczym broń i wykrzyknął:

– To twoja sprawka! Zabiłeś mnie, ty skurwysynu!

– Przyjrzyj się swemu ciału, Arnie. Temu w bagażniku, chciałem uściślić. Popatrz na zaschniętą krew. Nie żyjesz od wielu dni. Nie, myślę, że ktoś wyniuchał, że się ze mną skontaktowałeś i cię wyautował. Naprawdę przykro mi z tego powodu. To też po części moja wina, jak sądzę.

– *Nie jestem jakiś jebanym duchem!* To wszystko ścierna. Jeden wielki pic na wodę i fotomontaż! Przywiozłem cię tutaj przez całe miasto. Mogę cię dotknąć! – wyciągnął dłoń i chwycił mnie za koszulę, aby zademonstrować. – Co to za nowe sztuczki, gnoju jeden? To jakieś twoje gierki, tak samo jak na parkingu, kiedy zobaczyłem to ścierno w twoim wozie. Naszprycowałeś mnie czymś?

Uniosłem dłoń i z łatwością oderwałem dłoń Arniego od mojej koszuli. Następnie wsadziłem mu dłoń pod pachy i uniosłem go w górę. Ważył mniej więcej tyle, co manekin w sklepie. Wątpię, że kiedykolwiek podnosiliście manekina, ale pewnie domyślacie się, że nie są ciężkie.

Ponownie oczy Arniego zrobiły się wielkie jak spodki, więc postawiłem go z powrotem na ziemi.

Powiedziałem:

– Jesteś ciałem astralnym. Wiesz, co to znaczy, Arnie? – Arnie nie słyszał. Złapał się za pierś, rozglądając się po świecie wokół, jakby nagle w każdym kamieniu i źdźble trawy czaiła się jakaś nowa groza. Powiedziałem: – To faza manifestacji pomiędzy fizycznym i duchowym. Ciało, które jedną nogą już jest gdzie indziej.

Arnie ruszył biegiem. Czmychnął na drugą stronę sedana i szarpnął za drzwi kierowcy. Rzucił się na fotel i zaczął szukać kluczyków, by po chwili zrozumieć, że ich nie ma. Przyłożył dłonie do twarzy, oparł się o kierownicę i zamknął oczy.

Podszedłem do jego drzwi i powiedziałem przez szybę:

– To moja wina, Arnie. Nie tylko to, że cię zabili, ale też to, że teraz trwasz w takiej niepełnej egzystencji. Ja to zrobiłem, wyobraziłem sobie ciebie. To sos sojowy, pozwala mi robić takie rzeczy. Myślę, że zabili cię od razu po naszej rozmowie telefonicznej. Wiesz jak to jest, jak rozmawiasz z kimś przez telefon i wyobrażasz sobie jego wygląd na podstawie głosu? Cóż, kiedy zostałeś zabity, od razu przyjąłeś taką postać...

– To niemożliwe. Nie. Nie przyjmuję tego! Ja... ja mam wnuki. W czerwcu jadę na wakacje. Jadę do Atlantic City. Kupiłem już bilety.

– Jasne, teraz wchodzisz w fazę negacji, Arnie. To normalne. Muszę już iść, dobra? Muszę zadzwonić do Amy i powiedzieć jej, że wisi mi pięć dolców.

– Zamknij, kurwa, ryj, Wong. Ale już. Nie mam zamiaru uwierzyć, że siedzę tu tylko dlatego, że jestem wytworem twojej wyobra...

Arnie zniknął. Mówiłem do pustego wozu.

– Przepraszam, Arnie. Z całego serca.

Obszedłem auto dookoła i niemal zamknąłem bagażnik, ale pomyślałem, że może lepiej nie zostawiać odcisków palców na wozie z trupem w środku. Wykluczało to też powrót samochodem do restauracji. Spojrzałem w zaciągnięte, bezgwiezdne niebo, mając nadzieję, że deszcz powstrzyma się do czasu, kiedy wrócę do swego wozu.

Wszedłem w noc. Minąłem zachwaszczoną, pustą parcelę Burger Kinga, kościół działający w budynku, w którym niegdyś była kręgielnia. Minąłem chudego jak tyczka faceta, który wyglądał na bezdomnego i spojrzałem jeszcze raz, kiedy wydało mi się, że widzę swoje nazwisko na jego poplamionym, białym podkoszulku. Widniała na niej karykatura żółtego Azjaty z wystającymi przednimi zębami i podpisem PAN WONG pod spodem. Pomyślałem, że już gdzieś coś takiego widziałem, ale zlekceważyłem tę myśl.

Ulicę dalej zobaczyłem dwóch szczeniaków, mieli może po trzynaście lat. Palili papierosy i spoglądali na mnie podejrzliwie. Ten po lewej miał koncertową koszulkę ze zdjęciem jakiegoś glam-rockowego zespołu. Pod zdjęciem widać było napis THE DARKNESS. Drugi miał rozpiętą flanelową koszulę. Podkoszulek pod spodem był częściowo zakryty, ale wystawał fragment napisu IS HUNGRY.

Wydawało mi się, że widzę cały napis, który zabrzmiałby bardzo dziwnie w kontekście całego mojego życia. PANIE WONG, CIEMNOŚĆ JEST GŁODNA. Minąłem starszą panią wychodzącą z pasmanterii z drewnianą fasadą – ona nie miała niczego na bluzie. Później napatoczyła się piersiasta dziewczyna z oliwkowym podkoszulkiem i napisem RĘCE PRECZ OD IRAKU i pomyślałem, że to też mogło się zgadzać.

Wszedłem na czarny parking restauracji Najedzcie się chińszczyzną! i zobaczyłem zbliżającą się białą podkoszulkę. Zmrużyłem oczy i zobaczyłem napis wypisany grubymi, czarnymi literami JAJA NA KOLACJĘ? TO JEST TO! Podniosłem wzrok i spostrzegłem, że to John nosi taką koszulkę.

– A dokąd to polazłeś? – zapytał. – Widziałem twojego bronco, ale kobieta za ladą już zamykała. Powiedziała, że dawno wyszedłeś. Spotkałeś się z tym facetem?

Zapytałem:

– Czy kelnerka pamięta, że byłem z nim w lokalu?

– Mówiła, że nie pamięta, czy z kimś byłeś. Pytanie zdaje się dość ją zaskoczyło. Pojawił się? Przeszedłem, żeby zrobić mi zdjęcie.

Machnąłem lekceważąco dłonią w stronę horyzontu.

– Eee tam, nie wyszło. Okazało się, że cały czas był martwy. Nawet nie wiedział o tym. Pół materialne ciało astralne.

– Nienawidzę, kiedy się tak zmieniają.

– Taa, musiałem mu przekazać tę rewelację. Jeździł wynajętym wozem z własnym trupem w bagażniku. Wyglądał na starszawego białego, klasyczny agent sprzedaży bezpośredniej dawniej zwany komiwojazerem, ale w realu wyglądał zupełnie inaczej.

– No jak, był czarny, mam rację? Dave, jego zdjęcie było w tych wszystkich artykułach, które ci wydrukowałem. Muszka? Nieco łysy? Przeczytałeś w ogóle coś z tego, co ci dałem?

– Bo ja wiem. Zajęty byłem.

– A więc nie napisze artykułu?

Skrzywiłem się do Johna, co miało oznaczać, że nie zamierzam zaszczycić go odpowiedzią w tej kwestii i powiedziałem:

– Muszę wrócić do galerii. Zostawiłem podniesiony panel. Pokazywałem Arniemu ciało.

– Ja go włożę. I tak miałem tam iść.

– Idziesz tam sam? Po co?

Wzruszył ramionami.

– Ej, Amy dzwoniła, szuka cię.

– Wielka mi nowina.

– Mówiła, żebyś zadzwonił do niej na komorę, jak tylko wrócisz do domu. Ej, a nie założyłeś się z nią przypadkiem o pięć dolców, że sprawa z tym gryzpiórkiem skończy się jedną wielką rozpierduchą?

Wszedłem do domu i rzuciłem srebrny pojemnik na koniec stolika wraz z kluczykami i drobnymi. Odnalazłem pilota do telewizora między poduszkami sofy i włączyłem odbiornik. Nadawali jakiś program o tym, jak to rodzina buduje motocykle, drąc się na siebie jednocześnie. Mniej więcej po pół godzinie zadzwonił telefon. Spojrzałem na numer, podniosłem słuchawkę i powiedziałem:

– Wisisz mi piąta.

Amy powiedziała:

– Cześć, to ja! Co mówiłeś?

– Nic. Myślę, że z tym dziennikarzem nie poszło najlepiej.

– Słyszysz mnie? Podejź do drzwi.

– Co mówiłaś? Amy? Halo?

Ktoś mógłby się bardzo wzbogacić konstruując telefon komórkowy, który naprawę działa.

– Podejź do drzwi.

Wszystko to wydawało się być bardzo dziwne. Stężałem, poszedłem do drzwi frontowych i zerknąłem przez okienko na gorze. Nic. Ostrożnie otworzyłem drzwi i wyszedłem na werandę. Odwróciłem się w prawo i zobaczyłem Amy, siedzącą na jednym z moich plastikowych krzesełek z komórką w dłoni. Miała na sobie białozółtą sukienkę i sandały. Miała dłuższe włosy niż ostatnim razem, już dotykały jej ramion. Tyle tylko urosły. Nieśmiałym głosem wykrzyknęła:

– Niespodzianka!

– Czy... Czy to naprawdę ty?

– Tak. Przyleciałam po południu. Na twoje urodziny. John wszystko wiedział, zwałam więc na niego. Nawet nie pojechał do pracy, żeby móc mnie przywieźć z lotniska. Chciał, żeby to była niespodzianka.

Byłem zaskoczony, to prawda, choćby z tego, że nagle uświadomiłem sobie, że rzeczywiście za dwa dni mam urodziny.

– A więc przyleciałaś tutaj? Teraz?

– Ta! Ej, popatrz tylko. To niesamowite.

Amy zeskoczyła z krzesełka i podniosła nogę, kładąc ją na barierce werandy. Sukienka zsunęła się jej po udzie i moje serce podskoczyło, jakbym nigdy w życiu nie wdział odsłoniętego, tego

konkretnie kawałka skóry u kobiety. Amy pokazywała na coś na kostce i zdjęła nogę z barierki dopiero, kiedy oderwałem wzrok od uda i zauważyłem, co mi pokazuje. Zrobiła sobie niewielki tatuaż na kostce, chiński znak.

– Eee, no fajne – powiedziałem. – Co oznacza?

– Kostka.

Roześmiała się, po czym zmniejszyła dystans między nami i objęła mnie tak mocno, że aż powietrze uciekło mi z płuc. Zapytała:

– Podoba ci się? Mówiłam Crystal, że ci się nie spodoba.

– A co to za różnica? Jeśli tobie się podoba, to wystarczy. Jak mi się nie podoba, to mogę iść się wypalować.

– A więc chcesz powiedzieć, że ci się nie podoba?

– W porządku, Amy. Ale masz, uch, tylko ten jeden, tak?

Oderwała się ode mnie i posłała mi najbardziej przebiegłe i przewrotne spojrzenie na jakie było ją stać.

– Może. Nie dowiesz się, jak mnie nie sprawdzisz.

Zaśmiałem się. Amy zachichotała. Zamilkliśmy oboje. Zostawiliśmy szlak ubrań od drzwi wejściowych do sofy.

Jakiś czas później Amy i ja leżeliśmy na sofie przykryci kocem z amerykańską flagą, który John kupił mi na wyprzedaży garażowej lata temu. Telewizor był wciąż włączony i obydwójce patrzyliśmy w niego, myśląc o czymś innym. Zapytałem:

– A więc na jak długo przyjechałaś do miasta?

Amy z początku nie odpowiedziała, ale po chwili zapytała:

– Ci faceci są nieźle zakręceni na punkcie budowy tych motocykli, co?

– Wciąż pracujesz w sklepie z rękodziełem, tak? Kiedy musisz wracać do pracy?

Wzruszyła ramionami.

– Amy?

– Zwolniłam się.

– Och. No więc, kiedy wracasz?

– Chciałam z tobą porozmawiać na ten temat.

– Amy, nie. Nie. Nie możesz tu zostać.

– Dlaczego? Masz inną dziewczynę?

– Wiesz, o czym mówię.

– Nie mogę tam wrócić, David. To jest straszne. Crystal i Tonya, one ciągle chcą się bić na poduszki w bieliźnie i takie tam. Nie mogę w tym uczestniczyć.

– Naprawdę?

– Nie. Powiedziały mi, że bym to tobie przekazała – roześmiała się.

– Amy, nie przerabiamy tego od nowa, wyjaśniłem ci, dlaczego to jest niebezpieczne. Nie powinienem wałkować tego od początku.

Odwróciła się twarzą do mnie.

– Nie, bo widzisz, ja sobie to wszystko opracowałam. Myślę, że właśnie to jest dowodem, że wcale nie jesteś zły, że nie masz w sobie zła. Troszczysz się o moje bezpieczeństwo, choć czujesz się samotny i zdołowany każdą minutą, kiedy jestem gdzie indziej. Gdybyś naprawdę był zły, troszczyłbyś się tylko o siebie. Powiedziałbyś mi, że chcesz, że bym została wiedząc, że nie jestem tu bezpieczna.

Zastanowiłem się przez chwilę, po czym powiedziałem:

– Mylisz się.

– Niby jak?

– Naprawdę chcę, żebyś została.

– Dobrze – rzuciła radośnie. – W takim razie zostanę.

Pocałowała mnie w policzek, po czym znów przetoczyła się na plecy.

Staralem się dojść, w którym właściwie momencie straciłem kontrolę nad tą rozmową. Powiedziała:

– Słuchaj, no bo ja naprawdę nie mam się gdzie zatrzymać w tym mieście...

– Cóż...

– Ale John powiedział, że mogę zostać u niego, aż coś znajdę.

– Po jego trupie.

Roześmiała się i powiedziała:

– Kazał mi tak ci powiedzieć. Chdał też, żebym nadmieniła, że ma olbrzymie łóżko i jest w nim mnóstwo miejsca dla mnie. No i że śpi na golasa.

– Możesz zostać tutaj. Na razie. Ale Amy, ty nie mieszkasz ze mną. Rozumiesz, co mówię? Będiesz tu mieszkać, ale nie na zasadzie „i żyli długo i szczęśliwie”. Będzie to raczej „mieszka, bo nie ma się biduła gdzie podziać”. Dobra?

– Jasne. W takim razie wszystko ustalone. Wiesz, dobrze jest na starych śmieciach. Jedno mogę powiedzieć na temat Anonimowego. Wiem, że będzie ciekawiej niż w Utah.

Nic ciekawego nie wydarzyło się przez kolejne cztery miesiące.

Pewnego upalnego dnia pod koniec sierpnia John i ja wieźliśmy Amy i jakiś tuzin kartonów z jej rzeczami bocznym zjazdem, a mój bronco mijał zielony szyld UNIWERSYTET W [WYKREŚLONO].

Uczelnia znajdowała się w odległości nieco ponad dwóch godzin jazdy od Anonimowego, co jak stwierdziłem jest dostatecznie daleko, gdyby pod naszym miastem rozwarła się czeluść i raz na zawsze wchłonęłoby je piekło, ale też na tyle blisko, że Amy zgodziła się tam pojechać. Kosztowało mnie to jakiś tuzin kłótni i jeden napad płaczu, by osiągnąć ten kompromis. W końcu przekonałem ją, że powinna zdobyć jakieś wykształcenie i w pewnym momencie zacząć żyć swoim życiem. Zobaczyć świat, poszerzyć horyzonty. Zleźć z mej kanapy i przestać stukać w klawiaturę tego cholernego laptopa. Była jak dziecko z przytułku. Miała przerąbane w ogólniaku i od tamtego czasu prawie nie opuszczała miasta. Nie wiecie nawet, jak przerażający może być świat dla takiej osoby, kogoś, kto woli zaszyć się w swojej norce niż zamieszkać w nieznannej posiadłości.

I dlatego sam nie paliłeś się specjalnie do przeprowadzki...

Ale w końcu sprawdziliśmy wszystko na tej uczelni, zrobiliśmy wywiad i okazało się, że wyniki Amy były na tyle dobre, że kwalifikowała się do częściowego stypendium. Te pieniądze w połączeniu z kulą u nogi studenckiej pożyczki zapewniły jej miejsce na studiach. Było z tym mnóstwo papierkowej roboty i Amy zmieniła się w kłębek nerwów na trzy tygodnie przed przeprowadzką do akademika. Ale w końcu przyjechaliśmy.

I o to właśnie chodziło. Wyprawa do Utah była źle przemyślana, ale teraz będzie miała zajęcia, spotka fascynujących ludzi i bardzo będzie się jej tu podobać. Będzie dzwonić codziennie, później co tydzień. A potem wspomni coś o jakimś koleśiu. Powie, że to jej przyjaciel. A potem zacznie dzwonić raz na miesiąc, przyjeżdżać dwa razy na semestr, a następnie dostanę telefon, że bardzo jej przykro, ale poznała kogoś, że on studiuje literaturę angielską, gra w hokeja na trawie i tym podobne bzdury. I wtedy Amy dorośnie. Znajdzie pracę prosto po uczelni w jakimś innym mieście i nigdy, przenigdy tu nie wróci.

I tak właśnie powinno się to odbyć. Wyjdzie z mojego kręgu, z mojej sfery zmartwień i nie będzie już doskonałym celem dla tych, co chcą dobrać się do mnie. Będzie bezpieczna. Tym razem.

Kiedy mężczyzna planuje, kobieta się śmieje.

Wyładowaliśmy pudła i przeszliśmy przez hol akademika. Czekaliśmy w kolejce do wind w tłumie chudych dziewcząt i dobrze ubranych rodziców, pękatych chłopaków, którzy wyglądali o wiele za młodo na studiowanie i zaskakująco dużej liczbie młodych Azjatów. Pojawił się jakiś facet i zaczął rozdawać formularze – regulamin akademika i tym podobne bzdury – i wdał się w rozmowę z Amy. Bardzo łatwo nawiązywała niezobowiązujący kontakt z rozmówcą. Było powyżej trzydziestu stopni i miała lekką kurtkę na przedramieniu. Doskonale skrywała jej nadgarstek. Porozmawiali, Amy zachichotała, a chłopak poszedł dalej rozdawać makulaturę.

Powiedziałem:

– W porządku koleś.

Odparła:

– Uhmhhh.

– Jak ma na imię?

– James czy Jack, nie pamiętam.

Powiedziałem:

– Dobrze ubrany. Pewnie będzie lekarzem.

John spojrział na mnie, potem na Amy i znowu na mnie. Dodał:

– No i, eee, ma niezły tyłek.

Amy odwróciła się, przewracając oczami, i w końcu weszliśmy do windy. Wjechaliśmy na górę i wpakowaliśmy jej rzeczy do małego pokoiku. I tak, po raz drugi żegnałem się z Amy, będąc pewny, że rozstajemy się na zawsze. Obściskaliśmy się i chyba z tuzin razy życzyłem jej powodzenia na studiach. W końcu oderwałem się od niej i ruszyłem przez korytarz, pewien sukcesu, myśląc o tym, jak to gdy się kogoś kocha, trzeba go uwolnić, co właśnie zrobiłem, dla dobra wszystkich. I w chwili, w której juuuuuuż, już byłem niemal poza jej zasięgiem, Amy chwyciła mnie mocno za koszulę i odwróciła mnie do siebie. Powiedziała:

– Eee, dziękuję ci za pomoc w przeprowadzce.

– Już mi dziękowałaś. Nie ma sprawy – wyglądało, że ma ochotę powiedzieć coś zupełnie innego. Mówiąc szczerze, coś diametralnie innego.

John wtrącił się:

– Jasne, ze mną nie ma problemu, jestem przyzwyczajony do dźwigania ciężkich przedmiotów. Przywykłem przez całe życie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Podniosłem dłoń, żeby go uciszyć.

– John...

– Oczywiście, mówię tu o moim ptaszku.

Powiedziałem do Amy:

– Olej go. Ma ptaszka standardowych rozmiarów.

Amy odparła:

– Chciałam cię właśnie spytać...

– *Nigdy nie widziałeś mojego ptaszka!* – zadudnił John. – Pokazałbym go tu wszystkim obecnym. Gdybyśmy mieli na to czas.

Odwróciłem się do niego.

– Co? Gdybyśmy mieli czas?

– No bo, cóż, jak się chce dokładnie przyjrzeć mojemu penisowi, to trzeba mieć całe popołudnie, chłopie! Pięć, sześć godzin, żeby ani cal jego wysokości nie umknął uwagi!

Zanim zdołałem ją powstrzymać, Amy powiedziała:

– To zupełnie nie ma sensu.

– Miałoby, gdybyś go zobaczyła! – wykrzyknął John, najwyraźniej podekscytowany. – I to baaaaardzo dużo sensu, skarbie!

– John, uspokój się, dobrze? – wskazałem mu właściwy kierunek. – Poczekaj przy windzie.

Nie ruszył się nawet. Zza moich pleców usłyszałem głos Amy:

– Chcesz się zaręczyć?

I proszę bardzo. Poczulem się jak tonący, jak ćma lecąca do palnika acetylenowego. Staralem się opracować najlepszy, najbardziej kojący sposób na odrzucenie jej i powiedziałem:

– Jasne.

John zerknął na zegarek.

– No to gratulacje. Ale musimy już spadać. Jak wyjedziemy teraz, to zdążymy jeszcze trachnąć w kosza.

Dzień był tak gorący, że aż śmierdziało. Asfalt skwierczał nam pod stopami, ciała szurały o siebie, tańcząc do regularnego rytmu PAP, PAP, PAP – piłki odbijającej się od ziemi. Wycofałem się pod kosz, w miejsce gdzie znajdowałyby się linia wolnego rzutu, gdybyśmy byli na

prawdziwym boisku, a nie na tym wielkim spękany placu o nawierzchni papieru ściernego. Zakręciłem się, podskoczyłem, wykonałem rzut, który był niecelny, zaraz po tym jak piłka wyleciała mi z palców.

John zrobił zbiórkę, zakręcił się, podskoczył i walnął z całej siły. Uniósł pięść w geście zwycięzcy.

– Ogłóście wszem i wobec! Dwieście siedemdziesiąt cztery do stu trzydziestu siedmiu! – w grze Johna każdy celny rzut liczy się jako sto trzydzieści siedem punktów. – Nawet gdybym miał jedynie dziesięć centów za każdego kosza, dzisiaj i tak byłbyś w plecy!

Złapałem lecącą piłkę i podałem ją Johnowi. W tej grze, jak w życiu, jak się zdobywa punkt, zachowuje się piłkę. Zrobił dwutakt, zerknął gdzieś poza moim ramieniem i zamarł. Zobaczyłem jego minę i odwróciłem się. John zmrużył oczy i zapytał:

– To było tu wcześniej?

Zobaczyłem czarną kulę unoszącą się tuż nad chwastami. Miała jakiś metr średnicy i błyszczała jak olbrzymia kula bilardowa. John podszedł do niej i usłyszałem jak mówi:

– Można coś tam w środku zobaczyć. Myślę, że to ludzie – nachylił się i podniósł odłamek betonu. Cisnął nim w kulę, która pochłonęła go bezgłośnie. John odwrócił się przez ramię i powiedział: – Założę się, że to dziura do innego wymiaru. Chcesz przeleźć?

– Po rzucie.

John wziął piłkę i zaczął dryblować między pęknięciami w nawierzchni i kępami chwastów, gdzie była nasza trzypunktowa linia. Po jego oczach poznałem, że wykona rzut. Kiedy tylko piłka wyleciała z jego rąk, ja od razu wycofałem się pod planszę, bo podświadomość podpowiadała mi, że będzie pudło. Piłka brzęknęła o obręcz, wyskoczyłem. Wyłapałem ją w powietrzu jedną ręką i, zanim Johnowi udało się przejść do defensywy, odwróciłem się i wsadziłem piłkę, która pięknie przeszła przez siatkę.

– Jak śliwka w kompot, stary – rzuciłem. – Plum!

– Cholerka – powiedział John, dysząc ciężko i kładąc ręce na biodrach. – Twoja gra być okej, dzisiaj! – Specjalnie przekręcił tak, aby „okej” zrymowało się z „dzisiaj”. – Remis po dwieście siedemdziesiąt cztery, Potworze Dave.

Podniósł piłkę z trawy i cisnął ją z piersi we mnie, ale mocno chybił. Odwróciłem się, żeby popatrzeć dokąd poleciała. Oczywiście wpadła w czarną kulę i zniknęła tak, jak poprzednio kawałek betonu.

– Ups – powiedział John. – Wrzuciłem piłkę do innego wszechświata.

– Chcesz wracać do domu?

– Tak, tylko pójde po piłkę.

Podszedł do kuli i zajrzał do środka. Uniósł nogę i włożył ją w wi szącą w powietrzu kulę. Przełożył ją do końca i zniknął. Westchnąłem, spojrzałem na zegarek i podszedłem do sferycznego portalu. Wiedziałem, że nie wróci, jak przynajmniej nie wystawię głowy z drugiej strony, nachyliłem się więc i przepchnąłem przez otwór.

Powietrze po drugiej stronie było przynajmniej o kilkanaście stopni chłodniejsze. Wszedłem z portalu, uświadamiając sobie po fakcie, że wyłaniam się z białej kuli po tej stronie, błyszczącej jak oświetlony słońcem śnieg. Wszedłem na boisko do koszykówki, które nie różniło się tak bardzo od tego, które opuściłem. Niemniej jednak świat się zmienił. Nie było słońca. Zaciągnięte niebo tworzyło nienaturalny sufit z waty cukrowej o konsystencji smoły, a w powietrzu unosił się lekki swąd bździn.

Spojrzałem na krajobraz i dostrzegłem inne, drobne różnice. Park w Anonimowym znajdował się w sztywnej dzielnicy z wiktoriańskimi domami i równiutko przystrzyżonymi trawnikami. Tutaj domy wyglądały na opustoszałe i zapomniane, okna porozbijane, podwórka zarosnięte chwastami i rdzewiejące skrzynki na listy. Pożółkły biały dom najbliżej nas miał wysprejowane jedno bezsensowne słowo na fasadzie:

PIJAWY

Zerwał się podmuch suchego wiatru, ponownie niosąc ze sobą nieznaczny odór siarki. Zobaczyłem stojącego nieopodal Johna, który spoglądał na jedną z pół tuzina obręczy do kosza otaczających całe boisko.

Powiedział:

- Gdzieś ty się podziewał? Łażę tu już od dwóch godzin.
- Pewnie tutaj inaczej płynie czas. Przyszedłem zaraz za tobą.
- Zawsze masz jakąś wymówkę.

Powiedziałem:

– Przynajmniej tutaj jest chłodniej.
– Ale nie ma siatek na koszach – miał rację, nagie obręcze stały w milczeniu nad nami niczym bardzo wysocy, chudzi i zupełnie nieskuteczni strażnicy. – Ta tutaj jest względnie prosta, ale kilka innych jest zupełnie pogiętych. Pewnie w tym świecie wałą do kosza jak z armaty.

Za nami rozległ się jakiś brzęk. Odgłos tłuczonego szkła. Odwróciliśmy się jak na komendę. Wychudzona kobiecina w łachmanach szła chwiejnym krokiem w naszą stronę. Drżącą ręką cisnęła w nas szklanym słoikiem, który rozbił się na chodniku o kilkanaście metrów przed celem. Oczy miała wytrzeszczone ze zdziwienia i celowała prosto w nas kościstym palcem.

– Wyy-wyyy! – zaskrzeczała. – Niebarwieni! Niebarwieni! Ale jak to możliwe?! – Nie miała lewego przedramienia. Jej ramię kończyło się nad łokciem poszarpanym kikutem, jakby po prostu zgniło. Jej krzyki urwały się w pół słowa, kiedy cztery istoty, które można porównać jedynie do latających pawianów spadły na nią i zaczęły wściekle ją tłuc pałkami. Zaciągnęły jej nieprzytomne ciało gdzieś w górę. Patrzyliśmy jak odlatują, zobaczyliśmy też, że nie wracają po nas. Wymieniliśmy znaczące spojrzenia, po czym wykonaliśmy po trzy rzuty osobiste, by zobaczyć, kto będzie rozgrywał pierwszy.

John wygrał. Pograliśmy trochę, ale bez większego entuzjazmu. Chodziło o wiatr. Ten stały, paskudnie cuchnący wiatr wciąż nadciągał z południa i wraz z nim docierały do nas odległe odgłosy krzyków i owadzych pisków, i przez to każda piłka chybiała o włos. Wkrótce daliśmy sobie spokój z rzutami za trzy punkty, co sprowadziło grę tuż pod kosz. To była domena Johna. Jego kilkucentymetrowa przewaga wzrostu dała mu kilka kolejnych zbiórek i wrzutek, szybko dając przewagę na 548 punktów. Pot zalewał mi oczy, kiedy ponownie zostałem wpędzony pod kosz, starając się wbić punkt z tego miejsca. Dłoń Johna szybko mnie zablokowała. Piłka, odbijając się od ziemi, wyleciała z boiska.

– Ej! – krzyknął za nią John. – Rzuć piłkę!

Odwróciłem się, żeby zobaczyć do kogo tak krzyczy. Tam, przy piłce unosiło się coś, co od biedy mogło przypominać jeden z tych odkurzaczy do prania na mokro, jakie sprzedają u Searsa. Nie wydawało żadnych odgłosów. Mogłem tylko podejrzewać, że był to jakiś robot, powszechny w tym świecie, choć nie miał ani oczu ani żadnych rysów robota, jakie nadają im ludzie w naszym świecie, by przydać im nieco osobowości. Miało natomiast najeżone szpikulce na korpusie, którymi celowało w nas – pewnie jakieś sensory.

Powiedziałem:

- Ten złom nawet nie ma żadnej kończyny, żeby podać piłkę. Będziesz musiał sam po nią pójść.
- John odwrócił się do mnie zaperzony.
- Ostatnim razem ja chodziłem.

Po bitych pięciu minutach dyskusji zdecydowaliśmy, że pójdziemy po piłkę razem. Zauważyliśmy, że robot wciąż tam był, robiąc jakieś bezgłośnie pomiary. Ku naszemu zaskoczeniu odezwał się.

– Dowodziki proszę.

John uśmiechnął się:

– Nie mam przy sobie. Nazywam się Duposław Wielkapyta.

Urządzenie odwróciło się do mnie powtarzając żądanie.

– Felipe Kutasiński.

– Nazwiska nie figurują w bazie danych. Proszę określić miejsce zamieszkania.

John:

– Dupa blada.

Ja:

– Zachodnie przedmieścia Dupy Bladej.

– Sektora brak w bazie danych. Proszę zgłosić się do najbliższego zakładu kwarantanny.

Niestawienie się w ciągu trzydziestu minut spowoduje...

Odeszliśmy od robota i zostawiliśmy go, żeby sobie pogadał. Teraz ja rozgrywałem. Udało mi się wbić dwa szybkie kosze i wrócić do gry.

Nagle z nieba zaczął dobiegać coraz głośniejszy mechaniczny stukot, jakby samochód jechał na flaku. Podniosłem wzrok i John wykorzystał okazję, by wybić mi piłkę ze spoconych rąk. Zrobił dwutakt i znów wykorzystał swą genetyczną przewagę, by wbić kosza.

– Uuuuuuu! – wykrzyknął wznosząc ręce w górę. – Przejęcie i punkt! Rozwalam cię jak chcę w dwóch wszechświatach, suko!

Miałem już dość koszykówki. Moja gra była coraz gorsza w tym zatęchłym wietrzysku i tęskniłem za boiskiem w moim wszechświecie. Ponadto ten rozkojarzający odgłos narastał. Chwyliłem piłkę i usiadłem na niej, jak na stołku.

John powiedział:

– Daj spokój. Rozegramy jeszcze raz zanim wrócimy do Gorącego Świata. Założę się, że tu nie ma nawet dwudziestu pięciu stopni.

– Neee – powiedziałem. – Zauważyłem starą, pożółkłą gazetę na ziemi z wielkim nagłówkiem: ZJAWISKO KONCENTRUJE SIĘ WOKÓŁ BIEGUNA POŁUDNOWEGO, PREZYDENT NAWOŁUJE DO ZACHOWANIA SPOKOJU.

Ten pomruk, pulsujący dźwięk rozbrzmiewał coraz głośniejszy. Nagle rozległo się ostre *TRZASK* i obydwaj obróciliśmy się gwałtownie. W miejscu, w którym uprzednio znajdował się odkurzacz, teraz widać było jedynie spaloną ziemię i poskręcane szczątki.

Nad i za tym miejscem pojawiło się pięć ludzkich sylwetek, lecących wolno w naszym kierunku w małych budkach wyglądających jak mównice. Obniżyli lot i wylądowali przed nami, wzniesając tumany jasnyniebieskiej plazmy niezbędnej do miękkiego osadzenia pojazdów na ziemi. Pięciu dorosłych, czystych mężczyzn w obcisłych, czarnych mundurach o zdecydowanie wojskowym kroju. Zrozumiałem, że prawdopodobnie od jakiegoś czasu byli w pobliżu, najprawdopodobniej schowani gdzieś za pomocą futurystycznego urządzenia kamuflażu niczym te wszystkie statki w Star Trek.

Zeszli ze swych latających maszyn i zbliżyli się do nas. Jeden z nich przejął dowodzenie – przystojny oficerek lat około trzydziestu ze starannie przyciętą brodą.

– Dzień dobry – powiedział. – Jestem sierżant Vance McElroy z Ludzkiej Armii Wyzwoleńczej. Wasze pojawienie się tutaj musiało być sporym zaskoczeniem dla was, ale nie dla nas. Przepowiednia z czasów Wielkiej Deprawacji mówi o nadejściu obcych z innego świata. To zaszczyt was spotkać. Wyznam, że nie wiem, skąd przybyliście, ale po waszym wyglądzie wiem, że nie jesteście zakażeni...

Gadał i gadał bez końca. Znów zerwał się wiatr i zastanawiałem się czy nie ma tu gdzieś boiska pod dachem. Nie mogłem przerwać słowotoku tego faceta, żeby się go o to zapytać. Spojrzałem na Johna i zobaczyłem, jak kiwa głową w udawanym skupieniu i powadze.

– ... i jeśli nie możecie go pokonać, to cała nadzieja ludzkości legła w gruzach. Panowie, wiatry przeznaczenia przywiały was tutaj. Jasny świt wstanie nad tym straconym, złamanym światem.

Trwaliśmy przez chwilę w niezręcznej ciszy, ale nagle przyszło mi coś do głowy.

– Mam pytanie – powiedziałem. – Ten latający odkurzacz wspominał coś o kwarantannie. Zakładam, że wykorzystują do niej stare budynki publiczne, takie jak szpitale, szkoły, mam rację? Moje pytanie więc brzmi: czy w którymkolwiek z tych budynków znajduje się jeszcze nietknięta sala gimnastyczna? Albo przynajmniej boisko do kosza?

– Nie, obawiam się, że wszystkie placówki edukacyjne zostały zmiecione wraz z pierwszym obłężeniem, zaraz przed masowym paleniem książek. Ludzka ignorancja była ich najgroźniejszą bronią. Ale to nie było najgorsze, co zrobili mroczni. Często...

Bredził i przestać nie mógł, i już żałowałem swojego pytania. Spojrzałem na zegarek, który wyświetlał godzinę 66:69. Zacząłem w myślach wyliczać powody, dla których ten wszechświat był do dupy.

– ...tym samym jedynie z waszą unikalną techniką modyfikacji genetycznej możemy opierać się infekcji...

– Tak, to bardzo ciekawe – powiedział John. – Ale żeby wykonać to zadanie będziemy potrzebować kilku przedmiotów z naszego świata. Musicie pozwolić nam tam wrócić, żebyśmy później mogli ruszyć do wykonania zadania.

Mężczyzna skinął głową.

– W takim razie dobrze. Będziemy oczekiwać waszego powrotu.

Wzięliśmy naszą piłkę i przeszliśmy ponownie przez międzywymiarowy portal. Wyszliśmy z czarnej kuli uradowani widokiem słońca i siatek na koszach. Nie bardzo cieszył nas powrót do rozgrzanego pieca, ale stwierdziliśmy, że wolimy się pomęczyć w upale niż wrócić do kolejnego głównianego, dysfunkcyjnego wszechświata.

Postanowiliśmy rozegrać jeszcze jedną piłkę. Zanim udało się nam zacząć, podeszła do nas grupka czterech silnych, przystojnych młodych ludzi lat około dwudziestu paru. Dwóch chłopaków, jeden czarny, jeden biały. Dwie dziewczyny, jedna Azjatka i jedna śliczna blondyneczka. Wręcz ociekali wścibstwem. Widzieli portal i wymieniali między sobą coś, co z tej odległości można było uznać za dowcipne komentarze. Biały chłopak i dziewczyna najwyraźniej nie pałali do siebie sympatią i sprzeczali się na całego. Przeszli przez portal, wyczuwając przygodę w powietrzu.

John przewrócił oczami. Ostatnio sprzeczaliśmy się o to, czyja jest piłka, ale w końcu John przyznał, że się pomylił i mi ją oddał. Graliśmy przez jakiś czas, ale w końcu wdało się zmęczenie i obydwaj mieliśmy po dwa pudła z rzędu.

Nagle i niespodziewanie całą czwórkę młodych ludzi wyrzuciło z czarnej kuli. Byli pobrudzeni, posiniaczeni, z niewielkimi ranami.

– Patrz! – wykrztusiła Azjatka. – To jest ten sam moment, w którym przeszliśmy na drugą stronę! Nie minęło więcej niż kilka chwil!

– Ona ma rację! – wykrzyknął czarny młodzieniec. – Yo, cieszę się, że widzę słońce! Uratowaliśmy cały cholerny świat, stary!

Biały chłopak i dziewczyna całowali się, najwyraźniej zakochując się w sobie podczas wyprawy. Chłopak oderwał się od niej i patrzył na nas podekscytowanym wzrokiem. – Gościu, nie uwierzycie, co się nam przytrafiło!

John odwrócił się do niego.

– Zanudziliście nieznanego waszą dupiatą historyjką, a on wyciągnął swego kutasa i wybatożył was nim jak wozak chabetę?

Szczeniak zamknął się, całkowicie zbity z tropu. John podniósł piłkę i posłał kozłem w moją stronę.

– Twoja piła.

strona 375

NAUKA I NIE TYLKO

dr Albert Marconi

był ostatnią osobą, która przeżyła zarazę.

Kiedy ekipa trafiła do opuszczonej wioski, kapłan opisał pozogę, która zabrała wszystkich członków jego szczepu oprócz niego. Straszliwy ból, ślepotą, szaleństwo, członki, które gnily w ciągu kilku minut niczym przejrzałe owoce. Groza, jakiej nie powinien oglądać starzec w jesieni życia (kapłan dożył sędziwego wieku lat trzydziestu siedmiu).

Kapłan uważał, że został oszczędzony przez Korroka tylko po to, by móc zrelacjonować mi swoją historię, by mnie ostrzec. Pożegnał mnie mówiąc, że zamierza udać się w głąb dżungli, by iść na zachód, aż dotknie słońca lub aż ziemia się o niego nie upomni. Nie powiedziałem mu, że jeśli ruszy w tamtą stronę, może dołączyć do grupy z Iquitos. Uścisnąłem jego prawicę i opuściłem Peru na dobre.

Tydzień później znalazłem się w Nowym Jorku i odpoczywałem wraz z Sharon po pogrzebie dr Haleine'a, racząc się kawą mocno podlaną brandy.

Staliśmy na balkonie spoglądając na miasto przez kłęby dymu mojej fajki.

Sharon powiedziała:

– Ci biedni ludzie. Dlaczego musieli zginąć?

Parsknąłem śmiechem, wypuszczając fajkę z ust.

– Wszyscy musimy, moja droga.

Nie uśmiechnęła się.

– Wiesz, co chciałam powiedzieć. Chodziło mi o to jak zginęli, schorowani, ślepi, z krzykiem na ustach, wołaniem do bogów o ratunek, które pozostało bez echa – zwróciła na mnie swe spojrzenie.

– Bogowie są okrutni, prawda, Albie?

Zaczerpnąłem głęboko powietrza i odparłem:

– Każde żywe stworzenie ma jedną potrzebę: władzę. Władzę nad innymi stworzeniami. Żeby rosnąć, żeby jeść, żeby się rozmnażać. A okrucieństwo jest ostatecznym wyrazem władzy. By sprowadzić zupełnie niepotrzebne, krańcowe cierpienie i poniżenie na innych. Jest to najczystsza demonstracja siły. Maluchy przekonują się o tym już w żłobku. Tak więc, wszystkie organizmy, od mikrobów w górę, znaczą okrucieństwem swój postęp na drabinie życia. Ofiara musi zostać podporządkowana, konkurencja zagłodzona na śmierć, wrogowie muszą zostać zniszczeni. Można zatem założyć, że podobna prawidłowość występuje wśród bogów, tylko z większym natężeniem. Na każdym poziomie niebios możemy natrafić na coraz większe pokłady zachłanności, brutalności i bezrozumnej mściwości. Bo jakże inaczej staliby się bogami?

strona 376

NAUKA I NIE TYLKO

dr Albert Marconi

Sharon zadrżała, choć na balkonie nie było zimno.

Ledwo słyszalnym głosem zapytała:

– Ale czy naprawdę tak jest? Praca, którą wykonujesz... Ty przecież znasz to lepiej niż ktokolwiek inny.

Odłożyłem fajkę i odwróciłem się, by mogła spojrzeć w moje oczy. Powiedziałem:

Posłowie

Jeśli chcecie się dowiedzieć, kiedy na półkach księgarskich pojawi się nowa książka z serii opowiadającej o losach Johna i Dave'a, albo kiedy adaptacja filmowa zjawi się w kinach, proponuję odwiedzić moją stronę JohnDiesattheEnd.com. Tam możecie znaleźć najświeższe wiadomości i dalej zgłębiać wszechświat znany z „John ginie na końcu”. Możecie odnaleźć mnie też na stronie satyrycznej Cracked.com, gdzie pracuję jako wydawca i – jako taki – w przedziwny sposób zostałem zatrudniony na pełny etat wymyślając dowcipy z kupą w tle. Tak, żyjemy w naprawdę idiotycznym wszechświecie.

A propos, należałoby wspomnieć, że opowieść o opowieści o tym, jak to „John ginie na końcu” w ogóle ukazała się drukiem, powinna stanowić inspirację dla każdego, kto pracuje w biurowym kieracie i/albo naprawdę łatwo ulega wszelkim wpływom.

W 2001 roku wiodłem podwójne życie. Za dnia byłem facetem, który wprowadzał dane w kancelarii prawniczej na akord. Ale nocami wychodziłem z tej skóry i przyjmowałem inną tożsamość: Faceta Wprowadzającego Dane w Firmie Ubezpieczeniowej. Na szczęście poświęcanie 75 godzin tygodniowo na wypełnianie kolumnienek cyfr na ekranie komputera ze względów czasowych uniemożliwiało wpadnięcie w skrajną depresję.

W okolicach Halloween w 2001 roku podczas tych kilku godzin czasu własnego między biurowym kieratem włąłem do Internetu i podzieliłem się z innymi opowieścią o mnie i moim przyjacielu oraz potworze z mięsa. Pierwszego dnia tylko sześć osób przeczytało tę historię. Następnego dnia liczba wzrosła do ośmiu. Potem dziesięciu. Najwyraźniej powoli stawałem się zjawiskiem, o którym wiadomości przekazywano sobie pocztą pantoflową i po roku opowieść przeczytało blisko siedemnaście osób.

Niesiony falą popularności usiadłem znów do komputera i streściłem kolejną opowieść i to samo zrobiłem w następnym roku. W 2005 kronika naszych przygód urosła do 150 000 słów. E-maile czytelników lały się szerokim strumieniem, fani relacjonowali mi, że nie spali całą noc, ale czytali dalej, a potem na drugi dzień rano dzwonili do pracy, mówiąc, że są chorzy, byle tylko dokończyć lekturę. Ludzie drukowali sobie całość, marnując ryzy papieru i tonery do drukarki, a następnie spinali to razem i pożyczali znajomym.

Po raz pierwszy uwierzyłem, że coś mi wyszło i że to coś wywołuje u ludzi szaleństwo oraz w konsekwencji zapewnia im mnóstwo wolnego czasu.

Wtedy skontaktowałem się z niezależnym wydawcą horrorów, Permuted Press, gdzie zapytano mnie, czy nie zechciałbym wydać na próbę swojej opowieści w miękkiej oprawie. Odpowiedziałem im, że nie, przecież nikt nie będzie płacił, żeby to przeczytać. Wtedy siadł mi wał rozrządu w aucie i postanowiłem, że nie mogę pozostawać głuchy na taką propozycję, mając w perspektywie jakieś tam pieniądze za wydanie książki. W rezultacie powstała książka napisana przez pracownika wpisującego dane do komputera, który wcześniej nie miał żadnego doświadczenia pisarskiego ani nawet licencjatu z angielskiego, żeby móc się czymś pochwalić. Sprzedano pięć tysięcy egzemplarzy wyłącznie za pomocą poczty pantoflowej. Kiedy nakład się skończył unikatowe egzemplarze szły na eBayu po 120 dolców za sztukę.

Wtedy dostałem e-mail od pisarza-reżysera i producenta horrorów Dona Coscarelliego (który nakręcił dwa moje ulubione horrory wszechczasów – „Phantasm” i „Bubba Ho-Tep”), którego błyskawicznie skasowałem, podejrzewając jakąś podpuchę. Ale był bardzo natarczywy i kiedy przekonał mnie przez telefon, że nie jest to żaden głupi kawał kumpli, żeby wyciągnąć mnie gdzieś na scenę i wylać na mnie kubel świńskiej krwi, zawarliśmy umowę, by przełożyć „John ginie na końcu” na język filmu. Kiedy atrament na umowie już wysechł, pojawiło się pół tuzina innych ofert filmowych.

Po tym wydarzeniu stało się jasne, że cały świat robi sobie ze mnie jaja. Proszę pamiętać, że wciąż pracowałem dla firmy ubezpieczeniowej, wciąż siedząc codziennie w kieracie, zjadając się tymi uroczymi, przeciętymi w poprzek kanapkami z automatu i czytając notatki na temat obowiązującego w pracy ubioru.

Poczta pantoflowa. Tylko tyle. Nikt mnie nie „odkrył”, wielki przełom nie nastąpił niczym grom z jasnego nieba. Była to powolna dłubanina nieznanym z całego świata, podających sobie linka na stronę i wypożyczających te domowe egzemplarze. To są prawdziwi zapaleńcy, którzy później kupią sobie egzemplarz w księgarni, pożyczą znajomym, a następnie kupią kolejne egzemplarze, gdy te do nich nie wrócą. Setki nieznanym z pasją, których wciąż nie poznałem – to dzięki nim trzymacie ten egzemplarz w dłoniach. Żałuję, że nie mogę podziękować każdemu z nich z osobna. Pozwólcie więc, że podziękuję chociaż części z nich. (Proszę odwrócić stronę).

IZBA PAMIĘCI FANÓW ZAANGAŻOWANYCH W POWSTANIE „JOHN GINIE NA KOŃCU”

– za niektórymi nazwiskami kryją się ewidentne przypadki kliniczne.

Amy Brown, Brandon Sharp, Michael T. Hawkins, Curtis Jeffs, Jennifer Liang, Nate Bailey, Chuck Sebian-Lander, Tomas Fitzgerald, Stuart Layt, Ira Jacobs, Sean Grey, Shane Peter Davis, Anthony Clark, James A Russell, Andrew Gordon, Alex Lysick, Steve Clark, Joshua Daum, Jess I Brett Ferricher, Jason Phebus, Owen Sprod, Ira Porter, Matt Nolan, Jakob Beacham, Adam Quigley, Evan Lewis, Isaac Rowntree, James Goede, Ben Schuplin, Eoghan C., Robert Lawson, Ryan Salyers, Joshua Madden, Sean Hyslop, Stewart Dawson, Ryan Aston, Nikki Barajas, Angela Soper, Daniel Andrew, Laura Taylor, Tim Richardson, Ville Nousiainen, Matt Garner, Charles Cooper, Tamir Hadary, Lucas de Carvalho Martinez, Alex Augustine, Tyrone Cameron, Bob Clark, Vincent Simone, Dave Henry, Thomas Buttrick, Kevin Murray, Craig Taylor, Joshua Heimendinger, Tom Cherry, John Walton, Robert Hight, Steffanie Hirsack, Joel Bengé-Abbot, Lee Smith, Daniel Sloane, Michael Cornett, Will Timson, Larry Coffey, Nicholas Charlton, Samuel Raab, Rich Beischer, Anthony Nguyen, Erica Bercegeay, Jonathan Edwards, Alex Ennis, Damien Unger, Brian Wesley Schwartz, Joshua Lucero, Perer Christensen, Joel Thopmson, Devin Pentecost, Lee Beckman, Ross Wiseman, Nick Mathews, Josh Yagley, Jim Mahar, Ryan King, Rianna Turner, David Scully, Victoria Liakhova, Alex Zeziel, Katters Smao, Scott Holcomb, Eric Holodnak, Christopher Wells, Drew Dexter, Nadine Hearity, Lance Johnson, Nathan Cleary, Michael Schmidt, Ed Gardiner, Nikola Pilipovic, Popovici Alexandru, Jesse Hayen, Heather Holl, Kevin Smith (nie ten słynny), Nicolas Seitz, Benjamin Ashley, Michael Scheahan, Jim Ribby, Nathan West, Ben Discroll, Jenn Tharp, Zac Wiggy, Christopher Petterson, Joel Vandale, Jonny Ashely, Beau Ferreira, Matt Overstreet, Jadon Grayson, Andrew Patterson, Matthew Waller, Kristina Himmelsjo, Cassie Hillyuck, Nicholas Russell, Ben Moore, Alex Mathews, Lee Banford, Katie Roe, Zachary Harper, Scott Bailey, Michael Freel, Asaf Lackren, Brad Schoonover, SPC Nicholas Young, David Morris, Magnus Eek Olsen, Michael Hartley, Josh Rickert, Dustin Quam, Jeff Pallagi, Brian Tolman, Matt Cowger, Spenser Stefaniuk, Paul Harris, Isaac Davidson, Colin Newby, Luke McCarthy, Ian Douglas, Z. Sheldon, Mark Gomer, Alex Winfield, B.I. Flight, Daniel Griffin, Brandu Couch, Justin Dunsing, Jack Talbot, Todd Aquino-Michaels, Henry Copestake, Eric Bates, Alexander Corwin, Philip Howard, Kevin Smart, Janet Mysliwiec, JMolloy, Peter Armstrong, Alex Hirzel, Justin Davis, Ben Wolfe, Jonathan Kimak, Sam Mackey, Walker Reynolds, Brendan Reilly, Stewart Hills, Melissa Balck, Robert Roboi Parras, Brandon Robinson, Kenneth Cross, Kitty Butchko, Juan Cabrera, Phil Loring, Courtney Shelton, Kevin Kuchta, Mark Cawdrey, Alex Huss, Carrie Rivard, Jeremy Stevens, Josh Cohen, Jason Glass, Jodran Dillman, David Binford, Jon McCullough, Paul Calhoun, Allin Cook, Garrett Hille, Joel Paine, Fabio Zaccagnini, Courtney Olivecrona, Nick Stolk, David Piniella, Joe Vandale, Matt Picioccio, Eric Pelchat, Hunter Tamaro, Loren Cress, Adam Woodyard, Zachary Helming, Michael Purdy, David Nelson, Scott Clark, Bo Soderlund, Ashely Monroy, Reid A. Dawson, Tyler Calvert, Rutger Schreuders, Ethan John Davies, Alex Pascarelli, Conor Burnell, Brian Lemak, Jeremy Root, Christopher Brown,

David Bulger, Aaron W. Mosley II, Stacy Darina, Austin Pettyjohn, Jamie Lachance, Jsaon Domanowski, Josh Hendren, Brandon Dixson-Jack, Isaac Westerhoff, Simon Thewell, Brandon Spoelstra, Ian Breakey, Kim McMillan, Steven Irvine, Megan Schnitz, Mikki Cioffi, Petter Vilberg, Chris Heulman, Eric Main, Laura McDowell, Tom Andry, Nikolai Gloeckler, Dawn Morrow, Michael Dubya, Cole Goater, Steven Gordon, Matthew Porreca, Matthew Parker, Sean Levesque, Ike Wassom, Teddy Lee, Rowan Chapman Hill, Dan Heerdt, Karen Nickerson, Marie Petty, John Diebold, David Scott, J."Buck" Caldwell, Kyle Nelson, John Plandowski, Miia Lempinen, Jack Clarkson, Dean Perkins, Joe Bautista, Nathaniel Lichfield, Jess Jeffrey, Brian Malik, Frank Looney, Kenny Heard, Kyle Hellkamp, Robert Parsons, Connor Bishop, Rhett Stafford, Ellen Boring, Benjamin Deason, Sean Tessena, Chris Jensen, Jeremy Harvey, Russell Monett, Jeff Ward, Jonathan Barone, Thomas Gorney, Devin McGinty, Ross Cochran, Dustin J. Shifflett, Dan Bromley, Amanda Mack, Brandon Crawford, Julian Smith, Andrew Briggs, Jefferson Nieto, Mick Weaver, John O'Connor, Hector Wakefield, Doug Tammany, John Honey, Stephanie Wagar, Aaron Jones, Jonathan Bjorklund, Garii Pearce, Mike Brenner, James Rodriguez, Philip Zaslavchik, Matt Best, Jimmy Bean, Louie Klein, Aaron Macke, Josh Palmer, Jude Taylor, Jake Brown, Jay Locke, Michael Keen, Walter Sojda, Ben Pearson, Casper Van Gemert, David Costelloe, KYTE, Don Shilney, J.D. Beidman, Sean Emery, Dave Eng, Brian Durbin, Jeff Langyel, Damian Holter, Manie du Preez, Andy Melat, Teemu Nordlund, Cress Fox, Tomy Scala, Richard Kreski, Salvatore Ciano, Laura Engelman, Clae Wilson, Tim Young, David Saulmon, Joshua Svendsen, Breno Nakao, Brooks Cary, Joseph Zebrowski, Kyle Scherest, Reid Sheldon, Alan Thompson, James Robson, Matias Ignacio, Lara Koenig, Steve Wetherell, Greg Pfaff, Jarad Geer, Rebeca Johnson, Lyz King, Denny Wright, Joe Defilippis, Aaron Kinney, Jeff Devine, Casey Harris, Tarik Ghabra, Nathaniel MacDonald, Tom Heafey, Azrael Macool, Mark Ulissi, Simon Clair, Ben Ireland, Brian Lemmon, Marc Williams, Christina Waterstreet, Cory Batts, David Starr, Kaitlyn Werner, Jason Elledge, Luke Norman, John Miller, Courtney Childs, Anthony Sgromo, Grek Ulfik, Rich Larden, Nate Arnold, Brent Donoghue, Ben Heidorn, Gerald Rice, Oliver Grünewald, Ber Heidorn oraz Mark Chun-Ting "Chuwy" Chu.